



JOHN
LE CARRÉ

krawiec
z panamy

JOHN LE CARRE

KRAWIEC Z PANAMY

PRZEKŁAD JERZY KOZŁOWSKI

To było całkowicie zwyczajne piątkowe popołudnie w tropikalnej Panamie, gdy do zakładu Harry'ego Pendela wparował Andrew Osnard i zażyczył sobie, żeby zdjąć z niego miarę na garnitur. Kiedy Osnard wparował, Pendel był Pendelem, ale zanim wparował - Pendel był już inną osobą. A zabrało to w sumie siedemdziesiąt siedem minut według mahoniowego zegara z wytwórni Samuela Colliera z Eccles, jednego z licznych historycznych akcentów siedziby firmy Pendel & Braithwaite Co., Limitada, Krawcy Królewscy - niegdyś mieszczącej się przy Savile Row w Londynie, obecnie przy Via Espana w Panama City. A raczej niedaleko Via España - na tyle blisko, że nie robiło to różnicy. W skrócie: P & B.

Dzień rozpoczął się punktualnie o szóstej, gdy Pendela brutalnie wyrwał ze snu jazgot pił, prac budowlanych, ruchu ulicznego w dolinie i donośny głos spikera Radia Sił Zbrojnych.

- Mnie tam nie było, Wysoki Sądzie, to tamci dwaj, ona uderzyła mnie pierwsza, zresztą na wszystko się zgadzała - poinformował wstający dzień, ponieważ czuł, że wisi nad nim jakaś kara, ale nie wiedział za co. I wtedy przypomniał sobie o spotkaniu z bankierem o ósmej trzydzieści. Wyskoczył z łóżka w tym samym momencie, gdy jego żona Louisa zawyła „nie, nie, nie” i naciągnęła kołdrę na głowę, bo nie znosiła tej pory dnia. - Czemu nie „tak, tak, tak” dla odmiany? - zwrócił się do jej odbicia w lustrze, czekając, aż z kranu zaczną lecieć ciepła woda. - Może trochę więcej optymizmu, co, Lou?

Louisa jęknęła, ale jej zwłoki pod kołdrą nadal ani drgnęły, więc Pendel dla poprawienia nastroju zaczął dyskutować ze spikerem.

Wczoraj wieczorem szef Dowództwa Południowego amerykańskich sił zbrojnych zapewnił, że Stany Zjednoczone wypełnią wszystkie zobowiązania traktatowe wobec Panamy - oświadczył uroczyście spiker.

- Bujda, kochasiu - odciął się Pendel, namydlając twarz. - Gdyby to była prawda, nie gadałbyś o tym bez przerwy, generale. Nieprawdaż?

Prezydent Panamy rozpoczął dzisiaj od wizyty w Hongkongu dwutygodniową podróż po krajach Azji Południowo-Wschodniej - powiedział spiker.

- Słuchaj, zaraz będą mówić o twoim szefie! - zawołał Pendel i wyciągnął namydloną rękę, żeby przykuć uwagę żony.

Towarzyszy mu grupa krajowych ekspertów handlowych i gospodarczych, między innymi jego konsultant do spraw Kanału Panamskiego, doktor Ernesto Delgado.

- Dobra robotą Ernie - zgodził się Pendel, me spuszczać oka ze spoczywającej w łożu małżonki.

W poniedziałek prezydent i jego doradcy przybędą do Tokio na oficjalne rozmowy, których celem jest zwiększenie japońskich inwestycji w Panamie - oznajmił spiker.

- Żółtki się nie pozbierają - powiedział nieco ciszej Pendel, ponieważ golił lewy policzek - kiedy nasz Ernie dobierze im się do skóry.

Louisa błyskawicznie się rozbudziła.

- Harry, nie życzę sobie, żebyś mówił w ten sposób o Erneście, nawet w żartach.

- Ależ oczywiście, kochanie. Bardzo przepraszam, kochanie. To się już więcej nie powtórzy. Nigdy - obiecał żonie, lawirując maszynką w trudno dostępnym miejscu tuż pod nosem.

Ale Louisa nie wyglądała na udobruchaną.

- Czemu w Panamie nie może inwestować Panama? - oburzyła się. Odrzuciła kołdrę i usiadła sztywno w białej, lnianej koszuli nocnej odziedziczonej po matce. - Czy musimy do tego angażować Azjatów? Chyba jesteśmy dostatecznie bogaci. W tym mieście mamy sto siedem banków. Nie możemy z naszych własnych pieniędzy za narkotyki wybudować naszych własnych fabryk, szkół i szpitali?

Owego „my” nie należało traktować dosłownie. Louisa była Amerykanką wychowaną w Strefie Kanału w czasach, kiedy na mocy rażąco krzywdzącego traktatu obszar ten należał do Stanów Zjednoczonych, nawet jeśli był to tylko pas ziemi o szerokości szesnastu i długości osiemdziesięciu kilometrów, otoczony zewsząd pogardzanymi Panamczykami. Jej świętej pamięci ojciec był inżynierem wojskowym armii amerykańskiej, który po przeniesieniu do Strefy Kanału przeszedł na wcześniejszą emeryturę i zatrudnił się w Kompanii Kanału. Matka, też już nieżyjąca, uczyła religii w jednej ze szkół dla Amerykanów.

- Wiesz, co się mówi, kochanie - odparł Pendel, odchylając ucho, żeby ogolić miejsce pod nim. Golił się tak, jak malarze malują, z uwielbieniem dla pędzla i tubek. - Panama to nie jest państwo, tylko kasyno. Dobrze zna my chłopców u steru. Pracujesz dla jednego z nich, prawda?

Znowu to samo. Kiedy miał wyrzuty sumienia, nie mógł się powstrzymać - miał z tym takie same problemy jak Louisa ze wstawaniem.

- Nie, Harry, mylisz się. Pracuję dla Ernesta Delgado, ale Ernesto nie jest jednym z nich. Ernesto ma czyste ręce, jest idealistą. Wierzy, że w przyszłości Panama dołączy do grona wolnych i suwerennych państw. W przeciwieństwie do nich nie próbuje się dorobić, nie grabi majątku swojego kraju. I dlatego jest kimś bardzo wyjątkowym.

W głębi ducha zawstydzony Pendel uruchomił prysznic i sprawdził temperaturę wody.

- Ciśnienie znowu siadło - stwierdził pogodnie. - Dobrze nam tak, nie trzeba było kupować domu na wzgórzu.

Louisa wyszła z łóżka i zdjęła przez głowę koszulę. Wysoka i smukła, miała ciemne gęste włosy i jędrne piersi sportsmenki. Kiedy zapominała o sobie, była piękna. Ale gdy tylko sobie przypomniwała, garbiła się i pochmuriała.

- Wystarczy jeden uczciwy człowiek, Harry - ciągnęła z uporem, wciskając włosy pod czepek kąpielowy - żeby ten kraj jakoś funkcjonował. Jeden uczciwy człowiek, taki jak Ernesto. Nie potrzeba nam mówców ani megalomanów, tylko jednego dobrego chrześcijanina. Jeden nieskorumpowany, przyzwoity człowiek i sprawny administrator potrafiłby naprawić drogi i kanalizację, poradziłby sobie z przestępczością i narkotykami i nie sprzedał Kanału temu, kto da najwięcej. Ernesto szczerze chce być tym człowiekiem. Ani ty, ani ktokolwiek inny nie ma prawa źle o nim mówić.

Pendel ubrał się szybko, choć jak zwykle bardzo starannie, i wszedł do kuchni. Pendelowie jak wszyscy przedstawiciele klasy średniej w Panamie zatrudniali kilku służących, ale niepisana purytańska tradycja kazała głowie rodziny przygotowywać śniadanie.

Jajko na toście dla Marka, precel z topionym serkiem dla Hannah. Śpiewał przy tym - i to nieźle - kuplety z *Mikada*, bo po prostu uwielbiał tę muzykę. Mark już się ubrał i odrabiał lekcje przy kuchennym stole. Hannah zamknęła się w łazience i medytowała nad pryszczem na nosie, więc trzeba ją było stamtąd wywabić.

Później w rozgardiaszu wzajemnych pretensji i pożegnań Louisa - ubrana, ale spóźniona do pracy w administracji Komisji Kanału Panamskiego wskoczyła do swojego peugeota, a dzieciaki z Pendelem do toyoty i rozpoczął się szkolny wyścig szczurów. W lewo, w prawo i znowu w lewo, stromym zboczem w dół do głównej ulicy. Hannah dojada precla, Mark usiłuje pisać w podskakującej terenówce, Pendel przeprosza za pośpiech i tłumaczy się, że jest umówiony wcześniej na pogaduszkę z bankierami. A w duchu żałuje, że znowu przyczepił się do Delgado.

Śmignął lewym pasem dzięki zarządzeniu, które zezwala kierowcom dojeżdżającym do pracy w centrum korzystać z obydwu pasów ruchu. Wygrał śmiertelny wyścig z innymi wozami i znowu wjechał w plątaninę małych uliczek z domami w amerykańskim stylu, podobnymi do tego, w którym sam mieszkał. W plastikowo-szklanej wiosce królują amerykańskie fast foody, jest też wesołe miasteczko. Kiedy podczas ostatniego Świąta Niepodległości Mark złamał sobie rękę na torze samochodzików, w szpitalu zastali pełno dzieciaków poparzonych petardami.

Urwanie głowy - Pendel szuka drobnych dla czarnego chłopca sprzedającego róże na światłach, cała trójka opędza się frenetycznie od staruszka, który od sześciu miesięcy stoi na tym samym rogu i usiłuje sprzedać ten sam fotel na biegunach za dwieście pięćdziesiąt dolarów. Cenę wypisał na zawieszonej na szyi tabliczce. Znowu uliczki. Najpierw trzeba podwieźć Marka, więc Pendel wstępuje do cuchnącego piekła dzielnicy Manuel Espinosa Batista, mija uniwersytet, rzuca ukradkiem tęskne spojrzenia w stronę objuczonych książkami długonogich studentek w białych bluzkach, rzuca okiem na przypominający weselny tort kościół del Carmen (dzień dobry, Panie Boże), śmierć zagląda mu w oczy, gdy przecina Via España, i z westchnieniem ulgi daje nura w Avenida Federico Boyd, potem w Via Israel na San Francisco. W strumieniu innych samochodów zbliża się do lotniska Paitilla. Witajcie, panie i panowie z branży narkotykowej - to w dużym stopniu dzięki wam wśród śmieci, walących się ruder, bezpańskich psów i kurczaków wyrasta rząderek ślicznych prywatnych samolotów - ale teraz powoli, ostrożnie, wstrzymać oddech, seria antyżydowskich zamachów bombowych w Ameryce Łacińskiej nie pozostała bez echa: ci młodzi mężczyźni o kamiennych twarzach przy bramie szkoły im. Einsteina poważnie traktują swoje obowiązki, więc trzeba mieć się na baczności. Mark wyskakuje z wozu, choć raz niespóźniony. „Zapomniałeś, sklerozo!” - woła Hannah i ciska za nim tornister. Mark odchodzi, nie pozwalając sobie na żaden czuły gest czy choćby machnięcie ręką, żeby koledzy nie uznali go za mięczaka.

I z powrotem w bitewny zgiełk: desperacki ryk syren policyjnych, hurkot buldożerów i młotów pneumatycznych, nerwowe klaksony, wyzwiska i protesty tropikalnego miasta Trzeciego Świata, które za chwilę zadusi się na śmierć. Z powrotem między oblegających cię na wszystkich światłach żebraków i kaleki, sprzedawców papierowych ręczników, kwiatów, kubków i ciastek. „Hannah, otwórz wreszcie okno. Gdzie się podziała puszka z drobnymi?”. Dzisiaj kolej na beznogiego, siwego senatora na wózku, urodziwą Murzynkę z roześmianym dzieckiem na ręku - pięćdziesiąt centów dla matki, machnięcie ręką do dziecka - i znowu ten

zapłakany chłopak, który chodzi o kulach z podkurczoną jak przejrzały banan nogą. Ciekawe, czy zalewa się łzami cały dzień, czy tylko w godzinach szczytu. Hannah podaje mu monetę.

Przez chwilę droga przed nimi jest wolna. Gaz do dechy i pędem pod górę do szkoły Maria Inmaculada, gdzie przy żółtych szkolnych autobusach kręcą się zatroskane zakonnice o twarzach koloru mąki - „*Senor Pendel, buenos dias!*”, „*Buenos dias, siostro Piedad! Siostro Imeldo, buenos dias!*”. Czy Hannah pamiętała o pieniądzach na zbiórkę na świętego, którego to dzisiaj mamy? Nie, ona też ma sklerozę, no to masz tu, kochanie, pięć dolarów, do lekcji jeszcze mnóstwo czasu, miłego dnia. Hannah, która jest miłym dzieckiem, wyciska na policzku ojcu słodkiego całusa i odchodzi w poszukiwaniu Sary, w tym tygodniu jej najlepszej przyjaciółki. Przygląda się jej uśmiechnięty otyły policjant ze złotym zegarkiem na ręku - wygląda jak Święty Mikołaj.

I nikt nic z tego nie rozumie, rozmyśla całkiem już zadowolony Pendel, gdy jego córka znika w tłumie. Ani dzieci, ani w ogóle nikt. Nawet ja. Mały Żyd, który wcale nie jest Żydem, mała katoliczka, która też nianie jest. I dla nas wszystkich to coś normalnego. Przepraszam, kochanie, że tak źle mówiłem o niezrównanym Erneście Delgado, ale dzisiaj nie miałem siły być grzeczny.

A teraz, delektując się własnym towarzystwem, Pendel wraca na główną ulicę i włącza Mozarta. Jak zwykle, kiedy zostaje sam, robi się ostrożny. Z przyzwyczajenia sprawdza, czy drzwi są zablokowane, uważa na złodziei, gliniarzy i inne niebezpieczne indywidua. Ale nie martwi się. Kilka miesięcy po amerykańskiej interwencji uzbrojeni bandyci wprowadzili w Panamie pokojowe rządy. Gdyby dzisiaj ktoś w tym korku wyciągnął broń, odpowiedziałyby mu strzały ze wszystkich samochodów oprócz samochodu Pendela.

Piekące słońce zalało go nagle żarem zza kolejnego niedokończonego drapacza chmur, cienie ciemnieją, narasta miejski gwar. Wśród mrocznych ruder przy wąskich uliczkach pojawia się tęcza kolorowego prania. Twarze przechodniów mają rysy afrykańskie, indiańskie, chińskie i wszelkie pośrednie. W Panamie jest niemal tyle typów ludzkich, co gatunków ptaków. Fakt ten każdego dnia raduje serce Pendela. Niektórzy Panamczycy wywodzą się od niewolników, inni właściwie też - ich przodków dziesiątkami tysięcy sprowadzano do pracy przy budowie Kanału, dla którego czasem ginęli.

Droga biegnie teraz przez otwartą przestrzeń. Na Pacyfiku odpływ i słabe światło. Ciemnoszare wyspy po drugiej stronie zatoki przypominają zawieszzone w mrocznej mgle chińskie góry. Pendela ogarnia przemożne pragnienie, żeby się tam znaleźć. Być może to wina Louisy: jej przeraźliwy brak poczucia bezpieczeństwa czasem go wykańcza. A może pragnienie ucieczki odezwało się na widok krwistoczerwonego wieżowca banku, który walczy o miano najwyższego z równie ohydnyimi sąsiadami. Nad niewidocznym horyzontem unosi się widmowo kilkanaście statków: tkwią beczynnie, czekając na wejście do Kanału. W nagłym przypływie empatii Pendel czuje tę nudę oczekiwania. Smaży się na nieruchomym pokładzie, leży w śmierdzącej kabinie pełnej obcokrajowców i silnikowych oparów. To nie dla mnie, dziękuję bardzo, wzdraga się. Nigdy więcej, obiecuje sobie. Do końca życia Harry Pendel będzie rozkoszować się każdą godziną każdego dnia - to już postanowione. Zapytajcie wuja Benny'ego, żywego lub martwego.

Wjeżdżając na majestatyczną Avenida Balboa, odnosi wrażenie, jakby unosił się w powietrzu. Z prawej strony mija ambasadę amerykańską, większą od pałacu prezydenckiego,

większą nawet od jego banku. Choć na razie przysłania ją Louisa. Jestem potwornym snobem, wyjaśnia jej w myślach, zbliżając się do bankowego dziedzińca. Gdybym nie miał snobistycznych zapędów, nigdy nie popadłbym w takie tarapaty, nie wyobrażałbym sobie, że jestem właścicielem ziemskim, nie zadłużyłbym się tak potwornie i nie wściekałbym się na Emiego Delgado czy kogokolwiek innego, kogo w danej chwili uważasz za wzór cnót. Niechętnie wyłącza Mozarta, sięga po marynarkę - wybrał granatową - wkłada ją i poprawia w lusterku krawat od Denmana & Goddarda. Wielkiego oszklonego wejścia pilnuje poważny chłopak w mundurze. Nie rozstaje się z karabinem maszynowym i saltuje każdemu, kto nosi garnitur.

- Don Eduardo, *monsenor*, jak się dzisiaj mamy? - woła Pendel po angielsku i podnosi rękę. Chłopak jest wniebowzięty.

- Dzień dobry, panie Pendel - odpowiada. Na tym wyczerpuje się jego angielski.

Jak na krawca, Harry Pendel nieoczekiwanie emanuje fizycznością. Chyba wie o tym, bo w jego ruchach widać przyczajoną siłę. Jest barczysty, ale i wysoki, z siwiejącymi, krótko przystrzyżonymi włosami. Ma mocny tors i ramiona boksera. Jego chód jest majestatyczny i oszczędny. Ręce, początkowo swobodnie opuszczone, łączą się pedantycznie za muskularnymi plecami. W takiej pozycji paraduje się przed gwardią honorową lub godnie ginie z rąk skrytobójcy. W wyobraźni Pendel przeszedł przez jedno i drugie. Pozwala sobie tylko na pojedyncze rozcięcie z tyłu marynarki. Nazywa to „prawem Braithwaite’a”.

Ale nawet po czterdziestce na jego twarzy zachowały się zapał i zadowolenie. Z jasnoniebieskich oczu bije niezłomna niewinność. A usta same z siebie układają się w ciepły, bezwiedny uśmiech. Wystarczy przełomie spojrzeć na tę twarz, by poczuć się trochę lepiej.

Grube ryby w Panamie mają ponętne czarnoskóre sekretarki w eleganckich niebieskich kostiumach, przypominających mundury konduktorek. Obite tekową boazerią, wzmacniane stałą kuloodporne drzwi mają mosiężne gałki, które się nie obracają - drzwi otwiera się przyciskiem od wewnątrz, żeby grubych ryb nie można było porwać. Gabinet Ramóna Rudda na szesnastym piętrze był przestronny i nowoczesny, z wychodzącymi na zatokę przyciemnianymi oknami od podłogi do sufitu. Ramón Rudd siedzący za biurkiem wielkości kortu tenisowego przywodził na myśl małego szurka trzymającego się kurczowo krawędzi ogromnej tratwy. Niski i korpulentny, o twarzy z szarym cieniem zarostu, przylizanymi ciemnymi włosami i kruczoczarnymi bokobrodami, błyskał chciwymi oczkami. Upierał się, żeby mówić po angielsku - głównie przez nos. Wydał krocie na zbadanie swoich korzeni i twierdził, że jego przodkami byli szkoccy awanturnicy, których okręt poszedł na dno w zatoce Darien. Sześć tygodni temu zamówił kilt, żeby wziąć udział w szkockim wieczorku w klubie Union. Ramón Rudd był winien Pendelowi dziesięć tysięcy dolarów za pięć garniturów. Pendel był winien Rudowi sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ramón był tak dobry, że dodawał niezapłacone odsetki do kapitału i dlatego kapitał ciągle rósł.

- Miętusa? - zaproponował Rudd, podsuwając mosiężną tackę z owiniętymi w papierki zielonymi cukierkami.

- Dziękuję - odparł Pendel. Nie skorzystał z poczęstunku, za to Ramón skusił się na jednego.

- Czemu płacisz tyle forsy prawnikowi? - zapytał Rudd po dwuminutowej przerwie, podczas której ssal miętusa. Obaj w ponurym milczeniu kontemplowali wyniki finansowe

farmy ryżowej.

- Mówił, że chce przekupić sędziego - wyjaśnił Pendel z pokorą składającego zeznania winowajcy. - Twierdził, że są przyjaciółmi. Nie chciał, żebym się mieszał. Więc czemu sędzia odroczył rozprawę, skoro twój prawnik go przekupił? - zapytał Rudd. - Dlaczego nie dał ci dostępu do wody, jak obiecał?

- Bo to już był inny sędzia. Po wyborach mianowano nowego sędziego, a stary, rzecz jasna, nie oddał mu łapówki. Teraz ten nowy zwleka, żeby się przekonać, kto da więcej. Urzędnik twierdzi, że nowy sędzia jest uczciwszy, więc oczywiście weźmie więcej. Mówi, że w Panamie skrupuły kosztują. Coraz więcej.

Ramón Rudd zdjął okulary, chuchnął na nie i wytarł szkła ściereczką z irchy, wydobytą z górnej kieszeni garnituru firmy Pendel & Braithwaite. Potem założył złote zauszki okularów za świecące drobne uszka.

- Czemu nie przekupiłeś kogoś w ministerstwie rolnictwa? - zasugerował z protekcyjną cierpliwością.

- Próbowaliśmy, ale są zbyt uczciwi. Mówią, że druga strona już im zapłaciła, więc zmiana obozu byłaby nieetyczna.

- Ten twój zarządca nie może czegoś załatwić? Płacisz mu niezłą pensyjkę. Dlaczego się bardziej nie angażuje?

- Szczerze mówiąc, Angel jest trochę papuciowaty - odparł Pendel, który od czasu do czasu bezwiednie wzbogacał ojczysty język. - Delikatnie mówiąc, lepiej go nigdzie nie posyłać. Trudno, będę musiał zacisnąć zęby i sam wszystko omówić.

Marynarka Ramona Rudda nadal piła go pod pachami. Stanęli twarzą w twarz przy wielkim oknie. Rudd skrzyżował ramiona na piersi, opuścił je i wreszcie splótł dłonie z tyłu. Pendel ciągnął delikatnie za rękawy, próbując niczym lekarz dociec, gdzie leży przyczyna.

- To tylko drobna poprawka - orzekł w końcu. - Nie będę odpruwał rękawów, bo to defasonuje marynarkę. Podrzucić ją przy okazji, zobaczymy, co się da zrobić.

Znowu usiedli.

- Czy ta farma w ogóle daje jakieś plony?

- Niewielkie, jeśli można tak powiedzieć. Podobno wykańcza nas globalizacja, czyli tani ryż importowany z krajów, gdzie rolnicy dostają dotacje rządowe. Za bardzo się pospieszyłem. A właściwie pospieszyliśmy się.

- Ty i Louisa?

- Nie, ty i ja.

Ramón Rudd zmarszczył brwi i zerknął na zegarek, co robił zwykle przy klientach bez pieniędzy.

- Szkoda, że nie zarejestrowałeś farmy osobno, póki jeszcze było można, Harry. Oddanie hipoteki dochodowego zakładu pod zastaw kredytu na farmę ryżową bez wody zupełnie nie miało sensu.

- Sam się przy tym upierałeś - zaoponował Pendel. Ale wstyd łagodził nieco jego oburzenie. - Powiedziałeś, że nie podejmiesz ryzyka, jeśli nie zastawię zakładu. Taki był warunek udzielenia pożyczki. No dobrze, moja wina, nie powinienem był cię słuchać. Ale posłuchałem. Tego dnia reprezentowałeś chyba bank, a nie Harry'ego Pendela.

Porozmawiali trochę o koniach wyścigowych. Ramón miał ich parę. Porozmawiali trochę

o nieruchomościach. Ramón kupił plac nad Atlantykiem. Może Harry wybierze się tam w któryś weekend i sam kupi działkę: nawet jeśli nie rozpocznie na niej budowy przez rok czy dwa, bank zapewni mu pożyczkę hipoteczną. Ale Ramón nie powiedział: „Przyjedź z Louisa i dziećmi”, chociaż jego córka też chodziła do szkoły Maria Immaculada i dziewczynki się lubiły. Pendel z ulgą przyjął fakt, że Ramón nie wspomniał o dwustu tysiącach dolarów, które Louisa odziedziczyła po ojcu i kazała Pendelowi zainwestować w coś solidnego.

- Próbowałeś przenieść konto do innego banku? - zapytał Rudd, kiedy już skwapliwie ominęli wszystkie tematy, których nie można było poruszyć.

- Chyba niewielu bankom zależy na takim kliencie jak ja. Czemu pytasz?

- Dzwonili do mnie z pewnego banku handlowego. Pytali o wszystko. O twój stan konta, zobowiązania, obroty i inne rzeczy, o których nikomu nie mówię. To jasne.

- Coś im się pomyliło. Chodziło pewnie o kogoś innego. Co to za bank?

- Jakiś angielski. Z Londynu.

- Z Londynu? Dzwonili do ciebie? W mojej sprawie? Który to bank? Myślałem, że wszystkie zbankrutowały.

Ramón Rudd wyraził żal, że nie może wyjawić szczegółów. Oczywiście nic im nie powiedział. Nie interesowały go ich usługi.

- Jakie usługi, na litość boską?! - zawołał Pendel.

Ale Rudd najwyraźniej już o nich zapomniał. Wspomniał niejasno o jakichś kontaktach, rekomendacjach. Nieważne. Przecież Harry jest przyjacielem.

- Zastanawiam się jeszcze nad marynarką - oznajmił Rudd, kiedy ściskali sobie dłonie. - Granatową.

- W tym odcieniu?

- Ciemniejsza. Dwurzędowa. Z mosiężnymi guzikami. Szkockimi. Pendel w kolejnym przypływie wdzięczności opowiedział mu o nowych fantastycznych guzikach, które sprowadził specjalnie z Londynu.

- Mogą na nich wytłoczyć twój rodzinny herb. Albo szkockie godło, już to widzę. Można też zamówić spinki do mankietów.

Ramón powiedział, że jeszcze się zastanowi. A że był piątek, życzyli sobie udanego weekendu. Czemu nie? W tropikalnej Panamie był to nadal zwyczajny dzień. Na osobistym horyzoncie Pendela zebrało się wprawdzie trochę chmur, ale miał nadzieję, że rozgoni je w stosownym czasie. Dzwonili do Ramóna z jakiegoś dziwnego londyńskiego banku. A może nie dzwonili? Ramón był na swój sposób sympatycznym gościem i cennym klientem, kiedy płacił. Opróżnili razem niejedną butelczynę. Trzeba mieć jednak doktorat z telepatii, żeby wiedzieć, co się dzieje w jego hiszpańsko-szkockiej łepetynie.

Za każdym razem, kiedy Harry Pendel dojeżdżał do swojej małej, bocznej uliczki, czuł się, jakby wpływał do portu. Czasami bawiła go myśl, że zakład zniknął, został skradziony, zmieciony eksplozją. Albo że w ogóle nigdy nie istniał, że był jedynie wytworem wyobraźni podsycanej przez świętej pamięci wujka Benny'ego. Dzisiejsza wizyta w banku rozstroiła go nieco i gdy tylko znalazł się w cieniu drzew, wyłowił wzrokiem budynek. Jesteś prawdziwym domem, powiedział w duchu do prześwitujących przez liście rdzawych hiszpańskich dachówek. Nie jesteś zwykłym zakładem. Jesteś domem, o jakim przez całe życie marzą sieroty. Gdyby tylko wujek Benny mógł cię zobaczyć:

- Widzisz ten ukwiecony ganek? - Pendel trąca Benny'ego łokciem. - Jakby zapraszał cię do środka, a tam ładnie, chłodno i będą ci nadskakiwać jak wielkiemu panu.

- Harry, mój chłopcze, prima sort - odpowiada wujek Benny, dotykając jednocześnie obiema rękami runda czarnego filcowego kapelusza, jak zawsze, kiedy coś knuł. - W takiej firmie można brać funciaka za samo przejście przez próg.

- A ten malowany szyld, Benny? P & B splecione razem? Inicjały znane w całym mieście, nieważne, czy siedzisz w klubie Union, w Parlamencie, czy samym Czaplim Pałacu. Byłeś ostatnio w P & B? Patrzcie, idzie ten a ten w garniturze od P & B. Tak się tu mówi, Benny!

- Powtórzę się, mój chłopcze, ale powiem ci to jeszcze raz. Jesteś zręczny. Masz dobre oko. Tak sobie tylko myślę, skąd ci się to wzięło.

Harry Pendel niemal całkowicie odzyskał już równowagę i niemal całkowicie wymazał z pamięci spotkanie z Ramónem Ruddem. Wspiął się po schodach, by rozpocząć kolejny dzień pracy.

Rozmowa telefoniczna z Osnardem, który zadzwonił około dziesiątej trzydzieści, nie zburzyła spokoju Pendela. Osnard był nowym klientem. Nowych klientów z zasady łączy się z seniorem Harrym, a jeśli jest zajęty, prosi się ich o zostawienie numeru, żeby senior Harry mógł jak najszybciej oddzwonić.

Pendel był właśnie w swojej pracowni, gdzie przy dźwiękach muzyki Mahlera przygotowywał szablony z papieru do marynarskiego munduru. Pracownia Pendela była sanktuarium, do którego nikt nie miał wstępu. Klucz spoczywał na dnie kieszeni kamizelki. Czasem Harry napawał się jego właściwościami - wsuwał wtedy klucz do zamka i zamykał się przed światem na dowód, że jest panem siebie. Czasem zanim otworzył drzwi, stawał przy nich z opuszczoną głową i złączonymi stopami w pełnej pokory pozie. Dopiero wtedy mógł wrócić do pracy. Nikt go nie widział poza tą jego częścią, która obserwowała i podziwiała te teatralne wyczyny.

W innych, równie wysokich pomieszczeniach pod nowymi jasnymi lampami i elektrycznymi wentylatorami rozpieszczani pracownicy wszelkich ras zszywali, prasowali i trajkotali ze swobodą, na którą zazwyczaj nie pozwala się panamskiej klasie robotniczej. Żaden z nich nie dorównywał jednak zaangażowaniem swemu pracodawcy. Pendel, który znieruchomiał na chwilę, żeby wsłuchać się we fragment Mahlera, zręcznie ciachnął nożycami wzdłuż żółtej kredowej linii wyznaczającej plecy i ramiona kolumbijskiego admirała, który pragnął prześcignąć elegancją swego zniesławionego poprzednika.

Zaprojektowany przez Pendela mundur był wyjątkowo szykowny. Białe bryczesy, powierzone już włoskim spodniarzom pracującym o kilka drzwi dalej, miały być ściśle dopasowane w biodrach. Siadanie w nich nie było wskazane. Kurtka munduru była biało-granatowa, zdobiły ją złote epolety, plecione mankiety, złote guziki i wysoki nelsonski kołnierz z wyszytymi wokół kotwiczek dębowymi liśćmi - wzór pomysłu samego Pendela. Osobisty sekretarz admirała zachwycił się, gdy obejrzał przesłany faksem projekt. Pendel nigdy do końca nie pojął, co wujek Benny rozumiał przez „dobre oko”, ale kiedy oglądał swój rysunek, wiedział, że je ma.

Pracował dalej przy dźwiękach muzyki i coraz bardziej pochylał się nad stołem, aż całkowicie utożsamiał się z klientem. Jako admirał Pendel schodził po olbrzymich schodach na przyjęcie. Nieszkodliwe fantazje ani trochę nie niweczyły krawieckiego kunsztu. Często

powtarzał, składając hołd nieżyjącemu współnikowi Braithwaitewi, że idealny krawiec powinien być urodzonym aktorem. Trzeba zobaczyć siebie w stroju osoby, dla której się szyje, i stać się nią, póki prawowity właściciel nie zgłosi się po swoją własność.

Telefon od Osnarda zastał Pendela w owym szczęśliwym stanie przeistoczenia. Odebrała Marta. Marta była recepcjonistką, telefonistką, księgową i mistrzynią w robieniu kanapek - poważną, lojalną, drobną Mulatką o pokrytej bliznami, zniekształconej twarzy, noszącej ślady przeszczepów skóry i nieudanych operacji.

- *Buenos dias* - odezwała się po hiszpańsku pełnym powabu głosem. Nigdy nie dodawała „Harry” czy „senor Pendel”. Nigdy. Tylko „*buenos dias*” powiedziane anielskim głosem - głos i oczy to jedyne elementy jej twarzy, które zachowały się bez szwanku.

- Dzień dobry, Marto.

- Mam na linii nowego klienta.

- Z której strony mostu? Wspólny, często powtarzany żarcik.

- Z pańskiej. Niejaki Osnard.

- Jak?

- *Senor* Osnard. Jest Anglikiem. Trzymają się go żarty.

- Jakie?

- Ja ich nie rozumiem.

Pendel odłożył nożyce, ściszył muzykę tak, że Mahler stał się ledwo słyszalny, i przysunął do siebie notes i ołówek. Słyszał z tego, że przy stole do krojenia zachowywał się jak pedant: tutaj materiał, wzory tam, faktury i księga zamówień na swoim miejscu, wszystko w idealnym ładu. Do krojenia jak zwykle założył uszytą przez siebie czarną kamizelkę z jedwabnymi plecami i plisą z przodu, własnego pomysłu i wykonania. Podobał mu się jej służbowy charakter.

- Czy mógłby pan przeliterować nazwisko? - poprosił pogodnie, gdy Osnard przedstawił się.

Kiedy Pendel rozmawiał przez telefon, w jego głosie pojawiała się zazwyczaj nutka radości. Nowi klienci od razu odnosili wrażenie, że rozmawiają z kimś sympatycznym. Osnard najwyraźniej miał ten sam zaraźliwy dar, bo szybko zapanowała między nimi wesołość. Chyba tylko tym można było wytłumaczyć długość i swobodę typowo angielskiej konwersacji.

- O-S-N na początku i A-R-D na końcu - podyktował Osnard i sposób, w jaki to zrobił, wydał się chyba Pendelowi szczególnie trafny, gdyż zapisał nazwisko tak, jak zostało mu podyktowane: w dwóch grupach trzech wielkich liter oddzielonych myślnikami.

- A pan kim jest: Pendelem czy Braithwaite'em? - zapytał Osnard.

I Pendel, jak zwykle, gdy musiał uporać się z tym pytaniem, podał szalenie wyczerpującą odpowiedź, jakby za dwóch.

- No cóż, można powiedzieć, że w pewnym sensie jednym i drugim.

Z żalem informuję, że mój partner Braithwaite od wielu lat nie żyje. Mogę jednak pana zapewnić, iż jakość naszych usług nie zmieniła się, a nasz zakład do dziś utrzymuje najwyższy poziom ku zadowoleniu wszystkich, którzy go znali.

Kiedy Pendel rozwodził się o sprawach zawodowych, mówił z energią, jak człowiek powracający po długim wygnaniu na znajomy ląd. Jego zdania składały się zazwyczaj z wielu członów, zwłaszcza na końcu - trochę jak na koncercie, kiedy publiczność spodziewa się, że

utwór lada moment dobiegnie końca, a on trwa i trwa.

- Przykro mi - odpowiedział Osnard, zniżając z uszanowaniem głos. - Na co umarł?

Zabawne, ilu ludzi o to pyta - pomyślał Pendel - ale przecież nie ma się czemu dziwić. Prędzej czy później wszystkich nas czeka śmierć.

- Powiedziano, że to udar, panie Osnard - odparł dziarsko tonem, który przybierają ludzie zdrowi, wypowiadając się o takich sprawach. - Ale jeśli mam być z panem szczerzy, osobiście uważam, że pękło mu serce po tragedii, jaką było zamknięcie naszego zakładu przy Savile Row na skutek wprowadzenia drakońskich podatków. Proszę nie odebrać tego jako impertynencję, ale mieszka pan w Panamie na stałe czy jest pan tutaj tylko przejazdem?

- Przyjechałem parę dni temu. Mam zamiar zostać tu dłużej.

- W takim razie witamy szanownego pana w Panamie. Proszę podać mi telefon kontaktowy na wypadek, gdybyśmy się rozłączyli, co, niestety, w tych stronach jest zjawiskiem nagminnym.

Mowa obydwu jako rodowitych Anglików naznaczona była piętnem akcentu. Dla Osnarda korzenie Pendela były od razu rozpoznawalne, podobnie jak usilne próby ucieczki od nich. Mimo całej melodyjności głos Pendela nie wyzbył się całkowicie pozostałości wymowy londyńskiego East Endu. Wprawdzie samogłoski dopracował do perfekcji, ale zdradzały go kadencja i rozziw. Poza tym jego słownictwo wydawało się nieco zbyt wyszukane. Dla Pendela mowa Osnarda posiadała znamię ludzi aroganckich i uprzywilejowanych, którzy nie płacili rachunków wujka Benny'ego. Ale w trakcie rozmowy Pendel odniósł wrażenie, że zawiązała się między nimi nić porozumienia i sympatii, jak między dwoma wygnańcami, toteż obaj chętnie odrzucili uprzedzenia na rzecz tego, co ich łączyło.

- Zostanę w El Panama, póki nie wyremontują mi mieszkania - wyjaśnił Osnard. - Miało być gotowe miesiąc temu.

- Proszę się niczemu nie dziwić, panie Osnard. Budowlańcy na całym świecie są tacy sami. Wiele razy to mówiłem i powtórzę raz jeszcze. Nieważne, czy w Nowym Jorku, czy w Timbuktu: nigdzie nie można na nich polegać.

- Około piątej macie już mniejszy ruch? Nie stratują mnie tam?

- Piąta to dla nas godzina wytchnienia, panie Osnard. Klienci z pory obiadowej są już dawno w pracy, a na tych, których nazywam „kolacyjnymi”, jeszcze za wcześnie. - Roześmiał się przepraszająco.

- No proszą, ale ze mnie kłamca. Przecież mamy piątek, więc moi klienci wracają do domów, do żon. O piątej będę mógł poświęcić panu całą uwagę.

- Właśnie pan, osobiście? Wielu luksusowych krawców wyręcza się pomocnikami, którzy odwalają za nich czarną robotę.

- Obawiam się, że jestem tradycjonalistą panie Osnard. Każdego klienta traktuję jak nowe wyzwanie. Zdejmuję miarę, kroję, robię przymiarki. Przymiarek jest tyle, ile trzeba, by powstało ubranie najwyższej jakości. Każda część garnituru wykonana jest na miejscu, a ja osobiście nadzoruję każdy etap prac.

- Dobra. Ile? - zapytał Osnard. Ale nie obraźliwie, tylko żartobliwie.

Pendel uśmiechnął się szerzej. Gdyby rozmawiali po hiszpańsku, a językiem tym posługiwał się biegle i chętnie, nie miałby problemów z odpowiedzią na pytanie. W Panamie nikt nie wstydzi się mówić o pieniądzach, chyba że cierpi na ich niedostatek. Ale angielskie

klasy wyższe słynęły z nieprzewidywalności w kwestiach finansowych, przy czym najbogatsi bywali często najbardziej skąpi.

- Oferuję usługi na najwyższym poziomie, panie Osnard. Zawsze powtarzam, że rolls-royce'ów nikt nie rozdaje za darmo, garniturów Pendel & Braithwaite też.

- Więc ile?

- Zwykle dwa i pół tysiąca dolarów za dwuczęściowy garnitur, ale może wyjść drożej, w zależności od materiału i kroju. Marynarka tysiąc pięćset, kamizelka sześćset. Zwykle stosujemy lżejsze materiały. Proponujemy do garnituru drugą parę spodni za okazyjną cenę ośmiuset dolarów. Czy pańskie milczenie jest wyrazem szoku, panie Osnard?

- Myślałem, że uszyję garnitur za dwa tysiące.

- Tak było, dopóki trzy lata temu dolar nie spadł na łeb na szyję. Zaopatrujemy się nadal w najlepsze materiały. Nie muszę chyba dodawać, że niezależnie od kosztów sprowadzamy je głównie z Europy i wszystkie są... - Chciał zakończyć jakimś finezyjnym sformułowaniem, na przykład „cenowo skorelowane z kursem mocnych walut”, ale rozmyślił się. - Obiło mi się o uszy, że ostatnio ceny dobrej klasy gotowych garniturów, na przykład Ralpa Laurena, dochodzą do dwóch tysięcy, a w niektórych przypadkach są wyższe. Chciałbym przy tym zaznaczyć, że po uszyciu zapewniamy pełną obsługę. Nie wróci pan przecież do sklepu z konfekcją i nie powie, że marynarka zrobiła się przyciasna w ramionach. O nie, nie ma nic za darmo. A właściwie co pana konkretnie interesuje?

- Nic nadzwyczajnego. Zacznę od pary garniturów do pracy, zobaczę, jak wam to wyjdzie. Potem reszta umundurowania.

- Reszta umundurowania - powtórzył Pendel z nabożeństwem, tonąc niemal w fali wspomnień o wujku Bennym. - Chyba ze dwadzieścia lat nie słyszałem tego wyrażenia, panie Osnard. Niech mnie kule biją Reszta umundurowania. Boże drogi.

Inny krawiec w tym momencie opanowałby entuzjazm i wrócił do munduru admirała. Tak też kiedyś normalnie postąpiłby Pendel. Termin wizyty ustalono, cenę uzgodniono, towarzyskie uprzejmości wymieniono. Ale Pendel czerpał przyjemność z tej rozmowy. Po wizycie w banku czuł się osamotniony. Miał niewielu angielskich klientów i jeszcze mniej angielskich przyjaciół. Louisa za podszeptem ducha świętej pamięci ojca nie zachęcała go do kontaktów z nimi.

- P & B to nadal najlepszy zakład w mieście? - zapytał Osnard. - Przychodzą do was największe szychy w Panamie?

Pendel uśmiechnął się, słysząc słowo „szychy”.

- Szczycimy się tym, proszę pana. Nie spoczywamy na laurach, ale jesteśmy dumni z naszych osiągnięć. A mogę pana zapewnić, że ostatnia dekada nie była usłana różami. Szczerze mówiąc, w Panamie trudno o dobry gust. Tak przynajmniej było, zanim myśmy się nie pojawili. Żeby coś sprzedać, musieliśmy ich wykształcić. Tyle pieniędzy za garnitur? Myśleli, żeśmy poszaleli albo jeszcze gorzej. Ale z czasem przyzwyczaili się, a teraz drzwi się nie zamykają, o czym donoszę z przyjemnością. Zaczęli rozumieć, że nie rzucamy im garnituru, wyciągając rękę po pieniądze, tylko zapewniamy klientowi opiekę, dokonujemy poprawek, jesteśmy na każde zawołanie. Czujemy się ich przyjaciółmi i powiernikami, jesteśmy ludźmi. Czy pan przypadkiem nie jest z prasy? Ostatnio mile nas zaskoczył artykuł w tutejszym wydaniu „Miami Herald”. Może miał pan okazję go przeczytać?

- Nie zwróciłem uwagi.

- Ujmę to tak, panie Osnard. I jeśli pan pozwoli, będę mówił serio. Ubieramy prezydentów, prawników, bankierów, biskupów, parlamentarzystów, generałów i admirałów. Ubieramy każdego, kto potrafi docenić garnitur uszyty na zamówienie i może za niego zapłacić - niezależnie od koloru skóry, wyznania i reputacji. Co pan na to?

- To brzmi obiecująco. Bardzo obiecująco. A zatem jesteśmy umówieni: piąta, godzina wytchnienia. Nazywam się Osnard.

- Do piątej, panie Osnard. Bardzo się cieszę.

- Ja też.

- Kolejny świetny klient - powiedział Pendel, kiedy Marta przyszła z jakimiś rachunkami.

Jakoś nigdy nie mówił do Marty naturalnie. Ona zaś nie wyglądała naturalnie, słuchając go - odwracała okaleczoną twarz, mądre oczy patrzyły gdzie indziej, a zasłona czarnych włosów zakrywała to, co było w niej najgorsze.

I tyle. Pendel - próżny głupiec, jak sam się później nazwał - był rozbawiony i mile połączony. Ten cały Osnard najwyraźniej miał poczucie humoru, a Pendel, podobnie jak przedtem wujek Benny, lubił klientów z poczuciem humoru. Zresztą Brytyjczycy, cokolwiek mówili o nich Louisa i jej zmarły ojciec, wyróżniali się tym wśród innych nacji. Po tylu latach odchodzenia od starego kraju uznał, że może nie było to takie złe miejsce. Tajemniczość Osnarda nie wzbudziła w nim podejrzeń. Wielu klientów cechowała powściągliwość, a innych powinna cechować, chociaż tak nie było. Radosny Pendel nie miał żadnych złych przeczuć. Po odłożeniu słuchawki pracował nad mundurem admirała, aż zaczął się wzmożony ruch w porze obiadowej. A później przybył Osnard i resztki niewinności Pendela zniknęły.

Któż mógł przewodzić parady klientów, jeśli nie jedyny w swoim rodzaju Rafi Domingo we własnej osobie, okrzyknięty pierwszym playboyem Panamy, ulubiony obiekt nienawiści Louisy.

- *Senor Domingo!* - Otwarcie ramion. - Wspaniale pana widzieć. Wygląda pan skandalicznie młodo, jeśli mogę tak powiedzieć! - Szybkieniżenie głosu. - I pozwolę sobie przypomnieć, Rafi, że według określenia świętej pamięci pana Braithwaite'a mankiet koszuli prawdziwego dżentelmena - pełne szacunku obciążenie rękawa marynarki Rafiego - wystaje tylko na długość połowy kciuka, nie więcej.

Potem przymierzali nowy smoking Rafiego, choć właściwie nie wymagał już przymiarek. Chodziło tylko o popisanie się nim przed innymi piątkowymi klientami, którzy zaczęli się już gromadzić w zakładzie z telefonami komórkowymi, dymem papierosowym, sprośną gadaniną i przesadzonymi opowieściami o transakcjach i podbojach erotycznych. Następny w kolejce był Aristides, *braguetazo*, co oznacza, że ożenił się dla pieniędzy i z tego powodu uważany jest przez przyjaciół za męskiego męczennika. Po nim przychodzi Ricardo vel Ricki, który podczas krótkiej, acz owocnej pracy na wysokim stanowisku w ministerstwie robót publicznych przyznał sobie prawo do wybudowania w Panamie każdej drogi od teraz do wieczności. Rickiemu towarzyszył Teddy alias Niedźwiedź, najbardziej zniechęcony i bez wątpienia najbrzydszy dziennikarz Panamy. Jego wyniosły chłód nie robił wrażenia na Pendelu.

- Teddy, pismaku, strażniku reputacji. Wrzuć wsteczny bieg. Pozwól odpocząć naszym zmęczonym duszom.

Tuż za nim zjawił się Philip, za rządów Norwegii minister zdrowia - a może edukacji?

- Marto! Kieliszek dla pana ministra! I żakiet dla pana ministra. Jeszcze jedna przymiarka i chyba kończymy. - Pendel ścisza głos. - Moje gratulacje, Philipie. Słyszałem, że z niej niezła figlarka, bardzo piękna i podobno cię ubóstwia - dyskretnie nawiązuje szeptem do najnowszej *chiquilli* Philipa.

Tacy to śmiałkowie odwiedzili beztrosko zakład Pendela ostatniego szczęśliwego piątku w historii ludzkości. A roześmiany Pendel uwijał się zwinnie, inkasował pieniądze i cytował mądrości starego dobrego Arthura Braithwaite'a. Pławił się w ich zachwycie pełen szacunku.

Według późniejszej opinii Pendela było rzeczą całkowicie właściwą, że przybyciu VV Osnarda do zakładu P & B towarzyszył grzmot pioruna lub, jak nazwałby to wujek Benny, jakieś znaki. Było rozświetlone panamskie popołudnie, pora deszczowa, z nieba lał się żar. Dwie ładne dziewczyny oglądały wystawę sklepu z pamiątkami po drugiej stronie ulicy. Bugenwilla w sąsiednim ogrodzie wyglądała tak ślicznie, że miało się ochotę ją zjeść. Trzy minuty przed piątą - Pendel nie wątpił, że Osnard zjawi się punktualnie - podjechał brązowy ford hatchback z naklejką firmy Avis na tylnej szybie i zaparkował na miejscu zarezerwowanym dla klientów. Zza przedniej szyby wyglądała wesoła gęba z czapą czarnych włosów, przypominająca dynię, taką, jaką szykują dzieci na Halloween. Dlaczego Pendel pomyślał o Halloween, tego wytłumaczyć nie potrafił, ale faktem jest, że pomyślał. Pewnie przez te okrągłe czarne oczy, stwierdził później.

W tym momencie nad Panamą zgasło światło.

Jedna idealnie okrągła chmura wielkości dłoni Hannah zasłoniła słońce. Sekundę później wielkie krople zabębniły na schodach przed wejściem, grzmot i błyskawica włączyły wszystkie alarmy samochodowe na ulicy, kratki ściekowe wyskoczyły ze studzienek i płynęły brązowym strumieniem, liście palm i walające się wszędzie puszkę wniosły swój mało estetyczny wkład w ogólny zamęt, a Murzyni w pelerynach przeciwdeszczowych, którzy wyrastają jak spod ziemi podczas każdej ulewy, wciskali do samochodów parasole, proponując za dolara przepchnięcie wozu wyżej, żeby woda nie zalała rozdzielacza.

Już jeden z tych gości zajął się dyniowatą gębą, której właściciel siedział w samochodzie piętnaście metrów od schodów, zamierzając przeczekać potop. Ale potop ani myślał się kończyć, wiał bowiem bardzo słaby wiatr. Dyniowata gęba próbowała zignorować Murzyna, ale ten nie ustępował. Dynia dała za wygraną, sięgnęła za pazuchę marynarki - w Panamie raczej się ich nie nosi, chyba że jest się „kimś” albo ochroniarzem - wyciągnęła portfel, wyłuskała banknot, schowała rzeczony portfel w lewej wewnętrznej kieszeni marynarki, opuściła szybę na tyle, żeby Murzyn mógł włożyć do środka parasol. Teraz wymienili grzeczności i dynia podała dziesięciodolarowy banknot. Manewr udany. Uwaga: dyniowata gęba mówi po hiszpańsku, choć dopiero co tutaj przyjechała.

Pendel uśmiechnął się, ale nie swoim dyżurnym uśmiechem. Autentycznie cieszył się na to spotkanie.

- Młodszy, niż myślałem - zawołał w stronę kształtnych pleców Marty pochylonej w szklanej kabinie nad kuponami lotka. Przeglądała je niecierpliwie, ale jak zwykle nic nie trafiła.

Pendel mówi o tym z uznaniem. Jakby sądził, że przez następne lata będzie sprzedawał Osnardowi garnitury i cieszył się jego przyjaźnią, zamiast od razu zrozumieć, kim Osnard jest naprawdę: klientem z piekła.

Rzuciwszy tę uwagę i nie uzyskawszy od Marty żadnej odpowiedzi poza lekkim uniesieniem głowy, Pendel - jak zawsze, kiedy zawierał nową znajomość - przyjął pozycję, w

jakiej pragnął być po raz pierwszy ujrany.

A że życie nauczyło go polegać na pierwszym wrażeniu, przykładął też wielką wagę do pierwszego wrażenia, jakie robi na innych. Nikt nie oczekuje, że krawiec przyjmie go na siedząco. Ale Pendel już dawno postanowił, że zakład P & B stanie się oazą spokoju w zabieganym świecie. Dlatego zależało mu, aby klienci zastawali go w starym fotelu, najlepiej z przedwczorajszym wydaniem „Timesa” rozłożonym na kolanach.

Nie miał też nic przeciwko temu, żeby na stoliku przed nim stała tacka z herbatą - tak jak teraz - wciśnięta między stare numery „Illustrated London News” i „Country Life”, i prawdziwy srebrny czajniczek do herbaty oraz kilka świeżych i apetycznych kanapek z ogórkiem, których wykonanie Marta opanowała do perfekcji. Na własną prośbę zamykała się w kuchni na czas pierwszych nerwowych etapów wizyty nowego klienta, żeby widok oszpeconej kobiety rasy mieszanej nie wystraszył białego Panamczyka przybyłego z zamiarem upiększenia siebie. Lubiła tam czytać książki, gdyż Pendel zmusił ją w końcu do powrotu na studia. Psychologia, nauki społeczne i coś tam jeszcze, nigdy nie pamiętał, co. Chciał, żeby zapisała się na prawo, ale stanowczo odmówiła, twierdząc, że prawnicy to kłamcy.

- Nie wypada - oświadczyła po hiszpańsku starannie modulowanym głosem z nutką ironii - żeby córka czarnego cieśli poniżała się dla pieniędzy.

Młody postawny mężczyzna z niebiesko-białym parasolem może wysiąść z niewielkiego samochodu w rześmistym deszczu na kilka sposobów. Sposób Osnarda - jeśli to był rzeczywiście on - wydawał się sprytny, ale niepozbawiony wad. Strategia polegała na tym, żeby zacząć otwierać parasol w samochodzie i wysunąć się tyłkiem do przodu w mało eleganckiej pozycji, jednocześnie wyciągając za sobą parasol, a potem jednym triumfalnym mchem rozłożyć go nad głową. Ale albo Osnard, albo parasol utknął w drzwiach, w związku z czym przez moment Pendel widział jedynie szeroki angielski tyłek okryty brązowymi gabardynowymi spodniami, wyciętymi za głęboko w kroku, i przyciasną marynarką z podwójnym rozcięciem, moknącą w strugach ulewnego deszczu.

Dziesięciuncjowy lekki materiał, zauważył Pendel. Z domieszką terylenu - zdecydowanie za ciepły jak na Panamę. Nic dziwnego, że na gwałt potrzebuje kilka garniturów. W pasie trzydzieści osiem, dałby sobie rękę uciąć. Parasol otworzył się. Nie wszystkie to robią. Ten wystrzelił do góry jak flaga bezwarunkowej kapitulacji i równie szybko opadł na głowę. Później, jak każdy klient, mężczyzna znikł między parkingiem a głównym wejściem. Idzie po schodach, pomyślał z zadowoleniem Pendel. Słyszał jego kroki mimo odgłosu deszczu. A oto stoi przed drzwiami, widać jego cień. Właż, głuptasie, przecież otwarte. Pendel nie podnosił się z fotela. Nauczył się tego, gdyż w przeciwnym razie otwierałby i zamykał drzwi przez cały dzień. Kawałki przemokniętej brązowej gabardyny jak kamyki w kalejdoskopie prześwitywały przez półkolisty napis na mlecznej szybie: PENDEL & BRAITHWAITE, Panama i Savile Row od 1932 roku. Jeszcze chwila i okazała postać wtoczyła się do środka, trzymając przed sobą parasol.

- Pan Osnard, jak przypuszczam - odezwał się z głębi starego fotela - proszę dalej. Nazywam się Harty Pendel. Przykro mi z powodu deszczu. Może filiżanka herbaty lub coś mocniejszego?

Pierwszą jego myślą było: ten lubi sobie dogodzić. Bystre oczy lisa. Powolne ruchy, potężne kończyny, typowy leniwy siłacz. Trzeba zostawić mnóstwo materiału do poszerzeń.

Potem przypomniał sobie stary dowcip, który niestrudzenie powtarzał wujek Benny ku nieszczeremu oburzeniu cioci Ruth: „Wiecie, drogie panie, co to znaczy, jeśli mężczyzna ma duże dłonie i duże stopy? Nosi duże rękawice i duże skarpety”.

Wchodząc do zakładu P & B, klienci stawali przed wyborem. Mogli usiąść, co robili ci spokojniejsi, przyjąć talerz zupy Marty lub szklanę jakiegoś napoju, wymienić najnowsze plotki i poddać się balsamicznej atmosferze tego miejsca, by potem udać się do przymierzalni na górze, mijając po drodze kuszącą ekspozycję katalogów rozrzuconych na stoliku z jabłoniowego drewna. Mogli też ruszyć prosto do przymierzalni, co robili nerwowi, głównie nowi klienci - wydawali polecenia kierowcom przez drewniany parawan, dzwonili z telefonów komórkowych do kochanek i maklerów i starali się, jak mogli, udowodnić, jak bardzo są ważni. Z czasem jednak nerwowi stawali się spokojni, a po nich przychodzili kolejni nowi nerwowi klienci. Pendel chciał się przekonać, do której z tych kategorii zalicza się Osnard. Odpowiedź brzmiała: do żadnej.

Nie zdradzał też żadnych znanych symptomów człowieka, który ma wydać pięć tysięcy dolarów na ubrania. Nie był zdenerwowany, nie paraliżowały go niepewność i wahanie, nie był też arogancki ani gadatliwy, ani zbyt poufały. Nie miał poczucia winy, ale jak wiadomo w Panamie poczucie winy jest rzadkością. Nawet jeśli ktoś przywozi je ze sobą, w tym kraju szybko się go pozbywa. Osnard zachowywał się ze zdumiewającym opanowaniem.

Po prostu oparł się o ociekający parasol, jedną stopę wysunął do przodu, a drugą umieścił na samym środku wycieraczki, co tłumaczyło, dlaczego na zapleczu ciągle rozbrzmiewał dzwonek. Ale Osnard nie słyszał dzwonka. A może słyszał, tylko uczucie skrzypowania było mu obce. Dzwonek dzwonił, a on rozglądał się dookoła z rozpromienioną twarzą. Uśmiechał się, jakby rozpoznawał to miejsce, jakby nieoczekiwanie spotkał dawno niewidzianego przyjaciela.

Kręte mahoniowe schody prowadzące do działu z męskimi dodatkami na antresoli: mój Boże, stare dobre schody... Fulary, szlafroki, kaptury z monogramem: tak, tak, dobrze was pamiętam... Biblioteczna drabinka zamieniona zmyślnie na wieszak na krawaty, kto by pomyślał, że do tego zostanie wykorzystana? Drewniane wentylatory poruszające się leniwie pod zgrzybiałym stropem, bele materiału, kontuar ze stuletnimi nożycami i mosiężną linijką ułożoną równolegle do krawędzi: starzy towarzysze, są tu wszyscy, co do jednego... I wreszcie przetarty skórzany fotel - według legendy należał niegdyś do Braithwaite'a. No i sam Pendel, który w nim siedzi i z łagodnym uśmiechem przygląda się nowemu klientowi.

Osnard odwzajemnia spojrzenie - przenikliwe, nieskrępowane, od góry do dołu. Zaczyna od twarzy Pendela, potem schodzi niżej do kamizelki z plisą i granatowych spodni, jedwabnych skarpet i czarnych pantofli firmy Ducker's of Oxford. Rozmiary od szóstki do dziesiątki do nabycia w sklepiku na górze. Wzrok znowu wędruje do góry i Osnard bez pośpiechu po raz drugi badawczo przygląda się twarzy Pendela, by następnie oderwać się od niej i zlustrować zakamarki zakładu. Dzwonek cały czas dzwoni, bo wielka stopa nadal tkwi na kokosowej wycieraczce.

- Cudownie - powiedział Osnard. - Idealnie. Nie wolno tu niczego zmieniać.

- Proszę spocząć - zaproponował gościnnie Pendel. - Proszę się rozgościć, panie Osnard. Wszyscy czują się tutaj jak w domu, przynajmniej taką mamy nadzieję. Więcej ludzi wpada tu na pogaduszki niż po garnitur. Ma pan za sobą stojak. Proszę tam zostawić parasol.

Ale Osnard ani myślał zostawiać go gdziekolwiek. Wskazywał nim jak czarodziejską różdżką fotografię w ramkach, wiszącą na honorowym miejscu na przeciwległej ścianie. Starszy mężczyzna w okularach, w koszuli z okrągłym kołnierzykiem i w czarnej marynarce spoglądał z niej groźnie na młodszy od niego świat.

- To on, prawda?

- Kto taki? Gdzie?

- O, tam. Wielki Arthur Braithwaite.

- Owszem. Ma pan bystre oko, jeśli mogę się tak wyrazić. Wielki Braithwaite we własnej osobie, jak słusznie go pan nazwał. To zdjęcie zrobiono w najlepszym okresie jego życia na zamówienie pracowników, którzy go ubóstwiali. Dostał je w prezencie na sześćdziesiąte urodziny.

Osnard ruszył do przodu, żeby lepiej się przyjrzeć, i dzwonek wreszcie przestał dźwięczeć.

- Arthur G. - przeczytał głośno napis na mosiężnej tabliczce umocowanej na ramie. -1908-1981. Założyciel. Do licha. Nie rozpoznałbym go. A co oznacza to „G”?

- George - wyjaśnił Pendel, zastanawiając się, jakim cudem Osnard miałby go rozpoznać, ale postanowił nie drażnić tematu.

- Mogę zapytać o pochodzenie?

- Urodził się w Pinner - odparł Pendel.

- Chodzi mi o fotografię. Przywiózł ją pan ze sobą? Skąd się tutaj wzięła? Pendel pozwolił sobie na smutny uśmiech i westchnienie.

- Dostałem ją w prezencie od wdowy, panie Osnard, tuż przed tym, jak poszła w ślady małżonka. To ładnie z jej strony, tym bardziej, że ledwie ją było stać na opłacenie przesyłki z Anglii, ale i tak postawiła na swoim. „On chciałby, żeby tam się znalazła” - oświadczyła i nikt nie mógłby jej odwieść od tego zamiaru. Ale też nikt nie próbował. Jeśli coś postanowiła, nie było siły, która by ją powstrzymała. Któż by śmiał?

- Jak miała na imię?

- Doris.

- A dzieci?

- Słucham?

- Czy pani Braithwaite miała dzieci? Spadkobierców? Potomków?

- Niestety, państwo Braithwaite’owie byli bezdzietni.

- Mimo wszystko zakład powinien się nazywać Braithwaite & Pendel. Przecież stary Braithwaite był założycielem firmy. Jego nazwisko powinno być na początku, nawet jeśli nie żyje.

Pendel już kręcił głową.

- Nie, szanowny panie. To nie tak. W swoim czasie Arthur Braithwaite wyraźnie sobie tego zażyczył. „Harry, synu, młodość zawsze triumfuje nad starością. Od tej pory będziemy P & B, w ten sposób nie pomylą nas z pewnym koncernem naftowym”.

- A jakich członków rodziny królewskiej ubieraliście? „Krawcy Królewscy”. Widziałem ten szyld. Bardzo mnie to ciekawi.

Uśmiech Pendela nieco przygasł.

- Szanowny panie, obawiam się, że nie będę mógł sobie pozwolić na niedyskrecję.

Dżentelmeni związani blisko z pewnym domem królewskim raczyli zaszczyścić nasze skromne progi w przeszłości, czynią to zresztą do dziś. Niestety, nie wolno nam wyjawiać dalszych szczegółów.

- A to dlaczego?

- Po części dlatego, że zakazuje tego regulamin gildii krawieckiej, który gwarantuje dyskrecję każdemu klientowi, z niższych bądź z wyższych sfer. A po części, obawiam się, chodzi o względy bezpieczeństwa.

- Czy to członkowie angielskiej rodziny królewskiej?

- Naciska pan zbyt mocno, panie Osnard.

- Więc co robi herb księcia Walii przed wejściem? Przez chwilę myślałem, że jesteście pubem.

- Dziękuję, panie Osnard. Niewiele osób tutaj w Panamie zauważa takie rzeczy, ale muszę milczeć. Nie wyjawię nic więcej. Proszę spocząć. Oto kanapki Marty z ogórkiem, jeśli miałby pan ochotę. Nie wiem, czy dotarły już do pańskich uszu legendy o jej geniuszu w tej dziedzinie. Polecam też wyborne białe wino. Chilijskie, importowane przez jednego z moich klientów, który łaskawie przysłał mi od czasu do czasu skrzynkę. Na co się pan skusi?

Albowiem Pendelowi coraz bardziej zależało na tym, żeby wystawić Osnarda na pokusę.

Osnard nie usiadł, ale poczęstował się kanapką. A właściwie trzema - jedną zjadł od razu, a dwie ułożył na wydatnych poduszkach lewej dłoni, stojąc obok Pendela przy stoliku z jabłoniowego drewna.

- W tym pana zupełnie nie widzę - wyznał Pendel, jednym ruchem ręki osuwając próbkę lekkiego tweedu, co zresztą robił zawsze. - To też nie pasuje, nie do figury dojrzałej, jak to ja nazywam, może dla jakiegoś gołowąsa czy chudzielca, ale nie dla mężczyzny pańskiej lub mojej postury. - Kolejna strona. - Tu mamy coś bardziej odpowiedniego.

- Wyborna alpaka.

- Istotnie, szanowny panie - powiedział zaskoczony Pendel. - Z peruwiańskich Andów, ceniona za miękkość w dotyku i różnorodność naturalnych odcieni, że pozwolę sobie zacytować „Wool Record”. No cóż, panie Osnard, prawdziwy z pana znawca.

Przeciętny klient nie miał zielonego pojęcia o materiałach, więc Pendel był naprawdę zdziwiony.

- Ulubiony materiał ojca. Kiedyś wprost za nim przepadał. Istniała dla niego tylko alpaka.

- Kiedyś?

- Już nie żyje. Dołączył do Braithwaite'a, tam, w górze.

- Mogę tylko z całym szacunkiem powiedzieć, panie Osnard, że pański ojciec znał się na rzeczy! - zawołał Pendel, podejmując ulubiony temat. - Moim zdaniem, a nie jestem w tych sprawach laikiem, alpaka to absolutnie najlepszy lekki materiał na świecie. Zawsze tak było i będzie, jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię. Nie obchodzą mnie te wszystkie moherowe i chesankowe mieszanki. Włókno alpaki jest farbowane, stąd różnorodność i bogactwo kolorów. Alpaka jest czysta i elastyczna, ten materiał oddycha. Nie podrażni najdelikatniejszej skóry. - Konfidencjonalnie dotknął palcem ramienia Osnarda. - Wie pan, panie Osnard, na co przeznaczali ją niektórzy krawcy z Savile Row, ku ich wiecznej hańbie?

- Ciekaw jestem.

- Na podszewkę - oświadczył z obrzydzeniem Pendel. - Zwykłą podszewkę. To po prostu

wandalizm.

- Stary Braithwaite pewnie się oburzał.

- Jakby pan zgadł. „Harry - powiedział raz do mnie (dopiero po dziewięciu latach zaczął mi mówić po imieniu) - Harry, nawet z psem nie obszedłbym się tak, jak oni z alpaka”. To jego słowa, jakbym go teraz słyszał.

- Ja też.

- Co pan powiedział?

Pendel nagle stał się uosobieniem czujności, a Osnard - wręcz przeciwnie. Jakby nie zdając sobie sprawy z wagi wypowiedzianych słów, nadal z zainteresowaniem przeglądał próbki.

- Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałem, panie Osnard.

- Stary Braithwaite ubierał mojego ojca. Dawno temu. Byłem jeszcze szczeniakiem. Pendel wyglądał na zbyt wzruszonego, żeby cokolwiek powiedzieć. Wyprostował się i uniósł nieco ramiona jak stary wojak przy grobie nieznanego żołnierza. Kiedy wreszcie odzyskał mowę, odezwał się zduszonym głosem.

- Nigdy bym... Proszę mi wybaczyć. Co za niespodzianka. - Oprzytomniał trochę. - To pierwszy taki przypadek. Ojciec i syn. Dwa pokolenia klientów w P & B. Tego jeszcze nie było. Przynajmniej w Panamie. Od wyjazdu z Londynu.

- Przypuszczałem, że będzie pan zaskoczony.

Przez chwilę Pendel mógł przysiąc, że bystre, lисie oczy straciły blask, zaokrągliły się i pociemniały. Tylko w samym środku źrenicy pozostał maleńki punkcik światła. Później wydawało mu się, że punkcik nie był złoty, lecz czerwony. Ale oczy szybko rozjaśniły się na nowo.

- Co się stało? - zapytał Osnard.

- Cały czas nie mogę wyjść ze zdumienia, panie Osnard. „Zatkało mnie”, jak to się teraz mówi.

- Czas zatoczył koło, prawda?

- Istotnie, szanowny panie. Czas toczy się i zmiata wszystko na swojej drodze, jak mówią - przyznał Pendel i wrócił do katalogu z próbkami jak ktoś, kto szuka zapomnienia w pracy.

Ale Osnard najpierw zjadł ostatnią kanapkę z ogórkiem, pochłaniając ją od razu całą. Potem strzepał okruchy z dłoni, pocierając nimi kilka razy, póki nie uznał, że są czyste.

Przyjmowanie nowych klientów w P & B odbywało się zgodnie ze sprawdzoną procedurą. Wybierano materiał z katalogu, podziwiano ten sam materiał w beli - Pendel nigdy nie pokazywał próbki, jeśli nie miał w zapasie większej ilości tkaniny - zdejmowano miarę w przymierzami, przeglądano dodatki i towary w Kąciku Sportsmena, wychodzono na zaplecze, witano się z Martą, otwierano rachunek, wpłacano zaliczkę, chyba że uzgodniono inaczej, i zapraszano za dziesięć dni na pierwszą przymiarke. Ale w przypadku Osnarda Pendel zdecydował się na odstępstwo. Od stolika z próbkami wyprowadził go na zaplecze ku konsternacji Marty, która zaszyta w kuchni czytała *Ekologię na kredyt*, rzecz o wyrębie tropikalnych lasów Ameryki Południowej przy gorącej aprobachie Banku Światowego.

- Oto prawdziwy mózg firmy P & B, panie Osnard, choć pewnie zabije mnie za te słowa. Marto, to jest pan Osnard. O-S-N, potem A-R-D. Załóż panu kartę, kochanie, i zaznacz, że to stały klient. Pan Braithwaite szył dla jego ojca. Jak imię łaskawego pana?

- Andrew - odparł Osnard i Pendel zauważył, że Marta przygląda mu się, jakby usłyszała coś innego, a potem przenosi pytające spojrzenie na Pendela.

- Andrew? - powtórzyła. Pendel pospieszył z wyjaśnieniem.

- Chwilowo zamieszkały w hotelu El Panama, Marto, za co winić należy naszych panamskim budowlańców, ale wkrótce przenosi się do...

- Punta Paitilla.

- Naturalnie - rzekł Pendel z unizonym uśmiechem, jak gdyby Osnard zamówił kawior.

I Marta, niespiesznie zaznaczywszy stronę w książce, ponuro zanotowała podane szczegóły, skrywając się za zasłoną czarnych włosów.

- Co jej się stało? - zapytał cicho Osnard, gdy znaleźli się z powrotem na korytarzu.

- Wypadek, szanowny panie, i mało fachowa opieka medyczna.

- Czemu ją pan u siebie trzyma? Klienci dostają pewnie gęziej skórki na jej widok.

- Wręcz przeciwnie, o czym mówię z niekłamaną przyjemnością, szanowny panie - oświadczył kategorycznie Pendel. - Marta jest ulubienicą naszych klientów. A za jej kanapki można dać się zabić.

I żeby uniknąć kolejnych pytań o Martę i nie narażać się na jej dezaprobatę, Pendel przystąpił natychmiast do standardowego wykładu o orzechu tagua, który rośnie w lasach tropikalnych i jest traktowany przez ludzi wrażliwych, o czym z przekonaniem zapewnił Osnarda, jako udany substytut kości słoniowej.

- Czy wie pan, co obecnie wyrabia się z tagui? - mówił z większym niż zwykle entuzjazmem. - Ozdobne komplety szachowe? Punkt dla pana. Wyroby artystyczne? Znowu pan trafił. Kolczyki, biżuterię, ciepło, coraz cieplej... co jeszcze? Jakże może być jeszcze tradycyjne zastosowanie, zupełnie zapomniane w naszych czasach, które my tutaj w P & B, narażając się na pewne koszty, przywróciliśmy dla dobra naszych klientów i przyszłych pokoleń?

- Guziki - zasugerował Osnard.

- Oczywiście, tak brzmi prawidłowa odpowiedź. Guziki. Dziękuję panu - Pendel zatrzymał się przed następnymi drzwiami. - Nasze indiańskie pracownice - zapowiedział przyciszonym głosem. - Z plemienia Cuna. Muszę powiedzieć, że są bardzo wstydlive.

Zapukał, otworzył drzwi, wszedł ostrożnie do środka i dał znak gościowi, żeby poszedł w jego ślady. W padającym pod kątem świetle siedziały trzy Indianki w nieokreślonym wieku i szyły.

- Oto nasze wykańczarki, panie Osnard - szepnął Pendel, jakby obawiał się wyrwać jeź transu.

Ale kobiety nie wyglądały na bardziej wstydlive od Pendela. Oderwały wzrok od pracy i posłały Osnardowi szerokie, pełne uznania uśmiechy.

- Dziurka od guzika dla szytego na zamówienie garnituru, panie Osnard, jest tym, czym rubin dla turbanu - ciągnął dalej Pendel. - Ona przykuwa wzrok i świadczy o całości. Ładna dziurka nie uratuje źle uszytego garnituru, ale brzydka od razu dyskwalifikuje dobry.

- Jak mawiał stary Arthur Braithwaite - odpowiedział Osnard, podobnie jak Pendel ścisząc głos.

- Tak jest, szanowny panie, zgadza się. I guziki z tagua, przed wynalezieniem plastiku powszechnie stosowane w Ameryce i Europie, moim zdaniem niezrównane, wróciły do łask w

zakładzie P & B jako doskonały dodatek do uszytego w całości ręcznie garnituru.

- To też pomysł Braithwaite'a?

- Koncepcja była Braithwaite'a, panie Osnard - rzekł Pendel, mijając zamknięte drzwi do pracowni chińskich szwaczek i tylko paniką można było wytłumaczyć to, że postanowił ich nie niepokoić. - Ale zaszczyt wprowadzenia jej w życie przypadł mnie.

I choć Pendel wychodził ze skóry, żeby nie zwolnić kroku, Osnard zagroził Pendelowi drogą, opierając potężne ramię o ścianę.

Podobno ubierał pan w swoim czasie Noriegę. To prawda? Pendel zawahał się, a jego wzrok odruchowo powędrował ku drzwiom do kuchni.

A jeśli nawet? - odparł. Przez chwilę jego twarz ściągnęła nieufność, a głos przybrał posępny i matowy ton. - Co miałem robić? Zamknąć wszystko na cztery spusty i wrócić do kraju?

- Co pan dla niego szył?

- Generał nie przepadał za garniturami. Co innego mundury. Mógł o nich rozprawiać przez cały dzień. A także o wojskowych butach i czapkach. Ale choć opierał się jak mógł, na niektóre okazje musiał założyć garnitur.

Odwrócił się, próbując nakłonić Osnarda do dalszej wędrówki korytarzem. Ale Osnard nie cofnął ramienia.

- Jakie okazje?

- Na przykład kiedyś poproszono go o wystąpienie z uroczystym odczytem na Uniwersytecie Harvarda. Może pan pamięta, choć Harvard pewnie wolałby zapomnieć. Generał był trudnym klientem. Bardzo denerwowały go przymiarki.

- Tam, gdzie jest teraz, nie potrzebuje garniturów.

- Istotnie, panie Osnard. O ile wiem, tam ma się wszystko zapewnione. Inną okazją było przyznanie mu przez Francuzów Legii Honorowej.

- Za co?

Górne światło na korytarzu zamieniło oczy Osnarda w ciemne kratery.

- Można podać kilka powodów, panie Osnard. Najczęściej mówi się o tym, że generał w zamian za pomoc finansową zezwolił francuskim siłom powietrznym na wykorzystanie Panamy jako bazy tranzytowej w trakcie owych niepopularnych eksperymentów nuklearnych na południowym Pacyfiku.

- Skąd pan wie?

- Czasem w otoczeniu generała dużo się mówiło o różnych sprawach. Nie wszyscy jego zwolennicy byli równie dyskretni, jak on.

- Ich też pan ubierał?

- Robię to do tej pory, proszę pana, do tej pory - odparł Pendel, przyjmując znowu pogodny ton. - Owszem, przechodziliśmy lekki kryzys bezpośrednio po amerykańskiej inwazji. Niektórzy wyżsi urzędnicy junty musieli zniknąć z kraju na jakiś czas, ale wkrótce wrócili. W Panamie nikt na długo nie traci stanowiska, a panamscy dżentelmeni niechętnie wydają pieniądze na wygnaniu. Tutaj politycy częściej przechodzą metamorfozę, niż popadają w niełaskę, więc nikt na długo nie traci przywilejów.

- Nie nazwali pana kolaborantem czy kimś w tym rodzaju?

- Szczerze mówiąc, panie Osnard, w tym kraju mieszka niewiele osób bez winy. Szyłem

kilka razy dla generała, to prawda. Ale przecież większość moich klientów miała cięższe grzechy na sumieniu, prawda?

- A co ze strajkami? Przyłączył się pan do nich?

Kolejne nerwowe spojrzenie w stronę kuchni, gdzie Marta przypuszczalnie wróciła już do lektury.

- Określiłbym to tak, panie Osnard: zamknęliśmy drzwi wejściowe, ale nie zamykaliśmy zakładu od zaplecza.

- Sprytnie pomyślane.

Pendel nacisnął najbliższą kłamkę. Dwaj starsi wiekiem włoscy spodniarze w białych fartuchach i okularach w złotych oprawkach podnieśli wzrok. Osnard skinął im po królewsku dłonią i cofnął się na korytarz. Pendel ruszył za nim.

- Tego nowego też ubieracie? - zapytał od niechcienia Osnard.

- Owszem. Z dumą mogę powiedzieć, że prezydent Republiki Panamskiej *zalicza* się obecnie do naszych klientów. Trudno o miłszego dżentelmena.

- Gdzie to robicie?

- Nie rozumiem?

- On przyjeżdża tutaj czy pan jeździ do niego?

- Zawsze jestem wzywany do pałacu. - Pendel przybrał wyniosły ton. - Na ogół chodzi się do prezydenta. Nie na odwrót.

- Pewnie czuje się pan tam jak u siebie w domu?

- No cóż, szanowny panie, to mój trzeci prezydent. Nawiązuję różne kontakty.

- Z jego zausznikami?

- Z nimi też.

- Jaki on jest?

Pendel zamilkł na chwilę jak zawsze, kiedy wystawiano na próbę jego zawodową dyskrecję.

- Jak każdy dzisiejszy mąż stanu, szanowny panie, żyje pod presją, jest osamotniony, odcięty od zwykłych przyjemności, które nadają życiu sens. Kilka minut na osobności z krawcem może być dla niego błogosławionym wychnieniem od wiecznej gonitwy.

- I ucinacie sobie pogawędkę?

- Osobiście wolałbym to nazwać „chwilą odprężenia”. Pyta, co mówią o nim klienci. Ja odpowiadam - bez nazwisk, rzecz jasna. Czasem, jeśli coś go gnębi, zaszczyca mnie jakimś wyznaniem. Cieszę się reputacją osoby dyskretnej, o czym zapewne poinformowali go jego doradcy. Proszę dalej.

- Jak się do pana zwraca?

- Na osobności czy przy innych?

- Po imieniu? - zgadł Osnard.

- Tak.

- A pan?

- Gdzieżbym śmiał, panie Osnard. Miałem okazję, nalegał nawet. Ale mówię do niego „panie prezydencie” i tak już zostanie.

- A Fidel?

Pendel roześmiał się wesoło. Od jakiegoś czasu miał na to ochotę.

- No cóż, *comandante* ostatnio nosi garnitury i dobrze robi, zważywszy jego tuszę. Cokolwiek myślą o nim jankesi, w tych stronach każdy krawiec dałby sobie wybić zęby, żeby móc go ubierać. Ale on pozostaje wierny kubańskiemu krawcowi, co zapewne z zażenowaniem zauważył pan w telewizji. Mój Boże. Ani słowa więcej. My jesteśmy w pogotowiu. Jeśli przyjdzie zlecenie, P & B je wykona.

- Widzę, że ma pan tutaj prawdziwą agencję wywiadowczą.

- Żyjemy w brutalnym świecie, panie Osnard. Konkurencja jest duża. Byłbym głupcem, gdybym nie nadstawiał uszu, prawda?

- Święta racja. Nie chcemy pójść w ślady starego Braithwaite'a, co?

Pendel wspiał się na składaną drabinkę. Balansował na jej szczycie - składanej platformie, na którą zazwyczaj się nie zapuszczał - i wymachiwał belą najlepszej szarej alpaki wydobytej z górnej półki. Jak się tam dostał, co go tam pchnęło, było dla niego tajemnicą, której nie miał zamiaru zgłębiać bardziej niż kot na wierzchołku drzewa. Liczyło się jedno: ucieczka.

Zawsze powtarzam, że trzeba je wieszać, póki są jeszcze ciepłe, i nie zapominać o rotacji - oznajmił głośno półce z granatową czesanką oddalonej o piętnaście centymetrów od jego nosa. - Ta tutaj, jak już ustaliliśmy, chyba przypadnie nam do gustu, panie Osnard. Doskonały wybór, jeśli mogę tak powiedzieć, a szary garnitur w Panamie jest praktycznie niezbędny. Zaraz zniosę belę, żeby mógł pan ją obejrzeć i pomacać. Marto! Pozwól, kochanie, do nas!

- O co chodzi z tą rotacją? - zapytał z dołu Osnard z rękami w kieszeniach, oglądając krawaty.

- Żadnego garnituru nie wolno nosić przez dwa dni z rzędu, a zwłaszcza tych z lekkich materiałów, panie Osnard. Szanowny ojciec zapewne wielokrotnie to panu powtarzał.

- Dowiedział się od Arthura?

- Pralnia chemiczna to śmierć dla prawdziwego garnituru. Kiedy osadza się na nim brud i pot, co przy częstym noszeniu jest nieuniknione, ludzie od razu pędzą do pralni chemicznej, a to początek końca. Garnitury trzeba oszczędzać, nosić na zmianę. Marta! Gdzie się podziewa ta dziewczyna?

Osnard nie odrywał wzroku od krawatów.

- Pan Braithwaite posunął się jeszcze dalej: radził klientom, żeby w ogóle trzymali się z dala od pralni - perorował dalej Pendel, podnosząc lekko głos. - Garnitur wystarczy wyszczotkować, w razie konieczności oczyścić gąbką i raz do roku przynieść go nam do prania w rzece Dee.

Osnard przestał wpatrywać się w krawaty i podniósł ze zdziwieniem wzrok.

- Dee słynie ze swych oczyszczających właściwości - wyjaśnił Pendel. - Jest dla garnituru tym, czym Jordan dla pielgrzyma.

- Myślałem, że to słowa Huntsmana - powiedział Osnard, wbijając wzrok w Pendela. Pendel zawahał się i nie udało mu się tego ukryć. A Osnard cały czas przeszywał go wzrokiem.

- Pan Huntsman, mój drogi panie, jest znakomitym krawcem. Jednym z najlepszych w Londynie. Ale w tym przypadku poszedł w stopy Arthura Braithwaite'a.

Prawdopodobnie chciał powiedzieć „w ślady”, ale pod wpływem świdrującego wzroku Osnarda wyobraził sobie wielkiego Huntsmana, który posłusznie tropi w czarnym szkockim

blócie odciski stóp Braithwaite'a. Chciał za wszelką cenę rozwiązać tę wizję, chwycił więc belę materiału i przytrzymując się jedną ręką, a drugą tuląc belę do piersi, ostrożnie zszedł z drabinki.

- Proszę bardzo, szanowny panie. Szara alpaka w pełnej krasie. Dziękuję, Marto - dodał, gdy zjawiała się w końcu.

Odwracając lekko twarz, Marta chwyciła materiał w obie dłonie i wycofała się w stronę drzwi, jednocześnie przechylając lekko tkaninę, żeby Osnard mógł się jej dobrze przyjrzeć. Jakoś udało jej się przechwycić spojrzenie Pendela - w jej oczach dostrzegł zarówno pytanie, jak i naganę. Na szczęście Osnard nie zauważył tego. Badał materiał. Pochylił się nad nim z dłońmi splecionymi z tyłu niczym członek rodziny królewskiej. Wciągnął powietrze. Skubnął krawędź, dotknął tkaniny koniuszkami kciuka i palca wskazującego. Powolność jego ruchów skłoniła Pendela do żywszych wysiłków, a Martę do okazania jeszcze większej dezaprobaty.

- Czyżby nie lubił pan szarości, panie Osnard? Coś mi się zdaje, że woli pan brąz! W brązie jest panu szalenie do twarzy, ale szczerze mówiąc, teraz w Panamie nie nosi się brązów. Przeciętny panamski dżentelmen uważa brąz za kolor mało męski, nie wiadomo czemu. - Znów wspinał się po drabince, zostawiając Martę z belą szarego materiału rozpostartą u jej stóp. - Gdzieś tutaj mam brąz, w którym pana widzę, z małą domieszką czerwieni. Jesteśmy w domu. Nadmiar czerwieni psuje dobry brąz. Nie wiem, czy mam rację. No więc, na co się dzisiaj decydujemy, szanowny panie?

Osnard bardzo długo zwlekał z odpowiedzią. Jego uwagę najpierw przykuł szary materiał, a później Marta, która wpatrywała się w niego z czymś w rodzaju lekarskiego obrzydzenia. W końcu uniósł głowę i przyjrzał się Pendelowi na drabince. Zimna obojętność malująca się na zadartej w górę twarzy Osnarda świadczyła, że Pendel mógł równie dobrze być dla niego uwięzionym na platformie akrobatą bez trapezu, którego od ziemi dzieli cała wieczność.

- Zostańmy przy szarym, przyjacielu - rzekł. - „Szary do miasta, brązowy na wieś”. Ciągle to powtarzał.

- Kto?

- Braithwaite. Któżby inny?

Pendel powoli zszedł z drabinki. Wydawało się, że zaraz coś powie, ale milczał. Zabrakło mu słów: Pendelowi, dla którego słowa były schronieniem i pociechą. Za to uśmiechał się. Marta podała mu swój koniec materiału, a on zwijał go, cały czas uśmiechnięty, aż od tego uśmiechu rozboleły go szczęki. Marta miała nachmurzoną minę, częściowo z powodu Osnarda, a częściowo dlatego, że w takim właśnie wyrazie zastygła jej twarz wskutek zabiegów niefortunnego chirurga.

A teraz, jeśli pan pozwoli, zdejmemy miarę.

A Pendel pomógł Osnardowi ściągnąć marynarkę i w trakcie tej czynności zauważył grubą szarą kopertę wsuniętą do portfela. Z masywnego ciała Osnarda parowało ciepło jak z mokrego spaniela. Spod przepoconej koszuli przebijały wyraźnie sutki w ciemnej gęstwinie włosów. Pendel stanął za nim i zmierzył odległość od kołnierza do pasa. Żaden się nie odzywał. Z doświadczeń Pendela wynikało, że Panamczycy lubią być mierzeni. W przeciwieństwie do Anglików. Musiało to mieć związek z dotykaniami. I znowu od kołnierza zmierzył całą długość pleców, jak zwykle uważając, by uniknąć kontaktu z pośladkami. Nadal bez słowa zmierzył szerokość barków, a później odległość od nich do łokcia i mankieta. Stanął obok Osnarda, dotknął jego łokci, by je unieść, i przeciągnął miarę pod pachami na wysokości sutków. Czasem w przypadku kawalerów obierał mniej wrażliwy szlak, ale co do Osnarda nie miał podobnych obaw. Z dołu dobiegł ich dźwięk dzwonka i oskarżycielski trzask frontowych drzwi.

- To Marta?

- Zapewne, szanowny panie. Wyszła do domu.

- Ma do pana jakieś pretensje?

- Ależ skąd. Dlaczego pan pyta?

- Intuicja, to wszystko.

- No proszę - odparł Pendel, dochodząc do siebie.

- Pomyślałem też, że może do mnie coś ma.

- Wielkie nieba. A cóż mogłaby mieć?

- Nie jestem jej winien pieniędzy. Nigdy jej nie posuwałem. Wiem tyle, co pan.

Przymierzalnia była drewnianą celą o wymiarach cztery metry na dwa, sąsiadującą z Kącikiem Sportsmena na piętrze. Duże stojące lustro, tremo, i małe złożone krzesło stanowiły jedyne umeblowanie. Ciężka zielona zasłona zastępowała drzwi. Kącik Sportsmena wcale nie był kącikiem, a raczej podłużnym, niskim pomieszczeniem na poddaszu, które miało w sobie coś z atmosfery utraconego dzieciństwa. Nigdzie w całym zakładzie Pendel nie dołożył tylu starań, żeby uzyskać zamierzony efekt. Na mosiężnych wieszakach zamontowanych pod ścianą mała armia niewykończonych garniturów czekała na swoją kolej. Buty do gry w golfa, kapelusze i zielone płaszcze nieprzemakalne mrugały ze starych mahoniowych półek. Buty do konnej jazdy, pejcze, ostrogi, para pięknych angielskich strzelb, pasy na amunicję i kije golfowe rozłożono w artystycznym nieładzie. A na pierwszym planie, na honorowym miejscu, jawiła się majestatyczna figura skórzanego konia, podobnego do tego z sali gimnastycznej, tyle że z ogonem i głową. Rozmiałowani w sporcie dżentelmeni mogli wypróbować na nim nowe bryczesy i nie musieli się obawiać, że ten wierzchowiec narobi im wstydu.

Pendelowi nie przychodził do głowy żaden rozsądny temat do rozmowy. W przymierzalni miał zwyczaj nieustannie trajkotać, żeby klient nie czuł się skrępowany intymną sytuacją, ale z jakichś przyczyn tym razem zawiodła go błyskotliwość. Jako ostatniej deski ratunku uczeplił

się wspomnień z dzieciństwa.

- Mój Boże, wtedy to musieliśmy wcześniej wstawać! Mroźne ciemne poranki w Whitechapel, rosa na bruku, jeszcze dzisiaj czuję ten chłód. Teraz, rzecz jasna, to co innego. Mało którego chłopaka ciągnie do naszego fachu. Przynajmniej nie w East Endzie. Nie do tradycyjnego krawiectwa. Pewnie robota jest dla nich za ciężka. Co prawda, to prawda.

Zdejmował kolejną miarę, znowu obwód klatki piersiowej, ale tym razem łącznie z opuszczonymi ramionami. Zwykle nie robił tego pomiaru, ale Osnard nie był zwykłym klientem.

- Z East Endu do West Endu - zauważył Osnard. - Niezła zamiana.

- Tak jest, szanowny panie, i nigdy nie miałem powodów, żeby przeklinać ten dzień. Stali teraz bardzo blisko siebie, twarzą w twarz. Wąskie brązowe oczy Osnarda zdawały się podążać za Pendelem. Pendel wbił wzrok w przepocony pas gabardynowych spodni. Otoczył taśmą talię Osnarda.

- Jaki werdykt? - zapytał Osnard.

- Powiedzmy ostrożnie osiemdziesiąt z dodatkiem.

- Jakim?

- Z dodatkiem obiadu, ujmijmy to w ten sposób - rzekł Pendel, pobudzając wreszcie Osnarda do śmiechu.

- Tęskni pan czasem za starym krajem? - zapytał Osnard, gdy Pendel dyskretnie zanotował w notesie osiemdziesiąt cztery centymetry.

- Nie bardzo, szanowny panie. Chyba nie. Nie odczuwam tego. Nie - odparł, wsuwając notes do kieszeni spodni.

- Założę się, że od czasu do czasu ciągnie pana na Savile Row.

- Ach, Savile Row - westchnął Pendel i w wyobraźni ujrzął siebie w minionym stuleciu, szyjącego fraki i bryczesy. - Tak, teraz Savile Row nie jest już tym, co kiedyś. Anglia wyszłaby na tym dużo lepiej, gdyby nie goniono tak za nowinkami, a przykładano większą wagę do tradycji. Bylibyśmy szczęśliwszym krajem.

Ale jeśli Pendelowi wydawało się, że potokiem banałów zatrzyma pytania Osnarda, to grubo się mylił.

- Niech mi pan o tym opowie.

- O czym?

- Stary Braithwaite przyjął pana na ucznia, zgadza się?

- Tak.

- Ambitny młody Pendel siedział u niego na schodach dzień po dniu. Co rano, kiedy starszerek przychodził do pracy, pan już tam był. „Dzień dobry, panie Braithwaite, jak dzisiaj się czujemy? Nazywam się Harry Pendel i jestem pańskim nowym uczniem”. Taki tupet mi się podoba.

- Cieszę się - odparł niepewnie Pendel, próbując otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiła na nim jego własna anegdota w jednej z licznych wersji.

- Starszerek w końcu uległ i został pan jego ulubionym praktykantem, zupełnie jak w bajce - ciągnął dalej Osnard. Nie powiedział, o którą bajkę mu chodzi, a Pendel nie dopytywał się. - I pewnego dnia po iluś tam latach stary Braithwaite mówi: „No dobrze, Pendel. Dostyc się już napraktykowałeś. Od dziś zostajesz księciem regentem”. Czy coś w tym sensie. Tak to było?

Umieram z ciekawości.

Na zazwyczaj pogodnym obliczu Pendela zagościł poważny wyraz intensywnego skupienia. Przesunął się na lewo od Osnarda, otoczył taśmą pośladki, przesunął ją do najbardziej wydatnego punktu i zapisał coś w notesie. Pochylił się, żeby zmierzyć nogawkę od zewnątrz, wyprostował się i jak słabnący pływak dał kolejnego nura. Jego głowa znalazła się na wysokości prawego kolana Osnarda.

- A na którą stronę układamy?... - wymamrotał, czując na karku palące spojrzenie klienta. - Większość panów wybiera ostatnio lewą stronę. Ale chyba nie ze względów politycznych.

Był to standardowy dowcip, obliczony na rozśmieszenie nawet najobojętniejszych klientów. Osnard najwyraźniej pozostał niewzruszony.

- Nigdy nie wiem, gdzie to cholerstwo jest. Ciągle się przemieszcza, jak rękaw lotniczy - odpowiedział wymijająco. - To było rano czy wieczorem? Kiedy złożył panu tę wspianą propozycję?

- Wieczorem - wymamrotał Pendel po chwili, która wydała mu się wiecznością. I dodał, jakby przyznawał się do porażki: - W piątek, tak jak dzisiaj.

Przyjmując ułożenie lewostronne, ale nie chcąc ryzykować, przytknął mosiężny koniec taśmy do prawej strony rozporoka Osnarda, starannie unikając kontaktu z tym, co znajdowało się za nim. Następnie lewą ręką pociągnął taśmę aż do podeszwy buta, ciężkiego i wielokrotnie reperowanego. Po odjęciu dwóch centymetrów i zapisaniu wyniku wyprostował się śmiało, by natknąć się na parę wpatrzonych w niego ciemnych oczu. Miał wrażenie, jakby zajrzał do łuf nieprzyjacielskich dział.

- Zimą czy latem?

- Latem. - Głos Pendela słabł. Krawiec wziął głęboki wdech i zaczął jeszcze raz. - Niewielu młodym chłopcom uśmiecha się latem praca w piątkowe wieczory. Ja chyba należałem do wyjątków i między innymi dlatego pan Braithwaite był łaskaw zwrócić na mnie uwagę.

- Rok?

- Mój Boże, cóż to był za rok. - Z trudem pokręcił głową i spróbował się uśmiechnąć. - Aj aj aj, tyle lat minęło. Czasu zatrzymać się nie da. Król Kanut próbował i proszę, jak skończył - dodał, choć wcale nie był pewien, jak skończył król Kanut.

Mimo to poczuł, że odzyskuje polot, coś, co wujek Benny nazywał zręcznością.

- Stał w drzwiach - podjął opowieść, uderzając w sentymentalną nutę. - Byłem tak pochłonięty pracą przy spodniach, które mi powierzono, że mnie przestraszył. Krojenie zawsze mnie tak wciąga. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że obserwuje mnie w milczeniu. Był postawnym mężczyzną. Wielka łysa głowa, krzaczaste brwi - był imponujący. Biła z niego siła. Bez wątplenia...

- Zapomniał pan o wąsach - wtrącił Osnard.

- Wąsach?

- Bujne, postrzępione, z resztkami jedzenia. Musiał już je zgolić, kiedy robiono to zdjęcie na dole. Na ich widok trząsałem portkami. Miałem wtedy tylko pięć lat.

- Za moich czasów nie miał wąsów, panie Osnard.

- Oczywiście, że miał. Widzę je, jakby to było wczoraj. Ale upór bądź instykt nie pozwalał Pendelowi ustąpić.

- Chyba pamięć płata panu figle, panie Osnard. Pewnie pamięta pan innego dżentelmena i przypisuje jego wąsy Arthurowi Braithwaite'owi.

- Brawo - rzekł cicho Osnard.

Ale Pendel nie chciał uwierzyć, że usłyszał to słowo ani że Osnard prawie niezauważalnie mrugnął do niego. Brnął dalej.

- „Pendel - mówi. - Chcę, żebyś był moim synem. Jak poprawisz wymowę, będę zwracał się do ciebie po imieniu, zatrudnię przy obsłudze klientów i mianuję spadkobiercą i partnerem...”

- Mówił pan, że dopiero po dziewięciu latach.

- Co?

- Zaczął mówić panu po imieniu.

- Przecież zaczynałem jako praktykant.

- Przepraszam, niech pan mówi dalej.

- „...i tyle mam ci do powiedzenia. A teraz wracaj do swoich spodni i zapisz się na wieczorowy kurs wymowy”.

Przerwał. Zamilkł. Zaszło mu w gardle, piekły go oczy i dzwoniło w uszach. Ale gdzieś w środku kołatało się poczucie spełnionego obowiązku. Udało się. Mimo złamanej nogi i wysokiej temperatury przedstawienie się odbyło.

- Niesamowite - szepnął Osnard.

- Dziękuję panu.

- Nigdy w życiu nie słyszałem tak niestworzonych bredni, a ty wciskasz mi je bez mrugnięcia okiem.

Słowa Osnarda docierały do Pendela jakby z oddalenia i mieszały się z innymi głosami. W londyńskim sierocińcu siostry miłosierdzia groziły, że Jezus będzie się na niego gniewał. Śmiech dzieci w toyocie. Głos Ramóna, który mówi, że jakiś londyński bank dopytywał się o niego i proponował coś za udzielenie informacji. Głos Louisy zapewniającej, że wystarczy jeden uczciwy człowiek. Odgłosy ruchu ulicznego. Zapraagnął znaleźć się teraz w korku i być wolnym.

- Widzisz, przyjacielu, problem w tym, że ja wiem, kim jesteś.

Ale Pendel niczego nie widział, nawet przenikliwego spojrzenia ciemnych oczu Osnarda. W wyobraźni wznosił mur i Osnard znajdował się po jego drugiej stronie.

- Dokładniej rzecz biorąc, wiem, kim nie jesteś. Nie ma powodów do pani ki ani strachu. Jest w porządku w każdym szczególe. Nie zmieniałbym tego.

- Nikim nie jestem. - Pendel usłyszał własny szept po swojej stronie muru, a potem szelest zasłony w przebieralni.

Zobaczył jak przez mgłę, że Osnard wygląda przez szparę i przezornie przepatruje Kącik Sportsmena. Znowu usłyszał jego głos, tym razem tak blisko, że od tego szeptu zaczęło mu dzwonić w uchu.

- Numer 906017, były młodociany przestępca, skazany na sześć lat za podpalenie, odsiedział dwa i pół roku. Wyuczył się krawiectwa za kratkami. Trzy dni po spłaceniu długu społeczeństwu wyjechał z kraju za pieniądze otrzymane od wuja Benjamina, obecnie nieżyjącego. Żona Louisa, córka nauczycielki religii i osiadłego w Panamie amerykańskiego piniacza, która pięć dni w tygodniu haruje dla dobrego i wielkiego Erniego Delgado z

Komisji Kanału Panamskiego. Dwoje dzieci, Mark lat osiem, Hannah lat dziesięć. Niewypłacalny z powodu farmy ryżowej. Pendel & Braithwaite to jedna wielka lipa. Przy Savile Row nigdy nie było takiej firmy. Nigdy nie doszło do jej przenosin, bo nie było czego przenosić. Arthur Braithwaite jest wybitnym tworem wyobraźni. Uwielbiam takie bajki. Czym byłoby bez nich życie? Nie patrz na mnie takim wzrokiem. Jestem gwiazdką z nieba. Odpowiedzią na twoje modlitwy. Słyszysz?

Ale Pendel niczego nie słyszał. Stał z opuszczoną głową i ze złączonymi stopami, niemy i głuchy. Otrząsnął się i podniósł ramię Osnarda do poziomu barku. Zgiął je, żeby dłoń spoczywała płasko na klatce piersiowej. Przycisnął końcówkę taśmy do środkowego punktu na plecach i poprowadził ją wokół łokcia do nadgarstka.

- Pytałem, kto jeszcze o tym wie? - mówił Osnard.

- O czym?

- O oszustwie. O pelerynie świętego Artura, która opadła na ramiona małego Pendela. O firmie P & B, Krawcach Królewskich. O odwiecznej historii. O tych wszystkich bujdach. Oprócz żony, kto jeszcze?

- Ona o niczym nie wie! - zawołał Pendel, nie kryjąc przerażenia.

- Nie?

Pendel pokręcił głową i znowu zamilkł.

- Louisa? Ją też oszukujesz?

„Ani mru-mru, chłopcze. Pamiętaj. Ani mru-mru”.

- A co z twoimi małymi problemami w ojczyźnie?

- Jakimi?

- Chodzi o więzienie.

Pendel szepnął coś, czego sam prawie nie usłyszał.

- O tym też?

- Tak, to znaczy o tym też nie wie.

- Nie wie, że siedziałeś w kiciu? Nie wie o wujku Arthurze? A może nie wie także o kłopotach z farmą ryżową?

Ten sam pomiar po raz drugi. Od środka pleców do nadgarstka, ale z wyprostowanym ramieniem. Przyłożenie taśmy do ramienia, sztywne, drewniane ruchy.

- Nie?

- Tak.

- Myślałem, że to współwłasność.

- Bo tak jest.

- I mimo to o niczym nie wie?

- To ja zajmuję się sprawami finansowymi.

- Wiem. Na ile jesteś zadłużony?

- Na prawie sto tysięcy.

- A ja słyszałem, że na dwieście, a suma rośnie.

- Tak.

- A odsetki?

- Dwa procent.

- Kwartalnie?

- Miesięcznie.
- Składane?
- Bardzo możliwe.
- Zastawiłeś zakład. Jak mogłeś do tego dopuścić?
- Mieliśmy tu coś, co się nazywa recesją. Nie wiem, czy do was dotarła - powiedział Pendel, niechętnie wspominając dni, kiedy mając trzech klientów, umawiał ich co pół godziny, żeby tworzyć sztuczny tłok.

- Co robiłeś? Grałeś na giełdzie?
- Tak, za radą mojego bankiera.
- Ten twój bankier to chyba ekspert od postępowania upadłościowego, co?
- Chyba tak.
- Forsa była Louisy?
- Odziedziczyła po ojcu. Połowę. Ma jeszcze siostrę.
- A policja?
- Jaka policja?
- Miejscowe gliny.
- A co im do tego? - Głos Pendela wreszcie zerwał się z łańcucha i wzbił wyżej. - Płacę podatki, ubezpieczenie. Papiery mam w porządku. Jeszcze nie zbankrutowałem. Czego mieliby ode mnie chcieć?

- Może wygrzebali coś z przeszłości. Zasugerowali, żebyś wysupłał trochę pieniędzy, a oni będą milczeć. Nie chciałbyś zostać publicznie zdemaskowany, bo nie zapłaciłeś łapówki, co?

Pendel pokręcił głową i położył dłoń na jej czubku, żeby się pomodlić albo upewnić, że wciąż tam jest. Potem przyjął postawę, której przed odsiadką niezmordowanie uczył go wujek Benny.

- Musisz się „rozprószyć”, chłopcze - powtarzał Benny, używając wyrażenia, którego Pendel nigdy wcześniej ani nigdy później nie słyszał. - Skulić, zmniejszyć. Masz być nikim, masz na nikogo nie patrzeć. To im przeszkadza, tak jak traktowanie z góry. Nie jesteś nawet muchą na ścianie. Jesteś częścią ściany.

Ale bycie ścianą szybko go znużyło. Podniósł głowę i rozejrzał się po przymierzani, jakby obudził się w niej po pierwszej nocy. Przypomniawszy sobie jedną z zagadkowych sentencji Benny'ego i uznał, że wreszcie ją zrozumiał:

„Harry, mój chłopcze, mój problem polega na tym, że gdziekolwiek pójdę, zabieram ze sobą siebie i wszystko psuję”.

- A ty kim jesteś? - zapytał Osnarda z nutą wojowniczości.
- Szpiegiem. Pracuję dla starej kochanej Anglii. Otwieramy na nowo placówkę panamską.
- Po co?
- Powiem ci przy kolacji. O której zamykacie w piątki?
- Zaraz, jeśli zechcę. Dziwię się, że musisz o to pytać.
- A co z domem? Świece. Szabat. Czy co tam robicie.
- Nic z tych rzeczy. Jesteśmy chrześcijanami. Aż do bólu.
- Jesteś członkiem klubu Union, zgadza się?
- Udało mi się.

- Jak to: udało?

- Zanim mnie przyjęli, musiałem kupić farmę ryżową. Nie przyjmują imigrantów krawców, ale imigranci farmerzy są w porządku. Pod warunkiem, że mają dwadzieścia pięć tysięcy na opłatę członkowską.

- Po co wstąpiłeś do klubu?

Ku swemu zdumieniu Pendel uśmiechnął się szerzej niż zwykle. Był to uśmiech szaleńca, wymuszony zaskoczeniem, a może i strachem, ale zawsze uśmiech, dzięki któremu poczuł ulgę tak wielką, jakby odkrył nagle, że znów porusza nogami.

- Powiem coś panu, panie Osnard - rzekł w przypiływie życzliwości. - Tej zagadki jeszcze nie rozwiązałem. Jestem impulsywny, a do tego mam snobistyczne zapędy. Moja wada. Wujek Benny, o którym przed chwilą wspominałeś, zawsze marzył o willi we Włoszech. Być może zrobiłem to, żeby sprawić przyjemność Benny'emu. A może chciałem pokazać figę pani Porter.

- Nie znam jej.

- To kurator sądowy. Bardzo poważna dama, która była przekonana, że w życiu czeka mnie wszystko, co najgorsze.

- Chodzisz czasem na kolację do klubu? Zapraszasz gości?

- Bardzo rzadko. Powiedzmy, nie w mojej obecnej sytuacji finansowej.

- A gdybym zamówił dziesięć garniturów, a nie dwa, i miał wolny wieczór, zabrałbyś mnie tam?

Osnard zakładał marynarkę. Niech sam to zrobi, pomyślał Pendel, tłumiąc wieczny impuls usługowości.

- Może. To zależy - odparł ostrożnie.

- Musiałbyś zadzwonić do Louisy. „Kochanie, wspaniała wiadomość, opchnąłem dziesięć garniturów zwariowanemu Angolowi i stawiam mu kolację w klubie”.

- Możliwe.

- Jak by to przyjęła?

- Trudno przewidzieć.

Osnard wsunął rękę za pazuchę, wyjął szarą kopertę, którą Pendel zauważył już wcześniej, i podał mu.

- Pięć tysięcy w ramach zaliczki za dwa garnitury. Rachunku wypisywać nie trzeba. Tym bardziej imiennego pokwitowania. Plus kilka setek na kolację.

Pendel wciąż miał na sobie kamizelkę z plisą, więc wsunął kopertę do kieszeni spodni, tej z notesem.

- W Panamie wszyscy znają Harry'ego Pendela - ciągnął dalej Osnard. - Gdybyśmy chcieli gdzieś się zaszyć, zauważą to. A jeśli pójdziemy tam, gdzie cię znają, nikt nie zwróci na nas uwagi.

Znowu patrzyli na siebie. Z bliska twarz Osnarda jaśniała tłumionym podnieceniem. Pendel, zawsze skory do empatii, poczuł, że i jego rozświetla ten blask. Zeszli na dół, żeby z pracowni zadzwonić do Louisy. W tym czasie Osnard sprawdzał wytrzymałość złożonego parasola z napisem „Do użytku gwardzistów Jej Królewskiej Mości”.

- Sam dobrze wiesz, Harry - powiedziała Louisa do lewego, rozpalonego ucha Pendela. Głosem swojej matki. Socjalizm i szkołka niedzielna.

- Co wiem, Lou? Co niby mam wiedzieć? - spytał zawsze skłonny do błazenady. - Znasz

mnie, Lou. Niczego nie wiem. Jestem potwornym ignorantem.

Przez telefon robiła przerwy, które dłużyły się jak pobyt w więzieniu.

- Sam dobrze wiesz, Harry, co to dla ciebie znaczy opuścić wieczorem rodzinę, pójść do klubu i obracać się wśród obcych kobiet i mężczyzn, zamiast być wśród tych, którzy cię kochają.

Ściszyła czule głos i Pendel niemal się rozplątał. Ale jak zwykle nie umiała powiedzieć nic czulego.

- Harry?... - Spytała, jakby czekała na jego odpowiedź.

- Tak, kochanie?

- Nie musisz się podlizywać. - To był jej sposób odwzajemnienia słowa „kochanie”. I nawet jeśli miała jeszcze coś do powiedzenia, nie powiedziała nic.

- Mamy przed sobą cały weekend, Lou. Przecież nigdzie nie damę nogi. - Przerwa rozmiarów Pacyfiku. - Jak się miewał dzisiaj kochany Ernie? To wspomniały człowiek, Louiso. Nie wiem, dlaczego tak mu dogaduję. Ma dobrze poukładane pod sufitem jak twój ojciec. Powiniennem pełzać u jego stóp.

Chodzi o jej siostrę, pomyślał. Zawsze kiedy się złości, zazdrości siostrze bujnego życia towarzyskiego.

- Facet dał mi pięć tysięcy zaliczki, Lou. - Starał się uzyskać jej aprobatę. - Gotówką. Jest samotny, potrzebuje towarzystwa. Co miałem zrobić? Wypchnąć go na ciemną ulicę, podziękować za kupno dziesięciu garniturów i kazać znaleźć sobie jakąś kobietę?

- Harry, nie musisz tak mówić. Proszę bardzo, zaproś go do domu. A jeśli nie odpowiada mu takie towarzystwo, zrób, co masz zrobić, i nie czuj się winny.

Znowu w jej głosie pojawiła się czułość: Louisa, którą pragnęła być, a nie ta, która za nią mówiła.

- Już dobrze? - zapytał pogodnie Osnard.

Znalazł butelkę whisky dla klientów i dwie szklanki. Podał jedną Pendelowi.

- Doskonale, dziękuję. Ta kobieta to prawdziwy skarb.

Pendel stał sam w magazynie. Zdjął roboczy garnitur i z przyzwyczajenia powiesił go na wieszaku, spodnie na metalowych zaciskach, marynarkę równo i porządnie. Wybrał jasnoniebieski jednorzędowy garnitur z moheru, który uszył sobie przy muzyce Mozarta sześć miesięcy temu i nigdy jeszcze go nie założył, obawiając się, że jest zbyt elegancki. Odbicie twarzy w lustrze zaskoczyło go swoją normalnością. Czemu nie zmieniła koloru, kształtu, wielkości? Co jeszcze ma się wydarzyć, żeby zaszła na niej jakaś zmiana? Wstajesz rano. Twój bankier potwierdza, że koniec świata już blisko. Idziesz do pracy, a tam wkracza angielski szpieg, który zna twoją przeszłość i wmawia ci, że chce uczynić cię bogatym i zachować wszystko tak, jak było.

- Masz na imię Andrew?! - zawołał przez otwarte drzwi do nowego przyjaciela.

- Andy Osnard, kawaler, zaharowany w politycznym kieracie pracownik ambasady brytyjskiej, niedawno przybyły. Stary Braithwaite szył garnitury dla mojego ojca, a ty przychodziłeś przytrzymać taśmę. To przykrywka. Nic więcej.

I ten krawat, który zawsze mi się podobał, pomyślał. W niebieskie zygzaki z domieszką różu. Osnard patrzył na niego z dumą stwórcy. Pendel włączył alarm.

Przestało padać. Rzęsście oświetlone autobusy, które mijają ich, podskakując na wybojach, były puste. Rozpalone błękitne niebo roztopiało się w nocnych ciemnościach, ale upał pozostał - w Panama City tak już jest. Może być sucho lub mokro, ale zawsze jest gorąco. I zawsze jest głośno - słysząc odgłosy ruchu ulicznego, wiertarek, montowanych lub zdejmowanych rusztowań, samolotów, klimatyzacji, tandetnej muzyki, buldożerów, helikopterów, a jeśli ma się szczęście - ptaków. Osnard niósł swój niebiesko-biały parasol. Pendel, choć czujny, był nieuzbrojony. Targały nim dziwne uczucia. Został poddany próbie, z której wyszedł silniejszy i mądrzejszy. Ale po co ta próba? Silniejszy i mądrzejszy w jaki sposób? A skoro wyszedł z niej cało, dlaczego nie czuł się bezpieczniej? Zszedłszy z powrotem na ziemię, poczuł się odrodzony, ale niespokojny.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolców! - zawołał do Osnarda, otwierając samochód.

- Za co?

- Tyle kosztowało ręczne malowanie tych autobusów! Zatrudniają prawdziwych artystów! Trwało to dwa lata!

Wcale nie wiedział tego na pewno, ale coś kazało mu zdobyć autorytet. Już za kierownicą z zażenowaniem pomyślał, że chodziło raczej o sumę bliższą tysiąca pięciuset i nie o dwa lata, tylko dwa miesiące.

- Mam prowadzić? - zapytał Osnard, rozglądając się ukradkiem po ulicy.

Ale Pendel był panem swego losu. Jeszcze dziesięć minut temu wydawało mu się, że nigdy nie wyjdzie na wolność. A teraz siedział za kółkiem własnego wozu ze strażnikiem w fotelu pasażera, ubrany w jasnoniebieski garnitur własnej roboty zamiast śmierdzącej jutowej kurtki z napisem „Pendel” na kieszeni.

- Żadnych pułapek? - zapytał Osnard. Pendel nie zrozumiał.

- Czy są ludzie, których wolałbyś nie spotykać, może jesteś im winien pieniądze, pieprzyłeś ich żony czy coś w tym guście?

- Dług mam tylko w banku, Andy. Tego drugiego też nie robię, choć nie chwalę się tym moim klientom, wiadomo - latynoski temperament. Pomyśleliby, że jestem eunuchem albo pedałem. - Roześmiał się nieco zbyt dziko za ich obu. Osnard zerkał do samochodowych lusterek. - Skąd jesteś, Andy? Gdzie mieszkasz? Mówiłeś mi o ojcu, ale może to też fikcja. Był kimś znanym? Na pewno.

- Był lekarzem - odparł bez namysłu Osnard.

- Jakim? Jakimś znanym neurologiem? Może kardiologiem?

- Internistą.

- Gdzie miał praktykę? W jakimś egzotycznym miejscu?

- W Birmingham.

- A matka?

- Pochodzi z południowej Francji.

Ale Pendel pomyślał, że Osnard może umieścić swego nieżyjącego ojca w Birmingham, a

matkę na Riwierze francuskiej z taką samą niefrasobliwością, z jaką Pendel ulokował nieżyjącego Braithwaite'a w miasteczku Pinner.

Klub Union jest miejscem, gdzie superbogacze Panamy zstępują na ziemię. Z odpowiednim respektem Pendel przejechał pod czerwonym hinduskim łukiem, zwalniając stosownie przy dwóch umundurowanych strażnikach, aby przekonali się, że on i jego gość są białymi mężczyznami należącymi do klasy średniej. W piątki w klubie odbywają się dyskoteki dla dzieci milionerów nieżydowskiego pochodzenia. Przy jasno oświetlonym wejściu z lśniących terenówek wysypują się naburmuszone siedemnastoletnie księżniczki i muskularni młodzieńcy ze złotymi bransoletami i martwymi oczami. Do wejścia prowadziły barierki z grubych purpurowych linek. Strzegli go barczyści ochroniarze w liberiach szoferów z identyfikatorami wpiętymi w klapy. Osnarda obdarzyli konfidencjonalnymi uśmiechami, za to na Pendela patrzyli podejrzliwie, ale przepuścili go. Przestronny, chłodny hol wychodził na morze. Zielony dywan prowadził schodami na taras. Dalej rozpościerała się zatoka z wiecznym szeregiem statków, które pod spiętrzonymi czarnymi chmurami wyglądały jak pancerniki. Resztki dziennego światła znikwały szybko. W powietrzu unosił się dym papierosowy, zapach drogich perfum i rytmiczna muzyka.

- Widzisz tamtą groblę, Andy?! - ryknął Pendel. Jedną ręką jak gospodarz wskazał nabrzeże, drugą wpisywał dumnie gościa do księgi. - Powstała z materiału uzyskanego przy wykopywaniu Kanału. Dzięki niej rzeki nie zamulają kanału nawigacyjnego. Nasi jankescy przodkowie mieli olej w głowie - oświadczył, zapewne identyfikując się w tym momencie z Louisa, gdyż w jego żyłach nie płynęła nawet kropla jankeskiej krwi. - Szkoda, że nie było cię tutaj, kiedy wyświetlali filmy pod gołym niebem. Pomyślałbyś, że to niemożliwe: filmy na świeżym powietrzu w porze deszczowej! Wiesz, jak często pada w Panamie między szóstą a ósmą wieczorem w porze suchej i w deszczowej? Średnio dwa dni w roku! Widzę, że jesteś zaskoczony.

- Gdzie możemy zamówić coś do picia? - zapytał Osnarda.

Ale Pendel musiał mu jeszcze pokazać najnowszy i najwspanialszy nabytek klubu: cichobieżną, ozdobioną windę, która przewozi trzy metry w górę na piętro stetryczałe milionerki.

- Przyjeżdżają tu na karty, Andy. Niektóre z tych damulek rzną w karty dzień i noc. Pewnie sądzą, że okpią tym śmierć.

Bar opanowała gorączka piątkowej nocy. Goście machali do siebie, przywoływali się, poklepywali znajomych po plecach, kłócili się, lawirowali między stolikami i próbowali wzajemnie zakrzyczeć. Niektórzy z nich pozdrawiali Pendela, ściskali mu dłoń lub stroili niewybredne żarty z jego garnituru.

- Pozwól sobie przedstawić mego dobrego przyjaciela Andy'ego Osnarda, jednego z ulubionych synów Jej Królewskiej Mości. Przyjechał niedawno z Anglii, żeby przywrócić dobre imię dyplomacji! - krzychał Pendel do ucha bankierowi imieniem Luis.

- Następnym razem mów tylko „Andy”. Nikogo nie obchodzi, czym się zajmuję - poradził Osnarda, kiedy Luis wrócił do swoich dziewcząt. - Są tu dzisiaj jakieś grube ryby? Kim są ci ludzie? Widzę, że nie ma Delgado. Jest w Japonii i zabawia się tam z prezydentem.

- Masz rację. Ernie jest teraz w Japonii i Louisa może trochę odetchnąć w pracy. Niech mnie! Kogo my tu mamy? A to dopiero niespodzianka!

W Panamie plotki zastępują kulturę. Wzrok Pendela spoczął na dystyngowanym wąsatym dżentelmenie po pięćdziesiątce, któremu towarzyszyła piękna młoda kobieta. Był ubrany w ciemny garnitur i srebrny krawat. Jego towarzyszka miała czarne włosy opadające luźno na jedno obnażone ramię, a na jej szyi wisiała ogromna diamentowa kolia, w której niemal tonęła. Siedzieli sztywno obok siebie jak małżeństwo na starej fotografii i przyjmowali powinszowania od życzliwych.

- Nasz dzielny sędzia wrócił do nas, Andy - wyjaśnił Pendel Osnardowi - zaledwie tydzień po oddaleniu wszystkich zarzutów. Brawo, Miguel.

- To twój klient?

- W rzeczy samej, Andy, i bardzo go cenię. W tego dżentelmena zainwestowałem cztery niewykończone garnitury i smoking, do zeszłego tygodnia przeznaczone na wyprzedaż w Nowym Jorku. - Pendela nie trzeba było ciągnąć za język. - Mój przyjaciel Miguel - ciągnął dalej z tego rodzaju gorliwością, która przekonuje nas, że dana osoba przywiązuje ogromną wagę do prawdy - parę lat temu dowiedział się, że pewna dama, o której dobrobyt troszczył się osobiście, darzy względami innego. Oczywiście jego rywal był również prawnikiem. Z żalem muszę dodać, że większość panamskich prawników zdobyła wykształcenie w Stanach Zjednoczonych. Miguel zrobił to, co każdy z nas zrobiłby w tych okolicznościach - wynajął płatnego zbira, który uwolnił go od kłopotu.

- Zuch z niego. Jak to zrobił?

Pendel przypomniał sobie wyrażenie Marka, zapożyczone z sensacyjnego komiksu skonfiskowanego przez Louise. - Zatrucie ołowiem, Andy. Trzy celne strzały. Jeden w głowę, dwa w tors; martwe ciało można było obejrzeć na pierwszych stronach wszystkich gazet. Zabójcę aresztowano, co w Panamie *zdarza*, się nader rzadko. I pokornie przyznał się do winy, co trzeba przyznać, aż tak rzadkie nie jest.

Przerwał, widząc pełen uznania uśmiech Osnarda, i pozwolił sobie na chwilę artystycznej zadumy. Benny nazwałby to wydobywaniem atrakcyjnych szczegółów.

Nabieraniem płynności. Dodawaniem historii pikanterii dla dobra słuchaczy.

- Podstawą aresztowania, Andy, a co za tym idzie przyznania się do winy, był czek na sto tysięcy dolarów wystawiony przez naszego przyjaciela Miguela dla rzekomego zabójcy, zrealizowany w Panamie z dość ryzykownym założeniem, że tajemnica bankowa zapewnia ochronę przed wścibskimi oczami.

- Poszło o nią - powiedział Osnard, dyskretnie obserwując damę. - Wygląda na to, że znów zapalała do niego uczuciem.

- Tak, tak, a teraz podobno połączyły ją z Miguelem święte wiązki małżeńskie, ale ponoć źle znosi niewolę. Dzisiaj jesteś świadkiem triumfalnego powrotu do łask Miguela i Amandy.

- Jak udało mu się wywinąć?

- Po pierwsze, Andy - mówił Pendel, podniecony perspektywą zaprezentowania swej wszechwiedzy, choć jego wiadomości były dość mizerne - mówi się o łapówce w wysokości siedmiu milionów dolarów, na którą nasz mądry sędzia może sobie spokojnie pozwolić, zważywszy, że on jest właścicielem firmy transportowej specjalizującej się w imporcie ryżu i kawy z Kostaryki bez kłopotania przepracowanych urzędników, a jego brat zaszedł wysoko w urządzie celnym.

- A po drugie?

Pendel rozkoszował się wszystkim: sobą, swoim głosem i wrażeniem, że oto triumfalnie zmartwychwstaje.

- Powołana do zbadania dowodów komisja sądowa doszła do rozsądnego wniosku, że zarzutom brak wiarygodności. Uznano, że sto tysięcy dolarów to nierealna cena za zwykłe zabójstwo w Panamie. Wystarczyłby tysiąc. A poza tym, jaki wykształcony sędzia o zdrowych zmysłach podpisałby czek dla płatnego zabójcy swoim nazwiskiem? Według wyważonej opinii komisji zarzuty były prymitywną próbą wrobienia szanowanego członka partii i obywatela kraju.

Mamy tutaj w Panamie powiedzenie: sprawiedliwość zależy od człowieka.

- Co się stało z zabójcą?

- Oficerowie śledczy przesłuchali go jeszcze raz, a on odwołał poprzednie zeznania i potwierdził, że nigdy w życiu nie widział Miguela. Zlecenie otrzymał od pewnego brodacza w ciemnych okularach podczas jedyne go spotkania w holu hotelu Caesar Park, kiedy w dodatku wysiadło światło.

- Nikt nie protestował? Pendel już kręcił głową.

- Emie Delgado i paru innych obrońców praw człowieka próbowało, ale jak zwykle ich protesty nie padły na podatny grunt z powodu pewnego braku wiarygodności - dodał, nie wiedząc jeszcze, o czym chce powiedzieć. Mknął jednak dalej przed siebie niczym kierowca uciekającej ciężarówki.

- Ernie nie zawsze jest taki, za jakiego się podaje, wiadomo.

- Gdzie tak jest?

- W pewnych kręgach, Andy. W dobrze poinformowanych kręgach.

- To znaczy, że i on nie grzeszy uczciwością, jak reszta?

- Podobno - odparł tajemniczo Pendel, opuszczając powieki dla podkreślenia swojej prawdomówności. - Nie powiem nic więcej, jeśli pozwolisz. Mogę się zagalopować i zaszkodzić Louisie.

A co z czekiem?

Pendel zauważył z przykrością, że małe oczka - jak wcześniej w zakładzie - zamieniły się w czarne kraterki na nieodgadnionej twarzy Osnarda.

- Prymitywna podróbka, Andy, co pewnie cały czas podejrzewałeś - odparł, czując, jak rozgrzewają mu się policzki. - Kasjer został słusznie zwolniony, o czym z radością donoszę, więc to już się nie powtórzy. No i oczywiście są jeszcze białe garnitury. Biel odgrywa w Panamie ogromną rolę - większą, niż sądzi wielu ludzi.

- Co to znaczy? - zapytał Osnard, nadal świdrując go spojrzeniem. Znaczyło to, że Pendel zauważył poważnego Holendra o imieniu Henk, który miał zwyczaj ścisnąć dłoń w dziwny sposób i konspiracyjnym szeptem rozmawiać o najbardziej przyziemnych sprawach.

- Masoni, Andy - odrzekł z poważnym zamiarem zmuszenia Osnarda, żeby odwrócił gdzieś wzrok. - Tajemne stowarzyszenia, Opus Dei. Czarna magia dla wyższych sfer. Reasekuracja na wypadek, gdyby religia nie zadziałała. Panama to bardzo przesądny kraj. Powinieneś zobaczyć nas dwa razy w tygodniu biegających z kuponami lotka.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Osnard, zniżając głos na tyle, żeby nie było go słychać poza ich stolikiem.

- Mam dwa sposoby, Andy.

- Mianowicie?

- Cóż, mam dostęp do, jak to nazywam, nadajnika. Moi klienci zbierają się co czwartek wieczorem, co zresztą bardzo lubię, i szczerze sobie rozmawiają przy kieliszku czegoś mocniejszego w moim zakładzie.

- A drugi sposób? - Znów bliskie, intensywne spojrzenie.

- Andy, gdybym ci powiedział, że ściany mojej przymierzami słyszały więcej spowiedzi niż ksiądz w konfesjonale, wcale bym nie przesadził.

Był jeszcze trzeci sposób, o którym Pendel nie wspomniał. Może nie zdawał sobie sprawy, że jest w jego jarzmie. Było to krawiectwo. Ciągłe poprawki. Modelowanie klientów dotąd, aż stawali się elementami jego wewnętrznego kosmosu. Płynność. Wybieganie w przyszłość i oczekiwanie, aż wydarzenia dobiegają do niego. Powiększanie lub zmniejszanie ludzi w zależności od ich wpływu na jego egzystencję. Skrócić Delgado, podłużyć Miguela. Harry Pendel utrzymywał się na powierzchni jak korek na wodzie. Ten system przetrwania stworzył w więzieniu i dopracował do perfekcji w małżeństwie, a jego celem było dostarczenie wrogiemu światu tego, co go zadowalało. Uczynienie go znośnym, oswojenie, pozbawienie żądła.

- A teraz - ciągnął dalej Pendel, umiejętnie unikając spojrzenia Osnarda i rozsyłając wokół uśmiechy - stary Miguel przeżywa, jak to nazywam, ostatnią wiosną. W moim fachu obserwują to cały czas. Jednego dnia są sumiennymi pracownikami, dobrymi ojcami i przykładnymi mężami z dwoma garniturami na rok. A następnego stuka im pięćdziesiątka, zamawiają spodnie z kolorowej skóry i jaskrawe marynarki, a ich żony dzwonią do mnie i pytają, czy ich widziałem.

Ale Osnard, mimo wysiłków Pendela, by zainteresować go czymś innym, nie przestawał na niego patrzeć. Nie spuszczał bystrych, lisich oczu z Pendela, a jego twarz - jeśli w całym tym zamieszaniu ktoś zadał sobie trud, by jej się przyjrzeć - miała taki wyraz jak u człowieka, który trafił na złotą żyłę i nie wie, czy ma biec po pomoc, czy kopać samemu.

Do baru napływały fale nowych gości. Pendel uwielbiał ich wszystkich: „Jules! Mój Boże, wspaniale cię widzieć! Poznaj Andy’ego, mojego kumpla - Francuz, obraca obligacjami, problemy z należnościami.

Mordi, co za radość! - Młody dealer samochodowy z Kijowa, przybył z nową imigracją rosyjskich Żydów, przypomina mi wuja Benny’ego. - Mordi, przywitaj się z Andym!

Przystojny młody Kazuo i jego małżonka z Japanese Trade Centre, najładniejsza para w mieście. - Nisko się kłaniam szanownemu panu! Wyrazy uszanowania, droga pani! - Trzy garnitury z dodatkową parą spodni, ale nie potrafią ci powtórzyć jego nazwiska, Andy. Pedro, młody prawnik. Fidel, młody bankier.

Jose-Maria, Antonio, Salvador, Paul, młodociani maklerzy, głupawe, niedoświadczone książątka, zwane tutaj *rabiblancos*, dwudziesto trzyletni handlarze o wyłupiastych oczach, zamartwiający się swą męskością i doprowadzający się alkoholem do impotencji”.

Pomiędzy uściskami dłoni, poklepywaniem się po plecach i słowami „do zobaczenia w czwartek, Harry” Pendel objaśniał po cichu, kim są ich ojcowie, ile który zarabia i jak ich rodzeństwo taktycznie ulokowano w różnych partiach politycznych.

- O Jezu - zdziwił się szczerze Osnard, gdy wreszcie zostali sami.

- A co Jezus ma z tym wspólnego? - zapytał nieco agresywnie Pendel, gdyż Louisa nie

pozwalala bluźnić w domu.

- Nie Jezus, przyjacielu. Ty.

Tekowe trony i wytworne srebrne sztuce miały nadać restauracji klubu Union luksusowy charakter, ale dziwnie niski sufit i nikłe oświetlenie sprawiały, że bardziej przypominała podziemny schron dla ukrywających się pokątnych bankierów. Posadzeni przy narożnym oknie Pendel i Osnard popijali chilijskie wino i jedli ryby z Pacyfiku. Z każdego oświetlonego świecami obozu goście szacowali się nawzajem pełnymi niezadowolenia spojrzzeniami: ile masz milionów?.. jak on się tu dostał?...a ona gdzie się pcha z tymi diamentami? Za oknem niebo było już czarne jak smoła. W podświetlonym basenie atletyczny ratownik w czepku przenosił na ramionach przez głęboką wodę dziewczynkę w złotym kostiumie. Obok niego brodził otyły ochroniarz z wyciągniętymi przezornie rękami, żeby ją złapać, jeśli spadnie. Na skraju basenu znudzona matka dziewczynki, ubrana w markowy kostium kąpielowy, malowała sobie paznokcie.

- Nie chcę się chwalić, Andy, ale Louisa jest, jak to mówią, perłą - mówił Pendel. Dlaczego o Louisie? Osnard musiał o niej wspomnieć. - Louisa jest świetną, profesjonalną sekretarką o niewiarygodnym potencjale, którego moim zdaniem jeszcze w pełni nie wykorzystano. - Po nieprzyjemnej rozmowie telefonicznej wychwalanie jej sprawiało mu teraz przyjemność. - Odwała najgorszą robotę. Oficjalnie od trzech miesięcy jest osobistą asystentką Erniego Delgado. Poprzednio pracował w firmie prawniczej Delgado & Woolf, ale poświęcił własne interesy dla dobra ogółu. W administracji Kanału panuje takie zamieszanie w związku z oczekiwanym przejściem - jankesi wychodzą jednymi drzwiami, Panamczycy wchodzi drugimi - że Louisa jest tam jedną z nielicznych osób o trzeźwym umyśle. Pozdrawia, usprawiedliwia, ukrywa trudności. Wie, gdzie co znaleźć, a jeśli nie można znaleźć, wie, kto ukradł.

- Prawdziwy skarb - ocenił Osnard. Pendela rozpieierała duma z małżonki.

- Nie mylisz się, Andy. I jeśli chcesz znać moją opinię, Ernie Delgado jest wielkim szczęściarzem. Trzeba przygotować konferencję na wysokim szczeblu, a gdzie protokół z ostatniej? A to znów musi przyjąć zagraniczną delegację i nie wie, gdzie się podziewają ci cholerni japońscy tłumacze? - I znów poczuł nieprzewartą chęć obłupania piedestału Erniego Delgado. - Poza tym jest jedyną osobą, do której Ernie odzywa się na kacu albo kiedy nasłucha się wyrzutów żony. Bez Louisy starego Erniego już by wynieśli nogami do przodu, a jego aureola nieco by przygasła.

- Japończycy - powoli powtórzył zadumany głosem Osnard.

- Równie dobrze mogliby być Szwedzi, Niemcy lub Francuzi. Ale najczęściej są to Japończycy.

- Skąd? Z Japonii? Miejscowi? Turyści? Handlowcy? Urzędnicy?

- Prawdę mówiąc, nie wiem, Andy. - Głupawy, nerwowy chichot. - Dla mnie wszyscy wyglądają tak samo. Chyba dużo bankierów.

- Ale Louisa wie.

- Andy, ci Japończycy jedzą jej z ręki. Nie wiem, z czego to wynika, ale warto popatrzeć na nią, kiedy się kłania, uśmiecha i oprowadza gości. Naprawdę.

- Pracuje czasem w domu? W weekendy? Wieczorami?

- Tylko wtedy, kiedy musi. Najczęściej w czwartki, żeby mieć wolny weekend dla dzieci.

Wtedy ja ugaszczam moich klientów. Nie płacą jej za nadgodziny i cholernie ją wykorzystują. Ale płacą według amerykańskich stawek, co nie jest bez znaczenia, przyznaję.

- Co robi?

- W domu? Ślęczy nad papierami, pisze.

- Z forszą. Z wypłatą.

- Trafia na nasz wspólny rachunek, co uważa za rzecz właściwą, będąc nieposzlakowanie uczciwą kobietą i matką - odparł afektowanie Pendel.

I ku swemu zaskoczeniu poczuł, że oblewa się szkarłatnym rumieńcem, a do oczu napływają mu gorące łzy, chociaż jakoś udało się je namówić, żeby wróciły tam, skąd przyszły. Osnard nie zarumienił się, a łzy nie wezbrały w jego czarnych guzikowatych oczach.

- Pracuje, żeby spłacić Ramóna, biedulka - odparł bezlitośnie. - I nawet o tym nie wie.

Ale nawet jeśli okrutne stwierdzenie faktu zawstydziło Pendela, nie dał tego po sobie poznać. Spoglądał nerwowo w głąb sali, a na jego twarzy radość mieszała się z obawą.

- Harry! Mój przyjacielu! Harry! Klnę się na Boga, że cię kocham! Ogromna postać w karmazynowej marynarce toczyła się w ich stronę, potrącając stoliki i ściągając na siebie pełne złości okrzyki tych, którym przewróciła drinki. Wciąż jeszcze młody mężczyzna mimo spustoszeń poczynionych przez cierpienia i hulaszczę życie nosił jeszcze ślady dawnej urody. Na jego widok Pendel wstał od stołu.

- *Senor* Mickie. Ja też ciebie kocham. Jak się dzisiaj mamy? - zapytał niespokojnie. - Poznaj Andy'ego Osnarda, mojego kumpla. Andy, to Mickie Abraxas. Mickie, chyba jesteś trochę wstawiony. Usiądźmy.

Ale Mickie chciał popisać się nową marynarką i nie mógł usiąść. Wziął się pod boki, wykonał groteskową imitację piruetu jak na pokazie mody i żeby nie upaść, przytrzymał się krawędzi stołu. Stół zakołysał się i kilka talerzy spadło z brzękiem na podłogę.

- Podoba ci się, Harry? Dumni jesteś z siebie? - mówił bardzo głośno z amerykańskim akcentem.

- Jest przepiękna - zapewnił go gorliwie Pendel. - Właśnie mówiłem Andy'emu, że jeszcze nigdy tak pięknie nie skroiliśmy ramion. Leży na tobie rewelacyjnie. Prawda, Andy? No, usiądźmy i pogadajmy.

Ale Mickie skupił się na Osnardzie.

- A tobie jak się podoba? Osnard uśmiechnął się beztrąsko.

- Gratulacje. P & B w szczytowej formie. Wszystko jak trzeba.

- A kim ty, kurwa, jesteś?

- To mój klient, Mickie - wyjaśnił Pendel, usilnie dążąc do zgody, jak zwykle w towarzystwie Mickiego. - Ma na imię Andy. Mówiłem ci, ale nie słuchałeś. Mickie studiował w Oksfordzie, prawda? Powiedz Andy'emu, w którym college'u. Jest wielbicielem angielskiego stylu życia i kiedyś był prezesem anglo-panamskiego Towarzystwa Kulturalnego, prawda, Mickie? Andy jest bardzo ważnym dyplomatą, prawda, Andy? Pracuje w ambasadzie brytyjskiej. Arthur Braithwaite szył garnitury dla jego ojca.

Mickie Abraxas przetrwał podane informacje bez zachwyty, ponuro mierząc wzrokiem Osnarda. Nie podobało mu się to, co widział.

- Wiesz, co bym zrobił, gdybym został prezydentem Panamy, Andy?

- Może usiądziesz, Mickie, i opowiesz nam to?

- Wszystkich bym powybił. Nie ma dla nas nadziei. Jesteśmy pokręceni. Dostaliśmy od Boga tyle, żeby stworzyć raj. Urodzajne ziemie, plaże, góry, niezwykłą przyrodę. Wystarczy wetknąć w ziemię kijek, a wyrasta z niego drzewo owocowe. Ludzie są tak piękni, że tylko płakać. A co robimy? Oszukujemy. Spiskujemy. Łżemy. Udajemy. Kradniemy. Głodzimy się nawzajem. Zachowujemy się, jakby oprócz nas nikogo nie było. Jesteśmy tak głupi, zepsuci i ślepi, że nie wiem, dlaczego ziemia nas jeszcze nie pochłonęła. Właściwie wiem. Sprzedaliśmy ją pieprzonym Arabom w Colón. Powiesz o tym królowej?

- Nie mogę się doczekać - odparł uprzejmie Osnard.

- Mickie, zaraz się na ciebie pogniewam, jeśli nie usiądziesz. Robisz z siebie przedstawienie, a mnie przynosisz wstyd.

- Nie kochasz mnie?

- Wiesz, że kocham. A teraz usiądź i zachowuj się grzecznie.

- Gdzie Marta?

- W domu. Tam, gdzie mieszka, w El Chorillo. Pewnie się uczy.

- Kocham ją.

- Cieszę się, Mickie, Marta też się ucieszy. A teraz usiądź.

- Ty też ją kochasz.

- Na pewno obaj ją kochamy, każdy na swój sposób - odparł Pendel. Nie zarumienił się, ale głos na chwilę uwiązł mu w gardle. - A teraz usiądź grzecznie. Proszę.

Mickie chwycił głowę Pendela w obie dłonie i szepnął mu do ucha, pryskając śliną:

- Dolce Vita w głównej niedzielnej gonitwie, słyszysz? Rafi Domingo przekupił dżokejów. Co do jednego, słyszysz? Powiedz Marcie. Niech się wzbogaci.

- Mickie, słyszę cię dobrze i wyraźnie, Rafi był dzisiaj u mnie. Za to ciebie nie było, a szkoda, bo czeka na ciebie do przymiarki piękny smoking. A teraz bądź przyjacielem i usiądź.

Kątem oka Pendel zauważył pod ścianą dwóch osiłków z identyfikatorami, którzy zbliżali się do nich pewnym krokiem. Otoczył opiekuńczym ramieniem potężne plecy Mickiego.

- Mickie, jeśli będziesz się tak zachowywał, nigdy nie uszyję ci garnituru - powiedział po angielsku. A po hiszpańsku rzucił do ochroniarzy: - Wszystko w porządku, dziękujemy panom. Pan Abraxas sam wyjdzie.

- Co?

- Słyszysz, co mówię, Mickie?

- Nie.

- Santos czeka w samochodzie?

- A co to ma do rzeczy?

Pendel chwycił Mickiego za ramię i wyprowadził delikatnie przez salę pod lustrzanym sufitem do holu, gdzie szofer Santos czekał już niecierpliwie na swego pana.

- Szkoda, że widziałeś go w takim stanie - rzekł nieśmiało Pendel. - Mickie jest jednym z nielicznych prawdziwych bohaterów Panamy.

Nie kryjąc dumy, przedstawił w obronie Mickiego krótką historię jego życia: ojciec był greckim imigrantem, armatorem i bliskim kumplem generała Omara Torrijosa. Dlatego zaniedbał sprawy zawodowe i oddał się całkowicie panamskiemu handlowi narkotykami, czyniąc z niego coś, z czego każdy, kto wojuje z komunizmem, byłby dumny.

- Zawsze tak gada?

- Tu nie chodzi tylko o słowa, Andy. Mickie szanował swego ojca, lubił Torrijosa i nie lubił wiadomo kogo. - Zgodnie z uciążliwym miejscowym zwyczajem nie wymienił nazwiska Noriegi. - Obwieszczał to wszem i wobec, aż wiadomo kto stracił cierpliwość, kazał go zamknąć w więzieniu i uciszyć.

- O co mu chodziło z Martą?

- Widzisz, Andy, to stare dzieje. Kac po czasach, kiedy oboje walczyli o swoje ideały. Marta była córką czarnego robotnika, a on rozpieszczonym bogatym chłopakiem, ale, jak to się mówi, ramię w ramię walczyli o demokrację - odpowiedział Pendel, nie wdając się w szczegóły. Chciał jak najszybciej skończyć ten temat. - W tych czasach zawierano dziwne przyjaźnie. Powstawały mocne więzi. Jak powiedział. Kochali się. Zresztą nic dziwnego.

- Mówił też chyba o tobie. Pendel pędził jeszcze szybciej.

- Tutejsze więzienia, Andy, to więzienia z prawdziwego zdarzenia, nie to co u nas. Nie chcę przez to bynajmniej uchybić naszym angielskim zakładom, o nie. Zamknęli Mickiego z grupą niezbyt wrażliwych recydywistów, było ich dwunastu w celi lub nawet więcej, i od czasu do czasu przenosili do innej celi, jeśli wiesz, o czym mówię. Co nie wyszło Mickiemu na dobre z racji tego, że był wtedy młody i przystojny - urwał skrępowany.

Zamilkł na chwilę, a Osnard był na tyle taktowny, że nie przerywał minuty ciszy dla uczczenia utraconej urody Mickiego. - No i kilka razy skatowali go do nieprzytomności, bo ich zdenerwował.

- Odwiedzałeś go? - zapytał niedbale Osnard.

- W więzieniu? Owszem, tak.

- Musiałeś dziwnie się czuć po drugiej stronie krat.

Mickie chudy jak strach na wróble, zmasakrowana od ciosów twarz, w oczach odbicie niedawnego piekła. Mickie w postrzępionych pomarańczowych łańcach. Czerwone sączące się pęcherze na kostkach i nadgarstkach. Zakuty w łańcuchy musi nauczyć się, że kiedy go biją, nie może się wyrywać, ale przyswojenie tej lekcji zawsze zajmuje trochę czasu. Bełkot: „Harry, na Boga, daj mi rękę, Harry, jesteś moim przyjacielem, wyciągnij mnie stąd”. Szept: „Mickie, posłuchaj mnie, musisz się »rozmyć«, chłopcze, nie patrz im w oczy”. Koniec rozmowy. Pozostało już tylko „cześć” i „do zobaczenia wkrótce”.

- A teraz co robi? - zapytał Osnard, jakby nagle stracił zainteresowanie tematem. - Poza tym, że zapija się na śmierć i sprawia wszystkim kłopot?

- Mickie? - zapytał Pendel.

- A kto?

I nagle ten sam chochlik, który wcześniej podpuścił Pendela, żeby zrobić z Delgado łapówkarza, teraz kazał mu przedstawić Abraxasa jako współczesnego bohatera. Jeśli temu Osnardowi wydaje się, że może lekceważyć Mickiego, to się grubo myli. Mickie jest jego przyjacielem, współwięźniem. Mickiemu łamano palce i miażdżono jądra. Mickiego gwałcili recydywiści, kiedy Osnard bawił się na boisku w swojej przyzwoitej angielskiej szkółce.

Pendel rozejrzał się ukradkiem po sali, żeby upewnić się, czy nikt ich nie podsłuchuje. Przy sąsiednim stoliku mężczyzna o jajowatej głowie odbierał duży biały telefon od kelnera. Potem kelner zabrał telefon i zaraz przekazał go niczym przechodni puchar kolejnemu gościowi.

- Mickie cały czas w tym siedzi, Andy - wymamrotał pod nosem Pendel. - Pozory czasem

mylą, i tak jest w przypadku Mickiego. Tak było i tak już zostanie, że się tak wyrażę.

Co on wyprawia? Co on wygaduje? Ledwo siebie poznawał. Plątał się w zeznaniach. Gdzieś w jego przepracowanym umyśle kołatała się myśl, że w goście przyjaźni uczyni z Mickiego człowieka odrodzonego - trzeźwego, ślicznego, wojowniczego i dzielnego, którym nigdy nie był.

- W czym siedzi? Nie rozumiem. Mówisz jakimś szyfrem.

- No tam.

- Gdzie?

- W Cichej Opozycji - rzekł Pendel niczym średniowieczny rycerz, który rzuca chorągiew w szeregi wroga i szarżuje, żeby ją odzyskać.

- Co takiego?

- Cicha Opozycja. Tworzy ją razem z innymi przeciwnikami.

- Przeciwnikami czego, na litość boską?

- Obłudy, Andy, gry pozorów. Tego, co się kryje pod opakowaniem - brnął dalej Pendel, wznosząc się na niezdobyte dotąd szczyty fantazji. Przyszły mu w sukurs prawie już zapomniane rozmowy z Martą. - We współczesnej, nieskazitelnej Panamie mamy symulowaną demokrację, ha, ha. Wszystko to pozory. Właśnie o tym mówił. Sam słyszałeś. Oszukujemy, spiskujemy, łżemy, udajemy. Po zdjęciu kurtyny okaże się, że ci sami panowie, którzy współpracowali z wiadomo kim, czekają tylko, żeby znów dorwać się do steru.

Przymrużone oczy Osnarda wciąż przeszywały Pendela czarnym blaskiem. Chce poznać moje możliwości, pomyślał Pendel, przerażony konsekwencjami swej galopady. Tylko to go interesuje. Nie to, co wiem, tylko możliwości. Nie obchodzi go, czy czytam z notatek, czy mówię z pamięci, czy improwizuję. Pewnie nawet nie słucha. W każdym razie nie tak, jak powinien.

- Mickie kontaktuje się z ludźmi z drugiej strony mostu - szarżował dalej.

- Czyli z kim?

Chodziło mu o Most Ameryk. Kolejne wyrażenie Marty.

- Z podziemiem zwykłych, szarych ludzi - rzekł śmiało Pendel - z bojownikami i idealistami, którzy nad łapówki przedkładają postęp - odpowiedział, cytując słowo w słowo Martę. - Z chłopami i robotnikami, których zdradził chciwy i leniwy rząd. Z szanowanymi przedstawicielami wolnych zawodów. Z porządną częścią panamskiego społeczeństwa, której się nie widzi i nie słyszy. Organizują się. Mają już dosyć. Tak jak Mickie.

- Marta w tym siedzi?

- Możliwe, Andy. Nie pytam. Nie muszę wiedzieć. Mam swoje podejrzenia. Ale więcej nic nie powiem.

Długa przerwa.

- A właściwie czego mają dosyć?

Pendel rozejrzał się ukradkiem po sali. Był Robinem Hoodem, nadzieją dla uciśnionych, opoką sprawiedliwości. Przy sąsiednim stoliku hałaśliwa grupa dwunastu osób pochłaniała homary, popijając szampanem Dom Perignon.

- Tego - powiedział z naciskiem przyciszonym głosem. - Ich. I wszystkiego, co się za tym kryje.

Osnard chciał usłyszeć więcej o Japończykach.

- No cóż, Andy, ci twoi Japończycy... właśnie poznałeś jednego i pewnie dlatego pytasz... otóż Japończycy są w Panamie od jakichś dwudziestu lat - odparł entuzjastycznie Pendel, szczęśliwy, że może zostawić temat swego jedyne go prawdziwego przyjaciela. - Urządzają japońskie procesje ku radości gawiedzi, przyjeżdżają japońskie orkiestry dęte, otwierają japoński sklep z owocami morza, jest nawet finansowany przez Japończyków kanał edukacyjny w telewizji - dodał, przypominając sobie jeden z niewielu programów, które wolno oglądać jego dzieciom.

- A który Japończyk jest najważniejszy?

- Wśród klientów, Andy? Nie wiem. Są, jak to się mówi, zagadkowi. Musiałbym chyba zapytać Martę. Zawsze mówimy i wcale nie mijamy się z prawdą, że z jednego zdejmujemy miarę, a sześciu się kłania i robi mu zdjęcia. No więc jest pan Yoshio z misji handlowej, który trochę zadziera nosa, i niejaki Toshikazu z ambasady, ale nie wiem, czy to imię, czy nazwisko, musiałbym sprawdzić.

- Albo zapytać Martę.

- Właśnie.

Czuając na sobie ciemne spojrzenie Osnarda, Pendel uraczył go przymilnym uśmiechem, ale nie zdołał skłonić go do odwrócenia oczu.

- Zapraszacie czasem Erniego Delgado na kolację? - zapytał Oswald, choć Pendel spodziewał się dalszych pytań o Japończyków.

- Skądże, nie.

- Czemu? Jest przecież szefem żony.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czy Louisa zgodziłaby się.

- Dlaczego?

Znowu ten chochlik. Pojawia się, by przypomnieć, że nic nigdy nie ginie; że chwila zazdrości może przerodzić się w całe życie kłamstw; i że na dobrego człowieka, którego się oczerniło, jest jeden sposób: oczernić go jeszcze bardziej.

- Ernie jest zatwardziałym hipokrytą. Taki sam był za rządów wiadomo czyich, chociaż nigdy nie dawał tego po sobie poznać. W towarzystwie liberalnych przyjaciół obrzucał go największym gównem, przeproszam za wyrażenie, a gdy się odwracali, przyskakiwał do wiadomo kogo i podlizywał się: „Tak, proszę pana, nie, proszę pana, czym mogę służyć, Najjaśniejszy Panie?”.

- Ale nie wszyscy o tym wiedzą, prawda? Dla większości Emie to człowiek bez skazy.

- I dlatego jest niebezpieczny, Andy. Zapytaj Mickiego. Ernie jest jak góra lodowa: pod wodą jest go dużo więcej niż na powierzchni.

Osnard oderwał kęs chleba, posmarował odrobiną masła i włożył do ust. W zamyśleniu przeżuwał powoli kolistymi ruchami dolnej szczęki. Ale jego zmrużone czarne oczy potrzebowały czegoś więcej niż chleba z masłem.

- Ten pokój na górze u ciebie w zakładzie... Kącik Sportsmena.

- Podoba ci się?

- Nie myślałeś nigdy, żeby zamienić go w pokój klubowy dla klientów? Takie miejsce, gdzie mogliby się rozluźnić? To lepsze niż wysłużona sofa i fotel na dole w czwartkowe wieczory.

- Myślałem wiele razy. Do licha, jestem pod wrażeniem. Raz rzuciłeś okiem i od razu

wpadłeś na ten pomysł. Ale zawsze borykam się z problemem, gdzie przenieść Kącik Sportsmena?

- Te rzeczy przynoszą duże wpływy?

- O tak.

- Mnie nie zainteresowały.

- Tanie artykuły sportowe są moją przynętą. Jeśli nie będę ich sprzedawał, ktoś inny mnie wyręczy i odbierze mi klientów.

Żadnych zbędnych ruchów, z niepokojem pomyślał Pendel. Znałem kiedyś takiego oficera policji. Nie przebierał palcami, nie drapał się po głowie, nie wiercił tyłkiem. Tylko siedział i patrzył na ciebie tymi swoimi ślepiami.

- Zdejmujesz mi miarę na garnitur, Andy? - zapytał żartobliwie.

Ale nie oczekiwał odpowiedzi. Znów popatrzył w głąb sali, gdzie grupa nowych gości, mężczyzn i kobiet, zajmowała miejsca przy długim stole.

- A oto druga strona równania! - oświadczył, wymieniając nieco zbyt energiczne powitalne gesty z osobą siedzącą u szczytu stołu. - Rafi Domingo we własnej osobie. Drugi przyjaciel Mickiego, no proszę!

- Jakiego równania? - zapytał Osnard. Pendel dyskretnie zasłonił usta.

- Chodzi o tę kobietę obok niego, Andy.

- No i co?

- To żona Mickiego.

Osnard błyskawicznie odnalazł wzrokiem odległy stolik, nie przestając zajmować się jedzeniem.

- Ta z dużymi cyckami?

- Ta sama, Andy. Czasem zastanawiam się, po co niektórzy biorą ślub, a ty?

- Domingo. Słucham - rozkazał Osnard, zupełnie jakby mówił: „Środkowe c. Słucham”.

Pendel wciągnął powietrze. W głowie mu się kręciło, był już zmęczony, ale nikt nie zarządził przerwy, więc grał dalej.

- Lata własnym samolotem - rzucił na oślep. Słyszał o tym w zakładzie.

- Gdzie?

- Prowadzi kilka eleganckich hoteli, w których nikt nie mieszka. Plotki z kilku źródeł.

- Czemu?

Zdał się na płynność.

- Hotele należą do konsorcjum z siedzibą w Madrycie.

- I co z tego?

- Chodzą słuchy, że to konsorcjum należy do pewnego Kolumbijczyka, któremu handel kokainą nie jest obcy. Pewnie się ucieszysz, że konsorcjum nieźle prosperuje. Nowy bajeczny hotel powstał w Chitre, kolejny buduje się w David, dwa w Bocas del Toro. Rafi Domingo przeskakuje swoim samolotem z jednego do drugiego jak konik polny.

- Po co?

Kelner dolewał wody do szklanek, zapadło konspiracyjne milczenie. Kostki lodu dzwoniły jak maleńkie kościelne dzwony.

- Możemy się tylko domyślać, Andy. Rafi zna się na hotelarstwie tak samo jak na fizyce jądrowej, co nie jest zresztą żadnym problemem, bo jak mówiłem, do tych hoteli nikt nie

przyjeżdża. Nie reklamują się, a jeśli będziesz chciał zarezerwować pokój, usłyszysz, że nie ma wolnych miejsc.

- Nie kapuję.

Rafi by się ucieszył, pomyślał Pendel. Rafi to wujek Benny. Powiedziałby: „Harry, mój chłopcze, wciskaj panu Osnardowi wszystko, póki nie masz świadków”.

- Każdy hotel dziennie zgarnia po pięć tysięcy dolarów? Po roku lub dwóch, gdy tylko zbiera się spory plik dokumentów, zostaną sprzedane temu, kto da najwięcej, a przypadkiem będzie nim Rafi Domingo w kapeluszu innej firmy. Hotele będą w idealnym stanie, co nie powinno dziwić, zważywszy, że nikt w nich nie spał, a w kuchni nie przyrządzono nawet jednego hamburgera. I będzie to legalny interes, bo w Panamie trzyletnie pieniądze są więcej niż szanowane, sapo prostu prehistorią.

- I posuwa żonę Mickiego?

- Tak słyszałem, Andy - odpowiedział Pendel, tym razem ostrożnie, gdyż mówił prawdę.

- Od Mickiego?

- Niezupełnie. Nie bezpośrednio. W przypadku Mickiego nigdy nic nie wiadomo. - Znowu płynność. Dlaczego to robił? Co go do tego popychało? Andy. Artysta jest artystą. Widownia albo ci sprzyja, albo jest twoim wrogiem. A może dlatego, że jego własna fikcja legła w gruzach, musiał rozwijać fikcję innych. Być może szansa odrodzenia była w ponownym stworzeniu świata.

- Widzisz, Rafi jest jednym z nich. Szczerze mówiąc, należy do czołówki.

- Czołówki czego?

- Cichej Opozycji. Ludzi Mickiego. Oni wiedzą, co jest grane. Rafi to mieszaniec.

- Co to znaczy?

- Mieszaniec, Andy. Jak Marta. Jak ja. W jego przypadku chodzi o domieszkę krwi indiańskiej. W Panamie nie ma dyskryminacji rasowej, ale imigrantów nie przyjmuje się z otwartymi ramionami, zwłaszcza tych nowych, a im wyższe sfery, tym bielsze twarze. Nazywam to chorobą górską.

Był to świeżutki dowcip, który Pendel postanowił wpleść do swojej historii, ale Osnard go nie zauważył. A jeśli nawet, nie wyglądał na rozbawionego. Miał taką minę, jakby wolał obejrzeć publiczną egzekucję. Tak przynajmniej wydało się Pendelowi.

- Forsa za wyniki - powiedział Osnard. - Zgoda? - Wcisnął głowę w ramiona i równocześnie ściszył głos.

- Kieruję się tą zasadą, odkąd otworzyliśmy zakład - zapewnił żarliwie Pendel, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zapłacił komuś za wyniki.

Oszołomiony alkoholem i ogólnym poczuciem nierealności - swoim i innych - o mało nie dodał, że tą samą zasadą kierował się stary dobry Arthur Braithwaite, ale powstrzymał się. Uznał, że jak na jeden wieczór wystarczająco dał upust płynności. Jak każdy artysta musiał się oszczędzać, nawet jeśli uważał, że może tak gadać całą noc.

- W dzisiejszych czasach nikt nie wstydzi się materializmu. Pieniądze to jedyna rzecz, która ożywia ludzi.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, Andy - oznajmił Pendel, przypuszczając, że Osnard biada nad upadkiem Anglii.

Osnard potoczył wzrokiem po sali, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. Być może

widok innych konspiratorów przy pobliskich stolikach dodał mu odwagi, bo jego twarz stężała w wyrazie, który wcale nie uspokoił Pendela, a głos, choć przyciszony, zyskał dziwną ostrość.

- Ramón ma cię w garści. Jeśli go nie splącisz, masz przechłapanie. A nawet jeśli splącisz, zostaniesz z rzeką bez wody i farmą ryżową, na której nie rośnie ryż. Nie mówię już o Louisie.

- To mnie martwi, Andy, nie przeczę. Od tygodni nie mam apetytu.

- Kto tam jest twoim sąsiadem?

- Jakiś wiecznie nieobecny gość. Wyjątkowo złośliwe indywiduum.

- Jak się nazywa? Pendel pokręcił głową.

- To nie człowiek, tylko pewnie jakaś korporacja z Miami.

- Wiesz, gdzie ma konto?

- Raczej nie, Andy.

- U twojego serdecznego przyjaciela Ramóna. To firma Rudda. Rudd ma dwie trzecie udziałów, pan X jedną trzecią. Wiesz, kim jest pan X?

- Czuję się oszołomiony.

- A może zarządcą twojej farmy? Jak mu tam?

- Angel? On mnie kocha jak brata.

- Wrobili cię. Przechytrzyli. Pomyśl.

- Właśnie to robię, Andy. Już dawno nie myślałem tak intensywnie. - Kolejna część świata Pendela zapadła się i znikła z pola widzenia.

- Czy ktoś chciał kupić od ciebie farmę za bezcen? - pytanie Osnarda dobiegło zza zasłony mgły, która dziwnym trafem zawisła między nimi.

- Mój sąsiad. Powiedział, że doprowadzi wodę i będzie miał farmę ryżową wartą pięć razy więcej, niż za nią dał.

- A Angel będzie nią zarządzał.

- Widzę błędne koło, Andy, i siebie w jego środku.

- Jak duża jest farma sąsiada?

- Ma dwieście akrów.

- Co na niej hoduje?

- Bydło. Niskie koszty utrzymania i nie potrzebuje wody. Tylko mnie do niej nie dopuszcza.

Więzień udziela krótkich odpowiedzi, a funkcjonariusz je zapisuje; ale Osnard nie notował. Zapamiętywał wszystko swoimi bystrymi, brązowymi oczami lisa.

- Czy to Rudd namówił cię do kupna farmy?

- Mówił, że jest tania. Ktoś chciał ją szybko sprzedać. Idealna lokata pieniędzy Louisy. Nie znałem się na tym zupełnie.

Osnard podniósł kieliszek do ust, pewnie żeby je zasłonić. Jego głos zmatowiał jakby pod wpływem szybko wypowiedzianych słów.

- Spadłeś mi z nieba, Harry. Klasyczny przypadek, idealny punkt nasłuchowy. Żona z dojciami. Bezcenne kontakty. Kumpel w ruchu oporu. W pracy dziewczyna o lewicowych przekonaniach. Od dziesięciu lat ten sam wzorzec zachowania. Naturalna przykrywka, znajomość miejscowego języka, dar przekonywania, refleks. Nie słyszałem, żeby ktoś lepiej bajdurzył. Bądź taki, jaki jesteś, a rozpracujemy całą Panamę. Poza tym mogą się ciebie wyprzeć. Wchodzisz w to czy nie?

Pendel uśmiechnął się z zadowoleniem, częściowo pod wpływem komplementów, a

częściowo z obawy przed wyborem. Głównie jednak dlatego, że był świadkiem przełomu w swoim życiu, który - choć straszny i oczyszczający - zdawał się dokonywać bez jego udziału.

- Prawdę mówiąc, odkąd pamiętam, zawsze można się było mnie wyprzeć - wyznał, a tymczasem pamięć podsuwała mu różne fragmenty jego życia. Ale nie powiedział „tak”.

- Ale wiedz, że od początku znajdziesz się w tym po uszy. Odpowiada ci to?

- Przecież już siedzę w tym po uszy.

Znów te oczy, zbyt stare, zbyt nieruchome, nasłuchujące, zapamiętujące, wężące, wszystko naraz. I Pendel brawurowo popisuje się swoimi możliwościami, mimo tego spojrzenia lub pod jego wpływem.

- Ale to, co zamierzacie zrobić ze zbankrutowanym punktem nasłuchowym, przekracza moje zdolności zrozumienia - oświadczył z dumą skazańca. - Nic mnie nie może uratować poza szalonym milionerem. - Bezradnie rozejrzał się po sali. - Widzisz w tym tłumie jakiegoś szalonego milionera, Andy? Nie twierdzą, że wszyscy są normalni. Ich szaleństwo po prostu nie jest skierowane w moją stronę.

Nic nie zmieniło się w Osnardzie. Ani spojrzenie, ani głos, ani spoczywające osobno na białym obrusie dłonie.

- Może moja propozycja jest wystarczająco szalona - powiedział. Jakby w poszukiwaniu ratunku oczy Pendela wyłowiły straszną postać Niedźwiedzia, najbardziej zniechęconego dziennikarza Panamy, który zmierzał posępnie do samotnego stolika w najciemniejszym kącie sali. Ale Pendel nadal nie mówił „tak”, jednym uchem rozpaczliwie słuchając wujka Benny'ego: „Synu, kiedy spotykasz oszusta, graj na zwłokę. Bo dla oszusta nie ma nic gorszego, jak kazać mu wrócić za tydzień”.

- Wchodzisz w to czy nie?

- Zastanawiam się, Andy. Rozmyślam.

- Nad czym?

Nad podjęciem rozsądnej, dojrzałej decyzji, odparł wojowniczo w myślach. Nad tym, żeby mieć cel i wolę zamiast paru głupich pomysłów, złych wspomnień i płynności.

- Rozważam różne opcje, Andy. Wszystkie za i przeciw - oznajmił wyniośle. Osnard odpierał zarzuty, których nikt mu nie postawił. Robił to przyciszonym głosem, idealnie pasującym do jego zwalistego ciała, ale Pendel nie słucha go. Przenosi się w czasie. Znowu myślałem o Bennym. Muszę wracać do domu i położyć się.

- Nie demaskujemy dobrych współpracowników, Harry.

- Nigdy tego nie twierdziłem, Andy.

- To nie w naszym stylu. Po co mielibyśmy wyjawiać Panamczykom twoją kryminalną przeszłość, skoro chcemy cię takim, jaki jesteś?

- To rzeczywiście bez sensu, Andy, i cieszę się, że tak mówisz.

- Po co ruszać starego Braithwaite'a, kompromitować cię przed żoną i dziećmi, niszczyć szczęśliwy dom? Chcemy ciebie, Harry. Masz cholernie dużo do zaoferowania. A my tylko chcemy to kupić.

- Jeśli pomożecie mi z farmą ryżową, oddam wam siebie na talerzu - powiedział ugodowo Pendel.

- Chodzi nam o twoją duszę, przyjacielu.

Małpując swego towarzysza, Pendel ujął kieliszek w obie dłonie i pochylił się nad

oświetlonym świecami stołem. Wciąż ważył w myślach decyzję. Ale zwlekał, choć wolałby odpowiedzieć „tak”, częściowo dlatego, żeby uniknąć zażenowania towarzyszącego odmowie.

- Nie powiedziałeś jeszcze, co to będzie za praca.

- Mówiłem. Chodzi o punkt nasłuchowy.

- Ale czego miałbym dla was słuchać? Co was interesuje?

Znow te oczy i przenikliwie spojrzenie. Czerwone iskierki. Ocieężała szczęka żująca w zamyśleniu. Przygarbione ciało grubasa. Monotonny, stłumiony głos wydobywający się z jednego kącika skrzywionych ust.

- Nic szczególnego. Równowaga sił na świecie w dwudziestym pierwszym wieku. Przyszłość handlu światowego. Polityczna mozaika Panamy. Cicha Opozycja. Goście z tamtej strony mostu, jak ich nazywasz. Co się stanie po odejściu jankesów? Jeśli odejdą. Kto się będzie śmiać, a kto będzie płakał trzydziestego pierwszego grudnia 1999 roku? Co nas czeka, kiedy jeden z dwóch najważniejszych kanałów na świecie pójdzie pod młotek, a aukcję będzie prowadzić banda cwaniaków? - zakończył pytającą intonacją, jakby najlepsze miało dopiero nastąpić.

Pendel wyszczerzył zęby w odpowiedzi.

- To żaden problem. Wszystko zapakuję i przygotuję na jutro po południu. Jeśli coś nie będzie pasować, proszę przychodzić tak często, jak trzeba.

- I parę rzeczy, których nie ma w menu - dodał ciszej Osnard. - A raczej tych, których jeszcze nie ma.

- Mianowicie?

Wzruszenie ramion. Długie, powolne, porozumiewawcze, znaczące, onieśmielające wzruszenie ramion policjanta, wyrażające udawaną swobodę, potęgę władzy i ogrom nieujawnionej wiedzy.

- Różne rzeczy. Nie możesz od razu dowiedzieć się wszystkiego. Powiedziałeś „tak” czy będziesz odgrywał niedostępnego jak Greta Garbo?

Pendel sam się sobie dziwi, ale nadal udaje mu się wywinąć od odpowiedzi. Być może zdawał sobie sprawę, że jego niezdecydowanie jest jedyną bronią, jaka mu pozostała. Może wujek Benny znowu ciągnie go za rękaw. A może niejasno przypomniał sobie, że zgodnie z więziennym zwyczajem człowiek zaprzędający duszę ma prawo do chwili zastanowienia?

- Nie odgrywam Garbo, Andy. Odgrywam Harry'ego - mówi, śmiało wstając od stołu i wypinając pierś. - Kiedy chodzi o podjęcie życiowej decyzji, Harry Pendel jest wyrachowanym zwierzęciem.

Po jedenastej Pendel wyłączył silnik samochodu i dotoczył się pojazdem na jałowym biegu, żeby nie obudzić dzieci. Oburącz otworzył drzwi wejściowe - jedną ręką napierał na nie, a drugą przekręcał klucz. Tylko wtedy zamek działał sprawnie. W przeciwnym razie jego zgrzyt przypominałby wystrzał z pistoletu. W domu skierował kroki do kuchni i wypłukał usta coca-colą w nadziei, że zabije odór brandy. Rozebrał się w holu, ułożył ubrania na krześle i zakradł się na palcach do sypialni. Louisa otworzyła oba okna, bo tak lubiła spać. Morskie powietrze napływało znad Pacyfiku. Odsunął kołdrę i ku swemu zdziwieniu zobaczył, że Louisa jest naga. Wcale nie spała, tylko wpatrywała się w niego.

- Co się stało? - szepnął, obawiając się kłótni, która zbudzi dzieci. Wyciągnęła długie ramiona, przytuliła go mocno do siebie i Pendel poczuł, że jej twarz jest mokra od łez.

- Tak mi przykro, Harry, chcę, żebyś o tym wiedział. Naprawdę jest mi strasznie przykro. - Całowała go i nie pozwalała, żeby odwzajemnił się tym samym. - Nie oczekuję, że mi wybaczysz, Harry, przynajmniej na razie. Jesteś dobrym, wspaniałym człowiekiem, cudownym mężem i świetnie zarabiasz. Mój ojciec miał rację, jestem podłą jędzą i nie poznałabym się na dobrym słowie, nawet gdyby ugryzło mnie w tyłek.

Za późno, pomyślał, kiedy przytuliła się do niego. Tak powinno być, zanim zrobiło się za późno.

Harry Pendel kochał żonę i dzieci z pokorą zrozumiałą jedynie dla tych, którzy nigdy sami nie mieli rodziny, nie wiedzieli, co to znaczy szanować porządnego ojca, kochać szczęśliwą matkę i przyjmować ich jako naturalną nagrodę za fakt przyjścia na świat.

Pendelowie mieszkali na wzgórzu w osiedlu zwanym Bethania, w piętrowym nowoczesnym domu otoczonym trawnikami, gąszczem bugenwilli i prześlicznymi widokami na morze, Stare Miasto i Punta Paitilla w oddali. Pendel słyszał, że w okolicznych wzgórzach kryją się jankeskie bomby atomowe i schrony, ale zdaniem Louisy właśnie z tego powodu mogą się czuć bezpieczni i Pendel, nie chcąc wdawać się w kłótnie, przyznawał jej rację.

Pendelowie zatrudniali służącą do mycia parkietów, służącą do prania, służącą do opieki nad dziećmi i robienia zakupów, a także szpakowatego Murzyna z siwą brodą w słomianym kapeluszu, który przycinał rośliny w ogrodzie, sadił to, co przyszło mu do głowy, palił nielegalne substancje i wyłudzał jedzenie z kuchni. Ta niewielka armia służących kosztowała ich sto czterdzieści dolarów tygodniowo.

Kiedy Pendel leżał nocą w łóżku, lubił zapadać w więzienny sen - z podkurczonymi kolanami, opuszczoną głową i rękoma zaciśniętymi na uszach, żeby nie słyszeć jęków innych więźniów - a potem budzić się i po przeprowadzeniu ostrożnego rekonesansu przekonywać się, że nie jest w więzieniu, tylko w Bethanii z wierną żoną, która go potrzebuje i szanuje, oraz dwójką szczęśliwych dzieci śpiących po drugiej stronie korytarza. Za każdym razem było to dla niego jak błogosławieństwo - coś, co wujek Benny nazywał miewa: Hannah, jego dziewięcioletnia katolicka księżniczka, i ośmioletni Mark, zbuntowany żydowski skrzypek. Ale choć Pendel kochał rodzinę z oddaniem i poświęceniem, jednocześnie bał się o nią i nie zapominał, że szczęście w każdej chwili może się skończyć.

Kiedy tak stał samotnie w ciemnościach na balkonie, gdzie wychodził co wieczór po pracy, czasem z jednym z małych cygar wujka Benny'ego, kiedy wdychał nocne wonie aromatycznych kwiatów w wilgotnym powietrzu, kiedy obserwował światła tańczące w zasłonach deszczu i patrzył na kolejkę statków na kotwicy, wówczas ogrom szczęścia budził w nim świadomość jego kruchości: Harry, chłopcze, to nie może trwać wiecznie, świat może rozpaść się na twoich oczach, czego już kiedyś doświadczyłeś w tym samym miejscu. Co raz się stało, może się powtórzyć, miej się na baczności.

Patrzył więc na zbyt spokojne miasto i po chwili w teatrze jego pamięci zielone flary i czerwone race, ochryply terkot karabinów maszynowych i łoskot dział odgrywały swój własny szalony spektakl jak podczas owej pamiętnej grudniowej nocy 1989 roku, kiedy znad morza nadlatywały, nie napotykając oporu, potężne śmigłowce spectre i raziły drewniane slumsy El Chorrillo - jak zwykle biedota ponosiła karę za wszystko. Bez przeszkód ostrzeliwały płonące rudery, odlatywały po nowy zapas amunicji i znowu wracały, by siać zniszczenie. Prawdopodobnie agresorzy nie przypuszczali, że tak to będzie. Prawdopodobnie byli dobrymi synami i ojcami i chcieli tylko zlikwidować kwaterę Noriegi, dopóki kilka pocisków nie zboczyło z kursu, a za nimi poszły następne. Ale w czasie wojny niełatwo jest objaśnić swoje

dobrze intencje napadniętym, powściągliwość mija niezauważona, a obecność kilku snajperów na biednym przedmieściu nie tłumaczy spalenia całej dzielnicy. I nic nie pomoże mówienie: „Użyliśmy minimum sił”, przerażonym ludziom, którzy uciekają boso przed śmiercią po rozlanej krwi i potłuczonym szkłe, ciągnąc za sobą walizki i dzieci w drodze donikąd. Nie pomoże zapewnianie, że ogień otworzyli pierwsi mściwi członkowie Batalionów Honorowych Noriegi. Nawet jeśli tak było, dlaczego ktoś miałby w to uwierzyć?

Wkrótce krzyk dotarł na wzgórze. Pendel, który w swoim życiu nasłuchiwał się wielu wrzasków i sam wydał kilka z siebie, nigdy nie przypuszczał, że ludzki głos może przebić się przez potworny warkot pojazdów opancerzonych i huk nowoczesnych dział artyleryjskich, a jednak było to możliwe, zwłaszcza gdy było to wiele krzyków, wydawanych przez przerażone dzieci, i towarzyszył im swąd palącego się ludzkiego ciała.

- Harry, wejdź do środka. Potrzebujemy cię, Harry. Harry, wracaj stamtąd. Harry, nie rozumiem, co ty tam robisz.

Ale to był krzyk Louisy, Louisy wciśniętej do komórki pod schodami, ukrytej pod półkami, osłaniającej własnym ciałem dzieci. Dwuletni Mark tulił się do jej brzucha i moczył ją przez pieluchę - Mark, niczym jankescy żołnierze, miał niewyczerpane zasoby amunicji - a Hannah klęczała u jej stóp w kapciach i szlafroku z misiem Yogi i modliła się do kogoś, kogo uparła się nazywać Jowi. Później okazało się, że był to amalgamat Jezusa, Jehowy i Jupitera, swoisty boski koktajl przyrządzony ze składników duchowego folkloru, który Hannah zgromadziła w ciągu trzech lat swego życia.

- Oni wiedzą, co robią - powtarzała Louisa wysokim wojskowym jazgotem, który niemiło kojarzył się z jej ojcem. - Nic nie dzieje się przypadkowo. Wszystko dokładnie zaplanowali. Nigdy, przenigdy nie atakują cywilów.

I Pendel, ponieważ ją kochał, postanowił dobrotliwie nie burzyć jej wiary, gdy tymczasem El Chorrillo szlochało, płonęło i rozpadało się pod nieustannym ostrzałem z broni, którą Pentagon chciał przy tej okazji przetestować.

- Tam mieszka Marta - powiedział.

Ale kobieta, która drży o los swych dzieci, nie boi się o nikogo innego, więc gdy nadszedł ranek, Pendel wybrał się na spacer i usłyszał ciszę, jakiej nie słyszał przez wszystkie lata spędzone w Panama City. Wyobraził sobie, że strony podpisujące zawieszenie broni wprowadziły zakaz używania klimatyzacji, prowadzenia robót na budowach, kopania rowów i bagrowania; wszystkie samochody, ciężarówki, autobusy szkolne, taksówki, śmieciarki, samochody policyjne i karetki pogotowia zostały na zawsze wygnane z kraju; dzieciom i matkom zakazano krzyczeć pod groźbą śmierci.

Nawet potężna i majestatyczna kolumna czarnego dymu unosząca się nad ruinami El Chorrillo nie wydawała najmniejszego dźwięku, kłębiąc się pod porannym niebem. Jedyne garstka malkontentów jak zwykle nie stosowała się do zakazu. Były to niedobitki snajperów z *comandancia* Noriegi, którzy nadal ostrzeliwali jankeskie pozycje na okolicznych ulicach. Ale wkrótce i oni ucichli, do czego w pewnym stopniu przyczyniły się czołgi na wzgórzu Ancón.

Nawet telefon na stacji benzynowej podlegał temu wszechmocnemu zarządzeniu. Ocalał bez szwanku. Działał bez zarzutu. Ale numer Marty milczał.

Wcieliwszy się w nową rolę „dojrzałego mężczyzny samotnie podejmującego życiową decyzję”, Pendel bujał się na znanej mu huśtawce poświęcenia i chronicznego pesymizmu

wraz z niezdecydowaniem, co groziło mu upadkiem. Przed oskarżycielskimi głosami w Bethanii chronił się w zakładzie, a przed oskarżycielskimi głosami zakładu - w domu, a wszystko to w imię spokojnego rozważenia alternatywy. Ani przez chwilę nie pozwolił sobie na myśl - nawet w momentach największego samokrytycyzmu - że wybiera między dwoma kobietami. Jesteś zdemaskowany, powiedział sobie z satysfakcją, która nas ogarnia, kiedy spełniają się nasze najgorsze sny. Twoje snobistyczne wizje wzięły w łeb. Twój wymyślony świat wali się wokół ciebie i to twoja wina, że zbudowałeś świątynię bez fundamentów. Ale zaraz po tych ponurych wizjach przychodziły na ratunek weselsze myśli:

Więc wystarczy kilka przykrych słów prawdy i już widzisz nemezis? Głosem Benny'ego: Młody dyplomata prosi cię, żebyś służył Anglii, a ty od razu widzisz siebie martwego w kostnicy? Gdyby nemezis chciały odegrać dla ciebie rolę szalonego milionera, wsunęłyby gruby plik pięćdziesiątek do zwykłej koperty i powiedziały, że niedługo będzie ich dużo więcej? Czy nazwałyby cię darem niebios, Harry? W przeszłości nikt nie był taki hojny. I to ma być nemezis?

Hannah potrzebowała Wielkiego Decydenta, żeby rozstrzygnął, którą książkę powinna czytać w szkole na konkursie czytania, a Mark musiał zagrać mu na nowych skrzypcach, żeby mogli zdecydować, czy jest gotów do egzaminu. Louisa prosiła go o opinię w sprawie ostatniego skandalu w Kwaterze Głównej, żeby mogli zdecydować, co mają myśleć o przyszłości Kanału, choć Louisa już dawno wyrobiła sobie zdanie na ten temat: niezrównany Ernesto Delgado, popierany przez Waszyngton człowiek bez skazy i obrońca Złotej Przeszłości, nie jest zdolny do błędów:

- Harry, ja tego nie rozumiem. Ernesto wyjeżdża z kraju tylko na dziesięć dni, żeby towarzyszyć prezydentowi, a szef personelu natychmiast przyjmuje do pracy pięć Panamek do działu Public Relations z pełną pensją w dolarach, choć ich jedyne kwalifikacje polegają na tym, że są młode, białe, jeżdżą luksusowymi samochodami, noszą drogie sukienki, mają duże piersi i bogatych ojców i nie chcą rozmawiać ze starymi pracownikami.

- Wstrząsające - zdecydował Pendel.

Potem wrócił do zakładu, gdzie Marta musiała przejrzeć z nim zaległe rachunki i nieodebrane zamówienia, żeby mogli zdecydować, kogo ścigać, a komu darować kolejny miesiąc.

- Jak tam bóle głowy? - zapytał czule, zauważywszy, że jest bledsza niż zwykle.

- To nic takiego - odpowiedziała Marta zza zasłony włosów.

- Winda znowu nie działa?

- Winda została skasowana - posłała mu zdeformowany uśmiech. - Ogłoszono oficjalnie, że nie będzie działać.

- Przykro mi.

- Niech panu nie będzie przykro. Nie jest pan odpowiedzialny za windę. Kim jest Osnard?

Pendela zatkało. Osnard? OSNARD? Jest klientem, kobieto. Przestań wciąż powtarzać jego nazwisko!

- Czemu pytasz? - odezwał się, kiedy już doszedł do siebie.

- To diabeł.

- Jak wszyscy moi klienci - powiedział, nawiązując żartobliwie do jej niechęci do osób z tej strony mostu.

- Tak, ale oni o tym nie wiedzą - odparła bez uśmiechu.
- A Osnard wie?
- Tak. Osnard to diabeł. Proszę nie robić tego, o co pana prosi.
- A o co mnie prosi?
- Nie wiem. Gdybym wiedziała, powstrzymałabym go. Proszę.

O mało nie dodała „Harry”. Już widział, jak jej postrzępione usta układają się do tego słowa, ale w pracy Marta nie chciała wykorzystywać jego przychylności, nigdy nie okazywała słowem lub gestem, że sapo wieki wieków złączeni, że za każdym razem, kiedy się widzą, widzą to samo przez różne okna:

Marta w porwanej białej bluzce i džinsach leży jak wyrzucony śmieć w rynsztoku. Trzej żołnierze Batalionów Honorowych Noriegi, zwani pieśczośliwie „pieskami Noriegi”, po kolei próbują zdobyć jej serce i umysł za pomocą zakrwawionego kija baseballowego, zaczynając od twarzy. Pendel przygląda się temu z rękoma wykręconymi do tyłu przez dwóch kolejnych „piesków”. Wydiera się na całe gardło, najpierw ze strachu, potem z wściekłości, w końcu z rozpacz: błaga ich, żeby ją zostawili.

Ale nie słuchają go. Zmuszają, żeby patrzył. Jaki jest sens karania wroga, jeśli nie ma nikogo, kto weźmie to sobie do serca?

To jakieś nieporozumienie, panie kapitanie. To czysty przypadek, że ta dziewczyna ma na sobie białą bluzkę.

Proszę się uspokoić, *señor*. Niedługo przestanie być biała.

Marta na łóżku w prowizorycznym szpitalu, do którego odważnie zawiózł ich Mickie Abraxas; naga, zakrwawiona i posiniaczona Marta; Pendel rozpaczliwie zasypuje lekarza dolarami i obietnicami, a Mickie trzyma straż przy oknie.

- Jesteśmy ponad to - szepcze Marta przez zakrwawione usta i połamane zęby.

Ma na myśli lepszą Panamę. Mówi o ludziach z drugiej strony mostu. Nazajutrz Mickie został aresztowany.

- Myślę o zamianie Kącika Sportsmena w rodzaj klubu - oznajmił Louisie, wciąż tkwiąc w kleszczach niezdecydowania. - Wymyśliłem, że będzie tam bar.

- Nie rozumiem, Harry, po co ci bar. Twoje czwartkowe spotkania są wystarczająco grzeszne.

- Chodzi o przyciągnięcie nowej klienteli, Lou. O większe obroty. Przyjaciele będą przyprowadzać przyjaciół, a oni będą sobie tam siadać, wyciągać nogi, przy okazji obejrzą kilka próbek. I księga zamówień zaraz się zapełni.

- A gdzie przeniesiesz przymierzalnię? - nie ustępowała.

Dobre pytanie, pomyślał Pendel. Nawet Andy nie podsunie mi odpowiedzi. Decyzja odłożona na później.

- Dla klientów, Marto - wyjaśnił cierpliwie Pendel. - Dla wszystkich, którzy przychodzą tu na twoje kanapki. Żeby ich było więcej i żeby zamawiali więcej garniturów.

- Szkoda, że moje kanapki nie są zatrute.

- Kogo bym wtedy ubierał? Tych twoich szalonych studentów? Rewolucjoniści w szytych na miarę garniturach firmy P & B. Dziękuję bardzo.

- Czemu nie, skoro Lenin jeździł rolls-royce'ami? - odpaliła z uporem.

Nie zapytałem go o kieszenie, pomyślał. Było już późno, a on przy dźwiękach Bacha kroił

jeszcze w pracowni smoking. Ani o mankiety, ani o ulubioną szerokość spodni. Nie zrobiłem mu wykładu o wyższości szelek nad paskiem w wilgotnym klimacie, zwłaszcza w przypadku panów, których wymiary w pasie są, jak to nazywam, świętem ruchomym. Znalazłszy pretekst, już miał sięgać po telefon, kiedy telefon sam zadzwonił i w słuchawce usłyszał Osnarda proponującego wypad na drinka.

Spotkali się w wyłożonym boazerią nowoczesnym barze w hotelu Executive, czystym białym wieżowcu nieopodal zakładu Pendela. Dwie atrakcyjne dziewczyny w kusych spódniczkach oglądały rozgrywki baseballowe na ogromnym ekranie telewizora. Pendel i Osnard usiedli jak najdalej od nich, pochylając ku sobie głowy, mimo iż trzcinowe fotele zachęcały raczej do wygodnego rozparcia się w nich.

- Podjąłeś decyzję? - zapytał Osnard.

- Niezupełnie, Andy. Można powiedzieć, że cały czas nad tym pracuję. Zastanawiam się.

- Londyn jest jak na razie zachwycony. Chcą sfinalizować umowę.

- To miło, Andy. Musiałeś wysmarować o mnie niezły raport.

- Chcą, żebyś zaczął jak najszybciej. Fascynuje ich Cicha Opozycja. Pytają o nazwiska członków, finanse, kontakty ze studentami. Czy mają jakiś swój manifest, metody i plany?

- Dobrze, tak, w porządku - bąknął Pendel, który pod wpływem wielu zmartwień stracił z oczu wielkiego bojownika o wolność, Mickiego Abraxasa, i jego mocodawcę, Rafiego Domingo. - Cieszę się, że są zadowoleni - dodał uprzejmie.

- Uważają, że mógłbyś pociągnąć za język Martę i zdobyć informacje o studentach. Na przykład o produkcji bomb na uczelniach.

- Dobrze. W porządku.

- Chcą zalegalizować nasze stosunki, Harry. Ja też. Chcą cię zapisać, pouczyć, wynagrodzić, zapoznać z paroma sztuczkami. Lubią kuć żelazo póki gorące.

- Andy, już niedługo. Jak mówiłem, pochopnie decyzji nie podejmuję. Zastanawiam się.

- Podwyższają ci stawkę o dziesięć procent, żeby pomóc ci w rozmyślaniach. Chcesz poznać szczegóły?

Osnard zapoznał go z nimi, mamrocząc z zasłoniętymi ustami jak ktoś, kto dłubie w zębach wykałaczką: tyle w ramach zaliczki, tyle na spłatę kredytu co miesiąc, premie uzależnione od jakości wykonanej pracy, według uznania Londynu, tyle napiwku.

- Powinieneś wyjść na prostą najwyżej za trzy lata - powiedział.

- Albo prędzej, jeśli mi się poszczęści.

- Albo jeśli będziesz sprytny - dorzucił Osnard.

- Harry!

Od rozmowy z Osnardem minęła godzina, ale Pendel nie miał siły wrócić do domu. Zamknął się w pracowni, wrócił do smokingu i Bacha.

- Harry!

Głos należy do Louisy. Brzmi tak samo jak wtedy, kiedy pierwszy raz poszli do łóżka. Tak naprawdę. Przedtem to były tylko pieszczoty i głębokie pocałunki i nasłuchiwanie samochodu jej rodziców, wracających z kina. Leżeli zupełnie nadszy w łóżku Harry'ego w obskurnym mieszkanku na poddaszu w Calidonii, gdzie szył nocami po całodiennej pracy u sprytnego syryjskiego właściciela sklepu z męską galanterią imieniem Alto. Ich pierwsza próba nie została uwieczniona sukcesem. Obydwoje byli nieśmiali, późno obudzili się do miłości i

krępowało ich zbyt wiele duchów przeszłości.

- Harry!

- Tak, kochanie. - „Kochanie” nigdy nie przychodziło łatwo ani jemu, ani jej. I na początku, i dzisiaj.

- Jeśli pan Braithwaite wyciągnął do ciebie rękę, przyjął cię do zakładu, pozwolił skończyć szkołę i odciągnął cię od tego potwornego wujka Benny’ego, będę mu wdzięczna do końca życia i jeszcze dłużej.

- Cieszę się, że tak uważasz, kochanie.

- Powinieneś szanować go i czcić, i opowiadać o nim naszym dzieciom, żeby wiedziały, jak dobry samarytanin może uratować życie małego sieroty.

- Arthur Braithwaite był jedynym moralnym człowiekiem, jakiego znałem, póki nie spotkałem twego ojca, Lou - Pendel zapewnia ją żarliwie.

Poważnie, Lou! Pendel zwraca się do niej frenetycznie w myślach, zaciskając nożyce na lewym rękawie. Wszystko na tym świecie jest prawdziwe, jeśli intensywnie pracuje się nad kłamstwem i kocha się osobę, dla której zostało ono wymyślone!

- Powiem jej - oświadcza na głos, gdy Bach wynosi go na wyżyny całkowitej prawdomówności. I przez straszną chwilę samolubstwa poważnie zastanawia się nad odrzuceniem mądrych nauk, którymi do tej pory się kierował, i wyznaniem wszystkich grzechów swej życiowej partnerce. Albo prawie wszystkich. Większości.

Louiso, muszę ci powiedzieć coś, co może być dla ciebie prawdziwym ciosem. To, co wiesz o mnie, niezupełnie zgadza się z prawdą, jeśli chodzi o szczegóły. Wersja, którą znasz, odpowiada raczej temu, co chciałbym, żeby się stało, gdyby los okazał się dla mnie łaskawszy.

Zabraknie mi słów, pomyślał, nigdy w życiu się nie spowiadałem, może tylko raz, przed wujkiem Bennym. Kiedy mam przerwać? I czy po tym kiedykolwiek będzie mi wierzyć? Przerażony zobaczył oczami wyobraźni naradę wojenną, jedną z urządzonych przez Louisej sesji pod tytułem „Zaufaj Jezusowi”, tyle że w pełnym wojskowym ekwipunku - służba zwolniona, a zebrana przy stole rodzina trzyma się za ręce, Louisa siedzi sztywno z zaciętymi ze strachu ustami, ponieważ w głębi ducha prawda *przeraża* ją bardziej niż mnie. Ostatnio Mark musiał się przyznać do namalowania na bramie szkoły słowa „kutas”.

Przedtem Hannah wylała puszkę szybko schnącej farby do zlewu w ramach zemsty na jednej ze służących.

Ale dzisiaj to Harry ma wyznać swoje grzechy. Musi wytłumaczyć ukochanym dzieciom, że tatuś od dnia ślubu z mamusią i odkąd dzieci były na tyle duże, by go rozumieć, wygadywał różne banialuki o rodzinnym wzorze cnót, nieistniejącym panu Braithwaicie, świeć Panie nad jego duszą. I że ich ojciec i mąż wcale nie był ulubieńcem pana Braithwaite’a, ale spędził dziewięćset dwanaście dni ze swych najlepszych lat na dogłębnym studiowaniu murów zakładów penitencjarnych Jej Królewskiej Mości.

Podjął decyzję. Powie im później. Dużo później. Może w innym życiu. W życiu bez płynności.

Pendel zatrzymał terenówkę o kilka centymetrów od samochodu jadącego przed nim i czekał tylko, aż trzaśnie go ktoś od tyłu, ale z jakiegoś powodu tak się nie stało. Skąd się tu wziął, zastanawiał się. Może jednak wjechał we mnie i już nie żyję. Musiałem zamknąć zakład, nie zdając sobie z tego sprawy. Przypomniawszy sobie, że kroił smoking i gotowe kawałki

ułożył na stole, żeby im się przyjrzeć. Zawsze to robił: pożegnanie twórcy z dziełem. Później wracały do niego zszyte w kształcie ludzkiej postaci.

Czarny deszcz bębnił o maskę. Pięćdziesiąt metrów przed nim leżała po drugiej stronie drogi ciężarówka: zostawiła za sobą koła jak krowie placki. Nic innego nie było widać w ulewie oprócz sznurów samochodów zmierzających na wojnę lub próbujących przed nią uciec. Włączył radio, ale nie słyszał go przy huku artylerii. Deszcz na rozpalonym blaszanym dachu. Utknąłem tu na zawsze. Bez możliwości ucieczki. Jak w łonie matki. Odsiaduję wyrok. Wyłącza silnik, wyłącza klimatyzację. Czeka. Gotuje się. Poci. Kolejna salwa. Trzeba schować się pod siedzeniem.

Pot ścieka z niego, obficie jak deszcz. Pod stopami chlupocze woda. Pendel płynie z prądem lub pod prąd. Cała przeszłość, którą tak głęboko zakopał, zwała się na niego z impetem: nieokrojona, nieupiększona, pozbawiona Braithwaite'a wersja jego życia, począwszy od cudownych narodzin, które w więzieniu zrelacjonował mu wujek Benny, a skończywszy na Zupełnie Nie-Sądnym Dniu trzynaście lat temu, kiedy wymyślił się na nowo przed Louisa na idealnie przystrzyżonym trawniku białego człowieka w oficjalnie zniesionej Strefie Kanału. Amerykańska flaga łopotiała w dymie z rozpalonego przez jej ojca grilla, orkiestra odegrała hymn, a Murzyni przyglądali się zza siatki.

Widzi sierociniec, o którym pragnął zapomnieć, i wujka Benny'ego w eleganckim filcowym kapeluszu, gdy wyprowadza go z niego za rękę. Nigdy wcześniej nie widział takiego kapelusza i zastanawiał się, czy wujek Benny nie jest przypadkiem Bogiem. Widzi szary mokry bruk w Whitechapel, po którym wśród trąbiących samochodów ciągnie wózek pełen podskakujących ubrań do magazynu wujka Benny'ego. Widzi siebie dwanaście lat później, to samo dziecko, tylko większe. Stoi jak urzeczony wśród słupów pomarańczowego dymu w tym samym magazynie. Widzi rząd letnich sukienek przypominających męczenników za wiarę, którym płomienie liżą stopy.

Widzi wujka Benny'ego, jak krzyczy z dłońmi przytkniętymi do ust: „Uciekaj, Harry, ty niedojdo, gdzie twoja wyobraźnia?“, słyszy dzwonki wozów strażackich i kroki pospiesznie oddalającego się Benny'ego. Stoi niczym pośród ruchomych piasków, nie może mszyć ręką ani nogą. Widzi przedzierające się w jego stronę niebieskie mundury. Chwytają go, wciągają do furgonetki, a uprzejmy sierżant podnosi pustą puszkę po parafinie i uśmiecha się jak każdy porządny ojciec. „To pańskie, panie Hymie, czy tylko przypadkiem wziął pan tę puszkę do rąk?“

- Nie mogę ruszać nogami - wyjaśnia Pendel uprzejmemu sierżantowi. - Są jak sparaliżowane. Zdrętwiały mi, czy co. Powinienem uciec, ale nie mogłem.

- Nie martw się, synu. Wkrótce się tym zajmujemy - mówi uprzejmie sierżant.

Widzi siebie nagiego i chudego pod ceglana ścianą policyjnej celi. Długa noc, podczas której niebieskie mundury biją go na zmianę, tak samo jak bili Martę, tylko z większym rozmysłem i z większą ilością piwa w brzuchach. Zachęca ich do tego uprzejmy sierżant, który jest tak porządnym ojcem. Aż zalewa go woda i tonie.

Deszcz ustaje. Nigdy nie padał. Samochody lśnią, wszyscy szczęśliwie wracają do domów. Pendel jest śmiertelnie zmęczony. Włącza silnik i zaczyna się powolna jazda do przodu z rękami wspartymi na kierownicy. Wypatruje niebezpiecznych rumowisk. Zaczyna się uśmiechać, słysząc wujka Benny'ego.

- To była eksplozja, mój chłopcze - wyszeptał przez łyżę wujek Benny. - Eksplozja pożądania.

Gdyby nie cotygodniowe wizyty w więzieniu, wujek Benny nigdy nie rozgadałby się tak o korzeniach Pendela. Ale widok bratanka w więziennym kombinezonie z nazwiskiem wyszytym na kieszeni, który siedzi przed nim jak na szpilkach, to więcej, niż może znieść wypełnione poczuciem winy serce Benny'ego, bez względu na to, ile przyniesie serników i książek o gimnastyce od ciotki Ruth i ile razy wydusi z siebie podziękowania za to, że Pendel w tak ciężkich okolicznościach dotrzymał słowa. Ani mru-mru.

„To był mój pomysł, panie sierżancie... Zrobiłem to z nienawiści do magazynu, panie sierżancie... Byłem też bardzo zły na wujka Benny'ego, bo zmuszał mnie do ciężkiej pracy i wcale mi nie płacił, panie sierżancie... Wysoki Sądzie, nie mam nic do powiedzenia, tyle tylko, że bardzo żałuję popełnionego przez mnie podłego czynu i cierpień zadanych tym wszystkim, którzy mnie kochali i wychowali, a zwłaszcza wujkowi Benny'emu...”

Benny jest bardzo stary... dziecku wydaje się stary jak świat. Pochodzi ze Lwowa. Pendel w wieku dziesięciu lat zna Lwów jak własną kieszeń. Rodzina Benny'ego to ubodzy chłopcy i rzemieślnicy, drobni handlarze i szewcy. Dla wielu z nich podróż pociągami do obozu była pierwszą i ostatnią szansą zobaczenia świata poza rodzinnym miastem lub wsią i murami getta. Ale nie dla Benny'ego. Benny w tamtych czasach był sprytnym młodym krawcem marzącym o wielkiej karierze. Jakimś cudem udało mu się uniknąć obozów i trafił do Berlina, by szyć mundury niemieckim oficerom, choć jego największym marzeniem była nauka śpiewu operowego pod okiem tenora Gigliego i kupno willi na wzgórzach Umbrii.

- Te *szmatę* dla Wehrmachtu były prima sort, mój chłopcze - mówi demokrat Benny, który każdy materiał, choćby najlepszej jakości, nazywał *szmatę*. - Weź najelegantszy angielski garnitur, myśliwskie bryczesy i buty najwyższej jakości, gdzie im tam do mundurów Wehrmachtu. Ale przyszedł Stalingrad i wszystko zaczęło się rozpadać.

Z Niemiec Benny przyjechał na Leaman Street we wschodnim Londynie, gdzie z rodziną założył pracownię krawiecką. Chciał wziąć szturmem przemysł odzieżowy, żeby móc wyjechać do Wiednia i śpiewać w operze. Ale Benny był już anachronizmem. Pod koniec lat czterdziestych większość żydowskich krawców przeniosła się do Stoke Newington i Edgware, by wykonywać mniej skromne zajęcia. Ich miejsce zajęli Hindusi, Chińczycy i Pakistańczycy. Benny jednak nie poddał się. Wkrótce East End zajął miejsce jego Lwowa, a Evering Road stało się najwspanialszą ulicą w Europie. I właśnie na Evering Road kilka lat później - w każdym razie tyle wiedział Pendel - przyjechał starszy brat Benny'ego Leon z żoną Rachelą i garstką dzieci. Ten sam Leon, który pod wpływem eksplozji zapłodnił osiemnastoletnią irlandzką służącą. Nadała ona bękartowi imię Harry.

Pendel jedzie ku wieczności. Śledzi zmęczonymi oczami rozmazane czerwone gwiazdy na niebie i ciągnie za sobą przeszłość. Niemal wybucha śmiechem we śnie. Decyzja odsunięta, a każda sylaba i przerwa monologu wujka Benny'ego zazdrośnie strzeżona w pamięci.

- Czemu Rachel wpuściła twoją matkę do domu, tego nigdy nie zrozumieć - mówi Benny, potrząsając filcowym kapeluszem. - Od razu można było zauważyć, że ta dziewczyna to dynamit. Niewinność i cnota nie wchodziły w grę. Była bardzo ponętą i bardzo głupią siksą na granicy kobiecości. Wystarczyło kiwnąć palcem, żeby przekroczyła tę granicę. Wszystko można było przewidzieć.

- Jak miała na imię? - zapytał Pendel.

- Cherry. - Wuj westchnął, jakby wyjawiał ostatni sekret na łożu śmierci. - Skrót od Cherida. Tak mi się wydaje, chociaż nigdy nie widziałem jej metryki. Powinna mieć na imię Teresa, Bernadettę albo Carmel, ale musiała nazywać się Cherida. Jej ojciec był murarzem w hrabstwie Mayo. Irlandczycy byli jeszcze biedniejsi od nas, więc zatrudnialiśmy irlandzkie służące. My, Żydzi, nie lubimy się starzeć, mój chłopcze. Twój ojciec wyjątkiem nie był. Chyba gubi nas fakt, że nie wierzymy w niebo. Trzeba się naczekać w długim korytarzu, aż wpuszczą cię do głównego salonu Boga ze wszystkimi ozdobami. Wielu z nas wątpi, czy to kiedykolwiek nastąpi. - Pochylił się nad żelaznym stołem i chwycił Pendela za rękę. - Harry, posłuchaj mnie, synu. Żydzi proszą o wybaczenie człowieka, nie Boga, co nie jest łatwym zadaniem, bo do człowieka trudniej dotrzeć niż do Boga. Harry, błagam cię o wybaczenie. O wybawienie będę się starał na łożu śmierci. Ale wybaczenie - to ty, Harry, podpisujesz czek.

Pendel da Benny'emu wszystko, o co poprosi, jeśli tylko opowie mu o eksplozji.

- Twój ojciec powiedział mi, że to ten jej zapach - ciągnął Benny. - Rwał sobie włosy z głowy przez wyrzuty sumienia. Siedział przede mną jak ty teraz, tyle że nie w kombinezonie. „Dla jej zapachu zwałem na siebie świątynię”, powiedział. Twój ojciec był bardzo religijny, Harry. „Uklękła przy palenisku, a ja poczułem jej słodką woń, żadne tam mydło i pachnidła, Benny, tylko naturalny zapach kobiety. Opętał mnie zapach jej kobiecości. Gdyby Rachel nie poszła na spotkanie Cór Żydowskiej Czystości w South-end, twój ojciec nie uległby.

- Ale uległ - podpowiada Pendel.

- Harry, wśród łez przepelnionych poczuciem winy katoliczki i Żyda, okrzyków „Matko Boska!” i „aj waj”, i „co ja teraz pocznę?”, twój ojciec zerwał owoc. Nie umiesz dojrzeć w tym boskiego aktu, ale odziedziczyłeś po nich żydowski tupet i irlandzkie lizusostwo, żeby się wymigać od winy.

- Jak wyciągnąłeś mnie z sierocińca? - zapytał Pendel, prawie krzycząc, tak bardzo go to obchodziło.

Gdzieś wśród niejasnych wspomnień dzieciństwa sprzed nadejścia Benny'ego pojawił się obraz ciemnowłosej kobiety podobnej do Louisy, która na kolanach szoruje wielką jak boisko kamienną podłogę, a z góry patrzy na nią ubrana w niebieskie szaty figura Dobrego Pasterza i Jego Owieczki.

Pendel jedzie do domu. Znajome wille od dawna pogrążone w śnie. Opłukane deszczem gwiazdy. Księżyc w pełni za więziennym oknem. Zamknijcie mnie znowu, myśli. Więzienie to idealne miejsce dla tych, którzy nie chcą podjąć decyzji.

- Świetnie mi poszło, Harry. Te francuskie zakonnice były snobkami i myślały, że jestem dżentelmenem. Przyszedłem w pełnym rynsztunku, w szarym garniturze prosto z wystawy, krawacie wybranym przez ciotkę Ruth, skarpetach do koloru, butach ręcznej roboty firmy Lobb of St James, do których zawsze miałem słabość. Żadnego kiwania, wyprostowany, socjalizm zupełnie niewidoczny. - Benny wśród mnóstwa innych zainteresowań gorliwie popierał interesy robotników i wierzył w prawa człowieka. - „Siostrzyczki”, powiedziałem, „obiecuję wam jedno. Mały Harry będzie miał dobre życie, choćbym miał to przypłacić życiem. Powiecie, do jakich uczonych mam go prowadzić, a stawi się u nich na nauki w białej koszuli. Opłacę szkołę, którą same wybieriecie. Będzie miał muzykę z gramofonu i dom, za który każda sierota oddałaby oczy. Łosoś na stole, kulturalna rozmowa, własny pokój, łóżko z

wygodnym materacem”. Wtedy piąłem się do góry. Uznałem, że *szmatę* już nie dla mnie, tylko sprzęt golfowy, buty i pałac w Umbrii tuż za rogiem. Wydawało nam się, że za tydzień będziemy milionerami.

- A co z Cherry?

- Wyjechała, Harry, wyjechała - powiedział Benny, dramatycznie zniżając głos. - Twoja matka uciekła z klatki. Czy można ją winić? Ciotka z Mayo napisała, że zakonnice wykończyły biedną smutną Cherry tymi wszystkimi okazjami oczyszczenia się z grzechów.

- A ojciec?

Benny znów pograżył się w rozpacz.

- Gryzie ziemię - powiedział, ocierając łzy. - Twój ojciec, mój brat. I ja powinienem się tam znaleźć za to, do czego cię zmusiłem. Umarł ze wstydu. I mnie o mały włos nie zdarzało się to za każdym razem, kiedy cię tutaj widzę. Te letnie kiecki mnie zgubiły. Nie ma bardziej przygnębiającego widoku od pięciuset niesprzedanych letnich kiecek jesienią, o czym wie każdy *szlemil*. Ta piekielna polisa ubezpieczeniowa kusiła coraz bardziej. Padłem ofiarą pokusy, Harry, a co gorsza, wyręczyłem się tobą.

- Chodzę na kurs - próbował go pocieszyć Pendel, gdy rozlegał się dzwonek. - Zamierzam być najlepszym krawcem na świecie. Popatrz tylko. - Pokazuje mu więzienny materiał, który wyludził z magazynu i pociął według miary.

Podczas następnej wizyty Benny w poczuciu winy ofiarował Pendelowi obrazek Matki Boskiej w blaszanej ramce, który przypominał mu dzieciństwo we Lwowie, kiedy wymykał się z getta, by przyglądać się gojom podczas modlitwy. Matka Boska jest z nim i teraz, obok budzika na ratanowym stoliku przy łóżku w osiedlu Bethania, patrzy na niego z irlandzkim uśmiechem, gdy Pendel ściąga przeпоcony więzienny kombinezon i wsuwa się do łóżka, gdzie tak niewinnie śni Louisa.

Jutro, pomyślał. Powiem jej jutro.

- To ty, Harry?

Mickie Abraxas, wielki rewolucjonista podziemia i potajemny bohater studentów, wyraźnie wstawiony o drugiej pięćdziesiąt nad ranem, przysięga na Boga, że się zabije, bo żona wyrzuciła go z domu.

- Gdzie jesteś? - zapytał Pendel, uśmiechając się w ciemności, gdyż Mickie, mimo wszystkich kłopotów, które sprawiał, był jego towarzyszem z celi do końca życia.

- Nigdzie. Jestem beznadziejny.

- Mickie.

- Co?

- Gdzie jest Ana?

Ana była aktualną *chiguillą* Mickiego, rezydentną i praktycznie myślącą przyjaciółką Marty z czasów dzieciństwa z la Cordillery, która przyjmowała Mickiego takim, jakim był. To Marta poznała ich ze sobą.

- Cześć, Harry - powiedziała pogodnie Ana, więc Pendel pozdrowił ją równie pogodnie.

- Tle wypił?

- Nie wiem. Mówi, że był w kasynie z Rafim Domingo. Wypił trochę wódki i przegrał trochę forsy. Może zażył trochę koki, nie pamięta. Strasznie się poci. Mam wezwać lekarza?

Zanim Pendel zdążył odpowiedzieć, Mickie znowu wtrącił się do rozmowy.

- Harry, kocham cię.
- Wiem, Mickie, to dobrze. Ja też cię kocham.
- Postawiłeś na tego konia?
- Owszem, postawiłem na tego konia.
- Przepraszam, Harry. Dobrze? Przepraszam.
- Nie szkodzi, nic się nie stało. Nie wszystkie dobre konie wygrywają.
- Kocham cię, Harry. Jesteś prawdziwym przyjacielem, słyszysz?
- Więc nie musisz się zabijać, prawda? - zasugerował dobrotliwie Pendel. - Skoro masz Anę i prawdziwego przyjaciela.

-. Wiesz co, spędźmy razem weekend. Ty, ja, Ana i Marta. Będziemy łowić ryby i się pieprzyć.

- Wyśpij się, Mickie - powiedział stanowczo Pendel - a jutro rano przyjdź do przymiarki i na kanapkę. Wtedy sobie pogawędzimy. Tak?

- Kto to był? - zapytała Louisa, gdy odłożył słuchawkę.

- Mickie. Żona znowu nie wpuściła go do domu.

- Czemu?

- Ma romans z Rafi Domingo - odparł Pendel, walcząc z nieubłaganą logiką życia.

- Czemu Mickie nie da jej po gębie?

- Komu? - zapytał osłupiały Pendel.

- Żonie. Komuż by innemu?

- Jest zmęczony - odparł Pendel. - Noriega wysał z niego wszystkie siły.

Do łóżka wsunęła się Hannah, a za nią Mark i ogromny pluszowy miś, którego porzucił całe wieki temu. Było już jutro, więc jej powiedział. "Chciałem, żeby mi wierzone, wyznał, kiedy już mocno zasnęła. Żeby podtrzymać cię, kiedy się zachwiejesz.

Żeby podsunąć ci prawdziwe ramię, na którym można się wesprzeć, a nie tylko mnie.

Żeby być kimś lepszym w oczach córki wojskowego, która zacina się i wpada w wojowniczy nastrój, kiedy coś jej grozi, i zapomina stawiać małe kroczyki, choć matka przez dwadzieścia lat wpajała jej, że w przeciwnym razie nigdy nie znajdzie męża jak Emily.

I uważa, że jest za brzydka i za wysoka, gdy tymczasem wszyscy wokół niej są proporcjonalnie zbudowani i olśniewający jak Emily.

I która nigdy, za nic w świecie, nawet w chwili największego zwątpienia, nawet żeby zrobić na złość Emily, nie podpaliłaby magazynu wujka Benny'ego na jego prośbę, zaczynając od letnich sukienek".

Pendel siedzi w fotelu, otulony kołdrą. Zostawił łóżko tej o czystym sercu.

- Nie będzie mnie przez cały dzień - oznajmił Marcie, zjawiając się w zakładzie rano. - Będziesz musiała obsłużyć klientów.

- O jedenastej przychodzi ambasador Boliwii.

- Przełóż przymiarkę. Muszę się z tobą zobaczyć.

- Kiedy?

- Dziś wieczorem.

Do tej pory jeździli tam całą rodziną. Urządzali pikniki w cieniu mangowców, obserwowali sokoły, rybołowy i sępy próżnujące w gorącej bryzie i jeźdźców na białych koniach, którzy wyglądali jak niedobitki armii Pancho Willi. Albo pływali pontonem po

zalanych polach ryżowych - Louisa była w swoim żywiole, brodząc w szortach po wodzie. Ona odgrywała Katherine Hepburn z *Afrykańskiej królowej*, a Pendel Bogarta. Mark błagał ich, żeby uważali, a Hannah nazywała Marka nudziarzem.

Albo jeździli terenówką po zakurzonych żółtych drogach, które kończyły się na skraju lasu, gdzie ku wielkiej radości dzieciaków Pendel naśladował jeden z ataków rozpaczy wujka Benny'ego, twierdząc, że się zgubili. Co zresztą było prawdą, póki pięćdziesiąt metrów przed nimi nie wyrosły wśród palm srebrne wieże młyna.

Albo przyjeżdżali w czasie zbiorów, wsiadali parami na potężne żniwiarki, których ramiona obracały się przed nimi, młóćąc ryż i wzbijając obłoki owadów. Pod niskim niebem napierało wilgotne, gorące powietrze. Płaskie jak stół pola rozpływały się w namorzynowych mokradłach. Namorzynowe mokradła rozpływały się w morzu.

Ale dzisiaj, gdy Wielki Decydent samotnie pokonywał drogą, wszystko mu przeszkadzało, wszystko brał za zły omen: ogrodzenia z drutu kolczastego wokół amerykańskich magazynów amunicji krzyczały „nienawidzę cię” i przypominały mu o ojcu Louisy; pełne wyrzutu napisy „Jezus jest naszym Panem”; kartonowe slumsy biedoty na każdym wzgórzu przestrzegały: niedługo stanę się jednym z was.

I po obrazach nędzy pojawił się utracony raj dziesięciminutowego dzieciństwa Pendela: falisty krajobraz czerwonych pól w Devonie podczas szkolnych wakacji w Okehampton. Teraz angielskie krowy patrzyły na niego spomiędzy bananowców. Nawet Haydn z magnetofonu nie zdołał odpędzić melancholii. Wjeżdżając na podjazd farmy, Pendel chciał wiedzieć tylko jedno: jak dawno poprosił Angela, żeby zrobił coś z wybojami. Widok Angela w butach do konnej jazdy, słomkowym kapeluszu i złotych łańcuchach na szyi tylko spotęgował gniew. Dojechali do miejsca, gdzie bogaty sąsiad z Miami przekopał rów do rzeki Pendela.

- Wiesz co, przyjacielu?

- Co?

- Sędzia postąpił podle. Tutaj w Panamie, kiedy kogoś przekupujemy, oczekujemy od niego lojalności. I wiesz, czego jeszcze oczekujemy?

- Nie.

- Oczekujemy, że umowa będzie umową, Harry. Żadnych krętactw. Żadnych nacisków. Żadnych zmian. Ten facet jest aspołeczny.

- I co teraz zrobimy? - zapytał Pendel.

Angel wzruszył spokojnie ramionami jak człowiek, który uwielbia przekazywać złe wiadomości.

- Chcesz mojej rady, Harry? Szczerej? Rady przyjaciela? Dojechali do rzeki. Na drugim brzegu ludzie sąsiada udawali, że nie widzą Pendela. Rów zamienił się w kanał. Dalej koryto rzeki było suche.

- Powinieneś negocjować. Ogranicz straty, zawrzyj układ. Mam wybadać tych gości? Porozmawiać z nimi?

- Nie.

- Więc pogadaj ze swoim bankierem. Ramón to twardy gość. Załatwi to za ciebie.

- A ty skąd znasz Ramóna Rudda?

- Wszyscy znają Ramóna. Nie jestem tylko twoim zarządcą, wiesz? Jestem twoim przyjacielem.

Ale Pendel nie miał przyjaciół, nie licząc Marty i Mickiego, i może jeszcze pana Charliego Bliithnera, który mieszkał dwadzieścia kilometrów dalej na północ i oczekiwał, że Pendel przyjedzie do niego na szachy.

- Bliithner, jak fortepian? - zapytał Pendel żywego Benny'ego wieki temu, gdy stali w zalanym deszczem porcie w Tilbury, przyglądając się rdzewiejącemu frachtowcowi, którym były więzień miał wyruszyć na nowy etap swego ciężkiego życia.

- Tak, mój chłopcze. Ma u mnie dług wdzięczności - odparł Benny, a łzy mieszały się z kroplami deszczu. - Charlie Bliithner jest w Panamie królem krawców, ale nie byłby tym, kim jest, gdyby Benny nie trzymał języka za zębami, tak jak ty dla mnie.

- Spaliłeś mu letnie sukienki?

- Gorzej, chłopcze. A on do tej pory o tym pamięta.

Po raz pierwszy i ostatni w życiu uścisnęli się. Pendel też płakał, ale nie bardzo wiedział, dlaczego. Wspinając się po trapie, myślał tylko o jednym: wypuścili mnie i nigdy już tam nie wrócę.

Pan Bliithner nie zawiódł Benny'ego. Ledwie Pendel postawił stopę na panamskiej ziemi, kasztanowy mercedes z szoferem porwał go z nędznego mieszkania w Caledonii do okazałej willi Bliithnera położonej w luksusowej posiadłości nad Pacyfikiem - wyłożone płytkami podłogi, klimatyzowane stajnie, obrazy Noldego, podświetlane świadectwa z nieistniejących, ale o imponujących nazwach amerykańskich uniwersytetów, które nadawały panu Bluthnerowi tytuły profesora, doktora, członka rady. No i pianino z getta.

W ciągu następnych tygodni Pendel stał się we własnym mniemaniu ukochanym synem pana Bliithnera i zajął należne mu miejsce wśród rozwrzeszczanych, rudych dzieci i wnuków, majestatycznych ciotek, pulchnych wujów i służby w jasnozielonych liberiach. Podczas rodzinnych i religijnych świąt Pendel śpiewał nieczysto, ale nikomu to nie przeszkadzało. Fatalnie grał w golfa na prywatnym polu golfowym i nawet nie raczył przeprosić. Pluskał się w wodzie z dziećmiakami i pędził powozem po wydmach na złamanie karku. Wyglupiał się z rozleniwionymi psami, którym rzucał opadłe owoce mango, i obserwował eskadry pelikanów przelatujących nad oceanem. I wierzył w to wszystko: w ich wiarę, w moralność ich bogactwa, w bugenwille i tysiące innych roślin, w dobrą sławę, której blask przyćmiewał pożary, jakie wujek Benny mógł wzniecić w czasach, kiedy pan Bluthner dopiero wspinał się na szczyt.

Dobroć pana Bluthnera nie kończyła się w jego domu, bo gdy Pendel stawiał pierwsze kroki w krawieckim świątku, firma Bluthner Compania Limitada udzieliła mu sześciomiesięcznego kredytu w ogromnym magazynie tekstylnym w Colón, dzięki Bluthnerowi zdobył pierwszych klientów, jego nazwisko otwierało przed nim drzwi. A gdy próbował dziękować drobnemu, pomarszczonemu i czyściutkiemu panu Bluthnerowi, ten tylko kręcił głową i powtarzał: „Podziękuj wujowi Benny'emu”, a potem zwykle dodawał: „Znajdź sobie dobrą młodą Żydówkę, Harry. Nie opuszczaj nas”.

Nawet kiedy Pendel poślubił Louise, jego wizyty u pana Bliithnera nie urwały się, choć z konieczności odbywał je w tajemnicy przed żoną. Posiadłość Bliithnera stała się jego sekretnym rajem, świątynią, w której mógł zjawiać się tylko sam i pod jakimś pretekstem. Pan Bliithner natomiast ignorował istnienie Louisy.

- Mam problem z płynnością finansową, panie Bliithner - wyznał, gdy siedzieli przy

szachach na pomocnym tarasie. Tarasy wychodziły tutaj na każdą stronę świata, żeby pan Bliithner zawsze mógł schronić się przed wiatrem.

- Problem z płynnością na farmie ryżowej? - zapytał pan Bliithner. Jego drobna szczeka była jak ze skały, kiedy się nie uśmiechał. Nie uśmiechał się. Stare oczy często zapadały w sen. Teraz też spały.

- I w zakładzie - dodał Pendel, zalewając się rumieńcem.

- Zastawiłeś zakład, żeby zaciągnąć kredyt na farmę ryżową?

- Poniekąd, panie Bliithner. Dlatego szukam szalonego milionera.

Pan Bliithner zawsze bardzo długo się zastanawiał, czy to grając w szachy, czy też proszony o pieniądze. Siedział nieruchomo, kiedy się zastanawiał, wydawało się, że nie oddycha. Pendel pamiętał starych więźniów, którzy wyglądali tak samo.

- Albo się jest szalonym, albo milionerem - odpowiedział wreszcie pan Bliithner. - Tak już jest, mój chłopcze, tak już jest. Trzeba płacić za swoje marzenia.

Jechał do niej jak zawsze nerwowo Aleją Czwartego Lipca, wzdłuż której biegła kiedyś granica Strefy Kanału. W dole po lewej zatoka, w górze po prawej wzniesienie Ancón. Pośrodku odbudowane El Chorrillo ze zbyt zielonym skrawkiem trawnika, gdzie niegdyś stała *comandancia* Noriegi. W ramach zadośćuczynienia wybudowano na pokaz kilka wysokościowców i pomalowano je w pastelowe pasy. Marta mieszkała w środkowym. Ostrożnie wspinał się po brudnych schodach, pamiętając swoją ostatnią wizytę, kiedy to ktoś nasikał na niego ze spowitej ciemnościami góry, a budynek aż trząsł się od więziennych okrzyków i szalonego śmiechu.

- Proszę bardzo - powiedziała uroczyście, otwierając przed nim cztery zamki przy drzwiach.

Położyli się jak zwykle na łóżku i leżeli osobno, w ubraniach. Drobne szczupłe palce Marty w dłoni Pendela. Nie było tam krzeseł ani przestrzeni.

Mieszkanie składało się z jednego maleńkiego pokoju podzielonego brązowymi zasłonami: kącik do mycia, kącik do gotowania i kącik do leżenia. Przy lewym uchu Pendela stała oszklona szafka z porcelanowymi zwierzątkami, które należały do matki Marty, a przy stopach w skarpetach stał prawie metrowy gliniany tygrys, подарowany przez ojca Marty jej matce w dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Trzy dni później zginęli. I gdyby tego wieczoru Marta pojechała z rodzicami odwiedzić zamężną siostrę, zamiast leżeć teraz w łóżku z pokiereszowaną twarzą i skatowanym ciałem, też zostałaby rozbita w pył, ponieważ siostra mieszkała na pierwszej zbombardowanej ulicy. Dzisiaj po tej ulicy nie ma śladu; nie ma też śladu po rodzicach Marty, siostrze, szwagrze, ich sześciomiesięcznej córeczce i rudym kocie imieniem Hemingway. Ciała, gruzy i cała ulica oficjalnie popadły w zapomnienie.

- Chciałbym, żebyś mieszkała tam, gdzie dawniej - powiedział jak zwykle.

- Nie mogę.

Nie mogła, bo budynek stał w miejscu, gdzie kiedyś mieszkali jej rodzice.

Nie mogła, bo to była jej Panama.

Nie mogła, bo jej serce należało do zmarłych.

Niewiele rozmawiali, woleli porozmyślać nad potworną historią, która ich połączyła:

Młoda, piękna pracownica, idealistka, wzięła udział w publicznej demonstracji przeciw rządowi tyra. Zjawiała się w pracy zdyszana i przerażona. Wieczorem jej pracodawca

zapropował, że odwiezie ją do domu. Niewątpliwie miał zamiar zostać jej kochankiem, gdyż w ostatnich pełnych napięcia tygodniach nieodparcie ciągnęło ich ku sobie. Marzenie o lepszej Panamie było jak marzenie o wspólnej przyszłości i nawet Marta przyznawała, że tylko jankesi mogą poradzić sobie z bałaganem, który sami stworzyli, i że muszą działać szybko. Po drodze zostali zatrzymani przez żołnierzy Noriegi, którzy chcieli wiedzieć, dlaczego Marta ma na sobie białą bluzkę, symbol opozycji. Nie otrzymawszy zadowalającego wyjaśnienia, zmasakrowali jej twarz. Pendel położył zalaną krwią Martę na tylnym siedzeniu i w panice popędził na złamanie karku na uniwersytet - Mickie w tym czasie był studentem. Jakimś cudem znalazł go w bibliotece. Mickie był jedyną znaną Pendelowi osobą, której mógł zaufać. Mickie znał lekarza, zadzwonił do niego, zagroził mu, a potem przekupił. Mickie poprowadził terenówkę Pendela, a Pendel siedział z tyłu z głową Marty na kolanach - krew wsiąkała mu w spodnie i na zawsze zaplamiła tapicerkę. Lekarz wykonał swoją koszmarną robotę, Pendel zawiadomił rodziców Marty, zapłacił, wziął prysznic i przebrał się w pracy, i wrócił do domu, do Louisy, taksówką. Przez trzy dni strach i poczucie winy nie pozwoliły mu wyjawić, co się stało. Uraczył ją bezsensowną historyjką o jakimś idiocie, który wjechał mu w bok. Wóz na złom, Lou, trzeba kupić nowy, rozmawiałem już z tymi od ubezpieczenia, chyba nie będzie problemu. Dopiero piątego dnia zdobył się na odwagę i opowiedział z niechęcią, że Marta dała się wciągnąć w studenckie rozruchy, doznała urazów twarzy i konieczna będzie długa rekonwalescencja. Obiecałem, że przyjmę jaz powrotem, gdy już będzie zdrowa.

- Ach tak - powiedziała Louisa.

- A Mickie trafił do więzienia - ciągnął dalej beztrąsko, zapominając dodać, że tchórzliwy lekarz doniósł na niego i pewnie doniósłby też na Pendela, gdyby znał jego nazwisko.

- Ach tak - powiedziała Louisa po raz drugi.

- Rozsądek funkcjonuje tylko wtedy, gdy w grę wchodzi emocje - oświadczyła Marta, podnosząc palce Pendela do ust i całując każdy z osobna.

- Co to znaczy?

- Czytałam o tym. Sprawiasz wrażenie, jakbyś się nad czymś zastanawiał. Pomyślałam, że to może ci pomóc.

- Rozsądek wiąże się raczej z logiką - stwierdził.

- Nie ma logiki, jeśli nie są zaangażowane emocje. Chcesz coś zrobić, więc robisz to. Logiczne. Chcesz coś zrobić, a nie robisz tego, wtedy mamy do czynienia z załamaniem logiki.

- Pewnie to prawda - powiedział Pendel, który nie ufał żadnym abstrakcjom oprócz własnych. - Muszę przyznać, że te książki coś ci dają. Gadasz jak mały profesorek, a przecież jeszcze nie zdawałaś egzaminu.

Nigdy go nie naciskała i dlatego nie bał się do niej przychodzić. Jakby wiedziała, że on nikomu nie mówi prawdy, lecz z grzeczności dusi ją w sobie. Drobnostki, które jej wyjawiał, były zatem cenne dla obojga.

- Co słyhać u Osnarda? - zapytała.

- A co ma być słyhać?

- Dlaczego on uważa, że należysz do niego?

- Wie co nieco - odparł Pendel.

- O tobie?

- Tak.

- Ja o tym wiem?

- Nie sędzę.

- To coś złego?

- Tak.

- Zrobię, co zechcesz. Pomogę ci, o cokolwiek mnie poprosisz. Chcesz, żebym go zabiła? Zrobię to i pójdę do więzienia.

- Dla lepszej Panamy?

- Dla ciebie.

Ramón Rudd miał udział w kasynie na Starym Mieście i lubił tam zaglądać. Zasedli na obitej pluszem ławie, spoglądając na kobiety o obnażonych ramionach i krupierów z podkrążonymi oczami przy pustych stołach do ruletki.

- Ramonie, zamierzam spłacić kredyt - oznajmił mu Pendel. - Kapitał, odsetki, wszystko. Zamierzam pozbyć się wszystkich zobowiązań.

- Czym?

- Powiedzmy, że spotkałem szalonego milionera. Ramón łyknął trochę soku cytrynowego przez słomkę.

- Odkupię od ciebie farmę, Ramonie. Jest za mała, żeby na niej zarobić, zresztą tobie nie zależy na uprawie roli. Zależy ci na oskubaniu mnie.

Rudd przejrzał się w lustrze i to, co zobaczył, nie poruszyło go.

- Prowadzisz jakiś interes? Coś, o czym nie wiem?

- Chciałbym.

- Coś niezbyt legalnego?

- Ależ nie.

- Bo jeśli tak, muszę o tym wiedzieć. Pożyczam ci pieniądze, więc ty musisz mówić mi o swoich interesach. Na tym polega moralność. I sprawiedliwość.

- Prawdę mówiąc, nie jestem dziś w nastroju na moralność.

Rudd pomyślał przez chwilę i najwyraźniej informacja ta zmartwiła go.

- Skoro spotkałeś szalonego milionera, zapłacisz mi trzy tysiące za hektar - powiedział, stosując kolejne nienaruszalne prawo moralne.

Pendel wytargował dwa tysiące i wrócił do domu.

Hannah miała gorączkę. Mark chciał zagrać w ping-ponga. Praczka znów zaszła w ciążę.

Sprzątaczką skarżyła się, że ogrodnik robi jej nieprzyzwoite propozycje. Ogródnik upierał się, że w wieku siedemdziesięciu lat ma prawo składać propozycje komu zechce.

Święty Ernesto Delgado powrócił do kraju z Tokio.

Nazajutrz rano w pracy zasepiony Harry Pendel dokonał przeglądu wojsk: indiańskich wykańczarek, włoskich spodniarzy, chińskich specjalistów od marynarek, a skończywszy na seniorze Esmeraldzie, starej Mulatce o rudych włosach, która od rana do nocy zszywała kamizelki i była z tego zadowolona. Niczym wódz w przededniu bitwy rzucił każdemu słowa otuchy, chociaż to sam Pendel potrzebował pocieszenia, a nie jego załoga. Był dzień wypłaty i wszyscy byli w doskonałych nastrojach. Zamknąwszy się w pracowni, Pendel rozwinął na stole dwa metry szarego papieru, postawił notes na drewnianej podstawce i przy melodyjnych zawodzeniach Alfreda Deller'a zaczął delikatnie szkicować kontury pierwszego z dwóch garniturów z alpaki dla Andrew Osnarda, garniturów firmy Pendel & Braithwaite Co.,

Limitada, Krawców Królewskich, dawniej przy Savile Iow.

Dojrzały Człowiek Interesu, Wielki Mierniczy Argumentów i Chłodny Badacz Sytuacji
głosował swymi nożycami.

Beznamiętne oświadczenie ambasadora Maltby'ego, że pan Andrew Osnard... to nazwa jakiegoś ptaka?... wkrótce dołączy do personelu ambasady brytyjskiej w Panamie, zrodziło najpierw niedowierzanie, a później niepokój w poczciwym sercu szefa kancelarii, Nigela Stormonta.

Każdy normalny ambasador wzięłby szefa kancelarii na stronę. Wymagała tego choćby elementarna uprzejmość. „Słuchaj, Nigel, pomyślałem, że ty powinieneś dowiedzieć się pierwszy...”. Ale po roku współpracy minął już etap, kiedy mogli liczyć na uprzejmość. Maltby był dumny ze swoich małych wesołych niespodzianek. Wiadomość zatrzymał więc do poniedziałkowej narady, którą Stormont osobiście uważał za najgorszy moment każdego tygodnia pracy.

Publiczność ambasadora - jedna piękna kobieta i trzech mężczyzn, wśród nich Stonnont - zasiadła półkołem na chromowanych krzesłach naprzeciw jego biurka. Maltby wyglądał przy nich jak stworzenie należące do biedniejszej rasy. Zbliżał się do pięćdziesiątki, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, przeredzoną czarną grzywkę, doktorat honoris causa z jakiejś nieużytecznej dziedziny, a na twarzy permanentny grymas, którego nigdy nie należało mylić z uśmiechem. Ilekroć wzrok Maltby'ego padał na siedzącą przed nim piękność, widać było, że chciałby nie odrywać od niej oczu, ale nie ma odwagi. Wstydliwie odwracał wzrok ku ścianie i tylko grymas na twarzy pozostawał ten sam. Marynarka wisiała na oparciu krzesła, w porannym słońcu na kołnierzu iskrzył się łupież. Ambasador gustował we wzorzystych koszulach i dzisiaj jego tors przecinało dziewiętnaście pionowych pasów. Tyłu przynajmniej doliczył się Stormont. Nienawidził ziemi, po której stapał jego przełożony.

Maltby nie odpowiadał wizerunkowi majestatycznego brytyjskiego urzędnika za granicą, a jego ambasada też rozczarowywała pod tym względem. Żadnych bram z kutego żelaza, żadnych złoconych portyków czy imponujących schodów, które budziłyby pokorę niższych ras pograżonych w bezprawiu. Żadnych osiemnastowiecznych portretów wybitnych mężów przepasanych szarfami. Skrawek Imperium Brytyjskiego pod wodzą Maltby'ego mieścił się na jednej czwartej wysokości wieżowca, należącego do największej panamskiej firmy prawniczej, ozdobionego na szczycie insygniami pewnego szwajcarskiego banku.

Drzwi wejściowe ambasady z kuloodpornej stali obłożone były fornirem z angielskiego dębu. Dojeżdżało się tam za naciśnięciem odpowiedniego guzika w cichobieżnej windzie. Królewski herb w klimatyzowanym bezruchu przywodził na myśl gabinet kosmetyczny lub zakład pogrzebowy. Okna, podobnie jak drzwi, zostały wzmocnione przeciw Irlandczykom i przyciemnione przeciw słońcu. Do środka nie przenikał choćby szmer ze świata zewnętrznego. Ruch uliczny, dźwigi, transport morski, stare i nowe miasto, brygada kobiet w pomarańczowych kaftanach zbierająca liście wzdłuż rezerwatu Avenida Balboa - to tylko eksponaty w gablocie Jej Królewskiej Mości. Po postawieniu stopy w eksterytorialnej strefie brytyjskiej nie wygląda się na zewnątrz, tylko rozgląda po wnętrzu.

Podczas narady przedyskutowano po kolei szansę Panamy na przystąpienie do

północnoamerykańskiej Strefy Wolnego Handlu (zdaniem Stormonta sprawa niewarta zachodu), stosunki panamsko-kubańskie (zaniedbana wymiana handlowa, jak uważał Stormont, głównie dotycząca narkotyków) oraz wpływ wyborów w Gwatemali na panamskie nastroje polityczne (żaden, o czym Stormont powiadomił już ministerstwo). Maltby jak zwykle zatrzymał się dłużej nad obrzydłym już temacie Kanału; wszechobecności Japończyków; Chińczykach udających reprezentantów Hongkongu; oraz na pewnych dziwacznych pogłoskach w panamskiej prasie o francusko-peruwiańskim konsorcjum, które zaproponowało wykupienie Kanału, oferując francuskie know-how i kolumbijskie pieniądze z narkotyków. Gdzieś w tym momencie Stormont, częściowo z nudy i częściowo w samoobronie, odpłynął myślami i przystąpił do trudnego podsumowania swego dotychczasowego życia:

Nigel Stormont, urodzony zbyt dawno, wykształcony niezbyt dobrze w Oksfordzie w kolegium Shrewsbury and Jesus. Magisterium z historii na czwórkę, jak wszyscy, rozwiedziony, jak wszyscy: tyle że o jego małej eskapadzie pisano w niedzielnych gazetach. W końcu ślub z Patricią, w skrócie Paddy, niezrównaną była żoną kolegi z ambasady brytyjskiej w Madrycie, który próbował wysłać go na tamten świat za pomocą srebrnej wazy do grzanego piwa podczas służbowego przyjęcia bożonarodzeniowego; obecnie odsiaduje trzyletni wyrok w więzieniu Sing Sing w Panamie - populacja dwa i pół miliona, jedna czwarta bezrobotnych, połowa żyje w nędzy. Szef niezdecydowany, co z nim zrobić po tej aferze, jeśli w ogóle w grę wchodzi cokolwiek poza wyrzuceniem na śmietnik: patrz jego wczorajsza niezrozumiała odpowiedź na list Nigela sprzed sześciu tygodni. I ciągły niepokój związany z kaszlem Paddy - kiedy ci cholerni lekarze wymyślą na to lekarstwo?

- Czemu dla odmiany nie może to być jakieś niegodziwe brytyjskie konsorcjum? - żalił się Maltby cienkim głosem, wydobywającym się głównie przez nos. - Marzę o znalezieniu się w samym centrum jakiejś brytyjskiej intrygi. Nigdy nie było mi to dane. A tobie, Frań?

Piękna Francesca Deane uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Niestety - odpowiedziała.

- Niestety tak?

- Niestety nie.

Maltby nie był jedynym mężczyzną, którego doprowadzała do szaleństwa. Kochała się w niej połowa Panamy. Ciało, za które można oddać życie, umysł nie gorszy. Jedna z tych angielskich blondynek o kremowej cerze, za którymi szaleją Latynosi. Stormont widywał ją czasem na przyjęciach w otoczeniu atrakcyjnych panamskich playboyów, z których każdy dałby się pokrajać za randkę z nią. Ale Francesca przed jedenastą była już w łóżku z książką, a rano punktualnie o dziewiątej siedziała przy biurku w czarnej służbowej garsonce, bez makijażu, w pełni gotowa na kolejny dzień w raj. - Gully, a gdyby jakaś tajna brytyjska kompania usiłowała założyć w kanale hodowlę pstrągów, byłoby śmiesznie, nie? - zapytał Maltby z przyciężkim poczuciem humoru maleńkiego Gullivera, nienagannie ubranego porucznika Royal Navy w stanie spoczynku, urzędnika ambasady do spraw zaopatrzenia. - Małe rybki na śluzach Miraflores, większe w Pedro Miguel, dorosłe okazy w jeziorze Gatiin? Moim zdaniem to genialny pomysł.

Gully roześmiał się hałaśliwie. Zaopatrzenie było najmniejszym z jego zmartwień. Miał za zadanie wcisnąć jak najwięcej brytyjskiej broni każdemu, kto wystarczająco wzbogacił się na handlu narkotykami, żeby zapłacić za towar. Specjalność: miny przeciwpiechotne.

- Genialny pomysł, ambasadorze, genialny - grzmiał z typową dla niego marynarską serdecznością, wyciągając z rękawa chusteczkę w kropki i energicznie wydmuchując w nią nos. - Przy okazji, w weekend złapałem pięknego łososia. Dwanaście kilo. Dwie godziny musiałem jechać, żeby złowić bydlaka, ale nie żałuję.

Gulliver brał udział w wojnie o Falklandy, za co został odznaczony. Stormont wiedział, że od tamtej pory nie ruszył się na drugą stronę Atlantyku. Czasami, kiedy się upijał, wznosił toast za „pewną cierpliwą damę za wodą” i wzdychał ciężko. Ale był to raczej wyraz wdzięczności niż tęsknoty.

- Urzędnik do spraw politycznych? - powtórzył jak echo Stormont. Chyba powiedział to głośniejszym głosem, niż mu się wydawało. Być może zdrzemnął się. Po całonocnym czuwaniu przy Paddy nie byłoby w tym nic dziwnego.

- Ja jestem urzędnikiem do spraw politycznych, ambasadorze. Kancelaria jest działem politycznym. Dlaczego nie przydzielą go do kancelarii, gdzie jego miejsce? Sprzeciw się. Postaw na swoim.

- Obawiam się, że to absolutnie niemożliwe, Nigel. Decyzja została podjęta - odparł Maltby. Jego profesorski ton za każdym razem działał Stormontowi na nerwy. - Oczywiście zrobiłem, co się dało. Wysłałem do sekcji kadr faks, wyrażając ostrożną dezaprobatę. W tego typu otwartej korespondencji nie można napisać zbyt wiele. Koszty sygnałów kodowanych są w dzisiejszych czasach astronomiczne. Pewnie tyle kosztują te wszystkie maszyny i obsługujące je mądre kobiety. - Grymas na twarzy znowu ustąpił miejsca nieśmiałości uśmiechowi skierowanemu do Franceski. - Ale nie poddawałem się do końca. Odpowiedź dostałem taką, jakiej można się było spodziewać: pełna zrozumienia dla mojego punktu widzenia, ale nieustępliwa. Co zresztą jest oczywiste. Gdybym pracował w kadrach, też bym tak odpowiedział. Chodzi o to, że sami nie mają za dużo do powiedzenia. W tych okolicznościach.

Dopiero słowo „okoliczności” sprawiło, że Stormont zaczął domyślać się prawdy, ale uprzedził go Simon Kit. Simon był wysokim, jasnowłosym, niesfornym młodzieńcem z kucykiem, którego obcięta na próżno domagała się władczą żona Maltby’ego. Był nowym nabytkiem ambasady, obecnie odpowiedzialnym za sprawy, którymi nikt nie chciał się zajmować: wizy, udzielanie informacji, naprawa komputerów, obywatele brytyjscy w Panamie i inne.

- Może przejmie któreś z moich obowiązków - zaproponował bez ogródek z jedną ręką wyciągniętą do góry jak podczas licytacji. - Może na początek zajmie się „Marzeniami Albionu”? - dodał, mając na myśli kolekcję angielskich akwareli, które gniły w magazynie panamskiego urzędu celnego ku rozpaczy Instytutu Brytyjskiego w Londynie.

Maltby dobierał słowa z jeszcze większą niż zwykle precyzją.

- Nie, Simonie, obawiam się, że nie będzie mógł się zająć „Marzeniami Albionu” - odpowiedział, biorąc w pajęczę palce spinacz do papieru i w zamyśleniu rozprostowując go. - Ściśle mówiąc, Osnard nie jest jednym z nas. Raczej jednym z nich, jeśli wiecie, co mam na myśli.

O dziwo, nawet wtedy Stormont nie pojął aluzji.

- Nie bardzo rozumiem, ambasadorze. Kto go przysłał? To jakiś pracownik kontraktowy? - Przyszła mu do głowy straszna myśl. - Chyba nie jest z przemysłu?

Maltby posłał spinaczowi wyrozumiałe westchnięcie.

- O ile wiem, Nigel, to nie. Być może. Nic nie wiem o jego przeszłości i bardzo niewiele o teraźniejszości. Jego przyszłość jest dla mnie zamkniętą księgą. Jest „przyjacielem”. Spieszę od razu z wyjaśnieniem, że nieprawdziwym przyjacielem, choć wszyscy będziemy żywić nadzieję, że z czasem nim zostanie. Jest jednym z tych przyjaciół. Teraz wszystko jasne?

Przerwał, dając bardziej prostolinijnym umysłom czas na doświadczenie pozostałych.

- To człowiek z drugiej strony parku, Nigel. A właściwie zza rzeki. Słyszałem, że się przenieśli. To, co kiedyś było parkiem, teraz jest rzeką.

Stormont odzyskał mowę.

- Chcesz powiedzieć, że „przyjaciele” otwierają placówkę? W Panamie? Niemożliwe.

- A to dlaczego?

- Przecież wyjechali. Wycofali się. Po zakończeniu zimnej wojny zamknęli interes i zostawili pole jankesom. Obowiązuje ich umowa o wymianie informacji, o ile będą się trzymać z daleka. Jestem członkiem wspólnej komisji, która nadzoruje przepływ informacji.

- Ależ oczywiście, Nigel. Powiedziałbym nawet, że robisz to bardzo profesjonalnie.

- Więc co się zmieniło?

- Okoliczności. Zimna wojna dobiegła końca, więc „przyjaciele” odeszli. Teraz zimna wojna wraca, a jankesi odchodzą. To tylko moje przypuszczenia, Nigel. Niczego nie wiem na pewno. Nie wiem więcej od ciebie. Poprosili o stary etat. Nasi szefowie zgodzili się.

- Dla ilu?

- Na razie dla jednego. Jeśli im się powiedzie, bez wątpienia poproszą o więcej. Może po wrócą te szalone lata, kiedy główną funkcją placówki dyplomatycznej było tworzenie przykrywk dla ich działalności.

- Powiadomiono Amerykanów?

- Nie i tak ma zostać. Poza nami nikt nie może wiedzieć o misji Osnarda. Stormont trawił tę wiadomość, kiedy ciszę przerwała Francesca. Była kobietą praktyczną. Czasem aż za bardzo.

- Będzie pracował w ambasadzie? To znaczy, czy będzie tu fizycznie obecny? Maltby miał dla Franceski inny głos, nie tylko inną twarz. Jego ton oscylował między rozkazem a pieszczotą.

- Tak, Frań. Fizycznie i nie tylko.

- Będzie miał swój personel?

- Ma mieć kogoś do pomocy.

- Kobietę czy mężczyznę?

- To sprawa do ustalenia. Przypuszczam, że nie przez samego kandydata, ale w tych czasach niczego nie można być pewnym. - Chichot.

- Jakie ma stanowisko? - Tym razem odezwał się Simon Pitt.

- Czy „przyjaciele” mają stanowiska? Zabawne. Zawsze uważałem, że ich zajęcie jest już stanowiskiem samym w sobie. A wam? Tu jesteśmy my, a tam są oni. Może oni widzą to inaczej. Kształcił się w Eton. Ciekawe, jakich informacji udziela ministerstwo, a jakich nie. W każdym razie nie wolno nam się do niego uprzedzać.

Maltby kształcił się w Harrow.

- Mówi po hiszpańsku? - zapytała Francesca.

- Podobno płynnie, Frań. Ale moim zdaniem znajomość języków nigdy niczego nie gwarantuje. Facet, który robi z siebie głupca w trzech językach, jest dla mnie trzy razy większym głupcem od tego, który robi to w jednym.

- Kiedy przyjeżdża? - znowu Stormont.

- Prawdopodobnie w piątek trzynastego. To znaczy tak mi powiedziano.

- Czyli za osiem dni - zaprotestował Stormont.

Ambasador wyciągnął długą szyję w kierunku kalendarza ozdobionego fotografią królowej w kapeluszu z piórami.

- Tak? No proszę. Chyba rzeczywiście.

- Jest żonaty? - zapytał Simon Pitt.

- Nic o tym nie wiem.

- Czyli że nie? - znowu Stormont.

- Czyli że nie poinformowano mnie o tym, a ponieważ poprosił o kwatery dla jednej osoby, przypuszczam, że nawet jeśli jest z kimś związany, przyjeżdża sam.

Maltby rozłożył ramiona, zgiął je ostrożnie w łokciach i splótł dłonie za głowę. Jego gesty, choć dziwaczne, rzadko były pozbawione znaczenia. Ten dawał do zrozumienia, że zbliża się pora golfa i narada wkrótce się skończy.

- Nawiasem mówiąc, Nigel, to nominacja na całą kadencję, nic tymczasowego. Chyba że zostanie wyrzucony - dodał nieco pogodniej. - Frań, naciskają nas w sprawie tego memorandum, o którym rozmawialiśmy. Czy mogłabyś zostać dzisiaj trochę dłużej, chyba że wszystko już załatwione?

I znów ten wilczy uśmiech, smutny jak starość.

- Ambasadorze.

- Ach, to ty, Nigel. Miło, że wpadłeś.

Od zakończenia narady minął kwadrans. Maltby wkładał papiery do sejfu. Stormont zastał go samego. Maltby nie był zadowolony.

- Czym ma się zajmować Osnard? Musieli to panu powiedzieć. Niemożliwe, żeby dał mu pan wolną rękę.

Maltby zamknął sejf, ustawił szyfr, wyprostował się i zerknął na zegarek.

- A dałem, dałem. Sprzeciw nie miałby większego sensu. I tak dopięli by swego. To nie jest wina ministerstwa, Osnarda popiera jakieś ważne ciało międzyministerialne. Nie jest do ruszenia.

- Co to za ciało?

- Komitet Planowania i Realizacji. Zawsze uważałem, że w obu tych dziedzinach jesteśmy do niczego.

- Kto jest jego szefem?

- Nikt. Zadałem to samo pytanie. I otrzymałem tę samą odpowiedź. Powiniennem go przyjąć i być wdzięczny. Ty też.

Nigel Stormont siedział w swoim pokoju i przeglądał korespondencję. W swoim czasie zasłynął z opanowania. Kiedy w Madrycie wybuchł wokół niego skandal, jego postawę uznano, acz niechętnie, za wzorową. Uratował tym skórę, bo gdy złożył obowiązkową dymisję, Szef był ze wszech miar za jej przyjęciem, ale powstrzymała go „wyższa siła”.

- No proszę. Jak kot o dziewięciu żywotach - wymamrotał Szef z głębi swego ciemnego

pałacu w byłym budynku ministerstwa do spraw Indii, nie tyle ściskając dłoń Stormonta, ile zapamiętując jej linie papilarne na przyszłość. - A więc jednak nie czeka pana zasilek, tylko Panama. Biedaczysko. Proszę się nacieszyć Maltbym. Na pewno go pan polubi. I porozmawiamy o panu za rok lub dwa, dobrze? Żeby miał pan na co czekać.

Kiedy Szef zakopuje topór wojenny, twierdziły mądrale z Trzeciego Pokoju, nigdy nie zapomina, gdzie go zakopał.

Andrew Osnard, powtarzał w myślach Stormond. Jak nazwa jakiegoś ptaka. Przeleciała para osnardów. Gully właśnie ustrzelił osnarda. Bardzo śmieszne. Jeden z „przyjaciół”. Jeden z tych przyjaciół. Kawaler. Mówi po hiszpańsku. Dożywocie, chyba że zostanie zwolniony za złe zachowanie. Ranga nieznana, tak jak wszystko inne. Nowy urzędnik do spraw politycznych. Popierany przez ciało, które nie istnieje. Klamka zapadła, przybywa za tydzień z asystą nieznanego płci. W jakim celu? W związku z kim? Na czyje miejsce? Niejakiego Nigela Stormonta? Nie, nie wymyśla niestworzonych rzeczy, po prostu jest realistą, mimo iż kaszel Paddy mógł nadszarpnąć mu nerwy.

Pięć lat temu było nie do pomyślenia, żeby jakiegoś anonimowego karierowicza z gorszej strony parku, szkolonego w sterczeniu na rogach ulic i otwieraniu listów nad parą, uznano za odpowiednie zastępstwo dla dyplomaty czystej krwi klasy Stormonta. Ale tak było przed wprowadzeniem oszczędności i głośną rekrutacją przedstawicieli zewnętrznych kadr kierowniczych, co miało zaciągnąć brytyjskie służby dyplomatyczne za kołnierz w dwudziesty pierwszy wiek.

Boże, jak on nienawidził rządu. Mała Anglia, sp. z o. o., kierowana przez zespół zakłamanych nieudaczników, którzy nie nadawali się nawet do prowadzenia wesołego miasteczka w jakiejś nadmorskiej dziurze. Konserwatyści, którzy ogołocą kraj z ostatniej żarówki, żeby tylko zakonserwować swoją władzę. Dla nich Civil Service to luksus, bez którego można się obejść, tak jak bez ochrony środowiska i opieki medycznej, a najbardziej zbędnym luksusem są służby dyplomatyczne. Nie. W obecnym klimacie szarlatańskich metod i prowizorycznych napraw skreślenie stanowiska szefa kancelarii w Panamie, a wraz z nim Nigela Stormonta, wcale nie było rzeczą nie do pomyślenia.

Po co dublować stanowisko? Już słyszał skrzeczących członków Komitetu Planowania i Realizacji podczas jednej z narad odbywających się raz na tydzień, za które inkasowali trzydzieści pięć tysięcy rocznie. Po co jeden gość ma odwalać papierkową, a drugi brudną robotę? Czemu nie połączyć obu stanowisk w jedno? Wysłać tam tego ptaszka Osnarda. I gdy tylko zapozna się z sytuacją, odwołać tego ptaszka Stormonta. Co za oszczędność! Co za racjonalizacja! A teraz chodźmy wszyscy na lunch na koszt podatnika.

Szef by się ucieszył. Maltby też.

Stormont krążył po pokoju, szperał po półkach. W *Who's Who* nie znalazł ani jednego Osnarda. W leksykonie Debretta też nie było takiego hasła i przypuszczał, że nie znajdzie go również w *Ptakach Anglii*. Spis w książce telefonicznej przeszukiwał od nazwiska Osmotherly do Osner. Ale książka miała już cztery lata. Przekartkował parę starych informatorów MSZ, szukając w ambasadach w krajach hiszpańskojęzycznych śladu dawnych wcieleń Osnarda. Nie znalazł. Ani stałego, ani tymczasowego zatrudnienia. Sprawdził hasło Komitet Planowania i Realizacji w spisie urzędów. Maltby miał rację. Ciało o tej nazwie nie istniało. Zadzwoił do Rega, urzędnika administracji, żeby omówić z nim sprawę

przeciekającego dachu w wynajmowanym domu.

- Biedna Paddy musi biegać po sypialni z miseczkami do puddingu za każdym razem, kiedy pada, Reg - narzekał. - A pada cholernie często.

Reg był miejscowym pracownikiem i mieszkał z panamską fryzjerką Gladys. Nikt nigdy jej nie widział i Stormont podejrzewał, że Gladys jest chłopcem. Po raz piętnasty omówili historię zbankrutowanego kontrahenta, toczącą się w sądzie, i nieżyczliwą postawę panamskiego wydziału protokołu dyplomatycznego.

- Reg, a co z biurem dla pana Osnarda? Możemy o tym porozmawiać?

- Nie wiem, o czym możemy, a o czym nie możemy rozmawiać, Nigel. Wykonują tylko polecenia ambasadora.

- I jakie polecenia Jego Wysokość raczył wydać?

- Ma zająć wschodni korytarz. Cały, W stalowych drzwiach będą nowiusieńkie zamki, wczoraj dostarczył je kurier. Pan Osnard ma przywieźć swoje klucze. W starej poczekalni dla interesantów mają być sejfy na jego dokumenty. Szyfr ustawi pan Osnard po przybyciu, bez zapisywania, jakbyśmy kiedykolwiek zapisywali szyfry. Mam dopilnować, żeby było dużo miejsca na sprzęt. Chyba nie jest kucharzem, co?

- Nie wiem, kim jest, ale ty wiesz na pewno.

- Muszę przyznać, że przez telefon jego głos brzmi całkiem miło. Jak z BBC, tylko bardziej ludzki.

- O czym gadaliście?

- Najpierw o samochodach. Chce wypożyczyć samochód, póki nie sprowadzi swojego, i ja mam się tym zająć. Przesłał mi faksem prawo jazdy.

- Mówił, o jaką markę chodzi? Reg zachichotał.

- Tylko nie lamborghini, powiedział, i żeby było duże. Żeby mógł prowadzić w kapeluszu, gdyby chciał, bo jest wysoki.

- I czym jeszcze?

- O mieszkaniu. Pytał, kiedy będzie gotowe. Znaleźliśmy mu bardzo ładne gniazdko, żeby tylko malarze zdążyli na czas. Wysoko nad klubem Union. Może pan spluwać na te siwe włosy i tupeciki, kiedy tylko pan zechce. Trzeba tylko maznąć farbą. Biel z domieszką wybranego koloru. Jaki pan wybiera, pytam. Na pewno nie różowy, mówi, i nie bladożółty. A może ciepły brąz w odcieniu wielbłądziego łajna? Ale się śmiałem.

- Tle ma lat?

- Nie mam bladego pojęcia. Mógłby być w każdym wieku.

- Przecież masz to prawo jazdy?

- „Andrew Julian Osnard” - przeczytał na głos Reg, bardzo podekscytowany.

- „Urodzony pierwszego października 1970 roku, Watford”. Rany boskie, tam pobrali się moi rodzice.

Stormont stał na korytarzu przy automacie z kawą. Młody Simon Pitt podszedł do niego i zaproponował ukradkiem oględziny schowanego w dłoni paszportowego zdjęcia.

- No i co, Nigel? Carruthers czy otyła Mata Hari w męskim przebraniu?

Fotografię dobrze odżywnionego Osnarda przysłano wcześniej, żeby Simon mógł wystarać się dla niego o przepustkę dyplomatyczną. Stormont przez chwilę miał wrażenie, że cały jego prywatny świat wymyka się spod kontroli: alimenty dla byłej żony, zbyt wysokie, ale uparł się,

żeby je dostawała, utrzymanie studiującej Claire, Adrian chce rozpocząć studia prawnicze, on sam marzy o znalezieniu kamiennego domu na wzgórzu w Algarve z własnymi drzewami oliwkowymi, słońcem w zimie i suchym powietrzem, dobrym na kaszel Paddy. I o pełnej emeryturze, żeby urzeczywistnić tę fantazję.

- Wygląda dosyć sympatycznie - stwierdził, gdy doszła do głosu jego wrodzona przyzwoitość. - Dużo się kryje za tymi oczami. Może być wesoło.

Paddy ma rację, pomyślał. Nie powinienem czuwać przy niej całą noc. Przecież też muszę się przespać.

W poniedziałki dla odprężenia po porannej naradzie Stormont jadał w Pavo Real z Yvesem Legrandem, kolegą z ambasady francuskiej. Obaj lubili pojedynki słowne i dobre jedzenie.

- A propos, z radością donoszę, że przysyłają nam wreszcie nowego człowieka - oznajmił Stormont, gdy Legrand przekazał mu już kilka poufnych informacji, które wcale nie były bardzo poufne. - Młodziak. Mniej więcej w twoim wieku. Polityczny.

- Polubię go?

- Wszyscy polubią - stwierdził stanowczo Stormont.

Zaledwie zasiadł za biurkiem, zadzwonił telefon. Na linii wewnętrznej odezwała się Frań.

- Nigel, stało się coś niesamowitego. Zgadujesz?

- Raczej nie.

- Znasz mojego przyrodniego brata Milesa?

- Osobiście nie, ale słyszałem o nim.

- Miles oczywiście uczył się w Eton.

- Nie wiedziałem, ale teraz już wiem.

- Dzisiaj były jego urodziny, więc zadzwoniłam. Dasz wiarę, że mieszkał w tym samym internacie, co Andy Osnard?! Twierdzi, że był absolutnie słodki, trochę za gruby, trochę mrukliwy, ale świetny aktor w szkolnych przedstawieniach. Wyrzucili go za rozwiązłość.

- Za co?

- Za dziewczęta. Pamiętasz jeszcze? Uciechy Wenery. Gdyby interesowali go chłopcy, to byłaby sodomia. Miles przypuszcza, że mógł też nie płacić chesnego. Nie pamięta, kto dopadł go pierwszy, Wenera czy kwestor.

W windzie Stormont spotkał zaszepionego Gullivera z teczką.

- Coś poważnego, Gully?

- Raczej tak, Nigel. Chodzi o malutkie bara-bara.

- Uważaj na siebie - poradził Stormont ze stosowną powagą.

Jedna z żon dyplomatów, z którą Phoebe Maltby grała w brydża, widziała niedawno Gullivera z pewną szalową panamską dziewczyną. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat, zaklinała się żona od brydża, i moja droga, była czarna jak twój kapelusz. Phoebe postanowiła ostrzec męża we właściwym momencie.

Paddy poszła już spać. Stormont słyszał jej kaszel, kiedy wchodził po schodach.

Będę musiał sam iść do Schoenbergów, pomyślał. Schoenbergowie byli bardzo kulturalnym jankeskim małżeństwem. Elsie, prawniczka, bez przerwy latała do Miami na dramatyczne rozprawy sądowe. Paul, agent CIA, był właśnie jednym z tych, którzy nie mogli dowiedzieć się o prawdziwej misji Andrew Osnarda.

- Pendel. Do pana prezydenta. - Kto? - Jego krawiec. Ja.

Czapli Pałac stoi w samym sercu Starego Miasta, na cyplu wchodzącym w zatokę naprzeciwko Punta Paitilla. Dojazd z drugiego końca zatoki oznacza przeniesienie się z architektonicznego piekła do siedemnastowiecznej kolonialnej Hiszpanii z jej brudem i elegancją. Pałac otoczony jest slumsami, ale staranny dobór trasy przejazdu eliminuje je z pola widzenia. Tego dnia przed zabytkowym portykiem orkiestra dęta grała Straussa ustawionym w rzędzie pustym samochodom z dyplomatycznymi rejestracjami i zaparkowanym policyjnym motocyklem. Muzycy ubrani byli w białe hełmy, białe mundury i białe rękawiczki. Instrumenty lśniły jak białe złoto. Z rozwiniętej przykrótkiej markizy spływały na nich strumienie deszczu. Straż przy głównym wejściu pełniły dwa fatalnie skrojone czarne garnitury.

Dłonie w białych rękawiczkach odebrały Pendelowi walizkę i przepuściły ją przez elektroniczny skaner. Poproszono, żeby wszedł na platformę. Stojąc na niej, zastanawiał się, czy szpiegów w Panamie wiesza się, czy rozstrzeliwuje. Dłonie w białych rękawiczkach zwróciły walizkę. Platforma wykazała, że jest nieszkodliwy. Wielki tajny agent został wpuszczony do warowni.

- Tędy - powiedział wysoki ciemnoskóry bóg.

- Wiem - odparł dumnie Pendel.

Marmurowa fontanna szemrała pośrodku marmurowej podłogi. W wodnym pyle spacerowały mlecznobiałe czaple, dziobiąc wszystko, co zwróciło ich uwagę. Z klatek na ścianie groźnie łupały inne czaple. Nic dziwnego, pomyślał Pendel, przypominając sobie historię, którą Hannah kazała opowiadać sobie kilka razy w tygodniu. W 1977 roku, gdy Jimmy Carter przybył do Panamy ratyfikować nowy traktat w sprawie Strefy Kanału, agenci tajnych służb spryskali pałac środkiem dezynfekującym, który nie zaszkodził prezydentom, ale zabił czaple. Podczas ściśle tajnej operacji usunięto ciała, a pod osłoną nocy sprowadzono z Chitre żywych dublerów.

- Pańska godność?

- Pendel.

- W jakiej sprawie?

Wszystko przypominało stacje kolejowe z czasów dzieciństwa: mijało go w pośpiechu wielu dużych ludzi w zbyt wielu kierunkach, a jego walizka zawsze o kogoś się obijała. Teraz mówiła do niego jakaś uprzejma pani. W pierwszej chwili pomyślał, że to chyba Martą ze względu na piękny głos. Na jej twarz padło światło, nie była zeszpecona. Z identyfikatora na skromnej garsonce dowiedział się, że jest prezydencką dziewczicą o imieniu Helen.

- Czy to ciężkie? - zapytała.

- Lekka jak piórko - zapewnił ją rycersko, nie przyjmując pomocy dziewczęcej ręki.

Gdy wspinał się za nią po wielkich schodach, blask marmuru zastąpiła głęboka czerwień mahoni. Kolejne fatalnie skrojone garnitury mierzyły go wzrokiem pod kolumnowymi przejściami. Dziewica poinformowała go, że wybrał ruchliwy dzień.

- Kiedy prezydent wraca do kraju, zawsze mamy duży ruch - rzekła, wznosząc oczy do nieba, gdzie mieszkała.

„Zapytaj go o czas wolny w Hongkongu”, polecił mu Osnard. „Co robił w Paryżu? Pieprzył się czy spiskował?”

- Do tego miejsca byliśmy pod rządami kolumbijskimi - informowała go dziewczyna, wznosząc nieskalaną dłoń ku portretom wczesnych panamskich gubernatorów. - Dalej pod amerykańskimi. Wkrótce będziemy pod swoimi.

- Świetnie - przyznał entuzjastycznie Pendel. - Najwyższa pora.

Weszli do wyłożonego boazerią holu, który przypominał bibliotekę bez książek. Wyczuł miodowy zapach pasty do podłogi. Przy pasku dziewczyny zadźwięczał brzęczyk. Został sam. „W jego programie podróży są czarne plamy. Dowiedz się, co wtedy robił”.

Stał samotnie, ściskając walizkę. Obite żółtym materiałem krzesła pod ścianami wydawały się zbyt delikatne, żeby mógł na nich usiąść zwykły były więzień. A gdyby tak któreś się pod nim złamało. Żegnaj, wolności. Dni zamieniają się w tygodnie, ale Harry Pendel doskonale wie, czym jest oczekiwanie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie stał tu do końca życia z walizką w rękę, aż wreszcie wywołają jego nazwisko.

Za nim otworzyły się wielkie drzwi. Do sali wpadł słup światła, a towarzyszył mu stukot szybkich kroków i apodyktyczne męskie głosy. Uważając na to, by nie zrobić żadnego niestosownego ruchu, Pendel cofnął się pod portret tłustego gubernatora z okresu kolumbijskiego i „rozprószył się”. Wtopił się w ścianę razem z walizką.

Nadchodząca grupa liczyła około dwunastu osób, mówiących różnymi językami. Nad stukotem niecierpliwych kroków rozbrzmiewały strzępy rozmów po hiszpańsku, japońsku i angielsku. Idący poruszali się w tempie typowym dla polityków: energicznie i uroczyście, paplając jak uczniaki wypuszczone z kozy. Zamiast mundurków ciemne garnitury, zarozumiały ton głosów, kształt nadchodzącej formacji - klinowy. Na czubku tego klina unosiło się nad ziemią nadzwyczajne wcielenie samego Króla Słońce - Wszechpanujący, Najjaśniejszy, Boski Władca Ciemnych Plam, ubrany w czarną marynarkę firmy P & B, pasiaste spodnie i parę czarnych pantofli z cielejącej skóry z naszywanymi noskami od Duckera.

Z policzków prezydenta bił różowy blask: skutek częściowo świętości, częściowo obżarstwa. Siwe gęste włosy, drobne, różowe i wilgotne usta jakby przed chwilą oderwały się od matczynej piersi. Piękne chabrowe oczy lśniły zadowoleniem z odbytej narady. Gdy dotarli do Pendela, grupa zatrzymała się bezładnie. Po chwili krzątania i przepychanek osiągnięto wreszcie jakiś porządek. Jego Wysokość wysunął się do przodu, odwrócił się na pięcie i stanął przodem do swych gości. Asystent z wypisanym na identyfikatorze imieniem Marco ustawił się obok swego pana. Dołączyła do nich dziewczyna w garsonce. Nie miała na imię Helen, tylko Juanita.

Goście kolejno występowali z szeregu, ściskali dłoń Nieśmiertelnemu i oddalali się. Jego Świetlistość miał dla każdego słowo otuchy. Pendel nie zdziwiłby się, gdyby wcześniej dostali zapakowane suweniry dla mamusi.

Tymczasem wielkiego szpiega dręczyły obawy o zawartość walizki. A jeśli wykańczarki zapakowały coś innego? Już widzi, jak otwiera wieko, a w walizce leży kostium uszyty przez Indianki z plemienia Cuna dla jego córki na bal przebierańców z okazji urodzin Carlity Rudd: kloszowa spódnica w kwiaty, koronkowy kapelus, niebieskie pantalony. Korci go, żeby

zajrzeć do walizki, ale nie śmie. Pożegnanie trwało dalej. Dwaj goście, Japończycy, byli niskiego wzrostu. W przeciwieństwie do prezydenta. Niektóre uściski dłoni odbywały się więc ze skłonem.

- A zatem jesteśmy umówieni. Golf w sobotę - obiecał Jego Doskonałość monotonnym głosem, tak uwielbianym przez jego dzieci. Japoński gość natychmiast się roześmiał.

Wyróżniono kolejnych szczęśliwców.

- Marcel, dziękuję za wsparcie, do zobaczenia w Paryżu! Paryż wiosną!...Don Pablo, proszę pokłonić się ode mnie waszemu znakomitemu prezydentowi i powiedzieć mu, że cenię sobie opinię jego Banku Narodowego...

Wreszcie odeszła ostatnia osoba, drzwi zamknięto, słup światła zniknął i w sali pozostał tylko Jego Pulchność, uprzejmy asystent Marco i dziewczica Juanita. A także ściana z walizką.

Trio odwróciło się i ruszyło z Królem Słońce pośrodku w stronę prezydenckiego gabinetu. Drzwi do niego znajdowały się niespełna metr od miejsca, w którym stał Pendel. Przybrał uśmiech i z walizką w ręku zrobił krok do przodu. Siwa głowa uniosła się i odwróciła ku niemu, ale chabrowe oczy zobaczyły tylko ścianę. Trio minęło go, drzwi do gabinetu zamknęły się. Wrócił Marco.

- Pan jest krawcem?

- Tak, *senor* Marco, do usług Jego Ekscelencji.

- Proszę czekać.

I Pendel czekał, jak wszyscy, którzy służą. Minęły lata. Drzwi znów się otworzyły.

- Proszę się pospieszyć - zarządził Marco.

„Zapytaj go, co robił w wolnym czasie w Paryżu, Tokio i Hongkongu”.

W kącie ustawiono rzeźbiony złoty parawan. Złoczone gipsowe łuki zdobiły każdy róg. Złote róże opadały po drzewcach. Przed nim, na tle rozświetlonego okna, stoi w królewskiej pozie Jego Przewidywalność w czarnej marynarce i pasiastych spodniach. Dłoń prezydenta jest miękka jak dłoń starej damy, tylko większa. Dotykając delikatnych poduszek, Pendel przypomina sobie ciotkę Ruth, która sieka kurczaka na niedzielną zupę, a Benny śpiewa *Celeste Aida* przy pianinie.

- Witamy w kraju, panie prezydencie, po tak owocnej podróży - mamrocze Pendel ze ściśniętym gardłem.

Ale nie wiadomo, czy Największy Przywódca Świata odbiera w pełni sens tego zduszonego pozdrowienia, gdyż Marco wręczył mu właśnie czerwony telefon bezprzewodowy i prezydent rozpoczął już rozmowę.

- Franco? Nie zawracaj mi głowy. Powiedz jej, że potrzebuje prawnika. Zobaczymy się wieczorem na przyjęciu. Wtedy porozmawiamy.

Marco odbiera czerwony telefon. Pendel otwiera walizkę. Nie kostium na bal przebierańców, tylko niewykończony garnitur z dyskretnymi wzmocnieniami na torsie do podtrzymania dwudziestu orderów spi bezpiecznie w perfumowanej miękkiej trumnie. Dziewica po cichu wychodzi, gdy Władca Ziemi zajmuje miejsce za złotym parawanem w jego lustrzanym wnętrzu. To jeden z pałacowych antyków. Siwa głowa, tak bardzo kochana przez lud, znika i pojawia się na nowo. Prezydent zdejmuje spodnie.

- Wasza Wysokość będzie łaskaw - mamrocze Pendel.

Zza złotego parawanu wysuwa się prezydencka ręka. Pendel zawiesza sfastrygowane

czarne spodnie na prezydenckim przedramieniu. Ramię i spodnie znikają. Znowu dzwoni telefon. „Zapytaj o czarne plamy”.

- To ambasador Hiszpanii, Wasza Ekscelencjo! - woła zza biurka Marco. - Prosi o prywatną audiencję.

- Umów go na jutro wieczór po Tajwańczykach.

Pendel staje twarzą w twarz z Władcą Wszechświata Wielkim Mistrzem politycznej szachownicy Panamy, człowiekiem dzierżącym klucze do jednej z dwóch najważniejszych bram świata, od którego zależy przyszłość światowego handlu i równowaga sił na świecie w dwudziestym pierwszym wieku. Pendel wsuwa dwa palce za pas spodni prezydenta, Marco anonsuje kolejnego rozmówcę, niejakiego Manuela.

- Powiedz mu, że spotkamy się w środę - rzuca prezydent nad parawanem.

- Rano czy po południu?

- Po południu - odpowiada prezydent.

Prezydencka talia jest trudna do zlokalizowania. Jeśli krocze jest w porządku, to w takim razie zła jest długość nogawek. Pendel podciąga spodnie. Nogawki unoszą się ponad linię jedwabnych skarpet prezydenta, który przez chwilę wygląda jak Charlie Chaplin.

- Manuel mówi, że popołudnie mu odpowiada, pod warunkiem że będzie tylko dziewięć dołków - Marco ostrzega surowo swego pana.

I wtedy zapada cisza. W pokoju nastaje coś, co Pendel w rozmowie z Osnardem nazwał błogosławionym wytchnieniem od wiecznej gonitwy. Nikt się nie odzywa. Ani Marco, ani prezydent, ani żaden z licznych telefonów. Wielki szpieg klęczy, przypinając szpilką lewą nogawkę spodni prezydenta, ale spryt go nie opuszcza.

- Pozwolę sobie zapytać Waszą Ekscelencję, czy podczas niedawnych udanych wojaży po Dalekim Wschodzie udało się panu choć trochę zrelaksować? Może jakieś sporty? Spacerować? Zakupy? Proszę mi łaskawie wybaczyć śmiałość.

Nadal nie dzwoni żaden telefon, nic nie zakłóca błogosławionej chwili wytchnienia, gdy Właściciel Kluczy do Światowej Potęgi zastanawia się nad odpowiedzią.

- Za ciasne - oznajmia. - Spodnie są ciasne, panie Braithwaite. Czemu wy, krawcy, nie pozwolicie swojemu prezydentowi normalnie oddychać?

- „Harry - mówi do mnie - ależ w tym Paryżu mają parki. Gdyby nie lobby budowlane i komuniści, zrobiłbym to samo w Panamie choćby jutro”.

- Czekaj. - Osnard przewrócił kartkę w notesie, pilnie zapisując jego słowa. Znajdowali się na czwartym piętrze podejrzanego hotelu o nazwie Paraiso w ruchliwej części miasta. Po drugiej stronie ulicy zapalał się i gasł neon Coca-coli, to zalewając pokój czerwonymi płomieniami, to znów pograżając go w ciemnościach. Z korytarza dochodziły kroki przybywających i odchodzących par. Zza ścian - jęki rozczarowania lub zachwyty i odgłos coraz szybszych ruchów rozpalonych ciał.

- Nie powiedział dosłownie tak - dodał ostrożnie Pendel - ale coś w tym sensie.

- Nie przekręcaj. Przytaczaj dokładnie jego słowa. - Osnard poślinił kciuk i przewrócił kartkę.

Pendel ujrzał letni domek doktora Johnsona na Hampstead Heath w dniu, kiedy poszedł tam z ciocią Ruth po azalie.

- „Harry - mówi do mnie - ten park w Paryżu, szkoda, że zapomniałem, jak się nazywa. Był

tam mały domek z drewnianym dachem. Tylko ja, ochroniarze i kaczkę”. Prezydent uwielbia przyrodę. I właśnie ten domek był świadkiem historycznego wydarzenia. Jeśli wszystko pójdzie według planu, pewnego dnia na drewnianej ścianie zawisnie tabliczka z informacją dla całego świata, że w tym miejscu ważyły się losy przyszłego dobrobytu i niepodległości młodego państwa panamskiego. I data”.

- Mówił, z kim rozmawiał? Z Japończykami, żabojadami, Chińczykami? Chyba nie siedział i nie gadał do kwiatków?

- Niezupełnie, Andy. Ale można się domyślić.

- Jak? - znów polizał kciuk z cichym mlaśnięciem.

- „Harry, musisz zachować to dla siebie, ale błyskotliwość orientalnego umysłu jest dla mnie objawieniem, a Francuzi nie pozostają daleko z tyłu”.

- Powiedział, o jaki wschód mu chodzi?

- Niezupełnie.

- Japonia? Chiny? Malaje?

- Andy, usiłujesz mi sugerować pewne rzeczy.

Żadnego dźwięku oprócz wycia ruchu ulicznego, szczęku i szumów klimatyzatorów, muzyki z głośników, która ma zagłuszyć szczęki i szumy. Latynoskie głosy próbujące przekrzyczeć muzykę. Długopis Osnarda śmigający po stronach notesu.

- Marco cię nie polubił?

- Nigdy mnie nie polubi.

- Dlaczego?

- Pałacowi dworzanie nie lubią, kiedy krawcy z obcych krajów prowadzą rozmowy z ich szefami. Nie podoba im się, że słyszą: „Marco, nie rozmawiałem z panem Pendelem całe wieki i mamy mnóstwo zaległości do odrobienia, bądź więc tak dobry i czekaj za drzwiami, póki cię nie zawołam”. Prawda?

- Jest ciotą?

- Moja wiedza nie sięga tak daleko. Nie pytałem go, to nie moja sprawa.

- Zaproś go na kolację. Poświęć mu trochę czasu. Zaproponuj zniżkę na garnitur. Wygląda na gościa, którego chcemy mieć po naszej stronie. Coś o tradycyjnych anty amerykańskich nastrojach wśród Japończyków?

- Nic.

- O Japonii jako następnym super mocarstwie świata?

- Nic.

- Jako naturalnym przywódcy rozwijających się potęg przemysłowych?... też nie? O animozjach japońsko-amerykańskich?... O tym, że Panama jest między młotem i kowadłem?... a prezydent czuje się jak szynka w bułce?... tego typu sprawy?... nie?

- Jeśli chodzi o Japonię, nie. Choć teraz przypomniała mi się jedna uwaga. Osnard rozpromienił się.

- „Harry - mówi do mnie - błagam Boga o jedno, żeby już nigdy, ale to nigdy nie kazał mi siedzieć w pokoju z Japończykami po jednej stronie stołu i jankesami po drugiej, bo utrzymywanie pokoju między nimi kosztuje mnie dużo zdrowia, a dowodem są moje biedne siwe włosy”, chociaż, szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy wszystkie włosy są jego. Myślę, że je sobie sztukuje.

- Rozgądał się, co?

- Słowa wprost się z niego wylewały. Gdy tylko wchodzi za ten parawan, rozwiązuje mu się język. A jeśli zaczyna temat Panamy w kontekście polityki światowej, traci poczucie czasu.

- A co z wolnym czasem w Tokio? Pendel kręcił głową posepnie.

- Przykro mi. Tutaj muszę spuścić zasłonę milczenia - oznajmił i odwrócił głowę do okna w stoickim uporze.

Długopis Osnarda znieruchomiał. Neon coca-coli po drugiej stronie ulicy co chwila wyławiał go z ciemności.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał.

- To mój trzeci prezydent, Andy - odpowiedział Pendel zwrócony twarzą do okna.

- I co z tego?

- Nie uda mi się. Nie mogę.

- Co ci się nie uda, do kurwy nędzy?

- Pogodzić donosicielstwa z sumieniem.

- Odbiło ci? Trafiłeś, człowieku, na żyłę złota. Mówimy o dużej, bardzo dużej premii. Gadaj, co ci powiedział prezydent o swoich czarnych plamach w Japonii, kiedy przymierzał te cholerne gacie!

Pendel długo się zastanawiał, zanim odezwał się znowu. Ale w końcu zrobił to. Przygarbił się, rozluźnił, odwrócił wzrok od okna.

- „Harry - mówi do mnie - jeśli klienci będą cię kiedyś pytać, dlaczego miałem w Tokio tak dużo wolnego czasu, powiedz im, proszę, że kiedy moja małżonka z cesarzową odwiedzała fabrykę jedwabiu, ja po raz pierwszy w życiu rypałem Japonkę”. Ja sam, o czym dobrze wiesz, nigdy bym nie użył takiego wyrażenia, ani w pracy, ani w domu - „i w ten sposób, Harry, mój przyjacielu - mówi dalej - poprawisz moje notowania w niektórych kręgach w Panamie i zmylisz innych co do prawdziwej natury moich działań i ściśle tajnych rozmów, które prowadziłem w imię najwyższego dobra Panamy, choć wiele osób myśli sobie co innego”.

- Co to znaczy?

- Chodzi o groźby, które rzucono pod jego adresem. Nie mówiono o tym głośno, żeby nie niepokoić społeczeństwa.

- Czy to aby na pewno jego słowa? Bo brzmi to tak, jakby się czytało „Guardiana” w deszczowy poniedziałek.

Pendel tchnął łagodnością.

- Nie było żadnych słów, Andy. Słowa nie były potrzebne.

- Nie rozumiem - powiedział Osnard, nie przerywając pisanania.

- Prezydent zamówił specjalną kieszonkę po lewej stronie wszystkich marynarek. Mają być doszyte w całkowitej tajemnicy. Wymiary lufy poda mi Marco. „Harry - mówi do mnie - tylko nie myśl, że panikuję, i nie puść pary z gęby. To, co robię dla rodzącego się państwa panamskiego, które tak kocham, przyplacę krwią. Nic więcej nie powiem”.

Z ulicy dobiegł ich rechot pijaków, który zabrzmiał jak szyderstwo.

- Masz już tę wielką premię - oznajmił Osnard, zamykając notes. - Co tam słyhać u brata Abraxasa?

Ta sama scena, inne ustawienie aktorów. Osnard znalazł rozklekotane krzesło i siedzi na

nim okraciem z rozłożonymi pulchnymi udami i oparciem wyrastającym mu z krocza.

- Trudno ich namierzyć, Andy - ostrzegł Pendel, chodząc po pokoju z założonymi z tyłu rękami.

- Kogo?

- Cichą Opozycję.

- To jasne.

- Trzymają karty przy piersi.

- Dlaczego? Przecież walczą o demokrację. Czemu milczą? Czemu nie wyjdą na ulice i nie wezwą studentów do czynu? Czemu, do diabła, są tacy cisi?

- Noriega dał im nauczkę i nie zamierzają dostać następnej. Nikt już nie wsadzi Mickiego do więzienia.

- Mickie jest ich przywódcą, zgadza się?

- Mickie jest ich przywódcą, moralnie i faktycznie, choć nigdy się do tego nie przyzna, ani on, ani jego zwolennicy, ani studenci, z którymi się kontaktuje, ani jego ludzie po drugiej stronie mostu.

- A Rafi ich finansuje.

- Całkowicie. - Pendel odwrócił się od okna.

Osnard położył notes na oparciu krzesła i znów zaczął pisać.

- Jest jakaś lista członków? Jakiś program polityczny? Manifest? Co ich łączy?

- Po pierwsze, dążą do oczyszczenia kraju... - Pendel przerwał, żeby Osnard zdążył zapisać. Słuchał Marty, kochał ją. Widział Mickiego, trzeźwego i zmartwychwstałego w nowym garniturze. Serce przepelniała mu duma. - Po drugie, dążą do pogłębienia niezależności Panamy po odejściu jankesów, jeśli w ogóle do tego dojdzie. Po trzecie, pragną wykształcenia biedoty, reformy służby zdrowia, lepszego systemu stypendiów studenckich i lepszych warunków dla biednych farmerów, zwłaszcza tych, którzy uprawiają ryż i hodują krewetki, no i nie chcą dopuścić do wyprzedania majątku narodowego, w tym Kanału.

- Lewicują, co? - zasugerował Osnard. Przerwał pisanie i ssał plastikową skuwkę długopisu w drobnych różowych usteczkach.

- Nie bardziej, niż nakazuje przyzwoitość i rozsądek. Mickie ma lewicowe sympatie, to prawda. Ale jego hasłem jest umiar. Nie zawraca sobie głowy Kubą i komunistami. Marta też.

Twarz piszącego Osnarda zastygła w grymasie skupienia. Pendel obserwował go z rosnącym niepokojem, zastanawiając się, jak go przystopować.

- Wiesz co? Słyszałem dowcip o Mickim. Jest przeciwieństwem powiedzenia *in vino veritas*. Tm więcej pije, tym mniej mówi o swojej działalności.

- Za to kiedy jest trzeźwa mówi wystarczająco dużo? Za niektóre rzeczy, które ci wyjawiał, grozi strycek.

- To mój przyjaciel, Andy. Nie wiem swoich przyjaciół.

- To twój przyjaciel i ty jesteś jego przyjacielem. Może pora coś z tym zrobić?

- Na przykład co?

- Wciągnij go. Zrób z niego uczciwego agenta. Daj mu zarobić.

- Mickiemu?

- Nic trudnego. Powiesz, że poznałeś nadzianego filantropa z Zachodu, który podziwia jego działalność i chciałby mu po cichu pomóc. Nie musisz mówić, że jest Angolem. Powiedz,

że to jankes.

- Mickiemu? - szepnął Pendel z niedowierzaniem. - „Mickie, chciałbyś zostać szpiegiem?”
Mam pójść do niego i zadać mu to pytanie?

- Za pieniądze? Ważny facet, duża wypłata - stwierdził Osnard, jak gdy by wypowiadał jedno z odwiecznych praw wywiadu.

- Mickie nie cierpi jankesów - powiedział Pendel, zmagając się z potwornością propozycji Osnarda. - Ich interwencja dała mu się we znaki. Nazywa to terroryzmem państwowym i nie ma na myśli Panamy.

Osnard, jakby siedział na koniu na biegunach, wprawiał krzesło w ruch obfitymi pośladkami.

- Londyn od razu cię kupił, Harry. Nie zawsze tak jest. Chcą, żebyś rozwinął skrzydła, stworzył siatkę, obstawił wszystko. Ministerstwa, studentów, związki zawodowe, parlament, pałac prezydencki, Kanał i jeszcze raz Kanał. Będę ci płacić dodatek za odpowiedzialną pracę, premie, nagrody i zwiększoną pensję, żebyś szybciej spłacił kredyt. Jeśli zwerbujesz Abraxasa i jego grupę, wszystko pójdzie nam jak z płatka.

- Nam?

Głowa Osnarda tkwiła nieruchomo jak rdzeń w żyroskopie, choć jego pupa nie przestawała się kiwać. Powiedział głośno, choć poufny tonem.

- Będę ci pomagał jako przewodnik, nauczyciel, kumpel. Sam wszystkiemu nie podołasz. Nikt by nie podołał, za duża odpowiedzialność.

- Doceniam to. I szanuję.

- Zapłacę też twoim kontaktom. Wszystkim, których zdołasz namówić. Możemy zarobić krocie, ty też. Przy niewielkich kosztach. Więc o co chodzi?

- O nic.

- No?

Mickie jest moim przyjacielem, myślał. Już się nawalczył i niepotrzebna mu żadna opozycja. Cicha czy głośna.

- Muszę się zastanowić, Andy.

- Nikt nam nie płaci za zastanawianie się.

- Ale taki już jestem.

Osnard miał w planie omówienie jeszcze jednego tematu. Pendel początkowo nie zrozumiał, o co chodzi, gdyż wspominał strażnika więziennego o ksywie Życzliwy, który po mistrzowsku wykonywał dźgnięcie łokciem w jądra. Oto, kogo mi przypominasz, myślał. Życzliwego.

- W czwartek Louisa przynosi pracę do domu, tak?

- Zgadza się, Andy.

Zsiadłszy z konia na biegunach, Osnard wyłowił z kieszeni złożoną zapalniczkę.

- Prezent od bogatego arabskiego klienta - powiedział, wręczając ją Pendelowi. - Duma Londynu. Wypróbuj.

Pendel nacisnął dźwigienkę i zapalił. Zwolnił dźwigienkę i płomień zgasł. Powtórzył tę operację dwukrotnie. Osnard wziął od niego zapalniczkę, pogmerał przy niej i znowu podał.

- A teraz rzuć okiem przez obiektyw - powiedział z dumą magika.

Małe mieszkanie Marty stanowiło dla Pendela komorę dekompresyjną między

Osnardem a Bethanią. Leżała obok z odwróconą twarzą. Czasem tak robiła. - Co ostatnio knują twoi studenci? - zapytał jej długą szyję.

- Moi studenci?

- Chłopcy i dziewczęta, z którymi ty i Mickie zadawaliście się w trudnych czasach. Wszyscy ci terroryści, w których się wtedy kochałaś.

- Nie kochałam się w nich, tylko w tobie.

- Co się z nimi dzieje? Gdzie teraz są?

- Wzbogacili się. Przestali być studentami. Gonią za pieniędzmi. Wstąpili do klubu Union.

- Widujesz się z nimi?

- Czasem machają do mnie z tych swoich drogich limuzyn.

- Obchodzi ich jeszcze Panama?

- Tylko wtedy, gdy mają tutaj konta.

- To kto dzisiaj konstruuje bomby?

- Nikt.

- Czasem mam wrażenie, że tworzy się jakaś cicha opozycja. Zaczyna się na górze i przenika coraz niżej. Jedna z tych burżuazyjnych rewolucji, która eksploduje któregoś dnia i ogarnie cały kraj w najmniej spodziewanym momencie. Wojskowy pucz bez wojska, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Nie - powiedziała.

- Co: nie?

- Nie ma żadnej cichej opozycji. Jest tylko zysk. Korupcja. Władza. Są bogaci ludzie i zrozpaczeni ludzie. Są apatyczni ludzie. - Znowu ten uczony głos. Nieskazitelny książkowy ton. Pedanteria samouków. - Niektórzy są tak biedni, że już gorzej być nie może, chyba że umrą. Jest też polityka. A polityka to największe oszustwo. To dla pana Osnarda?

- On wolałby usłyszeć coś innego.

Odnalazła jego dłoń i podsunęła ją do ust. Przez chwilę całowała jego palce, nic nie mówiąc.

- Dużo ci płaci? - zapytała.

- Nie mogę mu dać tego, czego chce. Nie wiem wystarczająco dużo.

- Nikt nie wie. Trzydziestu ludzi decyduje o tym, co się wydarzy w Panamie. Pozostałe dwa i pół miliona może tylko zgadywać.

- A co robiliby twoi starzy przyjaciele ze studiów, gdyby nie gonili za pieniędzmi i nie jeździli lśniącymi limuzynami? - nie ustępował Pendel. - Co by robili, gdyby nie stracili bojowego ducha? Przypuśćmy, że działają do dziś i chcą dla Panamy tego, co kiedyś?

Zamyśliła się, powoli ważąc jego słowa.

- I chcieli zmusić rząd do ustępstw?

- Tak.

- Najpierw trzeba wprowadzić chaos. Może być?

- Dobrze. Jeśli to konieczne.

- Owszem. Chaos jest niezbędnym warunkiem demokratycznej świadomości. Gdy robotnicy zorientują się, że są pozbawieni przywództwa, wybiorą przywódców z własnych szeregów, a rząd przestraszy się rewolucji i ustąpi. Chcesz, żeby robotnicy wybrali własnych przywódców?

- Chciałbym, żeby wybrali Mickiego - powiedział Pendel, ale Marta pokręciła głową.
- Nie.
- No dobrze, więc bez Mickiego.
- Trzeba się zwrócić do rybaków. Zawsze chcieliśmy to zrobić, ale nic nam nie wyszło.
- Dlaczego do rybaków?
- Jako studenci byliśmy przeciwnikami broni jądrowej. Oburzaliśmy się, że materiały nuklearne transportuje się przez Kanał Panamski. Sądziliśmy, że taki ładunek stwarza niebezpieczeństwo dla kraju i jest zniewagą dla naszej narodowej suwerenności.
- A co na to mogą poradzić rybacy?
- Zaapelowalibyśmy do ich związków i przywódców. Gdyby nas odprawili, zwrócilibyśmy się do przestępców, którzy gotowi są zrobić wszystko dla pieniędzy. Niektórzy studenci byli w tym czasie bogaci, ale mieli sumienie.
- Jak Mickie - przypomniał Pendel. Znow pokręciła przecząco głową.
- Powiedzielibyśmy: „Weźcie wszystkie trawlerzy, kutry i łodzie, załadujcie je żywnością i wodą i popłyńcie do Mostu Ameryk. Zacumujcie pod mostem i ogłoście wszem i wobec, że zamierzacie tam zostać”. Wielkie transportowce potrzebują dwóch kilometrów, żeby zwolnić. Po trzech dniach dwieście okrętów czekałoby na wpłynięcie do Kanału. Po dwóch tygodniach tysiąc. Iles tam tysięcy w ogóle nie dotrze do Panamy i obierze inną trasę lub zawróci do portu macierzystego. Dojdzie do kryzysu, na światowych giełdach wybuchnie panika, jankesi oszaleją, biznes transportowy zażąda natychmiastowej interwencji, Balboa pójdzie w dół, upadnie rząd i materiały nuklearne nie przepłyną przez Kanał Panamski.
- Prawdę mówiąc, Marto, nie chodziło mi o materiały nuklearne. Uniosła się, podparła na łokciu i zbliżyła do niego zdeformowaną twarz.
- Posłuchaj. Panama już dzisiaj próbuje udowodnić światu, że potrafi zarządzać Kanałem równie dobrze, jak cudzoziemcy. Nic nie może zakłócić jego pracy. Żadne strajki, przerwy, nieudolność czy malwersacje. Jeśli panamski rząd nie potrafi prawidłowo zarządzać Kanałem, jak może ściągać podatki, podnosić cła, sprzedawać koncesje? W chwili, gdy międzynarodowa społeczność bankowa zacznie się niepokoić, *rabiblancos* dadzą wszystko, o co poprosimy. I poprosimy o wszystko. O szkoły, drogi, szpitale, pomoc dla rolników i biedaków. Jeśli będą chcieli usunąć nasze łodzie, wystrzelać nas lub przekupić, zwrócimy się do dziewięciu tysięcy panamskich robotników zatrudnionych przy Kanale. Zapytamy ich: po której stronie mostu stoicie? Jesteście Panamczykami czy jankeskimi sługusami? Prawo do strajku jest w Panamie święte. Łamistrajków traktuje się jak pariasów. Są dzisiaj w rządzie ludzie, którzy twierdzą, że panamskie prawa pracownicze nie powinny obejmować robotników przy Kanale. Nie damy się im.
- Leżała na nim. Brązowe oczy były tak blisko jego oczu, że nic poza nimi nie widział.
- Dziękuję - powiedział i pocałował ją.
- Proszę bardzo.

Louisa Pendel kochała męża z intensywnością zrozumiałą jedynie dla kobiet, które wiedzą, co oznacza nadopiekuńczość despotycznych rodziców i piękna, starsza, o dziesięć centymetrów niższa siostra, której wszystko udaje się dwa lata wcześniej, a poza tym uwodzi twoich chłopaków, nawet jeśli nie chodzi z nimi do łóżka, choć zwykle chodzi i w końcu zmusza cię do wkroczenia na drogę „szlachetnego purytanizmu”, będącego w tej sytuacji jedynym możliwym wyjściem.

Kochała go za przywiązanie do niej i dzieci, za niezłomny - podobnie jak u ojca - charakter, za odbudowanie starej firmy, którą spisali na straty, za niedzielny rosół i *lokszen*, które gotował w pasiastym fartuchu, za żarty i nakrywanie stołu do posiłków - najlepsze srebro stołowe i porcelana oraz serwetki z materiału, nigdy z papieru. I za znoszenie jej napadów złości, które wstrząsały nią niczym ładunki elektryczności. Była wobec nich bezsilna - mogła tylko czekać, aż miną lub aż Pendel pójdzie z nią do łóżka. To ostatnie było zdecydowanie najlepszym rozwiązaniem, bo siłą popędu seksualnego nie ustępowała siostrze, ale brakowało jej urody i zepsucia. Wstydziła się, że nie może zrozumieć żartów i nie potrafi wybuchnąć nieopanowanym śmiechem. Nawet gdy Harry'emu udawało się ją rozweselić, śmiała się dyskretnym śmiechem matki i tak samo się modliła. Gniew odziedziczyła po ojcu.

Kochała w Harrym ofiarę i nieustraszonego bojownika. Wolał znosić najgorszą nędzę, niż przyłączyć się do kryminalnej działalności wujka Benny'ego, aż w końcu pojawił się pan Braithwaite i uratował go. A później Harry uratował ją. Wyciągnął z rodzinnego domu i zapewnił nowe, wolne, przyzwoite życie z dala od tego wszystkiego, co ją dotychczas tłamsiło. Kochała w nim też myśliciela, mocującego się ze sprzecznymi ideałami, który za mądrą radą Braithwaite'a przyjął w końcu bezwyznaniową moralność, jakże bliską uniwersalnemu chrześcijaństwu jej matki, głoszonemu z ambony Kościoła Zjednoczonego w Balboa, kiedy była dzieckiem.

Za wszystkie te łaski Louisa dziękowała Bogu i Harry'emu Pendelowi, a przeklinała siostrę Emily. Dotąd szczerze wierzyła, że kocha męża we wszystkich nastrojach, ale takiego jeszcze nigdy nie widziała i była po prostu chora ze strachu.

Gdyby ją uderzył, gdyby o to mu chodziło. Gdyby podniósł na nią rękę, ryknął, zaciągnął ją do ogrodu, gdzie nie słyszałyby go dzieci, i powiedział: „Louiso, jesteśmy splukani, opuszczam cię, mam kogoś innego”. Gdyby tak się stało. Wszystko, absolutnie wszystko było lepsze od asekuranckiego udawania, że ich wspólne życie jest cudowne, że nic się nie zmieniło, tyle tylko, że czasami o dziewiątej wieczorem musi wyskoczyć na miasto, zdjąć miarę z ważnego klienta i wraca trzy godziny później z propozycją zaproszenia Delgado z żoną na kolację. A może przyjąć też Oakleyów i Rafiego Domingo? Największy głupiec świata od razu zorientowałby się, że taka mieszanka wróży katastrofę, ale przepaść, która od niedawna otwarła się między nimi, nie pozwoliła jej tego powiedzieć.

Tak więc Louisa milczała i posłusznie zaprosiła Ernesta. Pewnego wieczoru, gdy wychodził z biura do domu, wcisnęła mu do ręki kopertę, a on przyjął ją bez entuzjazmu,

sądząc, że Louisa chce mu przypomnieć o jakimś spotkaniu. Ernesto był marzycielem i intrygantem, tak pochłoniętym codzienną walką z lobbystami i mącicielami, że czasem nie wiedział wręcz, na której półkuli się znajduje, nie mówiąc już o porze dnia. Ale kiedy następnego dnia przyszedł do pracy, był uosobieniem kurtuazji, prawdziwym hiszpańskim dżentelmenem. I oczywiście będą z żoną zachwyceni, ale niech Louisa się nie obrazi, jeśli wcześniej wyjdą. Isabel martwi się o synka Jorge i jego infekcję oka. Chłopiec potrafi czasem nie przespać całej nocy.

Później wysłała zaproszenie do Rafiego Domingo, wiedząc, że żona z nim nie przyjdzie. Nigdy mu nie towarzyszyła, to było okropne małżeństwo. Nazajutrz przyniesiono ogromny bukiet róż, musiał kosztować z pięćdziesiąt dolarów, z koniem wyścigowym na wizytówce. Rafi napisał odręcznie, „że będzie zachwycony, najdroższa Louiso. Niestety, żona nie może przyjść”. Louisa doskonale wiedziała, co oznaczają te kwiaty: każda kobieta przed osiemdziesiątką była narażona na zaloty Rafiego. Plotka głosiła, że nie nosi majtek, żeby poprawić swoje wyniki. A jeszcze bardziej wstydlivy był fakt, że gdyby Louisa była szczerą wobec siebie, co zazwyczaj następowało po dwóch lub trzech wódkach, uznałaby go za niezwykle pociągającego. W końcu zadzwoniła do Donny Oakley, co specjalnie zostawiła na ostatek, jako najmniej przyjemny obowiązek.

- O cholera, Louiso, będzie bardzo fajnie - powiedziała Donna, co świadczyło dobitnie o jej poziomie. Co za zbieranina!

Dzień, którego tak się obawiała, w końcu nadszedł. Harry wyjątkowo wrócił do domu wcześniej, uzbrojony w dwa porcelanowe lichtarze od Ludwiga za trzysta dolarów każdy, francuski szampan od Motty i całą połówkę wędzonego łososa skądś tam. Godzinę później zjawiała się grupa wykwintnych kucharzy pod wodzą zarozumiałego argentyńskiego żigolaka i opanowała kuchnię Louisy, gdyż Harry uznał, że nie mogą polegać na własnej służbie. Później Hannah narobiła wrzasku z zupełnie niezrozumiałego dla Louisy powodu: „Nie będziesz, kochanie, miła dla pana Delgado? Przecież to przełożony mamusi i bliski przyjaciel prezydenta Panamy. A poza tym chce ocalić Kanał, tak, tak, Wieczną Wyspę też. Nie, Mark, niestety, to nie jest okazja do odgrywania *Leniwej Owieczki* na skrzypcach. Państwu Delgado na pewno by się spodobało, ale pozostałym gościom nie”.

Potem wkroczył Harry: „Louiso, nie bądź taka, daj mu zagrać”, ale Louisa nie ustąpiła i rozpoczęła jedną ze swoich tyrad. One się z niej po prostu wylewają, nie panuje nad nimi, może tylko ich słuchać i potem skarżyć się: „Harry, nie rozumiem, dlaczego kiedy tylko nakazuję coś dzieciom, ty zawsze musisz to zanegować tylko po to, żeby pokazać, kto tu rządzi”. Hannah znowu zaczęła się wydzierać, a Mark zamknął się w pokoju i grał w kółko *Leniwą Owieczkę*. „Mark, goście zaraz tutaj będą”. I Louisa nie mija się z prawdą, bo w tej chwili rozlega się dzwonek i wchodzi Rafi Domingo pachnący balsamem do ciała, z zabójczym lubieżnym uśmiechem i bakami, butach z krokodylej skóry - niestety, wszystkie zabiegi Harry'ego nie mogły ocalić go przed wyglądem karykatury Latynosa rodem z najgorszego kabaretu. Jej ojciec kazałby mu wejść tylnym wejściem, choćby z powodu obficie nałożonej brylantyny.

Zaraz po Rafim przybyli państwo Delgado i Oakleyowie, wszyscy punktualnie, co świadczyło o nienaturalności tego spotkania, ponieważ w Panamie nikt nie przychodzi na czas, chyba że to jakaś niemiła okazja. No i zaczęło się. Ernesto usiadł po jej prawicy i wyglądał

jak mądry i dobry mandaryn: „Dla mnie tylko woda, dziękuję bardzo, Louiso, obawiam się, że nie jestem amatorem alkoholu”. Louisa, która po kilku głębszych wypitych samotnie w łazience jest w lepszej sytuacji, rzuciła, że prawdę mówiąc, ona też nie i że jej zdaniem alkohol psuje miły wieczór. Pani Delgado natomiast, siedząca po prawicy Harry’ego, słowa męża przyjęła z dziwnym uśmiechem niedowierzania, jak gdyby miała zgoła inne zdanie.

Rafi Domingo - z lewej strony Louisy - dzielił czas między dotykaniem jej stopy - w tym celu zdjął jeden but z krokodylej skóry - i zaglądnienie za dekolt Donnie Oakley. Jej sukienka uszyta była na wzór sukienek Emily: podniesione piersi przypominały piłki do tenisa, a rowek między nimi wskazywał na coś, co jej ojciec po pijanemu nazywał obszarem przemysłowym.

- Wiesz, czym jest dla mnie twoja żona, Harry? - bełkocze Rafi po angielsku z potwornym hiszpańskim akcentem. Ze względu na Oakleyów dziś wieczorem angielski jest językiem obowiązującym.

- Nie słuchaj go - mówi Louisa.

- Jest moim sumieniem! - Szeroki uśmiech, ukazujący wszystkie zęby i jedzenie w ustach. - Nie wiedziałem, że je mam, póki nie zjawiała się Louisa!

Jakie to cudownie śmieszne, że wszyscy muszą wypić toast za jego sumienie, gdy tymczasem on zerka do dekoltu Donny i pociera palcami stopy łydkę Louisy, co ją wścieka i podnieca zarazem. Emily, nienawidzę cię, Rafi, zostaw mnie w spokoju, ty łajdaku, i przestań się gapić na Donnę. Jezu, Harry, przelecisz mnie dzisiaj w końcu czy nie?

Po co Harry zaprosił Oakleyów, było dla Louisy kolejną tajemnicą, dopóki nie przypomniała sobie, że Kevin prowadził jakieś spekulacje związane z Kanałem, czymś tam handlował, a poza tym był - jak mówił jej ojciec - cholernym jankeskim karierowiczem, gdy tymczasem jego żona Donna gimnastykowała się przy kasetach wideo Jane Fondy, biegała w winylowych szortach i kręciła tyłkiem przy przystojnych panamskich chłopcach, którzy w supermarketach pchali za nią wózek i, jak słyszała, nie tylko wózek.

Przy stole Harry poruszał jedynie temat Kanału. Najpierw przyczepił się do Delgado, który odpowiadał pełnymi godności patrycjuszowskimi frazesami, a później wciągnął do dyskusji wszystkich, nie zważając na to, czy mają coś do powiedzenia. Pytania zadawane Ernestowi były tak obcesowe, że aż poczuła się zażenowana. Gdyby nie stopa Rafiego oraz świadomość, że jest lekko wstawiona, powiedziałyby: „Harry, pan Delgado jest, kurwa, moim szefem, a nie twoim. Może więc przestaniesz robić z siebie pieprzonego palanta fiucie jeden”. Ale to był język Zdeprawowanej Emily, a nie Cnotliwej Louisy, która nigdy nie przeklinała, przynajmniej w obecności dzieci i kiedy była trzeźwa.

Na grad pytań Harry’ego Delgado odpowiedział uprzejmie, że podczas prezydenckiej podróży nie zawarto żadnych porozumień, ale wysunięto parę interesujących propozycji, generalnie panował duch współpracy i wszyscy wykazywali dobrą wolę.

Dobra robota, pomyślała Louisa, utrzymaj mu nosa.

Przecież wszyscy wiemy, że Japończykom zależy na Kanale, prawda, Ernie? - Harry mówił ogólnikami, których nie potrafił rozwinąć. - Pozostaje tylko pytanie, z której strony nas podejda. Co o tym sądzisz, Rafi?

Palce Rafiego w jedwabnych skarpetach utknęły w stawie kolanowym Louisy, a dekolt Donny rozchyłał się niczym wrota stodoły.

Powiem ci, co sądzę o Japończykach, Harry. Chcesz wiedzieć, co sądzę o Japończykach? -

dopytywał się Rafi hałaśliwym głosem licytatora.

- Oczywiście - powiedział obłudnie Harry. Ale Rafi musiał skupić uwagę wszystkich.

- Ernesto, chcesz wiedzieć, co sędzę o Japońcach?

Delgado łaskawie wyraził zainteresowanie tym, co Rafi ma do powiedzenia o Japończykach.

- Donna, chcesz usłyszeć, co sędzę o Japończykach?

- Na litość boską, wyduś to w końcu z siebie - mruknął zirytowany Oakley.

Ale Rafi nadal gromadził słuchaczy.

- Louisa? - zapytał, wiercąc palcami za jej kolanem.

- Wszyscy zamieniliśmy się w słuch - odparła Louisa w roli czarującej gospodyni i siostry dziwki.

W końcu Rafi wygłosił opinię o Japończykach.

- Myślę, że te japońskie wypierdki wstrzyknęły mojemu Dolce Vita podwójną dawkę valium przed wielką gonitwą w zeszłym tygodniu! - zawołał i głośno roześmiał się ze swego dowcipu, błyskając złotymi zębami. Publiczność z konieczności też się roześmiała. A najgłośniejszą Louisa, wyprzedzając w tej konkurencji nawet Donnę.

Harry brnął dalej. Tym razem podjął temat, który - o czym dobrze wiedział - zawsze irytował jego żonę: zarządzanie byłą Strefą Kanału.

- Trzeba przyznać, że to piękna parcela do podziału. Dwa tysiące kilometrów kwadratowych ogrodów, przystrzyżonych i zadbanych jak Central Park. Więcej basenów niż w całej reszcie Panamy. Pytania same się nasuwają, prawda? Nie wiem, czy wciąż myśli się o zbudowaniu miasteczka uniwersyteckiego, Ernie? Niektórzy z moich klientów uważają ten pomysł za chybiony - co to za uniwersytet w środku dżungli. Żaden uczony profesor nie zechce w takim miejscu zakończyć kariery. Nie wiem, czy mają rację.

Zaczynało mu brakować konceptu, ale nikt go nie wyręczał, więc ciągnął dalej:

- Wszystko zależy od tego, ile amerykańskich baz się zwolni, prawda? Przydałaby się kryształowa kula albo podsłuch w Pentagonie, żeby poznać rozwiązanie tej miłej zagadki.

- Co za bzdury - Kevin podniósł głos. - Ci spryciarze dawno już podzielili tę działkę między siebie, prawda, Ernie?

Zapadła przerażająca cisza. Majestatyczna twarz Delgado pobladła i stężała. Tylko Rafi, nie bacząc na napiętą atmosferę, pogodnie wypytywał Donnę o makijaż, żeby dać kilka rad żonie. Próbował też wepchnąć stopę między nogi Louisy, która broniąc się przed nim, skrzyżowała je nagle. I wtedy niewinna Louisa zaczęła wyrzucać z siebie słowa Jędy Emili, które przedtem pobożnie powstrzymywała. Wylatywały początkowo w serii urywanych wypowiedzi, a później niepowstrzymanym, alkoholowym potokiem.

- Nie wiem, o czym pieprzysz, Kevin. Doktor Delgado jest gorącym zwolennikiem ochrony Kanału. Jeśli o tym nie wiesz, to tylko dlatego, że Ernesto jest zbyt grzeczny i skromny, żeby o tym mówić. A ty jesteś w Panamie po to, żeby zarabiać na Kanale. Zresztą w tym celu powstał.

- Zniżyła głos, gdy wyliczała kolejne zbrodnie Kevina. - Wycinacie, zanieczyszczacie jego wody, zaniedbujecie urządzenia. - Jej głos stał się ostry i nosowy. Słyszała to, ale nie potrafiła się powstrzymać. - Więc jeśli naprawdę musisz zarabiać na wyprzedaży osiągnięć Amerykanów, proponuję, żebyś wrócił do San Francisco, skąd pochodzisz, i sprzedał Golden Gate Japończykom. Rafi, jeśli nie zabierzesz ręki z mojego uda, wbiję ci w nią widelec.

W tym momencie wszyscy nagle zdecydowali, że muszą już wracać - do chorych dzieci, opiekunek, psów, wszystkiego, co znajdowało się w bezpiecznej odległości od miejsca, w którym teraz przebywali.

A Harry, kiedy już uspokoił gości, odprowadził ich do samochodów i pomachał na pożegnanie z progu, wygłosił mowę.

- Chodzi o rozwój firmy, Lou. - Harry obejmuje ją i poklepuje po plecach. - Tylko o to. O przyciągnięcie klientów - osusza jej łzy swoją irlandzką lnianą chusteczką. - Rozwój albo śmierć, Lou, to motto naszych czasów. Przypomnij sobie, co się stało z kochanym Arthurem Braithwaitem. Najpierw padła firma, a potem on. Chyba nie chciałabyś, żeby mnie spotkało coś takiego? Musimy się rozwijać. Otwieramy klub. Pokazujemy się tu i tam. Robimy, co możemy, bo tak trzeba. Co, Lou? W porządku?

Ale ona już się uodporniła na jego protekcyjnalne umizgi.

- Harry, różne *rzeczy* prowadzą do śmierci. Pomyśl o swój ej rodzinie. I ty, i ja mamy wiele takich przypadków: czterdziestoletni mężczyźni dostają zawału lub dopadają ich inne choroby wywołane stresem. Trochę mnie dziwi, że firma się nie rozwija, bo tyle się ostatnio nasłuchałam o zwiększonych obrotach. Ale jeśli naprawdę niepokoisz się o przyszłość, zawsze możemy się poratować farmą ryżową. Na pewno wszyscy wolelibyśmy mieszkać skromniej, zgodnie z chrześcijańską wstrzemięźliwością, niż naśladować twoich bogatych, niemoralnych przyjaciół i czekać, aż nas osierocisz.

Pendel przyciągają do siebie w ognistym uścisku i obiecuje, że jutro wróci do domu naprawdę wcześniej - może zabiorą dzieci do wesołego miasteczka albo do kina. Louisa płacze i mówi: „O tak, zrobmy to, Harry! Naprawdę”. Ale staje się inaczej. Bo nazajutrz Pendel przypomina sobie o przyjęciu dla brazylijskiej delegacji handlowej. „Mnóstwo ważnych gości, Lou, może przełożymy to na jutro?”. A kiedy nadchodzi kolejne jutro: Jestem kłamcą, Lou, mówi, ten klub, do którego mnie przyjęli, urządza fetę dla jakichś ważniaków z Meksyku. Chyba widziałem przypadkiem na twoim biurku nowy numer »Spillwaya«?”.

„Spiliway” to biuletyn Kanału Panamskiego.

W poniedziałek jak zwykle co tydzień zadzwoniła Naomi. Louisa natychmiast zorientowała się po jej głosie, że Naomi ma jakieś nadzwyczajne wiadomości. Ciekawe, o co chodzi tym razem. Może: zgadnij, kogo Pepe Kleeber zabrał ze sobą w delegację do Houston w zeszłym tygodniu. Lub: słyszałaś o Jaqui Lopez i jej instruktorze od jazdy konnej? Albo: jak myślisz, kogo odwiedza Dolores Rodriguez, kiedy mówi mężowi, że spotyka się z matką w sprawie operacji wszczepienia bypassów? Na początku Naomi nie wyskoczyła z żadną rewelacją, i bardzo dobrze, bo Louisa miała ochotę odłożyć słuchawkę, gdyby to zrobiła. Naomi chciała się tylko dowiedzieć, co słyhać u kochanych Pendelów. Jak Mark radzi sobie w szkole i czy to prawda, że Harry kupuje Hannah kucyka? „Naprawdę? Louiso, Harry jest najhojniejszym człowiekiem pod słońcem, mój podły mąż powinien się od niego uczyć!” I dopiero kiedy wspólnie odmalowały lukrowany obraz całej delirycznie szczęśliwej rodziny Pendelów, Louisa zdała sobie sprawę, że Naomi lituje się nad nią:

- Jestem z ciebie taka dumna, Louiso. Jestem dumna, że wszyscy jesteście zdrowi, dzieci rosną, kochacie się, dzięki Bogu, a Harry docenia to, co ma. Z siebie też jestem dumna, bo od razu wiedziałam, że to, co Letti Hortensas powiedziała mi o Harrym, nie może być prawdą.

Przyklejona do telefonu Louisa była zbyt przerażona, żeby się odezwać czy odłożyć

słuchawkę. Letti Hortensas, bogaczka i żoźła, żona Alfonso Hortensasa, właściciela burdelu, klienta P & B i kanciarza.

- No jasne - powiedziała, chociaż nie wiedziała, z czym się zgadza, tyle tylko, że nie zgłaszając sprzeciwu, pozwalała Naomi mówić dalej.

- Obie doskonale wiemy, Louiso, że Harry nie odwiedzałby jakiegoś podrzędneho hotelu na godziny. „Moja droga - mówię do Letti - najwyższy czas, żebyś sobie sprawiła nowe okulary. Louisa jest moją przyjaciółką. Harry’ego i mnie łączy wieloletnia platoniczna przyjaźń, o której Louisa zawsze wiedziała i rozumiała ją. To małżeństwo zbudowane jest na skale - mówię. - Co z tego, że twój mąż jest właścicielem hotelu Paraiso, a ty czekałaś na niego w holu, kiedy Harry wyszedł z windy z gromadą kurew. Wiele Panamek wygląda jak kurwy. Wiele kurew pracuje w Paraiso. A Harry ma klientów rozmaitych zawodów”. Chcę, żebyś wiedziała, Louiso, że byłam wobec ciebie lojalna. Wzięłam twoją stronę. Ukrećłam łeb plotce. ”Podejrzenie? - mówię do niej. - Harry nigdy nie wygląda podejrzanie. Nie potrafiłby. Czy ty kiedy widziałaś, żeby Harry wyglądał podejrzanie? Na pewno nie”.

Minął jakiś czas, zanim Louisa odzyskała czucie. Chciała ostro zaprzeczyć, ale jej wybuch podczas przyjęcia śmiertelnie ją przeraził.

- Suka! - krzyknęła przez łzy.

Wcześniej jednak odłożyła słuchawkę i nalala sobie dużą wódkę z dopiero co zakupionego przez Harry’ego barku.

Była przekonana, że wszystko zaczęło się od tej nowej sali klubowej. Od lat piętro zakładu P & B było przedmiotem najbardziej wizjonerskich fantazji Harry’ego.

„Zamierzam przenieść przymierzalnię pod balkon”, mawiał, „Przenoszę Kącik Sportsmena obok sklepiku z dodatkami”. Albo: „Może zostawię przymierzalnię na starym miejscu i dobuduję zewnętrzne schody”. Albo: „Mam, Lou! Słuchaj. Zamierzam opróżnić przybudówkę na zapleczu i założyć fitness club i saunę, otworzyć małą restaurację tylko dla klientów P & B, zupa i danie dnia, jak ci się podoba?”.

Kazał nawet wykonać projekt i sporządził wstępny kosztorys, ale i ten plan trafił na półkę. Na piętrze wiecznie odbywało się przemeblowanie, ale tylko w zamyśle. A poza tym - dokąd przenieść przymierzalnię? Okazało się, że tego problemu nie da się rozwiązać. Przymierzalnia pozostanie tam, gdzie była. Ale Kącik Sportsmena, duma Harry’ego, zostanie wciśnięty do szklanej kabiny Marty.

- A gdzie podzieje się Marta? - zapytała Louisa. Niegodziwa strona jej osoby rzeczywiście pragnęła odejścia dziewczyny, ponieważ w bliźnach Marty było coś, czego nigdy nie rozumiała. Na przykład to, że Harry czuł się za nie odpowiedzialny. No, ale Harry czuł się odpowiedzialny za wszystkich. Między innymi dlatego go kochała. Były jeszcze słowa, które mu się wymykały, rzeczy, o których wiedział. Sytuacja studentów i biedoty w El Chorrillo. A poza tym władza, którą miała nad nim Marta, przypominała władzę Louisy.

Jestem zazdrosna o wszystkich, pomyślała, przygotowując sobie koktajl z wytrawnego martini, żeby nie pić wódki. Jestem zazdrosna o Harry’ego, o siostrę i o dzieci. Praktycznie rzecz biorąc, jestem zazdrosna o samą siebie.

A teraz te książki. O Chinach. O Japonii. O „tygrysach”, jak je nazywał. W sumie dziewięć tomów. Policzyła. Pojawiły się nagle, bez ostrzeżenia, w jego pokoju i już tam zostały niczym cicha, złowroga armia okupacyjna. Japonia na przestrzeni wieków. Jej gospodarka. Wzloty i

upadki jena. Od cesarstwa do cesarskiej demokracji. Korea Południowa. Demografia, gospodarka, konstytucja. Malezja, przeszłość i przyszła rola w świecie, zbiór esejów różnych uczonych. Tradycja, język, zwyczaje, przeznaczenie, przemysłowy mariaż z rozsądkiem z Chinami. Chiny, co z komunizmem? Korupcja chińskiej oligarchii w okresie po upadku Mao, prawa człowieka, populacyjna bomba zegarowa, co należy zrobić? „Czas, żebym wziął się do nauki, Lou. Czuję, że przestałem się rozwijać. Stary Braithwaite jak zwykle miał rację. Powinienem pójść na uniwersytet. W Kuala Lumpur? W Tokio? W Seulu? Do nich należy przyszłość, Lou. To super mocarstwa nadchodzącego stulecia, zobaczysz. Za dziesięć lat Azjaci będą moimi jedynymi klientami”.

- Harry, czy mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, jakim cudem masz jakieś zyski? - zapytała, zebrawszy resztki odwagi. - Kto płaci za zimne piwa, whisky, wino, kanapki i nadgodziny Marty? Czy klienci kupują u ciebie garnitury, bo rozmawiasz z nimi i pijesz do jedenastej w nocy? Przestałam to rozumieć.

Zamierzała też rzucić mu w twarz, że wie o hotelu Paraiso, ale zabrakło jej odwagi i znów musiała napić się wódki z górnej półki w łazience. Widziała Harry'ego niezbyt wyraźnie i podejrzewała, że z nim jest podobnie. Oczy zasnuwała jej parująca mgiełka. Zamiast Harry'ego zobaczyła siebie - postarzałą przez zmartwienia i alkohol. Stoi pośrodku salonu - Harry opuścił ją już jakiś czas temu i patrzy na dzieci, jak machają do niej przez okno terenówki. W tym tygodniu to Harry zabiera je do siebie na weekend.

- Postaram się wszystko naprawić, Lou - obiecuje, poklepując japo ramieniu, jakby pocieszał inwalidę.

Więc coś trzeba naprawić. Ale jak to, cholera, zamierza zrobić?

Kto nim kieruje? Albo co? Jeśli ona mu nie wystarcza, z kim go dzieli? Co się z nim dzieje? Albo zupełnie ją ignoruje, albo zasypuje upominkami i wręcz karykaturalnie chce się przypodobać dzieciom. Tkwi w mieście, jakby od tego zależało jego życie. Przyjmuje zaproszenia od ludzi, choć towarzystwa poza zakładem unikał kiedyś jak ognia - rozpieszczonych playboyów jak Rafi, polityków, przedsiębiorców splamionych handlem narkotykami. Wygłasza perory o Kanale. Wymyka się późno w nocy z hotelu Paraiso z windy pełnej dziwek. Ale najgorsze zdarzyło się poprzedniego wieczoru.

Był czwartek. W czwartki przynosiła pracę do domu, żeby w piątek ze wszystkim zdążyć i mieć wolny weekend dla rodziny. Zostawiła odziedziczoną po ojcu teczkę na biurku w swoim pokoju, chciała znaleźć godzinę, gdy dzieci pójdą spać, a przed przygotowaniem kolacji. Nagle przyszło jej do głowy, że steki wołowe mogą być zarażone chorobą szalonych krów, więc pojechała po kurczaka. Po powrocie odkryła z radością, że Harry wrócił wcześniej do domu: terenówka stała jak zwykle nierówno zaparkowana, tak że zabrakło miejsca w garażu dla peugeota, musiała zostawić samochód dalej. Wzięła zakupy i poszła w kierunku domu.

Na nogach miała sportowe buty. Drzwi wejściowe były otwarte. Harry jest bardziej roztargniony niż zwykle. Zaskoczę go, podroczę się o parkowanie. Weszła do holu i przez otwarte drzwi do swojego pokoju zobaczyła, że Harry stoi nachylony nad otwartą teczką ojca. Wyjął z niej wszystkie papiery i przeglądał jak ktoś, kto wie, czego szuka, i nie może znaleźć. Jakieś poufne akta. Raporty osobowe. Wstępne opracowanie nowego pracownika biura Delgado o usługach proponowanych dla statków oczekujących na tranzyt. Delgado martwił się, bo autor opracowania niedawno stworzył własną firmę dostawczą i mógłby w związku z tym

faworyzować korzystne dla siebie kontrakty. Chciał, żeby Louisa przejrzała referat i zaopiniowała go.

- Harry - powiedziała.

A może krzyknęła. Ale Harry nie podskakuje, kiedy się na niego krzyczy. Przerywa tylko to, co robi, i czeka na polecenia. Teraz też tak było: zamarł, a potem bardzo wolno, żeby nikogo nie zaniepokoić, odłożył papiery na biurko. Cofnął się i zgarbił po swojemu, jakby chciał zniknąć, wbił wzrok w podłogę dwa metry przed sobą i uśmiechał się tajemniczo.

- Szukam rachunku, kochanie - wyjaśnił żalonym głosem.

- Jakiego rachunku?

- Nie pamiętasz? Z Einsteina. Za dodatkowe lekcje muzyki Marka. Tego, którego jeszcze nie zapłaciliśmy.

- Zapłaciłam za to w zeszłym tygodniu.

- Dokładnie to samo im powiedziałem. Louisa zapłaciła w zeszłym tygodniu. Żona nigdy o niczym nie zapomina. Ale nie chcieli słuchać.

- Przecież mamy wyciągi bankowe, potwierdzenia wpłaty w książeczkach czekowych, kwity, bank, do którego można zadzwonić. I mamy gotówkę w domu. Po co grzebiesz w mojej teczce, myszkujeś w moim pokoju i szukasz rachunku, który już opłaciliśmy?

- No cóż, skoro opłaciliśmy, nie będę nim sobie zawracał głowy. Dzięki. I odgrywając ofiarę, czy co tam mu się wydawało, że odgrywa, przeszedł obok niej do swojego pokoju. A gdy szedł przez podwórze, zauważyła, że wsuwa coś do kieszeni spodni - zapalniczkę, którą ostatnio wszędzie ze sobą nosił, prezent od jednego z klientów. Powiedział jej o tym, wymachując ową zapalniczką. Co chwila ją zapalał, dumny jak dziecko z nowej zabawki.

Wpadła w panikę. Zamglony wzrok, dzwonienie w uszach, kolana jak z waty. Zapach spalenizny, pot dzieci spływający po jej ciele, cała ta scena. Zobaczyła El Chorillo w płomieniach i twarz Harry'ego, kiedy wrócił z balkonu, i czerwone światło bijące z jego oczu. Zobaczyła, jak wchodzi do komórki, w której przycupnęła. Objął ją. Obejmował też Marka, bo nie chciała go puścić. Później wymamrotał coś, czego nigdy nie zrozumiała, nad czym nigdy się nie zastanawiała - aż do dziś. Woląла to zbagatelizować i uznać za majaczenie przerażonego świadka tragedii:

- Gdybym zrobił taki pożar, wsadziliby mnie na zawsze.

Potem pochylił głowę i wbił wzrok w podłogę jak ktoś, kto modli się na stojąco. Przybrał tę samą postawę co przed chwilą, tylko jeszcze wyraźniej.

- Nie mogłem ruszyć się z miejsca - powiedział. - Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Były jak sparaliżowane. Powinienem uciekać, ale nie mogłem.

Potem zaczął się martwić o Martę.

Harry chciał puścić z dymem ten nasz pieprzony dom! - myślała, dygocząc. Piła wódkę i słuchała jego muzyki, dochodzącej z drugiej strony dziedzińca. Kupił zapalniczkę i chce spalić swoją rodzinę! Gdy przyszedł do łóżka, zgwałciła go, za co najwyraźniej był jej wdzięczny. Nazajutrz rano udawali, że nic się nie stało. Jak to zwykle rano. Oboje. W ten sposób udało im się ze sobą wytrwać. Terenówka zepsuła się i Harry musiał pożyczyć peugeota, żeby odwieźć dzieci do szkoły. Louisa pojechała do pracy taksówką. Sprzątaczką znalazła w spiżarni węża i dostała hysterii. Hannah poszła wyrwać ząb. Padał deszcz. Harry'ego nie wsadzili na zawsze. Nie podpalił też domu nową zapalniczką. Ale pracował do późna, znowu tłumacząc się

spóźnionym klientem.

- Osnard? - powtórzyła Louisa, nie wierząc własnym uszom. - Andrew Osnard? Kim, na litość boską, jest pan Osnard i dlaczego zaprosiłeś go na niedzielny piknik na wyspie?

- Jest Brytyjczykiem, Lou, mówiłem ci. Od kilku miesięcy pracuje w ambasadzie. To ten od dziesięciu garniturów, pamiętasz? Jest tutaj sam jak palec. Zanim dostał mieszkanie, musiał tygodniami wegetować w hotelu.

- Którym hotelu? - zapytała, prosząc Boga, żeby to był hotel Paraiso.

- El Panama. Chce poznać prawdziwą rodzinę. Chyba możesz to zrozumieć, co? - ton zbitego, zawsze wiernego, nigdy nierozumianego psa.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jest zabawny, Lou. Zobaczysz. Ma w sobie tyle zapału. Założę się, że dzieciaki go polubią. - Nowy sztuczny wybuch śmiechu. - Chyba odezwało się moje angielskie pochodzenie. Nostalgia. Podobno wszystkich nas dopada. Ciebie też to czeka.

- Nie rozumiem, co miłość do twojej czy mojej ojczyzny ma wspólnego z zaproszeniem pana Osnarda na rodzinną wycieczkę w dzień urodzin Hannah. Przecież wszyscy zauważyliśmy, że i tak poświęcasz dzieciom za mało czasu.

Pochylił głowę i popatrzył na nią jak żebrak.

- Stary Braithwaite szył garnitury dla taty Andy'ego, Lou, a ja nie odstępowałem ich na krok i trzymałem miarką.

Właściwie Hannah chciała obchodzić urodziny na farmie ryżowej. Z innych powodów pragnęła też tego Louisa me rozumiała bowiem zupełnie, dlaczego farma zniknęła z repertuaru Harry'ego. W chwili załamania podejrzewała nawet, że umieścił tam swoją kochankę - ten obleśny Angel wyglądał jak typowy stręczyciel. Gdy jednak zaproponowała Harry'emu wizytę na farmie, zrobił się tajemniczy. Powiedział tylko, że dzieją się tam wielkie zmiany i najlepiej zostawić wszystko prawnikom aż do zawarcia umowy.

Pojechali więc terenówką na Wieczną Wyspę - do domu bez ścian ustawionego jak drewniana scena na zamglonej wyspie o średnicy sześćdziesięciu metrów, w olbrzymiej, rozpalonej, zalanej kotlinie, zwanej jeziorem Gatun, czterdzieści kilometrów od wybrzeża Atlantyku, na górnym odcinku Kanału oznaczonego łukowatym szlakiem kolorowych boi, znikających parami w wilgotnej mgle. Wysepka leżała na zachodnim krańcu jeziora w labiryncie parujących tropikalnych zatoczek, porośniętych namorzynami mokradeł i innych wysp, z których Barro Colorado była największa, a najmniejsza Wieczna - nazwana tak przez dzieci Pendela od marmolady Misia Paddingtona - dzierżawiona przez ojca Louisy za kilka nędznych dolarów rocznie, a potem przekazana jej jako darowizna.

Kanał majaczył z lewej strony, a mgła snuła się nad mm jak wieczna rosa. We mgle pływały pelikany, powietrze w samochodzie miało zapach spalin okrętowych, świat me zmienił się ani trochę i taki już miał zostać. Amen. Te same łodzie pływały, gdy Louisa była w wieku Hannah, te same czarne postacie opierały łokcie o mokrą burtę, te same wilgotne flagi zwisały z masztów. Nikt na świecie me wiedział, co oznaczają - żartował jej ojciec - oprócz pewnego niewidomego starego pirata w Portobello. Pendel, dziwnie skrępowany obecnością pana Osnardą prowadził w posępnym milczeniu. Louisa rozsiadła się w fotelu pasażera na co nalegał pan Osnard, twierdząc, że woli siedzieć z tyłu.

Pan Osnard, powtarzała sennie w myślach. Tęgi pan Osnard. Co najmniej dziesięć lat ode

mnie młodszy, ale me zmuszę się, żeby mówić do niego Andy. Zapomniała a może nigdy nie wiedziała jak rozbijając uprzejmy może być angielski dżentelmen, gdy wysili swój obłudny mózg. Humor w połączeniu z grzecznością, ostrzegła ją kiedyś matka, tworzą niebezpieczną mieszankę. Potrafi w uroczy sposób słuchać, myślała Louisa z odchyłoną do tyłu głową, uśmiechając się, gdy Hannah pokazywała różne miejsca jakby była ich właścicielką. Mark pozwalał jej na to, bo miała urodziny - poza tym na swój sposób był równie oszołomiony obecnością gościa, co Hannah. Na horyzoncie ukazała się jedna ze starych latarni morskich.

- Kto był na tyle głupi, żeby pomalować latarnię z jednej strony na czarno, a z drugiej na biało? - zapytał pan Osnard, wysłuchawszy cierpliwie opowieści Hannah o potwornym apetycie aligatorów.

- Hannah, zwracaj się do pana Osnarda z szacunkiem - skarciła ją Louisa, gdy Hannah zarżała i nazwała go głupkiem.

- Opowiedz jej o starym panu Braithwaicie, Andy - zaproponował niechętnie Harry. - O twoich wspomnieniach z dzieciństwa. Spodoba jej się.

Popisuje się nim przede mną, pomyślała. Czemu to robi?

Ale Louisa pograżała się już we mgle własnego dzieciństwa, co zdarzało się za każdym razem, kiedy jechali na Wieczną Wyspę - zupełnie jakby odrywała się od własnego ciała i wracała do śmiertelnie nudnego życia w Strefie, do krematoryjnej słodyczy przekazanej przez przodków marzycieli, gdzie nie pozostaje nam do roboty nic innego prócz dryfowania wśród nigdy niewiędnących kwiatów uprawianych dla nas przez Kompanię i wiecznie zielonych trawników strzyżonych dla nas przez Kompanię, pływania w basenach Kompanii, nienawidzenia naszych pięknych sióstr, czytania gazet Kompanii i fantazjowania o doskonałym społeczeństwie wczesnych amerykańskich socjalistów, złożonym po części z osadników, po części z kolonistów, po części z kaznodziejów dla bezbożnych tubylców ze Świata poza Strefą, jednocześnie nigdy nie wnosząc się ponad drobne spory i niesnaski typowe dla każdej kolonii, nigdy nie kwestionując założeń Kompanii w kwestiach etnicznych, seksualnych czy społecznych, nigdy nie ważąc się wystąpić poza przyznany nam rezerwat, ale posłusznie i niechybnie postępując krok po kroku wąską ścieżką przeznaczenia ze świadomością, że każda śluza, jezioro i rów, każdy tunel, maszyna, tama, każde ukształtowane i ustawione po obu stronach wzgórze jest trwałym osiągnięciem zmarłych, a naszym świętym obowiązkiem na ziemi jest wychwalać Boga i Kompanię, trzymać prosty kurs między mieliznami, podtrzymywać wiarę i czystość wbrew rozwiązłej siostrze, onanizować się do upadłego i polerować pomnik na cześć tego ósmego cudu świata.

Kto dostanie domy, Louiso? Kto dostanie należącą do Kompanii ziemię, baseny, korty tenisowe, ręcznie strzyżone żywopłoty i plastikowe świąteczne renifery? Louiso, Louiso, powiedz nam, jak zwiększyć dochody, ograniczyć koszty, jak wydoić amerykańską świętą krowę? Chcemy tego natychmiast, Louiso! Teraz, póki jesteśmy u władzy, póki zagraniczni kontrahenci starają się o nasze względy, zanim ekolodzy ze łzami w oczach zaczną prawić nam kazania o bezcennych lasach tropikalnych.

Na korytarzach szepcze się o łapówkach, intrygach, tajnych umowach. Kanał zostanie zmodernizowany, poszerzony, by przypuszczać więcej statków... planują nowe śluzy... międzynarodowi kontrahenci oferują ogromne sumy na konsultacje, wpływy, zlecenia, kontrakty... A tymczasem nowe akta którymi Lousie nie wolno się zajmować, i nowi szefowie,

którzy milkną, kiedy wchodzi do gabinetu, nie licząc Delgado, jej biednego, porządnego, szacownego Ernesta, który na próżno usiłuje powstrzymać strumień ich nienasyconej chciwości.

- Jestem, cholera, za młoda! - krzyknęła. - Jestem za młoda i za dużo we mnie życia, żeby na moich oczach rozpadało się na kawałki moje dzieciństwo!

Ocknęła się i usiadła sztywno. Jej głowa musiała osunąć się na obojętne ramię Pendela.

- Co powiedziałam? - zapytała niespokojnie.

Nic nie powiedziała. To pan Osnard przemawiał dyplomatycznie z tylnego siedzenia. W swojej nieskończonej uprzejmości zapytał Louise, czy cieszy się z przejęcia Kanału przez Panamczyków.

W przystani Gamboa Mark pokazał panu Osnardowi, jak zdejmuje się z motorówki pokrowiec i uruchamia silnik. Harry siadł za sterem, ale to Mark dobił do brzegu, zacumował, wyładował bagaże i z wydatną pomocą wesołego pana Osnarda rozpałił grill.

Kim jest ten wymuskany młodzieniec, tak młody, tak atrakcyjny w swojej brzydocie, tak zmysłowy, tak zabawny, tak uprzejmy? Kim jest ten zmysłowy mężczyzna dla mojego męża i kim jest mój mąż dla niego? Czemu ten zmysłowy mężczyzna jest dla nas jak tchnienie nowego życia - chociaż Harry najpierw go nam narzucił, a teraz najwyraźniej tego żałuje? Jakim cudem tyle o nas wie, zachowuje się przy nas tak swobodnie, tak rodzinnie, wypowiada z takim znawstwem o firmie, Marcie, Abraxasie, Delgado i wszystkich naszych znajomych - tylko dlatego, że jego ojciec był przyjacielem pana Braithwaite'a?

Dlaczego lubię go o wiele bardziej niż Harry? Jest znajomym Harry'ego, nie moim. Dlaczego dzieci nie odstępują go, a Harry dąsa się, odwraca tyłem i nie śmieje z licznych dowcipów pana Osnarda?

Najpierw pomyślała, że Harry jest zazdrosny, i myśl ta sprawiła jej przyjemność. A później przyszła myśl jednocześnie koszmarna i przerażająca, haniebnie kusząca: mój Boże, może Harry chce, żebym zakochała się w panu Osnardzie, i w ten sposób będziemy kwita.

Pendel i Hannah smażą żeberka. Mark przygotowuje wędki. Louisa rozdaje piwo i sok jabłkowy i obserwuje, jak jej dzieciństwo oddala się między bojami. Pan Osnard pyta o panamskich studentów - czy zna jakichś, czy są bojowi? - i o ludzi mieszkających po drugiej stronie mostu.

- Tak, mamy tam farmę ryżową - odpowiada urocza Louisa. - Ale chyba nie znamy nikogo stamtąd.

Harry i Mark siedzą na łodzi plecami do siebie. Ryby, cytując pana Osnarda, poddają się w akcie zbiorowej eutanazji. Hannah leży na brzuchu w cieniu domku, ostentacyjnie przewracając kartki drogiej książki o kucykach, którą dostała na urodziny od pana Osnarda. A Louisa pod wpływem jego dyskretnej namowy i kilku potajemnie wychylonych łyków wódki raczy go historią swego życia opowiadaną kokieteryjnym językiem jej rozpustnej siostry Emily, która przed rozłożeniem nóg odgrywała zwykle Scarlett O'Hare.

- Moim problemem... muszę to powiedzieć... naprawdę mam ci mówić po imieniu? Ja jestem Lou... choć kocham go tak bardzo i na tyle sposobów, moim problemem... i dziękuję Bogu, że mam tylko ten jeden, bo prawie każda kobieta w Panamie, którą znam, ma inny problem na każdy dzień tygodnia... moim problemem jest mój ojciec.

Louisa przygotowywała męża na pielgrzymkę do generała w ten sam sposób, w jaki szykowała dzieci do szkoły niedzielnej, ale z jeszcze większym entuzjazmem.

Czerwone plamki na policzkach. Ożywienie. Jej entuzjazm w dużej mierze brał się z butelki.

- Harry, musimy umyć terenówkę. Będziesz ubierał żywego bohatera naszych czasów. Generał ma więcej odznaczeń niż którykolwiek generał armii amerykańskiej w jego wieku. Mark, nalej gorącej wody do wiadra. Hannah, skocz po gąbkę i detergent i w tej chwili przestań się kłócić.

Pendel mógł skorzystać z myjni automatycznej na pobliskiej stacji, ale Louisa wymagała dla generała czystości wręcz niepokalanej. Nigdy nie była tak dumna z tego, że jest Amerykanką. Powtarzała to wiele razy. Z emocji potknęła się i omal nie upadła. Kiedy umyli terenówką, sprawdziła krawat Pendela. Tak samo jak ciocia Ruth sprawdzała krawaty Benny'ego. Najpierw z bliską potem z daleką jakby podziwiała obraz. I me spoczęła póki me wybrał spokojniejszego wzoru. Jej oddech miał silny zapach pasty do zębów. Pendel zastanawiał się, dlaczego ostatnio Louisa tak często myje zęby.

- Harry, me jesteś dziennikarzem, więc me wypada żebyś przypominał dziennikarza kiedy odwiedzasz amerykańskiego generała szefa Dowództwa Południowego. - Potem najlepszym głosem sekretarki Erniego Delgado umówiła go z fryzjerem na dziesiątą. - Tylko żadnych dziwactw i bokobrodów, Jose. Pan Pendel musi mieć dzisiaj krótkie i starannie ułożone włosy. Odwiedza generała armii Stanów Zjednoczonych, szefa Dowództwa Południowego.

Potem powiedziała Pendelowi, jaki ma być:

- Żadnych żartów i zachowuj się ze stosownym szacunkiem. - Czule przyklepywała ramiona marynarki, choć i bez tego prezentowały się nienagannie. Przekażesz generałowi pozdrowienia ode mnie i powiesz mu, że wszyscy Pendelowie, me tylko córka Milтона Jenninga, me mogą się doczekać festynu i pokazu sztucznych ogni dla amerykańskich rodzin z okazji Święta Dziękczynienia tak jak co roku. Zanim wyjdiesz z pracy, wypoleruj jeszcze raz te buty. Jeszcze się me urodził taki żołnierz, który nie oceniałby człowieka po butach. Szef Dowództwa Południowego nie jest wyjątkiem. I jedź ostrożnie, Harry. Proszę.

Nie musiała mu przypominać. Wjeżdżając krętą, drogą przez dżunglę na wzgórze Ancón, Pendel jak zwykle skrupulatnie ograniczył prędkość. Przy wojskowym punkcie kontrolnym wypiął pierś i posłał wartownikowi oficjalny uśmiech, sam bowiem stał się już niemal żołnierzem. Mijał zadbane białe wille, patrząc, jak stopniowo rośnie ranga ich właścicieli. I sam czuł, że awansuje w drodze do nieba. Kiedy więc kroczył po wytwornych stopniach do frontowych drzwi domu przy Quarry Heights numer jeden, choć niósł walizkę, przyjął ów szczególny wojskowy chód, przy którym tors utrzymuje majestatyczną sztywność, a biodra i kolana wykonują niezależnie swoje zadania.

Ale od chwili, gdy przekroczył próg, jak zawsze kiedy tu gościł poczuł, że jest beznadziejnie zakochany.

Nie chodziło o władzę. Chodziło o atrybut władzy: pałac prokonsula na wzgórzu na podbitej obcej ziemi, zaludniony uprzejmymi rzymskimi wartownikami.

- Generał przyjmie pana zaraz - poinformował go sierżant, jednym zręcznym ruchem pozbawiając go walizki.

Jasny biały hol obwieszony był mosiężnymi tabliczkami upamiętniającymi wszystkich generałów, którzy tu stacjonowali. Pendel pozdrowił ich jak starych przyjaciół, rozglądając się nerwowo w poszukiwaniu oznak niemiłych zmian. Nie musiał się obawiać. Niefortunnie dobrana glazura na werandzie, kilka brzydkich klimatyzatorów. Trochę za dużo dywanów. W początkach kariery generał dokonywał podbojów na Bliskim Wschodzie. Poza tym dom wyglądał tak samo jak za czasów Teddy'ego Roosevelta, który przyjechał tu na inspekcję inwestycji mającej w owych czasach znaczenie lądowania na Księżycu. Pendel, którego istnienie było zupełnie bez znaczenia, płynął leciutko za sierżantem przez labirynt korytarzy, salonów i bibliotek. Każde okno stanowiło dla niego odrębny świat: w jednym widać było zatłoczony Kanał wijący się majestatycznie przez dolinę; w drugim - fioletowe wzgórza, a na nich lasy spowite tropikalną mgłą; w trzecim - przęśła Mostu Ameryk spinające niczym wielki morski potwór brzegi zatoki oraz trzy odległe stożkowate wyspy, zawieszane w powietrzu.

I te ptaki! Te zwierzęta! Na tym wzgórzu - Pendel dowiedział się tego z książki ojca Louisy - żyło więcej gatunków niż w całej Europie. Wśród gałęzi olbrzymiego dębu pławiły się w południowym słońcu i medytowały dorosłe iguany. Z innego brązowo - białe małpy zsuwały się, by złapać owoc mango, położony tam przez sympatyczną żonę generała. Wdrapywały się po pniu na górę, jedna przez drugą, pierzchając właściwie bez powodu w bezpieczne miejsce. A na równiutko przyszyżonym trawniku niczym wielkie chomiki brązowe *neques* skakały, zajęte swoimi sprawami. Był to jeszcze jeden dom, w którym Pendel pragnął zamieszkać.

Sierżant wspinał się po schodach z walizką Pendela w rękę. Pendel szedł za nim. Ze starych rycin żołnierze w mundurach srożyli wąsy. Plakaty propagandowe nawoływały go do udziału w dawno zapomnianych wojnach. Tekowe biurko w gabinecie generała lśniło. Pendel mógłby przysiąc, że jest przezroczyste. Ale celem Pendela była garderoba. Dziewięćdziesiąt lat temu najtęższe amerykańskie umysły wojskowości i architektury połączyły siły, by stworzyć pierwszą w Panamie świątynię ubioru. W tych czasach tropikalny klimat okrutnie obchodził się z ubraniami dżentelmena. Eleganckie garnitury pokrywały się w nocy pleśnią. Zamknięte pomieszczenia były wilgotne. Projektanci generalskiej garderoby zamiast szaf zaproponowali więc wysoką i przewiewną kaplicę z pomysłowo umieszczonymi u góry świetlikami, które przechwytywały każdy powiew. A wewnątrz wyczarowali ogromny mahoniowy drąg zawieszony na krążkach, który można podnosić do sufitu i opuszczać do ziemi. Nawet słabe kobiece ręce mogły go poruszyć. Na drągu wisały garnitury, marynarki, smokingi, służbowe i galowe mundury pierwszego generała, który panował na wzgórzu, i obracały się, poruszane wietrzykiem wpadającym przez okna. Pendel nie widział nigdy równie zachwycającego hołdu dla jego sztuki.

- Generale, nadal więc korzysta pan z tego cudu! - zawołał entuzjastycznie. - Z całym szacunkiem chciałbym zaznaczyć, że, my Brytyjczycy, takiego pietyzmu nie kojarzymy zwykle z naszymi szanownymi przyjaciółmi zza Atlantyku.

- No cóż, Harry, pozory czasem mylą - powiedział generał z niewinną satysfakcją, przyglądając się sobie w lustrze.

- Oczywiście, panie generale. Nie wiem, co będzie, kiedy to wszystko wpadnie w ręce naszych dzielnych panamskich gospodarzy. Podejrzewam, że nikt nie jest tego w stanie przewidzieć - dodał przebiegle, wczuwając się w rolę szpiega. - Niektórzy z moich bardziej pesymistycznych klientów twierdzą, że nastąpi anarchia albo coś jeszcze gorszego.

Generał był młody duchem i lubił szczere rozmowy.

- To prawdziwa huśtawka, Harry. Wczoraj chcieli, żebyśmy się wynosili, bo jesteśmy złymi imperialistami, a oni nie mogą oddychać, kiedy siedzimy im na karku. Teraz chcą, żebyśmy zostali, bo dajemy im pracę, a gdy ich zostawimy, Panama straci wiarygodność na międzynarodowych rynkach finansowych. Pakujcie się, rozpakujcie się. Rozpakujcie się, pakujcie się. Teraz dobrze leży, Harry. Co u Louisy?

- Dziękuję, generale, Louisa ma się świetnie, a poczuje się jeszcze lepiej, kiedy jej powiem, że pytał pan o nią.

- Milton Jenning był świetnym inżynierem i porządnym Amerykaninem. To dla nas wszystkich wielka strata.

Przymierzali trzyczęściowy, ciemnoszary, jednorzędowy garnitur z alpaki za pięćset dolarów - tyle samo wziął od pierwszego generała dziewięć lat temu. Zebrał materiał w pasie. Generał nie miał ani grama tłuszczu i przypominał atletycznego boga.

- Gdzieś tu po sąsiedzku mieszka jakiś japoński dżentelmen - biadolił szpieg, zginając ramię generała w łokciu. - W dodatku z rodziną, służbą i kucharzem. Niektórzy z nich zachowują się, jakby nie słyszeli o Pearl Harbor. Proszę mi wybaczyć, generale, ale te nowe porządki mnie przygnębiają.

Odpowiedź generała, jeśli w ogóle zdążył o niej pomyśleć, powstrzymała wesoła interwencja jego żony.

- Proszę w tej chwili zostawić mego męża w spokoju - zaprotestowała żartobliwie, materializując się z wielkim wazonem lilii w rękach. - Jest mój. Nie waż się robić najmniejszej poprawki w tym szalowym garniturze. Nigdy nie widziałam czegoś tak seksownego. Chyba znowu dam mu się porwać. Co u Louisy?

Spotkali się w zalanej światłem neonówek kawiarni obok zaniedbanej stacji kolejowej pełniącej teraz funkcję przystani, z której wypływano na jednodniowe wycieczki po Kanale. Osnard siedział zgarbiony w kącie w panamie na głowie. Przed nim stała pusta szklanka. W ciągu tygodnia, odkąd Pendel widział go po raz ostatni, przybyło mu kilogramów i lat.

- Herbata czy coś mocniejszego?

- Herbata, jeśli można.

- Herbata - powiedział Osnard opryskliwie do kelnerki, przesuując powoli dłonią po włosach. - A dla mnie to samo.

- Ciężka noc, Andy? Pracowita.

Przez okno mogli podziwiać rozpadające się pozostałości heroicznego okresu historii Panamy. Stare pulmany z poszarpanymi przez szczury i włóczęgów siedzeniami i nienaruszonymi mosiężnymi lampami, przerdzewiałe lokomotywy, obrotnice, drezyny i tendry, porzucone jak zabawki rozwydrzonego dziecka. Na chodniku stłoczeni pod daszkami turyści opędzali się od żebraków, przeliczali wilgotne dolary i próbowali rozszyfrować hiszpańskie napisy. Padało niemal bez przerwy od samego rana. W kawiarni śmierdziało rozgrzanym paliwem. Przez ogólny zgiełk przebijały się jęki okrętowych syren.

- To przypadkowe spotkanie - powiedział Osnard, powstrzymując beknięcie. - Robiłeś zakupy, a ja sprawdzałem, o której odpływają statki wycieczkowe.

- A co kupowałem? - zapytał zaskoczony Pendel.

- A kurwa mnie to obchodzi. - Osnard wychylił szybko brandy, Pendel sączył herbatę.

Prowadził Pendel. Zdecydowali się na terenówkę, bo na samochodzie Osnarda tablica rejestracyjna nosiła litery CD. Mijali przydrożne kapliczki znaczące miejsca, gdzie zginęli inni szpiedzy i kierowcy. Zasepione kucyki dźwigające wielkie ciężary prowadziły cierpliwe indiańskie rodziny z tobołkami na głowach. Martwa krowa rozpląszczyła się na skrzyżowaniu. Rój czarnych sępów walczył o najlepsze kąski. Przebicie tylnego koła zasygnalizował ogłuszający huk jak armatnia salwa. Pendel zmienił koło, Osnard w panamie na głowie kucnął zniechęcony na skraju drogi. Potem przydrożna restauracja za miastem, drewniane stoły pod plastikowymi markizami, kurczak opiekany na grillu. Deszcz przestał padać. Ostre promienie słońca padły na szmaragdowy trawnik. Papugi z ptaszarni w kształcie dzwonu jeły wydzierać się z całych sił. Pendel i Osnard usiedli na pustym tarasie, jeśli nie liczyć dwóch postawnych mężczyzn w niebieskich koszulach na jego drugim końcu.

- Znasz ich?

- Nie, Andy, i cieszę się z tego.

- I dwa kieliszki białego wina do kurczaka - nie, mech będzie butelką a potem spierdalaj i zostaw nas w spokoju.

- Denerwują się - zaczął Pendel.

Osnard wsparł głowę na rozczapierzonych palcach jednej ręki, a drugą robił notatki.

- Przy generale wiecznie ktoś się kręci, więc me mam okazji zostać z mm sam na sam. Jeden pułkownik, wysoki gość, ciągle odciągał go na stronę. Pod tykał mu dokumenty do podpisania szeptał coś do ucha.

- Widziałeś, co podpisywał? - Osnard poruszył głową, żeby uśmierzyć ból.

- Podczas przymiarki?

- Słyszałeś, o czym szeptali?

- Nie, i nie sądzę, żeby tobie się to udało, gdybyś klęczał. - Pociągnął łyk wina. -"Generale - mówię - jeśli chwila jest nieodpowiednia albo jeśli me powinienem czegoś słyszeć, proszę mi tylko powiedzieć. Nie obrażę się. Przyjdę innego dnia". Ale me chciał o tym słyszeć. „Harry, zostań tu, gdzie twoje miejsce. Jesteś tratwą spokoju na wzburzonym morzu”. „No dobrze - mówię - w takim razie zostanę”. Później weszła jego żona. Nic me mówiła. Ale niektóre spojrzenia wystarczą za milion słów i to było jedno z nich. Znaczące i sugestywne spojrzenie wymienione przez ludzi, którzy dobrze się znają Osnard zapisał starannie.

- „Szef Dowództwa Południowego wymienił sugestywne spojrzenie z żoną”. W Londynie zawyją syreny - stwierdził kwaśno. - Generał ma pretensje do Departamentu Stanu?

- Nie.

- Nie nazywa ich gromadą przeintelektualizowanych ciot, me psioczy na elegantów z CIA wykształconych w Yale w koszulach zapiętych pod szyj ę?

Pendel szuka w pamięci. Przezornie.

- No, to wisiało w powietrzu, tak bym to ujął. Osnard pisze z nieco większym entuzjazmem.

- Żałuje utraty kontroli przez jankesów, spekuluje o przyszłych losach Kanału? - Wyczuwałem napięcie. Wspominał coś o studentach, tak bez szacunku.

- Powiedz dokładnie, co mówił, stary. Ja będę koloryzował, a ty zacytuj dokładnie jego słowa.

Pendel spełnił jego życzenie.

- „Harry - mówi do mnie, ale cicho, a ja zajmują się kołnierzem z przodu - radzę ci, sprzedaj zakład, dom i zabierz z tej piekielnej dziury żonę i dzieci, póki jeszcze czas. Milton Jenning był świetnym inżynierem wojskowym. Jego córka zasługuje na lepszy los”. Zmroziło mnie. Nie odezwałem się. Byłem zbyt poruszony. Zapytał, ile lat mają moje dzieci, i wyraźnie mu ulżyło, kiedy dowiedział się, że nie mogą jeszcze być studentami.

Nie chciał, żeby wnuki Miliona Jenninga biegały po ulicach z długowłosymi komunistycznymi wycirusami.

- Czekał. Pendel przerwał.

- No, dalej.

- Potem powiedział, że powinienem zadbać o Louise i że jest godna takiego ojca, bo wytrzymuje z tym dwulicowym sukinsynem Ernestem Delgado z Komisji Kanału, niech go diabli wezmą. A generał zwykle nie przeklina, Andy. Byłem wstrząśnięty. Ty też byś był.

- Delgado sukinsyn?

- Tak, Andy - powiedział Pendel, wspominając postawę owego dżentelmena podczas kolacji w jego domu oraz wiele lat, kiedy musiał wysłuchiwać zachwyków nad nim, jakby był współczesnym Braithwaite'em.

- Dlaczego jest dwulicowy?

- Generał nie powiedział, a mnie nie wypadało pytać.

- Mówił coś o amerykańskich bazach wojskowych. Zostają czy odchodzą?

- Niezupełnie.

- To znaczy?

- Opowiadał dowcipy. Miał wisielczy humor. Żartował, że niedługo zaczną wycofywać toalety.

- Bezpieczeństwo transportu? Groźba sparaliżowania Kanału przez arabskich terrorystów? Konieczność zatrzymania Amerykanów, żeby walczyć z narkobiznesem, kontrolować dostawy broni i utrzymać pokój?

Na każdą z tych sugestii Pendel kręcił głową.

- Andy, jestem tylko krawcem, pamiętasz o tym? - i posłał cnotliwy uśmiech grupie rybołówów konających na błękitnym niebie.

Osnard zamówił dwa kieliszki wina o smaku paliwa do samolotów. Pod Jego wpływem zmobilizował się, a w małych czarnych oczkach na nowo zagościły plamki światła. Dobra. Pomówmy o werbunku. Co powiedział Mickie? Wchodzi w tę grę czy nie?

Ale Pendel nie dał się popędzać. Nie w sprawie Mickiego. Zamierzał opowiedzieć o przyjacielu we własnym tempie. Przeklinał swoją płynność i żałował, że Mickie pojawił się w klubie Union tamtej nocy.

- Być może, Andy. Jeśli się zgodzi, to na swoich warunkach. Musi się poważnie zastanowić.

Osnard znowu pisze. Pot Osnarda kapie na ceratowy obrus.

- Gdzie się z nim spotkałeś?

- W Parku Cezara, przed kasynem. Tam udziela audiencji, kiedy ma na to ochotę. Prawda na chwilę podniosła groźny łeb. Dzień wcześniej Mickie i Pendel rzeczywiście siedzieli w tym miejscu. Mickie na przemian wyznawał miłość, lżył swoją żonę i lamentował nad losem dzieci. A Pendel, wierny współwięzień, okazywał mu współczucie i uważał, żeby nie powiedzieć czegoś, co by zraziło Mickiego.

- Sprzedałeś mu ten kawałek o szalonym milionerze filantropie?

- Owszem, bardzo się zainteresował.

- Zdradziłeś mu jego narodowość?

- Lawirowałem, tak jak kazałeś. „Mój przyjaciel pochodzi z zachodniego, demokratycznego kraju, ale nie ze Stanów - powiedziałem. - I tylko tyle mogę wyjawić”. „Harry, przyjacielu”, on na to, bo tak do mnie mówi, Harry, przyjacielu, jeśli to Anglik, dobra nasza. Przypomnij sobie, że studiowałem w Oksfordzie i sprawowałem wysoki urząd w angielsko - panamskim Towarzystwie Kulturalnym”. „Mickie - mówię - wierz mi, więcej nie mogę powiedzieć. Mój ekscentryczny przyjaciel dysponuje pewną sumą pieniędzy i jest gotów przekazać ją w twoje ręce pod warunkiem, że zostanie przekonany o słuszności twojej sprawy. Tu nie chodzi o jakieś drobniaki. Jeśli ktoś sprzedaje Panamę z Kanałem - mówię - jeśli na ulice wyjdą fanatycy i faszyci, jeśli ten dzielny młody naród zachwieje się w drodze do demokracji, wówczas mój ekscentryczny przyjaciel będzie ci służył swoimi milionami”.

- Jak to przyjął?

- „Harry, przyjacielu - mówi - chcę być z tobą szczery, W tej chwili pieniądze są dla mnie wielką pokusą, bo splukałem się doszczętnie. Nie zrujnowały mnie kasyna ani finansowanie moich ukochanych studentów i ludzi, którzy mieszkają po drugiej stronie mostu. To łapówki dla moich zaufanych informatorów, wydatki nadprogramowe. Nie tylko w Panamie, ale w Kuala Lumpur, Tajpej, Tokio i gdzie tam jeszcze. Jestem goły, taka jest naga prawda”.

- Komu musi dawać łapówki? Kogo musi przekupywać? Nie rozumiem.

- Tego mi nie powiedział, a ja nie pytałem. Zmienił nagle temat, jak to ma w zwyczaju. Mówił o oportunistach czekających na swoje pięć minut i politykach, którzy napychają sobie kieszenie majątkiem Panamczyków.

- A co z Rafim Domingo? - zapytał Osnard z rozdrażnieniem, które ogarnia ludzi, kiedy proponują komuś pieniądze i ich oferta zostaje przyjęta. - Myślałem, że to Domingo go finansuje.

- Już nie.

- Czemu?

Prawda po raz kolejny przydała się Pendelowi.

- Kilka dni temu *senor* Domingo przestał być mile widzianym gościem przy stole Mickiego. To, co było oczywiste dla wszystkich, stało się oczywiste dla Mickiego.

- Dowiedział się o swojej żonie i o Rafim?

- Zgadza się.

Osnard przetrwał tę wiadomość.

- Ci faceci mnie wykończą - pożalił się. - Wszędzie spiski, plotki o wielkiej wyprzedaży, przewroty wojskowe lada dzień, Cicha Opozycja, demonstracje studenckie. Przeciw czemu występują, na litość boską? Po co? Czemu są tacy tajemniczy?

- Powiedziałem mu dokładnie to samo. „Mickie - mówię do niego - mój przyjaciel nie będzie inwestował w niewiadomą. Póki nie wyjawicie mu swego wielkiego sekretu - mówię - nie wyciągnie portfela”. Byłem stanowczy. Tak trzeba z Mickiem. To żelazny charakter. „My poznamy wasze plany - mówię - a wy poznacie nasz pieniądze”. Moje słowa - dodał, gdy Osnard sapnął, a krople potu rozpryskiwały się na stole.

- Jak to przyjął?

- „Rozprószył się”, Andy.

- Roz... co?

- Cały pociemniał i jakby stał się nikim. Musiałem wyciskać z niego słowa, jak podczas przesłuchania. „Harry, przyjacielu - mówi do mnie - jesteśmy ludźmi honoru, ty i ja, więc nie będę owijał w bawełnę”. Był wzburzony. „Jeśli zapytasz mnie: kiedy, odpowiem: nigdy. Nigdy, przenigdy!”. - Żar w głosie Pendela był niezwykle realny. Od razu wiadomo, że poczuł na sobie gorący oddech Abraxasa. - „Nigdy nie wyjawię najdrobniejszego szczegółu przekazanego mi przez tajnych informatorów, dopóki wszystkiego dokładnie nie sprawdzę”. - Ściszył głos. - „Wtedy dopiero za poznam twego przyjaciela z planami mojego ruchu, z jego celami i manifestem, na wypadek gdyby kiedyś nam się poszczęściło, oraz wszystkimi ważnymi faktami i liczbami na temat potajemnych i moim zdaniem diabelskich machinacji tego rządu, o ile spełnione zostaną pewne niezbędne warunki”.

- Czyli?

- „Takie jak traktowanie mojej organizacji z najwyższą ostrożnością i szacunkiem, jak na przykład przekazywanie za pośrednictwem Harry’ego Pendela wszelkich szczegółów, choćby najdrobniejszych, mających związek z bezpieczeństwem moim i ludzi, za których bez wyjątku odpowiadam. Koniec, kropka.

Zapadło milczenie. Ciemne, nieruchome spojrzenie Osnarda. I nachmurzona mina oszołomionego Harry’ego Pendela, który próbował osłonić Mickiego przed skutkami niefortunnie ulokowanej miłości.

Osnard odezwał się pierwszy.

- No, staruszk.

- Co takiego?

- Czy ty przypadkiem czegoś przede mną nie ukrywasz?

- Powtarzam tylko słowa Mickiego i moje.

- To jest bomba, Harry.

- Wiem, zdaję sobie sprawę.

- Rewelacja. Po tośmy się urodzili, ty i ja. O tym marzy Londyn: powszechny burżuazyjny radykalny ruch wolnościowy, gotów walczyć o demokrację na dany znak.

- Nie wiem, dokąd nas to zaprowadzi.

- Nie będzie się taplać w Kanale w pojedynkę. Kapujesz?

- Nie bardzo.

- W jedności siła. Osobno niczego nie zwojujemy. Ty bierzesz na siebie Mickiego, ja Londyn.

Pendel wpadł na pomysł. Cudowny pomysł.

- Postawił jeszcze jeden warunek, Andy, o którym powinienem wspomnieć.

- O co chodzi?

- Szczerze mówiąc, tak absurdalny, że nie chciałem go powtarzać. „Mickie - mówię mu - to niewypał. Trochę przesadziłeś. Możesz oczekiwać, że mój przyjaciel przez dłuższy czas nie odezwie się do ciebie”.

- Mów.

Pendel śmiał się, ale tylko w duchu. Dostrzegł światelko w tunelu, otwarte na oścież drzwi do wolności. Płynność przenikała jego ciało, przeszywała go dreszczem, dudniąc w skroniach i dzwoniąc w uszach. Wciągnął powietrze, by wypowiedzieć kolejną długą kwestię:

- „Chodzi o metodę wypłaty gotówki, którą twój szalony milioner zaproponował Cichej Opozycji, żeby stanęła na nogi i stała się cennym instrumentem demokracji małego narodu w przededniu samo określenia i wszystko, co za tym idzie”.

- Czego chce?

- Żeby pieniądze wypłacono bezpośrednio. Całość w gotówce lub złocie - powiedział Pendel przepaszającym tonem. - Żadnych kredytów, czeków i udziału banków na którymkolwiek etapie ze względów bezpieczeństwa. Do wyłącznego użytku przez jego ruch, do którego wchodzi i studenci, i rybacy. Jasno i uczciwie, z potwierdzeniem odbioru i tak dalej - zakończył triumfalnie, dziękując w duchu wujkowi Benny'emu.

Ale Osnard nie zareagował tak, jak oczekiwał Pendel. Wręcz odwrotnie. Jego tłusta twarz rozjaśniła się.

- Rozumiem powody, które za tym stoją - rzekł po dłuższym rozważaniu tej propozycji. - Londyn też powinien rozumieć. Zobaczą, jak zareagują, wybadam ich. Większość to rozsądni goście. Gorliwi. Elastyczni, jeśli to konieczne. Nie daje się czeków rybakom. To bez sensu. Mogę jeszcze w czymś pomóc?

- To chyba wszystko, Andy - odparł uprzejmie Pendel, ukrywając wielkie zdumienie.

Marta stała przy kuchence i parzyła kawę po grecku, bo wiedziała, że Pendel ją lubi. Leżał na łóżku, studiując skomplikowany wykres linii, odnośników, wielkich liter i liczb.

- Oto struktura opozycji - wyjaśniła. - Tak wyglądała, kiedy byliśmy studentami. Hasła, komórki, kontakty i specjalna grupa do rozmów ze związkami zawodowymi.

- A Mickie?

- Nigdzie. Mickie jest naszym przyjacielem. Kawa była gotowa. Nalała dwie szklanki.

- Dzwonił Niedźwiedź.

- Czego chciał?

- Chce napisać o tobie artykuł.

- To miło.

- Chciał wiedzieć, ile cię kosztował nowy klub.

- A co go to obchodzi?

- Bo on też jest diabłem.

Zabrała mu wykres, podała kawę i usiadła obok na łóżku.

- Mickie zamawia następny garnitur. Alpaka w pepitką, taki sam, jaki uszyłeś Rafiemu. Powiedziałam, że najpierw musi zapłacić za poprzedni. Dobrze zrobiłam?

Pendel popijał kawę. Bał się, ale nie wiedział dlaczego.

Postaraj się, żeby był zadowolony - powiedział, unikając jej wzroku. - Zasłużył sobie.

Wszyscy byli zachwyceni tym, jak świetnie radzi sobie młody Andy. Nawet ambasador Maltby, choć zdaniem ogółu niezdolny do zachwytów, wspomniał ponoć, że młody człowiek, który zaliczył osiem dołków i między uderzeniami milczał, nie może być z gruntu zły. Nigela Stormonta już po kilku dniach opuściły złe przeczucia. Osnard nie rościł sobie pretensji do stanowiska szefa kancelarii, okazywał właściwą wyrozumiałość wobec słabostek kolegów i błyszczał, ale niezbyt jasno, na koktajlach i kolacjach.

- Jak mam wytłumaczyć twoją obecność w tym mieście? - zapytał go Stormont, niezbyt serdecznie, podczas pierwszego spotkania. Nie mówiąc już o ambasadzie dodał.

Może będę obserwatorem Kanału? - zasugerował Osnard. - Brytyjskie szlaki handlowe w epoce postkolonialnej. W pewnym sensie byłaby to prawda. Problem w tym, co się rozumie przez obserwowanie.

Stormont musiał przychylić się do tej propozycji. Każda licząca się ambasada w Panamie - oprócz brytyjskiej miała eksperta do spraw Kanału. Ale czy Osnard zna się na rzeczy?

- Więc jak się ma sprawa amerykańskich baz wojskowych? - zapytał Stormont, testując kwalifikacje Osnarda na nowe stanowisko.

- Nie rozumiem.

- Amerykańscy żołnierze zostaną czy odejdą?

- Nie wiadomo. Wielu Panamczyków chce, żeby bazy zostały jako gwarancja dla zagranicznych inwestorów. Tymczasowo. Nazywają to okresem przejściowym.

- A pozostali?

- Ani dnia dłużej. Jankesi rządili tu od 1904 roku, to hańba całego regionu, wykopać drani, Amerykańscy marines stąd zaatakowali Meksyk i Nikaraguę w latach dwudziestych, stłumili panamskie strajki w dwudziestym piątym. Amerykańskie wojska stacjonują tutaj od początku istnienia Kanału. Nikt nie czuje się z tym dobrze oprócz bankierów. Teraz Amerykanie wykorzystują Panamę jako bazą do walki z baronami narkotykowymi w Andach i Ameryce Środkowej i do szkolenia latynoskich żołnierzy przeciw bliżej nie sprecyzowanym wrogom. Amerykańskie bazy zatrudniają cztery tysiące Panamczyków i dają pracę kolejnym jedenastu tysiącom. Liczebność amerykańskich sił oficjalnie sięga siedmiu tysięcy, ale wielu działa w ukryciu, a we wnętrzu gór pełno jest różnych urzędzeń i schronów. Obecność amerykańskiego wojska daje przypuszczalnie cztery i pół procent produktu narodowego brutto, ale to pestka w porównaniu z niewidzialnymi dochodami Panamy.

A traktaty? - zapytał Stormont, nie dając po sobie poznać, że jest pod wrażeniem.

Traktat z 1904 roku przekazywał Amerykanom Strefę Kanału w wieczystą dzierżawę, traktat Torrijos Carter z siedemdziesiątego siódmego zakładał, że Kanał ze wszystkimi urządzeniami zostanie przekazany Panamczykom bezpłatnie na przełomie wieków. Prawicowi Amerykanie do dziś uważają to za zdradę. Protokół dopuszcza przedłużoną obecność amerykańskich wojsk, jeśli obie strony wyrażą taką chęć. Pytanie: kto komu płaci, ile i za co, nie padło. Zdałem?

Zdał. Osnard, oficjalny obserwator Kanału, szybko urządził się w mieszkaniu, wyprawił powitalne przyjęcia, uściśnął dłonie tym, co trzeba, i po kilku tygodniach wtopił się w tło dyplomatycznego krajobrazu. Po kilku następnych był już pełnowartościowym pracownikiem ambasady, Nie tylko grał w golfa z ambasadorem, ale też w tenisa z Simonem Pittem, brał udział w wesołych przyjęciach na plaży personelu niższego szczebla i dołączył do sporadycznych gorączkowych wysiłków społeczności dyplomatycznej, która próbowała uspokoić sumienie zbiórkami pieniędzy dla panamskiej biedoty, a tej na szczęście nie brakowało. W bożonarodzeniowej szopce w ambasadzie Osnarda jednomyślnie wybrano do roli Matki Boskiej.

Co to jest Komitet Planowania i Realizacji? - zapytał Stormont, kiedy już poznali się lepiej.

Osnard odpowiedział niejasno, a Stormont pomyślał, że robi to celowo.

- Właściwie nie jestem pewien. Podlega ministerstwu skarbu. To mieszanina ludzi zewsząd. Przedstawiciele rozmaitych zawodów. Podmucha świeżego powietrza, żeby rozwiać pajęczyny. Jest niezależny od rządu i pobłogosławiony przez Pana Boga. Ale kto tam zasiada?

- Parlamentarzyści, dziennikarze. Różnie. Mój szef uważa, że to coś wielkiego, ale niewiele mówi. Przewodniczy gość nazwiskiem Cavendish.

- Cavendish?

- Geoff.

- Geoffrey Cavendish?

- Jakiś wolny strzelec. Zakulisowy intrygant. Ma biuro w Arabii Saudyjskiej, domy w Paryżu i na West Endzie, posiadłość w Szkocji. Śpi na forsie.

Stormont wpatrywał się w Osnarda ze szczerym zdumieniem. Cavendish, sprzedawca wpływów, myślał. Cavendish, ekspert wojskowy. Cavendish, samozwańczy przyjaciel polityka. Cavendish od dziesięciu procent z dawnych czasów, gdy Stormont był na ministerialnym stażu w Londynie. Cavendish, handlarz bronią. Geoff od ropy. Każdy, kto wejdzie w jakikolwiek kontakt z wyżej wymienionym osobnikiem, ma natychmiast zawiadomić o tym szefa personelu.

- I jeszcze kto? - zapytał.

- Niejaki Tug. Imię nieznane.

- Anie Kirby?

- Po prostu Tug - rzekł Osnard obojętnie, co właściwie spodobało się Stormontowi. - Podśledzałem przez telefon. Szef był na lunchu z Tugiem przed spotkaniem. Szef płacił. Najwyraźniej zawsze to robił.

Stormont zagryzł wargę i nie pytał dalej. I tak dowiedział się więcej, niż chciał, i prawdopodobnie więcej, niż powinien. Poruszył natomiast delikatną kwestię przyszłego produktu Osnarda, co omówili na osobności przy obiedzie w nowej szwajcarskiej restauracji, w której do kawy podawano wiśniówkę. Osnard wybrał miejsce, Osnard uregulował rachunek ze swych zaskórniaków, jak to nazywał, Osnard zaproponował zjedzenie cordon bleu i gnocchi i popicie wszystkiego czerwonym chilijskim winem, przed wiśniówką.

Stormont zapytał, w którym momencie ambasada zobaczy produkt Osnarda. Przed wysianiem do Londynu czy po? A może nigdy?

- Mój szef zabrania dzielenia się materiałami na miejscu, chyba że wyrazi na to zgodę -

odpowiedział Osnard z pełnymi ustami. - Śmiertelnie boi się Waszyngtonu. Dystrybucja ma być prowadzona osobiście.

- To ci odpowiada?

Osnard wychylił łyk wina i pokręcił głową.

- Walczcie o to, dobrze radzę. Stwórzmy w ambasadzie wewnętrzną grupę roboczą. Ty, ambasador, Frań i ja. Gully jest z obrony, więc nie należy do rodziny, Pitt jest na okresie próbnym. Sporządzi się listę wtajemniczonych, wszyscy złożą na niej podpisy i będziemy się spotykać po godzinach.

- A twój szef, kimkolwiek jest, kupi to?

- Będę to popierał. Nazywa się Luxmore. Wprawdzie to tajemnica, ale i tak wszyscy wiedzą. Powiedz ambasadorowi, żeby walnął pięścią w stół. „Kanał to bomba zegarowa. Konieczna jest natychmiastowa reakcja na miejscu”. Tego typu bzdury. Wtedy ustąpi.

- Ambasador nie wali pięścią w stół - powiedział Stormont.

Ale Maltby musiał w coś uderzyć, bo po serii obstrukcyjnych telegramów od zainteresowanych służb, które zwykle trzeba było ręcznie odkodowywać w środku nocy, Osnardowi i Stormontowi niechętnie zezwolono na wspólne działanie. W ambasadzie stworzono grupę roboczą o niewinnie brzmiącej nazwie „grupa badań przesmyku”. Z Waszyngtonu przyleciało trio markotnych techników i po trzech dniach słuchania oznajmili, że ściany są głuche. O siódmej pewnego burzliwego piątkowego wieczoru czwórka konspiratorów zebrała się wokół tekowego stołu konferencyjnego i pod nisko zawieszoną lampą zaświadczyli podpisami, że są upoważnieni do studiowania specjalnych materiałów BUCHAN, dostarczonych przez źródło BUCHAN w ramach operacji o kryptonimie BUCHAN. Powagę chwili zakłócił napad dobrego humoru Maltby’ego przypisywany później czasowej nieobecności jego małżonki, która bawiła w Anglii.

- Od tej pory BUCHAN będzie często odżywał, panie ambasadorze - zapowiedział beztrzesko Osnard, zbierając podpisane formularze jak krupier zgarniający żetony. -

Nadsyła materiały w niesamowitym tempie. Spotkania raz w tygodniu mogą okazać się niewystarczające.

- Co będzie często robił? - zapytał Maltby i odłożył pióro, które stuknęło o blat.

- Odżywał.

- Odżywał?

- Tak powiedziałem, ambasadorze, odżywał.

- Ach, tak. Rozumiem. Dziękuję. A więc twoim zdaniem BUCHAN odżył. BUCHAN może trwać. Może żyć. Może przetrwać lub, jeśli to konieczne, powracać albo przypominać o sobie. Ale dopóki jestem tu ambasadorem, nigdy nie będzie odżywał. To byłoby zbyt deprymujące.

Po czym, o dziwo, Maltby zaprosił cały zespół na jajka z bekonem do swojej rezydencji, gdzie wznosił toast za Buchanerów, zaprowadził gości do ogrodu i pochwalił się żabami, których imiona wykrzykiwał przez zgiełk uliczny. „No, Herkules, skacz... nie gap się tak na nią, Galileuszu, nigdy nie widziałeś ładnej dziewczyny?”. I kiedy żaby pływały sobie wdzięcznie w półmroku, Maltby znowu wprawił wszystkich w osłupienie, wydając z siebie głośny, zadowolony okrzyk: „Chryste, ale ona piękna!”, na cześć Frań. I na zakończenie spotkania uparł się, żeby włączyć muzykę, i kazał służbie zwinąć dywany. Stormont zauważył, że Frań tańczy ze wszystkimi oprócz Osnarda, który ostentacyjnie okazywał zainteresowanie

książkami ambasadora, przeglądając je z założonymi z tyłu rękoma, jak angielski książę podczas inspekcji gwardii honorowej.

- Sądzisz, że Andy może być gejem? - zapytał Paddy, pijąc ostatniego drinka przed snem. - Nie słyszy się, żeby pokazywał się z kobietami. I traktuje Frań jak zadżumioną.

Myślał, że Paddy znowu dostanie ataku kaszlu, ale ona tylko roześmiała się.

- Kochanie - szepnęła, wznosząc oczy ku niebu. - Andy Osnard? Opinię tę skwapliwie poparłaby Francesca Deane, gdyby usłyszała ją w mieszkaniu Osnarda w Paitilli, gdzie spoczywała w pozycji leżącej na jego łóżku.

Jak się tam znalazła, było dla niej tajemnicą, i to od dziesięciu tygodni.

- Z tej sytuacji są tylko dwa wyjścia, kochanie - wyjaśnił Osnard z charakterystyczną pewnością siebie. Siedzieli przy obfitych porcjach kurczaka z grilla i zimnym piwie nad basenem hotelu El Panama. - Wyjście A. Kłócić się przez sześć intensywnych miesięcy, a potem paść sobie w ramiona i przy lepić się do siebie ze słowami: „Och, kochanie, czemu nigdy tego nie robiliśmy?” Wyjście B, lepsze, wykonać jeden numerek, przestrzegać *omertd* i zobaczyć, jak nam się to spodoba. Jeśli się spodoba, świetnie. Jeśli nie, dajemy sobie spokój i zapominamy o wszystkim. „Spróbowaliśmy, było dennie. Dzięki za informację. Życie toczy się dalej. Basta”.

- Dziękuję bardzo, jest jeszcze wyjście C.

- Jakie?

- Wstrzemięźliwość.

- To znaczy mam sobie zawiązać supełek, a ty wstąpisz do klasztoru? - Machnął pulchną dłonią w stronę basenu, gdzie atrakcyjne dziewczęta różnych ras flirtowały z młodymi mężczyznami przy muzyce zespołu. - Jesteśmy na bezludnej wyspie, kochanie. Najbliższy biały człowiek tysiące kilometrów stąd. Tylko ty, ja i nasz obowiązek wobec ojczyzny, póki moja żona nie przyjedzie w przyszłym miesiącu.

Francesca zerwała się na równe nogi.

- Twoja żona! - zawołała.

- Nie mam żony. Nigdy nie miałem i nie będę miał żony - odparł Osnard i także wstał. - Skoro ta przeszkoda na drodze do naszego szczęścia została usunięta, może nie warto mówić „nie”?

Oboje świetnie tańczyli, a ona biła się z myślami. Nie przypuszczała, że ktoś tak potężny może się poruszać tak lekko. Albo że takie małe oczka mogą być aż tak fascynujące. Nigdy nie przypuszczała, że będzie pociągał ją mężczyzna, który, mówiąc delikatnie, pod żadnym względem nie przypominał; greckiego bóstwa.

- A nie przyszło ci do głowy, że wołałabym kogoś całkiem innego? - i zapytała.

- W Panamie? Nie ma mowy, kochanie. Sprawdziłem. Miejscowi nazywają cię angielską górą lodową.

Tańczyli bardzo blisko siebie. Wydawało się im to najzupełniej naturalne.

- Wcale mnie tak nie nazywają!

- Założysz się?

Przytulili się jeszcze bardziej.

- A w kraju? - upierała się. - Skąd wiesz, że nie mam jakiejś bratniej duszy w Shropshire? A może nawet w Londynie?

Całował jej skroń, ale mogła to być każda część ciała. Jego dłoń spoczywała nieruchomo na jej obnażonych plecach.

- Jaki z niego pożytek, kochanie? Na odległość dziesięciu tysięcy kilometrów. Takie jest moje zdanie. A ty jak sądzisz?

Nie chodzi o to, że przekonały ją argumenty Osnarda, myślała, wpatrując się w jego pulchną, uspioną postać leżącą obok na łóżku. Ani o to, że był najlepszym tancerzem na świecie. Ani o to, że rozśmieszał ją bardziej niż inni mężczyźni. Chodziło oto, że nie mogła sobie wyobrazić dalszego oporu nawet przez jeden dzień, nie mówiąc już o trzech latach.

Przyjechała do Panamy przed sześcioma miesiącami. W Londynie spędzała weekendy z porażająco przystojnym maklerem imieniem Edgar. Kiedy dostała nową posadę, doszli już wspólnie do wniosku, że ich romans wypalił się. Z Edgarem do wszystkich wniosków dochodziło się wspólnie.

Ale kim był Andy?

Jako zwolenniczka sprawdzonych informacji Frań nigdy wcześniej nie spała z kimś, kogo nie prześwietliła.

Wiedziała, że uczył się w Eton, ale tylko dlatego, że powiedział jej o tym Miles. Osnard, który najwyraźniej nienawidził starej szkoły, nazywał ją jedynie „pudłem” lub „bagnem”, a poza tym w ogóle nie wspominał o swoim wykształceniu. Miał dużo wiadomości, choć nieco chaotycznych, czemu trudno się dziwić, skoro jego kariera szkolna została tak nagle przerwana. Kiedy był pijany, lubił cytować Pasteura: „Szczęście uśmiecha się tylko do tych, którzy są do tego przygotowani”.

Był bogaty, a jeśli nawet nie bogaty, to w każdym razie rozrzutny lub wyjątkowo hojny. Niemal w każdej kieszeni drogich, szytych na miarę garniturów - zaraz po przyjeździe poszedł do najlepszego krawca w mieście - nosił plik dwudziesto - i pięćdziesięci dolarowych banknotów. Kiedy wspomniała o tym, wzruszył ramionami i stwierdził, że to przywilej jego pracy. Gdy zapraszał ją na kolację lub gdy potajemnie wymykali się z miasta, szastał pieniędzmi na prawo i lewo.

Kiedyś miał charta, którego puszczał na wyścigi w White City, do czasu, gdy - wedle jego własnych słów - paru chłopców przekonało go, żeby zabrał pieska gdzie indziej. Ambitny plan wybudowania toru gokartowego w Omanie napotkał podobne trudności. Prowadził stoisko ze srebrem w Shepherd Market. Żaden z tych epizodów nie mógł trwać długo, skoro miał dopiero dwadzieścia siedem lat.

O rodzicach me chciał mówić. Utrzymywał, że swój nieprzeparty urok i fortunę odziedziczył po pewnej dalekiej ciotce. Nigdy nie wspominał o podbojach miłosnych, ale miała dostateczne powody, by wierzyć, że były liczne i zróżnicowane. Dotrzymując obietnicy przestrzegania omertą w miejscach publicznych nigdy nie pozwalał sobie wobec niej na żadne poufałości, choć by na najdrobniejszy gest, co zresztą ją podniecało: w jednej chwili roztapiała się w ekstazie w jego wprawnych rakach, w następnej siedziała naprzeciw niego sztywno podczas narady w kancelarii i udawała że ledwie się znają.

I był szpiegiem. Miał za zadanie prowadzić innego szpiega BUCHANA. Albo grupę szpiegów, bo produkt BUCHANA był zbyt urozmaicony i ekscytujący jak na możliwości jednej osoby.

BUCHAN miał dostęp do prezydenta i amerykańskiego generała stojącego na czele

Dowództwa Południowego. BUCHAN znał kanciarzy i kombinatorów: podobnie jak znał ich Andy w czasach, kiedy miał charta. Niedawno dowiedziała się, że pies nazywał się Zemsta, i przypisywała temu pewne znaczenie: Andy miał jakiś cel.

BUCHAN kontaktował się też z podziemną opozycją demokratyczną, która czekała aż starzy faszyci w Panamie pokażą swoje prawdziwe oblicze. Rozmawiał z radykalnymi przedstawicielami ruchu studenckiego, z rybakami i aktywistami związków zawodowych. Spiskował z nimi, czekając na zwycięstwo. Nazywał ich - bardzo zręcznie - ludźmi z drugiej strony mostu, BUCHAN utrzymywał ponadto stosunki z Emiem Delgado, szarą eminencją Kanału. I z Rafim Domingo, który prał brudne pieniądze karteli narkotykowych. BUCHAN znał też mnóstwo członków Parlamentu. Znał prawników i bankierów. Wydawało się, że nie ma w Panamie osoby wartej poznania, której BUCHAN by nie znał. Frań uznała za niesamowite, wręcz dziwne, że Andy w tak krótkim czasie zdołał wkraść się do samego serca Panamy, której ona nigdy nie znała. Ale w końcu do jej serca też wkradł się całkiem szybko.

BUCHAN węszył też jakąś wielką intrygę, choć nikt nie potrafił określić, na czym polega - tyle tylko, że Francją a prawdopodobnie też Japonią Chiny i tygrysy Azji Południowo-Wschodniej mogły maczać w niej palce, a prócz nich kartele narkotykowe Ameryki Południowej i Środkowej. Celem było sprzedanie Kanału Panamskiego „od tyłu”, jak mówił Andy. Ale jak? I jak to się stało, że Stany Zjednoczone nic o tym nie wiedziały? W końcu Amerykanie niemal od początku wieku praktycznie rządzą w tym kraju i w całej Ameryce Środkowej założyli wymyślne systemy nasłuchu i monitoringu.

A mimo to z jakiegoś tajemniczego względu nic o tym nie wiedzieli, co tylko dodawało pikanterii całej sprawie. A jeśli wiedzieli, to nic nam nie mówili. Albo wiedzieli, tylko nie mówili o tym między sobą. Kiedy mowa o polityce zagranicznej Waszyngtonu, trzeba zapytać o której polityce i którego ambasadora: tego z ambasady czy tego ze wzgórza Ancón. Amerykańscy wojskowi nie mogą przyzwyczaić się do myśli, że nie są już w Panamie panami życia i śmierci.

Londyn szalenie się podniecił i wygrzebywał materiały z najróżniejszych dziwnych miejsc, czasem sprzed wielu lat, dochodząc do zadziwiających wniosków co do tego, czyje wielkomocarstwowe ambicje zatriumfują nad pozostałymi, gdyż - jak ujął to BUCHAN - wszystkie sępy świata zebrały się nad biedną małą Panamą. Zabawa polegała na wytypowaniu tego, kto zdobędzie łup. Londyn domagał się coraz to nowych informacji, doprowadzając Andy'ego do furii, bo przemęczenie siatki, jak twierdził, jest jak przemęczenie charta, w końcu płaci i właściciel, i pies. Tyle jej powiedział. Poza tym był uosobieniem tajemniczości, co podziwiała.

A wszystko to w ciągu dziesięciu krótkich tygodni. Tyle, ile trwał ich romans. Andy był magikiem, którego dotyk sprawiał, że *rzeczy* do tej pory nijakie stawały się pasjonujące i żywe. Ten dotyk tak samo działał na Frań. Ale kim był BUCHAN? Skoro BUCHAN stał za Andym, kto stał za BUCHANEM?

Czemu przyjaciele BUCHANA tak chętnie się mu zwierzali? Czy był psychiatrą, lekarzem? Czy podstępą dziwką, która lubieżnymi sztuczkami wydobywa sekrety ze swoich kochanków? Kto telefonował do Andy'ego w piętnaste sekundowych odstępach i urywał rozmowę, ledwo Andy zdążył powiedzieć: „Już jadę”? Czy to BUCHAN we własnej osobie, czy jakiś pośrednik, student, rybak, informator, specjalny łącznik? Dokąd chodził Andy, gdy jak lunatyk

na rozkaz głosu z zaświatów wstawał w środku nocy, ubierał się, wyjmował plik dolarów z sejfów w ścianie za łóżkiem i zostawiał ją samą ledwie rzucając słowo pożegnania, by potem o świcie wsunąć się znowu do łóżka rozczarowany lub rozradowany, roztaczając woń dymu cygar i kobiecych perfum? I brał ją, wciąż bez słowa, bez końca, cudownie, niezmiernie, całymi godzinami, latami. Masywne ciało ślizgało się zwinnie nad nią i wokół niej. Jedną ekstazą następowała po drugiej, co do tej pory zdarzało się Frań tylko w pensjonarskich fantazjach.

I jakie to alchemiczne doświadczenia przeprowadzał, kiedy dostarczono mu zwyczajną szarą kopertę. Zamknął się w łazience, w której pozostała potem woń kamfory czy formaldehydu. Co zobaczył, kiedy wyłonił się stamtąd z podobnym do tasiemca paskiem mokrego filmu, a potem usiadł przy biurku i przesuwiał go przez miniaturową przeglądarkę?

- Chyba powinienes to robić w ambasadzie - powiedziała.

- Tam nie ma ciemni ani ciebie - odpowiedział suchym, obojętnym tonem, któremu nie potrafiła się oprzeć. Cóż to za skończony arogant w porównaniu z Edgarem! - taki chytry, nieuchwytny, taki dzielny!

Obserwowała go podczas spotkań Buchanerów; rozparty władczo przy długim stole, z zabójczym lukiem opadającym na prawe oko, rozdawał kolorowe teczki, a potem patrzył w przestrzeń, a wszyscy oprócz niego czytali: Panama BUCHANA przyłapana in flagranti:

Antonio Taki-a-taki z ministerstwa spraw zagranicznych niedawno oświadczył że jest tak oczarowany kubańską kochanką, iż zamierza wykorzysta swe wpływy dla poprawy stosunków panamsko-kubańskich mimo sprzeciwu Ameryki...

Oświadczył przed kim? Przed swoją kubańską metresą? A ona przekazała wiadomość BUCHANOWI? Czy bezpośrednio Andy'emu - a może w łóżku? Frań przypomniła sobie zapachy perfum i oczyma duszy widziała, jak nagie ciała wcierają je w niego. Czy Andy to BUCHAN? Wszystko jest możliwe.

Taki-a-taki jest związany z libańską mafią w Cotón, która podobno wypłaciła dwadzieścia milionów dolarów za „status uprzywilejowanego narodu” w przestępczej społeczności Colón...

Po kubańskich prostytutkach i libańskich przestępcach BUCHAN przeskakuje do Kanału:

Chaos w niedawno powołanych władzach Kanału z każdym dniem pogłębia się. Osoby doświadczone zastępuje się dyletantami, mianowanymi wyłącznie z protekcji, ku rozpaczce Ernesta Delgado. Najbardziej rażącym przypadkiem było mianowanie Jose-Marii Fernandez na stanowisko dyrektora Służb Generalnych po uzyskaniu przez niego trzydziestu procent udziałów w chińskiej sieci restauracyjnej Lee Lotus, której czterdzieści procent znajduje się w rękach firm należących do kokainowego kartelu Rodrigueza w Brazylii.”

- To ten Fernandez, który się do mnie przystawiał na festynie z okazji Dnia Niepodległości? - zapytała Andy'ego ze śmiertelną powagą podczas późnego spotkania Buchanerów w gabinecie Maltby'ego.

Była u niego w mieszkaniu na obiedzie i przez całe popołudnie kochali się. Pytanie to podsunęła jej w równym stopniu ciekawość, co błogostan wywołany wydarzeniami dnia.

- Łysy facet z krzywymi nogami - odparł niedbale Andy. - Okulary, pryszcze, śmierdzi mu spod pach i z gęby.

- To on. Chciał, żebym poleciała z nim na festiwal do David.

- Kiedy wylatujesz?

- Andy, jesteś okropny - rzekł Nigel Stormont, nie podnosząc wzroku znad teczki, a Fran musiała mocno się wysilić, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

I kiedy posiedzenie dobiegło końca, obserwowała kątem oka, jak Andy zebrał teczki i zaniósł je do swego tajnego królestwa za nowymi stalowymi drzwiami we wschodnim skrzydle. W ślad za nim kroczył jego dziwaczny asystent, który nosił robione na drutach kamizelki i miał przylizane włosy. Nazywał się Shepherd i zawsze trzymał coś w ręku - klucz francuski, śrubokręt albo kawałek kabla.

- Co, na Boga, robi u ciebie ten Shepherd?

- Myje okna.

- Jest za niski.

- Podsadam go.

Z równie niewielką nadzieją na wyczerpującą odpowiedź zapytała teraz Osnarda, czemu znów się ubiera, kiedy inni próbują spać.

- Wychodzę w sprawie psa - odparł krótko. Przez cały wieczór był podenerwowany.

- Charta?

Bez odpowiedzi.

- Ten pies bardzo późno kładzie się spać - powiedziała, chcąc wyrwać go z zamyślenia.

Bez odpowiedzi.

- To chyba ten sam pies, o którym mowa w tym popołudniowym pilnym szyfrowanym telegramie.

Osnard znieruchomiał, przeciągając koszulę przez głowę.

- Skąd wiesz? - zapytał raczej nieprzyjemnie.

- Spotkałam w windzie Shepherdę. Pytał, czy jeszcze jesteś, więc zapytałam, o co chodzi. Powiedział, że ma dla ciebie gorącą, ale sam ją rozbierzesz. Zawstydziałam się za ciebie, ale zdałam sobie sprawę, że mówi o pilnej depeszy. Nie bierzesz tej beretty z perłową kolbą?

Bez odpowiedzi.

- Gdzie się z nią spotykasz?

- W burdelu - warknął, zmierzając ku drzwiom.

- Obraziłam cię?

- Jeszcze nie. Prawie.

- A może to ty mnie obraziłeś. Może wrócę do siebie. Muszę się porządnie wyspać. Ale została z zapachem jego pulchnego zręcznego ciała na sobie, z jego! śladem na pościeli i wspomnieniem czujnych oczu, przeszywających ją w półmroku. Podniecały ją nawet napady złego humoru. I te rzadkie chwile, kiedy ujawniał swoją ciemną stronę: podczas erotycznych zabaw, gdy doprowadzała go do przemocy, a jego mokra głowa podnosiła się, jakby do uderzenia, ale w ostatniej chwili z trudem opanowywał się. Lub podczas spotkań Buchanerów, kiedy Maltby perwersyjnie próbował go przyszpilić... „Czy ten twój informator, poza tym, że jest wszechobecny, jest również analfabetą, a może tobie zawdzięczamy ten pretensjonalny styl?”... stopniowo rysy jego ruchliwej twarzy tężały, w zakamarkach oczu zapalało się alarmowe światelko i wtedy rozumiała, dlaczego nadał psu imię Zemsta.

Przestając panować nad sobą, pomyślała. Nie nad nim. I z coraz większym niepokojem

córka nieuleczalnie pompatycznego sędziego i była narzeczoną nieskazitelnego Edgara odkrywała w sobie rosnący apetyt na niegodziwość.

Osnard zaparkował samochód z tablicą rejestracyjną służb dyplomatycznych przed centrum handlowym w wieżowcu, pozdrowił ochroniarz i wjechał na czwarte piętro. Pod upiornym światłem jarzeniówek lew i jednorożec prowadzili odwieczną walkę. Wystukał kod, wszedł do recepcji, otworzył opancerzone szklane drzwi, wspiał się po schodach, otworzył kratę i wkroczył do swego królestwa. Ostatnie drzwi były zrobione ze stali. Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, wybrał długi jak cybuch fajki mosiężny klucz, wsunął go do zamka odwrotnie, zaklął, wyjął i znów wsunął, tym razem prawidłowo. W samotności poruszał się inaczej niż wtedy, kiedy go obserwowano. Z większą beztróską i mniejszą premedytacją. Miał otwarte usta, garbił się, oczy spoglądały spod opuszczonych brwi, jakby zaczął się na jakiegoś niewidocznego wroga.

Skarbiec zajmował ostatnie dwa metry korytarza. Na prawo znajdowały się przegródki. Po lewej stronie wśród przedziwnych przedmiotów, takich jak spray na muchy i papier toaletowy, zamontowano zielony ścienny sejf. Przed nim na stercie elektrycznych skrzynek spoczywał olbrzymi czerwony telefon. W prywatnym żargonie Osnarda była to jego cyfrowa łączność z Bogiem. Tabliczka u dołu ostrzegała: „Połączenie tym aparatem kosztuje 50 funtów za minutę”. Osnard dopisał kiedyś komentarz: „Przyjemnej rozmowy”. W podobnym nastroju podniósł teraz słuchawkę i nie zważając na automatyczny głos nakazujący mu naciskać przyciski i stosować odpowiednie procedury, wybrał numer londyńskiego bukmachera, u którego wykupił kilka zakładów, za pięćset funtów każdy, na charty, których imiona i terminy gonitw najwyraźniej znał równie dobrze, jak bukmachera.

- Nie, ty głupi osłe, na zwycięzcę - powiedział. Czy Osnard kiedykolwiek stawiał na psa w pierwszej trójce?

Po czym z rezygnacją oddał się obowiązkom. Wyciągnął z przegródki teczkę oznaczoną BUCHAN-ŚCIŚLE TAJNE, przeszedł do swego gabinetu, zapalił światło, zasiadł za biurkiem, beknał i z głową w dłoniach zaczął ponownie czytać cztery strony instrukcji, które otrzymał po południu od dyrektora Luxmore'a z Londynu. Narażając cierpliwość na poważną próbę, rozszyfrował je. Udatnie imitując szkocki akcent Luxmore'a, wyrecytował na głos:

- Niniejsze rozkazy należy zapamiętać - cmoknięcie - ten telegram nie może trafić do akt placówki i ma zostać zniszczony w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin od otrzymania, młodzieńcze... BUCHANOWI należy bezzwłocznie przekazać, co następuje - cmoknięcie - można powierzyć BUCHANOWI następujące zadania... proszę wystosować następujące ostre ostrzeżenie... o tak!

Z rozdrażnieniem złożył kartki, wyciągnął zwykłą białą kopertę z szuflady, wsunął do niej telegram i wepchnął kopertę do prawej kieszeni spodni firmy Pendel & Braithwaite, która opłaciła konto w Londynie jako niezbędny wydatek operacyjny. Wrócił do skarbcza, podniósł zniszczoną skórzaną torbę, która celowo wyglądała zupełnie nieoficjalnie, wsunął ją na półkę i kolejnym kluczem z pęku otworzył zielony sejf zawierający księgę w sztywnej oprawie i grube pliki pięćdziesięciodolarowych banknotów - setki, o czym osobiście zawiadomił

Londyn, zanedbały zwracały uwagę, by można było nimi dyskretnie operować.

Otworzył księgę na aktualnej stronie podzielonej na trzy kolumny odręcznie napisanych cyfr. Kolumna z lewej strony opatrzona była nagłówkiem H, jak Harry, z prawej A, jak Andy. Środkową kolumnę, zawierającą największe sumy, zatytułowano „Przychód”. Staranne linie i baloniki, tak uwielbiane przez seksuologów, rozdzielały środki na prawo i lewo. Po przestudiowaniu trzech kolumn w ponurym milczeniu Osnard wyjął ołówek z kieszeni i niechętnie wpisał „siódemkę” do środkowej kolumny, narysował wokół niej kółko i poprowadził linę na lewo do kolumny oznaczonej H, jak Harry. Później dopisał „trójkę” i w pogodniejszym nastroju skierował ją do kolumny A, jak Andy. Nucąc pod nosem, odliczył siedem tysięcy dolarów z sejfu i włożył je do plastikowej torebki. Potem wrzucił do środka spray na muchy i inne drobiazgi z półki. Lekceważąco. Jakby mmi gardził, co zresztą było faktem. Zamknął torebkę, sejf, skarbiec i wreszcie frontowe drzwi.

Kiedy wyszedł na ulicę, uśmiechnął się do mego księżyc w pełni. Nad zatoką wisiało rozgwieżdżone niebo. Lustrzane odbicie nieba rozpościerało się na czarnym horyzoncie w postaci świateł czekających statków. Zatrzymał taksówkę, rozklekotanego pontiaca i podał adres. Wkrótce podskakiwał na wybojach drogi na lotnisko, wypatrując niespokojnie neonowego Kupidyna kierującego falliczną strzałę w stronę reklamowanych przez mego domków miłości. Twarz Osnarda, wyłoniona z ciemności przez światła jadącego z przeciwnej strony samochodu, była poważna. Małe ciemne oczka obserwujące uważnie lusterka samochodu, rozpalały się z każdym mijanym samochodem. „Szczęście uśmiecha się tylko do tych, którzy są na to przygotowani”, powtórzył w myślach. Ulubiony aforyzm nauczyciela matematyki z podstawówki, który najpierw sprzął go na kwaśne jabłko, a potem zasugerował, żeby zażegnali nieporozumienie, zdejmując ubrania.

Gdzieś niedaleko Watford na północ od Londynu wznosi się Osnard Hali. Żeby tam dojechać, trzeba przeciąć ruchliwą obwodnicę i skręcić w zapuszczone osiedle, zwane Wiązową Polaną, gdyż kiedyś tam rosły prastare wiązy. Osnard Hali miał więcej lokatorów w ciągu pięćdziesięciu lat niż uprzednio przez cztery stulecia: a to mieścił się w nim dom starców, a to dom poprawczy, a to stadnina kom wyścigowych, a ostatnio pod rządami ponurego starszego brata Osnardą Lindsaya ośrodek medytacyjny dla wyznawców pewnej wschodniej sekty.

Przez pewien czas, mimo kolejnych transformacji domu, Osnardowie, rozproszeni po tak odległych zakątkach świata, jak Indie i Argentyną opłacali wspólnie czynsz, spierali się o koszty eksploatacji i zastanawiali, czy żyjąca jeszcze niania powinna otrzymywać zasiłek. Ale stopniowo, tak jak ich dom, w którym przychodzili na świat, ubożeli albo po prostu tracili ochotę do dalszych zmagania z życiem. Wujek Osnard zabrał swoją część majątku do Kenii i tam ją stracił. Kuzyn Osnard pomyślał, że pokaże Australijczykom, co potrafi, kupił farmę strusi i zbankrutował. Prawnik Osnardów sprzeniewierzył rodzinny fundusz powierniczy, ukradł to, czego jeszcze nie roztrwonił na ryzykowne inwestycje, a potem wpakował sobie kulkę w łeb. Posępny Lindsay, którego półśrodki nigdy nie interesowały, wdział szafranową szatę buddyjskiego mnicha i powiesił się na jedynym pozostałym w ogrodzie zdrowym drzewie wiśniowym.

Tylko rodzice Osnarda, jak na złość, pozostawali przy życiu - ojciec w wydzierżawionym rodzinnym majątku w Hiszpanii żył z resztek fortuny na koszt hiszpańskich krewnych, a matka

w Brighton, gdzie godnie klepała biedę w towarzystwie pieszka i butelki dżinu.

Ktoś inny, komu życie dałoby tak kosmopolityczne perspektywy, wybrałby jakieś nowe kraje, a przynajmniej hiszpańskie słońce. Ale młody Andrew od najwcześniejszych lat uważał, że należy do Anglii, a konkretniej, że Anglia należy do niego. Pełne wyrzeczeń dzieciństwo i potworne szkoły z internatem, które wycisnęły na nim niezatarte piętno, skłoniły go w wieku dwudziestu lat do wniosku, że oddał już Anglii z nawiązką to, co jej się należy, i że od tej pory trzeba przestać płacić, a zacząć zbierać.

Nie wiedział tylko jak. Nie miał żadnego fachu w ręku, żadnych kwalifikacji ani umiejętności poza tymi, które prezentował na polu golfowym lub w sypialni. Najlepiej znał się na angielskiej zgniliznie, potrzebował więc gnijącej angielskiej instytucji, która przywróci mu to, co inne gnijące instytucje odebrały. Najpierw pomyślał o Fleet Street. Jako półanalfabeta bez skrupułów, mając rachunki do wyrównania, na pierwszy rzut oka był idealnym kandydatem na dziennikarza. Ale po dwóch latach obiecującej pracy na stanowisku reportera praktykanta dla „Loughborough Eyening Messenger” jego kariera legła w gruzach, kiedy wydało się, że informacje do skandalicznego artykułu pod tytułem „Erotyczne antyki wśród elity naszego miasta” żona redaktora naczelnego wyjawiała Osnardowi w łóżku.

Potem trafił do wielkiej organizacji charytatywnej na rzecz zwierząt i przez pewien czas sądził, że tu znalazł swe powołanie. W eleganckich gabinetach, w pobliżu teatrów i restauracji, z wielkim zaangażowaniem omawiano potrzeby brytyjskich zwierząt. Żadna uroczysta premiera, elegancki bankiet ani podróż zagraniczna w celu obserwacji zwierząt innych narodów nie wydawała się zbyt męcząca dla wysoko opłacanych pracowników organizacji. Także jego marzenia mogły się urzeczywistnić. „Fundusz na rzecz doraźnej pomocy osłom” (organizator: A. Osnard), „Wiejskie wakacje dla chartów weteranów” (kierownik finansowy: A. Osnard) zyskały już ogólną aprobatę, kiedy dwaj jego przełożeni zostali wezwani do urzędu walki z małwersacjami.

Przez tydzień miał mętlik w głowie i zastanawiał się nad karierą w Kościele anglikańskim, który tradycyjnie oferuje szybki awans błyskotliwym, seksualnie aktywnym agnastykom na dorobku. Jego pobożność wyparowała jednak, kiedy dowiedział się, że katastrofalne inwestycje doprowadziły Kościół do źle widzianego chrześcijańskiego ubóstwa. Zdesperowany, przeżył następnie kilka feralnych przygód na szybkim pasie autostrady życia. Każda z nich trwała krótko i każda kończyła się fiaskiem. Zdecydowanie potrzebował zawodu.

- A może BBC? - zapytał urzędnika, wróciwszy do uniwersyteckiego pośredniaka po raz piąty czy piętnasty.

Urzędnik, siwy i przedwcześnie postarzały, drgnął.

- Już nieaktualne - oznajmił.

Osnard zaproponował Fundację Ochrony Zabytków.

- Lubi pan stare rudery? - zapytał urzędnik, jakby obawiał się, że Osnard ma zamiar wysadzić je w powietrze.

- Uwielbiam. Jestem od nich po prostu uzależniony.

- Czyżby?

Drżącymi palcami urzędnik podniósł róg teczki i zajrzał do środka.

- Może i by pana przyjęli. Ma pan złą opinię. Dużo uroku. Jest pan dwujęzyczny, jeśli mają ochotę na hiszpański. Zaproponuję, żeby pan podjął u nich pracę, to w końcu nic nie kosztuje.

- W Fundacji Ochrony Zabytków?

- Ależ skąd. W wywiadzie. Proszę to wziąć gdzieś na stronę i wypełnij atramentem sympatycznym.

Osnard znalazł swojego Graala. Tutaj był jego Kościół z przyzwoitym budżetem. Tutaj trafiały najskrytsze modlitwy narodu, przechowywane jaj w muzeum. Tutaj znalazł sceptyków, marzycieli, zelotów i szalonych opatów. I gotówkę, która sprawiała, że wszystko to było prawdziwe.

Ale nie przyjęto go od razu. Nowa zreformowana służba uważała się za wolną od pęt przeszłości i bezklasowa, według wielkich torysowskich tradycji, gdzie demokracja oznacza wybór mężczyzn i kobiet rasy białej różnych zawodów, wykształconych w prywatnych szkołach, z warstwy ziemiańskiej Osnarda wybierano tak jak całą resztę:

- W jaki sposób ten smutny incydent z pańskim bratem Lindsayem...odebrał sobie życie... mógł na pana wpłynąć? - zapytał go zza błyszczącego stołu urzędas z wywiadu o pustym spojrzeniu, potwornie wykrzywiając przy tym twarz.

Osnard zawsze nienawidził Lindsaya. Zrobił stosowną minę.

- Strasznie cierpiałem - powiedział.

- W jaki sposób? - Kolejne wykrzywienie gęby.

- Skłoniło mnie to do przemyśleń, co jest naprawdę ważne, na czym mi zależy, po co przychodzimy na świat.

- I w pańskim przypadku byłaby to... przypuśćmy, że zostanie pan przyjęty... służba w wywiadzie?

- Oczywiście.

- I nie uważa pan, że... podróżując tyle po świecie... rodzina tu i tam, wszędzie... podwójny paszport... że jest pan jakby za mato angielski do tego rodzaju służby? Że jest pan raczej obywatelem świata niż jednym z nas?

Patriotyzm był tematem drażliwym. Jak sobie z nim poradzi Osnard? Czy zareaguje defensywnie? Czy będzie nieprzyjemny? Albo, co gorszą ckliwy? Nie musieli się obawiać. Zapytał tylko o miejsce, gdzie będzie mógł zainwestować swoją amoralność.

- W Anglii trzymam szczoteczkę do zębów - odpowiedział, wywołując pełen ulgi śmiech.

Zaczynał pojmywać reguły tej gry. Nieważne, co się mówi, ale jak. Czy w sytuacjach krytycznych potrafi myśleć? Czy łatwo się denerwuje? Czy jest przebiegły, czy się boi, czy ma dar przekonywania? Czy potrafi w myślach kłamać, a mówić prawdę? Czy potrafi w myślach kłamać i mówić kłamstwa?

- Przeglądaliśmy listę pańskich partnerek z ostatnich pięciu lat, młody człowieku - powiedział brodaty Szkot, mrużąc oczy, żeby zintensyfikować przenikliwość spojrzenia. - To dosyć długa lista - cmoknięcie - jak na tak stosunkowo młody wiek.

Śmiech, do którego Osnard dołączył, ale niezbyt gorliwie.

- Chyba najlepiej oceniać związki na podstawie tego, jak się kończą - odpowiedział ze słodką skromnością. - Większość kończyła się całkiem nieźle.

- A pozostałe?

- Mój Boże, przecież wszyscy kilka razy w życiu budziliśmy się w nieodpowiednim łóżku.

A ponieważ było to mało prawdopodobne w odniesieniu do szczęściu osób gromadzonych wokół stołu, a zwłaszcza do jego brodatego interlokutora, znowu rozległ się ostrożny śmiech.

- Jesteśmy krewnymi, wiedział pan o tym? - powiedział Szefer w ramach gratulacji, racząc go kościstym uściskiem dłoni.

- Przypuszczam, że teraz już tak - rzekł Osnard.

- Nie, nie, chodzi mi o naszą rodzinę. Mamy wspólną ciotkę i kuzynkę. Naprawdę pan nie wiedział?

Ku olbrzymiej satysfakcji Szefa nie wiedział. A kiedy usłyszał, kim one są, wezbrał w nim niepowstrzymany śmiech, który w ostatniej chwili zamienił na czarujący uśmiech zdumienia.

- Nazywam się Luxmore - powiedział brodaty Szkot i, co dziwne, uściśnął mu rękę w ten sam sposób co Szefer. Kieruję Hiszpanią, Ameryką Południową i kilkoma innymi miejscami po drodze. Mógł też pan o mnie słyszeć w związku z pewną małą aferą na Falklandach. Upomnę się o pana, gdy już skończy pan zasadnicze szkolenie, młodzieńcze.

- Nie mogę się doczekać - rzekł z zapalem Osnard.

I rzeczywiście. Zauważył, że dla szpiegów era postkomunistyczna była i wybawieniem, i przekleństwem. Służba miała pieniądze do spalenia, ale gdzie, do diabła, się paliło? Tkwiąc w tak zwanej Hiszpańskiej Piwnicy, która przypominała biuro wydawcy książki telefonicznej Madrytu, ramię w ramię z innymi adeptami sztuki wywiadowczej, nałogowymi palaczami w średnim wieku, młody praktykant sporządził wnikliwą ocenę pozycji jego pracodawców na rynku Whitehall:

Preferowana Irlandia: regularne zarobki, doskonałe perspektywy długoterminowe, ale mizerne dochody po podziale między rywalizujące agencje.

Bojowy islam: Sporadyczne zrywy, najczęściej nieskuteczne. Jako substytut „czerwonego terronu”, całkowita klapa.

Broń za narkotyki, sp. z o.o.: Fiasko. Wywiad nie wie, czy ma odgrywać leśniczego, czy kłusownika.

Co do wychwalanego produktu współczesności - wywiadu przemysłowego, uważał, że po złamaniu kilku tajwańskich szyfrów i przekupieniu kilku koreańskich maszynistek brytyjskiemu przemysłowi można było oprócz współczucia ofiarować niewiele więcej. Takie przynajmniej żywił przekonanie, póki Szkot Luxmore nie wziął go pod swoje skrzydła.

- Panama, młody człowieku - chodził tam i z powrotem po niebieskiej wykładzinie, pstrykał palcami, wymachiwał rękami, wszystko w ruchu - jest idealnym miejscem dla młodego agenta o pańskich zdolnościach. Byłaby idealnym miejscem dla nas wszystkich, gdyby głupcy z ministerstwa skarbu widzieli dalej niż czubek nosa. Mieliśmy ten sam problem podczas afery falklandzkiej, nie waham się o tym powiedzieć. Pozostawali głusi, aż wybiła północ.

Gabinet Luxmore'a jest duży i blisko nieba. Za przyciemnianymi oknami ze zbrojonego szkła po drugiej stronie Tamizy wylania się dumnie Pałac Westminsterski. Sam Luxmore jest drobny. Szpicbródka i energiczny krok nie dodają mu wzrostu. To stary człowiek w świecie młodych i jeśli przestanie biec, prawdopodobnie upadnie. Tak przynajmniej wydaje się Osnardowi. Luxmore cmoka językiem o przednie zęby, jakby wiecznie miał w ustach rozpływający się cukierek.

- Ale robimy postępy. Już ministerstwo handlu i Bank Anglii dobijają się, do naszych drzwi. MSZ, choć nie skłonny do wpadania w histerię, wyraził ostrożne zaniepokojenie. Pamiętam, że wyrażali podobne odczucia, kiedy miałem przyjemność informować ich o

zamiarach generała Galtieriego wobec Malwinów. Co za nazwa.

Osnard traci cierpliwość.

- Ależ proszę pana... - sprzeciwia się starannie ustawionym głosem nowicjusza.

- Tak, Andrew?

- Może jestem głupi, ale jakie znaczenie ma dla Wielkiej Brytanii Panama?

Luxmore jest usatysfakcjonowany niewinnością chłopca. Uświadamianie młodych było jedną z jego ulubionych przyjemności.

- Żadne, Andrew. Panama jako państwo nie ma dla Wielkiej Brytanii jakiegokolwiek znaczenia - odpowiada z chytrym uśmieszkiem. - Trochę piechoty morskiej, kilkaset milionów brytyjskich inwestycji, topniejąca grupa osiadłych Brytyjczyków, parę konających komisji doradczych i na tym koniec, jeśli chodzi o znaczenie dla nas Republiki Panamy.

- No to co...

Machnięciem ręki Luxmore nakazuje Osnardowi milczenie. Zwraca się do własnego odbicia w zbrojonej szybie.

- Gdyby pan nieco inaczej sformułował pytanie, młodzieńcze, otrzymałby pan całkowicie inną odpowiedź. O, tak.

- Ale jak, proszę pana?

- Jakie geopolityczne znaczenie ma dla nas Panama? Proszę zadać sobie to pytanie. - Odplynął daleko. - Jakie są nasze żywotne interesy? Gdzie najbardziej narażone są na niebezpieczeństwo interesy naszego wielkiego kupieckiego narodu? Gdzie dostrzeżemy najciemniejsze chmury, panie Osnard, jeśli skierujemy teleskop na przyszłość tych wysp? - Szybował.

- Gdzie na całej kuli ziemskiej tyka zegar dla drugiego Hongkongu, gdzie czai się kolejna katastrofa? - Najwyraźniej po drugiej stronie rzeki, tam, gdzie kierował wizjonerski wzrok. - Barbarzyńcy są u bram, młodzieńcze. Drapieżniki z każdego zakątka ziemi szykują się do ataku na małą Panamę. Wielki zegar odmierza czas do końca świata. Czy nasze ministerstwo skarbu przejmuje się? Nie. Znowu zakrywają uszy rękami. Kto zdobędzie wielką nagrodę nowego milenium? Może Arabowie? Japończycy, co ostrzą swoje *katana*¹? Oczywiście! Może Chińczycy, azjatyckie tygrysy, albo latynoskie konsorcjum z miliardami narkotykowych dolarów? Może Europa bez nas? Znowu ci Niemcy, ci podstępni Francuzi? Ale nie Brytyjczycy, Andrew. To pewne jak w banku. Nie, nie. To nie nasza półkula, nie nasz kanał. Nie mamy żadnych interesów w Panamie. To zaścianek, młodzieńcze. Panama to dwoje ludzi na krzyż i pies. Chodźmy na herbatkę!

- Oszaleli - szepcze Osnard.

- Nie. Mają rację. To nie nasza działka, ale podwórze.

Osnard początkowo nie rozumie, ale po chwili ożywia się. Podwórze! Ileż razy podczas szkolenia słyszał to słowo? Podwórze! Eldorado każdego brytyjskiego szpiegokraty! Odnowienie specjalnych stosunków! Wyczekiwany powrót Złotej Ery, kiedy ubrani w tweed absolwenci Yale i Oksfordu siedzieli obok siebie w tych samych pokojach, wspólnie snując imperialistyczne fantazje! Luxmore znowu zapomniał o obecności Osnarda i przemawiał do własnej duszy:

- Jankesi znowu się popisali. O, tak. Rażący przykład ich politycznej niedojrzałości, tchórzliwego uchylania się od odpowiedzialności za świat i siły szerzących się liberalnych

poglądów na sprawy międzynarodowe. Mogę ci w tajemnicy wyznać, że mieliśmy identyczny probierń podczas zamieszania z Falklandami. O, tak. - Jego usta wykrzywił szczególny grymas, splótł dłonie z tyłu i uniósł się na palcach drobnych stóp. - Jankesi nie tylko pod pisali potworny traktat z Panamczykami... oddali klucze, dziękujemy bardzo, panie Jimmy Carter!... ale też zamierzają dotrzymać jego warunków. W konsekwencji zostawią siebie, a co gorsza swoich sojuszników, w próżni. Będziemy musieli ją wypełnić. Przekonać ich, żeby ją wypełnili. Pokazać, gdzie popełniają błędy, Zająć na nowo należne nam honorowe miejsce przy stole. To historia stara jak świat, Andrew. Jesteśmy ostatnimi Rzymianami. My mamy wiedzę, a oni władzę. - Chytre spojrzenie na Osnarda, które jednak omiata przy okazji cały pokój, żeby jakiś barbarzyńca nie zakradł się niepostrzeżenie. - Naszym zadaniem... twoim zadaniem... będzie zapewnienie podstaw, młodzieńcze, argumentów, dowodów koniecznych do tego, żeby Jankesi w końcu się otrząsnęli. Rozumiesz mnie?

- Niezupełnie, proszę pana.

- Dlatego, że na razie brakuje ci wizji. Ale zdobędziesz ją. Wierz mi, zdobędziesz.

- Tak, proszę pana.

- O wielkiej wizji, Andrew, decydują pewne czynniki. Wiarygodne informacje z terenu są jednym z nich. Urodzony agent wywiadu jest człowiekiem, który zanim znajdzie, wie, czego szuka. Zapamiętaj to sobie, młody człowieku.

- Oczywiście, proszę pana.

- Posługuje się intuicją. Dokonuje selekcji. Smakuje. Mówi „tak” albo „nie”, ale nie jest wszystkożerny. Jest nawet, poprzez własną selekcję, wybredny. Czy wyrażam się jasno?

- Obawiam się, że nie, proszę pana.

- Dobrze. Bo gdy nadejdzie właściwy czas, wszystko... o nie, nie wszystko, tylko rąbek... zostanie ci wyjawiony.

- Nie mogę się doczekać.

- Musisz. Cierpliwość też jest zaletą urodzonego agenta. Musisz mieć cierpliwość Indianina. I jego szósty zmysł. Musisz nauczyć się patrzeć za horyzont.

Luxmore znów kieruje wzrok w stronę ciężkich wież Whitehall i marszczy brwi. Ale okazuje się, że jego sroga mina przeznaczona jest dla Waszyngtonu:

- Ja to nazywam groźną niewiarą we własne siły, młody człowieku. Jedyne światowe super mocarstwo w niewoli purytańskich zasad, niech Bóg ma nas w swojej opiece. Czy nie słyszeli o Suezie? Kilka ciał przewraca się w grobie! Nie ma większego przestępcy w polityce, młody człowieku, od tego, który wzdraga się przed słusznym użyciem siły. Stany Zjednoczone muszą chwycić za szablę, inaczej stoczą się, a my razem z nimi. Mamy spokojnie patrzeć, kiedy podaje się barbarzyńcom na talerzu nasze bezcenne zachodnie dziedzictwo? Krew naszej gospodarki, nasza potęga handlowa przecieka nam przez palce - Japonia odbiera nam słońce, a tygrysy Południowo-Wschodniej Azji rozrywają nas na strzępy! Więc tacy naprawdę jesteśmy? To jest duch współczesnego pokolenia? Możliwe. Może marnujemy czas. Proszę mnie oświecić. Nie żartuję, Andrew.

- Wiem tylko, że to nie mój duch, proszę pana - odpowiedział żarliwie Osnard.

- Mój też nie. - Luxmore przerywa, mierzy Osnarda spojrzeniem i zastanawia się, ile jeszcze może mu zdradzić.

- Andrew.

- Tak, proszę pana.
- Dzięki Bogu nie jesteśmy sami.
- Świetnie, proszę pana.
- Mówisz „świetnie”. Co wiesz?
- Tyle, co pan mi mówi. I co od dawna przeczuwałem.
- Nie mówili ci o tym na kursie? O czym, zastanawia się Osnard.
- Nie, proszę pana.
- Nigdy ci nie wspomniano o pewnym tajnym ciele zwanym Komitetem Planowania i Realizacji?
- Nie, proszę pana.
- Kierowanym przez niejakiego Geoffa Cavendisha, człowieka słynącego z dalekowzrocznego umysłu, wyszkolonego w sztuce wywierania wpływu i pokojowej perswazji?
- Nie, proszę pana.
- Człowieka, który jak żaden inny zna jankesów?
- Nie, proszę pana.
- Nie słyszałeś żadnych poufnych rozmów o nowym realizmie? O poszerzaniu zasięgu tajnych działań? O gromadzeniu kobiet i mężczyzn najróżniejszych zawodów pod wspólną tajną flagą?
- Nie.
- O staraniach, aby ci, którzy przyczynili się do wielkości swego narodu, współuczestniczyli w jego ocaleniu: ministrowie Korony, przemysłowcy, potentaci prasowi, bankierzy, właściciele statków czy światowcy?
- Nie.
- Że wspólnie ułożymy plany, a później je zrealizujemy? Że od tej pory poprzez staranną rekrutację doświadczonych kadr skrupuły pójdą na bok tam, gdzie działanie może powstrzymać rozpad? Nic?
- Nic.
- W takim razie muszę zamilknąć, młody człowieku. I ty też. Od tej pory służby wywiadowcze muszą znać nie tylko długość i moc kręconego na nasze szyje sznura. Z pomocą boską weźmiemy do ręki miecz, którym go przetniemy. Zapomnij o tym, co ci powiedziałem.
- Oczywiście, proszę pana.
- Kazanie najwyraźniej dobiegło końca i Luxmore z nową wiarą w prawdziwość swych słów wraca do tematu, którego chwilowo zaniechał.
- Czy naszym dzielnym urzędnikom z ministerstwa spraw zagranicznych lub wspaniałomyślnym liberałom z amerykańskiego Kongresu nie przyjdzie do głowy, że Panamczycy nie potrafią zarządzać straganem z kawą, a cóż dopiero największą handlową bramą świata? Że są skorumpowanymi hedonistami i dorobkiewiczami? - Obraca się, jakby chciał odeprzeć czyjeś zarzuty. - Komu się sprzedadzą, Andrew? Kto ich kupi? Za co? I z jakim skutkiem dla naszych interesów? Katastrofalnym - a nie jest to słowo, którym szafuję, Andrew.
- A może kryminalnym - podpowiada usłużnie Osnard.
- Luxmore kręci głową. Jeszcze się taki nie urodził, który mógłby bezkarnie poprawiać

przymiotniki Scottiego Luxmore'a. Samozwańczy mentor i przewodnik Osnarda ma jeszcze jedną kartę do wyłożenia i Osnard musi go przy tym obserwować, gdyż niewiele spośród czynności Luxmore'a jest prawdziwych, jeśli nie wykonuje ich na oczach innych. Podnosząc zieloną słuchawkę telefonu, który łączy go z innymi nieśmiertelnymi na Olimpie Whitehallu, przyjmuje wyraz twarzy, który jest figlarny i uroczyście zarazem.

- Tug! - woła radośnie. - Powiedz mi, czy Planowanie i Realizacja ma w następny czwartek małe spotkanie w domu pewnej osoby?... Nie myślę się. No proszę. Moi szpiedzy nie zawsze są dokładni. Pozwolisz, że zaproszę cię tego dnia na lunch, żebyś lepiej się przygotował do tej kategorii, ha, ha? Myślę, że nie masz nic przeciwko temu, żeby przyłączył się do nas Geofi? Nie, teraz ja stawiam, nalegam. Zastanawiam się, która knajpa pasowałaby nam obu? Myślałem o czymś ustronnym. Lepiej nie pchać się tam, gdzie wszyscy. Znam małą włoską knajpkę niedaleko Embankment... masz pod ręką coś do pisania?

Luxmore wykonuje piruet na pięcie, wspina się na palce i unosi kolana, powoli maszerując w miejscu, żeby wyplątać się z kabla telefonicznego.

- Panama?! - zawołał jowialnie Szeff. - Jako pierwsza placówka? Dla ciebie? Będziesz tam tkwił samotnie w tak młodym wieku? Wystawiony na pokusy boskich panamskich dziewcząt? Narkotyki, grzech, szpiedzy, oszuści? Scottie musiał upaść na głowę!

I ubawiwszy się setnie, Szeff zgodnie z oczekiwaniami Osnarda zatwierdził jego przydział do Panamy. Brak doświadczenia nie był przeszkodą. Nadzwyczajne uzdolnienia Osnarda poświadczili szkoleniowcy. Był dwujęzyczny i pod względem operacyjnym bez zarzutu.

- Musisz znaleźć sobie informatora - oznajmił Szeff. - Nikogo tam nie opłacamy. Ustąpiliśmy miejsca jankesom. To głupio z naszej strony. Sprawozdania będziesz wysyłał bezpośrednio do Luxmore'a, jasne? Analityków nie angażować, chyba że przyślemy inne instrukcje.

- Znajdź nam bankiera, młody człowieku - cmoknięcie o szkockie przednie zęby zza brody - jakiegoś światowca! Współcześni bankierzy obracają się w najlepszym towarzystwie, nie to co dawniej. Pamiętam, mieliśmy paru w Buenos Aires podczas zadymy na Falklandach.

Z pomocą centralnego komputera, którego istnienia kategorycznie wypiera się zarówno Westminster, jak i Whitehall, Osnard stworzył plik każdego brytyjskiego bankiera w Panamie. Niestety, było ich niewielu, nie znalazł też żadnego, którego można określić jako światowca.

- To znajdź w takim razie jakiegoś współczesnego potentata przemysłowego, młody człowieku - mrugnięcie bystrych szkockich oczu - kogoś, kto jest osobiście zainteresowany sprawą!

Osnard otworzył pliki wszystkich brytyjskich biznesmenów w Panamie i choć niektórzy byli młodzi, żaden nie był osobiście zainteresowany sprawą na tyle, na ile by sobie życzyli.

- To jakiegoś pismaka, młody człowieku. Pismaki mogą zadawać pytania me wzbudzając podejrzenia, mogą wszędzie jeździć, węszyć! Musi tam być jakiś porządny dziennikarz. Odszukaj go. I bezzwłocznie przyślij go do mnie!

Osnard otworzył pliki wszystkich brytyjskich dziennikarzy, którzy bywali w Panamie i znali hiszpański. Dobrze odżywiony wąsacz w muszce wydał mu się przystępny. Nazywał się Hector Pinde i pisał dla nikomu nie, znanego anglojęzycznego miesięcznika „The Latino”, wydawanego w Kostaryce. Jego ojciec był spedytorem wina z Toledo.

- Właśnie kogoś takiego potrzebujemy, młody człowieku! - Luxmore stoi z rozkraczonymi

nogami na dywanie - Zwerbuj go, Kup. Pieniądze nie są żadną przeszkodą.

Jeśli skapiradła z ministerstwa skarbu zamkną swoje kufry, otworzą je biura rachunkowe z Threadneedle Street Jestem o tym przekonany. Możesz powiedzieć, młody człowieku, że dziwny to kraj, który zmusza przemysłowców do opłacania wywiadu, ale takie są twarde reguły tego wyrachowanego świata.

Korzystając z pseudonimu, Osnard wcielił się w urzędnika ministerstwa spraw zagranicznych i zaprosił Pinde'a na lunch u Simpsona. Wydał dwa razy więcej, niż dał mu na to Luxmore. Pnde podobnie jak wielu przedstawicieli jego profesji dużo jadł, pił i mówił, ale nie obchodziło go, co inni mają do powiedzenia. Osnard czekał z krytycznym pytaniem do puddingu, później do gorgonzoli, ale wtedy cierpliwość Pinde'a najwyraźniej się wyczerpała gdyż ku oburzeniu Osnarda przerwał monolog o wpływie kultury Juków na współczesną myśl peruwiańską i wybuchną] ordynarnym śmiechem.

- No i czemu się do mnie nie przystawiasz? - ryknął ku konsternacji gości przy sąsiednich stolikach. - Coś ze mną nie tak? Pewnie masz dla mnie dziewczynę w taksówce? Sam się nią zajmij!

Jak się okazuje, Pnde pracował dla zniechęconej siostrzanej agencji brytyjskiego wywiadu, do której należała jego gazeta.

- Jest jeszcze ten Pendel, o którym panu wspominałem - przypomniał Osnard Luxmore'owi, wykorzystując jego posępny nastrój. - Ten z żoną w Komisji Kanału. Coś mi mówi, że są dla nas idealni.

Myślał o nim i tylko o nim przez kilka dni i nocy. „Szczęście uśmiecha się do tych, którzy są na to przygotowani”. Wyciągnął kartotekę Pendela, ślęczał nad jego policyjnymi fotografiami - *enface* i z profilu - studiował jego zeznania, choć większość była jawnie sfabrykowana przez prowadzących przesłuchanie, przeczytał raporty psychiatrów i kuratorów, zapiski o sprawowaniu w więzieniu, wyszperał wszystko, co tylko mógł na temat Louisy i małego światka Strefy. Niczym okultysta otworzył się na duchowe fale i wibracje Pendela, studiował go jak medium czyta mapę niedostępnej dżungli, gdzie podobno rozbił się samolot: odnajdę cię, wiem, kim jesteś, czekaj na mnie, „szczęście uśmiecha się tylko do tych, którzy są na to przygotowani”.

Luxmore rozmyśla. Jeszcze tydzień temu uznał, że Pendel zupełnie nie nadaje się do wielkiej misji.

- Jako główny informator, Andrew? W takiej gorącej placówce? Krawiec? Stalibyśmy się pośmiewiskiem Ostatniego Piętra!

Osnard znowu go naciska tym razem po obiedzie, kiedy nastrój Luxmore'a bywa łagodniejszy:

- Wszelkie uprzedzenia sami obce, młody człowieku, szanuję twój wybór. Ale kto się zadaje z facetami z East Endu, zwykle kończy z nożem w plecach. Mają to we krwi. Chyba nie upadliśmy tak nisko, żeby werbować recydywistów!

Ale minął tydzień, a panamski zegar tykał coraz głośniej.

- Coś mi się zdaje, że trafiliśmy w dziesiątkę - oznajmił, cmokając. Poraż drugi przeglądał informacje o Pendelu. - Postąpiliśmy bardzo rozważnie, w pierw badając grunt gdzie indziej. Ostatnie Piętro z pewnością to doceni. - Niewiarygodne zeznanie młodocianego Pendela przed policją: przyznał się do wszystkiego, nikogo nie obciążał. - Ten człowiek to pierwszorzędny

materiał, potrzeba takiego - cmoknięcie - mieliśmy kogoś podobnego w dokach w Buenos Aires podczas afery falklandzkiej. - Jego wzrok spoczywa przelotnie na Osnardzie, ale nic w jego spojrzeniu nie sugeruje, że uważa podwładnego za równie przystosowanego do życia w przestępczym społeczeństwie. - Będziesz musiał go okiełznać, Andrew. Ci krawcy z East Endu są piekielnie wygadani. Podołasz?

- Tak sędzę, proszę pana, jeśli będę mógł liczyć od czasu do czasu na jedną z pańskich rad.

- W tej grze łobuz jest mile widziany pod warunkiem, że to nasz łobuzi Papiery imigracyjne ojca Pendela którego nigdy nie znał, i żona są niewątpliwie plusem - cmoknięcie - jedną nogą już jesteśmy w Komisji Kanału, mój Boże. Córka jankeskiego inżyniera wojskowego, Andrew, dzięki niej się ustabilizował. I chrześcijanka. Nasz dżentelmen z East Endu nieźle się urządził. Nie zważał na religijne bariery. Korzyść własna zawsze na pierwszym miejscu, jak zwykle - cmoknięcie - Andrew, zaczynam dostrzegać coś na horyzoncie. Będziesz musiał trzy razy przejrzeć jego księgi rachunkowe tę radę dam ci za darmo. Będzie brał łapówki, będzie miał nosa, spryt, ale czy ty sobie z nim poradzisz? Kto kogo będzie prowadził? To jest problem - rzut oka na metrykę Pendela z imieniem matki, która uciekła. - Ci faceci mają tupet, o tak. I potrafią wyciągnąć z ciebie ostatni grosz. Obawiam się, że rzucamy cię na głęboką wodę. Poradzisz sobie?

- Wydaje mi się, że tak.

- Tak, Andrew, mnie też tak się wydaje. Trudny klient, ale nasz klient, w tym rzecz. Szkolony w więzieniu, umie się przystosować, zna ciemne strony ulicy - cmoknięcie - i wstydlive zakamarki ludzkiego umysłu. Stanowi rodzaj niebezpieczeństwa, które lubię. Ostatnie Piętro też. - Luxmore zamknął energicznie teczkę i zaczął znowu przemierzać pokój, tym razem wszcz. - Jeśli apel do patriotyzmu nie skutkuje, możemy go postraszyć i bazować na jego chciwości. Powiem ci coś o informatorach, Andy.

- Bardzo proszę, sir.

Zwrot „sir”, choć tradycyjnie zarezerwowany dla szefa służby, był wyrazem uznania Osnarda dla samonapędzającej się fantazji Luxmore'a.

- Można mieć złego informatora, miody człowieku. Postawisz go przed sejfem wroga z szyfrem jeszcze dzwoniącym w jego durnych uszach, ale wróci z pustymi rękami. Wiem. Tak bywa. Mieliśmy takiego podczas falklandzkiej pożogi. Ale dobrego możesz zrzucić z zawiązanymi oczami na pustynię, a w ciągu tygodnia wywęszy cel. Dlaczego? Ma na sumieniu jaki grzeszek - cmoknięcie - widziałem to wiele razy. Zapamiętaj sobie, Andy Jeśli człowiek nie ma na sumieniu grzechu, jest nikim.

- Na pewno zapamiętam - mówi Osnard.

Luxmore zmienia bieg. Siada gwałtownie za biurkiem. Sięga do telefonu. Ręka zastyga w powietrzu.

- Skontaktuj się z rejestracją - rozkazał Osnardowi. - Niech wyciągną nam z kapelusza jakieś hasło. Jeśli sam wymyślasz hasło, zdradzasz cel. Opisz swój projekt, ale nie więcej niż na jedną stronę. Ci na górze są bardzo zapracowani. - Podniósł słuchawkę i wybrał numer. - Ja wykonam parę prywatnych telefonów do kilku wpływowych osób, które są zobowiązane do dyskrecji i na zawsze pozostaną bezimienne - cmoknięcie - ci amatorzy z ministerstwa skarbu wszystko popsują. Pomyśl o Kanale, Andrew. Wszystko sprowadza się do Kanału. - Przerwał nagle i odłożył słuchawkę na widełki. Patrzył na przyciemnioną szybę, gdzie przefiltrowane

czarne chmury oblegały Matką Parlamentów. Minęła chwila. - Powiem im to, Andrew - szepnął. - Wszystko sprowadza się do Kanału. To będzie nasz slogan, gdy będziemy negocjować z ludźmi różnych orientacji politycznych.

Ale myśli Osnarda krążyły wokół bardziej przyziemnych spraw.

- Trzeba się będzie nieźle nagłowić nad wynagrodzeniem dla niego, prawda, sir?

- Dlaczego? Nonsens. Zasady są po to, żeby je łamać. Nie uczyli cię tego? Oczywiście, że nie. Szkoleniowcy to ludzie przeszłości. Widzę, że chcesz coś zaproponować. Wal śmiało.

- No cóż...

- Tak, Andrew?

- Muszę poznać jego sytuację finansową w Panamie. Jeśli zarabia furę szmalu...

- Tak?

- My też będziemy musieli zaproponować mu furę? Facet zgarniający ćwierć miliona rocznie nie skusi się na dwadzieścia pięć tysięcy. Jeśli wyrażam się jasno.

- No więc? - spytał Luxmore zachęcająco.

- Zastanawiałem się, sir, czy któryś z pańskich przyjaciół w City nie mógłby skontaktować się z bankiem Pendela pod jakimkolwiek pretekstem i sprawdzić, jak to wygląda.

Luxmore już się połączył, drugą rękę przesuwając po szwie spodni.

- Miriam, moja droga. Znajdź Geoffa Cavendisha. Jeśli ci się nie uda, to Tuga. Aha, to pilne.

Minęły kolejne cztery dni, zanim Osnarda ponownie wezwano przed oblicze szefa. Wyciągi bankowe Pendela leżały w nieładzie na biurku Luxmore'a dzięki uprzejmości Ramona Rudda. Sam Luxmore, stojąc nieruchomo jak posąg, delektował się historyczną chwilą.

- Przywłaszczył sobie pieniądze żony, Andrew. Co do grosza. Nie mógł się oprzeć. Tak już z nimi bywa. Mamy go.

Począł, aż Osnard przeczyta dane.

- Więc regularna pensja odpada - powiedział Osnard, którego znajomość spraw finansowych była dużo głębsza niż jego przełożonego.

- Czemu?

- Bo trafi do kieszeni kierownika banku. Musimy od razu odpalić mu coś większego.

- Ile?

Osnard zaplanował już pewną sumę. Podwoił ją. Jeśli myślimy o dalszym ciągu, ważny jest dobry początek.

- Mój Boże, Andrew. Aż tyle?

- Może jeszcze więcej, sir - rzekł posępnie Osnard. - Siedzi po uszy w długach. Wzrok Luxmore'a w poszukiwaniu pociechy powędrował ku sylwetkom budynków City.

- Mówiłem już, że o wielkiej wizji decydują pewne czynniki.

- Tak, sir.

- Jednym z nich jest skala. Nie przysyłaj mi śmieci. Żadnych ochłapów Nie chcę słyszeć: „Proszę, Scottie, weź ten worek kości i zobacz, co analitycy z tego wykombinują”. Rozumiesz?

- Nie bardzo, sir.

- Tutejsi analitycy to idioci. Nie potrafią kojarzyć. Nie dostrzegają niczego na horyzoncie. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Rozumiesz? Wielki wywiadowca łapie historię w locie. Nie możemy oczekiwać, że jakiś urzędnik, który pracuje od dzwonka do dzwonka na trzecim

piętrze i martwi się spłatą kredytu, będzie łapał historię w locie. Prawda? Do tego potrzeba człowieka z wizją Prawda?

- Zrobię, co będę mógł, sir.
- Nie rozczaruj mnie.
- Postaram się, sir.

Ale gdyby Luxmore odwrócił się, ku swemu zaskoczeniu odkryłby, że na twarzy Osnarda nie widać pokory, jaka brzmiała w jego głosie. Młodą twarz rozświetlał triumfalny uśmiech, a oczy błyski chciwości. Po zapakowaniu bagaży, sprzedaniu samochodu, złożeniu przysięgi wierności kilka dziewczynom i innych żmudnych czynnościach związanych z wyjazdem Andrew Osnard zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego jak na młodego Anglika który ma pełnić służbę Jej Królewskiej Mości na obcej ziemi. Za pośrednictwem dalekiego kuzyna z Jamajki otworzył konto w banku na Kajmanach, upewniwszy się najpierw, że rzeczony bank ma oddział w Panama City

Osnard zapłacił kierowcy rozklekotanego pontiaca i wtopił się w noc. Niepokojąca cisza i słabe oświetlenie przypomniały mu okres szkolenia, pocił się, jak zwykle w tym piekielnym klimacie. Majtki uwierały w kroczu. Koszula jak mokra ścierka. Nie cierpiał tego. Samochody bez świateł mijały go na mokrym podjeździe. Wysokie strzyżone żywopłoty zapewniały dodatkowo dyskrecję. Przystało padać. Z torbą w ręku przeszedł przez asfaltowe podwórze. Plastikowy posąg dwumetrowej Wenus, podświetlony od dołu z okolic waginy, roztałcał upiorny blask. Potknął się o donicę z kwiatami, zaklął, tym razem po hiszpańsku. Dotarł do rzędu garażowych budynków z plastikowymi tasiemkami wiszącymi w drzwiach. Słabe jarzeniówki oświetlały każdy numer. Przy numerze ósmym rozsunął tasiemki, wymacał ręką czerwony przycisk na przeciwległej ścianie i nacisnął: bezpłciowy „głos z zaświatów” podziękował mu za wizytę.

- Nazywam się Colombo. Robiłem rezerwację.
- Życzy pan sobie apartament specjalny, *senor* Colombo?
- Życzę sobie ten, który zarezerwowałem. Na trzy godziny. Ile?

A może chce pan zamienić go na apartament specjalny, *senor* Colombo? Dziki Zachód? Arabskie noce? Tahiti? Za pięćdziesiąt dolarów więcej?

- Nie.
- Płaci pan sto pięć dolarów. Życzę miłego pobytu.
- Proszę wystawić mi rachunek na trzysta - powiedział Osnard.

Rozległ się brzęczyk i przy jego łokciu otworzyła się oświetlona skrzynka na listy. Wsunął sto dwadzieścia dolarów do czerwonego otworu. Chwila oczekiwania - banknoty sprawdzane w testerze, skwapliwie odnotowana nadwyżka i przygotowanie zawyżonego rachunku.

- Polecamy się na przyszłość, *senor* Colombo.

Oślepił go słupek białego światła, pod nogami pojawił się szkarłatny dywanik, elektroniczne drzwi w stylu Tudorów uchylły się. Opary środka dezynfekującego buchnęły ze środka jak żar z pieca. Niewidzialny zespół zaczął grać *O sole mio*. Złany potem, rozejrzał się za klimatyzatorami i w tym momencie usłyszał, jak zaczynają działać. Różowe lustra na ścianach i suficie. Tabun Osnardów obrzucających się groźnymi spojrzeniami. Obity lustrem zagłówek łóżka, szkarłatna kapa zalana mdłym światłem. Kosmetyczka z darmowym grzebieniem, szczoteczką do zębów, trzema prezerwatywami i dwiema tabliczkami amerykańskiej mlecznej czekolady. Na ekranie telewizyjnym dwie matrony i czterdziestopięcioletni Latynos z owłosionym tyłkiem figlują nago w czyimś salonie. Osnard poszukał wtyczki, żeby ich wyłączyć, ale kabel niknął w ścianie.

Typowe.

Usiadł na łóżku, otworzył sfatygowaną torbę i wyłożył na kapę swoje skarby. Plik świeżych kalek w opakowaniu papieru maszynowego miejscowej produkcji. Sześć rolek mikrofilmu ukrytych w sprayu na muchy. Czemu przedmioty maskujące z Centrali wyglądają, jakby kupiono je na ruskim bazarze? Jeden submimaturowy magnetofon, niezamaskowany.

Jedna butelka szkockiej do użytku informatorów i ich przełożonych. Siedem tysięcy dolców w dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Żal się z nimi rozstawać, ale trzeba je traktować jako inwestycję.

Z kieszeni wyciągnął czterostronicowy telegram Luxmore'a i rozłoży kartki jedna obok drugiej, żeby łatwiej było czytać. Potem usiadł ze zmarszczonymi brwiami i otwartymi ustami, wybierając, zapamiętując i odrzucając różne fragmenty jak aktor analizujący rolę: powiem to, ale inaczej, tego w ogóle nie powiem, to zrobię, ale po mojemu, a nie tak, jak on chce. Usłyszał warkot samochodu zatrzymującego się przy garażu numer osiem Wstał włożył! cztery strony telegramu do kieszeni i stanął na środku pokoju. Nasłuchiwał: trzask blaszanych drzwi, terenówka. Zbliżające się kroki, chodzi jak cholerny kelner. Próbował wyłowić dźwięki, które brzmiały obco. Może Harry zdradził? Może sprowadził bandę zbirów, którzy go aresztują? Na pewno nie, ale zdaniem szkoleniowców należało rozpatrywać wszystkie opcje, co też robił. Pukanie do drzwi: trzy razy szybko i po chwili jeszcze raz. Osnard przesunął zasuwę i otworzył drzwi, ale nie na oścież. Pendel stał, ściskając w rękę elegancką torbę podróżną.

- Boże, co to za miejsce, Andy? Przypomina cyrk Bertram Mills, gdzie zabierał mnie wujek Benny.

- Na litość boską! - syknął Osnard, wciągając go do pokoju. - Ta cholerna torba jest cała w znakach firmowych P & B.

W pokoju nie było krzeseł, więc usiedli na łóżku. Pendel miał na sobie panabnisę. Tydzień wcześniej oświadczył Osnardowi, że panabnisy to jego koniec: przewiewne, eleganckie i wygodne, i kosztują pięćdziesiąt dolarów nie wiem, po co się staram. Osnard przystąpił do czynności rutynowych. Nie było to przypadkowe spotkanie krawca z klientem, tylko odprawa przeprowadzona zgodnie z wytycznymi zawartymi w klasycznych podręcznikach sztuki szpiegowskiej.

- Przeszkadza ci, że spotykamy się właśnie tutaj?

- Dziękuję, wszystko jest na medal. A dla ciebie?

- Masz jakieś materiały, które powinny znaleźć się u mnie?

Pendel wydobył z kieszeni panabrisy ozdobną zapalniczkę, potem sięgnął po monetę, odkręcił dolną część zapalniczki i wytrząsnął mały czarny cylinder, który podał Osnardowi przez łóżko.

- Jest tylko dwanaście zdjęć, ale pomyślałem, że powinieneś je już dostać. Za moich czasów oddawało się film do wywołania dopiero wtedy, kiedy się skończył.

- Ktoś cię śledził, rozpoznał? Jakiś motocykl? Samochód? Może widziałeś kogoś, kto ci się nie podobał?

Pendel pokręcił głową.

- Co zrobimy, jeśli ktoś nam przeszkodzi?

- Ty będziesz się tłumaczył, Andy, Ja się zmywam przy najbliższej okazji i ostrzegam moich informatorów, żeby się nie wychylali albo wyjechali na urlop za granicę, a ty czekasz, aż się z tobą skontaktuję po wznowieniu normalnych działań.

- W jaki sposób?

- Procedura awaryjna. Z budek telefonicznych o uzgodnionych porach Osnard kazał Pendelowi wyrecytować uzgodnione pory.

- A jeśli ten sposób zawiedzie?

- Zawsze pozostaje zakład. Mamy zaległą przymiarkę tweedowej marynarki, co daje nam znakomity pretekst do spotkania. Jest piękna - dodał. - Widzę to od razu po skrojeniu.

- Ile listów wysłałeś do mnie od naszego ostatniego spotkania?

- Tylko trzy. Miałem mało czasu. Nie uwierzysz, ile mam zamówień. Nowy klub zaczął robić swoje.

- Co to było?

- Dwie faktury i jedno zaproszenie na pokaz nowości w sklepie. Wszystko dało się odczytać? Czasami się tym martwię.

- Za słabo przyciskasz. Litery gubią się w druku. Używasz długopisu czy ołówek?

- Ołówek, tak jak kazałeś.

Osnard wsunął dłoń do teczki i wyłowił zwykły drewniany ołówek.

- Następnym razem spróbuj tym. 2H. Twardszy.

Na ekranie dwie kobiety zignorowały mężczyznę i pocieszały się wzajemnie.

Materiały. Osnard wręczył Pendelowi spray na muchy z zapasowymi rolkami filmu. Krawiec potrząsnął nim, nacisnął atomizer i uśmiechnął się, kiedy zadziałał. Pendel był zaniepokojony słabą jakością kalek. Zestarzały się czy co, Andy? Osnard wręczył mu nową partią i kazał pozbyć się resztek starej.

Siatka. Osnard chciał usłyszeć o postępach każdego współpracownika i zapisywał wszystko w notesie. Źródło Sabiną alter ego Marty i jej twór, studentka nauk politycznych związana z grupą maoistów z El Chonllo, prosiła o zakup nowej prasy drukarskiej i wymianę starej, zużytej. Szacunkowy koszt pięć tysięcy dolarów, a może Andy wie, jak naprawić starą?

- Niech sama kupi - zarządził Osnard, zapisując „prasa drukarska” i „dziesięć tysięcy dolarów”. - Cały czas stoimy z boku. Nadal chce sprzedać informacje jankesom?

- Tak, Sebastian musi ją od tego odwieść.

Sebastian, kolejny twór Marty, był kochankiem Sabiny, zgorzkniałym prawnikiem, weteranem kampanii przeciw Nonedze. Dzięki swej ubogiej klienteli miał dostęp do informacji o takich osobliwościach jak podziemne życie muzułmańskiej społeczności arabskiej w Panamie.

- A co z Alfą i Betą? - zapytał Osnard.

Źródło Beta wymyślił Pendel: członek komisji parlamentarnej do spraw Kanału, który na pół etatu reklamuje usługi bankowe. Ciotka Bety, Alfa, była sekretarką w panamskiej Izbie Handlu. W Panamie każdy ma ciotkę, która pracuje w jakiejś atrakcyjnej instytucji.

- Beta pojechał podlizywać się mieszkańcom swojego okręgu wyborczego i dlatego milczy. Ale na czwartek zaplanował spotkanie w Izbie Handlu i Przemysłu, a w piątek je kolację z wiceprezydentem, więc coś się będzie działo. Czy w Londynie spodobały się jego ostatnie doniesienia? Czasem mu się wydaje, że jest niedoceniany.

- Mniej więcej.

- Ale Beta zastanawia się, czy me należy mu się premia.

Osnard widać też się nad tym zastanawiał, gdyż zrobił notatkę, napisał liczbę i wziął ją w kółeczko.

- Dam ci znać następnym razem - powiedział. - A co z Marco?

- Z Markiem idzie świetnie. Spędziliśmy wieczór na mieście, poznałem jego żonę, razem wyprowadziliśmy psa i byliśmy w kinie.

- Kiedy zamierzasz go zapytać?
- W przyszłym tygodniu, jeśli będę w nastroju.
- Bądź w nastroju. Na początek pensja pięćset tygodniowo, po trzech miesiącach może się zmienić, płatna z góry. Premia pięć tysięcy gotówką, jeśli złożysz podpis.
- Dla Marca?
- Dla ciebie, tępaku - powiedział Osnard, podając mu szklankę szkockiej we wszystkich lustrach jednocześnie.

Osnard zachowywał się jak przełożony, który ma coś nieprzyjemnego do zakomunikowania pracownikowi. Na gumowych rysach osiadł grymas niezadowolenia, patrzył z odrazą na akrobatów figlujących na telewizyjnym ekranie.

- Jesteś dzisiaj bardzo wesoły - zaczął oskarżycielskim tonem.
- Dziękuję, to zasługa twoja i Londynu.
- Cieszysz się, że dostałeś pożyczkę, tak?
- Dziękuję Stwórcy za każdy dzień i myśl, że spłacam długi, dodaje mi skrzydeł. Co się stało?

Osnard przyjął ton belfra, choć do tej pory tylko go słyszał, zazwyczaj przed chłostą.

- Tak. I to niemało.
- O Boże.
- Obawiam się, że Londyn nie jest zadowolony z ciebie tak bardzo, jak ty z siebie. Doszli do wniosku, że superagent Harry Pendel jest przepłacanym, nielojalnym, nieuczciwym, dwulicowym oszustem.

Uśmiech Pendela przeszedł powolną, acz pełną metamorfozę, Harry zgarbił się, ręce, dotychczas wsparte o łóżko, spoczęły posłusznie na kolanach, demonstrując przed funkcjonariuszem, że nie ma żadnych złych zamiarów.

- Dlaczego, Andy? Może to było ogólne stwierdzenie?
- Ponadto ten cholerny Mickie Abraxas wcale im się nie podoba. Pendel gwałtownie uniósł głowę.
- Co takiego zrobił Mickie? - zapytał z nieoczekiwaną zajadłością. Ściśle mówiąc, nieoczekiwaną dla niego samego. - Mickie nie ma z tym nic wspólnego.

- Z czym?
- Mickie nic nie zrobił.
- Właśnie o to chodzi. Minęło dużo czasu. Nie zrobił nic poza skwapliwym zainkasowaniem dziesięciu tysięcy zielonych w gotówce, które wypłacono mu z góry w dobrej wierze. A co ty zrobiłeś? Też nic. Przypatrywałeś się Mickiemu, który interesował się wyłącznie własnym pępkiem. - Głos Osnarda nabrał sarkazmu. - A ja co zrobiłem? Ofiarowałem ci okrągłą sumkę za produktywność... wolne żarty... mówiąc prosto, zwerbowaleś bezproduktywne źródło w postaci niejakiego M. Abraxasa, pogromcy tyranów i przywódcy zwykłych Judzi. Londyn ma z tego niezły ubaw. Zastanawiają się, czy agent w terenie... czyli ja... nie jest przypadkiem zbyt zielony i zbyt łatwowierny, żeby zadawać się z próżnymi, chciwymi rekinami, takimi jak M. Abraxas i ty.

Tyrada Osnarda mu padła na podatny grunt. Zamiast „rozprószyć się”, Pendel najwyraźniej się rozluźnił - jego obawy znikły, a problem był małym piwem w porównaniu z jego koszmarami. Zdjął ręce z kolan, założył nogę na nogę i oparł się o zagłówek.

- Ciekaw jestem, Andy, co według Londynu mamy z mm zrobić - zapytał z ubolewaniem.

Groźba w głosie Osnarda ustąpiła miejsca pełnemu godności oburzeniu.

- Wciąż biada nad honorowymi długami. A co z jego honorowymi zobowiązaniami wobec nas? Wodzi nas za nos... „dzisiaj nie powiem, powiem za miesiąc”... wprawia nas w najwyższe podniecenie opowieściami o spisku, który me istnieje, o grupie studentów, do których tylko on ma dostęp, o grupie rybaków, którzy rozmawiają tylko ze studentami, i tego typu banialukami. Za kogo się uważa na miłość boską? Za kogo nas ma? Za idiotów?

- On jest lojalny, Andy. Jego źródła są bardzo delikatne. Wszyscy muszą wyrazić zgodę.

- Pieprzę jego lojalność! Czekamy na tę jego drogocenną lojalność od trzech cholernych tygodni. Jeśli jest taki lojalny, me powinien me ci mówić o swoim ruchu. Ale powiedział. I masz go w garści. A w naszym fachu, jeśli ma się kogoś w garści, trzeba coś z tym zrobić. Nie trzyma się wszystkich w niepewności dlatego, że jakiś altruistyczny alkoholik potrzebuje trzech tygodni, żeby zdobyć zgodę przyjaciół na otwarcie ust.

- Więc co robimy, Andy? - zapytał spokojnie Pendel.

I gdyby Osnard miał odpowiednio wyczulone ucho i serce, mógłby zauważyć w głosie Pendela tę samą nutkę, która pojawiła się podczas lunchu kilka tygodni wcześniej, kiedy po raz pierwszy poruszył kwestię werbowania członków Cichej Opozycji Mickiego.

- Powiem ci dokładnie, co zrobimy - warknął, znów przeistaczając się w belfra. - Pójdiesz do tego cholernego Abraxasa i powiesz mu: „Mckie. Żałuję, że muszę ci to powiedzieć. Mój szalony milioner me będzie dłużej czekał. Jeśli me chcesz wrócić do panamskiego kicia i zostać oskarżony o spiskowanie z osobami, o których działalności nikt, kurwą me słyszał, musisz puścić farbę. Czekają na ciebie worek pieniędzy albo bardzo twarde łóżko w bardzo niewielkim pomieszczeniu”. Czy w tej butelce jest woda?

- Tak. Widzę, że chcesz się napić.

Pendel podał mu butelkę przeznaczoną przez kierownictwo przybytku do cucenia wykończonych gości. Osnard napił się, wytarł usta wierzchem dłoni, a szyjkę butelki grubym palcem wskazującym. Oddał butelkę Pendelowi. Ale Pendel nie chciał pić. Było mu niedobrze, a woda nie uśmierzyłaby mdłości.

Chodziło przecież o przyjaźń i współwięźnia Abraxasa, i sugestię Osnarda, by ją skalać. Ostatnią rzeczą na świecie, którą Pendel chciał zrobić w tym momencie, było napięcie się wody z butelki mokrej od śliny Osnarda.

- Kawalki, kawaleczki - narzekał Osnard, wciąż jakby pozjadał wszystkie rozumy. - I co z nich wynika? Bełkot. Obiecanki cacanki. Poczekajcie, a zobaczycie. Brakuje nam wizji, Harry. Jest tuż za rogiem. Londyn domaga się jej natychmiast. Nie mogą już czekać. My też nie. Rozumiesz mnie?

- Jak najbardziej, Andy. Jak najbardziej.

- Doskonale - rzekł Osnard niechętnym, na wpół pojednawczym tonem, który miał przywrócić ich dobre stosunki.

I po Abraxasie przeszedł do tematu jeszcze bliższego sercu Pendela, mianowicie do jego żony Louisy.

- Delgado pnie się w górę, co? - zaczął pogodnie. - Prasa stawia go na szczycie Komitetu Kontroli Kanału. Wyżej wspiąć się nie może, bo spadnie mu tupecik.

- Czytałem o tym - powiedział Pendel.

- Gdzie?
- Jak to gdzie? W gazetach.
- W gazetach?

Tym razem to Osnard się uśmiechał, a Pendel przyjął postawę obronną.

- Więc to nie Louisa ci o tym powiedziała?
- Dopiero wtedy, kiedy sprawa stała się znana.

Zostaw w spokoju mojego przyjaciela - mówiły oczy Pendela. Zostaw w spokoju moją żonę.

- Czemu? - zapytał Osnard.
- Jest dyskretna. Kieruje się poczuciem obowiązku. Mówiłem ci już.
- Wie o naszym dzisiejszym spotkaniu?
- Ależ skąd. Jeszcze nie zwariowałem.
- Ale wie, że coś się dzieje, prawda? Zauważyła zmianę w twoim stylu życia i w ogóle?

Nie jest ślepa.

- Rozszerzam działalność. Więcej nie musi wiedzieć.
- Istnieje wiele sposobów rozszerzania działalności. Nie wszystkie z nich są pożądane dla żon.

- Louisa nie zawraca sobie tym głowy.

- A ja odniosłem inne wrażenie, Harry. Wtedy, podczas naszej wspólnej wycieczki. Jakieś myśli nie dają jej spokoju. Nie robiła z tego problemu, to nie w jej stylu. Chciała tylko dowiedzieć się ode mnie, czy to normalne w twoim wieku.

- Co?

- Potrzeba spotkania się ze wszystkimi. Całą dobę. Ze wszystkimi, tylko nie z mą.

Bieganie po mieście.

- I co jej powiedziałaś?

- Powiedziałem, że poczekam do czterdziestki i wtedy jej powiem. To wspaniała kobieta

Harry.

- Więc daj jej spokój.

- Myślę, że byłaby szczęśliwsza, gdybyś mógł ją uspokoić.

- Nie widzę takiej potrzeby.

- Chciałbym tylko, żebyśmy mogli zbliżyć się do studni, to wszystko.

- Do jakiej studni?

- No, studni, źródła fontanny mądrości. Do Delgado. Louisa jest wielbicieleką Mickiego.

Podziwia go, sama mi mówiła I ubóstwia Delgado. Wścieka ją pomysł potajemnej sprzedaży Kanału. Jestem absolutnie pewien.

Oczy Pendela znowu stały się oczami więźnia - ciemne i zamknięte. Ale Osnard nie zauważył, że Harry schował się w skorupie, i dalej głośno spekulował na temat Louisy.

- Muszę ci powiedzieć, że to jeden z największych naturalnych talentów wszech czasów.

- Kto?

- „Nasz cel to Kanał - tokował Osnard. - Wszystko sprowadza się do Kanału”. Londyn me myśli o niczym innym, tylko o tym, w czyje ręce wpadnie i co z mm zrobią Whitehall robi w pasiaste gacie, żeby się dowiedzieć, z kim Delgado rozmawia w parku. - Zamkną] w zamyśleniu oczy. - To cudowna dziewczyną jedna z najlepszych. Solidna jak skałą świetnie

zorientowana, wierna do grobowej deski. Fantastyczny materiał.

- Na co?

Osnard pozwolił szkockiej spłynąć do żołądka.

- Przy odrobinie twojej pomocy i użyciu odpowiednich słów, jeśli jej to sprzedasz we właściwy sposób, nie będzie z nią żadnego problemu - ciągnął dalej. - Nie chodzi o działania bezpośrednio. Nie chcemy, żeby podłożyła bombę w Czaplim Pałacu, wskakiwała studentom do łóżka czy wypływała w morze z rybakami. Miałyby tylko słuchać i obserwować.

- Co obserwować?

- Nie wspominaj jej o swoim kumplu Andym. Tak jak w przypadku Abraxasa i innych. Nic jej o mnie nie mów. Najlepiej zagaić o małżeńskiej więzi. O szacunku i posłuszeństwie, jak w przysiędze. Louisa przekazuje informacje tobie. Ty przekazujesz je mnie. Ja przierzucam je do Londynu. Proste.

- Ona kocha Kanał. Nie zdradzi go.

- Nie będzie go zdradzała, idioto! Raczej go ocali, na litość boską! Jej się wydaje, że Delgado jest Bogiem, prawda?

- Ale ona jest jankeską. Szanuje Delgado, ale kocha też Amerykę.

- Jankesów także nie zdradzi, do licha! Przecież to da im pracę, zatrzyma ich wojska i bazy na miejscu. Czego jeszcze chce? Pomoże Delgado, ocalając Kanał przed oszustami, pomoże jankesom, informując nas o nieudolności Panamczyków. Im więcej partactw, tym więcej powodów do pozostawienia amerykańskich wojsk. Mówiłeś coś? Bo nie dosłyszałem.

Pendel rzeczywiście przemówił, ale jego głos był tak zduszony, że ledwie go było słychać. Wyprostował się i powtórzył.

- Pytałem cię, Andy, jaka jest według ciebie wartość Louisy na rynku. Osnard z radością przyjął to praktyczne pytanie. Zamierzał sam poruszyć tę kwestię nieco później.

- Dostanie tyle co ty, Harry. Co do grosza - powiedział raźnie. - I premie będą takie same. To jedna z moich zasad. Dziewczyny nie są gorsze od nas, często nawet lepsze. Nie dalej jak wczoraj przekonywałem o tym Londyn. Albo taka sama płaca, albo nie ma umowy. Możesz podwoić dochody. Jedną nogą w Cichej Opozycji, drugą w Kanale. Twoje zdrowie.

Na ekranie dwie kowbojki rozbierały kowboja w kanionie, a konie odwracały wzrok.

Pendel mówił jak we śnie, powoli i mechanicznie, bardziej do siebie niż do Osnarda.

- Nie robi tego.

- Dlaczego?

- Bo ma swoje zasady.

- Kupimy je.

- Zasady nie są na sprzedaż. Jest podobna do matki, im bardziej się ją zmusza, tym mocniej się opiera.

- Po co ją zmuszać? Może zechce spróbować z własnej woli?

- Nie żartuj.

Osnard przyjął patetyczny ton. Jedną rękę wyciągnął przed siebie, drugą przycisnął do piersi.

- „Jestem bojownikiem, Louiso! Ty też możesz nim być! Stań przy mnie! Dołącz do naszej krucjaty! Ocal Kanał! Ocal Delgado! Ujawnij korupcję!” Mam to zrobić za ciebie?

- Nie. To nie byłoby rozsądne.

- Dlaczego?

- Prawdy mówiąc, Louisa nie lubi Anglików. Wytrzymuje ze mną, bo jestem dobrze wychowany. Ale jeśli chodzi o angielskie klasy wyższe, podziela opinią swego ojca, że to banda dwulicowych drani bez skrupułów.

- Myślałem, że do mnie się przekonała.

- I nie będzie donosić na swojego szefa. Przenigdy.

- Nawet za określoną sumką? Ciekawe. Ale głos Pendela wciąż był mechaniczny.

- Pieniądze nie robią na mej wrażenia. Uważa że mamy tyle, ile trzeba a poza tym sądzi, że pieniądze są czymś złym i w ogóle należy je zlikwidować.

- To będziemy płacić jej ukochanemu mężusiowi. Gotówką, Bez odpisywania od pożyczki. Ty zajmiesz się finansami, a ona dobroczywnością. Nie musi o niczym wiedzieć.

Pendel nie skomentował sielankowego portretu małżeństwa szpiegów. Z kamienną twarzą wpatrywał się w ścianą, przygotowany na długą odsiadkę.

Na ekranie kowboj leżał na wznak na kocu. Kowbojki, które me zdjęły tylko kapeluszy i butów, stały z obu stron, jakby zastanawiały się, jak go zawinąć. Ale Osnard zbyt był zajęty szperaniem w torbie, żeby to zauważyć, a Pendel wciąż wpatrywał się w ścianę z ponurą miną.

- Jezu, byłbym zapomniał! - zawołał Osnard.

Wyciągnął po kolei paczki banknotów, aż obok sprayu na muchy, kalek i zapalniczki na łóżku znalazło się siedem tysięcy dolarów.

- To premie. Przepraszam za opóźnienie. W dziale bankowym pracują sami idioci. Pendel z trudem przeniósł wzrok na łóżko.

- Nie zasłużyłem na premię. Am ją ani nikt inny.

- Wręcz przeciwnie. Sabina za pracę wśród studentów. Alfa za prywatne układy Delgado z Japońcami. Marco za spotkania z prezydentem. Pendel pokręcił głową ze zdumieniem.

- Trzy gwiazdki dla Sabiny, trzy gwiazdki dla Alty, jedna dla Marca razem siedem tysięcy - me ustępował Osnard, - Przelicz.

- Nie trzeba.

Osnard podsunął mu kwit i długopis.

- Dziesięć tysięcy. Siedem i trzy jak zwykle na fundusz dla wdów i sierot. Pendel podpisał machinalnie, ale zostawił pieniądze na łóżku. Nie chciał ich dotykać - wolał patrzeć na nie. Osnard, którego zaślepiła chciwość, dalej mówił o zwerbowaniu Louisy, a Pendel wycofał się w swoje rozmyślenia.

- Louisa lubi owoce morza, prawda?

- Jaki to ma związek z tym wszystkim?

- Masz chyba ulubioną restauracją gdzie ją zabierasz na wielkie żarcie?

- La Casa del Mansco. Krewetki w białym sosie i halibut. Zawsze za mawia to samo.

- Stoły są ustawione daleko od siebie? Pełna dyskrecja?

- Tam obchodzimy rocznice i urodziny.

- Macie swój ulubiony stolik?

- W rogu przy oknie.

Osnard wczuł się w rolę czulego męża uniósł brwi, przechylił uwodzicielsko głowę.

- „Muszę ci coś powiedzieć, kochanie. Pomyślałem, że najwyższy czas, byś się o tym

dowiedziała. Chodzi o obowiązek publiczny. Przekazywanie prawdy tym, którzy mogą coś zrobić”. Dobrze?

- Może. W Brighton.

- „Żeby twój drogi ojciec me przewracał się w grobie. I twoja matka. Chodzi o twoje ideały i ideały Mickiego. I moje, choć dla bezpieczeństwa musiałem je ukrywać”.

- A co jej powiem o dzieciach?

- Że to dla ich przyszłości.

- Czeka je wspaniała przyszłość: oboje rodzice w pudle. Widziałeś może ręce wyciągnięte przez więzienne okna? Kiedyś je policzyłem. Jak samemu się siedzi, robi się takie *rzeczy*. Dwanaście par na jedno okno, me licząc pralni, a na każdą celę przypada okno.

Osnard westchnął, jakby to, co teraz powie, miało zranić bardziej jego niż Pendela.

- Zmuszasz mnie, żebym grał ostro, Harry.

- Nie zmuszam cię.. Nikt cię nie zmusza.

- Nie chcę ci tego robić.

- To me rób.

- Próbowałem po dobroci, nie wyszło, więc rąbię prawdę prosto z mostu.

- O me, ty nigdy nie mówisz prawdy.

- Oboje jesteście właścicielami farmy, ty i Louisa. Siedzicie w tym samym gównie. Jeśli chcecie odzyskać i zakład, i farmę, Londyn musi otrzymać solidny wkład od was obojga W przeciwnym razie odetnę dopływ pieniędzy, co was zrukuje. Przepadnie zakład, farmą pole golfowe, terenówką dzieci, pełna katastrofa.

Upłynął pewien czas, zanim Pendel uniósł głowę, jakby wyrok długo do mego docierał.

- Czy ty mnie szantażujesz, Andy?

- To prawa rynku, staruszku.

Pendel powoli podniósł się z łóżka Stał nieruchomo ze złączonymi stopami i spuszczoną głową wpatrując się w banknoty na łóżku. Potem włożył je do koperty, a kopertę do torby, razem z kalkami i sprayem na muchy.

- Potrzebuję kilku dni. - Mówił do podłogi. - Muszę z mą porozmawiać.

- Wszystko w twoich rękach, Harry.

Z opuszczoną głową Pendel podszedł do drzwi.

- Do widzenia Harry. Do następnego razu w nowym miejscu? Idź już. Powodzenia. Pendel odwrócił się. Jego twarz me wyrażała niczego prócz biernej zgody na karę.

- Powodzenia Andy. Dziękuję za premię, whisky i propozycją co do Mckiego i mojej żony.

- Proszę bardzo.

- I nie zapomnij przyjść do przymiarki. Ta nowa tweedowa marynarka jest solidną ale gustowna. Czas zrobić z ciebie nowego człowieka.

Godzinę później, zamknięty w klatce na końcu skarbca, Osnard mówił; do olbrzymiej słuchawki tajnego telefonu i wyobrażał sobie, jak jego słowa ulegają cyfrowej przeróbce i wpadają do włochatego ucha Luxmore'a.; W Londynie Luxmore wcześniej rano zasiadł przy biurku, żeby odebrać telefon Osnarda.

- Pokazałem mu marchewkę, a potem pomachałem kijem, sir - relacjonował Osnard różnym głosem zarezerwowanym dla swego pana - Dość energicznie, powiedziałbym. Ale wciąż się waha. Nie wiem, czy to robi, ale może zrobić. Nie zdeklarował się.

- Niech go szlag!
- Tak samo się czułem.
- Wyciąga łapę po więcej pieniędzy, co?
- Na to wygląda.
- Nie należy mieć pretensji do śmiecia że jest śmieciem, Andrew.
- Twierdzi, że potrzebuje czasu, by ją przekabacić.
- Spryciarz. Raczej nas chce przekabacić. Jaka jest jej cena? Wal otwarcie. Mój Boże, trzeba go teraz będzie trzymać mocno w ryzach!

- Nie wymienił sumy, sir.
- Pewnie, że me. To negocjator. Ma nas w garści i wie o tym. A ty jak to szacujesz? Znasz gościa. Ile weźmie w najgorszym przypadku?

Osnard pozwolił sobie na chwilę milczenia, dając do zrozumienia że rozważa sprawę.

- Jest twardy.
- Wiem, że jest twardy! Wszyscy oni są twardzi! Ty o tym wiesz, Ostatnie Piętro wie, Geoffwie, niektórzy moi przyjaciele, prywatni inwestorzy, też wiedzą że jest twardy. Z czasem będzie twardniał jeszcze bardziej. Boże, żeby tylko się nie przejechać! Na Falklandach mieliśmy gościa który wyłudził od nas fortunę, a dostaliśmy figę z makiem.

- Stawka musi zależeć od wyników.
- Dalej.
- Większa zaliczka skłoni go do zaniechania wysiłków.
- Zgadzam się. Będzie się z nas śmiał. Tacy już są. Oskubią a potem się z nas śmieją.
- Z drugiej strony większe premie mobilizują go. Dzisiaj też poskutkowało.
- Prawda?
- Szkoda, że pan nie widział, jak wpychał forszę do torby.
- O Boże.
- Jednak powiedział nam o Alfie i Becie, i studentach, uzyskał półświadomą współpracę Niedźwiedzia, do pewnego stopnia wciągnął Abraxasa i zwerbował Marca.

- A my za wszystko zapłaciliśmy. Słono. I co z tego mamy? Obietnice. Ochłapy. „Czekajcie na Wielki Dzień”. Robi mi się niedobrze, Andrew. Naprawdę.

- Dostyc dobitnie uświadomiłem mu ten problem, jeśli mogą się tak wyrazić, sir. Głos Luxmore'a zmiękł.

- Wiem o tym, Andrew. Jeśli sugerowałem coś innego, przepraszam. Mów dalej. Proszę.
- W mojej osobistej ocenie... - podjął na nowo z wielką nieśmiałością.
- Tylko ona się liczy, Andrew!
- ...powinniśmy skupić się na systemie premii. Płacimy za konkretne efekty. Według niego ta sama zasada powinna obowiązywać w sprawie jego żony.

- Tak ci powiedział? Sprzedał ci żonę?
- Jeszcze nie, wystawił ją na sprzedaż.
- W ciągu dwudziestu lat służby, Andrew, a nawet w całej historii naszego wywiadu żaden mąż nigdy nie sprzedał nam swojej żony.

O pieniądzech Osnard mówił szczególnym tonem, niższym, bardziej płynnym.

- Proponuję, byśmy wypłacali mu premię za każde zwerbowane źródło, także za żonę. Wysokość premii będzie proporcjonalna do wysokości pensji źródła. Jednolita stawka. Jeśli

ona uzyska premię, on dostanie swoją część.

- Dodatkowo?

- Oczywiście. Trzeba też omówić kwestię, ile Sabina powinna zapłacić studentom.

- Nie rozpuszczaj ich, Andrew! A co z Abraxasem?

- Jeśli Abraxas wyjawy nam szczegóły spisku, Pendel otrzyma prowizję w wysokości dwudziestu pięciu procent tego, co dostanie Abraxas i jego grupa w formie premii.

Teraz Luxmore pozwolił sobie na milczenie.

- Czy dobrze usłyszałem? Jeśli? Co to ma właściwie znaczyć, Andrew?

- Przykro mi, sir. Po prostu me mogę pozbyć się wrażenia że Abraxas wodzi nas za nos. Albo Pendel. Proszę mi wybaczyć. Jest już późno.

- Słuchaj, Andrew. Spisek istnieje. Nie trać ducha tylko dlatego, że jesteś zmęczony. Oczywiście, że istnieje. Wierzmy w to obaj i wierzy w to jeden z największych potentatów prasowych świata. Głęboko. Komentatorzy z Fleet Street też w to wierzą albo wkrótce uwierzą. Spisek zawiązały panamskie elity, żeby podzielić Strefę Kanału, i wkrótce go wykryjemy! Andrew? - Nagłe przerażenie.

- Tak, sir?

- Mów mi Scottie. Darujmy sobie to „sir”. Wszystko w porządku, Andrew? Tak mi przykro, że nigdy me pytam cię o twoje samopoczucie. Mam pewne wpływy na górnych piętrach, a nawet po drugiej stronie rzeki. To smutne, kiedy pilny i lojalny chłopak me prosi o nic dla siebie w tych materialistycznych czasach.

Osnard roześmiał się wstydliwie, tak jak śmieją się pilni i lojalni chłopcy.

- Przydałoby mi się nieco snu, jeśli ma pan trochę na zbyciu.

- Idź spać, Andrew. Natychmiast. Śpij, jak długo zechcesz. To rozkaz. Potrzebujemy cię.

- Tak jest. Dobranoc.

- Dzień dobry, Andrew. Mówię serio. Kiedy się obudzisz, znowu usłyszysz ten spisek głośno i wyraźnie, będzie rozbrzmiewał ci w uszach jak myśliwski róg, a ty wyskoczysz z łóżka i ruszysz na polowanie, na pewno. Byłem tam. Słyszałem. Poszliśmy przez to na wojnę.

Dobranoc, sir.

Ale dzień mistrza wywiadu nie dobiegł jeszcze końca. Daleko było do tego. „Zapisuj informacje, póki są świeżo w pamięci”, wbijali mu do głowy szkoleniowcy aż do znudzenia. Wrócił do skarbcza otworzył dziwną metalową skrzynkę, do której szyfr znał tylko on, i wyjął czerwoną, ręcznie oprawną księgę, podobną pod względem wagi i wyglądu do dziennika pokładowego i otoczoną czymś w rodzaju żelaznego pasa cnoty spiętego kłódką. Po powrocie do gabinetu położył księgę na biurku pod lampką obok butelki szkockiej, notatek i magnetofonu.

Czerwona księga była niezastąpioną pomocą przy twórczym pisaniu raportów. Na jej bardzo tajnych stronicach spisano dla wygody osób trudniących się zbieraniem informacji obszary niewiedzy Centrali, zwane inaczej czarnymi dziurami analityków. Czego analitycy nie wiedzieli, to podpowiadała Osnardowi prosta logika, tego me mogli sprawdzić. A czego nie mogli sprawdzić, me mogli odrzucić. Osnard zauważył, że - podobnie jak inni początkujący pisarze - jest niezwykle wrażliwy na krytykę. Przez dwie godziny modelował, polerował, stroił i przepisywał, aż najnowsze materiały wywiadowcze BUCHANA pasowały jak ulał do czarnych dziur analityków. Lapidarny ton, wiecznie czujny sceptycyzm, cień wątpliwości tu i

tam dodawał im autentyczności. W końcu zadowolony ze swego dzieła wezwał do ambasady Shepherd i kierując się zasadą, że depesze wysyłane o nieprzyzwoitych porach robią większe wrażenie niż ich dzienne koleżanki, wręczył mu ściśle tajny kodowany telegram BUCHAN do natychmiastowego wysłania.

- Chciałbym ci to przeczytać, Shep - powiedział konfidenicznym tonem, widząc, jak Shepherd przygląda się tęsknym wzrokiem niezrozumiałym grupom liczb.

- Ja też, Andy, ale jeśli to tajne, me ma rady, to prawda?

- Chyba tak - przyznał Osnard.

Wyślemy starego Shepa powiedział Szef. Młody Osnard będzie miał przyzwoitkę.

Osnard me jechał do siebie. Był zdecydowany, ale cel leżał gdzieś przed nim, nieokreślony. Gruby plik banknotów drażnił lewy sutek. Na co dzisiaj mamy ochotę? Ostre światłą kolorowe fotografie nagich ciemnoskórych dziewczyn w oświetlonych ramkach, wielojęzyczne napisy: SEKS NA ŻYWO. Fajne, ale dzisiaj nie mam nastroju. Jechał dalej. Sutenerzy, handlarze narkotykami, gliny, chłopcy do wzięcia wszyscy chcą zarobić. Umundurowani szeregowcy w trójkach. Minął Costa Brava Club, gdzie specjalnością były młode chińskie prostytutki. Dziękuję, kochane, wolę starsze i bardziej wdzięczne. Prowadziły go zmysły. Lubił to. Odzywał się w mm Adam. Posmakuj wszystkiego, to jedyny sposób. Skąd wiesz, czy czegoś chcesz, jeśli tego me spróbowałeś? Wrócił myślami do Luxmore'a. „Największy potentat prasowy świata w to wierzy”... Pewnie Ben Harry. Luxmore parę razy mówił o nim w Londynie. Bawił się jego imieniem. Nasz Beneficjent, ha ha. Błogosławieństwo pewnego patriotycznego magnata prasowego. „Nie słyszałeś tego, młody człowieku. Nazwisko Hatry'ego nigdy me przejdzie mi przez usta”. Cmoknięcie. Bałwan.

Osnard zjechał na drugą stronę ulicy i zaparkował na chodniku. Jestem, dyplomata więc pieprzą was wszystkich. Casino and Club. Przeczytał napis na drzwiach: BROŃ RĘCZNĄ NALEŻY ODDAĆ DO SPRAWDZENIA. Wejścia strzegło dwóch ponad dwumetrowych ochroniarzy w pelerynach i czapkach z daszkiem. Dziewczęta w minispódniczkach i siatkowych rajstopach wyginały się przed czerwonymi schodami. To coś w moim guście.

Szósta rano.

- Do licha Andy, przestraszyłeś mnie - zdenerwowała się Frań, kiedy wsunął się do łóżka.
- Co się z tobą działo?

- Wykończyła mnie - powiedział.

Ale jego ożywienie dało się już zauważyć.

Gniew, który owładnął Pendelem po wyjściu z przybytku rozkoszy, nie opuszczał go, kiedy wsiadał do terenówki, jechał przez czerwoną mgłę leżał z walącym sercem po swojej stronie łóżka w osiedlu Bethama i kiedy obudził się nazajutrz rano, i w ciągu kolejnych dni. „Potrzebuję paru dni wybąkał podczas spotkania z Osnardem. Ale liczył nie dni, tylko lata. Liczył każdą błędną decyzję podjętą przez grzeczność. Każdą zniewagę przełkniętą w imię wyższego dobra, kiedy wołał się „rozprószyć”, niż wywołać coś, co Benny nazywał *gewalt*. Każdy krzyk, który uwiązł mu w gardle, zanim zdążył wydostać się na wolność. Całe życie hamowanej wściekłości czeredy postaci, które z braku dokładniejszej definicji działały pod nazwiskiem Harry’ego Pendela.

Gniew obudził go jak sygnał trąbki, cucąc i ganiać go potężnym dźwiękiem. Gniew ściągał inne uczucia. Miłość, strach, oburzenie i zemsta staw pierwszej linii. Gniew zmiotł rachityczny mur, który oddzielał przezystość od fikcji w duszy Pendela. Zawołał: „dosyc tego!” i „do ataku!”. Nie tolerował dezertów. Ale co atakować? I czym?

„Chcemy kupić twojego przyjaciela - mówi Osnard. - A jeśli nam się nie uda, wpakujemy go z powrotem do więzienia. Byłeś w więzieniu, Pendel?

Tak. Mickie też. Wdziałem go tam. Wycisnęło z niego niemal wszystkie siły.

„Chcemy kupić twoją żonę - mówi Osnard. - A jeśli nam się nie uda, wyrzucimy ją na ulicę, a z nią wasze dzieci. Żyłeś kiedyś na ulicy, Pendel?”

Stamtąd pochodzę.

Te groźby nie były mrzonką tylko pistoletem przyciśniętym mu do skroni przez Osnarda. No dobrze, Pendel kłamał, jeśli to odpowiednie słowo. Mówił Osnardowi to, co chciał usłyszeć, i stawał na głowie, żeby wszystko wymyślić. Niektórzy kłamią bo sprawia im to przyjemność, bo czują się odważniejsi lub mądrzejsi od pokornych konformistów, którzy mówią prawdę. Ale nie Pendel. Pendel kłamał przez uległość. Chciał za każdym razem mówić właściwe *rzeczy*, nawet jeśli nie były prawdą. Chciał zaspokoić czyjeś wymagania i pójść do domu.

Ale wymagania Osnarda nie pozwalały mu odejść.

Więc Pendel wykonał stały repertuar. Zaprawiony w samooskarżeniach, rwał włosy z głowy i wzywał Boga na świadka swojej skruchy. Jestem zrujnowany! To kara boska! Jestem znowu więźniem! Nieważne - za kratkami czy nie! Sam sobie wszystko zwał na głowę! Ale gniew nie odchodził. Pendel zrezygnował z uniwersalnego chrześcijaństwa Louisy i spróbował odprawić pokutę słowami Benny’ego znad pustego kufła w knajpie: krzywdziliśmy, psuliśmy i niszczyliśmy... Jesteśmy winni, zdradziliśmy... Kradliśmy, rzucaliśmy oszczerstwa... Deprawowaliśmy i prowadziliśmy na manowce... Byliśmy fałszywi... Odeszliśmy od prawdy i życie traktujemy jak zabawę. Chowamy się za rozrywkami i zabawkami. Gniew nadal nie ustępował. Szedł krok w krok za Pendelem jak kot. Dopiero gdy dokonał bezlitosnej analizy swego nikczemnego postępowania od początku dziejów do dnia dzisiejszego, gniew odsunął miecz od jego piersi i zaczął nim wygrażać tym, którzy zniszczyli

jego człowieczeństwo.

Na początku było twarde słowo, powiedział sobie. Powiedział je Andy, kiedy wdarł się do mojego zakładu. Nie mogłem się mu sprzeciwić nie tylko ze względu na letnie sukienki, ale także niejakiego Arthura Braithwaita, traktowanego przez Louisa i dzieci jak Boga. I zgadza się, bo dokładnie rzecz ujmując, Braithwaite nie istniał. Bo i po co? Nie każdy bóg musi istnieć, zęby dobrze spełniać swoją robotę.

W rezultacie zgodziłem się zostać punktem nasłuchowym. Więc słuchałem. I usłyszałem parę rzeczy. A czego nie usłyszałem w rzeczywistości, usłyszałem w głowie, co było całkowicie naturalne, zważywszy na wywieraną presją. Zajmują się usługami, więc służyłem. Co w tym złego? A potem na pewnym poziomie nastąpiło coś, co nazywam rozkwitem, czyli słyszałem dużo więcej i byłem w tym coraz lepszy. Z czasem przekonałem się, że w wywiadzie, tak jak w interesach i w seksie, albo jest się coraz lepszym, albo wcale się nie jest.

Wkroczyłem więc w fazę, którą można nazwać „pozytywnym nasłuchem”, kiedy to ludziom wkłada się w usta pewne słowa, które wypowiedzieliby, gdyby pomyśleli o nich w swoim czasie. Tak zresztą robią wszyscy. No i sfotografowałem trochę dokumentów z teczki Louisy, co me było mi w smak, ale Andy się uparł i chwala Bogu, bo zdjęcia bardzo mu się podoba - ją Ale to nie była kradzież. Tylko oglądanie. A każdy może sobie popatrzeć, jak mówię. Z zapalniczką w kieszeni i bez.

I za to, co stało się później, należy winić wyłącznie Andy'ego. Nigdy goł me zachęcałem, nigdy nawet o tym me pomyślałem, dopóki sam tego me zrobił. Andy zażądał, abym zwerbował współpracowników, przy czym współpracownik to zupełnie inna para kaloszy niż nieświadomy informator i wymaga jak ja to nazywam, rewolucyjnej przemiany plus przyzwoitego wynagrodzenia za odpowiednie nastawienie psychiczne. Ale powiem wam coś o współpracownikach. Współpracownicy, kiedy już się pozna ich mentalność, są bardzo miłymi ludźmi, dużo miłszymi niż niektóre znane mi osoby mające nieco większy udział w rzeczywistości. Są jak tajna rodzina która] me pyskuje i nie ma problemów, chyba że im każę. Chodzi tu o zamianę przyjaciół w osoby, którymi niemal się stali lub chcieliby się stać, ale ściśle biorąc, nigdy się nie staną. Lub w osoby, którymi absolutnie nie chcieliby się stać, ale racjonalnie biorąc, mogliby się stać, zważywszy na to, kim są.

Weźmy dla przykładu Sabine, którą Marta stworzyła niejako na swoje podobieństwo, ale nie do końca Weźmy przeciętnego gniewnego studenta wytwórcę bomb, który czeka na wykonanie najgorszego zadania. Weźmy Alfę i Betę, i paru innych, których nazwiska ze względów bezpieczeństwa muszą pozostać nieznanne. Weźmy Mickiego z jego Cichą Opozycją i spiskiem, którego nikt nie może zdemaskować, co moim osobistym zdaniem było genialnym pomysłem, tyle że wcześniej czy później muszę go zdemaskować w sposób zadowalający wszystkie strony ze względu na bezlitosną presję Andy'ego. Weźmy ludzi żyjących po drugiej stronie mostu i prawdziwe serce Panamy, którego nikt nie potrafi znaleźć prócz Mickiego i garstka studentów ze stetoskopem. Weźmy Marca, który nie chciał się zgodzić, dl póki me kazałem jego żonie porozmawiać z nim ostro o nowej zamrażarce drugim samochodem i zapisaniu dziecka do szkoły Einsteina co mógłby! im załatwić, jeśli Marco sprawdzi się na innych frontach, i chyba powinni z nim znowu porozmawiać.

Wszystko płynie. Pojedyncze nici, zebrane z powietrza, splecione i skrojone na miarę.

Więc rozbudowujesz siatkę swoich współpracowników, słuchasz za nich, martwisz się za nich, dowiadujesz się za nich, czytasz za nich, pytasz o nich Martę, ustawiasz w odpowiednich miejscach o odpowiedniej porze i w ogóle przedstawiasz ich w jak najkorzystniejszym świetle ze wszystkimi ideałami, problemami i drobnymi nawykami, tak samo jak w zakładzie. No i płacisz im, co jest jak najbardziej słuszne. Częściowo gotówką prosto do kieszeni, a resztę odkładasz na czarną godzinę, żeby nie roztrwonili wszystkiego, nie wygłupili się, nie zwrócili na siebie uwagi i nie narazili na surową karę. Jedynym problemem jest to, że moi współpracownicy nie mogą wziąć gotówki do kieszeni, bo albo nie wiedzą, że coś zarobili, albo w ogóle nie mają kieszeni, więc muszę zatrzymać pieniądze u siebie. Ale jeśli się nad tym zastanowić, nikomu nie dzieje się krzywda, bo to nie oni zasłużyli na wypłatę, prawda? Ja zarobiłem te pieniądze. Więc zabieram gotówkę. Albo Andy wpłaca ją za mnie na wdowy i sieroty. A współpracownicy o niczym nie wiedzą, co Benny nazwałby niewinnym kantem. A czymże jest życie, jeśli nie wymysłem? Najpierw trzeba wymyślić siebie.

Więźniowie, o czym powszechnie wiadomo, mają swoją własną moralność. Tak oto przedstawiała się moralność Pendela.

I po chłości, którą sobie zadał, i oczyszczeniu się z winy osiągnął spokój, nie licząc czarnego kota, który wciąż łypał na niego groźnie, a spokój, jaki teraz odczuwał, był konstruktywnym oburzeniem o takiej sile i wyrazistości, jakiego jeszcze nie zaznał w życiu naszpikowanym niesprawiedliwościami. Czuł go w rękach, które mrowiły i zaciskały się. W plecach, głównie na wysokości łopatek. W biodrach i w piętach, kiedy chodził po domu i zakładzie. Zaciskał pięści i walił nimi o drewniane ściany ławy oskarżonych, na której w myślach zawsze siedział. Wrzeszczał, że jest niewinny lub prawie niewinny, w końcu co za różnica.

„I powiem jeszcze coś, Wysoki Sądzie, skoro już o tym mowa, jeśli zetrze pan ten barani uśmiešek z twarzy: do tanga trzeba dwojga. I pan Andrew Osnard ze służb Jej Królewskiej Mości ze mną tańczy. Czuję to. Czy on czuje, to inna sprawa, ale chyba tak. Czasem ludzie nie wiedzą, że coś robią. Ale Andy mnie podpuszcza. Przedstawia jako kogoś ważniejszego niż w rzeczywistości jestem, wszystko mnoży przez dwa i udaje, że liczy pojedynczo. No i jest skorumpowany, bo co jak co, ale na tym się znam, a Londyn jest chyba jeszcze gorszy”.

Na tym etapie rozmyślań Pendel przestał zwracać się do Stwórcy, Wysokiego Sądu czy samego siebie i spojrzął na ścianę pracowni, gdzie akurat kroił dla Mickiego Abraxasa kolejny garnitur, dzięki któremu jego przyjaciel miał odzyskać względy żony. Po tylu latach Pendel mógł kroić z zamkniętymi oczami. Ale oczy miał szeroko otwarte, usta też. Sprawiał wrażenie, jakby brakowało mu tlenu, choć w pracowni dzięki wysokim oknom było go pod dostatkiem. Słuchał Mozarta, ale nie miał już do tego serca. Wyciągnął na oślep jedną rękę i wyłączył muzykę. Drugą ręką odłożył nożyce, cały czas nie odwracając wzroku. Jak w transie wpatrywał się w to samo miejsce na ścianie, która w przeciwieństwie do innych znanych mu ścian nie była pomalowana na szaro ani na ciemnozielone, lecz miała kojący odcień gardenii, nad którego uzyskaniem nieźle musiał się namęczyć ze swoim dekoratorem.

Nagle przemówił. Głośno powiedział jedno słowo.

Nie tak jak Archimedes. Bez żadnego widocznego śladu emocji. Raczej głosem „mówiących wag”, największej atrakcji dworców kolejowych jego dzieciństwa. Mechanicznie, lecz stanowczo.

- Jonah - powiedział.

Harry Pendel wreszcie zobaczył swą wielką wizję. W tej właśnie chwili unosiła się przed nim, nietknięta, wspaniała, fosforyzująca, pełna. Zdał sobie sprawę, że była w nim od samego początku, jak plik pieniędzy w tylnej kieszeni. Przez cały czas głodował, wydawało mu się, że jest splukany, męczył się, wysilał, szukał wiedzy, której nie posiadał. A jednak posiadał! Była tam, jego tajny magazyn, w każdej chwili do dyspozycji! I nie pamiętał o jej istnieniu! Oto mieniła się przed nim różnymi barwami. Moja wielka wizja udająca ścianę. Mój spisak, który odnalazł cel. Oryginalna nieocenzurowana wersja. Wprowadzona na ekrany na żądanie publiczności. I wspaniale iluminowana gniewem. A na imię jej Jonah.

Było to przed rokiem, ale w przepastnej pamięci Pendela wszystko dzieje się tu i teraz na ścianie. Tydzień po śmierci Benny'ego. Dwa dni po rozpoczęciu pierwszego semestru Marka w Einsteinie i dzień po wznowieniu przez Louise pracy w Komisji Kanału. Prowadzi swoją pierwszą terenówkę. Celem podróży jest Colón, a Pendel ma przed sobą dwa zadania: złożenie comiesięcznej wizyty w magazynie tekstyliów pana Bliithnera i wstąpienie do Bractwa.

Jedzie szybko jak każdy na drodze do Colón, częściowo ze strachu przed bandytami, częściowo kuszony bogactwami Wolnej Strefy. Ma na sobie czarny garnitur, który założył w pracy, żeby nie wzbudzać podejrzeń w domu, na jego twarzy widnieje sześciodniowy zarost. Kiedy Benny opłakiwał śmierć przyjaciela, nie golił się. Pendel może dla Benny'ego zrobić choćby tyle. Wziął nawet czarny filcowy kapelusz, choć ma zamiar zostawić go na tylnym siedzeniu.

- Mam wysypkę - wyjaśnił Louisie, której dla świętego spokoju nie powiedział o śmierci Benny'ego. Kilka lat wcześniej dał jej do zrozumienia, że Benny zmarł w alkoholowym zamroczeniu i w związku z tym nie stwarza więcej zagrożenia. - To chyba ta nowa szwedzka woda po goleniu, którą próbowałem w perfumerii - dodał, żeby wzbudzić w niej współczucie.

- Harry, masz natychmiast napisać do tych Szwedów i poinformować ich, że woda jest niebezpieczna. Nie nadaje się do wrażliwej skóry. Że zagraża życiu naszych dzieci, kłóci ze szwedzkim pojęciem higieny i jeśli wysypka nie zniknie, pozwiesz ich do sądu i puścisz z torbami.

- Już to napisałem na brudno - powiedział Pendel.

Bractwo było ostatnim życzeniem Benny'ego, wyrażonym w nabazgranym słabnącą ręką liście, który dotarł do zakładu po jego śmierci:

Harry, mój chłopcze, byłeś dla mnie bez wątpienia perlą wielkiej wartości poza jednym wyjątkiem, a jest nim Bractwo Charliego Btuthnera. Prowadzisz wspaniały interes, masz dwójkę dzieci i kto wie, co cię jeszcze czeka. Ale najśłodsza śliwka wisi wciąż nad tobą i dlaczego nie zerwałeś jej przez wszystkie te lata, tego zrozumie nie mogę. Chanie zna w Panamie wszystkich, których warto poznać, a poza tym dobre uczynki i wpływy zawsze u niego szły w parze. Mając Bractwo za sobą, nigdy nie zabraknie ci pracy ani niczego, co niezbędne. Charlie mówi, że drzwi są przed tobą otwarte, a poza tym jest moim dłużnikiem, Nie takim, jak ja wobec Ciebie, mój synu, kiedy czekam w korytarzu na swoją kolej, to myślę sobie, że marne mam szansę. Tylko nie mów tego cioci Ruth. To całkiem niezłe miejsce, jeśli się lubi rabinów.

Błogosławieństwa Benny

Pan Bluthner w Colón rządzi pół hektarowym królestwem biur, pełnym komputerów i szczęśliwych sekretarek w golfach i czarnych spódnicach, i jest drugim najbardziej szacownym człowiekiem na świecie po Arturze Braithwaicie. Każdego dnia o siódmej rano wchodzi na pokład służbowego samolotu i leci dwadzieścia minut na lotnisko Colón, gdzie ląduje wśród kolorowych samolotów kolumbijskich importerów i eksporterów, którzy wpadli tu na małe bezcłowe zakupy, a jeśli są zbyt zajęci, wysłali żony. Co wieczór o szóstej leci do domu, oprócz piątków, kiedy wraca o trzeciej, i święta Jom Kippur, kiedy firma ma wolne i pan Bluthner pokutuje za grzechy, które zna tylko on, a do ubiegłego tygodnia również wujek Benny.

- Witaj, Harry.

- Bardzo mi miło, panie Bluthner.

Zawsze to samo. Tajemniczy uśmiech, oficjalny uścisk dłoni, hermetyczna powaga i ani słowa o Louisie. Tyle że dzisiaj uśmiech jest smutniejszy, uścisk dłoni dłuższy, a pan Bluthner nosi czarny krawat z magazynu.

- Twój wuj Benjamin był wielkim człowiekiem - powiedział, klepiąc Pendela po ramieniu małą bladą łapką.

- Był gigantem, panie Bluthner.

- Interes kwitnie, Harry?

- Szczęście mi sprzyja panie Bluthner.

- Nie martwi cię, że klimat na świecie się ociepla? Niedługo nikt me będzie kupował twoich marynarek.

- Kiedy Bóg wynalazł słońce, panie Bluthner, był na tyle mądry, żeby wymyślić klimatyzację.

- I chciałbyś poznać paru moich przyjaciół - powiedział pan Bluthner z błyskiem w oku.

Pan Bluthner Colón jest o kilka stopni bardziej dowcipny niż jego przyjaciel znad Pacyfiku.

- Nie wiem, czemu to odkładałem - mówi Pendel.

Kiedy indziej ruszyliby czarnymi schodami do działu z tekstyliami, gdzie Pendel podziwiałby nowe rodzaje alpaki. Ale dzisiaj wychodzą na zatłoczone ulice, pan Bluthner energicznie prowadzi. Dochodzą spoceni jak robotnicy portowi do drzwi bez numeru. Pan Bluthner trzyma w ręku klucz, ale najpierw musi po łobuzersku mrugnąć do Pendela.

- Nie będzie ci przeszkadzało, Harry, jeśli złożymy w ofierze dziewicę? Albo powlecjemy smołą i oblepimy piórami kilku czarnuchów?

- Nie, jeśli tego życzyłby sobie Benny, panie Bluthner. Rozejrzawszy się konspiracyjnie po chodniku, pan Bluthner przekręcił klucz i popchnął energicznie drzwi. To było co najmniej rok temu, ale dzieje się tu i teraz. Na ścianie koloru gardenii Pendel widzi te same drzwi, które się otwierają i tę samą nieprzeniknącą kuszącą ciemność.

Pendel zostawił za sobą ostre słoneczne światło i razem ze swym gospodarzem wtopił się w najciemniejszą noc. Stracił go z oczu i stanął nieruchomo, czekając, aż oczy przyzwyczajają się do zmiany. Uśmiechał się na wypadek, gdyby go ktoś obserwował. Kogo tam spotka, w jakim cudacznym przebraniu? Wciągnął nosem powietrze, ale zamiast woni kadzidła lub ciepłej krwi wyczuł zapach starego tytoniu i piwa. Stopniowo zaczęły się wyłaniać narzędzia tortur: butelki za barem, lustro za butelkami, wiekowy barman Azjatą fortepian w kolorze kremowym z wijącymi się na jego uniesionej pokrywie dziewczętami, drewniane skrzydła wentylatorów obracające się pod sufitem, wysokie okno i krótko obcięty sznurek do jego otwierania. A na końcu, ponieważ świecili najślabiej, inni poszukiwacze Światłą ubrani nie w zodiakalne szaty i spiczaste kapelusze, lecz w bezpłciowe mundurki panamskich handlowców: białe koszule z krótkimi rękawami, spodnie ściągnięte paskami pod wydatnymi brzuchami, poluzowane krawaty w czerwony wzorek.

Kilka osób znał ze skromniejszych kręgów klubu Union: Holender Henk, którego żona niedawno uciekła na Jamajkę z jego oszczędnościami i chińskim perkusistą podszedł do niego uroczyście ze zroszonym kuflem w każdym ręku... „Harry, bracie, jesteśmy dumni, że wreszcie do nas dotarłeś”... zupełnie jakby Pendel przeprowił się przez poldery, żeby do niego dotrzeć. Olaf, szwedzki spedytor portowy i pijak, w okrągłych okularkach i ze szczeciniastym tupecikiem, wrzeszczał z ulubionym przez siebie oksfordzkim akcentem, który jednak wcale nie był oksfordzki: „No proszę, bracie Harry, chłopie, dobra robota, twoje zdrowie”. Belg Hugo, handlarz złomem i dawny rezydent w Kongo, zaproponował Pendelowi „coś specjalnego z twojego starego kraju”, wyjmując z kieszeni srebrną piersiówkę.

Żadnych spętanych dziewczyc, żadnych kotłów ze smołą, żadnych przerażonych czarnuchów: za to wszystko, z powodu czego Pendel do tej pory tu nie wstąpił, ta sama stara obsada w tej samej starej sztuce. „Co pijesz, bracie Harry?”, „Należmy ci do pełna, bracie”, „Dlaczego tak długo zwlekałeś, Harry?”. W końcu sam pan Bliithner, przystrojony w pelerynę londyńskiego halabardnika i łańcuch Lorda Mayora, zadał dwa razy w wyszczerbiony angielski róg myśliwski. Rozwarły się podwójne drzwi i wpuściły kolumnę azjatyckich kelnerów z tacami nad głowami, którzy wmaszerowali szybkim krokiem przy dźwiękach pieśni *Trzymaj go, zuluski wojownika*, zaintonowanej przez samego pana Bluthnera, który, co Pendel zaczynał rozumieć, próbował w ten sposób powetować sobie braki pewnych młodzieńczych doświadczeń, jak na przykład wybryków wieku dojrzewania.

Zebrawszy wszystkich przy stole, pan Bluthner stanął na samym środku z Pendelem u boku, na baczność jak cała reszta. Holender Henk wygłosił długą i niezrozumiałą modlitwę dziękczynną, której sens był mniej więcej taki, że towarzystwo przy stole stanie się jeszcze bardziej prawe, jeśli spożyje przygotowane jadlo - teorię tę Pendel był skłonny podważyć już po pierwszej łyżce najostrzejszego curry, jakie jadł od czasu, kiedy Benny zabrał go do znajomego Hindusa za rogiem, gdy ciotka Ruth oddawała się pobożnym praktykom z Córami Syjonu.

Ledwo zdążyli usiąść, pan Bluthner znów zerwał się na nogi. Ogłosił dwie wiadomości, które zachwyciły zebranych: nasz brat Pendel po raz pierwszy pojawił się dzisiaj wśród nas... burzliwe oklaski przeplatane obscenicznymi żartami, towarzystwo uspokaja się... i pozwólcie mi przedstawić brata którego nie trzeba przedstawiać, proszę o brawa dla naszego wędrownego mędrca wieloletniego Sługi Światłą badacza głębin i podróżnika który spenetrował więcej czarnych dziur... obleśny śmiech... niż którykolwiek z nas przy tym stole, jedyny i niepowtarzalny, nieposkromiony, nieśmiertelny Jonah, świeżo po powrocie z zakończonej sukcesem niebezpiecznej wyprawy do Holenderskich Wschodnich, o której niektórzy z was pewnie już czytali. (Okrzyki: „Gdzie?”).

I Pendel, wpatrzony w ścianę koloru gardenii, ujrzał teraz Jonaha tak jak rok temu: skulony i skrzywiony, o poźółkłej cerze i oczach jaszczurki, metodycznie nakładał sobie na talerz wszystko - pikle na ostro, pikantne poppadom i chapatti, siekane chili, chleb nań i czerwono brązową ciągliwą grudkowatą substancję, którą Pendel nazwał w myślach surowym napalmem. I usłyszał go także Jonah, nasz wędrowny mędrzec. Głośniki w ścianie koloru gardenii działają bez zarzutu, chociaż Jonah ma trochę kłopotów z przekrzyknięciem zgielku sprośnych historyjek i głupich toastów.

„Następna wojna światowa - powiedział im Jonah z silnym australijskim akcentem - rozpocznie się w Panamie, data została już wyznaczoną więc lepiej uwierzcie mi, dranie”.

Pierwszym, który podważył tę tezę, był Piet, chudy inżynier z Południowej Afryki.

- To już było, staruszk. Małe lokalne zamieszanie, zwane operacją „Słuszna Sprawa”. George Bush pokazał, jaki jest silny. Ale były tysiące zabitych.

To z kolei sprowokowało różne pytania w rodzaju: „A co ty robiłeś podczas interwencji, tatuśku?”, i równie sensowne odpowiedzi.

Z kilku miejsc przy stole jednocześnie poprowadzono natarcie i przeciwnatarcie, ku niewinnej radości pana Blúthnera który prznosił uśmiech z jednego mówcy na drugiego, jakby oglądał mecz tenisowy. Ale Pendel słyszał niewiele skupiony na swych wnętrznościach, a kiedy już częściowo odzyskał świadomość, Jonah mówił właśnie o niedostatkach Kanału.

- Nowoczesne statki nie mogą korzystać z tego gówna. Rudowęglowce wielkie tankowce, kontenerowce są za duże - oświadczył. - To przeżytki.

Szwed Olaf przypomniał zebranych, że istnieje plan dodania kilku słuz. Jonah potraktował tę wiadomość z pogardą na jaką najwyraźniej zasługiwała.

- Ależ oczywiście, szanowny panie, wspaniały pomysł. Nowe pieprzone śluzy. Fantastycznie. Niewiarygodne. Zastanawiam się, co jeszcze przyniesie nam nauka? Może skorzystamy ze starego francuskiego wykopu, jeśli już o tym mowa. I przetnijmy bazę marynarki Rodman. I gdzieś w okolicach roku 2020 z pomocą boską i wszystkich cudów nowoczesności będziemy mieli odrobinę szerszy Kanał i o wiele dłuższy okres tranzytu. Pańskie zdrowie, szanowny panie. Wstaję i wnoszę toast za postęp w pieprzonym dwudziestym pierwszym wieku.

I zapewne w oparach dymu Jonah rzeczywiście to zrobił, bo Pendel, obserwując powtórkę na ścianie w kolorze gardenii, widzi na doskonałej jakości obrazie Jonaha, który zrywa się na nogi, ale pozostaje na dokładnie tej samej wysokości i z przesadną ceremonialnością wznosi kufel, a potem zanurza w nim poźółkłą twarz, jaszczurze oczka i całą resztę. Przez chwilę Pendel zastanawia się nawet, czy Jonah zdoła się wynurzyć, ale badacze głębin doskonale

znają się na swoim fachu.

- Amerykanie mają głęboko w dupie, czy będzie jedna pieprzona śluza, czy sześć - ciągnął dalej Jonah ostrym tonem bezbrzeżnej pogardy. - Dla nich im więcej, tym lepiej. Nasi dzielni jankescy przyjaciele położyli lachę na Kanale już dawno temu. Nie zdziwiłbym się, gdyby paru z nich głosowało za jego wysadzeniem w pizdu. Po co im sprawny Kanał? Mają swoją szybką trasę przewozową z San Diego do Nowego Jorku, prawda? Nazywają ją z dumą swoim suchym kanałem, który obsługują porządne jankeskie przygłupy zamiast tabu nu Latynosów. Reszta świata może się iść pieprzyć. Kanał jest tylko przestarzałym symbolem, Niech inne ćwoki z niego korzystają... sam pierdolisz, ciemny holenderski bezmózgowcu - dodał w stronę sennego Holendra Heńka, który odważył się podać w wątpliwość jego mądrość.

Wokół stołu unosiły się znużone głowy, zamroczone twarze zwracały się ku nieco przymglonemu słońcu Jonaha. A pan Bluthner, nie chcąc stracić ani jednej perełki z toczącego się pojedynku, uniósł się na krzesło i niemal położył na stole, pragnąc wychwycić każde słowo Jonaha. Tymczasem wędrowny mędrzec odpierał krytykę:

- Nie, nie bredzę, smarkaczu, mówię o ropie, o japońskiej ropie. O ropie, która kiedyś była ciężka, a teraz zrobiła się lekka. Mówię o dominacji Żółtego Człowieka i końcu pieprzonej cywilizacji, którą znamy, nawet na Pieprzonej Zielonej Wyspie.

Jakiś mądrała zapytał, czy według Jonaha Japończycy zamierzają zalać Kanał ropą, ale on zignorował go.

- Japończycy, drodzy przyjaciele, wydobywali ciężką ropę na długo, zanim odkryli, do czego może służyć. Wypełnili ogromne zbiorniki w całym kraju, a ich najlepsi naukowcy pracowali dzień i noc, żeby poznać formułę. A teraz, kiedy im się udało, trzymajcie się na baczności. Radzą wam, panowie, zasłońcie jaja, jeśli możecie je znaleźć, i wyjmijcie tyłki na wschodzące słońce, zanim pożegnacie się z mm na zawsze. Bo Japonce wynaleźli swój magiczny eliksir. Co znaczy, że wasze panowanie w tym raju potrwa jeszcze jakieś pięć minut według dworcowego zegara. Trzeba tylko trochę wlać, potrząsnąć i proszę, benzyna jak ta lala. Całe pieprzone oceany benzyny. A jak już wybudują własny Kanał Panamski, co potrwa krócej niż żywot małej jętki, znajdą się na bardzo korzystnej pozycji i mogą mą zalać cały świat. Ku wściekłości Wuja Sama.

Przerwa. Odgłosy zdumienia i sprzeciwu z różnych stron stołu, zanim dociekliwy Olaf nie stawia oczywistego pytania.

- Co to znaczy: „Jak już wybudują własny Kanał Panamski”? Chciałbym wiedzieć, jaki jasnowidz ci to powiedział? Od czasu amerykańskiej interwencji całkowicie zarzucono pomysł budowy nowego kanału. Za długo siedziałeś pod wodą i me wiesz, co się dzieje na górze. Przed interwencją powołano wysoką i bardzo mądrą trójstronną komisję, która miała zbadać alternatywy dla Kanału, łącznie z nowym wykopem. W jej skład wchodziły Stany Zjednoczone, Japonia i Panama. Teraz po komisji me ma śladu. Amerykanie są bardzo zadowoleni. Od początku im się me podobała. Udawali, że jest inaczej, ale me podobała się im. Woleliby, żeby wszystko zostało po staremu, może z kilkoma nowymi śluzami, i żeby ich przedsiębiorstwa obsługiwały terminale i zgarniały forszę. O tym wszystkim dawno wiem, to jest moja praca. Sprawa już nieaktualna. Więc odpieprz się.

Ale Jonah był daleki od przyznania się do porażki i wściekle triumfował. Wpatrzony w ścianę koloru gardenii Pendel, podobnie jak pan Bluthner, starał się me uronić ani jednego

słowa z przepowiedni, która wychodziła z ust proroka.

- No pewnie, że me podobała im się ta pieprzona komisją ty nordycki pedancie! Nie mogli jej znieść. I oczywiście chcą, żeby ich przedsiębiorstwa zadomowiły się w Colón i Panama City i rządziły terminalami. A po co jankesi zbojkotowali komisję, jak tylko do mej weszli? Po co w ogóle interweniowali w tym głupim kraju? Starli go na miazgę, bo tak się im podobało? Żeby niegrzeczny generał przestał sprzedawać kokainę w Stanach? Bzdura Chcieli zniszczyć panamską armię i rozwalić panamską gospodarkę na tyle zęby Japończycy me kupili tego pieprzonego kraju i nie zbudowali sobie kanału, który będzie wygodny dla nich. Skąd Japonce biorą aluminium? Nie wiecie, więc wam powiem: z Brazylii. Skąd biorą boksyt? Znowu z Brazylii.

Glinę? Z Wenezueli. - Wymienił inne surowce, o których Pendel nigdy nie słyszał. - Chcecie mi powiedzieć, że Japończycy będą transportować materiały przemysłowe do Nowego Jorku, następnie szybką trasą przewozowa do San Diego, później przez wielką wodę do Japonii tylko dlatego, że ten kanał jest dla nich za wąski i za wolny? Chcecie mi powiedzieć, że poślą zbiornikowce dookoła pieprzonego przylądka Horn? Będą pompować nową benzynę przez pieprzony przesmyk, co trwa całe wieki? Siedzieć spokojnie na tyłkach, kiedy cenę każdego pieprzonego japońskiego auta, które dociera do Filadelfii, trzeba podnieść o pięćset dolców, bo Kanał nie może ich już pomieścić? Kto jest najważniejszym użytkownikiem Kanału? Oczekiwania na odpowiedź.

- Jankesi! - zawołał ktoś dzielnie i zaraz został skarcony.

- Bzdura! Nie słyszeliście, że statki handlowe uciekają pod obce bandery, co ostatnio usankcjonowano rozkosznym i nieszkodliwym tytułem „otwartych rejestrów”? Pod czyją banderę uciekają? Japończyków i Chińczyków. Który drań będzie budował następną generację okrętów przepływających przez Kanał?

- Japonce - ktoś szepnął.

Słup boskiego słonecznego światła przebija się z trudem przez okno pracowni Pendela i osiada niczym biała gołębicą na jego głowie. Głos Jonaha staje się donośny. Pozbywa się bezmyślnych wulgaryzmów jak niepotrzebnych nut.

- Kto ma najnowocześniejszą, najtańszą, najszybszą technologię? Zapomnijcie o jankesach. Japonce. Kto ma najnowsze maszyny, najsprytniejszych negocjatorów? Najlepszą kadrę techniczną, najbardziej wykwalifikowaną siłę roboczą i najzręczniejszych organizatorów? - wylicza do ucha Pendela. - Kto marzy dzień i noc o kontroli nad największą bramą świata? Czyi mierniczy i inżynierowie wiercą i pobierają próbki ziemi trzysta metrów pod ujściem rzeki Caimito? Myślicie, że zrezygnowali tylko dlatego, że przyszli jankesi i postrzelali sobie? Myślicie, że będą się kłaniać przed Amerykanami i przeproszać za niegrzeczne myśli o zdominowaniu światowego handlu? Japonce? Myślicie, że rozdierają kimona z powodu ekologicznych spustoszeń po połączeniu dwóch odrębnych oceanów, które nigdy wcześniej nie zostały sobie przedstawione? Japonce, skoro chodzi o ich przetrwanie? Myślicie, że się wycofają, bo im tak każemy? Japonce? To już nie geopolityka, tylko tykanie bomby. Siedzimy i czekamy na wielkie bum!

Ktoś zapytał nieśmiało: „A gdzie w tym scenariuszu są Chińczycy, bracie Jonahu?” To Olaf z oksfordzkim akcentem w pełnej krasie.

- Na litość boską, mój serdeczny druhu, przecież Japończycy nienawidzą Chińczyków i

czyż nie jest to uczucie odwzajemnione? Dlaczego Chińczycy mieliby biernie się przyglądać, kiedy Japonce wyciągają łapę po całą władzę i chwałę?

W pamięci Pendela Jonah jest już uosobieniem tolerancji i słodyczy.

- Chińczycy chcą tego samego co Japonce, Olafie, drogi przyjacielu. Ekspansji. Bogactwa. Statusu. Uznania wśród narodów świata. Szacunku dla żółtej rasy. Pytasz, czego Japonce chcą od Chińczyków. Pozwól, że wyjaśnię. Po pierwsze, widzą w nich sąsiadów. Po drugie, nabywców japońskich towarów. Po trzecie, źródło taniej siły roboczej do wytwarzania wymienionych towarów. Japończycy uważają Chińczyków za podludzi, a Chińczycy odwzajemniają ten komplement. Ale Chińczycy i Japończycy są rodzonymi braćmi i to my, Olafie, zrobieni w konia wielkoocy, będziemy się pożywiać resztkami z pańskiego stołu.

Resztę tego, co powiedział owego popołudnia Jonah, Pendel pamiętał w formie zniekształconej. Nawet ściana w kolorze gardenii me zdołała naprawić szkód poczynionych w jego pamięci przez mieszankę surowego napalmu i alkoholu. Dopiero duch Benny'ego, stojący u jego boku, uzupełnił brakujące fragmenty:

„...Harry, mój chłopcze, powiem prosto z mostu, jak zawsze. To największy przekręt, nawet w porównaniu do gościa, który opchnął zainteresowanym wieżę Eiffla, pięciogwiazdkowa intryga na tyle dobra, że twój przyjaciel Andy będzie biegał do bankiera jak kot z pęcherzem. Nic dziwnego, że Mickie Abraxas chronił swoich przyjaciół, bo to prawdziwy dynamit, no i jest im coś winien. Mój chłopcze, mówiłem to wiele razy i powtórzę raz jeszcze, masz w sobie więcej płynności niż Paganini i Gigli razem wzięci. Trzeba ci tylko właściwego autobusu, który zatrzyma się na właściwym przystanku, właściwego dnia i zanim się zorientujesz, ruszysz w drogę, a me będziesz jak my czekał na korytarzu. To jest twój autobus. Mówimy o szerokim na pół kilometra, nowoczesnym, wybudowanym przez Japończyków kanale na poziomie morza od jednego do drugiego wybrzeża zaplanowanym w najgłębszej tajemnicy, gdy tymczasem jankesi bajdurzą o nowych śluzach i szykują już roboli z przemysłu ciężkiego, zupełnie jak w dawnych czasach, tyle że patrzą me na ten kanał, co trzeba. Najlepsi panamscy prawnicy, politycy i członkowie klubu Umon tworzą zgraną grupę przy kasie, grają na nosie Amerykanom i doją Japońców, jak się da. Dodaj jeszcze podstępnych żabojadów, którymi Andy ciągle zawraca ci głowę, szczyptę kolumbijskiej forsy z narkotyków, żeby zrobiło się groźnie, i powiedz sam, Harry, czy to me jest drugi spiszek prochowy? Tylko kto tym razem złapie cię z zapalkami w ręku? Odpowiedź brzmi: nikt. Pytasz o cenę, chłopcze? Mówisz, że Japończycy me mogą sobie na to pozwolić? Japończycy me mogą sobie pozwolić na wybudowanie własnego kanału? A ile kosztowało lotnisko w Osace? Trzydzieści miliardów poszło jak kamień w wodę, o czym wiem z pewnych źródeł. Tamocha. Wiesz, ile będzie kosztował kanał na poziomie morza? Trzy lotniska w Osace, z gażą prawników i znaczkami skarbowymi. Takie sumy Japończycy zostawiają jako napiwek. Pytasz o traktaty? Zobowiązania Panamczyków, żeby me odbierać Kanału Amerykanom? Chodziło o stary Kanał. Tu Panamczycy dotrzymają swych zobowiązań”.

Ściana w kolorze gardenii ma dla niego jeszcze jedną niespodziankę. Pendel i jego gospodarz stoją na progu sklepu pana Bluthnera, żegnając się ze sobą kilka razy.

- Wiesz co, Harry?

- Słucham, panie Bluthner.

- Ten Jonah to największy spryciarz świata. Nie wie me o krakingu ropy, a jeszcze mniej o

japońskim przemyśle. Owszem, ma rację, gdy mówi o ich marzeniach o ekspansji. Japończycy zawsze mieli dziwny stosunek do Kanału Panamskiego. Sęk w tym, że kiedy już będą nim zarządzać, nikt nie będzie używał wielkich transportowców oceanicznych i nikt nie będzie potrzebował ropy, bo znajdziemy lepsze, czystsze i tańsze formy energii. A te jego minerały - pokręcił głową - jeśli potrzebują, znajdą je bliżej siebie.

- A wydawał się pan taki zadowolony! Pan Bluthner posłał mu szelmowski uśmiech.

- Powiem ci, Harry, dlaczego. Cały czas, kiedy słuchałem Jonaha, wydawało mi się, że słyszę twojego wujka Benny'ego. Boże, jak on kochał zamieszać. No to co? Wstępujesz do naszego małego bractwa?

Ale Pendel po raz pierwszy nie potrafi znaleźć w sobie słów, które pan Bluthner chciał usłyszeć.

- Jeszcze nie jestem gotów, panie Bluthner - odpowiedział z powagą. - Muszę dorosnąć. Cały czas nad tym pracuję. Kiedy nadejdzie mój czas i będę gotów, wrócę do pana w podskokach, Teraz był gotów. Spisek czekał na ujawnienie z krakingiem ropy czy bez mego. Czarny kot złości lizał łapy przed bitwą

Kilka dni, powiedział Pendel Osnardowi. Potrzebuję kilku dni. Dni wspólnej zadumy i małżeńskiej odnowy, kiedy Pendel mąż i kochanek odbuduje zniszczone mosty do swej małżonki i niczego nie kryjąc, zabierze ją ze sobą do najbardziej intymnych zakątków, mianując swoją powiernicą, pomocnicą i agentką w służbie wielkiej wizji.

Tak jak stworzył siebie dla Louisy, teraz tworzy Louise dla innych. Nie ma już między nimi tajemnic. Wszystko jest jawne, wszystkim się dziela, są wreszcie razem, agent i jego współpracownik, wiedząc sobie i o Osnardzie, szczerzy i przywiązani partnerzy w wielkim przedsięwzięciu. Mają tyle wspólnego. Delgado - ich wspólne źródło wiadomości o przyszłych losach dzielnej małej Panamy. Londyn - wspólny i wymagający nadzorca. Gra toczy się o cywilizację anglosaską, bezpieczeństwo dzieci, wykarmienie wspaniałej siatki współpracowników, zniweczenie nikczemnych planów Japończyków, ocalenie wspólnego Kanału. Która wartościowa kobieta, która matka, która spadkobierczyni swych przodków nie przybyłaby na wezwanie, nie założyła płaszcza, nie wyciągnęła szpady i nie prześwieciła działań rabusiów Kanału. Od tej pory wielka wizja całkowicie zawładnie ich życiem. Wszystko będzie jej podporządkowane, każde przypadkowe słowo i niewinny incydent będzie wpleciony w cudowny gobelin. Wizja dostrzeżona przez Jonaha, przywrócona do życia przez Pendela, od tej pory będzie miała Louise za westalkę. To Louisa wraz z Delgado będzie stała przed nią, odważnie strzegąc świętego ognia.

I nawet jeśli Louisa nie bardzo wie o swoim nowym statusie, na pewno jest pod wrażeniem licznych małych przyjemności, które mu towarzyszą.

Po odwołaniu nieistotnych spotkań i zamknięciu klubu Pendel pospieszył do domu, żeby poobserwować kandydatkę na szpiega, przyjrzeć się jej zachowaniom i zebrać szczegółowe dane o jej codziennych zwyczajach w miejscu pracy, a głównie o stosunkach z uwielbianym i - na zazdrosne oko Pendela - rażąco przecenianym szefem, Ernestem Delgado.

Ma wrażenie, że do tej pory kochał żonę jako pojęcie, wyobrażenie prostoty będącej przeciwagą dla jego złożoności. Doskonale, od dzisiaj odsunie na bok miłość do pojęcia i pozna ją taką, jaka jest naprawdę. Do tej pory chciał się wydostać z małżeńskiej celi. Teraz spróbuje wejść do środka. Żaden szczegół jej życia nie jest dla niego bez znaczenia: każda uwaga na temat niezrównanego pracodawcy, o jego wyjściach i przyjściach, telefonach, umówionych spotkaniach, naradach, kapryсах i fanaberiach. Najmniejsze zakłócenie codziennej rutyny, nazwisko i pozycja każdego gościa przechodzącego przez biuro Louisy na audiencję z wielkim politykiem - wszystkie drobnostki, których do tej pory słuchał z uprzejmości jednym uchem, stają się sprawami tak istotnymi, że musi aż powściągać ciekawość, by nie wzbudzić jej podejrzeń. Z tego samego powodu pisze w ukryciu: notuje zgarbiony w swoim pokoju - mam kilka rachunków do przejrzania, kochanie - lub w ubikacji - nie wiem, chyba coś mi zaszkodziło, myślisz, że to ta ryba?

A rano osobiście dostarcza Osnardowi rachunek.

Jej życie towarzyskie fascynuje go niemal tak samo jak życie towarzyskie Delgado. Nudne

spotkania z innymi Amerykanami urodzonymi w Strefie, teraz wygnańcami na własnej ziemi, członkostwo w Forum Radykałów, które do tej pory wydawało się Pendelowi równie radykalne, jak ciepłe piwo, wspólnota chrześcijańska, do której należy ze względu na pamięć zmarłej matki, stają się tematami tak atrakcyjnymi, że zapisuje je w krawieckim notesie, korzystając z niezgłębionego szyfru własnego pomysłu, mieszaniny skrótów, inicjałów i celowo niestarannego pisma, zrozumiałego tylko dla wyszkolonego oka. Louisa nie wie, że jej życie stało się teraz nierozzerwalnie związane z życiem Mickiego. W głowie Pendela losy żony i przyjaciela są ze sobą ściśle splecione, tajne granice Cichej Opozycji rozszerzają się, obejmując zbuntowanych studentów, chrześcijan i dobroduszných Panamczyków mieszkających za mostem. W największej tajemnicy zawiązuje się łoża urodzonych w Strefie Amerykanów, którzy po zmierzchu schodzą się dwójkami i trójkami w Balboa.

Pendel nigdy nie był tak blisko niej, kiedy są osobno, i tak daleki, gdy są razem. Czasem ze zdumieniem odkrywał, że czuje się od niej lepszy, ale szybko zrozumiał, że po prostu wie o jej życiu dużo więcej niż ona sama i jest jedynym obserwatorem jej drugiego, magicznego wcielenia w nieustraszonego tajnego agenta w kwaterze wroga na tropie Potwornego Spisku, do którego klucze dzierży Cicha Opozycja z siatką oddanych agentów.

Czasem, co prawda, maska Pendela zsuwała się i brała nad nią górę artystyczna próżność. Wmawiał sobie, że dotykając uczynków Louisy tajemną magiczną różdżką, bierze na siebie jej ciężar. Chroni ją fizycznie i moralnie przed oszustwem i jego groźnymi konsekwencjami. Ocala przed więzieniem. Uwalnia od codziennego kieratu podwójnego myślenia. Pozwala jej myślom i czynom łączyć się w spójne i zdrowe życie, zamiast męczyć się w oddzielnych zamkniętych klatkach, jak w jego przypadku, gdzie myśli mogą porozumiewać się między sobą tylko szeptem. Ale gdy wąska znów trafiała na miejsce, pojawiła się jego nieustraszona agentka, towarzysza broni, desperacko oddana sprawie ratowania naszej cywilizacji, jeśli to konieczne, z pomocą niedozwolonych, żeby nie powiedzieć nieuczciwych, środków.

Owładnięty przemożnym poczuciem wdzięczności wobec Louisy Pendel namówił ją, by poprosiła Delgado o wolny dzień, i zabrał ją na poranny piknik: „Sami, tylko my, Lou, ty i ja, jak wtedy, kiedy me mieliśmy jeszcze dzieci”. Oakleyowie zajęli się dziećmi i zawiózł ją do Gamboa, na ukochane wzgórze zwane Pętłą Plantacji, które pamiętali z czasów, kiedy mieszkali w Calidonii, dalej przez gęsty las krytą tłuczniem serpentyną wybudowaną przez amerykańskich żołnierzy do pasma wzgórz, części lądowej granicy między Atlantykiem a Pacyfikiem. Symbolika tego miejsca nie umknęła jego uwagi: nasz przesmyk, którym mamy się opiekować, mała Panama w naszej pieczy. Nieziemskie miejsce o zmiennej pogodzie, owiewane przeciwnymi wiatrami, bliższe edeńskiemu ogrodowi niż nowemu milenium mimo brudnej, wysokiej na dwadzieścia metrów anteny w kształcie piłki do golfa, dla której w ogóle zbudowano drogę. Ustawiono ją, żeby podsłuchiwać Chińczyków lub Rosjan, lub Japończyków, lub Nikaraguańczyków i Kolumbijczyków, obecnie oficjalnie nie działała - chyba że potrafiła wywęszyć intrygę i odzyskała słuch w obecności dwóch angielskich szpiegów, którzy szukali wytchnienia od stresu codziennych poświęceń.

Nad nimi sępy i orły płynęły po bezbarwnym, nieruchomym niebie. Przez szczelinę między drzewami zobaczyli zieloną dolinę, ciągnącą się aż do Zatoki Panamskiej. Była dopiero ósma rano, ale spływał z nich pot. Wrócili do terenówki na mrożoną herbatę z termosu i ulubione paszteciki Louisy, które poprzedniego wieczoru upiekł Pendel.

- Takie życie jest najlepsze, Lou - zapewnił ją szarmancko, kiedy siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce, przed terenówką z pracującym silnikiem i włączoną na maks klimatyzacją.

- Jakie życie?

- Nasze. Wszystko, co zrobiliśmy, udało się. Dzieci. My. Możemy być zadowoleni.

- Dobrze, że jesteś szczęśliwy, Harry.

Pendel postanowił, że nadeszła odpowiednia chwila by zrealizować swój wielki plan.

- Któregoś dnia słyszałem w pracy zabawną historię - powiedział z rozbawieniem. - Na temat Kanału. Podobno stary japoński projekt, o którym kiedyś mówiono, powrócił. Nie wiem, czy słyszałaś o tym w Komisji.

- Jaki japoński plan?

- Nowy wykop. Na poziomie morza. Z wykorzystaniem ujścia rzeki Caimito. Szepcze się o stu miliardach dolarów, ale me wiem, czy to prawda Louisa me była zadowolona.

- Nie wiem, po co przywozisz mnie na wzgórze i plotkujesz o jakimś nowym japońskim kanale. To by był niemoralny, ekologicznie katastrofalny plan, sprzeczny z interesami Amerykanów i traktatem. Mam nadzieję, że poradzisz temu, kto wygaduje te brednie, żeby nie rozgłaszał plotek, przez które jeszcze trudniej będzie nam pogodzić się z przyszłością Kanału.

Przez chwilę Pendela ogarnęło poczucie porażki, niemal wybuchnął płaczem. Potem przyszło oburzenie. Trudno, próbowałem zabrać ją ze sobą, ale nie chciała. Woli szarą rutynę. Czy nie wie, że małżeństwo polega na współpracy? Albo się kogoś wspiera, albo od niego odwraca. Przybrał więc wyniosły ton.

- Słyszałem, że wszystko jest na razie trzymane w największej tajemnicy, więc wcale mnie nie dziwi, że nic o tym nie wiesz. W sprawę zamieszani są najwyżej postawieni panamscy urzędnicy, ale spotykają się po kryjomu i nie puszczają pary z ust. Japończycy są strasznie uparci, jeśli chodzi o Kanał. Podobno twój Ernie Delgado też macza w tym palce, co nie dziwi mnie tak, jak powinno. Nigdy nie byłem przekonany do Erniego tak jak ty. Prez też siedzi w tym po uszy. Stąd te jego czarne plamy podczas podróży na Dalekim Wschodzie.

Długa przerwa. Jedna z najdłuższych. Początkowo Pendel przypuszczał, że Louisa ocenia wagę wiadomości.

- Frez? - powiedziała.

- Prezydent.

- Panamy?

- No przecież nie Stanów Zjednoczonych, kochanie.

- Dlaczego mówisz „frez”? Tak nazywa go pan Osnard. Harry, naprawdę nie rozumiem, dlaczego naśladujesz pana Osnarda.

- Łamie się - doniósł Pendel telefonicznie jeszcze tej samej nocy, mówiąc bardzo cicho na wypadek, gdyby linia była na posłuchu. - Sprawa jest poważna. Zastanawia się, czy podoła. Są pewne *rzeczy*, o których wolałaby nie wiedzieć.

- Jakie *rzeczy*?

- Nie chce mi powiedzieć, Andy. Zastanawia się. Martwi się Erniem.

- Boi się, że ją wrobi?

- Boi się, że ona wrobi jego. Ernie wyciąga łapy po pieniądze jak wszyscy. Ten wizerunek „nieskazitelnego” to tylko fasada. „Pewna część mojej osoby wolałaby nie widzieć”,

powiedziała. To jej słowa. Zbiera się na odwagę.

Nazajutrz wieczorem, zgodnie z radą Osnarda, Pendel zabrał ją na kolację do La Casa del Marisco. Zarezerwował stolik przy oknie. Zamówiła zapiekanego homara z serem, wprawiając go w osłupienie, Nie jestem z kamienia, Harry. Mam swoje nastroje. Zmieniam się. Jestem czującą ludzką istotą. Chcesz, żebym zjadła krewetki i halibuta?

- Chciałbym, żebyś się zmieniała pod każdym względem, jaki ci odpowiada.

Jest gotowa, zdecydował, obserwując, jak zajada homara. Dorosła do swojej roli.

- Panie Osnard, z przyjemnością zawiadamiam szanownego pana, że mam już drugi garnitur, na którym tak panu zależało - oświadczył nazajutrz rano Pendel, telefonując rym razem z pracowni. - Jest złożony, owinięty w bibułę i zapakowany, odbiór tylko przeze mnie. Oczekuję pańskiego czeku.

- Świetnie. Kiedy możemy się wszyscy spotkać? Marzę o tym, żeby go przymierzyć.

- To niemożliwe, szanowny panie. Nie wszyscy. Tego nie ma w ofercie Jak powiedziałem, ja mierzę, ja dopasowuję i ja zajmuję się wszystkim osobiście.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że zajmuję się też dostawą. Nikt inny nie wchodzi w grę Tylko ty i ja, bez udziału osób trzecich. Próbowałem ją przekonać, ale na próżno. Albo sprawa przechodzi przez moje ręce, albo w ogóle nie przechodzi. Można narzekać, ile się chce, ale takie są warunki.

Spotkali się w Coco's Bar w El Panama. Pendel musiał przekrzykiwać zespół.

- Tak jak mówiłem, chodzi tu o jej moralność. Jest nieugięta. Szanuję cię i lubi, ale wyraźnie wyznacza granice. Posłuszeństwo wobec męża ta jedno, a śledzenie pracodawcy przez Amerykankę na rzecz brytyjskiego dyplomaty to co innego, i nie ma znaczenia, że ten pracodawca zdradza pokładane w nim zaufanie. Może to hipokryzja, może kokieteria. „Nie wspominaj już więcej o panie Osnardzie”, to jej ostatnie słowo. „Nie przyprowadzaj go tutaj, nie pozwalaj mu rozmawiać z dziećmi, bo je zdeprawuje. Nigdy mi nie mów, że zgodziłam się zrobić to i wstąpiłam do Cichej Opozycji”. Jak widzisz, niczego nie owijam w bawełnę, choć może czujesz się urażony. Nie ma rady, kiedy Louisa się zaprze.

Osnard sięgnął po garść nerkowców, odchylił do tyłu głowę, rozdziawił usta i wrzucił do nich orzechy.

- Londyn nie będzie zadowolony.

- Ale muszą się z tym pogodzić, prawda? Osnard w zamyśleniu przeżuwał orzeszki.

- No tak - powiedział.

- Nie zamierza też niczego dawać na piśmie - dodał Pendel po namyśli - Ani Mickie.

- Sprytna dziewczyna - powiedział Osnard, nie przestając żuć. - Damy jej zaliczkę do początku miesiąca. Postaraj się uwzględnić jej wydatki. Samochód, ogrzewanie, światło, elektryczność, terminy płatności. Jeszcze po jednym czy pasujemy?

Louisa została zwerbowana.

Następnego dnia rano Harry Pendel wstał z tak silnym poczuciem wieloosobowości, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył przez całe życie kręcenia i fantazjowania. Nigdy nie był tyloma ludźmi naraz. Niektórzy byli mu obcy, inni byli wartownikami, a innymi starymi więźniami, znanymi mu z odsiadki. Ale wszyscy trzymali jego stronę, maszerowali w tym samym kierunku, realizowali wielką wizję.

- Zapowiada się ciężki tydzień, Lou! - zawołał do żony przez zasłone prysznic, oddając pierwszy strzał w nowej kampanii. - Mnóstwo wizyt domowych, nowych zamówień. - Myła włosy. Ostatnio często je myła, czasem dwa razy dziennie. I szczotkowała zęby co najmniej pięć razy dziennie. - Grasz dziś wieczorem w squasha, kochanie? - zagadnął obojętnie.

Zakręciła wodę.

- W squasha, kochanie. Grasz dzisiaj?

- Chcesz, żebym grała?

- Jest czwartek. W zakładzie mam wieczór klubowy. Wydawało mi się, że zawsze grasz w squasha w czwartki. Z JoAnn.

- Chcesz, żebym grała w squasha z JoAnn?

- Tylko zapytałem, Lou. Nie chcę, tylko pytam. Wiemy, że lubisz dbać o formę. To widać.

Policzyć do pięciu. Dwa razy.

- Tak, Harry, wieczorem mam zamiar zagrać w squasha z JoAnn.

- To świetnie.

- Wrócę do domu po pracy. Przebiorę się. Pojadę do klubu i zagram w squasha z JoAnn. Mamy zarezerwowaną salę od siódmej do ósmej.

- Pozdrów ją ode mnie. To miła osoba.

- JoAnn lubi dzielić grę na dwie półgodzinne fazy. W pierwszej ćwiczy bekhend, w drugiej forhend. Dla jej partnera ta kolejność jest oczywiście odwrócona, chyba że jest mańkutem. Ja nie jestem.

- Ach tak. Rozumiem.

- A dzieci wpadną do Oakleyów - dodała. - Będą jeść tuczące chrupki, Pić żrącą zębą colę, oglądać pełne przemocy programy w telewizji i bawić się na niehigienicznej podłodze Oakleyów w ramach zgody między dwiema rodzinami.

- To dobrze. Dziękują ci.

- Nie ma za co.

Odkręciła wodę pod prysznicem i połała szamponem włosy. Potem zakręciła wodę.

- A po squashu, ponieważ jest czwartek, oddam się pracy, będę planować i organizować spotkania *señora* Delgado na najbliższy tydzień.

- Mówiłaś. Widzę, że masz mnóstwo zajęć.

Odsuń zasłonę. Obiecuj jej, że od tej pory będziesz prawdziwy. Ale przestał się już interesować rzeczywistością, jeśli w ogóle kiedykolwiek tak było; W drodze do szkoły śpiewał na całe gardło i dzieci odniosły wrażenie, że ojciec doszczętnie zwariował. Wszedł do zakładu i rozejrzał się po nim oczami kogoś, kto zrobił to po raz pierwszy. Zachwycił się nowymi błękitnymi dywanikami i eleganckimi meblami, a także widokiem Kącika Sportsmena w szklanej gablocie Marty, a także nową lśniącą ramką wokół portretu Braithwaite'a Kto, u licha, to zrobił? Ja. Rozkoszował się aromatem kawy Marty dochodzą cym z sali klubowej na górze i widokiem nowego studenckiego biuletynu w szufladzie roboczego stołu. Przed dziesiątą rozległ się dzwonek przy drzwiach,!

Jako pierwszy zgłosił się amerykański charge d'affaires ze swym bladym asystentem. Miał przymiarkę nowego smokingu, który charge nazywa frakiem. Przed zakładem w zaparkowanym lincolnie czekał króciutko ostrzy żony szofer o kamiennej twarzy. Charge był dowcipnym, zamożnym bostończykiem, który całe życie czytał Prousta i grał w krykieta. Poruszył drażliwi

temat festynu i pokazu sztucznych ogni dla amerykańskich rodzin z okazji Święta Dziękczynienia, temat będący dla Louisy źródłem wiecznego niepokoju.

- Nie mamy innej alternatywy, Michael - twierdził charge wielkopańskim tonem, gdy Pendel zaznaczał kredą kołnierz.

- Właśnie - przytaknął blady asystent.

- Albo traktujemy ich jak dobrze wychowanych dorosłych, albo jak niegrzeczne dzieci, którym nie możemy zaufać.

- Właśnie - powiedział znowu blady asystent.

- Ludzie odwzajemniają szacunek. Gdybym w to nie wierzył, nie poświęciłbym tej dyplomatycznej komedii najlepszych lat.

- Proszę łaskawie zgiąć ramię tutaj - bąknął Pendel, przykładając krawędź dłoni do łokcia charge.

- Wojskowi nas zniechęcą - powiedział asystent.

- Czy te klapy będą odstawać, Harry? Chyba są trochę za duże. Nie sądzisz, Michael?

- Po prasowaniu nic nie będzie odstawać, szanowny panie.

- Dla mnie wyglądają świetnie - wtrącił blady asystent.

- A długość rękawa, szanowny panie? Dobra czy nieco skrócić?

- Waham się - odparł charge.

- Co do wojskowych czy rękawów? - zapytał asystent.

Charge poruszył energicznie dłońmi, przyglądając się im krytycznie.

- Tak jest dobrze, Harry. Niech tak zostanie. Nie mam wątpliwości, Michael, że gdyby chłopcom ze wzgórza Ancón dać wolną rękę, ustawiliby przy drodze pięć tysięcy żołnierzy w bojowym rynsztunku i transportowali wszystkich w opancerzonych wozach.

Asystent roześmiał się smutno.

- Ale nie jesteśmy ludźmi pierwotnymi. Nietzsche nie jest odpowiednim wzorcem dla jedyne go światowego supermocarstwa na progu dwudziestego pierwszego wieku.

Pendel obrócił klienta, żeby lepiej obejrzeć plecy.

- A długość marynarki? Trochę dłuższa czy jesteśmy zadowoleni z tego, co widzimy?

- Jesteśmy zadowoleni. Pierwsza klasa. Wybacz, że jestem dzisiaj nieco roztargniony. Usiłujemy zapobiec kolejnej wojnie.

- W tym przedsięwzięciu, szanowny panie, z całego serca życzę panu powodzenia - rzekł gorliwie Pendel, gdy charge z asystentem schodzili po schodach w towarzystwie ostrzyżonego na języka kierowcy.

Nie mógł się doczekać, kiedy wyjdą. Gdy zapisywał z zapamiętaniem ostatnie strony krawieckiego notesu, w uszach śpiewały mu niebiańskie chóry.

„Tarcia między amerykańskim personelem wojskowym i dyplomatycznym w opinii amerykańskiego charge sięgają krytycznego punktu. Kością niezgody jest sposób potraktowania studenckiego buntu, kiedy już unosi swój odrażający łeb. Słowa charge przekazane w największej dyskrekcji niniejszemu informatorowi...”

Co mu powiedzieli? Nic ważnego. Co usłyszał? Wspaniałości. A była to tylko próba.

- Doktor Sancho - zawołał Pendel, otwierając radośnie ramiona. - Dawno się nie widzieliśmy, *senor* Lucullo, co za szczęście. Marto, gdzie poczęstunek?

Chirurg plastyczny Sancho miał statki wycieczkowe i bogatą żonę, której nienawidził.

Lucullo był fryzjerem z aspiracjami. Obydwaj pochodzili z Buenos Aires. Ostatnio kupili moherowe garnitury z dwurzędowymi kamizelkami na podróż do Europy. Tym razem chcieli tylko zamówić białe smokingi na jacht.

- W kraju spokój? - zapytał Pendel, po mistrzowsku przesłuchując ich na górze przy kieliszku. - Nie planują żadnych wielkich puczów? Zawsze powtarzam, że Ameryka Południowa jest jedynym miejscem, gdzie można skroić dżentelmenowi garnitur, a tydzień później ujrzeć go na piedestale.

Nie będzie puczów, potwierdzili chichocząc.

- Harry, słyszałeś, co nasz prezydent powiedział waszemu prezydentowi, kiedy sądzili, że nikt ich nie słyszy?

Pendel zainteresował się uprzejmie.

- Trzej prezydenci siedzieli w jednym pokoju, rozumiesz? Z Panamy, Argentyny i Peru, „Wam to dobrze - mówi prezydent Panamy. - Możecie być wybrani na drugą kadencję. A u nas w Panamie konstytucja zabrania reelekcji. To niesprawiedliwe”. Więc nasz prezydent odwraca się i mówi „Mój drogi, może ja potrafię zrobić dwa razy to, co ty zrobisz tylko raz!” Na to prezydent Peru mówi...

Ale Pendel nie usłyszał, co powiedział prezydent Peru. Znowu odezwały się niebiańskie chóry, kiedy skwapliwie opisywał w swym notesie zakulisowe starania projapońskiego prezydenta Panamy o przedłużenie swego panowania na dwudziesty pierwszy wiek, co przebiegły hipokryta Ernie Delgado wyznał zaufanej sekretarce i niezastąpionej asystentce Louisie, znanej też jako Louisie.

- Te dranie z opozycji nasłali na mnie jakąś babą podczas wczorajszego spotkania - powiedział z dumą parlamentarzysta Juan Carlos, gdy Pendel zaznaczał kredą ramiona garnituru. - Nigdy w życiu nie widziałem dziwki! Wychodzi z tłumu, podbiega do mnie cała w uśmiechach. Wszędzie kamery telewizyjne, dziennikarze. A ona jak mnie nie rypnie prawym sierpowymi Co miałem zrobić. Oddać jej przed kamerami? Juan Carlos, damski bokser. Gdybym nic nie zrobił, nazwaliby mnie ciotą. Wiesz, co zrobiłem?

- Nic nie przychodzi mi do głowy. - Pendel sprawdza wymiary w pasie i dodaje dwa centymetry, żeby uwzględnić dobrą passę Juana Carlosa.

- Pocałowałem ją w usta. Władowałem jej język w parszywe gardło. Miała oddech jak świnia. Teraz mnie podziwiają.

Pendel był oszołomiony. Pendel unosił się w zachwycie nad ziemią.

- Chodzą słuchy, że chcą cię postawić na czele jakiegoś ważnego komitetu? - spytał surowo. - Następnym razem będę cię ubierał na uroczyste zaprzysiężenie.

Juan Carlos roześmiał się chrapliwie.

- Ważnego? Komitet do spraw walki z ubóstwem? To najgorszy komitet w mieście. Bez funduszy, bez przyszłości. Siedzimy, gapimy się na siebie, współczujemy ubogim, a potem idziemy na porządny obiad.

„Podczas kolejnej rozmowy w cztery oczy przeprowadzonej z zaufaną osobistą asystentką za zamkniętymi drzwiami Ernesto Delgado, siła napędowa Komisji Kanału i zagorzały zwolennik tajnego porozumienia japońsko-panamskiego, zauważył, że poufne akta dotyczące przyszłości Kanału zostaną podsunięte Juanowi Carlosowi z Komitetu do spraw walki z ubóstwem. Zapytany, co Komitet do spraw walki z ubóstwem ma wspólnego z Kanałem,

Delgado uśmiechnął się zagadkowo i odparł, że nie wszystko na tym świecie jest tym, czym się wydaje”.

Siedziała przy biurku. Widział to dokładnie, kiedy wykręcał do niej bezpośredni numer: elegancki korytarz na górnym piętrze budynku Komisji z otworami wentylacyjnymi w drzwiach dla lepszego przepływu powietrza; wysoki przestronny gabinet z widokiem na stary dworzec kolejowy zbezczeszczonym szyldem McDonalda, który codziennie doprowadzał ją do furii; supernowoczesne biurko z monitorem komputera i wbudowanym w blat telefonem. Chwila wahania, podnosi słuchawkę.

- Zastanawiałem się, czy nie masz ochoty na coś specjalnego dziś wieczorem, kochanie.

Czemu?

- Pomyślałem, że może kupię coś po drodze do domu.

- Sałatkę.

- Coś lekkiego po squashu, tak, kochanie?

- Tak, Harry. Po squashu będę miała ochotę na lekki posiłek, na przykład sałatkę. Jak zwykle.

- Dużo pracy? Stary Ernie pogania?

- Czego chcesz?

- Chciałem usłyszeć twój głos, kochanie, to wszystko. Jej śmiech onieśmielił go.

- Więc się streszczaj, bo za dwie minuty ten głos będzie tłumaczem grupy ponurych kapitanów z portu z Kioto, którzy w ogóle nie mówią po hiszpańsku, a niewiele po angielsku i chcą spotkać się z prezydentem Panamy.

- Kocham cię, Lou.

- Mam nadzieję, Harry, a teraz muszę kończyć.

- Kioto?

- Tak, Harry. Kioto. Do widzenia.

KIOTO, napisał ekstatycznie wielkimi literami. Co za współpracownik. Co za kobieta. Co za zdobycz. I chcą się spotkać z prezydentem. I spotkają się. Marco wprowadzi ich do tajnych komnat Najjaśniejszego Pana. Emie odwiesi aureolę i pójdzie z nimi. Mickie usłyszy o tym dzięki swym wysoko opłaconym informatorom w Tokio lub Timbuktu, czy gdzie tam ich przekupuje. A as wywiadu Pendel doniesie o tym słowo w słowo.

Przerwa. Zamknięty w pracowni jak w klasztornej celi Pendel przegląda lokalne gazety - ostatnio czyta wszystkie - w poszukiwaniu codziennego okólnika dworu pod tytułem *Dzisiaj wasz prezydent przyjmuje*. Ani słowa o posępnych kapitanach portu z Kioto, w tym dniu w ogóle nie ma Japończyków. Doskonale. Spotkanie było nieoficjalne. Tajne, konspiracyjne spotkanie, Marco wpuścił ich tylnymi drzwiami - grupę, japońskich bankierów o zaciętych ustach, którzy podają się za kapitanów portu niemówiących po hiszpańsku, choć naprawdę mówią. Trzeba dodać warstwę magicznej farby i pomnożyć rezultat przez nieskończoność. Kto tam jeszcze był oprócz podstępного Erniego? Oczywiście! Guillaume! Chytry zabójca ad we własnej osobie! Oto i on, stoi przede mną i trzęsie się jak osika!

- *Monsieur* Guillaume, witam, co za punktualność, jak zwykle! Marto, szklaneczka szkockiej dla *monsieur*.

Guillaume pochodzi z Lilie. Jest myszowaty i ruchliwy. Jako geolog bada próbki ziemi dla poszukiwaczy. Wrócił właśnie z pięcioletniego pobytu w Medellin. W tym czasie, o

czym informuje bez tchu Pendela, miasto było świadkiem dwunastu porwań i dwudziestu jeden morderstw. Pendel szyje dla niego jednorzędowy garnitur z płowej alpaki z kamizelką i dodatkowy parą spodni. Po mistrzowsku naprowadza rozmowę na temat polityki kolumbijskiej.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem, jak ten ich prezydent śmie chodził z podniesionym czołem. Po tych wszystkich skandalach i aferach narkotykowych.

Guillaume popija łyk szkockiej i mruga oczami.

- Codziennie dziękuję Bogu, że jestem zwykłym technikiem. Przychodzę. Badam glebę. Piszę raport. Wychodzę. Jadę do domu. Jem kolację. Kocham się z żoną. Istnieję.

- I pobierasz ładną pensyjkę - przypomina mu wspaniałomyślnie Pendeli.

- Z góry - zgadza się Guillaume, nerwowo sprawdzając swe istnienie w wysokim lustrze. - I od razu wpłacani ją do banku. Jeśli chcą mnie zastrzelić, wiedzą, że marnują pieniądze.

„Ostatnim uczestnikiem spotkania był tajemniczy francuski geolog i niezależny międzynarodowy konsultant powiązany z kartelem w Medellin na szczeblu rządowym, niejaki Guillaume Delassus, uważany w pewnych kręgach za osobę o ogromnych wpływach i piątego najbardziej niebezpiecznego człowieka w Panamie”.

Pozostałe cztery miejsca nadal czekają na obsadzenie, dodał w myślach w trakcie pisania.

Wzmógł się ruch w porze lunchu. Duży popyt na kanapki z tuńczykiem. Sama Marta jest wszędzie i nigdzie, celowo schodzi Pendelowi z oczu. Podmuchy dymu z papierosów i wybuchy męskiego śmiechu. Panamczycy uwielbiają zabawę w P & B. Ramón Rudd przyprowadził ze sobą przystojnego chłopaka. Piwo z kubelka z lodem, schłodzone wino owinięte w folię, gazety z kraju i zagranicy, telefony komórkowe używane dla szpanu. Pendel w potrójnym żywiole: krawca, gospodarza i asa wywiadu, przemyka między przymierzalnią a salą klubową, zatrzymuje się w locie, żeby zanotować niewinne uwagi w notesie, słyszy więcej, niż się mówi, zapamiętuje więcej, niż słyszy. Stara gwardia z nowymi rekrutami na holu. Rozmowy o skandalach, koniach, pieniądzach. Rozmowy o kobietach i sporadycznie o Kanale. Trzaśnięcie frontowymi drzwiami, hałas opada i zaraz znów się podnosi, okrzyki: „Rafi! Mickie!”. Duet Abraxas-Domingo wmaszerowuje jak zwykle z wielkim rozmachem, słynna para playboyów znów w przyjaźni. Rafi cały w złocie - łańcuchy, pierścienie, zęby - i we włoskich butach. Na ramiona narzucił kolorowy płaszcz od P & B, gdyż Rafi nie znosi monotonii, nie cierpi marynarek, chyba że są ekstrawaganckie, kocha śmiech, słońce i żonę Mickiego.

A Mickie, posępny i nieszczęśliwy, trzyma się kurczowo swego przyjaciela Rafiego, jak gdyby wszystko inne przepił i przehulał. Mężczyźni wkraczają w ten zgiełk i rozdzielają się. Tłum skupia się przy Rafim, a Mickie zmierza do przymierzalni, do kolejnego nowego garnituru, który musi być wspanialszy, piękniejszy, droższy, elegantszy i bardziej kuszący od garnituru Rafiego. Rafi, masz zamiar zdobyć w niedzielę złoty puchar pierwszej damy?

Nagle wieża Babel cichnie i słychać tylko jeden głos. Dudniący i beznadziejny głos Mickiego, który oświadcza zebranych z przymierzalni, że nowy garnitur jest do dupy.

Mówi to raz, potem znowu powtarza, prosto w twarz Pendela. Wyzwanie, które wolałby rzucić Rafiemu, ale nie ma odwagi, więc kieruje je do Pendela. Wypowiada te słowa po raz trzeci, bo tego oczekują od niego zebrani. Pendel w odległości pół metra obsługuje go z kamienną twarzą. Kiedy indziej Pendel może uchyliłby się przed atakiem, rzucił jakiś

dobroduszny żart, zaproponował Mickiemu drinka, powiedział, żeby przyszedł w lepszym nastroju, wyprowadził go na schody i wsadził do taksówki. Obaj towarzysze z celi odgrywali już takie sceny i Mickie następnego dnia przysyłał drogie prezenty w postaci pięknej orchidei, wina, cennych drobiazgów i dostarczonych przez kuriera tchórzliwych liścików z wyrazami przeprosin i wdzięczności.

Ale spodziewać się tego po Pendelu dzisiaj to jak wróżyć bez czarnego kota, który teraz zrywa się z uwięzi i rzuca na Mickiego z pazurami i obnażonymi kłami, wpijając się w niego z wściekłością, o którą nikt by Pendela nie podejrzewał. Całe to poczucie winy za to, że wykorzystał słabość Mickiego, zniesławiał go, wyzyskał, sprzedał, odwiedził na samym dniu poniżenia, wybucha teraz w postaci gwałtownego gniewu.

- Nie szyję garniturów jak Armani?! - powtórzył kilka razy prosto w osłupiałą twarz Mickiego. - Nie szyję garniturów jak Armani? No to świetnie, Mickie, właśnie oszczędziłeś siedem tysięcy dolarów. Ale wiesz co, zrób mi tę łaskę, idź do Armaniego, kup sobie u niego gotowy garnitur i nie wracaj tutaj więcej. Przecież Armani szyje lepsze garnitury niż ja. Drzwi są tam.

Mickie ani drgnął. Jak, do diabła, facet tak potężnych rozmiarów może kupić sobie gotowy garnitur u Armaniego? Ale Pendel nie mógł się powstrzymać. Wstyd, wściekłość i przeczucie katastrofy szalały w jego piersi. Mickie, moje dzieło. Mickie, moja porażka, mój współwzięcie, szpieg, przychodzi tu i obraża mnie w moim własnym domu!

- Wiesz co? Garnitur ode mnie nie reklamuje człowieka, a tylko określa. A może ty nie chcesz być określony? Może nie ma czego określać?

Śmiech. U Mickiego było co określać, i to w nadmiarze.

- Garnitur ode mnie to nie jest byle co. To linia, forma, dobre oko, sylwetka. To niedopowiedzenie, które nie mówi światu więcej, niż powinien wiedzieć. Stary Braithwaite nazywał to dyskrecją. Jeśli ktoś zauważa garnitur ode mnie, jest mi głupio, bo musiałem coś spartaczyć. Moje garnitury nie upiększają, nie robią z ciebie najładniejszego chłopca w mieście. Moje garnitury nie są prowokacją. One podpowiadają, sugerują. Przyciągają ludzi. Pomagają ci poprawić jakość życia, spłacić długi, zdobyć wpływy w świecie. Bo kiedy przyjdzie na mnie pora, żeby w ślad za starym Braithwaite'em udać się do wielkiej szwalni w niebie, chciałbym wierzyć, że tam w dole są ludzie, którzy chodzą w moich garniturach i dzięki temu lepiej o sobie myślą. Nie będę tego tłumić w sobie dłużej, Mickie. Pora, żebyś i ty wziął na swoje barki część tego ciężaru. - Wciągnął powietrze i wyglądał, jakby chciał się opanować, bo wydał z siebie coś w rodzaju czkawki. Spróbował jeszcze raz, ale na szczęście Mickie go ubiegł. Harry - szepnął - uwierz, chodzi tylko o spodnie. O nic więcej. Wyglądam w nich za staro. Daruj sobie te filozoficzne gadki. Znam je.

W głowie Pendela zabrzmiał sygnał ostrzegawczy. Rozejrzał się po zdumionych twarzach klientów, spojrzął na Mickiego, który gapił się na niego, ściskając kurczowo inkryminowane spodnie z alpaki, tak samo jak on kiedyś ściskał pomarańczowe więzienne spodnie, jak by się bał, że ktoś je z niego zerwie. Zobaczył Martę, nieruchomą jak posąg - jej oszpecona twarz wyrażała dezaprobatę i strach. Opuścił pięści i wyprostował się, co stanowiło wstęp do przyjęcia bardziej swobodnej pozy.

- Spodnie będą idealne - zapewnił go nieco łagodniej. - Nie podobał mi się ten wzór, ale uparłeś się i miałeś rację. Każdy cię pokocha w tych spodniach. I w tej marynarce. Słuchaj,

Mickie, ktoś musi odpowiadać za ten garnitur, albo ty, albo ja. Zdecyduj się?

- Jezu - szepnął Mickie i wyniósł się chyłkiem, wsparty na ramieniu Rafiego.

Zakład opustoszał i zapadł w popołudniową drzemkę, klienci wyszli. Musieli zarabiać pieniądze, udobruchać żony i kochanki, zawrzeć umowy, zagrać na wyścigach, roznieść plotki. Marta też zniknęła. To jej czas na naukę. Pewnie wsadziła już nos w książki. Po powrocie do pracowni Pendel włączył Strawińskiego, oczyścił blat z papierowych szablonów, materiału, kredy i nożyc. Otworzył krawiecki notes w miejscu, gdzie zaczynały się kodowane zapiski. Atak na starego przyjaciela był dla niego oczyszczeniem, nie dopuszczał do siebie tej myśli. Usłyszał za to wołanie swej muzy.

Z książki faktur wyjął liniowaną kartkę z niemal królewskim herbem firmy Pendel & Braithwaite na górze. Był to wystawiony kaligraficznym pismem Pendela rachunek dla pana Andrew Osnarda na sumę dwóch i pół tysiąca dolarów z adresem jego prywatnego apartamentu w Paitilli. Rozłożył fakturę na blacie, wziął do ręki stary, przypisywany Braithwaitewi długopis i archaicznym pismem, które od dawna udoskonalił do korespondencji krawieckiej, dodał: „będę wdzięczny za szybkie uregulowanie należności”, co oznaczało, że niniejszy rachunek nie jest zwykłym wezwaniem do zapłaty. Z teczki w środkowej szufladzie biurka wyjął czystą białą kartkę bez znaków wodnych z podarowanego mu przez Osnarda bloku i jak zwykle powąchał ją. Nie pachniała niczym znajomym, może trochę więziennym środkiem dezynfekującym, ale bardzo słabo.

Nasączana magicznymi substancjami kalka do jednorazowego użytku.

„Co z tym robisz, gdy dostaniesz list?”

„Wywołuję, a co myślałeś?”

„Gdzie? Jak?”

„A co cię obchodzi? U siebie w łazience. Daj mi teraz spokój”.

Ostrożnie położył kalkę na fakturze, wyjął z szuflady ołówki 2H, który dał mu Osnard, i zaczął pisać przy dźwiękach Strawińskiego. Ale w pewnej chwili muzyka Strawińskiego rozdrażniła go, więc wyłączył ją. Ciocia Ruth mawiała, że to diabeł gra najpiękniejsze melodie. Włączył Bacha, ale Louisa przepadała za Bachem, więc wyłączył go i pracował w niezycziwej ciszy, co było dość niezwykle. Zmarszczone brwi, wystający koniuszek języka. Incydent z Mickiem poszedł w niepamięć i w Pendelu zaczęła wzbierać płynność. Nasłuchiwał podejrzanych kroków albo znaczących szmerów podsłuchującego wroga po drugiej stronie drzwi. Co chwila przenosił wzrok z hieroglifów w notesie na kalkę. Wynajdował i łączył. Organizował i naprawiał. Udoskonalał. Rozdmuchiwał nie do poznania. Zniekształcał. Z chaosu wydobywał porządek. Tyle jest do powiedzenia. I tak niewiele czasu. Japonce w każdej szafie. Podjudzani przez Chińczyków. Pendel latał. Raz nad materiałem, kiedy indziej pod nim. Raz jako geniusz, kiedy indziej jako niewolnik swych fantazji, pan ulotnego królestwa, księżę i żebrak w jednej osobie. Z czarnym kotem przy boku. I jak zwykle w intrygę zamieszani są Francuzi. Harry, mój chłopcze, po prostu eksplozja. Wściekła siła, poryw, wypuszczenie i uwolnienie. Powrót na ziemię, dowód łaski Boga, wyrównanie krzywd. Grzeszna karuzela twórczości, złodziejstwa, zniekształcania i kłamstwa w wykonaniu delirycznie ugodowego, wściekłego wygnańca z niezakończoną pokutą i czarnym kotem, machającym ogonem. Zmiana kalki, zmięcie starej, rzut do kosza na śmieci. Przeładowanie broni i kolejna kanonada. Wydarcie stron z notesu i spalenie ich w kominku.

- Kawy? - zapytała Marta.

Największy konspirator świata zapomniał zamknąć drzwi na klucz. W kominku za nim szaleją płomienie. Spalony papier czeka na rozgrzebanie.

- O tak, dziękuję.

Zamknęła za sobą drzwi. Sztywno, bez uśmiechu.

- Może pomóc?

Unikała jego wzroku. Westchnął.

- Tak.

- W czym?

- Gdyby Japończycy planowali potajemnie wybudować nowy kanał na poziomie morza i przekupili panamski rząd, a studenci dowiedzieliby się o tym, co by zrobili?

- Dzisiejsi studenci?

- Twój. Ci, którzy rozmawiają z rybakami.

- Wszczęliby zamieszki. Wyszliby na ulice, zaatakowali pałac prezydencki, parlament, zablokowali Kanał, wezwali do strajku generalnego, uzyskali poparcie innych krajów tego regionu i przystąpili do antykolonialnej krucjaty w Ameryce Łacińskiej. Zażądaliby wolnej Panamy. Spalilibyśmy też wszystkie japońskie sklepy i powiesili zdrajców, poczynając od prezydenta. Wystarczy?

- Dziękuję. Na pewno wystarczy. I naturalnie poprosilibyście o pomoc ludzi z drugiej strony mostu - zasugerował po namyśle.

- Naturalnie. Studenci to tylko awangarda ruchu robotniczego.

- Przepraszam za awanturę z Mickiem - wymamrotał po chwili Pendel - ale nie mogłem się powstrzymać.

- Kiedy nie możemy krzywdzić wrogów, krzywdzimy przyjaciół. Chyba wiesz o tym.

- Wiem.

- Dzwonił Niedźwiedź.

- W sprawie artykułu?

- Nic nie mówił o artykule. Powiedział, że musi się z tobą spotkać. Szybko. Tam, gdzie zwykle. Zabrzmiało to jak groźba.

Boulevard Balboa na Avenida Balboa była to niska francuska piwiarnia z polistyrenowym sufitem i więziennymi reflektorami w drewnianych ramkach. Kilka lat temu wybuchła tu bomba, ale nikt nie pamiętał już dlaczego. Duże okna wychodziły na Avenida Balboa i dalej - na ocean. Przy długim stole jakiś mężczyzna z silnie zarysowaną szczęką, w obstawie goryli w czarnych garniturach i czarnych okularach wymądrzał się do telewizyjnej kamery. Niedźwiedź zajmował własny stolik i czytał własną gazetę. Stoliki wokół niego były puste. Miał na sobie marynarkę w paski od P & B i kapelusz panama za sześćdziesiąt dolarów. Lśniaca kruczoczarna broda wyglądała, jakby właśnie została umyta. Pasowała do czarnych oprawek okularów.

- Dzwoniłeś, Teddy - przypomniał mu Pendel; od minuty siedział niezauważony po złej stronie gazety.

Gazeta niechętnie opadła.

- O co chodzi? - zapytał Niedźwiedź.

- Dzwoniłeś, więc przyszedłem. Z marynarką, widzę, wszystko w porządku.

- Kto kupił farmę ryżową?

- Przyjaciel.

- Abraxas?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego oczywiście?

- Jest spłukany.

- Kto tak twierdzi?

- On sam.

- Może ty płacisz Abraxasowi. Może pracuje dla ciebie. Prowadzisz jakieś interesy z Abraxasem? Handlujecie narkotykami, jak jego ojciec?

- Teddy, chyba coś ci się pokręciło.

- Jak udało ci się spłacić Rudda? Kto jest tym szalonym milionerem, którym się tak chępcisz, me dając Ruddowi zarobić? To wyjątkowo obraźliwe. Po co otworzyłeś ten śmieszny klub nad zakładem? Sprzedałeś komuś firmę? Co się dzieje?

- Jestem krawcem, Teddy. Szyję ubrania dla dżentelmenów, a firma się rozwija. Chcesz mi zaproponować darmową reklamę? Niedawno był artykuł w „Miami Herald”. Nie wiem, czy na mego trafiłeś.

Niedźwiedź westchnął. Jego głos brzmiał obojętnie. Współczucie, człowieczeństwo, ciekawość już dawno z mego wyparowały, jeśli w ogóle kiedyś tam były.

- Pozwól, że wyjaśnię ci, na czym polega dziennikarstwo - powiedział. - Zarabiam na dwa sposoby. Po pierwsze, płacą mi za pisanie artykułów, więc je piszę. Nie cierpię pisania ale muszę jeść, muszę sfinansować swój apetyt. Po drugie, ludzie płacami, żebym me pisał. Wolę to, bo nie muszę me pisać, a i tak dostaję kasę. Jeśli dobrze rozegram partię, dostaję więcej za niepisanie niż za pisanie. Jest jeszcze trzeci sposób, którego też me lubię. Nazywam go

ostatnią deską ratunku. Chodzę do różnych ludzi rządu i proponuję im kupno tego, co wiem. Ale to mnie me satysfakcjonuje.

- Dlaczego?

- Nie lubię sprzedawać w ciemno. Jeśli układam się z kimś zwyczajnym - z tobą czy z tamtym gościem - I wiem, że mogę zniszczyć jego reputację, karierę lub małżeństwo i on też o tym wie, wtedy artykuł ma swoją cenę, możemy coś uzgodnić, prowadzimy normalne rozmowy handlowe. Ale kiedy zwracam się do ludzi z rządu... - lekko pokręcił głową z dezaprobatą - ...nie wiem, jaką dany materiał przedstawia dla nich wartość. Niektórzy są sprytni, a niektórzy to osły. Nie wiadomo, czy naprawdę są ignorantami, czy tylko udają. Kiedy jedna strona blefuje, druga strona też to robi i wszystko pochłania mnóstwo czasu. Mogą mnie zresztą załatwić moimi własnymi aktami. Nie lubię tracić cennego czasu w ten sposób. Jeśli chcesz zrobić interes, dasz mi szybką odpowiedź i oszczędzisz trudu, zaproponuję ci korzystną cenę. Skoro masz do dyspozycji szalonego milionera powinien być wliczony do obiektywnej oceny twoich możliwości finansowych.

Pendel czuł, że składa swój uśmiech jak łamigłówkę, najpierw jedną stroną potem drugą następnie policzki i kiedy już opanował wzrok, oczy. Wreszcie głos.

- Teddy, coś mi się wydaje, że próbujesz naciągnąć mnie na bardzo stary numer. Mówisz: „Uciekaj, wszystko się wydało”, i masz zamiar wprowadzić się do mojego domu, kiedy ja będę jechał na lotnisko.

- Pracujesz dla jankesów? Niektórym osobom z rządu bardzo by się to nie spodobało, Anglik wkradający się na ich terytorium. Nie mieliby litości. Co innego, jeśli robią to sami i zdradzają własny kraj. To ich wybór, urodzili się tutaj, kraj należy do nich, mogą robić z nim, co im się podoba, to ich prawo. Ale kiedy cudzoziemiec przyjeżdża tutaj i dopuszcza się zdrady... to już prowokacja. Nie wiadomo, jak mogliby zareagować.

- Masz rację, Teddy. Z dumą potwierdzam, że pracuję dla jankesów. Szef Dowództwa Południowego zamówił jednorzędowy garnitur z zapasowymi spodniami i kamizelką. A charge d'affaire - moherowy smoking i tweedową marynarkę na wakacje w North Haven.

Pendel wstał i poczuł, że kolana dygoczą mu w nogawkach.

- Nie masz na mnie haka, Teddy. Gdybyś miał, nie pytałbyś o nic. I nie masz haka dlatego, że on nie istnieje. A skoro już mówimy o pieniądzach, byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał łaskawie zapłacić za tę elegancką marynarkę, którą masz na sobie, żeby Marta mogła dokonać rozliczenia.

- Nie potrafię zrozumieć, jak możesz pieprzyć tę Mulatkę bez twarzy.

I Pendel zostawił Niedźwiedzia w tej samej pozycji, jakiej go zastał - z odchyłoną do tyłu głową i podniesioną brodą, zaczytanego w artykule, który sam napisał.

Pendel z przykrością stwierdził, że w domu nie ma nikogo. Więc to nagroda za dzień ciężkiej pracy? - powiedział do pustych ścian. Człowiek o dwóch zawodach, który zaharuje się na śmierć, musi sobie przywozić wieczorem jedzenie? Ale jest coś na pocieszenie. Teczka ojca Louisy znów leży na jej biurku. Otworzył ją wyciągnął gruby notatnik biurowy z wytłoczonym czarną gotyką czcionką napisem „Dr E. Delgado” na okładce. Obok leżał plik korespondencji oznaczonej słowem „Spotkania”. Ignorując kłopoty, łącznie z bliską groźbą zdemaskowania przez Niedźwiedzia, Pendel zmusił się znowu do wejścia w rolę szpiega. Górne światło było przyściemnione. Przełączył je na pełne. Przyciskając zapalniczkę Osnarda

do jednego oka, zamknął drugie i spojrzął przez maleńki obiektyw, starając się nie zasłaniać go nosem ani palcami.

- Dzwonił Mickie - powiedziała w łóżku Louisa.
- Gdzie dzwonił?
- Do mnie. Do biura. Znowu chce się zabić.
- Ach tak.
- Mówi, że zwariowałaś. Mówi, że ktoś cię opętał.
- To miło z jego strony.
- Przyznałam mu rację - powiedziała i zgasiła światło.

Był niedzielny wieczór i zaliczyli już trzy kasyna, ale Andy nie wystawi jeszcze Boga na próbę, a obiecał Frań, że to zrobi. Prawie nie widziała go przez cały weekend, nie licząc kilku godzin snu i sesji szybkiego porannego seksu przed pójściem do pracy. Pozostałą część weekendu spędził w ambasadzie z Shepherdem, który w zrobionym na drutach sweterku i czarnych pepegach znosił mu gorące ręczniki i liczne filiżanki kawy. Tak przynajmniej wyobrażała to sobie Frań. Ubranie Shepherda w czarne pepegi nie było z jej strony miłe, bo nigdy go w nich nie widziała. Ale pamiętała że znosił je nauczyciel wychowania fizycznego, a Shepherda cechował ten sam służalczy entuzjazm.

- Gruby plik materiałów BUCHANA - wyjaśnił Andy konspiracyjnie - Muszę je przekuć w raport. Wszystko bardzo pilne z terminem na wczoraj.

- Kiedy Buchanerowie zapoznają się z nimi?

- Londyn spuścił kurtynę. Są za gorące na miejscową konsumpcję, dopóki analitycy nie podmuchają na nie.

I tak przedstawiały się sprawy, póki dwie godziny temu Andy nie porwał jej do niesamowicie drogiej restauracji nad oceanem, gdzie przy butelce szatni pana postanowił, że czas wystawić Boga na próbę.

- Tydzień temu dostałem spadek po ciotce. Śladowa suma. Nie przyznam się nikomu. Niech Bóg ją podwoi w jedyny możliwy sposób.

Był w bojowym nastroju. Niespokojny, z rozbieganymi oczami, zaperzający się z byle powodu, skłonny do kłótni.

- Gracie na życzenie? - ryknął do kapelmistrza, kiedy tańczyli.

- Cokolwiek *madame* sobie życzy, *senor*.

- Więc przestańcie rzępolić - zasugerował Andy, a Frań sprytnie odciągnęła go dalej.

- Andy, to nie jest kuszenie Boga, tylko szukanie guza - powiedział surowo, kiedy zapłacił za kolację wilgotnymi pięćdziesięciodolarowymi banknotami wyciągniętymi z wewnętrznej kieszeni nowej lnianej marynarki miejscowego krawca.

W pierwszym kasynie siedział przy wielkim stole i nie grał, tylko obserwował, a Frań stała za nim jak Anioł Stróż.

- Masz ulubiony kolor? - zapytał ją przez ramię. - Wiać nie Bóg o tym decyduje?

- My wybierzemy kolor, a Bóg zajmie się szczęściem. Takie są zasady gry. Wypił szampana, ale wciąż nie obstawiał. Znają go tu, pomyślała, gdy wychodzili. Już tu bywał. Zorientowała się po twarzach, porozumiewawczych uśmiechach i „zapraszamy znowu”.

- Lokal operacyjny - rzucił krótko, kiedy o tym wspomniała.

W drugim kasynie ochroniarz popełnił błąd i próbował ich zrewidować. Sytuacja

zrobiłaby się nieprzyjemna, gdyby Frań nie okazała karty dyplomatycznej. I tym razem Andy obserwował grę, ale nie brał w niej czynnego udziału. Dwoje dziewcząt na drugim końcu stołu próbowało przechwycić jego spojrzenia, a jedna zawołała nawet: „Cześć, Andy”.

- Obowiązki operacyjne - powtórzył.

Trzecie kasyno mieściło się w nieznanym jej hotelu w dzielnicy, przed którą ja przestrzegano, w pokoju numer 303 na trzecim piętrze. Trzeba było zapukać i poczekać. Ogromny kafar obmacał go, ale tym razem Andy nie sprzeciwił się. Poradził nawet Frań, żeby pozwoliła mu zajrzeć do torebki. Krupierzy zeszywnieli, gdy weszli do drugiego pokoju. Zrobiło się ciszej. Ludzie odwracali głowy i przerywali rozmowy, co nie było niczym dziwnym, zważywszy na fakt, że Andy poprosił o żetony za pięćdziesiąt tysięcy dolarów w pięćsetkach i tysiącach. Tych małych nie potrzebuję, dziękuję bardzo, proszę je odłożyć z powrotem.

I zanim Frań się zorientowała, Andy siedział już obok krupiera. Znowu stanęła za nim. Krupierem była ubrana w kusą sukienkę zmysłowa kurwa o ziemistej cerze, grubych wargach i drobnych ruchliwych dłoniach z czerwonymi szponiastymi paznokciami. Koło poszło w ruch. Kiedy się zatrzymało, Andy miał o dziesięć tysięcy dolarów więcej, bo postawił na czerwone. Z tego, co mogła później ustalić, wynikało, że zagrał osiem lub dziewięć razy. Szampana zamienił na szkocką. Podwoił swoje pięćdziesiąt tysięcy dolarów, co najwyraźniej wyznaczył Bogu jako cel, a potem dał sobie jeszcze jedną szansę dla zabawy i zgarnął kolejne dwadzieścia tysięcy. Poprosił o torbę i taksówkę pod drzwi. Uważał, że głupio byłoby paradować po ulicy ze stu dwudziestoma tysiącami dolarów w torbie, i powiedział, że Shepherd może sprowadzić jego cholerny samochód jutro albo go zostawić, i tak go nie znosi.

W umyśle Frań kolejność tych wydarzeń nie była ścisła, bo w tym czasie jedyną rzeczą, na której mogła się skoncentrować, były jej pierwsze w życiu zawody. Kucyk, jak każdy kucyk na świecie zwany Misty, wziął bezbłędnie Pierwszą przeszkodę, a potem pomknął osiem kilometrów drogą do Shrewsbury z przerażoną Frań przyklejoną do jego szyi. Obok mijały ich jadące w obie strony samochody i nikt, oprócz niej samej, zdawał się tym nie przejmować.

- Wczoraj wieczorem był u mnie Niedźwiedź - powiedziała Marta, zamknąwszy za sobą drzwi pracowni. - Przeprowadził kumpla z policji.

Był poniedziałek rano. Pendel siedział przy stole, wprowadzając ostatnie poprawki do planu strategii Cichej Opozycji. Odłożył ołówek 2H.

- Po co? Co zrobiłaś?

- Wypytywali o Mickiego.

- A dokładnie o co?

- Dlaczego tak często przychodzi do zakładu, dlaczego odwiedza cię o tak dziwnych porach.

- Co im powiedziałaś?

- Chcą, żebym na ciebie donosiła - powiedziała.

Nadejście z placówki panamskiej pierwszych materiałów oznaczonych hasłem BUCHAN DWA wyniosło Scottiego Luxmore'a, ich ojca chrzestnego, na szczyt samozadowolenia. Dziś rano euforia ustąpiła jednak miejsca rozdrażnieniu. Chodził po gabinecie dwa razy szybciej niż zwykle. Jego szkocki głos, wpadający w mentorski ton, stał się ochrypliwy. Wzrok niezmordowanie wędrował za rzekę, w kierunku północnym i zachodnim, tam, gdzie teraz leżała jego przyszłość.

- *Cherchez la femme*, Johnny - poradził wychudłemu młodzieńcowi o nazwisku Johnson, który zastąpił Osnarda na niewdzięcznym stanowisku osobistego asystenta. - W naszym fachu ludzka samica jest warta pięciu mężczyzn.

Johnson, który tak jak jego poprzednik opanował podstawową sztuki lizusostwa, pochylił się do przodu, żeby pokazać, z jakim zainteresowaniem słucha.

- Są perfidne, Johnny. Mają tupet, to urodzone obłudnice. Jak myślisz dlaczego nalega, żeby działać wyłącznie za pośrednictwem męża? - zapyta uroczystym głosem osoby, która za chwilę poda odpowiedź. - Wie doskonale, że go przyćmi. A gdzie on wtedy się znajdzie? Na bruku. Niepotrzebny Splacony. Dlaczego miałyby do tego dopuścić? - Potarł otwartymi dłońmi o szwy spodni. - Ma zamienić dwie pensje na jedną i zrobić z męża głupka. To nie nasza Louisa. Nie nasz BUCHAN DWA! - Zmrużył oczy, jakby dojrzał kogoś w odległym oknie. Ale nie przerwał perory. - Wiedziałem, co robię. Ona też. Johnny, nigdy nie bagatelizuj kobiecej intuicji. On ma już a sobą swoje apogeum. Wypalił się.

- Osnard? - zapytał z nadzieją w głosie Johnny. Od sześciu miesięcy od grywał rolę cienia Luxmore'a i nadal nie proponowano mu żadnej placówki.

- Jej mąż, Johnny - odparł z irytacją Luxmore i zakrzywionymi jak szpony palcami przesunął po jednym z zarośniętych policzków. - BUCHAN JEDEN. Tak, na początku zapowiadał się bardzo obiecująco. Ale brakowało mu wizji, oni nigdy jej nie mają. Brakowało skali, świadomości historii. Same ploteczki, podgrzewane resztki i krycie własnego tyłka. Nie zagrzałby u nas miejsca na dłużej, teraz to widzę. Ona też to dostrzegła. Zna go przecież. Zna jego ograniczenia lepiej niż my. I zna własną siłę.

- Analitycy trochę się martwią, że nie ma żadnego potwierdzenia dowodowego - zaryzykował Johnson, który nigdy nie potrafił się oprzeć pokusie odłupania kawałka piedestału Osnarda. - Według Sally Morpurgo w materiałach BUCHAN DWA jest za dużo słów, a za mało konkretów.

Pocisk trafił Luxmore'a, gdy zawracał, by pokonać jedną piątą długości dywanu. Na jego twarz wypłynął szeroki, pusty uśmiech człowieka całkowicie wypranego z poczucia humoru.

- Ach tak? Panna Morpurgo jest bez wątpienia szalenie inteligentną osobą.

- Też mi się tak wydaje.

- A kobiety są dla kobiet o wiele surowsze niż my, mężczyźni. I słusznie.

- Nie pomyślałem o tym.

- Łatwo też ulegają uczuciu zazdrości... może raczej zawiść jest tu lepszym słowem... które

nam, mężczyznom, jest naturalnie obce. Prawda, Johnny?

- Chyba. Nie, to znaczy tak.

- Jakie konkretnie zastrzeżenia ma panna Morpurgo? - zapytał Luxmore tonem człowieka, który nie boi się słusznej krytyki.

Johnson pożałował, że nie trzymał gęby na kłódkę.

- Mówi tylko, że nie ma potwierdzenia dowodowego. W codziennym potopie informacji, jak to nazywa. Nic. Ani w podsłuchu, ani od zaprzyjaźnionych służb łącznościowych, ani u Amerykanów. Ani w dokumentach podróży, ani w przekazach satelitarnych nie zauważono wzmożonej działalności dyplomatycznej. Czarna dziura. Tak twierdzi.

- To wszystko?

- Niezupełnie.

- No, nie oszczędzaj mnie, Johnny.

- Powiedziała, że jeszcze nigdy w historii wywiadu nie płacono tak wiele za tak niewiele. I że to skandal.

Jeśli Johnson liczył na podkopanie zaufania Luxmore'a do Osnarda i efektów jego pracy, rozczarował się, Luxmore wypiął pierś, a jego głos odzyskał dydaktyczny szkocki rytm.

- Johnny. - Cmoknięcie o przednie zęby. - Czy me przyszło ci kiedyś do głowy, że to, co dzisiaj udowodniono negatywnie, jutro może zostać udowodnione pozytywnie?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Zastanów się. Ukrycie śladów przed uszami i oczami współczesnej techniki wymaga wielkiej przebiegłości. Od kart kredytowych do biletów, rozmów telefonicznych, faksów, banków, hoteli, co tam jeszcze. W dzisiejszych czasach nie można kupić butelki wina w supermarkecie, żeby nie wiedział o tym cały świat. „Brak śladów” w takich okolicznościach jest bliski dowodowi. Oni to rozumieją. Wiedzą, co jest potrzebne, żeby stać się niewidocznym, niesłyszalnym, nieznanym.

- Na pewno, proszę pana - przyznał Johnson.

- Światowcom obce są skrzywienia zawodowe, cechujące introwertycznych pracowników wywiadu. Nie mają ciasnej umysłowości, nie grzęzną w bagnie szczegółów i niepotrzebnych informacji. Widzą las, nie drzewa A w tym przypadku widzą wschodnio-południową intrygę niebezpiecznych rozmiarów.

- Sally nie widzi - zaprotestował uparcie Johnson, dochodząc do wniosku, że jak się narażać, to na całego. - Moo też nie.

- Kto to jest Moo?

- Jej asystent.

Uśmiech Luxmore'a był nadal tolerancyjny i dobrotliwy. Zdawał się mówić, że on sam też widzi las, a nie drzewa.

- Odwróćmy twoje pytanie, Johnny, a wtedy chyba znajdziesz odpowiedź. Czemu w Panamie działa podziemie, skoro nie ma się czemu sprzeciwić? Czemu tajne grupy opozycyjne - rekrutujące się nie z motłochu, Johnny tylko z uświadomionych, możnych klas - czekają na sygnał, jeśli nie ma na co czekać? Czemu rybacy są niespokojni? Chytre sztuki, nigdy nie lekceważ ludzi morza. Dlaczego człowiek prezydenta Panamy w Komisji Kanału głosi publicznie jedną politykę, a jego prywatny notes zdradza zupełnie inną? Dlaczego prowadzi jedno życie na powierzchni, a drugie pod wodą zamazując ślady i konferując o

dziwnych porach z Japończykami podającymi się za kapitanów portu? Dlaczego studenci się burzą? Co takiego wyczuwają w powietrzu? Kto szepcze im coś w kawiarniach i dyskotekach? Dlaczego słowo „wyprzedaż” przechodzi z ust do ust?

- Nie wiedziałem o tym - powiedział Johnson, który ostatnio z coraz większym zdumieniem obserwował, jak surowy materiał z Panamy rozkwitł w rękach jego przełożonego.

Ale przecież Johnsona nie informowano o wszystkim - a już najmniej o źródłach inspiracji Luxmore'a. Kiedy Luxmore przygotowywał swe słynne jednostronicowe sprawozdania dla tajemniczego Komitetu Planowania i Realizacji, najpierw zamawiał stertę akt z Najbardziej Tajnego Archiwum, potem zamykał się w gabinecie do czasu, aż dokument był gotowy, chociaż akta - Johnson znalazł sprytny sposób, by je obejrzeć - dotyczyły wydarzeń takich, jak konflikt sueski z 1956 roku, a nie czegoś, co miało się zdarzyć teraz lub w najbliższej przyszłości.

Luxmore testował na Johnsonie swoje teorie. Johnson uświadamiał sobie, że niektórzy ludzie nie potrafią myśleć bez publiczności.

- Johnny, dla służby takiej jak nasza najtrudniej jest dostrzec falę konfliktu, zanim nadciągnie, usłyszeć vox populi, zanim się rozlegnie. Popatrz na Iran i ajatollaha. Popatrz na Egipt przed wojną sueską. Popatrz na pierestrojkę i upadek Imperium Zła. Popatrz na Saddama, jednego z naszych najlepszych klientów. Kto przewidział te wydarzenia, Johnny? Kto dostrzegł czarne chmury tworzące się na horyzoncie? Nie my. Popatrz na Galtieriego i pożogę falklandzką, mój Boże. Co jakiś czas nasz wywiadowczy młot roztrzaskuje każdy orzech oprócz tego, który naprawdę się liczy: czynnika ludzkiego. - Przemierzał gabinet w normalnym tempie, dopasowując kroki do słów. - Ale teraz i do niej się dobieramy. Tym razem możemy udaremnić plany. Mamy wszystkie bazary na podsłuchu. Znamy nastroje ludu, jego podświadome zamiary, ukryte punkty zapalne. Możemy uprzedzić wypadki. Możemy przechytrzyć historię. Złapać ją w pułapkę...

Chwycił za słuchawkę tak szybko, że telefon ledwie miał czas zadzwonić. To tylko jego żona. Pytała, czy jak zwykle zabrał ze sobą do pracy kluczyki do jej samochodu. Luxmore przyznał się do winy, odłożył słuchawkę, poprawił poły marynarki i znów zaczął chodzić po pokoju.

Wybrali dom Geoffa, bo tak chciał Ben Hatry. To w końcu Ben Hatry stworzył Geoffa Cavendisha, chociaż obaj panowie woleli do tego nie wracać. Wybór był słuszny, bo w pewnym sensie od początku cała sprawa była pomysłem Geoffa, jako że właśnie Cavendish przedstawił pierwszy plan gry, a Ben Hatry powiedział: kurwą zrobmy to, tak bowiem lubił się wypowiadać. Jako brytyjski magnat prasowy i pracodawca niezliczonej liczby trzęsących przed nim portkami dziennikarzy czuł naturalną niechęć do języka ojczystego.

To właśnie Cavendish podsycił wyobraźnię Hatry'ego, jeśli Ben Hatry takową posiadał, to Cavendish zawarł umowę z Luxmore'em, zachęcił go, zwiększył jego budżet i jego ego, to Cavendish za przyzwoleniem Hatry'ego zorganizował pierwsze obiady i nieformalne odprawy w drogich restauracjach niedaleko parlamentu, zwerbował odpowiednich posłów, choć nigdy w imieniu Hatry'ego, rozwijał mapę, pokazywał, gdzie jest ta cholerna Panama i gdzie przebiega Kanał, bo połowa miała o tym raczej mgliste pojęcie, to Cavendish dyskretnie rozesłał wici w City i w przedsiębiorstwach naftowych, zbliżył się do bezdennie głupiej konserwatywnej prawicy, co zresztą nie było wielkim wyczynem, postarał się o względy imperialistów, eurosceptyków, rasistów, ksenofobów i zagubionych dzieci.

To Cavendish stworzył wizję rozpoczętej w ostatniej chwili przed wyborami torysowskiej krucjaty i to on złożył tę samą ofertę opozycji - nie martwcie się, chłopcy i dziewczęta, nie musicie niczemu się sprzeciwiać ani zajmować żadnego stanowiska, macie się tylko nie wychylać i mówić, że nie czas na kołysanie narodową łodzią, nawet jeśli płynie w złym kierunku, a sterują nią szaleńcy i w dodatku przecieka jak sito.

I nikt inny jak Cavendish zdołał zaniepokoić multimilionerów, rozpuścił pogłoski o niebezpieczeństwie dla brytyjskiego przemysłu, handlu i kursu funta. Cavendish nas uświadomił, jak lubił to nazywać: czyli zamienił plotkę w powszechne przekonanie, pomysłowo wykorzystując dziennikarzy spoza imperium Hatry'ego, a więc zawodowo nieskalanych jego reputacją; Cavendish doprowadził do publikacji w uczonych, acz ubogich, pismach serii artykułów, te z kolei zostały rozdmuchane do niewiarygodnych rozmiarów przez większe pisma i tak dalej do góry, a raczej w dół - na łamy brukowców, do artykułów redakcyjnych w podupadłych dziennikach dla elity i do nocnych telewizyjnych debat w stacjach, i to nie tylko należących do Hatry'ego, lecz także u konkurencji. Nic bowiem nie jest równie przewidywalne, jak nagłaśnianie przez media własnych wymysłów i przerażenie konkurencji, że zostanie wyprzedzona przez innych. Nieważne, czy historia jest prawdziwa, bo mówiąc szczerze, kochani, w dzisiejszych czasach nie mamy personelu, czasu, chęci, energii, wykształcenia i minimalnego choćby poczucia odpowiedzialności, by sprawdzać fakty. Czytamy tylko, co napisali na ten sam temat inni pisarze, i powtarzamy to niczym Słowo Objawione.

I to Cavendish, niezdarny, ubrany w tweed Anglik, głosem gawędzącego w słoneczne niedzielne popołudnie o rozgrywkach golfowych przedstawiciela wyższych warstw, przekonująco rozpropagował, przez dobrze opłaconych pośredników, cenioną doktrynę Bena Hatry'ego „Jeśli nie teraz, to kiedy?“, która leżała u podstaw jego zabiegów, manipulacji i intryg. Osią tej teorii było założenie, że Stany Zjednoczone jedynie przez następną dekadę, ale nie dłużej, zostaną jedynym światowym supermocarstwem, a potem kurtyna opadnie. Doktryna nakazywała, że jeśli gdzieś na świecie trzeba przeprowadzić jakąś poważną operacją, choćby brutalną i egoistyczną dla obserwatora z zewnątrz, a także od wewnątrz, dla naszego dobra, dla dobra naszych dzieci i dla dobra imperium Hatry'ego i jego rosnących wpływów w krajach Trzeciego i Czwartego świata należy: zrobić to teraz, póki jesteśmy silni, do kurwy nędzy! Przestać się cackać! Zabrać, co trzeba, resztę zniszczyć! Ale w każdym razie przestać się pieścić, ustępować, przepraszać i biadolić.

A gdyby te poglądy ustawiały Bena Hatry'ego po stronie amerykańskich prawicowych ekstremistów i ich rodzonych braci po tej stronie Atlantyku i uczyniły z niego beniaminka przemysłu zbrojeniowego - pierdołę, powiedziałby w swym rozkosznym ojczyznym języku, nie jestem politykiem, nie cierpię drani, jestem realistą i nie obchodzi mnie, z kim się wiąże, jeśli tylko moi sojusznicy rozsądnie gadają i nie chodzą na paluszkach po zagranicznych korytarzach, zwracając się do każdego żółtka, czarnucha i mieszańca: „Przepraszam, że jestem białym amerykańskim liberałem klasy średniej, i proszę nam wybaczyć, że jesteśmy tak potężni, tak silni i bogaci, ale wierzymy w godność i równość wszystkich ludzi stworzonych przez Boga i czy z łaski swojej pozwoli mi pan uklęknąć i pocałować pana w dupę?”

Taki obraz niestrudzenie odmalowywał Ben Hatry swoim zausznikom, ale zawsze pod warunkiem, że zachowacie dyskrecję, chłopcy i dziewczęta, w świętym interesie

obiektywnego relacjonowania wiadomości, dla którego przyszliśmy na świat, a jak się nie podoba, to wypierdalać.

- Mnie nie licz - oznajmił Ben Hatry Cavendishowi dzień wcześniej swym bezbarwnym głosem.

Czasem mówił bez poruszania ustami. Czasem miał już dość swoich machinacji, dość tej ludzkiej miernoty.

- Sami się nimi zajmiecie, dranie - dodał złośliwie.

- Wedle życzenia, wodzu. Szkoda, ale trudno - powiedział Cavendish. Ale Ben Hatry przyjechał, co zresztą Cavendish przewidział. Taksówką, bo nie ufał swemu szoferowi. Przybył nawet dziesięć minut za wcześnie, żeby przeczytać streszczenie gówna, które Cavendish posyłał ludziom Vana przez ostatnie kilka miesięcy - gówno było jego ulubionym określeniem prozy - a na koniec jednostronicowy gorący raport od frajerów zza rzeki, bez podpisu, bez podania źródeł, bez nagłówka. Według Cavendisha raport ten był rozstrzygającym argumentem, czystym winem, brakującym diamentem. Ludzie Vana wpadli w bojowy nastrój, stąd dzisiejsze spotkanie.

- Kim jest skurwiel, który to napisał? - zapytał Hatry, jak zawsze skory do pochwał, jeśli ktoś na nie zasłużył.

- To Luxmore, wodzu.

- Ten frajer, który osobiście spieprzył nam operację falklandzką?

- Ten sam.

- Oryginalna, niepoprawiona wersja, jestem pewien.

Ale przeczytał raport dwukrotnie, rzecz u niego niesłychana.

- To prawda? - zapytał Cavendisha.

- Chyba tak, wodzu - odparł Cavendish z rozsądnym umiarkowaniem, które charakteryzowało jego wypowiedzi. - Częściowo. Nie jestem pewien co do terminu. Chłopcy Vana mogą działać nieco pochopnie.

Hatry rzucił mu raport.

- Przynajmniej tym razem znają, kurwa, drogę - rzekł z posępnym skinieniem głową do Tuga Kirby'ego, trzeciego zabójcy, jak nazywał go żartobliwie Cavendish. Tug właśnie wpadł do pokoju, zapominając o wytarciu butów, i rozglądał się groźnie dookoła, wypatrując wroga.

- Jankesi już są? - warknął.

- Zaraz będą, Tug - uspokoił go Cavendish.

- Bydlaki spóźnią się na własny pogrzeb - rzekł Kirby.

Szczególną zaletą domu Geoffa była jego idealna lokalizacja w centrum Mayfair, niedaleko bocznego wejścia do Claridges, przy strzeżonej ślepej uliczce, gdzie zamieszkiwało wielu dyplomatów i ludzi wpływowych i gdzie mieściła się, na samym końcu, włoska ambasada. Uliczkę cechowała jednak przyjemna anonimowość. Nikogo nie obchodziło, czy jesteś sprzątaczem, dostawcą, kurierem, lokajem, ochroniarzem, homoseksualistą, czy panem kosmicznej galaktyki. Geoff otwierał drzwi. Wiedział, jak traktować ludzi władzy, jak się z nimi obchodzić. U Geoffa można było się odprężyć i dać się ponieść wydarzeniom, co właśnie miało miejsce. Trzej Anglicy i dwaj jankescy goście oficjalnie znajdowali się gdzie indziej. Pałaszowali posiłek, którego formalnie nie było. Samoobsługa bez kelnerów i bez świadków, łosoś przysłany z posiadłości Cavendisha w Szkocji, przepiórce jaja, owoce i sery, a do tego

wyśmienity pudding przyrządzony przez starą nianię Geoffa.

Do picia mrożona herbata i tym podobne trunki, ponieważ w dzisiejszym Odrodzonym Waszyngtonie, powiedział Geoff Cavendish, alkohol w porze lunchu jest uważany za wymysł szatana.

I okrągły stół, żeby nikt nie czuł się wyróżniony. Mnóstwo miejsca na nogi. Miękkie krzesła. Odłączone telefony. Cavendish był mistrzem w zapewnianiu ludziom komfortu. Łącznie z dziewczętami na zamówienie. Zapytajcie Tuga.

- Lot był znośny, Elliot? - zapytał Cavendish.

- Och, było jak w niebie, Geoff. Uwielbiam te małe podskakujące odrzutowce. Lądowanie w Northolt pierwsza klasa. Kocham Northolt. Lot śmigłowcem do Battersea, cudo. Piękna elektrownia.

Z Elliotem nigdy nie było wiadomo, czy ironizuje, czy mówi poważnie, prawnik i dziennikarz miał trzydzieści jeden lat i pochodził z amerykańskiego Południa, z Alabamy.

Kiedy nie atakował, był ślamazarnym wesołkiem. Miał swoją własną kolumnę w „Washington Times”, gdzie śmiało polemizował z do niedawna bardziej renomowanymi od niego nazwiskami. Rzadkie proste włosy, śmiertelnie blada cera i okulary sprawiały, że wyglądał groźnie. Jego twarz składała się wyłącznie ze szczęki i kości policzkowych.

- Zostajesz na noc czy wracasz do domu? - burknął Tug, sugerując, że woli to drugie rozwiązanie.

- Niestety, Tug, musimy wracać zaraz po spotkaniu - odparł Elliot.

- Nie składasz uszanowania w ambasadzie? - zapytał Tug z uśmiechem debila.

To był żart, a Tug nie żartował często. O wizycie Elliota i pułkownika ministerstwo spraw zagranicznych powinno dowiedzieć się ostatecznie.

Obok Elliota siedział pułkownik i żuł łososia z regulaminową liczbą poruszeń szczękami.

- Nie mamy tam przyjaciół - powiedział szczerze. - Same przegięte cioty. W Westminsterze Tug Kirby znany był jako „minister z największą teką”.

Tytuł ten przyniósł mu częściowo erotyczne podboje, ale przede wszystkim niezrównana kolekcja stanowisk doradczych i dyrektorskich. Jak twierdzili dobrze poinformowani, w całym kraju i na Bliskim Wschodzie nie było firmy zbrojeniowej, która nie przekupywała Tuga Kirby'ego lub odwrotnie. Podobnie jak jego goście roztałaczał groźną aurę. Miał potężne, tłuste ramiona i gęste czarne brwi, które wyglądały, jakby je sobie przyklepił. Spoglądały spod nich złośliwe, głupie oczy byka. Nawet kiedy jadł, wielkie zaciśnięte pięści pozostawały w pogotowiu.

- Dirk, a co u Vana?! - zawołał wesoło przez stół Hatry.

Ben Hatry użył swego legendarnego uroku, któremu nikt nie mógł się oprzeć. Jakże cudowny wydawał się jego uśmiech po nachmurzonej minie. Pułkownik natychmiast się rozpromienił. Cavendish także był zachwycony, że wódz odzyskał nagle dobry humor.

- Generał Van przesyła pozdrowienia - warknął pułkownik, jakby zwracał się do sądu wojennego - i pragnie wyrazić podziękowania tobie i twoim pomocnikom za nieocenione wsparcie i zachętę w minionych miesiącach aż do chwili obecnej.

Plecy wyprostowane, głowa wysoko.

- To powiedz mu, że jesteśmy kurewsko zawiedzeni, że nie startuje na prezydenta - powiedział Hatry z tym samym promiennym uśmiechem. - Cholerna szkoda, że najlepszemu

facetowi w Ameryce zabrakło jaj, żeby kandydować.

Pułkownika nie ruszyły żartobliwe prowokacje Hatry'ego. Zdążył się do nich przyzwyczaić podczas poprzednich wizyt.

- Generał Van ma młodość po swojej stronie, Widzi rzeczy w dalszej perspektywie. Generał ma wielkie zdolności strategiczne. - Kiwał głową między cichymi, zatroskanymi zdaniami, a jego oczy pozostawały szeroko otwarte. - Dużo czyta. Ma głęboki umysł. Potrafi czekać. Inni już by wystrzelali swoją amunicję. Ale nie on. O nie. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, postara się potrząsnąć prezydentem. Moim zdaniem tylko on jeden w Ameryce wie, jak to zrobić.

Jestem posłuszny, mówiły spanikowane oczy pułkownika, ale szczeka zdawała się dopowiadać: i zejść mi z drogi, do cholery. Miał króciutko obcięte włosy i kiedy tak siedział sztywno przy stole, trudno było sobie wyobrazić, że nie jest w mundurze. Trudno też było nie pomyśleć, że chyba jest trochę stuknięty. A może wszyscy są stuknięci. Uprzejmości nagle się skończyły. Elliot zerknął na zegarek, a potem na Tuga Kirby'ego, pytająco unosząc brwi. Pułkownik wyjął serwetkę spod brody, pedantycznie przyłożył ją do ust i położył na stole jak niechciany bukiet do sprzątnięcia przez Cavendisha. Kirby zapalał cygaro.

- Czy mógłbyś łaskawie zgasić tego pierdolonego kopciucha, Tug? - poprosił uprzejmie Hatry.

Kirby wykonał polecenie. Czasem zapominał, że Hatry jest właścicielem jego tajemnic. Cavendish pytał, kto życzy sobie słodzik do kawy albo śmietankę. Wreszcie skończyła się uczta, a zaczęła narada. Pięciu serdecznie nienawidzących się mężczyzn wokół wypolerowanego osiemnastowiecznego stołu połączyła wielka idea.

- Wchodźcie w to, chłopaki, czy nie? - zapytał Ben Hatry, który nie lubił owijać rzeczy w bawełnę.

- Cholernie byśmy chcieli, Ben - rzekł Elliot z niedostępną niczym szczelnie zamknięty luk twarzą.

- A co was, kurwa, powstrzymuje? Macie dowody. Rządzicie w tym kraju. Na co czekacie?

- Van chciałby to zrobić. Dirk też. Prawda, Dirk? Rwieś się do tego, co?

- Jasne - pułkownik pokiwał głową, splatając dłonie.

- Więc o co chodzi, na litość boską! - zawołał Tug Kirby. Elliot udawał, że tego nie słyszy.

- Naród amerykański chciałby, żebyśmy w to weszli - powiedział. - Może jeszcze o tym nie wie, ale wkrótce się przekona. Naród amerykański będzie chciał odzyskać to, co mu się słusznie należy i co w ogóle nie powinno być mu odebrane. Nikt nas nie powstrzymuje, Ben. Mamy Pentagon, wolną wolę, wyszkolonych ludzi, technologię. Mamy Senat, mamy Kongres. Partię Republikańską. Kształtujemy politykę zagraniczną. W warunkach bojowych trzymamy media mocno w garści. Ostatnim razem było idealnie, tym razem będzie jeszcze lepiej. Nikt nas nie powstrzymuje oprócz nas samych. Nikt, i to jest fakt. Zapadła cisza. Przerwał ją Kirby.

- Pierwszy ruch zawsze wymaga odwagi - burknął. - Thatcher nie za wahala się. Inni wiecznie się wahają.

Znów cisza.

- I w ten sposób traci się kanały - powiedział Cavendish, ale cisza nadal trwała.

- Wiesz, Geoff, co powiedział mi kiedyś Van? - zapytał Elliot.

- Co takiego, przyjacielu?

- Każdy, kto nie jest Amerykaninem, wyznacza jakąś rolę Stanom Zjednoczonym. Zwykle są to ci, którzy sobie nie wyznaczyli żadnej. Frajerzy.

- Generał Van ma głęboki umysł - potwierdził pułkownik.

- I co dalej? - popędział Hatry.

Ale Elliot nie spieszył się, w zadumie złożył dłonie na piersi, jakby ubrany w kamizelkę palił cygaro na swojej plantacji.

- Nie mamy pretekstu, żeby z tym ruszyć - wyznał jak dziennikarz dziennikarzowi. - Żadnego haka. Jest problem, ale nie ma narzędzia zbrodni. Nie zgwałcono amerykańskich zakonnic. Nie zamordowano amerykańskich dzieci. Są tylko plotki i domysły, wasze szpiegowskie raporty, niepotwierdzone jeszcze przez nasze szpiegowskie agencje, co tym razem musi nastąpić. To nie jest robota dla mięczaków z ministerstwa, nie ma czasu na wywieszanie na ogrodzeniu Białego Domu plakatów z napisem: „Ręce precz od Panamy”. Potrzebne są zdecydowane działania, a sumienie narodu z czasem się do nich dostosuje. Już my się o to postaramy. Ty się o to postarasz, Ben.

- Obiecałem i dotrzymam słowa.

- Ale nie możesz dać nam pretekstu - powiedział Elliot. - Nie możesz zgwałcić zakonnic ani zmasakrować dla nas dzieci.

Kirby parsknął śmiechem, zupełnie nie na miejscu.

- Nie bądź tego taki pewien, Elliot! - ryknął. - Nie znasz Bena tak jak my. No nie? Ale zamiast okłasków dostała mu się skwaszona mina pułkownika.

- Oczywiście, że macie pierdolony pretekst - odparował zjadliwie Ben Hatry.

- A mianowicie? - zapytał Elliot.

- Wypierają się, do kurwy nędzy. Wszyscy się wypierają. Panamczycy, zabojady, Japonce. Kłamią tak samo jak Castro. Kiedy Castro wyparł się, że ma rosyjskie rakiety, wkroczyliście. Spiskowcy wypierają się spisku związanego z Kanałem, więc znowu możecie wkroczyć.

- Ben, ale te rakiety tam były - powiedział Elliot. - Mieliśmy ich zdjęcia, więc mieliśmy narzędzie zbrodni. Tutaj go nie ma. Amerykanie muszą widzieć, że bronimy sprawiedliwości. Gadaniem nic nie zwojujemy. Nigdy się to nie udało. Prezydent potrzebuje narzędzia zbrodni. Jeśli go nie dostanie, nie da zielonego światła.

- A nie ma przypadkiem kilku fotek japońskich inżynierów w przyklejonych brodach, którzy kopią drugi kanał przy latarkach? - zapytał żartobliwie Cavendish.

- Nie, kurwa, nie ma - odparł Hatry, nie podnosząc głosu, bo nie musiał tego robić. -

Więc co zamierzasz, Elliot? Poczekasz, aż Japończycy prześlą ci zdjęcia w południe trzydziestego pierwszego grudnia roku pańskiego tysiąc dziewięćset, kurwa, dziewięćdziesiątego dziewiątego? Elliot nie dał się sprowokować.

- Niestety, nie mamy choćby jednego argumentu, który rozbudzi emocje widzów. Poprzednim razem dopisało nam szczęście. Żołnierze Noriegi źle obeszlę się z porządnymi Amerykankami na ulicach Panama City. Przedtem byliśmy uziemieni. Wiedzieliśmy o narkotykach, rozpisywaliśmy się o nich i o arogancji Noriegi. O niej też się rozpisywaliśmy. Mieliśmy jego brzydotę i do tego też się przyczepiliśmy. Wielu ludzi kojarzy brzydotę z amoralnością. Wykorzystaliśmy to. Były jeszcze jego ekscesy seksualne i czarna magia. Zagraliśmy kartą Castro. Ale dopiero kiedy niegrzeczni żołnierze Noriegi sponiewierali

porządne Amerykanki, prezydent uznał za konieczne wysłać naszych chłopców, żeby nauczyli ich dobrych manier.

- Słyszałem, że to zaaranżowałaś - powiedział Hatry.

- Drugi raz ta sama sztuczka nie wypali - odparł Elliot, odrzucając sugestię jako niestosowną.

Ben Hatry implodował. Była to próba podziemna bez huk, całkowicie ukryta. Tylko syk od ciśnieniem, kiedy wypuszczał powietrze, frustracji wściekłość w jednym wybuchu.

- Elliot, ten pierdolony Kanał jest wasz.

- A kiedyś Indie były wasze, Ben.

Hatry nie raczył odpowiedzieć. Patrzył przez zasłonięte okno na coś, co nie było warte jego czasu.

- Potrzebujemy haka - powtórzył Elliot. - Bez haka nie będzie wojny. Prezydent nie da zielonego światła. Koniec kropka.

To znowu Geoff Cavendish ze swoją ogładą i miłym, krzepkim wyglądem przywrócił spotkaniu pogodną atmosferę.

- Cóż, panowie, myślę, że w wielu sprawach się zgadzamy. Termin pozostawiamy decyzji generała Vana. Nikt tego nie kwestionuje. Czy możemy omówić sprawą w nieco szerszym kontekście? Widzę, Tug, że bardzo chciałbyś coś powiedzieć.

Hatry zapatrzył się na dobre w zasłonięte okno. Perspektywa wysłuchania Kirby'ego pogłębiła tylko jego zniechęcenie.

- Cicha Opozycja - rzeki Kirby. - Grupa Abraxasa. Orientujesz się w tym, Elliot?

- A powinienem?

- Co Van na to?

- Lubi ich.

- A to dziwne, co? - rzekł Kirby. - Zważywszy, że gość ma antyjankeskie poglądy.

- Abraxas nie jest marionetką, nie jest klientem - odparł spokojnie Elliot. - Kiedy będziemy konstruować panamski rząd tymczasowy, póki w kraju nie będzie można bezpiecznie przeprowadzić wyborów, Abraxas dostanie dużo punktów. Liberalowie nie oskarżą nas o kolonializm. Panamczycy też nie.

- A jeśli się nie sprawdzi, zawsze można rozbić jego samolot, prawda? - dorzucił groźnie Hatry.

Znów mówił Kirby:

- Chodzi o to, Elliot, że Abraxas jest naszym człowiekiem. Nie waszym. Z wyboru jest naszym człowiekiem. Dzięki temu jego opozycja też jest nasza. My ją kontrolujemy, zaopatrujemy, udzielamy porad. Powinniśmy o tym wszyscy pamiętać. Zwłaszcza Van. Generał bardzo źle by wyglądał, gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że Abraxas brał amerykańskie dolary. Albo że jego towarzysze byli uzbrojeni w jankeską broń. Nie chcemy od początku przyczepiać mu łątki amerykańskiego sprzedawczyka.

Pułkownik wpadł na pewien pomysł. Oczy otworzyły mu się szeroko i rozbłysły. Uśmiech był niebiański.

- Słuchaj, możemy zastosować kamuflaż! Mamy tam pewne aktywa! Można upozorować, że Abraxas dostaje wszystko z Peru, Gwatemali czy Kuby. Upozorować cokolwiek! To żaden problem!

Tug Kirby zawsze omawiał tylko jeden argument naraz.

- To my znaleźliśmy Abraxasa i my go zaopatrujemy - rzekł z kamienną twarzą. - Mamy na miejscu sponsora pierwszej klasy. Jeśli chcecie wyłożyć kasą, wszystkie datki zostaną przyjęte z wdzięcznością. Ale przekażecie je nam. Nic na miejscu i nic bezpośrednio. My prowadzimy Abraxasa, Jest nasz; tak jak jego studenci, rybacy i cała reszta, Zaopatrujemy wszystkich - zakończył i postukał potężnymi paluchami o osiemnastowieczny blat, na wypadek gdyby coś do nich nie dotarło.

- Oczywiście, jeśli... - powiedział po chwili Elliot.

- Jeśli co? - zapytał Kirby.

- Jeśli wkroczymy - odparł Elliot. Hatry raptownie odwrócił wzrok od okna.

- Żądam wyłączności na początek - powiedział. - Moje kamery i dziennikarze pójdą z pierwszą falą, ze studentami i rybakami. Pozostali pojedą w odwodzie w furgonetkach z częściami zamiennymi.

Elliot sprawiał wrażenie rozbawionego.

- To może wy nas zaatakujecie, Ben. To rozwiąże ten wasz problem z wyborami. Co powiesz na akcję ratunkową w obronie brytyjskich obywateli emigrantów? Musi ich być paru w Panamie.

- Cieszę się, że poruszyłeś ten temat - rzekł Kirby.

I już kolejny argument. Wszystkie oczy wlepione w Kirby'ego, nawet Hatry uważa.

- A czemuż to? - zapytał Elliot.

- Musimy ustalić, co będzie miał z tego nasz człowiek - odparł Kirby czerwieniejąc. Nasz człowiek, czyli głowa państwa. Nasza marionetka. Nasza maskotka.

- Chcesz, żeby zasiadł z Vanem w sali narad Pentagonu? - podrzuci kpiąco Elliot.

- Nie wygłupiaj się, do cholery.

- Albo żeby brytyjskie wojska obsadziły amerykańskie śmigłowce? Proszę bardzo.

- Nie, dziękuję. To wasza działka. Chcemy nagrody.

- Ile, Tug? Słyszałem, że potrafisz negocjować.

- Nie o taką nagrodę mi chodzi. O nagrodę moralną.

Elliot uśmiechnął się. Hatry też. Z wyrazu ich twarzy wynikało, że moralność jest sprawą do negocjacji.

- Nasz człowiek ma głośno i wyraźnie wszystkiemu przewodniczyć - oświadczył Tug Kirby, wyliczając warunki na wielkich palcach. - Ma się owinać we flagę, a wasz człowiek to doceni, Rule Britannia i pieprzyć Brukselę. Kwitną wzajemne stosunki, zgadza się, Ben? Wizyty w Waszyngtonie uściski dłoni, rozgłos, mnóstwo miłych słów pod adresem naszego człowieka. Wasz człowiek ma przyjechać do Londynu, jak tylko go urobicie. Dawnego nie było i zaczyna się o tym mówić. Prasa ma dowiedzieć się z przecieków o roli brytyjskiego wywiadu w operacji. Damy wam tekst, prawda, Ben? Reszta Europy wyłączona, żabojady w niełasce jak zwykle.

- To gówno zostaw mnie - powiedział Hatry. - To nie on sprzedaje gazety, tylko ja. Rozstali się jak niepokodzeni kochankowie, martwiąc się, że niepotrzebnie coś powiedzieli, a nie powiedzieli tego, co trzeba, że nie zostali zrozumiani. - Przekażemy wszystko Vanowi natychmiast po powrocie - obiecał Elliot. - Zobaczymy, co powie.

Generał Van myśli dalekosiężnie - powiedział pułkownik. - Generał Van to prawdziwy

wizjoner. Teraz interesuje się Jerozolimą. Generał umie czekać.

- Dajcie mi, kurwa, drinka - powiedział Hatry.

Siedzieli sami, trzej Anglicy popijający whisky.

- Miłe spotkanko - rzucił Cavendish.

- Gówno - stwierdził Kirby.

- Przekup Cichą Opozycję - rozkazał Hatry. - Niech nauczy się mówić i strzelać. Możemy liczyć na tych studentów?

- Niepewny element, wodzu. Maoiści, trockiści, pacyfiści, niektórzy dość starzy. Mogą skoczyć w jedną lub w drugą stronę.

- Kogo, kurwa, obchodzi, w którą stronę skoczą? Przekup sukinsynów i wypuść na ulice. Van chce pretekstu. Marzy o nim, ale boi się poprosić. Czemu przysłał swoich pacholków, a sam został w domu? Może studenci dostarczą pretekstu. Gdzie raport Luxmore'a?

Cavendish podał papier, Hatry przeczytał raport po raz trzeci i oddał mu do ręki.

- Kim jest dziwka, która się bawi dla nas w Kasandrę? - zapytał. Cavendish podał mu nazwisko.

- Zlećcie to jej - powiedział Hatry. - Powiedzcie, że ma rzucić studentów na pierwszą linię. Połączyć z biednymi i uciskanymi. Niech Cicha Opozycja upatry sobie Wielką Brytanię jako wzór demokratyczny dla Panamy w dwudziestym pierwszym wieku. Chcę kryzysu. „Terror opanował ulice Panamy”, tego typu pierdoły. Pierwsza wersja na niedzielę. Skontaktuj się z Luxmore'em. Powiedz mu, że czas wyciągnąć z łóżka tych jego pierdolonych studentów.

Luxmore nigdy nie wykonywał równie niebezpiecznej misji. Był zachwycony i przerażony. Ale zagranica zawsze go przerażała. Był rozpaczliwie, bohatersko sam. Imponujący paszport w marynarce, której nie wolno mu zdjąć, nakazywał wszystkim cudzoziemcom zapewnić specjalnemu wysłannikowi królowej, Mellorsowi, bezpieczne przekroczenie granic. Obok na fotelu pierwszej klasy leżały dwie duże czarne skórzane teczki zapieczętowane woskiem z wyciśniętą królewską pieczęcią i szerokimi paskami na ramiona. W trakcie powierzonego mu zadania nie miał prawa ani spać, ani pić. Teczki musiały przez cały czas znajdować się w zasięgu jego wzroku i dłoni. Żadna niepowołana ręka nie mogła skalać tobołków wysłannika królowej, Nie wolno mu było zawierać znajomości, choć z operacyjnej konieczności wykluczył z tego zakazu stateczną stewardesę British Airways. W połowie lotu nad południowym Atlantykiem nieoczekiwanie poczuł naturalną potrzebę. Dwukrotnie wstał, żeby udać się do toalety, ale za każdym razem ktoś nieobjuczony ubiegał go. Wreszcie w akcie desperacji namówił stewardesę, żeby stanęła na straży wolnej toalety, a on wygramolił się wąskim przejściem ze swoimi torbami, które gwałtownie potraçały śpiących Arabów i wózek z napojami.

- Ciężkie tajemnice, co? - skomentowała wesoło stewardesa, kiedy już bezpiecznie dotarł na miejsce.

Z radością usłyszał, że też jest Szkotką.

- Skąd pochodzisz, złotko?

- Z Aberdeen.

- Cudownie!

- A pan?

Luxmore już miał odpowiedzieć, podając szczegółowy opis swych szkockich korzeni,

kiedy przypomniał sobie, że według paszportu pan Mellon urodził się w Clapham. Niepokój pogłębił się, kiedy przytrzymała mu drzwi a on próbował wepchnąć teczkę do miniaturowej toalety. Po powrocie na miejsce rozejrzał się po rzędach foteli w poszukiwaniu potencjalnych porywaczy i stwierdził, że nikomu nie może zaufać.

Samolot podchodził do lądowania. Wielki Boże, pomyślał Luxmore, a zachwyty z wykonywania misji i strach przed lataniem splatały się z koszmarem odkrycia... wyobraź sobie, że samolot wpada do wody... torby razem z nim. Okręty Stanów Zjednoczonych, Kuby, Rosji i Wielkiej Brytanii spieszą na miejsce katastrofy! Kim był tajemniczy Mellors? Czemu jego torby opadły jak kamienie na dno oceanu? Dlaczego na powierzchni nie unoszą się papiery? Dlaczego nikt się nie zgłasza? Wdowa, dziecko czy krewny? Torby wydobyto. Czy rząd Jej Królewskiej Mości zdoła wyjaśnić ich niezwykłą zawartość zdumionemu światu?

- Wybieramy się do Miami, co? - zapytała stewardesa, widząc, jak szykuje się do wyjścia.
- Założę się, że zafunduje pan sobie gorącą kąpiel, kiedy już stanie pan na ziemi.

Luxmore ściszył głos, żeby nie podsłuchali go Arabowie. Ta porządna szkocka dziewczyna zasługiwała na prawdę.

- Do Panamy - szepnął.

Ale stewardesa już odeszła. Była zbyt zajęta przypominaniem pasażerom, żeby podnieśli oparcia foteli i dobrze zapięli pasy.

Wysokość opłaty w zielonych zależy od stopnia - wyjaśnił Maltby, wybierając odpowiedni kij do kolejnego uderzenia. Chorągiewka stała w odległości osiemdziesięciu metrów - dla Maltby'ego był to dystans na cały dzień. - Szeregowcy nie płacą prawie nic. Im wyżej w hierarchii, tym więcej bulisz. Podobno generała w ogóle nie stać na grę. - Na jego twarz wypłynął chytry uśmiech. - Ja się dogadałem - oznajmił z dumą. - Jestem sierżantem.

Uderzył w piłkę, która zaskoczona przeleciała sześćdziesiąt metrów nad przemoczoną trawą i skryła się w bezpiecznym miejscu. Ambasador pomknął za nią, a Stormont za nim. Stary indiański posługacz w słomianym kapeluszu niósł kolekcję starych kijów golfowych w zapleśniałej torbie.

Dobrze utrzymane pole golfowe Amador jest rajem dla kiepskich graczy w golfa, do których należał Maltby. Leży na wypielęgnowanych pasach ziemi między zadbaną amerykańską bazą wojskową wybudowaną w latach dwudziestych a wybrzeżem u wejścia do Kanału. Jest tam budka strażnicza i prosta pusta droga pilnowana przez znudzonego szeregowca i znudzonego panamskiego policjanta. Zwykle nikt tamtędy nie jeździ prócz wojskowych i ich żon. Na horyzoncie z jednej strony widać El Chorillo, a za nim szatańskie wieże Punta Paitilla, tego ranka zasnuwane kłębiastymi chmurami. Od strony oceanu widnieją wyspy, grobla i obowiązkowy sznur nieruchomych statków czekających na przeprawę pod Mostem Ameryk.

Dla kiepskiego gracza w golfa największą zaletą tego miejsca są trawiaste rowy ciągnące się dziewięć metrów poniżej poziomu morza - niegdyś tworzyły część systemu melioracyjnego Kanału, a teraz służą do przechwytywania źle uderzonych piłek. Kiepski gracz może uderzyć za bardzo w lewo lub za bardzo w prawo. Rowy, dopóki pozostaje pod ich opieką, wybaczą mu wszystko. Musi tylko trafić w piłkę i nie posłać jej za wysoko.

- Co u Paddy? Zdrowa? - zagadnął Maltby, dyskretnie poprawiając położenie piłki czubkiem buta. - Kaszel ustąpił?

- Niezupełnie - powiedział Stormont.

- Ojej. Co mówią lekarze?

- Niewiele.

Maltby znowu uderzył. Piłka pomknęła przez pole i jeszcze raz zniknęła z pola widzenia. Maltby rzucił się za nią. Deszcz padał z dziesięciominutowymi przerwami, ale Maltby się nie przejmował. Piłka leżała impertynencko pośrodku wysepki nasiąkniętej ziemi. Stary posługacz wręczył ambasadorowi odpowiedni kij.

- Powinieneś ją wywieźć - poradził nonszalancko. - Do Szwajcarii, czy gdzie tam się teraz jeździ. Panama jest strasznie niehigieniczna. Nigdy nie wiadomo, z której strony zaatakują cię zarazki. Kurwa.

Piłka niczym prymitywny owad schroniła się w kępie gęstej zielonej trawy. Przez zasłony deszczu Stormont patrzył, jak jego ambasador wymachuje zamasyście kijem i wraca z nią na pole. Chwila napięcia, gdy Maltby próbował trafić z daleka do dołka. Okrzyk triumfu, kiedy próba zakończyła się sukcesem. Rozluźnił się, pomyślał Stormont. Szaleje. Najwyższy czas.

„Nigel, chciałbym zamienić z tobą słówko” - powiedział Maltby przez telefon o pierwszej w nocy, właśnie kiedy Paddy zasypiała. - „Może na świeżym powietrzu, jeśli nie masz nic przeciwko”. „Do usług, ambasadorze”.

- Ambasada nie jest ostatnio przyjemnym miejscem - odezwał się znowu Maltby, kiedy szli w stronę następnego rowu. - Poza tym ten kaszel Paddy i biedna stara Phoebe. - Phoebe, żona ambasadora, nie była ani biedna, ani stara.

Maltby nie ogolił się. Przemoczony zniszczony szary sweter wisiał na nim jak kolczuga, od której spodnie gdzieś zginęły. Czemu, do cholery, facet nie kupi sobie sztormiaka, zastanawiał się Stormont, chociaż deszcz i jemu ściekał po szyi.

- Phoebe jest wiecznie niezadowolona - mówił dalej Maltby. - Nie mam pojęcia, po co wróciła. Nienawidzę jej, a ona nienawidzi mnie. Dzieci nas nienawidzą. To wszystko nie ma najmniejszego sensu. Całe lata się nie pieprzyliśmy, dzięki Bogu.

Stormont zachował pełne zdumienia milczenie. W ciągu osiemnastu miesięcy ich znajomości Maltby nigdy mu się nie zwierzał. A teraz nagle, z nieznanym powodów, ta przerażająca bezgraniczna poufałość.

- Ty się rozwiodłeś i wszystko jest w porządku - skarżył się Maltby. To była głośna sprawa, o ile dobrze pamiętam. Ale doszedłeś do siebie. Dzieci z tobą rozmawiają. Ministerstwo nie wylało cię na bruk.

- Jeszcze nie.

- Mógłbyś zamienić z Phoebe kilka słów. Rozmowa z tobą dobrze by jej zrobiła. Powiesz, że przeszedłeś przez wszystko i nie było tak źle, jak się mówi. Ona nie rozmawia z ludźmi normalnie i na tym między innymi polega problem. Woli rozstawiać ich po kątach.

- Może lepiej, żeby Paddy z nią porozmawiała - powiedział Stormont Maltby umieścił piłkę na postumencie. Zrobił to, jak zauważył Stormont bez zginania kolan. Po prostu zgiął się cały wpół, a potem wyprostował, cały czas mówiąc.

- Nie, wolałbym, żebyś ty to zrobił - ciągnął dalej, kołysząc groźnie kijem przy piłce. - Widzisz, ona martwi się przede wszystkim o mnie. Wie, że poradzi sobie sama. Ale myśli, że ja cały dzień będę wisiał na telefonie i pytał i jak ugotować jajko. Nic podobnego. Sprowadzę sobie jakąś szalową dziewczynę i cały dzień będę gotował jej jajka. - Wycelował i piłka poszybowała w górę poza zasięg rowu. Przez chwilę wydawała się zadowolona z prostego kursu. Ale zmieniła zdanie, skręciła w lewo i zniknęła w strumieniach deszczu.

- A to chuj - rzekł ambasador, ujawniając głębiej, o jaką Stormont nigdy by go nie podejrzewał.

Ulewa uniemożliwiła im dalszą grę. Zostawili piłkę na pastwę losu i schronili się na krytej estradzie ustawionej przed półkolistym ciągiem willi żonatych oficerów. Ale staremu posługaczowi estrada się nie spodobała. Wybrał wątpliwą osłonę kępy palm, a z kapelusza spływały strumienie wody.

- Poza tym - rzekł Maltby - tworzymy wesołą paczkę. Żadnych kłótni, wszyscy zadowoleni, nasze notowania w Panamie nigdy nie były lepsze, ze wszystkich stron napływają fascynujące doniesienia wywiadowcze. Zastanawiam się, czego jeszcze mogą chcieć nasi władcy.

- A chcą czegoś?

Ale Maltby nie dał się popędzać. Wolał własną dziwną ścieżkę niedomówień.

- Wczoraj wieczorem prowadziłem długie rozmowy z różnymi ludźmi przez tajny

telefon Osnarda - poinformował tonem czułego wspomnienia. - Widziałeś go?

- Obawiam się, że nie.

- Jakieś czerwone obrzydlistwo podłączone do czegoś w rodzaju pralki z czasów wojny burskiej. Można rozmawiać całkowicie swobodnie. Byłem pod wielkim wrażeniem. To tacy mili ludzie. Nie to, żebym ich nie znał. Ale mieli przyjemne głosy. Połączenie konferencyjne. Bez przerwy trzeba przeproszać, że się komuś weszło w słowo. Szykuje się do nas gość o nazwisku Luxmore. Szkot. Mamy go nazywać Mellors. Nie wolno mi tego mówić, więc oczywiście mówię. Luxmore-Mellors ma nam przywieźć wiadomości wielkiej wagi.

Deszcz ustał, ale Maltby najwyraźniej tego nie zauważał. Posługacz nadal kulił się pod palmami, paląc gruby zwitek liści marihuany.

- Może powinieneś go zwolnić - rzekł Stormont. - Skoro już nie grasz. Wyciągnęli kilka wilgotnych dolarów i odesłali posługacza z kijami Maltby'ego do pawilonu. Usiedli na suchej ławce na skraju estrady i obserwowali wezbrany strumień pędzący przez Eden i słońce iskrzące się boskim blaskiem na każdym liściu i kwiecie.

- Postanowiono... forma bezosobowa jest tutaj niezależna ode mnie, Nigel... postanowiono, że rząd Jej Królewskiej Mości udzieli wsparcia i pomocy Cichej Opozycji w Panamie. Naturalnie nieoficjalnie. Luxmore, którego mamy nazywać Mellors, ma nam powiedzieć, jak to zrobić. Najwyraźniej istnieje podręcznik na ten temat. *Jak obalić obcy rząd* czy coś w tym rodzaju. Musimy wszyscy do niego zajrzeć. Jeszcze nie wiem, czy to ja będę musiał przyjmować panów Domingo i Abraxasa w ogrodzie warzywnym w środku nocy, czy ten obowiązek przypadnie tobie. Wprawdzie nie mam ogrodu warzywnego, ale pamiętam, że świętej pamięci lord Halifax spotykał się tam z najróżniejszymi ludźmi. Czy słusznie widzę dezaprobatę w twoim wzroku?

- Czemu Osnard się tym nie zajmie? - zapytał Stormont.

- Jako ambasador nie popierałem tego pomysłu. Chłopak i tak ma wystarczająco dużo obowiązków. Jest młody, Pracuje od niedawna. Ludzie z opozycji lubią spokój i pewność doświadczonych ręki. Niektórzy są podobni do, nas, ale inni to starzy wyjadacze, robotnicy portowi, rybacy, farmerzy i tym podobni. Lepiej, żebyśmy wzięli na siebie ten ciężar. Mamy też wspierać nieuchwytną grupę zbuntowanych studentów, a to zawsze trudna rzecz. Studentów też przejmujemy. Jestem pewien, że tutaj się sprawdzisz. Wyglądasz na strapionego, Nigel. Czymś cię zmartwiłem?

- Czemu nie przyślą więcej agentów?

- To chyba nie jest konieczne. Wystarczy wizyta kogoś takiego jak; Luxmore Mellors, ale absolutnie nikt na stałe. Nie możemy rozdmuchiwać personelu ambasady, bo to wywoła komentarze. O tym też wspominałem.

- Naprawdę? - zapytał z niedowierzaniem Stormont.

- O tak. Przy twoim i moim doświadczeniu, powiedziałem, pomoc nie jest nam potrzebna. Byłem tu stanowczy. Powiedziałem, że nie chcę zaśmiecania terenu. To niedopuszczalne. Powołałem się na naszą pozycję. Powiedziałem, że jesteśmy światowcami. Byłbyś ze mnie dumny.

Stormontowi wydawało się, że dostrzegł w oku ambasadora nieznajomą iskrę, którą właściwie można było porównać do rozbudzonego pożądania.

- Potrzebujemy mnóstwa różnych rzeczy - ciągnął Maltby z entuzjazmem uczniaka

dostającego nowy zestaw kolejki. - Radia, samochody, punkty kontaktowe, kurierzy, nie wspominając o sprzęcie: broń maszynowa, miny wyrzutnie raketowe, materiały wybuchowe w dużych ilościach, no i oczywiście detonatory, wszystko, co można sobie wymarzyć. Zapewniono mnie że bez nich żadna Cicha Opozycja nic nie robi. Części zamienne są podobno okropnie ważne. Wiesz, jak bezmyślni bywają studenci. Dasz im rano radio, a w południe już będzie zamazane graffiti. Jestem pewien, że Cicha Opozycja wcale nie jest lepsza. Ucieszysz się, bo broń będzie w całości produkcji brytyjskiej. Już zaklepano jakąś wypróbowaną brytyjską firmę, która ich będzie zaopatrywać, co jest bardzo miłe. Minister Kirby ma o nich jak najlepsze zdanie. Chrzcist bojowy zdobyli w Iranie, a może w Iraku? Pewnie i tam, i tam. Gully też ma o nich jak najlepsze zdanie, o czym z radością informuję, a ministerstwo przyjęło moją sugestię, by natychmiast wciągnięto go do grona Buchanerów. W tej chwili składa przysięgę przed Osnardem.

- Twoją sugestię? - powtórzył głucho Stormont.

- Tak, Nigel, uznałem, że obaj świetnie nadajemy się do roli intrygantów. Kiedyś mówiłem, że marzy mi się jakaś brytyjska intryga. I właśnie jest. Zabrzmiała tajna trąbka. Mam nadzieję, że nikomu nie zabraknie zapachu... naprawdę życzylibym sobie, żebyś miał szczęśliwszą minę. Chyba nie zdajesz sobie sprawy z wagi moich słów. Nasza ambasada niedługo wykona olbrzymi skok do przodu. Z zamulonej dyplomatycznej martwej wody wypłyniemy na pierwsze miejsce w rankingu gorących placówek. Awanse, medale, pochwały w ciągu jednej nocy staną się naszym udziałem. Nie mów mi, że wątpisz w mądrość naszych szefów. Wybrałbyś sobie najmniej odpowiednią porę.

- Mam tylko wrażenie, że brakuje zbyt wielu elementów - stwierdził nieśmiało Stormont, próbując pogodzić się z tym, że ma do czynienia z zupełnie nowym ambasadorem.

- Bzdura. Jakich elementów?

- Na przykład logiki.

- Czyżby? - chłodna rezerwa. - A gdzie widzisz brak logiki?

- Cała ta Cicha Opozycja. Oprócz nas nikt o nich nawet nie słyszał. Czemu niczego jeszcze nie zrobili, nie przemycili czegoś do prasy, nie wypowiedzieli się?

Maltby przybrał szydery ton.

- Ależ mój drogi! Taki mają charakter. To Cicha Opozycja. Milczą. Czekają na swoją godzinę. Abraxas nie jest awanturnikiem, tylko bohaterem, tajnym rewolucjonistą walczącym w imię Boga i ojczyzny. Domingo to nie handlarz narkotykami o przerośniętym libido, ale bezinteresowny bojownik o demokrację. A jeśli chodzi o studentów, to czego właściwie nie wiadomo? Pamiętasz, jacy byliśmy sami. Beztroscy, chwiejni. Jednego dnia jedno, następnego drugie. Chyba jesteś przemęczony, Nigel.

Panama cię przytłacza.

Czas, żebyś zabrał Paddy do Szwajcarii. Aha - ciągnął, jakby zapomniało czymś powiedzieć - wyleciało mi z głowy. Pan Luxmore-Mellors przywozi sztaby złota - dodał tonem kogoś, kto zawiązuje ostatni administracyjny węzeł. - W takich przypadkach nie można ufać bankom i firmom kurierskim, udaje więc wysłannika królowej i przywozi je pocztą dyplomatyczną.

- Co takiego?

- Sztaby złota Nigel. Zdaje się, że w dzisiejszych czasach Cichym Opozycjom daje się

złoto, a nie dolary, funty czy franki szwajcarskie. Muszę przyznać, że to zupełnie zrozumiałe. Wyobrażasz sobie, że Cicha Opozycja bazuje na funcie szterlingu? Zanim doprowadziliby do pierwszego puczu, pieniądze dawano by się zdevaluowały. Słyszałem, że Cicha Opozycja wysoko się ceni - dodał tym samym nonszalanckim tonem. - W dzisiejszych czasach kilka milionów to nic, jeśli jednocześnie liczy się na kupno przyszłego rządu. Studenci, no cóż, można im trochę ściągnąć cugle, ale chyba pamiętasz, jak sami wpadaliśmy w długi? Dobre kwatermistrzostwo będzie potrzebne na obu frontach. Myślę, że jesteśmy w stanie temu podołać, prawda? Ja osobiście widzę w tym wyzwanie. O czymś takim marzy się w połowie kariery. Dyplomatyczne eldorado bez konieczności płukania piasku w dżungli.

Maltby rozmyślał. Stormont nigdy nie widział go tak rozluźnionego. Ale siebie w ogóle nie poznawał. A przynajmniej nie potrafił niczego wytłumaczyć. Słońce wciąż świeciło. Przycupnięty na estradzie czuł się jak skazany na dożywocie więzień, który nie może uwierzyć, że drzwi do celi stoją otworem. Istotnie, stoi przed wyzwaniem, ale jakim? Kogo oszukiwał, jeśli nie samego siebie, patrząc, jak ambasada rozkwita pod wpływem podejrzanej alchemii Osnarda. „Nie czepiaj się czegoś, co jest dobre”, ostrzegł ostro Paddy, gdy ośmieliła się powiedzieć, że BUCHAN jest zbyt piękny, żeby był prawdziwy, zwłaszcza jeśli lepiej pozna się Andy'ego.

Maltby perorował:

- Ambasada nie jest od tego, żeby oceniać. Możemy mieć poglądy, to co innego. Możemy dysponować wiedzą o sytuacji na miejscu. Oczywiście dysponujemy nią. Czasami wydaje się sprzeczna z tym, co mówią nam przełożeni. Mamy nasze zmysły. Widzimy, słyszymy i wuszemy. Ale nie mamy hektarów akt, komputerów, analityków i rzeszy apetycznych, przemyskających korytarzami młodych pracownic, niestety, Nie mamy szerszej perspektywy. Nie zdajemy obie sprawy ze światowych rozgrywek. Zwłaszcza w tak małej i nic nieznaczącej ambasadzie jak nasza. Jesteśmy prowincjuszami. Widzę, że zgadzasz się ze mną?

- Powiedziałeś im to?

- Ależ tak, przez magiczny telefon Osnarda. Słowa ogromnie zyskują na znaczeniu, kiedy wypowiada się je w tajemnicy, prawda? Zdajemy sobie sprawę z naszych ograniczeń, powiedziałem. Nasza praca jest żmudna. Od czasu do czasu mamy okazję rzucić okiem na świat. BUCHAN jest taką okazją. Jesteśmy wdzięczni i dumni. Nie jest rzeczą właściwą ani słuszną, żeby tak maleńkiej ambasadzie, obarczonej obowiązkiem odczytywania tu tej szych nastrojów i propagowania poglądów naszego rządu, zlecono dokonanie obiektywnej oceny spraw zbyt wielkich jak na nasze horyzonty.

- Co cię podkusiło, żeby to mówić? - zapytał Stormont. Chciał to zrobić głośniej, ale coś ścisnęło mu gardło.

- Naturalnie BUCHAN. Ministerstwo oskarżyło mnie o powściągliwość w pochwałach ostatnich materiałów. Ciebie też, drogą dedukcji, oskarżono o to samo. „Pochwały? - mówię. - Możecie mieć ich tyle, ile chcecie. Andrew Osnard jest czarującym człowiekiem, sumiennym aż do przesady, a operacja BUCHAN oświeciła nas i dała do myślenia. Podziwiamy ją. Popieramy. Ożywia naszą małą społeczność. Ale nie śmiemy wypowiadać się o jej roli w szerszym kontekście. Pozostawiamy to waszym analitykom i naszym szefom”.

- Byli z tego zadowoleni?

- Chłonęli moje słowa. Andy to bardzo miły człowiek, powiedziałem. Doskonale dogaduje

się z dziewczętami. Prawdziwy skarb dla ambasady. - Przerwał, zawiesił pytająco głos i kontynuował ciszej. - No dobrze, nie jest chodzącym ideałem. Nie jest też krynicą uczciwości. A kto jest? Chodzi mi o to, że ani ja, ani ty, ani nikt inny z naszej ambasady, może z wyjątkiem młodego Andy'ego, nie ma nic wspólnego z faktem, że materiały BUCHAN to stek potwornych bzdur.

Stormont zasłużenie słynął z opanowania w sytuacjach kryzysowych. Przez chwilę siedział zupełnie nieruchomo w niewygodnej pozycji: ławka była twarda i jak zwykle przy wilgotnej pogodzie pobolewało go w krzyżu. Podziwiał w oddali równy rząd statków, Most Ameryk, Stare Miasto i jego brzydką nowoczesną siostrę po drugiej stronie zatoki. Rozprostował nogi i znów je skrzyżował. Zastanawiał się, czy z niewyjawionych mu jeszcze powodów jest świadkiem końca swej kariery, czy początku nowej o niejasnym charakterze.

Maltby dla odmiany prezentował całkowitą swobodę. Rozparł się na ławce, a długą kozią głowę oparł o żelazny słup. Jego ton wyrażał wspaniałomyślność.

- Teraz tak - mówił - ja nie wiem i ty nie wiesz, kto to wszystko wymyśla. BUCHAN? A może pani BUCHAN? A może ich współpracownicy, kimkolwiek są, Abraxas, Domingo, ta cała Sabina czy ten obrzydliwy dziennikarz, którego się tu widuje, Teddy Jakiśtam? A może sam Andy, a wszystko inne to kłamstwo? Jest młody. Mogą go robić w konia. Z drugiej strony jest bystry i kawał z niego cwaniaka. Właściwie nie. Jest do cna zepsuty. To straszny bydlak.

- Myślałem, że go lubisz.

- Ależ lubię, ogromnie. I wcale nie mam mu za złe, że oszukuje. Wielu ludzi oszukuje, ale zwykle są kiepskimi graczami, takimi jak ja. Widziałem nawet, jak niektórzy wyrażają skruchę. Ja sam parę razy o mało nie przeprosiłem. - Posłał wstydlawy uśmiech parze dużych żółtych motyli, które postanowiły przyłączyć się do rozmowy. - Ale widzisz, Andy jest szczęściarzem. A szczęściarze, którzy oszukują, są bydlakami. Jak on się dogaduje z Paddy?

- Paddy go uwielbia.

- O mój Boże, mam nadzieję, że nie za bardzo? Przykro mi o tym mówić, ale on posuwa Frań.

- Bzdura - odparł zapalczywie Stormont. - Przecież prawie ze sobą nie rozmawiają.

- Dlatego, że się pieprzą w tajemnicy. Robią to od miesięcy. Chyba całkowicie zawrócił jej w głowie.

- Skąd o tym wiesz?

- Drogi przyjacielu, na pewno zauważyłeś, że me spuszczam z niej oczu. Obserwuję każdy jej ruch. Śledziłem ją. Chyba mnie nie zauważyła. Ale my, podglądacze, zawsze w duchu pragniemy, żeby nas zauważono. Wyszła ze swojego mieszkania i pojechała do Osnarda. A stamtąd już me wyszła. Nazajutrz rano o siódmej spreparowałem pilny telegram i zadzwoniłem do niej do domu. Nie odebrała. Jasne jak słońce.

- I nie powiedziałeś nic Osnardowi?

- A po co? Frań jest aniołem, on bydlakiem, a ja rozpustnikiem. Co takiego moglibyśmy osiągnąć?

Estrada zaczęła stukać i trzeszczeć pod naporem kolejnej ulewy i znowu musieli poczekać kilka minut na słońce.

- Więc co zamierzasz zrobić? - zapytał ponuro Stormont, odpędzając wszystkie pytania, których nie chciał zadać sobie.

- Powiedziałeś „zrobić”, Nigel? - Znowu Maltby, jakiego dobrze znał: suchy, pedantyczny, wyniosły. - A z czym?

- Z BUCHANEM. Z Luxmore’em, Cichą Opozycją, studentami, ludźmi za mostem. Z Osnardem. Z faktem, że BUCHAN jest fikcją. Jeśli to prawdą że raporty są stekiem bzdur, jak mówisz.

- Mój drogi. Nie wymaga się od nas, byśmy cokolwiek robili. Jesteśmy tylko sługami wyższego celu.

- Ale jeśli Londyn przełknie wszystko, a ty uważasz, że to gówno warte... i Maltby pochylił się tak, jak zwykle pochylał się nad biurkiem, złączając koniuszki palców na znak niemego oporu.

- Mów dalej.

- ...powinieneś im to powiedzieć - rzekł stanowczo Stormont.

- Dlaczego?

- Żeby przerwać tę mistyfikację.

- Chyba już uzgodniliśmy, Nigel, że nie do nas należy ocena. Lśniący ptak o oliwkowym upierzeniu sfrunął na ich terytorium i domagał się okruszków.

- Nic dla ciebie nie mam - zapewnił go gorliwie Maltby. - Naprawdę. Cholera! - zawołał, zatapiając dłonie w kieszeniach w poszukiwaniu czegoś, co by się nadało. - Później - powiedział. - Wróc jutro. Albo pojutrze o tej samej porze. Spodziewamy się wizyty słynnego szpiega.

- Obowiązkiem naszej ambasady, w tych okolicznościach, jest zapewnienie wsparcia logistycznego - ciągnął dalej Maltby stanowczym, rzeczowym tonem. - Zgodzisz się?

- Chyba tak - odparł niepewnie Stormont.

- Zobaczyć, gdzie potrzebna jest pomoc. Wspierać, zachęcać, uspokajać. Odciążać tych, którzy są na polu ognia.

- Na polu bitwy - rzucił zamyślony Stormont. - Chyba że chodzi ci o linię ognia.

- Dziękuję. Dlaczego zawsze się gubię, kiedy sięgam po nowoczesną metaforę? Chyba wyobraziłem sobie przez chwilę czołg. Kupiony u Gully’ego za sztaby złota.

- Pewnie tak.

Głos Maltby’ego zyskał na sile, jak gdyby na rzecz zgromadzonej przy scenie widowni, chociaż nikogo tam nie było.

- W duchu serdecznej współpracy uświadomiłem tym w Londynie...i jestem pewien, że zgodzisz się ze mną... że Andrew Osnard, jakkolwiek szalenie uzdolniony, jest zbyt niedoświadczony, żeby rozporządzać dużymi sumami pieniędzy, czy to w formie gotówki, czy złota. I jest rzeczą jak najbardziej właściwą dla niego i odbiorców pieniędzy, by wyznaczono skarbnika. Jako jego ambasador bezinteresownie zgłosiłem swoją kandydaturę. Londyn dostrzeże mądrość tego rozwiązania. Czy dostrzeże ją Osnard, śmiem wątpić, ale nie może się sprzeciwić, zwłaszcza że to my... ty i ja, Nigel... w przyszłości przejmemy kontakty z Cichą Opozycją i studentami. Wiadomo, że z pieniędzy z tajnych źródeł trudno jest się rozliczyć, a kiedy trafią w niepowołane ręce, odzyskanie ich jest praktycznie niemożliwe. Tym ważniejsze, by umiejętnie nimi zarządzać, kiedy znajdują się w naszej pieczy. Poprosiłem, by wyposażono kancelarię w taki sam sejf, jaki Osnard ma w swoim skarbcu. Trafi tam złoto... czy co innego... i my wspólnie będziemy dysponowali kluczami do niego. Jeśli Osnard uzna, że potrzebuje

dużej sumy pieniędzy, może przyjść do nas i przedstawić sprawę. Zakładając, że suma nie przekracza ustalonych wytycznych, razem wyciągniemy gotówkę i przekażemy ją w odpowiednie ręce. Jesteś bogaty, Nigel?

- Nie.

- Ja też. Czy rozwód dużo cię kosztował?

- Tak.

- Wyobrażam sobie. Ze mną nie będzie lepiej. Niełatwo zadowolić Phoebe. - Zerknął na Stormonta, czekając na potwierdzenie, ale obrócona ku Pacyfikowi twarz szefa kancelarii była jak wykuta z żelaza.

- Życie jest takie bezsensowne - ciągnął Maltby swoje rozważania. - Oto my, dwaj mężczyźni w sile wieku, zdrowi, ze zdrowymi potrzebami. Popełniliśmy kilka błędów, stawiliśmy im czoło i wyciągnęliśmy wnioski. I nadal mamy przed sobą kilka cudownych lat, zanim zostaniemy przykuci do szpitalnego balkonika. Tylko jedna rzecz psuje tę idealną perspektywę. Jesteśmy splukani.

Wzrok Stormonta wzniósł się nad ocean ku wzgórzom puszystych chmur nad odległymi wyspami. Wydawało mu się, że ujrzał na nich śnieg, a Paddy, wyleczona z kaszlu, drepcze dziarsko z zakupami ścieżką do górskiego domku.

- Chcą, żebym wysondował Amerykanów - powiedział mechanicznie.

- Kto chce? - zapytał szybko Maltby.

- Londyn - odparł Stormont tym samym bezbarwnym głosem.

- Po co?

- Żeby dowiedzieć się, ile wiedzą. O Cichej Opozycji. O studentach. O tajnych naradach z Japończykami. Mam to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń. Wybadać opinię, zorientować się w terenie. Wszystkie te idiotyzmy, które każą robić ci, co siedzą w Londynie. Ani Departament Stanu, ani CIA najwyraźniej nie widzieli materiałów Osnarda, Mam się dowiedzieć, czy wiedzą coś we własnym zakresie. Maltby był oburzony.

- Nie znoszą jankesów. Oczekują, że wszyscy będą szli w tym samym tempie, co oni. Żeby to zrobić we właściwy sposób, potrzeba setek lat. Spójrz na nasz kraj.

- Założmy, że jankesi nic nie wiedzą. Założmy, że to dziewiczy teren, a oni są zieloni.

- Założmy, że nie ma się czego dowiadywać. To bardziej prawdopodobne.

- Może jest w tym część prawdy - odparł Stormont z pewnego rodzaju staroświeckim uporem.

- Na takiej samej zasadzie, że popsuty zegarek co dwanaście godzin wskazuje właściwą godzinę. No tak, wtedy, przyznaję, może być w tym część prawdy - rzekł pogardliwie Maltby.

- Ale przypuśćmy, że jankesi uwierzą. Czy to prawda, czy nie - wytrwale ciągnął Stormont.
- Że dadzą się nabrać tak jak Londyn.

- Który Londyn? Na pewno nie nasz Londyn. I jankesi też nie uwierzą. Nie ci prawdziwi. Ich systemy są dużo nowocześniejsze od naszych. Udowodnią, że to stek bzdur, podziękują, powiedzą, że dostali wiadomość i zniszczyli ją.

Stormont nie dawał się zniechęcić.

- Ludzie nie ufają swoim systemom. W wywiadzie jest trochę jak na egzaminie. Zawsze ci się wydaje, że gość obok ciebie wie więcej.

- Nigel - rzekł stanowczo Maltby, wykorzystując autorytet stanowiska - przypominam, że

nie do nas należy ocena. Życie dało nam rzadką szansę znalezienia satysfakcji w pracy i udzielenia pomocy tym, których szanujemy. Czekają nas świetlana przyszłość. W takich przypadkach wahanie byłoby zbrodnią.

Zapatrzone przed siebie, ale już bez pocieszenia w chmurach, Stormont ogląda swoją przyszłość. Kaszel Paddy wykańczają. Rozpadająca się brytyjska służba zdrowia to wszystko, na co ich stać. Wczesna emerytura w Sussex i psie pieniądze. Koniec wszystkich najskrytszych marzeń. I Anglia, którą niegdyś kochał, pogrzebana dwa metry pod ziemią.

Leżeli na podłodze w pokoju dla wykańczarek, na stercie koców, które pracownice z plemienia Cuna trzymały dla kuzynów, ciotek i wujów z San Blas. Nad nimi wisały rzędy garniturów czekających na dziurki do guzików. Jedyne światło, wpadające przez świetlik, było zabarwione pomarańczową, miejską poświatą. Jedyne dźwięki dochodziły z Via Espana i z ust Marty, która szeptała coś do niego. Byli ubrani. Ona tuliła oszpeconą twarz do jego szyi. Drżała. Pendel też. Razem tworzyli jedno przerażone ciało. Jak dzieci w ciemnym pustym domu.

- Mówili, że oszukujesz na podatkach - szeptała. - Powiedziałam, że płacisz podatki, „Prowadzę jego księgi - mówię - to wiem”. - Przerwała, na wypadek gdyby chciał coś powiedzieć, ale nie miał nic do powiedzenia. - Mówili, że oszukujesz na ubezpieczeniach dla pracowników. Powiedziałam: „Ja zajmuję się ubezpieczeniami. Wszystko jest w porządku”. Powiedzieli, że nie powinnam zadawać pytań, że mają na mnie teczkę i niech mi się nie wydaje, że jestem nietykalna, skoro już raz mnie pobito. - Oparła na nim głowę. - Nie zadawałam pytań. Wiedzą, że na ścianie mojej sypialni wisi Castro i Che Guevara. Powiedzieli, że znowu zadaję się ze studentami. Zaprzeczyłam i wiesz, że mówiłam prawdę. Powiedzieli, że jesteś szpiegiem. A Mickie drugim. Że jego pijaństwo to tylko przykrywka dla prawdziwej działalności. Oszaleli.

Skończyła, ale zrozumienie jej słów zajęło Pendelowi trochę czasu, więc z opóźnieniem przysunął się do niej i obu rękami przycisnął jej policzki do swojego, czyniąc z ich twarzy jedną.

- Jakiego rodzaju szpiegiem?
- A jacy są jeszcze szpiegowie?
- Prawdziwi. Dzwonił telefon.

Dzwonił nad ich głowami, czego telefony w życiu Pendela zwykle nie robiły. Zawsze wydawało mu się, że to aparat wewnętrzny, dopóki nie przypominał sobie, że kobiety z plemienia Cuna żyły mm, radowały się mm, płakały do mego, spijały każde słowo mężów, kochanków, ojców, szefów, dzieci, wodzów i nieskończonej liczby krewnych z nierozwiązywalnymi osobistymi problemami. I kiedy telefon znów dzwonił - według arbitralnych obliczeń Pendela nieustannie, a dla reszty świata po raz czwarty - spostrzegł, że Marta nie leży już w jego ramionach, tylko stoi i zapina bluzkę dla przyzwoitości, przygotowując się do podniesienia słuchawki. Chciała też wiedzieć, czy Pendel jest tutaj, czy gdzieś indziej - zawsze o to pytała gdy telefon dzwonił w nieodpowiednim momencie. Wtedy zmobilizował się i też wstał, dzięki czemu znów byli blisko siebie, jak wtedy, kiedy leżeli.

- Ja jestem, ciebie nie ma - szepnął jej z naciskiem do ucha.

Bez przesady, bez afektacji: po prostu z głębi serca przemawiał przez mego obrońca Stana] na wszelki wypadek między Martą i telefonem i przy pomarańczowej poświacie ze świetlika - kilka gwiazd zdołało przebić się przez smog - przyglądał się dzwoniącemu aparatowi, próbując odgadnąć, kim jest rozmówca. „Pomyśl najpierw o najgorszych

możliwościach”, powiedział Osnard podczas sesji szkoleniowej. Tak też zrobił, a najgroźniejszą z możliwości wydawał się sam Osnard, pomyślał więc o Osnardzie. Potem pomyślał o Niedźwiedziu. Potem pomyślał o policji. A potem, ponieważ myślał o mej cały czas, pomyślał o Louisie.

Ale Louisa me była zagrożeniem. Była ofiarą którą stworzył dawno temu we współpracy z jej matką, ojcem, Braithwaite'em, wujkiem Bennym, siostrami miłosierdzia i wszystkimi innymi ludźmi składającymi się na osobę, którą sam się stał. Nie zagrażała mu, tylko przypominała o pomyłce ich związku, który rozpadł się pomimo wszystkich starań z jego strony, żeby go skleić, co było pomyłką, tak mu się przynajmniej wydawało: me powinniśmy sklejać związków, ale jeśli tego me robimy, to co nam pozostaje?

I w końcu, kiedy wyczerpał już prawie wszystkie możliwości, sięgnął po słuchawkę. Podniósł ją mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Marta podniosła jego drugą dłoń do ust i obnażonych zębów, obdarzając palce Pendela lekkimi, szybkimi, pobudzającymi ukąszeniami. Gest Marty w pewien sposób zdopingował go, bo zamiast „rozprószyć się” ze słuchawką przy uchu; wypiął pierś i przemówił śmiałym, czystym, żeby nie powiedzieć swawolnym hiszpańskim głosem, który miał pokazać, że jest w nim jeszcze chęć do walki, a nie jedynie nieskończona uległość wobec okoliczności.

- Tu Pendel & Braithwaite! Dobry wieczór, czym możemy służyć? Ale jeśli podświadomie chciał, by wesołość stępiła żądło agresora, nie osiągnął celu, gdyż strzelanina już się rozpoczęła. Pierwsze nadlatujące pociski dotarły do niego, zanim skończył mówić: odgłosy wymierzonych, coraz głośniejszych pojedynczych eksplozji przeplatane terkotem lekkich karabinów maszynowych, granatów i krótkimi triumfalnymi zawodzeniami rykoszetów. Przez sekundę lub dwie Pendelowi wydawało się, że znowu zaczęła się inwazja; tyle że tym razem zgodził się dotrzymać Marcie towarzystwa w El Chorrillo i dlatego całowała jego dłoń. Później nad odgłosami strzelaniny wzniosły się lamenty ofiar odbijające się echem w jakimś prowizorycznym schronie - oskarżenia, protesty, przekleństwa i żądania, zdławione przerażeniem i oburzeniem, błagalne prośby o wszystko od odszkodowań po boskie przebaczenie. I stopniowo wszystkie te głosy zlały się w jeden, który należał do Any, chiquilli Mickiego Abraxasa, przyjaciółki Marty z dzieciństwa i jedynej kobiety w Panamie, która wytrzymywała z Mickiem, obmywała go, kiedy wymiotował od nadmiaru tego, co akurat spożył, i wysłuchiwała jego bełkotu.

Od momentu, kiedy Pendel rozpoznał Anę, wiedział dokładnie, co mu powie, mimo iż jak każdy dobry gawędziarz najlepsze trzymała na koniec. I dlatego nie przekazał słuchawki Marcie, przyjmując razy na własne ciało, zamiast pozwolić jej przyjąć je na swoje - jak wtedy, gdy z konieczności dopuścił do zmasakrowania jej przez żołnierzy Noriegi.

Jednak monolog Any miał tyle odnóg, że Pendel właściwie potrzebował mapy, żeby przedostać się przez ten labirynt.

- To nie jest nawet dom mojego ojca, mój ojciec tylko mi go udostępnił to niechętnie, a ja skłamałam i powiedziałam mu, że jadę tam z moją przyjaciółką Estellą, z którą razem z Martą chodziłyśmy do szkoły klasztornej, co było kłamstwem, bo oczywiście nie mogłam wspomnieć o Mickiem. Dom należy do brygadzysty w fabryce sztucznych ogni La Negra Yieja, w Guarare produkuje się sztuczne ognie na wszystkie panamskie święta, ale to jest lokalny festiwal Guarare, a mój ojciec przyjaźni się z tym brygadzystą, był drużbą na jego ślubie i ten

brygadzysta zaprosił go do swojego domu na czas festiwalu, kiedy on będzie w podróży poślubnej na Arubie, ale mój ojciec nie lubi sztucznych ogni, więc powiedział, że mogę jechać tam zamiast niego pod warunkiem, że nie sprowadzę tego łachmyty Mickiego, więc skłamałam, że nie sprowadzę, że pojedę tam z Estellą, z którą przyjaźniłam się w szkole klasztornej, a która obecnie jest chiquillą handlarza drewnem z David. W Guarare przez pięć dni można oglądać walki byków, są tańce i najlepsze pokazy sztucznych ogni w Panamie, a nawet na całym świecie, ale nie pojechałam tam z Estellą, tylko z Mickiem i Mickie naprawdę mnie potrzebował, był tak przerażony, przygnębiony i śmieszny zarazem. Mówił, że policja to banda idiotów, skoro grozili mu i nazywali brytyjskim szpiegiem jak za czasów Noriegi tylko dlatego, że kiedyś upijał się w Oksfordzie przez kilka semestrów i pozwolił się namówić na prowadzenie brytyjskiego klubu w Panamie.

I w tym momencie Ana zaczęła się śmiać tak głośno, że Pendel mógł tylko spróbować cierpliwie zesztukować kawałki jej opowiadania, którego główne przesłanie było wystarczająco zrozumiałe, mianowicie że nigdy nie widziała Mickiego jednocześnie tak rozweselonego i tak przygnębionego; w jednej chwili szlochał, a w drugiej wyglupiał się i wariował, i na miły Bóg, co było tego powodem? I na miły Bóg znowu, co powie ojcu? Kto zmyje ściany i sufit? Dzięki Bogu podłoga była wyłożona terakotą, a nie parkietem, przynajmniej zachował się na tyle przyzwoicie, by zrobić to w kuchni, tysiąc dolarów za malowanie, ostrożnie szacując, a jej ojciec był surowym katolikiem z określonymi poglądami na temat samobójstwa i heretyków. No dobrze, pił, wszyscy pili, bo co się robi na festiwalu: pije, tańczy, pieprzy i ogląda sztuczne ognie, co zresztą robiła w chwili, gdy usłyszała za sobą huk. Skąd on go wytrzasnął, nigdy nie nosił przy sobie pistoletu, chociaż często mówił o palnięciu sobie w łeb, musiał go kupić po wizycie policji, kiedy oskarżyli go o szpiegostwo i przypomnieli, co się stało ostatnim razem, kiedy był w więzieniu, i obiecali, że to się może powtórzyć. Nie szkodzi, że nie jest już ładnym chłopcem, bo starzy recydywiści nie są wybredni, krzyknęła tylko, roześmiała się, schyliła głowę i zamknęła oczy i dopiero kiedy odwróciła się, żeby zobaczyć, kto rzucił petardę, czy co się tam stało, wtedy ujrzała to paskudztwo, część na jej nowej sukience, a Mickie leżał twarzą w dół na podłodze.

Pendel zastanawiał się intensywnie, jak wyglądało ciało jego przyjaciela, współwięźnia i przywódcy Cichej już teraz po wsze czasy Opozycji, twarzą w dół.

Odłożył słuchawkę i inwazja skończyła się, ofiary przestały lamentować. Pozostało tylko przeczesanie terenu. Zapisał adres w Guarare ołówkiem 2H, wyjętym z kieszeni. Cienka, głęboka linia, ale czytelna. Później pomyślał o pieniądzach dla Marty i przypomniał sobie plik pięćdziesiątek; Osnarda w prawej, zapinanej kieszeni spodni. Wręczył jej banknoty, a ona, wzięła je, prawdopodobnie nie wiedząc, co robi.

- To Ana - powiedział. - Mickie się zabił.

Ale oczywiście już wiedziała. W trakcie rozmowy przyciskała ucho do słuchawki, żeby mogli słuchać razem, i od razu rozpoznała głos przyjaciółki. Jedyne siła przyjaźni Pendela i Mickiego powstrzymała ją przed wyrwaniem mu słuchawki.

- To nie twoja wina - zapewniła go żarliwie i powtórzyła to kilka razy. - Zrobiłby to i tak, z twoją pomocą czy bez niej, słyszysz? Nie potrzebował pretekstu. Zabijał się codziennie. Uwierz mi.

- Wierzę, wierzę.

Ale nie powiedział: tak, to moja wina, bo nie miało to sensu. Zaczęła trząść się gwałtownie jak w ataku malarii i gdyby jej nie przytrzymał, upadłaby na podłogę jak Mickie - twarzą w dół.

- Jutro polecisz do Miami - powiedział. Przypomniał sobie hotel, o którym mówił mu Rafi Domingo. - Zatrzymaj się w Grand Bay. Przy Coconut Grove. Na obiad jest wspaniały szwedzki stół - dodał idiotycznie. - Jeśli nie będziesz mogła dostać się do środka, powiesz strażnikowi, że przyszedłeś po wiadomość. To mili ludzie. Powołaj się na Rafiego.

- To nie twoja wina - powtórzyła, szlochając. - Za mocno pobili go wtedy w więzieniu. Był jeszcze dzieckiem. Dorosłych można bić, ale nie dzieci. Był gruby. Miał wrażliwą skórę.

- Wiem - zgodził się Pendel. - Wszyscy ją mamy. Nie powinniśmy tego sobie robić. Nigdy.

Ale patrzył na rząd garniturów oczekujących na wykończenie, ponieważ największym i najbardziej wyróżniającym się wśród nich był prążkowany garnitur z alpaki dla Mickiego z parą zapasowych spodni - tymi, w których, jak twierdził, wyglądał za staro.

- Pojadę z tobą - powiedziała. - Pomogę ci. Zaopiekuję się Aną.

Pokręcił głową. Chwycił ją za ramiona i znowu pokręcił głową. Ja go zdradziłem - pomyślał. - Nie ty. Ja uczyniłem go przywódcą, choć ty mi to odradzałaś. - Próbował powiedzieć coś w tym sensie, ale jego twarz chyba już wszystko powiedziała, gdyż Marta wyrwała mu się, jak gdyby jato nie obchodziło.

- Marta, słyszysz? Nie patrz tak na mnie. Dobrze.

- Dziękuję za studentów i wszystko - nalegał. - Dziękuję za wszystko. Dziękuję. Przepraszam.

- Będziesz potrzebował benzyny - powiedziała i podała mu sto dolarów. I stali tak, dwoje ludzi wymieniających się banknotami w chwili, gdy wokół nich walił się świat.

- Nie musiałeś mi dziękować - powiedziała, przybierając surowy ton. - Kocham cię. Cała reszta nie ma dla mnie większego znaczenia. Nawet Mickie.

Najwyraźniej już to przemyślała, bo jej ciało rozluźniło się, a oczy znów wypełniła miłość.

Był ten sam wieczór i dokładnie ta sama godzina, ambasada brytyjska przy Calle 53 w Marbelli w Panama City, Pilnie zwołana narada poszerzonego składu Buchenerów trwała od godziny. W ponurym, dusznym, pozbawionym okien pomieszczeniu Osnarda we wschodnim skrzydle Francesca Deane musiała bez przerwy przypominać sobie, że nic się nie zmieniło w codziennym funkcjonowaniu świata, a na zewnątrz czas płynie tak samo jak wewnątrz, nawet jeśli w najspokojniejszy i najrozsądniejszy sposób planuje się tutaj uzbrojenie i finansowanie grupy supertajnych panamskich buntowników zwanych Cichą Opozycją, rekrutację walczących studentów, a także obalenie prawowitego rządu Panamy i ustanowienie tymczasowego komitetu administracyjnego zobowiązanego do wyrwania Kanału ze szpon wschodnioazjatyckiego spisku.

Mężczyźni podczas tajnych zebrań zmieniają skórę, pomyślała Frań jako jedyna obecna kobieta, dyskretnie obserwując osoby stłoczone wokół zbyt małego stolika. Świadcząc tym szyje wbite w usztywnione ramiona, napięte mięśnie twarzy i brudne cienie wokół rozbieganych, pożądlivych oczu. Jestem jedynym Murzynem w pomieszczeniu pełnym białych. Prześlizgnęła niewidzącym spojrzeniem po Osnardzie i przypomniała sobie wyraz oczu krupierki w trzecim kasynie: A więc jesteś jego dziewczyną - mówiły. - Powiem ci coś,

kochana. Twój chłopak i ja wyczyniamy rzeczy, o których tobie nie śniło się w najbardziej sprośnych snach.

Mężczyźni podczas tajnych narad traktują cię jak kobietę, uratowaną przez nich z płomieni, pomyślała. Cokolwiek by zrobili, oczekują, że będziesz uważać ich za ideał. Powinnam stać na progu domostwa, mieć na sobie długą białą suknię i tulić do piersi ich dzieci, żegnając ich przed pójściem na wojnę. Powinnam mówić: Hej, jestem Frań, twoja nagroda, jeśli wrócisz ze zwycięskim laurem. Mężczyźni podczas tajnych narad w skąpym świetle mają woskowe twarze, na których maluje się poczucie winy. Dziwna szara stalowa szafka na przykręcanych nóżkach nuci coś jak pozbawiony słuchu malarz pokojowy, żeby strzec nasze słowa przed wścibskimi uszami. Mężczyźni podczas tajnych spotkań wydzielają inny zapach. Są podnieceni.

Frań była równie podniecona, choć to podniecenie rozbudziło w niej sceptycyzm, tymczasem podniecenie mężczyzn zwróciło ich ku bardziej wojowniczemu bogu, którym w tej chwili był drobny, brodaty pan Mellors. Przycupnął jak samotny barowy gość po przeciwnej stronie stołu i co chwila rzucał do zgromadzonych słowo „panowie” z silnym szkockim akcentem, jak jedyny dzisiejszy wieczór Frań również przyjęto do królestwa mężczyzn. Powiedział że sam w to nie może uwierzyć, ale nie zmrużył oka od dwudziestu Rodzin’ Przystał jednak, że może wytrzymać jeszcze dwadzieścia.

- Nie sposób przecenić, panowie, ogromnej państwowej i, ośmielę się powiedzieć, geopolitycznej wagi, którą najwyższe kręgi rządu Jej Królewskiej Mości przypisują tej operacji - nie przestawał ich zapewniać pomiędzy dyskusjami na rozmaite tematy, między innymi o tym, czy lasy Darię zapewnią odpowiednią kryjówkę paru tysiącom karabinów półautomatycznych, czy może powinniśmy wybrać trochę bardziej dogodną lokalizację z myślą o dojazdach do domu i pracy? Mężczyźni łapczywie chłonęli jego słowa. Połykali je w całości, ponieważ w tajemnicy wierzy się w największe bzdury. Zgolcie jego głupią szkocką brodę, radzi im Frań. Wyprowadźcie go na zewnątrz. Zdemaskujcie go. Każcie mu powtórzyć to wszystko w autobusie do Paitilli. Wtedy zobaczycie, czy zgadzacie się choćby z jednym jego słowem.

Ale nie wyprowadzili go na zewnątrz i nie zdemaskowali. Wierzyli mu. Podziwiali go. Świata poza nim nie widzieli. Wystarczy popatrzeć na przykład na Maltby’ego! Jej Maltby! - jej niegodziwy, śmieszny, pedantyczny, mądry, żonaty, nieszczęśliwy ambasador, który nie czuje się bezpiecznie w taksówkach, na korytarzach, sceptyk nad sceptykami, o czym próbował ją przekonać, choć zawołał: „Chryste, jaka ona piękna!”, kiedy wskoczyła do jego basenu. Maltby siedział jak posłuszny uczeń po prawicy Mellorsa, z obłudnym uśmiechem zachęty na twarzy, kiwał długą głową w przód i w tył jak ptaszki z pubów, które piją wodę z brudnych plastikowych kubków, i namawiał nadąsanego Nigela Stormonta, żeby się z nim zgodził.

- Też tak myślisz, Nigel, prawda?! - zawołał. - A więc postanowione, Mellors. Albo:

- My damy im złoto, oni kupią broń u Gully’ego. Dużo prostsze niż bezpośrednie zaopatrzenie. I trudniejsze do wykrycia... no nie, Nigel?... tak Gully? Więc postanowione, Mellors.

Albo:

- Nie, nie, panie Mellors, dziękujemy bardzo, ale nie potrzeba nam dodatkowego

personelu. Nigel i ja czujemy się na siłach, żeby troszeczkę pokombinować, prawda, Nigel? I Gully też zna się na rzeczy. Co to jest kilkaset min przeciwpiechotnych między przyjaciółmi, co, Gully? Wyprodukowane w Birmingham. Niezawodne.

Gully wdzięczy się, przytyka chusteczkę do wąsów i robi zachłannie notatki w księdze zamówień, a tymczasem Mellors podsuwa mu przez stół coś w rodzaju listy zakupów, wznosząc oczy ku niebu, żeby nie patrzeć na to, co robi.

- Minister wyraził gorącą aprobatą - dyszy, chcąc powiedzieć: mnie proszą za to nie winić.

- Naszym jedynym problemem, panie Mellors, jest utrzymanie kręgu wtajemniczonych na poziomie absolutnego minimum - mówi z zapalem Maltby. - Czyli odizolowanie wszystkich, którzy przez pomyłkę mogą coś wiedzieć, jak młody Simon - łypnięcie okiem na Simona Pitta, który siedzi jak w szoku u boku Gully'ego - i postraszenie ich dożywotnimi galerami, jeśli wypalają choćby jedno słowo. Zgadza się, Simon?

- Zgadza się - przyznaje udręczony Simon.

To jakiś inny Maltby. Frań nie znała go takiego, choć podejrzewała jego istnienie, był przecież tak niedoceniany. To także inny Stormont - marszczy brwi zapatrzonej w pustkę za każdym razem, kiedy przemawia, i przytakuje wszystkiemu, co mówi Maltby.

A Andy? A może to ten sam Andy, co przedtem, tyle że do tej pory go nie znałam?

I ukradkiem zatrzymuje na nim wzrok.

Jest odmieniony. Ani większy, ani grubszy, ani chudszy, Po prostu bardziej daleki. Do tego stopnia, że ledwie go rozpoznawała zza stołu. Teraz zdała sobie sprawę, że jego metamorfoza rozpoczęła się w kasynie wraz z nadejściem dramatycznej wiadomości o rychłym przyjeździe Mellorsa.

- Kto potrzebuje tego wypierdka? zapytał ją wściekły, jakby była odpowiedzialna za jego sprowadzenie. - BUCHAN się z nim nie zobaczy, BUCHAN DWA się z nim nie zobaczy. Nie chce nawet ze mną się spotykać. Nikt się z nim nie spotka. Już mu to mówiłem.

- To powiedz mu jeszcze raz.

- To jest moja działka, do cholery. Nie jego. Moja cholerna operacja. Co to, kurwa, ma z nim wspólnego?

- Mógłbyś łaskawie przy mnie nie przeklinać? To twój szef, Andy. To on cię tu przysłał, nie ja. Szefowie regionów mają prawo kontrolować swoich podwładnych. Przypuszczam, że nawet w twoim fachu.

- Gówno prawda - odparł, a ona po chwili już pakowała spokojnie rzeczy. Andy kazał jej dopilnować, żeby w wannie nie zostały po niej włosy.

- Boisz się, że coś znajdzie? - zapytała lodowatym głosem, - Przecież chyba nie jest twoim kochankiem? Nie musisz przestrzegać celibatu, prawda? Po prostu miałeś tutaj kobietą. Co w tym złego? To nie musiałam być ja.

- Nie musiałaś.

- Andy!

Odegrał przed nią krótką i żalostną scenkę, udając skruchą.

- Nie lubię, kiedy się mnie szpieguje, to wszystko - powiedział naburmuszony.

Ale kiedy roześmiała się z ulgą z tego dowcipu, wyciągnął z kredensu jej kluczyki do samochodu, wcisnął jej do ręki i odprowadził z bagażem do windy. Przez cały dzień unikali

siebie aż do chwili, gdy musieli zasiąść przy stole w posępnym białym więzieniu. Andy rzucał groźne spojrzenia, a Frań zaciskała usta, posyłając uśmiechy do nieznanego, który ku jej skrytemu oburzeniu wychwalał Andy'ego i ulegał mu w najbardziej obrzydliwy sposób, jaki można sobie wyobrazić.

- Czy te propozycje wydają ci się sensowne, Andrew? - dopytywał się Mellors, cmokając językiem o zęby. - Mów, młody człowieku. Przecież to twoje dzieło, na Boga! Ty jesteś tutaj u steru, ty jesteś gwiazdą, nie licząc oczywiście pana ambasadora. Chyba lepiej, żeby człowiek w terenie - na linii frontu, na Boga - uwolnił się od żmudnych spraw administracyjnych? Powiedz szczerze. Nikt przy tym stole nie ma zamiaru kwestionować twojej wzorowej postawy.

Maltby entuzjastycznie przyklaskuje tej opinii, a chwilę później, z mniejszym entuzjazmem, wtóruje mu Stormont. Omawianą sprawą jest dwuosobowy system kontroli finansów Cichej Opozycji, zadanie, które w powszechnej opinii najlepiej powierzyć starszym urzędnikom.

Dlaczego Andy krzywi się na propozycję zdjęcia z jego barków tak wielkiego ciężaru? Czemu nie wyraża wdzięczności Maltby'emu i Stormontowi, którzy palą się przejąć od niego te obowiązki.

- Jak chcecie - mamrocze gburowato, zerkając spode łba na Maltby'ego. I znowu robi obrażoną minę.

A kiedy poruszono kwestię, jak przekonać Abraxasa, Domingo i innych członków Cichej Opozycji do kontaktowania się bezpośrednio ze Stormontem w sprawach finansowych i logistycznych, Andy omal nie stracił panowania nad sobą.

- A może od razu przejmiecie całą siatkę? - Na policzkach wystąpiły mu purpurowe plamy. - Będziecie nią kierować z kancelarii w godzinach pracy pięć dni w tygodniu. Proszę bardzo.

- Andrew, spokojnie, bez ostrych słów! - woła Mellors, cmokając z dezaprobatą jak stara szkocka kwoka. - Przecież jesteśmy zespołem. Proponujemy pomoc, wsparcie tęgich głów, umocnienie wspaniale prowadzonej operacji. Prawda, ambasadorze? - Cmoknięcie, smutna mina zatroskanego ojca, pojednawczy ton graniczący z błaganiem. - Ci ludzie z opozycji są trudny mi negocjatorami. Trzeba będzie twardo z nimi rozmawiać, podejmować błyskawicznie decyzje o ogromnym znaczeniu. Dla chłopca w twoim wieku, Andrew, to zbyt głęboka woda. Lepiej zostawić takie sprawy ludziom do - świadczonym.

Andy nadąsał się. Stormont patrzył przed siebie w próżnię. Ale poczciwy Maltby poczuł się w obowiązku dodać kilka słów pocieszenia.

- Drogi kolego, nie możesz prowadzić całej gry w pojedynkę, prawda, Nigel? W mojej ambasadzie wszystkim dzielimy się po równo, prawda, Nigel? Nikt nie odbierze ci twoich szpiegów. Nadal będziesz czuwał nad siatką: prowadził odprawy, przesłuchiwał, płacił i tak dalej. Chodzi nam tylko o tę twoją Cichą Opozycję. Przecież mamy rację?

Ale nadal, ku zażenowaniu Frań, Andy odmawiał uściśnięcia ręki, tak grzecznie do niego wyciągniętej. Spojrzenie roziskrzonych małych oczek przeskakiwało z Maltby'ego na Stormonta i z powrotem. Mamrotał coś, czego, nikt nie słyszał, i chyba dobrze. Uśmiechał się gorzko i kiwał głową jak ktoś, kto został okrutnie oszukany.

Pozostała ostatnia symboliczna ceremonia. Mellors wstał, dał nura pod stół i wyłonił się z dwiema czarnymi skózanymi torbami podobnymi do tych, jakie noszą królewscy wysłannicy.

- Andrew, bądź łaskaw otworzyć skarbiec - rozkazał.

Teraz wszyscy wstali. Frań też. Shepherd podszedł do skarbcza, długim mosiężnym kluczem

otworzył kratę i odciągnął ją, odsłaniając mocne stalowe drzwi z czarną tarczą pośrodku. Na znak Mellorsa Andy wystąpił do przodu z takim wyrazem tamowanej złości na twarzy, że Frań szczerze się ucieszyła, że do tej pory nigdy go takiego nie widziała. Pokręcił tarczą w jedną; i drugą stronę i zamek ustąpił. Nawet wtedy Maltby dorzucił słowo zachęty Andy odciągnął drzwi i kłaniając się ironicznie, zaprosił ambasadora i szefa kancelarii do środka. Frań nadal stała przy stole obok olbrzymiego czerwonego telefonu podłączonego do czegoś, co wyglądało jak odkurzacz, i zobaczyła stalowy sejf z dwiema dziurkami na klucze. Jej ojciec, sędzia, miał podobny w garderobie.

- Każdy ma jeden klucz - usłyszała piskliwy szczebiot Mellorsa. Przez chwilę Frań znalazła się w starej szkolnej kaplicy, klęcząc przy pierwszej ławie i patrząc na grupkę przystojnych młodych księży, którzy skromnie odwracali się do niej plecami i odprawiali fascynujące rytuały przed udzieleniem jej pierwszej komunii. Stopniowo wspomnienie uleciało i znów zobaczyła przed sobą Andyego - pod ojcowskim okiem Mellorsa wręczał Maltby'emu i Stormontowi po jednym długim posrebrzonym kluczu. W atmosferze wesołości, która nie udziela się Andy'emu, każdy z nich sprawdził swoim kluczem zamek drugiego, a Maltby zawołał: „Mam cię”, gdy drzwi, do sejfu otworzyły się z cichym trzaskiem. Ale Frań nie patrzyła już na sejf. Jej wzrok padł na Andy'ego wpatzonego w złote sztaby, które Mellors po kolei wyjmował z czarnych toreb i podawał Shepherdowi, a on układał je na krzyż jak bierki. Zasepiona twarz Andy'ego po raz ostatni przyciągnęła jej wzrok, ponieważ powiedziała jej wszystko, co chciała i czego nie chciała o nim wiedzieć. Już wie, że został przyłapany, i trafnie zgaduje na czym, chociaż nie ma pojęcia, czy ci, którzy go przyłapali, zdają sobie z tego sprawę. Wie, że Osnard jest kłamcą. Wie, skąd pochodziło pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które postawił na czerwone, i dobrze rozumie, dlaczego konieczność oddania kluczy tak bardzo go wścieka. I Frań już nie patrzy, częściowo dlatego, że oczy zaszły jej mgłą upokorzenia i wstrętu do samej siebie, a częściowo dlatego, że Maltby podszedł do niej z uśmiechem pirata i zapytał, czy zgodzi się na to, że zabierze ją do Pavo Real na gotowane jajko.

- Phoebe postanowiła ode mnie odejść - wyjaśnił z dumą. - Rozwodzimy się. Nigel zbiera się na odwagę, żeby jej o tym powiedzieć. Nigdy nie uwierzy, jeśli usłyszy o tym ode mnie.

Odpowiedź zajęła Frań chwilę czasu, bo w pierwszym odruchu chciała wzruszyć ramionami i powiedzieć: nie, dziękuję bardzo. Dopiero kiedy znowu zaczęła myśleć, uświadomiła sobie coś, na co powinna wpaść wcześniej. Mianowicie że od wielu miesięcy wzruszało ją oddanie Maltby'ego i była wdzięczna za obecność w jej życiu mężczyzny, który tak desperacko jej pragnie. I że jego nieśmiała adoracja stała się źródłem nieocenionego wsparcia w chwili, gdy zmagala się ze świadomością, że dzieli życie z łajdakiem, którego brak skrupułów początkowo ją zauroczył, a teraz odpychał. Zainteresowanie Andy'ego jej osobą zawsze wygodnie ograniczało się do sfery cielesnej, czego skutkiem było obudzenie w niej tęsknoty za niezdarnym oddaniem ambasadora.

I doszedłszy w tak racjonalny sposób do owej konkluzji, Frań uznała, że już dawno nie była nikomu tak wdzięczna za zaproszenie.

Marta siedziała zgarbiona na stole wykańczarek, spoglądając na plik banknotów, który Pendel wcisnął jej do ręki, i rozmyślała. Jego przyjaciel Mickie nie żyje, wydaje mu się, że przez niego, co może jest prawdą, policja go śledzi, a on chce, żeby siedziała na plaży w

Miami, obżerała się przy szwedzkim stole w Grand Bay, kupowała sobie ubrania i czekała na niego. Żeby była szczęśliwa i wierzyła w niego, żeby opaliła się i naprawiła sobie twarz. I żeby znalazła sobie chłopaka, bo chciałby, żeby miała przystojnego chłopaka, zastępcę Harry'ego Pendela, który będzie się z nią kochał w jego imieniu, a on pozostanie wierny Louisie, Taki już jest. Można powiedzieć, że to skomplikowane, a można też uznać, że bardzo proste. Harry ma marzenie dla każdego. Harry wymyśla każdemu wymarzone życie i za każdym razem się myli. Bo po pierwsze, nie chce wyjeżdżać z Panamy. Chce tu zostać, kłamać dla niego policji, siedzieć przy jego łóżku tak, jak on siedział przy jej, dowiedzieć się, co popsuł, i spróbować to naprawić. Chce mu powiedzieć, żeby wstał i pokręcił się po pokoju, bo dopóki się leży, myśli się tylko o jednym: o kolejnym pobiciu. Ale kiedy się wstanie, znowu jest się *mensz* - to słowo jest dla niego synonimem godności. A po drugie, nie może wyjechać z Panamy, bo policja zabrała jej paszport w ramach zachęty do szpiegowania.

Siedem tysięcy dolarów.

Przeliczyła je na stole przy świetle wpadającym przez świetlik. Siedem tysięcy dolarów z jego tylnej kieszeni, wciśnięte jej do ręki jakby z poczuciem winy w chwili, gdy usłyszała o śmierci Mickiego. „Masz, weź je, to pieniądze Osnarda, pieniądze Judasza, pieniądze Mickiego, teraz należą do ciebie” Można by pomyśleć, że kto inny zatrzymałby pieniądze dla siebie na różne ewentualności. Na pogrzeb. Pieniądze dla policji. Dla chiquilli. Ale Harry, zaledwie odłożył słuchawkę, już wyciągał plik z tylnej kieszeni, chcąc się pozbyć każdego brudnego dolara. Policjanci pytali ją, skąd Harry ma pieniądze.

- Nie jesteś głupia, Marto. Potrafisz czytać, uczyć się, konstruować bomby, sprawiać kłopot, prowadzić demonstracje. Kto daje mu pieniądze? Abraxas? Pracuje dla Abraxasa, a Abraxas dla Brytyjczyków? Co daje Abraxasowi w zamian?

- Nie wiem. Mój szef nic mi nie mówi.

- Pieprzy cię, tak?

- Nie, nie pieprzy mnie. Odwiedza mnie, bo cierpię na bóle głowy i ataki mdłości, jest moim pracodawcą i był przy mnie, kiedy mnie skatowano. Jest troskliwym człowiekiem, szczęśliwym w małżeństwie.

Nie, nie pieprzy mnie - przynajmniej to było prawdą, chociaż wyznanie im tej prawdy kosztowało ją więcej niż wszystkie łatwe kłamstewka. Nie, nie pieprzy mnie. Nie, nie proszę go o to. Leżymy w łóżku, kładę rękę na jego gorące krocze, ale na zewnątrz, on wkłada mi rękę za bluzkę, ale pozwala sobie tylko na jedną pierś, chociaż wie, że może mieć mnie całą w każdej chwili, bo i tak ma mnie całą, ale kieruje nim poczucie winy, ma w sobie więcej winy niż grzechów. I opowiadam mu historie o tym, kim moglibyśmy być, gdybyśmy znowu byli młodzi i odważni w czasach, zanim kijami odebrano mi twarz. To jest miłość.

Zrobiło jej się niedobrze. Wstała, ściskając w obu dłoniach pieniądze. Nie mogła zostać w pracowni wykańczarek ani minuty dłużej. Przeszła do drzwi swojego biura i jak turysta podczas wycieczki sto lat później stanęła w progu i zajrzała do środka, zasłuchana we własny komentarz: Tutaj siedziała Mulatka Marta i prowadziła rachunki dla krawca Pendela Tam na półkach widać książki z socjologii i historii, które Marta czytała w wolnych chwilach, chcąc wspiąć się na wyższy szczebel drabiny społecznej i spełnić marzenia zmarłego ojca, stolarza. Samoukowi Pendelowi zależało żeby jego personel, a zwłaszcza Marta, maksymalnie rozwijał swój potencjał. Tutaj jest kącik kuchenny, gdzie Marta przygotowywała słynne kanapki.

Wszyscy wybitni mężowie Panamy wypowiedali się z zachwytem o kanapkach Marty, łącznie z Mickiem Abraxasem, słynnym szpiegiem i samobójcą. Jej specjalnością były kanapki z tuńczykiem, ale w głębi ducha chciała otruć całą tę zgraję oprócz Mickiego i jej pracodawcy Pendela. A tam w kącie za biurkiem mamy miejsce, gdzie w 1989 roku krawiec Pendel, zamknąwszy najpierw drzwi zapomniał się do tego stopnia, że wziął Martę w ramiona i wyznał jej dozgonną miłość. Krawiec Pendel zaproponował, żeby pojechali do hotelu, ale Marta wolała go zabrać do swojego mieszkania i kiedy tam jechali, Marta odniosła obrażenia, które oszpeciły ją na zawsze. Jej kolega ze studiów Abraxas nakłonił tchórzliwego lekarza, żeby odcisnął na niej swe niezatarte piętno - był tak przerażony perspektywą utraty dochodowej praktyki, że nie mógł powstrzymać drżenia rąk. Ten sam lekarz był później na tyle mądry, że doniósł na Abraxasa, co ostatecznie doprowadziło go do zguby.

Zamykając drzwi za swoją nieżyjącą siostrą, Marta ruszyła dalej korytarzem do pracowni Pendela. Zostawię pieniądze w górnej lewej szufladzie. Drzwi były uchylone. W środku paliło się światło. Nie zdziwiło to Marty. Jeszcze niedawno jej Harry był człowiekiem o nieziemskiej dyscyplinie, ale w ostatnich tygodniach zszywanie tak wielu istnień przerastało go. Pchnęła drzwi. Teraz znajdujemy się w pracowni krawca Pendela, znanej klientom i pracownikom jako najświętsze świątyni. Nikomu nie wolno było wejść tam bez pukania albo podczas jego nieobecności - z wyjątkiem jego żony Louisy. Siedziała przy biurku męża z okularami na nosie i stertą starych notesów przed sobą. Obok leżało mnóstwo ołówków, księga zamówień i spray na muchy z odkręconym dnem, a ona bawiła się ozdobną zapalniczką, którą Harry rzekomo dostał od bogatego Araba, chociaż w księgach P & B nie figurował ani jeden bogaty Arab.

Była ubrana w cienki czerwony szlafrok, najwyraźniej nie mając nic pod spodem, bo kiedy pochylała się, jej piersi były widoczne w całej okazałości. Włączała i wyłączała zapalniczkę, uśmiechając się do Marty zza płomienia.

- Gdzie mój mąż? - zapytała Louisa. Cyk.

- Pojechał do Guarare - odparła Marta. - Mickie Abraxas zabił się podczas pokazu sztucznych ogni.

- Przykro mi.

- Mnie też. Pani mężowi też.

- No, ale nie ma w tym w końcu nic zaskakującego. Uprzedzał nas o tym wydarzeniu przez jakieś pięć lat - zauważyła rozsądnie Louisa.

- Był przerażony - powiedziała Marta.

- Mickie?

- Pani mąż.

- Czemu mój mąż prowadzi osobną księgą faktur za garnitury pana Osnarda? Cyk.

- Nie wiem. Też mnie to dziwi - stwierdziła Marta.

- Jesteś jego kochanką?

- Nie.

- A ma jakąś? Cyk.

- Nie.

- To jego pieniądze trzymasz w ręku?

- Tak.

- Dlaczego? Cyk.
- Dał mi je - przyznała Marta.
- Za pieprzenie?
- Na przechowanie. Miał je w kieszeni, kiedy usłyszał wiadomość.
- Skąd je miał?

Cyk i płomień, który oświetlił lewe oko Louisy tak blisko, że Marta zdziwiła się, czemu jej brew nie zajęła się ogniem, a razem z nią cienki czerwony szlafrok.

- Nie wiem - odpowiedziała Marta. - Niektórzy klienci płacą gotówką. Czasem nie wie, co z nią zrobić. Kocha panią. Kocha swoją rodzinę bardziej niż cokolwiek na świecie. Mickiego też kochał.

- Kocha kogoś jeszcze?
- Tak.
- Kogo?
- Mnie.

Oglądała kartkę papieru.

- To adres domowy pana Osnarda? Torre del Mar? Punta Paitilla? Cyk.
- Tak - powiedziała Marta.

Rozmowa dobiegła końca, ale początkowo Marta nie zdawała sobie z tego sprawy, bo Louisa nadał cykała zapalniczką i uśmiechała się do płomienia.

Dopiero po wielu cyknięciach i uśmiechach Marta zrozumiała, że Louisa jest pijana. Tak samo upijał się jej brat, kiedy życie stawało się dla niego nie do zniesienia. Była pijana bez śpiewu i zataczania się, za to z jasnym umysłem i doskonałym wzrokiem. I z całą świadomością, której chciała się pozbyć za pomocą alkoholu. I zupełnie naga pod szlafrokiem.

Tej samej nocy, o pierwszej dwadzieścia, zabrzmiał dzwonek u drzwi Osnarda. Przez ostatnią godzinę znajdował się w stanie zaawansowanej trzeźwości. Początkowo, rozwścieczony porażką, obmyślał okrutne metody pozbycia się znieawidzonego gościa: chciał zrzucić go z balkonu, żeby przebił dach klubu Union kilkanaście pięter niżej, psując wszystkim wieczór, utopić go pod prysznicem, dolać mu trucizny do whisky... „No dobrze, Andrew, jeśli nalegasz, ale tylko kapkę, jeśli łaska”... cmoknięcie o zęby w agonii. Wściekał się nie tylko na Luxmore’a:

Maltby! Mój ambasador i partner do golfa! Cholerny reprezentant królowej, przywiędły kwiat brytyjskiej pieprzonej dyplomacji, a kantuje jak zawodowiec!

Stormont! Chodząca uczciwość, urodzony frajer, ostami biały człowiek, wierny pudel Maltby’ego ze zboląłą miną, zachęcający swego pana kiwnięciami głowy i chrząknięciami, a Jego Świątobliwość biskup Luxmore udziela obu błogosławieństwa!

Czy to spisek, czy nieporozumienie, pytał samego siebie. Czy Maltby serio mówił o tym, że „dzielimy się po połowie” i że nie można „prowadzić całej gry w pojedynkę”? Maltby, uśmiechnięty pedant, pakuje łapy do kasy? Nie wiedziałby jak. I Osnard do pewnego stopnia się uspokoił. Do głosu doszedł jego wrodzony pragmatyzm, więc porzucił myśli o zemście i zabrał się do ratowania resztek swego wielkiego imperium. Okręt jest dziurawy, ale jeszcze nie zatonął. Nadal jestem płatnikiem BUCHANA. Maltby ma rację.

- Ma pan ochotę na coś innego czy woli pan zostać przy whisky?

- Andrew, proszę cię. Jeśli łaska, mów mi Scottie.

- Spróbuję - obiecał Osnard. Przeszedł przez otwarte balkonowe drzwi do mieszkania, nalał mu kolejną solidną porcję whisky z kredensu w jadami i wrócił na balkon. Zmiana czasu, whisky i brak snu wreszcie zaczęły odbijać się na Luxmorze, stwierdził, przeprowadzając kliniczne oględziny leżącej w fotelu postaci swego pana. I wilgoć: przemoczona flanelowa koszula, strugi potu spływające po brodzie. I strach wywołany przebywaniem na wrogim terytorium bez żony, która by się nim zaopiekowała: przerażone oczy mrugały przy każdym nieoczekiwanym stukocie kroków, dźwięku policyjnej syreny czy ordynarnym okrzyku, dochodzącym zygzakami przez tandetne kaniony Punta Paitilla. Niebo było czyste jak woda i usiane mrugającymi gwiazdami. Sprzyjający kłusownikom nowy księżyc wytyczał świetlną ścieżkę między statkami zakotwiczonymi u wejścia do Kanału, ale nie było wiatru od morza. Rzadko wiał.

- Pytał pan, czy centrala może zrobić coś, co ułatwi funkcjonowanie placówki - przypomniał nieśmiało Osnard Luxmore’owi.

- Naprawdę? Niech mnie szlag. - Luxmore podskoczył w fotelu. - Nowa Andrew. Muszę przyznać, że nieźle się tutaj urządziłeś - dodał, nie do końca serdecznie, zataczając ramieniem nierówny łuk, który objął zarówno widok, jaki wspaniały apartament, - Tylko sobie nie myśl, że cię krytykuję. Piję twoje zdrowie. Za twoją determinację, rozsądek, młodość. Cechy, które wszyscy podziwiamy. Zdrowie! - Siorbnięcie. - Masz przed sobą wielką karierę, Andy. Mogę

dodać, że dzisiaj jest łatwiej niż za moich czasów. Wygodniej. Wiesz, ile to teraz kosztuje w kraju? Masz szczęście, jeśli dostaniesz reszty z dwudziestki.

- Chodzi o bezpieczny punkt kontaktowy - przypomniał mu Osnard tonem zniecierpliwionego spadkobiercy przy łożu konającego ojca. - Musimy zrezygnować z moteli i tanich hotelików. Pomyślałem, że jedno z tych odremontowanych mieszkań na Starym Mieście mogłoby zapewnić nam większy zasięg operacyjny.

Ale Luxmore nadawał, a nie odbierał.

- Popatrz, jak te ważniaki cię dzisiaj poparły. Mój Boże, nieczęsto się widuje, żeby takim szacunkiem darzyć kogoś młodszego. Po tym wszystkim chyba czeka cię jakiś medal. Pewna damulka zza rzeki być może poczuje się zobligowana, żeby wyrazić swą wdzięczność.

Chwila ciszy. Luxmore zapatrzył się na zatokę, najwyraźniej myśląc ją z Tamizą.

- Andrew! - zawołał raptownie, budząc się.

- Tak?

- A ten Stormont?

- O co chodzi?

- Dał plamę w Madrycie. Związał się z jakąś dziwką. Ożenił się z nią jeśli dobrze pamiętam. Uważaj na niego.

- Dobrze.

- Na nią też.

- Dobrze.

- Masz tutaj jakąś kobietę? - rozejrzał się, zaglądając na niby pod sofę, za zasłony; udawał trzeźwego. - Nie ukrywasz tu żadnej gorącej Latynoski? Nie odpowiadaj. Zdrówko. Zatrzymaj ją dla siebie. Mądry z ciebie gość.

- Byłem zbyt zapracowany - wyznał Osnard ze smutnym uśmiechem. Ale nie chciał dać za wygraną. Wydawało mu się, że kształtuje podświadomość Luxmore'a na później. - Widzi pan, moim zdaniem powinniśmy dysponować dwoma bezpiecznymi punktami kontaktowymi. Jednym dla siatki, za którą rzecz jasna odpowiedzialny byłbym wyłącznie ja. Na przykład siedziba spółki holdingowej z Kajmanów... i drugie miejsce... o ściśle ograniczonym dostępie i bardziej reprezentacyjnym charakterze... do obsługi zespołu Abraxasa i wreszcie... pod warunkiem, że możemy to zrobić bez wzbudzania podejrzeń, w co raczej wątpię... dla studentów. I sądzą, że prawdopodobnie znowu ja powinienem się tym zająć... jeśli chodzi o zakup i kamuflaż... nawet jeśli ambasador i Stormont będą mieli wyłączny dostęp do skarbcza. Szczerze mówiąc, moim zdaniem nie są tak dobrymi fachowcami, jak my. To ryzyko, którego nie musimy podejmować. Chciałbym usłyszeć pańską opinię na ten temat. Oczywiście niekoniecznie teraz. Może później.

Znacznie opóźnione cmoknięcie odpowiedziało Osnardowi, że jego dyrektor regionalny wciąż z nim jest, choć połowicznie. Osnard wyjął pustą szklanekę z dłoni Luxmore'a i odstawił ją na stolik.

- Co pan o tym myśli? Takie mieszkanie dla Cichej Opozycji... modne, anonimowe, niedaleko dzielnicy bankowej, nikt nie musi zapuszczać się w nieznane rejony... i drugi dom na Starym Mieście? - Już od jakiegoś czasu myślał o wykorzystaniu boomu na rynku nieruchomości w Panamie. - Na Starym Mieście faktycznie dostaje się to, za co tyle się płaci. Lokalizacja, lokalizacja i jeszcze raz lokalizacja. Porządny odrestaurowany dom - przyzwoity

bliźniak zaprojektowany przez architekta... kosztuje jakieś pięćset tysięcy. Dwanaście pokoi, kawałek ogrodu, wejście od tyłu, widok na ocean... jeśli zaproponuję im pół miliona, urwą mi rękę z pieniędzmi. Za kilka lat będzie wart dwa razy tyle, pod warunkiem że nic nie stanie się ze starym budynkiem klubu Union, który Torrijos złośliwie zamienił w klub Innych Sfer, bo nie chcieli go przyjąć. Zanim podejmiemy decyzję, lepiej się dowiedzieć. Załatwię to.

- Andrew!

- Słucham.

Cmoknięcie. Oczy zamykają się, potem raptownie otwierają.

- Eee, powiedz mi coś, Andrew.

- Jeśli będę mógł, Scottie.

Luxmore obrócił brodatą twarz ku podwładnemu.

- Ta sztywna angielska laleczka z dużymi zderzakami i urokliwymi oczami, która zaszczyliła nasze dzisiejsze spotkanie...

- Tak?

- Czy nie jest przypadkiem, jak to się mówiło za moich czasów, małą kokietką? Spotkałem kiedyś pewną młodą kobietę, która potrzebowała niepodzielnej uwagi dwumetrowego... Andrew! Na litość boską! Kto to może być o tej porze?

Luxmore nigdy nie wyjawiał przepisu na szczęście dla Frań. Dzwonek u drzwi zamienił się w kurant, a później w łoskot. Jak przerażony gryzoń Luxmore i jego broda cofnęli się w najdalszy kąt fotela.

Szkoleniowcy nie mylili się, wychwalając telepatyczne zdolności Osnarda. Kilka porcji whisky w żaden sposób nie upośledziło jego reakcji, a perspektywa awantury z Frań tylko je zaostrzyła. Jeśli przyszła się pogodzić, wybrała sobie złego partnera i jeszcze gorszy moment. Zamierzał jej to uświadomić za pomocą jednej anglosaskiej sylaby. I niech puści ten cholerny dzwonek, jeśli po to przyszła.

Wspaniałomyślnie pozwoliwszy Luxmore'owi pozostać na miejscu, Osnard prześlizgnął się przez jadalnię do holu, zamykając po drodze wszystkie drzwi, i zajrzał przez wizjer w drzwiach wejściowych. Szkiełka zaparowały. Wyjął chusteczkę i przeczyścił je ze swojej strony. Dostrzegł jedno zamglone oko nie sprecyzowanej płci, które wpatrywało się w niego. Dzwonek wył dalej jak syrena alarmowa. Po chwili oko odsunęło się i Osnard rozpoznał Louisę Pendel w okularach z rogowymi oprawkami - poza nimi miała na sobie niewiele więcej. Stała na jednej nodze, zdejmując z drugiej pantofel, którym zamierzała załomotać w drzwi.

Louisa nie pamiętała, która kropla przelała kielich goryczy. Nie obchodziło jej to. Wróciła do pustego domu. Dziećmi opiekowali się Ruddowie, miały u nich przenocować. Uważała Ramona za jednego z Wielkich Krętaczy Panamy i mierziło ją, że pozwoliła dzieciom zostać u niego. Nie chodziło o to, że Ramon nienawidził kobiet, ale o sposób, w jaki dawał do zrozumienia, że wie o Harrym dużo więcej niż ona, i to same złe rzeczy. A także o sposób, w jaki cichł, gdy wspominała o farmie ryżowej - podobnie zresztą jak Harry, choć przecież kupili ją za jej pieniądze.

Ale żadna z tych rzeczy nie tłumaczyła samopoczucia Louisy, kiedy wróciła do domu i rozplakała się bez powodu, choć tak często w ciągu ostatnich dziesięciu lat miała powód do płaczu, ale powstrzymywała się od łez. Przypuszczała, że doszło do jakiejś kumulacji smutku,

czemu towarzyszyła duża wódka z lodem przed prysznicem, bo miała na nią ochotę. Po prysznicu obejrzała przed lustrem w sypialni swe nagie ciało, całe sto osiemdziesiąt dwa centymetry.

Obiektywnie. Zapominając przez chwilę o wzroście. Zapominając o pięknej siostrze Emily o złotych włosach, tyłku jak z rozkładówki „Playboya”, cyckach, za które można zabić, i z listą podbojów dłuższą niż książka telefoniczna Panama City. Czy gdybym była mężczyzną, chciałabym przespać się z tą kobietą? Uznała, że tak, ale na jakiej podstawie? Mogła przetestować tylko Harry’ego.

Sformułowała pytanie inaczej. Czy gdybym była Harrym, nadal chciałabym przespać się ze mną po kilkunastu latach małżeństwa? Odpowiedź brzmiała: na podstawie ostatnich dowodów, nie. Przemęczenie, Późna pora. Ugodowość. Poczucie winy. No dobrze, on zawsze czuł się winny. Wina była jego domeną. Ale ostatnio obnosił się z nią jak z transparentem: jestem zlicytowany, jestem pariasem, jestem winny, nie zasługuję na ciebie, dobranoc.

Ocierając łzy jedną ręką, w drugiej ściskając szklankę, nadal paradowała po sypialni, przeglądała się w lustrze, wyginała we wszystkie strony i zastanawiała, dlaczego Emily wszystko przychodzi tak łatwo - kiedy gra w tenisa, jeździ konno, pływa czy zmywa, nie umie poruszać się brzydko. Nawet kobiety dostawały orgazmu na jej widok. Louisa próbowała więc się lubieżnie jak najgorsza kurwa na świecie. Beznadziejne. Nieskoordynowane ruchy, brak płynności, nieruchawe biodra. Za stara. Jak zawsze. Za wysoka. Zniechęcona pomaszerowała do kuchni, wciąż nago, i z premedytacją naląła sobie kolejną wódkę, tym razem bez lodu.

I to już było prawdziwe picie, żadne tam: „może strzelę sobie jednego”. Musiała otworzyć nową butelkę i znaleźć nóż, żeby przeciąć nakrętkę, czego się nie robi, kiedy od niechcenia, przypadkowo, nalewa się kapkę czegoś mocniejszego na poprawienie humoru, gdy mąż pieprzy się z kochanką.

- Niech spierdala - powiedziała na głos.

Butelka pochodziła z nowych zapasów dla klientów. „Wrzucam w koszty”, powiedział.

- Jakie koszty? - zapytała.

- Odliczam od podatku - powiedział.

- Harry, nie życzę sobie, żebyś zamieniał mój dom w magazyn odliczanych od podatku alkoholi.

Uśmiech winowajcy. Przepraszam, Lou. Tak już ten świat jest urządzony. Nie chciałem cię denerwować. To się już nie powtórzy. Podlizuje się, pełza.

- Niech spierdala - powtórzyła i poczuła się lepiej.

I niech Emily spierdala, bo gdybym nie musiała konkurować z Emily, nigdy bym nie obrała drogi moralnej wyższości, nie udawałabym, że wszystko mnie oburza, nie broniłabym dziewictwa tak długo, że pobiłam rekord świata, a wszystko po to, żeby pokazać światu, jaka jestem cnotliwa i poważna w przeciwieństwie do mojej pieprzonej pięknej siostry! Nie zakochiwałam się w każdym pastorze poniżej pięćdziesiątki, który wchodził na ambonę w Balboa i kazał nam żałować za grzechy, zwłaszcza za grzechy Emily. Nigdy bym nie zrobiła z siebie pobożnej Panny Cnotliwej i arbitra zachowania wszystkich dookoła, gdy tymczasem naprawdę chciałam, żeby mnie dotykano, podziwiano, rozpuszczano i posuwano jak każdą inną dziewczynę na podwórku.

I niech farma ryżowa też spierdala. Moja farma ryżowa, na którą Harry nie chce mnie

zabrać, bo zainstalował tam sobie cholerną chiquillę - proszę, kochanie, popilnuj tutaj wszystkiego za mnie, póki nie wrócą. Spierdalaj. Łyk wódki. Jeszcze jeden łyk. Potem wielki, długi łyk. Poczula ją w tych częściach ciała, które się naprawdę liczą, o rany. Pokrzepiona w ten sposób wróciła do sypialni i wznowiła akrobacje przed lustrem z jeszcze większym zapamiętaniem - czy to jest pozycja erotyczna?... no dalej, gadaj!... a ta?." dobra, a co powiesz na to! Ale nikt się nie odzywał. Nikt nie klaskał, nikt się nie śmiał, nikogo nie podniecała. Nikt z nianie pił, nikt dla niej nie gotował, nikt nie całował jej w szyję i nikt jej nie przekonywał. Nie ma Harry'ego.

Ale mimo wszystko ma niezłe piersi jak na czterdziestką. Ładniejsze niż JoAnn. Nie tak doskonałe jak Emily, ale kto jej dorówna? Ich zdrowie. Zdrowie moich cycków. Cycki, baczność, piję wasze zdrowie. Usiadła raptownie na łóżku, wsparła brodę na dłoniach i spoglądała na dzwoniący telefon po stronie Harry'ego.

- Pierdol się - poradziła aparatowi.

I żeby wyrazić się jeszcze dosadniej, podniosła słuchawkę na kilka centymetrów, ryknęła: „Pierdol się”, i odłożyła ją.

Ale kiedy ma się dzieci, zawsze w końcu odbiera się telefon.

- Tak?! Kto to?! - wrzasnęła, kiedy telefon odezwał się znowu.

To Naomi, minister dezinformacji Panamy, gotowa podzielić się z nią jakimś pikantnym skandalem. Dobrze. Ta rozmowa powinna odbyć się dawno temu.

- Naomi, cieszę się, że dzwonicz, bo chciałam do ciebie napisać, a teraz zaoszczędzę na znaczku. Naomi, odpierdol się od mojego życia. Nie, nie, posłuchaj, jeśli będziesz przypadkiem przejeżdżać przez park Yasco Nunez de Balboa i zobaczysz mojego męża na ziemi w trakcie oralnych igraszek z cyrkowym słońiatkiem, byłabym wdzięczna, gdybyś powiedziała o tym dwudziestu najlepszym przyjaciółkom, ale nie mnie. Już nie chcę więcej słyszeć twojego pieprzonego głosu do czasu, aż zamarznie Kanał. Dobranoc.

Nie odstawiając szklanki, założyła czerwony szlafrok, który niedawno dostała od Harry'ego, trzy wielkie guziki i dekolt zależnie od nastroju, przyniosła z garażu dłuto i młotek i przeszła przez podwórko do pokoju Harry'ego. Ostatnio drzwi ciągle były zamknięte na klucz. Wspaniałe niebo. Nie widziała tak pięknego nieba od tygodni. Gwiazdy, o których kiedyś opowiadaliśmy dzieciom. To pas Oriona, Mark, ze sztyletem. A to Siedem Sióstr Hannah, zawsze o nich marzyłaś. Księżyc w nowiu, piękny jak źrebię. To tutaj do niej pisze, pomyślała, podchodząc do wrót jego królestwa Do mojej najdroższej chiquilli, opiekunki farmy ryżowej mojej żony. Przez zamglone okno łazienki Louisa godzinami obserwowała Harry'ego, jak siedział przy biurku z głową przechyloną na jeden bok i wysuniętym językiem, wypisując te swoje miłosne listy, chociaż pisanie nigdy nie przychodziło Harry'emu łatwo. Jedna z rzeczy, które Arthur Braithwaite, największy żywy święty od czasów świętego Wawrzyńca, zaniedbał, kształcąc przyszywanego syna.

Drzwi były zamknięte, jak przypuszczała, ale nie stanowiły dla niej żadnej przeszkody. Drzwi, jeśli wali się w nie solidnym młotkiem - wystarczy mocno się zamachnąć, a potem tłuc nim w głowę Emily, o czym marzyła przez tyle lat - są do dupy, jak większość rzeczy na tym świecie.

Po roztrzaskaniu drzwi Louisa podeszła prosto do biurka męża i za pomocą młotka i dłuta wyłamała górną szufladę - po trzech silnych uderzeniach zorientowała się, że szuflada w ogóle

nie była zamknięta na klucz. Przetrzaśnięta jej zawartość. Rachunki. Szkice architektoniczne Kącika Sportsmena. Za pierwszym razem nikt nie ma szczęścia. Przynajmniej ja. Sprawdziła drugą szufladę. Zamknięta na klucz, ale poddała się przy pierwszym ataku. Zawartość była bardziej zadowalająca. Niedokończone eseje na temat Kanału. Uczone periodyki, wycinki prasowe, notatki skreślane ozdobnym pismem Harry'ego.

Kim ona jest? Dla kogo, kurwa, to wszystko robi? Harry, mówię do ciebie. Posłuchaj mnie. Kim jest ta kobieta, którą zainstalowałaś na mojej farmie ryżowej bez mojej zgody i przed którą musisz popisywać się swoją nieistniejącą erudycją? Kto odpowiada za ten rozmarzony krowi uśmiech goszczący ostatnio na twojej twarzy... jestem wybrany, błogosławiony, chodzę po wodzie. Albo łzy... cholera, Harry, kto jest odpowiedzialny za te ściskające serce łzy, które pojawiają się w oczach, ale nigdy nie spływają?

Znowu wezbrały w niej wściekłość i frustracja, roztrzaskała kolejną szufladę i zamarła. Rany boskie! Pieniądze! Prawdziwe, duże pieniądze! Cała szuflada wypchana pieprzonymi pieniędzmi. Setki, pięćdziesiątki, dwudziestki, Leżały luzem jak stare mandaty za złe parkowanie. Tysiąc. Dwa, trzy tysiące. Okrada banki. Dla kogo?

Dla kochanki? Czyżby robiła to za pieniądze? Dla kochanki, żeby móc zabierać ją do restauracji bez naruszania domowego budżetu? Żeby zapewnić jej luksus, do którego nie jest przyzwyczajona, na mojej farmie ryżowej, kupionej za mój spadek? Louisa krzyknęła jego imię kilka razy, najpierw pytając go grzecznie, potem rozkazując, bo nie odpowiadał, a w końcu przeklinając bo go nie było.

- Spierdalaj, Harry! Spierdalaj, spierdalaj, spierdalaj! Gdziekolwiek jesteś! Jesteś pieprzonym oszustem!

Od tej pory wszystko było pieprzone. Tak wyrażał się jej ojciec, kiedy miał w czubie, i Louisa czuła się dumna że kiedy sama ma w czubie lub jest na dobrej ku temu drodze, przeklina jak jej pieprzony ojciec.

- Hej, Lou, złotko, podejdź no tutaj. Gdzie ten Tytan? - mówi do córki przewiskiem pochodzącym od nazwy gigantycznego niemieckiego dźwigu w porcie Gambo. - Czy ojczulek me zasługuje na odrobiną czułości od córki? Nie dasz tatusiowi buziaka? I to nazywasz buziakiem? Spierdalaj! Spierdalaj, słyszysz? Spierdalaj!

Notatki, głównie na temat Delgado. Zniekształcone wersje tego, co próbował jej wciskać podczas obiadów, które tak lubił dla mej gotować. Mój Delgado. Ukochany surogat ojca Ernesto, chodząca uczciwość, a mój mąż robi podłe notatki na jego temat. Dlaczego? Bo jest o niego zazdrosny. Zawsze był. Myśli, że bardziej kocham Ernesta niż jego. Myśli, że chcę się pieprzyć z Ernesto. Tytuły: *Kobiety Delgado* - jakie kobiety? Ernesto me robi takich rzeczy! *Delgado i frez* - znowu to wyrażenie Osnarda. *Opinie Delgada o Japończykach* - Ernesto boi się ich. Uważa że mają chrapkę na jego Kanał. I ma rację. Tym razem wybuchła głosem:

- Pierdol się, Harry, nigdy tego nie powiedziałam, wszystko zmyślasz! Dla kogo? Po co? Niedokończony list, bez adresu. Kartka, którą pewnie chciał wyrzucić:

Pomyślałem sobie, że może zainteresowałaby cię pewna ciekawostka o naszym Erniem, którą Louisa podsłuchiwała wczoraj w pracy i uznała za stosowne przekazać mnie...

„Uznała za stosowne”? Wcale me uznałam za stosowne. Po prostu powtórzyłam mu biurową plotkę! Dlaczego żona musi, kurwą najpierw uznać coś za stosowne, żeby powtórzyć mężowi w ich własnym domu biurową plotkę o łagodnym, uczciwym człowieku, który tylko

pragnie dobra dla Panamy i Kanału? Kurewsko stosowne! Spierdalaj - chciałybyś usłyszeć, co uznajemy za stosowne mówić sobie w naszym własnym domu! Jesteś dziwką. Ciekawską dziwką która ukradła mi męża i farmę ryżową.

Nazywasz się Sabina!

Louisa wreszcie znalazła imię dziwki. Równymi drukowanymi literami, ponieważ te przychodziły mu najłatwiej, zapisał czule imię SABINA i wziął je w kóleczo. SABINA, a po niej w nawiasie RADSTUD. Masz na imię Sabina, jesteś radstudem, wiesz o innych radstudach i pracujesz za amerykańskie pieniądze - albo tylko tak ci się wydaje, bo „pracuje dla Amer.” jest ujęte w cudzysłów, i dostajesz pięćset dolców miesięcznie plus premię, jeśli sprawisz się wyjątkowo dobrze. Louisa miała wszystko rozpisane przed oczami w jednym ze schematów Harry’ego, których nauczył go Mark. „Elementy schematu blokowego nie muszą być linearne, tato. Mogą unosić się jak baloniki na sznurkach w takim porządku, jaki zechcesz. Można nanosić je pojedynczo lub grupami. Fajna rzecz”. Sznurek balonika Sabiny prowadził prosto do litery H, która była napoleońskim podpisem Harry’ego. Tymczasem sznurek Alfę - bo teraz odkryła Alfę - prowadził do Bety, a potem do Marca (Frez) i z powrotem do H. Sznurek Niedźwiedzia prowadził też do H, ale balonik Niedźwiedzia miał dorysowane wokół faliste linie, jakby miał w każdej chwili pęknąć.

Mickie też miał swój balonik, opatrzony podpisem supremo CO, i jego sznurek łączył go na wieki z balonikiem Rafiego. Nasz Mickie? Nasz Mickie jest supremo CO? I odchodzi od niego aż sześć linii do: Uzbrojenie, Informatorzy, Łapówki, Łączność, Gotówka, Rafi? Nasz Rafi? Nasz Mickie, który dzwoni raz na tydzień w środku nocy, żeby zapowiedzieć kolejne samobójstwo?

Znowu zaczęła szperać. Szukała listów tej dziwki Sabiny do Harry’ego. Jeśli pisała do niego listy, Harry by je zatrzymał. Harry nie potrafił wyrzucić pustego pudełka zapalek lub niepotrzebnego żółtka. To jego ubogie dzieciństwo. Przewróciła wszystko do góry nogami, polując na listy Sabiny. Pod pieniędzmi? Pod podłogą? W jakiejś książce?

Boże święty, dziennik Delgado. Prowadzony przez Harry’ego, nie Delgado. Nieprawdziwy, tylko spreparowany, z linijkami naniesionymi twardym ołówkiem; dane musiał przepisywać z moich papierów. Prawdziwe spotkania Delgado. Fikcyjne zdarzenia wpisane tam, gdzie nie był z nikim umówiony:

Spotkanie o północy z japońskimi „kapitanami portu”, z potajemnym udziałem preza... potajemna przejażdżka samochodem z ambasadorem, walizka z pieniędzmi przechodzi z rąk do rąk... spotyka wysłannika kolumbijskiego kartelu narkotykowego o dwudziestej trzeciej w nowym kasynie Ramona... Urządza poza miastem prywatny obiad dla jap. „kapitanów”, pan. oficjeli i preza...

I to wszystko robi mój Delgado? Mój Ernesto Delgado jest na liście płac francuskiego ambasadora? Zadaje się z kolumbijskimi kartelami narkotykowymi? Harry, czyś ty, kurwa, zidiociał? Co za ohydne oszczerstwa wymyślasz o moim szefie? Co za potworne kłamstwa wypisujesz? Dla kogo? Kto ci płaci za te pomyje?

- Harry! - krzyknęła z oburzenia i rozpacz, Ale z jej ust wydobył się tylko szept, a telefon znowu zaczął dzwonić.

Tym razem Louisa postąpiła chytrze: podniosła słuchawkę i nasłuchiwała, nic nie mówiąc, nawet: odpiardol się od mojego życia.

- Harry? - Kobięcy głos, zduszony, anemiczny, błagalny. To ona. Połączenie zamiejscowe. Dzwoni z farmy ryżowej. Dudnienie w tle. Pewnie rozbierają młyn.

- Harry? Powiedz coś! - krzyczy kobieta.

Latynoska suka. Tatuś zawsze mówił, żeby im nie ufać. Łkanie. To ona. Sabina. Potrzebuje Harry'ego. A kto go nie potrzebuje?

- Harry, pomóż mi, potrzebuj ecie!

Poczekaj. Nic nie mów. Nie mów jej, że nie jesteś Harrym. Posłuchaj, co ma jeszcze do powiedzenia. Zaciśnięte usta. Słuchawka przyklejona barkiem do prawego ucha. Mów, dziwko! Ujawnij się! Dziwka dyszy. Chrapliwy oddech. No dalej, Sabino, złotko, mów. Powiedz: „Przeleć mnie, Harry”. Powiedz: „Kocham cię, Harry”. Powiedz: „Gdzie moje pieprzone pieniądze, czemu trzymasz je w szufladzie, to ja, Sabina, radstud, dzwonię z tej cholerniej farmy ryżowej i czuję się samotna”.

Znowu dudnienie. Huk jak strzał gaźnika. Uderzenie. Trzask. Odłóż szklankę z wódką. Krzyknij z całych sił po hiszpańsku w klasycznym amerykańskim wydaniu ojca.

- Kto mówi? Gadać w tej chwili!

Poczekaj. Nic. Chlipanie, ale bez słów. Louisa przechodzi na angielski.

- Zostaw mojego męża, słyszysz mnie, pieprzona dziwko! Pierdol się, Sabino! I wynoś się z mojej farmy ryżowej!

Nie ma odpowiedzi.

- Jestem w jego pokoju, Sabino. Szukam twoich pieprzonych listów do niego! Ernesta Delgado nie jest skorumpowany. Słyszysz? To kłamstwo. Pracuję dla niego. Inni są skorumpowani, ale nie Ernesto. Powiedz coś!

Kolejne grzmoty i łomoty w słuchawce. Jezu, co tam się dzieje? Następna inwazja? Dziwka szlocha żałościwie, kończy rozmowę. Louisa widzi w wyobraźni, jak z trzaskiem odkłada słuchawkę na widełki. Siada. Gapi się na telefon, czeka, aż znowu zadzwoni. Telefon milczy. Więc wreszcie roztrzaskałam siostrze głowę. Albo ktoś inny to zrobił. Biedna mała Emily. Spierdalaj. Louisa wstaje. Utrzymuje równowagę. Pociąga otrzeźwiający łyk wódki. Myśli przejrzyste jak źródłana woda. Trudna sprawa, Sabino. Mój mąż zwariował. Tobie też chyba nie jest lekko. Dobrze ci tak. Na farmach ryżowych można czuć się samotnie.

Półki z książkami. Pożywka dla myśli. Coś w sam raz dla zdezorientowanych umysłów. Poszukaj w książkach listów dziwki do Harry'ego. Nowe książki w starych miejscach. Stare książki w nowych miejscach. Harry, na miłość boską, wyjaśnij to. Porozmawiaj ze mną. Kim jest Sabina? Kim jest Marco? Czemu wymyślasz te historie o Rafim i Mickiem? Dlaczego opluwasz Ernesta?

Chwila na zastanowienie. Louisa Pendel w czerwonym szlafroku na trzy guziki, i całkiem goła pod spodem, lustruje półki męża, wypinając piersi i pośladki. Czuje się potwornie obnażona. Więcej niż obnażona. Podniecona. Chciałaby mieć jeszcze jedno dziecko. Chciałaby urodzić wszystkie Siedem Sióstr Hannah pod warunkiem, że z żadnej nie wyrośnie druga Emily. Maszerują obok niej książki ojca o historii Kanału od czasów, kiedy kolonię w Darien próbowali założyć Szkoci, tracąc przy tym połowę majątku swego kraju. Otwiera książki jedną po drugiej, wytrząsa energicznie i odrzuca niedbale na bok. Ani jednego miłosnego listu.

Książki o kapitanie Morganie i jego piratach, którzy splądrowali Panama City i puścili je z dymem. Pozostały tylko ruiny, tam, gdzie zabieramy dzieci na pikniki. Ale nie ma żadnych

listów miłosnych od Sabiny ani nikogo innego - Alfya, Bety, Marca czy Niedźwiedzia. Ani od apetycznej radstuda z amerykańską walutą. Książki o czasach, kiedy Panama należała do Kolumbii. I ani jednego miłosnego listu, choćby nie wiem jak mocno ciskała tomami o ścianę.

Louisa Pendel, niedoszła matka Siedmiu Sióstr Hannah, kuca naga w szlafroku, w którym nigdy jej nie pieprzył, z łydkami przyciśniętymi do ud, i przegląda książkę o budowie Kanału. Żałuje, że wydarła się na tę biedaczkę, której listów miłosnych nie może znaleźć, pewnie zresztą to nie była Sabina i nie dzwoniła z farmy ryżowej. Historie o ludziach takich jak George Goethals i William Crawford Gorgas, solidnych i systematycznych, choć także szalonych, ludziach, którzy byli wierni żonom i nie pisali listów o uznawaniu czegoś za stosowne, nie oczerniali reputacji jej pracodawcy i nie ukrywali banknotów w zamkniętych szufladach i listów, których nie mogła znaleźć. Książki, które ojciec kazał jej czytać w nadziei, że kiedyś i ona wybuduje swój własny pieprzony kanał.

- Harry?! - Krzyczy na całe gardło, żeby go przestraszyć. - Harry? Gdzie wsadziłeś listy tej smutnej dziwki? Harry, muszę to wiedzieć.

Książki o traktatach panamskich. Książki o narkotykach i *Dokąd zmierza Ameryka Łacińska?* Bardziej mnie interesuje, dokąd zmierza mój pieprzony mąż, I dokąd zmierza biedny Ernesto, jeśli Harry ma z tym coś wspólnego. Louisa siada i zwraca się do Harry'ego spokojnym, rozsądnym tonem obliczonym na to, żeby go nie przestraszyć. Krzyki nie skutkują. Mówi do niego jak jeden dorosły człowiek do drugiego z fotela o lękowej ramie, z którego ojciec próbował zwabić ją na kolano.

- Harry, nie rozumiem, co robisz w swoim pokoju każdej nocy, bez względu na to, o której wróciłeś do domu i co robiłeś wcześniej. Jeśli piszesz powieść o korupcji, autobiografią lub historią krawiectwa, chyba powinienem o tym powiedzieć, w końcu jesteśmy małżeństwem.

Harry „rozprósza się”. Używa tego wyrażenia, kiedy żartuje na temat fałszywej uniżoności krawca.

- To tylko rachunki, Lou. W ciągu dnia, kiedy drzwi się nie zamykają, nie ma się płynności.

- Rachunki z farmy?

Znowu zaczyna być złośliwa. Farma ryżowa stała się w domu tematem tabu i powinna to uszanować: Ramón dokonuje restrukturyzacji finansów, Lou. Nie wiadomo, co zrobić z Anielem, Lou.

- Z zakładu - mamrocze Harry jak pokutnik.

- Przecież nie jestem tępą. Z matematyki miałam świetne stopnie. Mogę ci w każdej chwili pomóc, powiedz tylko.

Kręci głową.

- To nie te same działania, Lou. Chodzi bardziej o stronę twórczą. Liczby z powietrza.

- I dlatego na marginesach *Drogi między morzami* McCullougha robisz notatki, żeby nikt oprócz ciebie nie mógł ich przeczytać?

Harry rozpogadza się - sztucznie.

- No tak, masz rację, Lou, zauważyłaś to. Widzisz, poważnie zastanawiam się nad reprodukcją niektórych z tych starych rycin, żeby nadać sali klubowej jakiś akcent związany z Kanałem, może dla stworzenia odpowiedniej atmosfery kupię parę starych bibelotów.

- Harry, zgadzam się z tym, co mi mówiłeś, że Panamczyków z pewnymi szlachetnymi wyjątkami, takimi jak Ernesto Delgado, nie obchodzi Kanał. Nie zbudowali go. Myśmy to

zrobili. Nie zapewnili nawet siły roboczej. Siła robocza pochodziła z Chin, Afryki, Madagaskaru, z Karaibów i Indii. A Ernesto jest dobrym człowiekiem.

Jeżu, pomyślała. Co ja plotę? Dlaczego zachowuję się jak nieznośna świątobliwa jędza? To proste. Bo Emily jest kurwą.

Siedziała przy jego biurku z twarzą w dłoniach. Było jej przykro, że włamała się do szuflad, że wyżyła się na tej zapłakanej biedaczce, że znowu miała podle myśli o siostrze. Postanowiła, że nigdy w życiu nie będzie z nikim tak rozmawiała. Już nigdy nie będę karciła siebie, karcąc innych ludzi. Nie jestem moją pieprzoną matką ani moim pieprzonym ojcem i nie jestem świątobliwą, doskonałą, bogobojną dziwką ze Strefy. Bardzo żałuję, że w trudnej chwili, pod wpływem alkoholu, zdobyłam się na szkalowanie drugiej grzesznicy, nawet jeśli jest kochanką Harry'ego, a jeśli jest, zamorduję ją. Przeszukując ostatnią szufladę, trafiła na kolejne niedokończone arcydzieło:

Andy, na pewno cię ucieszy wiadomość, że nasze nowe ustalenia spotkały się z entuzjastycznym odzewem wszystkich stron, zwłaszcza pań. Wszystko na mojej głowie i L nadal gryzie sumienie co do niegrzecznego Erniego. Biorąc pod uwagę rodzinę jako całość, przekazywanie informacji za moim pośrednictwem jest bezpieczniejsze.

Dokończę w zakładzie.

Ja też, pomyślała Louisa w kuchni, wychylając jeszcze jednego na drogę. Odkryła, że alkohol już na nią nie działa. Natomiast podziałał na nią Andy alias Andrew Osnard, który w trakcie czytania tego fragmentu raptownie zastąpił Sabinę jako obiekt zainteresowania.

Pan Osnard ciekawił ją od wycieczki na Wieczną Wyspę, kiedy doszła do wniosku, że Harry dla uspokojenia sumienia chce pchnąć ich sobie w ramiona. Chociaż zgodnie z tym, co Louisa wiedziała o sumieniu Harry'ego, jeden numer nie rozwiązałby problemu.

Musiała chyba zadzwonić po taksówkę, bo auto stało przed drzwiami i dzwonił dzwonek.

Osnard odwrócił się plecami do wizjera i przeszedł przez jadalnię na balkon, gdzie Luxmore nadal siedział w tej samej, niemal embrionalnej pozycji, zbyt przerażony, by coś powiedzieć lub zrobić. Przekrwione oczy miał szeroko otwarte, strach rozciągnął wargi w szydery uśmiech, między brodą a wąsami ukazały się dwa pożółkłe przednie zęby - zapewne te same, o które cmokał, kiedy pragnął podkreślić jakąś udaną wypowiedź.

- Niezapowiedziana wizyta BUCHANA DWA - powiedział cicho Osnard. - Muszę się tym zająć. Lepiej, żebyś się jak najszybciej stąd ulotnił.

- Andrew, jestem twoim przełożonym. Co to za łomot? Wszystkich pobudzi.

- Ukryję cię w garderobie. Kiedy usłyszysz, jak zamykam za nią drzwi do jadalni, zjedziesz windą do holu, dasz strażnikowi dolara i każesz mu wezwać taksówkę do El Panama.

- Mój Boże, Andrew.

- Co takiego?

- Poradzisz sobie? Posłuchaj tylko. Czy ona przypadkiem nie wali w drzwi bronią? Powinniśmy zadzwonić na policję. Jedno słówko.

- Tak?

- Na pewno mogą zaufać taksówkarzowi? Tyle się o nich słyszy. Potem znajdują zwłoki w porcie. Andrew, ja nie mówię po ich hiszpańsku.

Osnard podniósł Luxmore'a z fotela, poprowadził do przedpokoju, wpakował do

garderoby i zamknął drzwi. Zdjął łańcuch przy drzwiach wejściowych, odsunął zasuwę i przekręcił klucz. Łomotanie ustało, ale dzwonek rozbrzmiewał nadal.

- Louisa - powiedział, ściągając jej palec z przycisku dzwonka. - Cudownie. A gdzie Harry? Proszę, wejdź.

Przeniósł uchwyt na nadgarstek i wciągnął Louisę do przedpokoju. Zamknął drzwi, ale nie przekręcał zasuwę ani klucza. Stali naprzeciwko siebie, Osnard trzymał jej rękę wysoko w powietrzu, zupełnie jakby zaraz mieli ruszyć do staromodnego walca. Była to ręka trzymająca pantofel. Louisa puściła but. Nic nie mówiła, ale jej oddech był taki sam jak oddech jego matki, kiedy musiał nadstawiać się do pocałunku. Miała na sobie bardzo cienką sukienkę. Przez czerwony materiał wyczuwał jej piersi i wzgórek łonowy.

- W co wy, kurwa, gracie, ty i mój mąż? - zapytała. - Co to za bzdury, które opowiada i o Delgado, że niby bierze łapówki od Francuzów i zadaje się z kartelami narkotykowymi? Kim jest Sabina? Kim jest Alfa?

Mimo siły słów mówiła niepewnie, głosem, któremu brakowało donośności i przekonania, żeby przejść przez drzwi garderoby. I Osnard, który instynktownie wyczuwał ludzkie słabości, natychmiast dostrzegł strach: strach przed nim, strach o Harry'ego, strach przed zakazaniem i największy ze wszystkich - strach przed usłyszeniem rzeczy tak potwornych, że już nigdy nie będzie mogła ich nie słyszeć. Osnard już je usłyszał. Swoimi pytaniami Louisa odpowiedziała na wszystkie pytania, które gromadziły się jak nieprzeczytane depesze w tajnych kancelariach jego świadomości w ciągu ostatnich tygodni;

Ona o niczym nie wie. Harry wcale jej nie zwerbował. Oszukał go.

Chciała powtórzyć pytanie, rozwinąć je lub zadać inne, ale Osnard nie mógł ryzykować, że stanie się to w zasięgu uszu Luxmore'a. Dlatego zasłonił Louisie usta, wykręcił jej rękę i wyprowadził ją przed sobą w jednym pantoflu do jadalni, jednocześnie stopą zatraskując za sobą drzwi. Zatrzymał się na środku pokoju, przyciskając ją do siebie. Podczas szamotaniny dwa guziki szlafroka rozpięły się, ukazując piersi. Czuł, jak Louisie wali serce. Jej oddech zwolnił, robiła dłuższe i głębsze wdechy. Usłyszał, jak za Luxmorem zamykają się frontowe drzwi. Poczekał na pisk nadjeżdżającej windy i astmatyczne westchnięcie automatycznych drzwi. Usłyszał jak winda zjeżdża. Odsunął rękę z jej ust i poczuł na dłoni ślinę. Przytknął dłoń do nagiej piersi Louisy i poczuł, jak twardnieje jej sutek, a pierś wtula się w jego rękę. Teraz puścił jej ramię i spostrzegł, że opadło bezwładnie. Usłyszał że coś szepcze, ściągając drugi pantofel.

- Gdzie Harry? - zapytał, nie tracąc kontaktu z jej ciałem.

- Pojechał do Abraxasa. Nie żyje.

- Kto nie żyje?

- Abraxas. A niby kto, kurwa? Gdyby Harry nie żył, me mógłby do mego pojechać, prawda?

- Gdzie to się stało?

- W Guarare. Ana twierdzi, że się zastrzelił.

- Kim jest Ana?

- Kobietą Mickiego.

Ujął prawą ręką drugą pierś Louisy. Pęk gęstych brązowych włosów wpadł mu do ust, gdy wpakowała mu głowę w twarz, a tyłek w krocze. Obrócił ją do siebie, pocałował w skroń i w

policzek, polizał pot, który lał się z niej strumieniem, i poczuł, że Louisa coraz silniej drży. Jej usta i zęby przysssały się do jego ust, a język odnalazł jego język. W przelocie zobaczył zaciśnięte oczy i łzy płynące z ich kącików. Usłyszał szept: „Emily”.

- Kto to jest Emily? - zapytał.

- Moja siostra. Mówiłam ci o niej na wyspie. - Wie o tym wszystkim?

- Mieszka w Dayton w stanie Ohio i pieprzyła się ze wszystkimi moimi chłopakami. Nie wstydzisz się?

- Obawiam się, że nie. Wstyd skończył mi się w dzieciństwie.

Jedną ręką szarpnęła za poły jego koszuli, drugą grzebała przy pasku spodni firmy Pendel & Braithwaite, szepcząc do siebie coś, czego nie rozumiał i co go zresztą nie obchodziło. Sięgnął do trzeciego guzika, ale niecierpliwie odsunęła jego rękę i jednym ruchem ściągnęła szlafrok przez głowę. Pozbył się butów i zsunął jednocześnie spodnie, majtki i skarpety w jeden wilgotny rulon. Zdjął koszulę przez głowę. Nadzy mierzyli się wzrokiem jak zapaśnicy przed pojedynkiem. Osnard chwycił ją w ramiona, przeniósł przez próg sypialni i rzucił na łóżko, gdzie natychmiast zaczęła atakować go swymi potężnymi udami.

- Spokój nie - powiedział i odepchnął ją od siebie.

Potem wziął ją bardzo powoli i rozważnie, wykorzystując wszystkie umiejętności swoje i jej. Żeby zamknąć jej usta. Żeby zapobiec problemom. Żeby przeciągnąć ją bezpiecznie do swojego obozu przed bitwą. Bo moja maksyma brzmi: nie wolno przepuścić żadnej okazji. Bo zawsze mi się podobała. Bo pieprzenie żon przyjaciół zawsze bywa interesujące.

Louisa leżała odwrócona plecami z głową pod poduszkami i podciągniętymi kolanami, które miały ją ochronić, gdy przytykała prześcieradło do nosa. Zamknęła oczy, ale nie po to, żeby usnąć, tylko by umrzeć. Miała dziesięć lat i siedziała w swoim pokoju w Gamboa przy zaciągniętych zasłonach, gdzie wysłano ją w ramach pokuty. Pocięła bowiem nową bluzkę Emily parą krawieckich nożyc. Powiedziano jej, że postąpiła bezczelnie. Chciała wstać, pożyczyć od niego szczoteczkę do zębów, ubrać się, uczesać i wyjść, ale żeby wykonać którąś z tych czynności, należało przyznać się do czasu i miejsca, nagiego ciała Osnarda w łóżku i faktu, że nie ma co włożyć na siebie oprócz cienkiego czerwonego szlafroka z odprutymi guzikami... a właściwie, gdzie on, do cholery, się podziewa?... i pary pantofli na płaskim obcasie, które miały maskować jej wzrost... a co się z nimi stało, do cholery?... i tak potwornie bolała ją głowa, że już miała domagać się odwiezienia do szpitala, gdzie mogłaby od nowa zacząć wczorajszy wieczór bez wódki, bez demolowania biurka Harry'ego, jeśli rzeczywiście to zrobiła, bez Marty i zakładu, bez śmierci Mickiego i zszarganej przez Harry'ego reputacji Delgado, bez Osnarda i tego wszystkiego. Dwukrotnie odwiedzała łazienkę, raz zwymiotowała, ale za każdym razem wsuwała się z powrotem do łóżka i usiłowała wymazać wszystko, co się wydarzyło, tyle że teraz Osnard rozmawiał przez telefon i nie było sposobu, żeby nie słyszeć tego nieznośnego angielskiego akcentu pół metra od jej ucha, mimo wszystkich poduszek naciągniętych na głowę, albo zaspanego, oszołomionego szkockiego bełkotu z drugiej strony, który brzmiał jak ostatnie wiadomości z psującego się radia.

- Obawiam się, że mam dość niepokojące informacje.

- Niepokojące? Od kogo? - Szkocki głos ożywia się.

- W sprawie naszego greckiego statku.

- Greckiego statku? Jakiego greckiego statku? Co ty wygadujesz, Andrew?
- Chodzi o nasz flagowiec. Flagowiec Cichej Linii. Długa przerwa.
- Rozumiem! Grek, mój Boże! Rozumiem. Sprytnie. Co się stało?
- Podobno zatonał.
- Zatonał? Gdzie? Jak?
- Poszedł na dno. - Przerwa, żeby do niego dotarło. - Można spisać go na straty. Gdzieś na zachodzie. Okoliczności jeszcze nie ustalono. Posłałem tam pisarza, żeby się dowiedział.

Znowu pełna zdziwienia cisza, taka jak lustrzane odbicie milczenia Louisy.

- Pisarza?
- Sławnego.
- Już wiem! Rozumiem. Autora dawnych bestsellerów. Dobrze. Nie musisz nic dodawać. Jak zatonał? Całkowicie?

- Pierwsze doniesienia potwierdzają, że już nigdy nie wypłynie.
- Boże! Boże! Kto to zrobił, Andrew? Na pewno ta kobieta. O wszystko bym ją podejrzewał. Zwłaszcza po wczorajszej nocy.

- Obawiam się, że na dalsze szczegóły musimy poczekać.
- A co z załogą?... z marynarzami, do cholery... tymi cichymi... też poszli na dno?
- Czekamy na wiadomości. Najlepiej, żeby wrócił pan do Londynu, zgodnie z planem. Zadzwoń do pana.

Odłożył słuchawkę i wyrwał Louisie poduszkę. Nawet z zaciśniętymi z całej siły powiekami nie mogła uciec przed widokiem jego pełnego młodego ciała, rozciągniętego przy niej niedbale i na wpeł rozbudzonego, beczynnego, nabrzmiałego penisa.

- Nie słyszałaś tej rozmowy - powiedział. - Jasne? Odwróciła się od niego. Nie, nic nie jest jasne.

- Twój mąż to dzielny gość. Ma rozkaz, żeby nie rozmawiać z tobą o tym, więc nie będzie. Ja też.

- Dzielny? A co takiego robi?
- Ludzie mówią mu różne rzeczy, a on przekazuje je nam. Jeśli czegoś nie usłyszy, sam się dowiaduje, często nadstawiając głowę. Ostatnio natknął się na coś wielkiego.

- I dlatego fotografował moje dokumenty?
- Potrzebny nam był rozkład dnia Delgado. W jego życiu są czarne plamy.
- Nie ma żadne czarnych plam. Chodzi wtedy do kościoła albo opiekuje się, żoną i dziećmi. Ma dziecko w szpitalu. Sebastiana.

- Tak ci powiedział Delgado.
- To prawda. Nie oszukuj mnie. I Harry robi to dla Anglii?
- Dla Anglii, Stanów, Europy. Dla cywilizowanego wolnego świata.
- W takim razie jest beznadziejny. Tak samo jak Anglia i cały ten cywilizowany wolny świat.

Kosztowało ją trochę czasu i wysiłku, ale wreszcie udało jej się. Wsparła się na łokciu i odwróciła, żeby na niego spojrzeć.

- Nie wierzę w ani jedno twoje pieprzone słowo - powiedziała. - Jesteś obleśnym angielskim krętaczem z workiem chytrych kłamstw, a Harry'emu pomieszało się w głowie.

- Nie musisz mi wierzyć. Trzymaj tylko głowę na kłódce.

- On sam wymyśla te bzdury i tyje wymyślasz. Wszyscy plotą bzdury. Zadzwoił telefon, inny telefon, którego nie zauważyła, chociaż stał po jej stronie łóżka, podłączony do kieszonkowego magnetofonu obok lampy. Osnard przetoczył się brutalnie nad nią i chwycił słuchawkę, a ona zdążyła usłyszeć, jak mówi: „Harry”, zanim zasłoniła sobie uszy rękami i zacisnęła oczy w surowym grymasie protestu. Ale jakimś trafem jedna z dłoni nie wykonała zadania właściwie. I jedno ucho usłyszało głos jej męża ponad zgiełkiem, który rozbrzmiewał w jej głowie:

- Mickie został zamordowany, Andy - powiedział Harry. Jego głos był opanowany, ale jakoś mu się spieszyło. - To robota zawodowca, ale na razie nie wiem nic więcej. Podobno można się spodziewać kolejnych zamachów i dlatego wszystkie zainteresowane strony powinny zachować najdalej posunięte środki ostrożności. Rafi już wyjechał do Miami, a ja zawiadomiam pozostałych, zgodnie z ustaloną procedurą. Martwię się o studentów. Nie wiem, jak zdołamy ich powstrzymać przed podburzeniem rybaków.

- Gdzie jesteś? - zapytał Osnard.

Nastąpiła przerwa, w czasie której Louisa mogła zadać Harry'emu parę pytań w rodzaju: „Czy mnie jeszcze kochasz?”... albo „Wybaczysz mi?”... albo „Czy zauważysz we mnie jakąś różnicę, jeśli ci me powiem?”... albo „O której dzisiaj wrócisz i czy mam zrobić zakupy, żebyśmy mogli razem coś ugotować?” Ale kiedy próbowała zdecydować się na któreś, połączenie zostało przerwane i ujrzała nad sobą Osnarda wspartego na łokciach ze zwisającymi pulchnymi policzkami i otwartymi, małymi, wilgotnymi ustami. Najwyraźniej jednak nie miał zamiaru się z nią kochać, bo po raz pierwszy od początku ich krótkiej znajomości sprawiał wrażenie zagubionego.

- Co to było? - zapytał, jakby ponosiła częściową odpowiedzialność.

- Harry - odpowiedziała idiotycznie.

- Który?

- Twój, jak sędzę.

Prychnął i opadł na plecy, zakładając ręce pod głowę, jakby opalał się na plaży nudystów. W końcu znowu podniósł słuchawkę, nie tę z aparatu Harry'ego, tylko tę drugą, i wybrał numer. Poprosił o połączenie z *senorem* Mellorsem z pokoju takiego a takiego.

- Zdaje się, że to morderstwo - zaczął bez żadnych wstępów i Louisa domyśliła się, że rozmawia ze Szkotem. - Możemy nie zapanować nad studentami... w grę wchodzi ogromne emocje... był bardzo szanowany... Zawodowa mokra robota. Szczegóły wciąż nadchodzą, Jak to hak? Nie rozumiem. Po co nam hak? Nie, oczywiście. Rozumiem. Jak najszybciej. Natychmiast.

Przez chwilę wydawało się, że przez jego głowę przelatują tysiące myśli. Słyszała, jak prychnął i od czasu do czasu wydaje z siebie ponury śmiech. Wreszcie usiadł na krawędzi łóżka, wstał i przeszedł do jadalni. Wrócił ze zwiniętym ubraniem. Wysupłał wczorajszą koszulę i założył ją.

- Dokąd idziesz? - zapytała. A ponieważ nie odpowiedział, krzyknęła: - Co ty robisz, Andrew?! Nie rozumiem, jak możesz po prostu wstać, ubrać się i zostawić mnie tu samą bez ubrania, bez mieszkania, bez zabezpieczenia dla moich...

Zamilkła.

- Przykro mi, staruszeko, że to tak nagle, ale obawiam się, że trzeba zwijać obóz. Czas

wracać do domu.

- Jakiego domu?

- W twoim przypadku do osiedla Bethania. W moim - do kochanej Anglii. Zasada gry numer jeden: jeśli pada terenowy informator, prowadzący ucieka w skarpetkach. Jeśli nie przejdiesz przez start, nie zainkasujesz premii. Spiesz do mamusi, do domu, najkrótszą drogą.

Zawiązywał krawat przed lustrem. Broda podniesiona, nastrój znowu dobry. I przez jedną przelotną chwilę, nie dłużej, Louisa pomyślała, że widzi w nim jakiś stoicyzm, pogodzenie się z porażką, które w kiepskim świetle mogłoby ujść za szlachetność.

- Pożegnaj ode mnie Harry'ego, dobrze? To wspaniały artysta. Mój następca skontaktuje się z nim. Albo nie. - Z koszulą na wierzchu wysunął szufladę, i rzucił jej dresy. - Lepiej załóż to do taksówki. Po powrocie do domu spał je i rozgrzeb popiół. I przez kilka tygodni nie pokazuj się,. Twoi rodacy wyciągają bitewne werble.

Magnat prasowy Hatry jadł właśnie lunch, kiedy dotarła do niego wiadomość. Siedział przy tym samym co zwykle stoliku w restauracji Connaught, spożywał nerki z bekonem, popijał czerwone wino i precyzował swoje poglądy na temat nowej Rosji, a sprowadzały się one do następującej zasady: im bardziej hołota żre się między sobą, tym bardziej Hatry jest zadowolony.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jego słuchaczem był Geoff Cavendish, a zwiastunem wieści młody Johnson, następca Osnarda w biurze Luxmore'a, który dwadzieścia minut wcześniej wyłowił arcyważny telegram z ambasady brytyjskiej - autorstwa samego ambasadora Maltby'ego - ze sterty papierów z przegródki Luxmore'a, które gromadziły się tam od czasu jego dramatycznej eskapady do Panamy. Johnson jako ambitny oficer wywiadu me omieszkał przy każdej nadarzającej się okazji przeglądać zawartości przegródki.

I równie cudowną rzeczą było to, że Johnson nie miał się z kim skonsultować w sprawie depeszy. Nie tylko całe Ostatnie Piętro poszło na lunch, ale pod nieobecność Luxmore'a w całym budynku nie było nikogo, kto byłby wtajemniczony w operację BUCHAN, oprócz Johnsona. Podniecenie i ambicja kazały mu zatelefonować do biura Cavendisha, gdzie dowiedział się, że Cavendish jest na lunchu z Hatrym. Zatelefonował też do biura Hatry'ego i dowiedział się, że Hatry jest na lunchu w restauracji Connaught. Stawiając wszystko na jedną kartę, zgłosił błyskawicznie zapotrzebowanie na jedyny dostępny wóz i kierowcę. Z tego zuchwałego czynu, jak i z pozostałych, musiał się później gęsto tłumaczyć.

- Jestem asystentem Scottiego Luxmore'a - poinformował Cavendisha, wybierając sympatyczniejszą z dwóch twarzy patrzących na niego znad stolika we wnęce. - Obawiam się, że mam dla pana ważną wiadomość z Panamy i sądzę, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Uznałem, że nie powinienem czytać jej panu przez telefon.

- Proszę, usiąść - rozkazał Hatry. A do kelnera rzucił: - Krzesło.

Tak więc Johnson usiadł i już miał wręczyć Cavendishowi cały rozszyfrowany tekst depeszy Maltby'ego, kiedy wyrwał mu go Hatry i rozerwał kopertę z taką zapalczywością, że inni goście popatrzyli na niego ze zdziwieniem. Hatry przeczytał pobieżnie depesze, i podał ją Cavendishowi. Cavendish przeczytał ją, podobnie zresztą jak co najmniej jeden kelner, korzystający z zamieszania wywołanego przygotowaniem trzeciego nakrycia dla Johnsona i upodobnieniem go do normalnego gościa, gdyż póki co prezentował się jak spocony młody biegacz w sportowej kurtce i flanelowych spodniach. Strój ten nie spotkał się z przychylnością

szefa sali, ale w końcu był piątek i Johnson szykował się do wyjazdu na weekend do matki w Gloucestershire.

- Tego nam było trzeba, prawda? - zapytał Hatry Cavendisha z pełnymi cynaderek ustami. - Możemy działać.

- No właśnie - potwierdził Cavendish, spokojnie smakując posiłek. - Mamy haka.

- Myślisz, że trzeba zawiadomić Vana? - zastanawiał się Hatry, wycierając kawałkiem chleba talerz.

- No cóż, Ben, sądzę... że w tym przypadku najlepiej będzie... jeśli Van przeczyta o tym w twoich gazetach - odpowiedział Cavendish serią krótkich, roztańczonych fraz. - Proszę mi wybaczyć. Bardzo przepraszam - zwrócił się do Johnsona, następując mu na stopę. - Muszę zadzwonić.

Przeprosił też kelnera i w pośpiechu odszedł z podwójną jedwabną serwetką pod brodą. Niedługo potem Johnson został wyrzucony z pracy i nikt nie był do końca pewien dlaczego. Rzekomo za jazdę po Londynie z rozszyfrowanym tekstem pełnym symboli i haseł operacyjnych. Nieoficjalnie uznano, że jest nieco zbyt raptowny do pracy w wywiadzie. Ale prawdopodobnie za najcięższe z przewinień uznano wtargnięcie do restauracji Connaught w sportowej kurtce.

Aby dotrzeć na festiwal sztucznych ogni w Guarare w panamskiej prowincji Los Santos, która zajmuje część karłowatego półwyspu na południowo-zachodnim krańcu Zatoki Panamskiej, Harry Pendel minął dom wujka Benny'ego przy Lemán Street, skąd dochodził zapach tłącego się węgla, sierociniec Sióstr Miłosierdzia, kilka synagog na East Endzie i serię skandalicznie przepelnionych brytyjskich instytucji penitencjarnych pod szczodrym patronatem Jej Wysokości Królowej. Te i inne budynki wyłaniały się z czerni dżungli po obu stronach wyboistej krętej drogi, na wzgórzach odcinających się na tle rozgwieźdzonego nieba i stalowoszarej taflí Pacyfiku pod bardzo cienkim sierpem księżycą w nowiu.

Ciężką jazdę utrudniał mu dodatkowo wrzask dzieci domagających się z tylnego siedzenia piosenek oraz wypowiedane w najlepszej intencji napomnienia jego nieszczęśliwej żony, które dźwięczały mu w uszach nawet na najbardziej odludnych odcinkach podróży: „Jedź wolniej, uważaj na tego jelenia, małpę, kozła, martwego konia, metrową zieloną iguanę i rodzinę sześciu Indian na jednym rowerze, Harry, nie rozumiem, dlaczego musisz jechać sto czterdzieści na godzinę, żeby spotkać się z trupem, a jeśli obawiasz się, że nie zdążysz na sztuczne ognie, to przyjmij do wiadomości, że festiwal trwa pięć dni i pięć nocy, dzisiaj mamy pierwszą noc i nawet jeśli dotrzemy tam dopiero jutro, dzieci nie będą ci tego miały za złe”.

Do tego dochodził nieprzerwany żałobny monolog Any, ogromna wyrozumiałość Marty nieproszącej o nic, czego nie mógł jej dać, oraz obecność Mickiego, który posepnie rozwalił wielkie cielsko na przednim siedzeniu, ocierał się o niego gąbczastym barkiem za każdym razem, kiedy brali zakręt lub podskakiwali na wybojach, i powtarzał swą ponurą śpiewkę: dlaczego Harry nie szyje takich garniturów jak Armani.

To, co czuł w związku z Mickiem, było straszne i przytłaczające. Wiedział, że w całej Panamie i w całym życiu miał tylko jednego przyjaciela, a teraz go zabił. Nie widział już żadnej różnicy między Mickiem, którego kochał, i Mickiem, którego wymyślił, tyle tylko, że Mickie, którego kochał, był lepszy, a Mickie, którego wymyślił, był pewnego rodzaju hołdem szaleńca, aktem próżności ze strony Pendela: chciał z najlepszego przyjaciela stworzyć mistrza, żeby pochwalić się nim przed Osnardem. Bo przecież Mickie i tak zasłużył na miano bohatera. Nigdy nie była mu potrzebna płynność Pendela. Mickie stanął do walki i zaliczał się do nieustraszonych przeciwników tyranii wtedy, kiedy miało to znaczenie. W pełni zasłużył na pobicie i więzienie, a potem na wieczne prawo do pijaństwa. I do kupowania tyłu eleganckich garniturów, żeby zapomnieć o szorstkim, śmierdzącym więziennym stroju. Nie było w tym winy Mickiego, że był słaby, choć Pendel przedstawił go jako silnego, i że zrezygnował z walki, choć w fantazjach Pendela nadal ją toczył. Gdybym zostawił go w spokoju, myślał. A ja bawiłem się nim i odgryzłem mu głowę, bo miałem wyrzuty sumienia.

Gdzieś u stóp wzgórza Ancón zatankował tyle paliwa, że starczyłoby mu do końca życia, i dał dolara czarnemu żebrakowi o siwych włosach i bez jednego ucha, którego pozbawił go trąd, dzikie zwierzę lub niezadowolona żona. W Chame przez czystą nieuwagę nie zatrzymał się w punkcie celnym, a w Penonome zdał sobie sprawę, że siedzi mu na karku para rysiów -

rysiami nazywał młodych, bardzo szczupłych, szkolonych w Stanach Zjednoczonych policjantów w czarnych skórach, którzy jeżdżą parami na motocyklach, są uzbrojeni w broń półautomatyczną i słyną z uprzejmego zachowania wobec turystów i zabijania bandziorów, handlarzy narkotykami i morderców - a dzisiaj, jak się wydawało, również śmiertelnie przerażonych brytyjskich szpiegów. Marta wytłumaczyła mu kiedyś, że ryś z przodu prowadzi, a ryś na tylnym siodełku zabija. Przypomnił sobie o tym, kiedy zrównali się z nim i ujrzał zniekształcone odbicie własnej twarzy i ulicznych świateł w płynnej czerni ich kasków. Potem przypomniał sobie, że rysie działają tylko na terenie Panama City, i zaczął się zastanawiać, czy sana przejażdżce, czy też jechali za nim, chcąc zastrzelić go w ustronnym miejscu. Ale nigdy nie otrzymał odpowiedzi, bo kiedy spojrzął znowu, wtopili się z powrotem w czerń, z której się wyłonili, zostawiając mu wyboistą, krętą drogę, martwe psy wyławiane przez reflektory i busz, tak gęsty po obu stronach, że nie widać było pni drzew, tylko czarne mury i oczy zwierząt, a przez otwarty dach słychać było wymianę obelg między różnymi stworzeniami. Raz zauważył sowę ukrzyżowaną na słupie elektrycznym, jej pierś i wnętrze skrzydeł były białe jak ciało męczennika, oczy miała otwarte. Ale pozostało tajemnicą, czy należała do powracającego koszmaru Pendela, czy też była jego ostatecznym ucieleśnieniem.

Później Pendel musiał się na chwilę zdrzemnąć i prawdopodobnie też skreślił nie tam, gdzie trzeba, bo kiedy znowu otworzył oczy, był na rodzinnej wycieczce do Parity przed dwoma laty, z Louisa i dziećmi, na trawiastym placu otoczonym parterowymi domkami z wysokimi werandami i kamiennymi blokami do wsiadania i zsiadania z koni bez brudzenia ślicznych czystych butów. W Paricie stara wiedźma w czarnym kapturze powiedziała Hannah, że mieszkańcy miasteczka trzymają młode boa dusiciele na poddaszu, żeby łapały myszy, w związku z czym Hannah nie chciała wejść do żadnego domu w mieście ani na lody, ani żeby zrobić siusiu. Tak się bała, że zamiast zgodnie z planem wziąć udział w mszy, musieli zostać przed kościołem. Pomachali staruszkowi w białej dzwonnicy, który jedną ręką kołysał wielkim dzwonem, a drugą odwzajemnił pozdrowienie, co było lepsze niż msza, jak stwierdzili później. A kiedy skończył z dzwonem, dał im niesamowite przedstawienie w zwolnionym tempie, wcielając siew orangutana - najpierw zawisł na żelaznym pręcie, a potem zaczął się iskać pod pachami, na głowie, w kroczu, w przerwach zjadając pchły.

Przejeżdżając przez Chitre, przypomniał sobie hodowlę krewetek. Krewetki składały jaja w pniach namorzynów i Hannah zapytała, czy najpierw zachodzą w ciążę. A po krewetkach przypomniał sobie miłą szwedzką ogrodniczkę, która powiedziała im o orchidei o nazwie Mała Prostytutka Nocy, gdyż za dnia w ogóle nie pachniała, a nocą żadna przyzwoita osoba nie trzymałaby jej w domu.

- Harry, nie musisz tłumaczyć tego dzieciom. I tak są bombardowane różnymi nieprzyzwoitościami.

Ale napomnienia Louisy na nic się zdały, bo przez cały następny tydzień Mark nazywał siostrę swoją putita *de nocte*, aż w końcu Pendel kazał mu się zamknąć.

A po Chitre przyszła pora na strefę walk: najpierw coraz bardziej czerwone niebo, potem huk artylerii i błyski bomb oświetlających, gdy mijał kolejne policyjne blokady po drodze do Guarare”.

Pendel szedł, a obok niego szli ludzie w bieli, prowadzili go na szafot. Był przyjemnie zaskoczony, że jest tak pogodzony ze śmiercią. Gdyby miał na nowo przeżyć życie, pomyślał,

upierałby się przy nowym aktorze w roli głównej. Szedł na szafot i miał przy boku aniołów. Byli to aniołowie Marty, od razu ich rozpoznał, prawdziwe serce Panamy, ludzie z drugiej strony mostu, którzy nie biorą i nie dają łapówek, kochają się z ludźmi, których kochają, zachodzą w ciążę i nie dokonują aborcji i gdyby się nad tym zastanowić, Louisa też by ich podziwiała, gdyby tylko potrafiła przeskoczyć przez otaczający ją mur - ale kto to potrafi? Rodzimy się w więzieniu, wszyscy co do jednego, skazani na dożywocie od chwili, gdy po raz pierwszy otwieramy oczy, co tak bardzo go smuciło, kiedy patrzył na swoje dzieci. Ale te dzieci były inne, były aniołami, i bardzo się cieszył, że spotyka je w ostatnich godzinach życia. Nigdy nie wątpił, że Panama ma więcej aniołów na kilometr kwadratowy, więcej białych sukni i ukwieconych głów, doskonałych ramion, zapachów gotowania, muzyki, tańca, śmiechu, więcej pijaków, złośliwych policjantów i śmiertelnie niebezpiecznych sztucznych ogni niż jakikolwiek porównywalny raj dwadzieścia razy od niej większy i oto zebrali się tutaj, żeby mu towarzyszyć, i wielką radość sprawił mu widok grających zespołów i konkurujących ze sobą grup tancerzy z chudymi czarnymi mężczyznami o romantycznych oczach, w marynarkach do krykieta i białych butach, którzy modelowali płaskimi dłońmi powietrze wokół rozkołysanych bioder partnerek. I cieszył go otwarte na oścież podwójne drzwi kościoła, by Święta Paniienka miała dobry widok na odbywające się na zewnątrz bachanalia, nieważne, czy chciała tego, czy nie. Najwyraźniej aniołom zależało, żeby nie straciła kontaktu ze zwykłym życiem, łącznie z jego ciemnymi stronami.

Szedł powoli tak, jak to robią straceńcy, trzymał się środka ulicy i uśmiechał się. Uśmiechał się, bo wszyscy inni się uśmiechali i dlatego, że jeden bezczelny gringo, który nie uśmiecha się w tłumie skandalicznie pięknych hiszpańsko-indiańskich hulaków, należy do gatunku zagrożonego. I Marta miała rację, byli to najpiękniejsi, najbardziej prawi i nieskalani ludzie na ziemi, co Pendel zdążył już zaobserwować. Umrzeć wśród nich jest przywilejem. Poprosi, żeby pochowano go po drugiej stronie mostu.

Dwa razy zapytał o drogę. Za każdym razem posyłano go w innym kierunku. Za pierwszym razem grupa aniołów z przekonaniem wskazała mu przeciwny kraniec placu, gdzie stał się ruchomym celem dla salw wielogłowicowych rakiet wystrzeliwanych na poziomie głowy z okien i drzwi ze wszystkich czterech stron. I chociaż śmiał się, szczerzył zęby, udawał i dawał do zrozumienia, jak świetnie się bawi, graniczyło z cudem, że dopłynął na drugi brzeg z oczami, uszami i jądrami w komplecie i bez żadnych poparzeń, bo z rakietami nie ma żartów i kto twierdzi inaczej, nie ma racji. Sztuczne ognie tryskały płomieniami jak rozpalone pociski o oszałamiającej prędkości, wystrzeliwane pod okiem chwiejącej się, piegowatej, rudej amazonki w postrzępionych szortach, która była samozwańczym dowódcą owej dobrze uzbrojonej jednostki i ciągnęła śmiertelnie niebezpieczne rakiety za sobą na sznurku jak ogon, lubieżnie prężąc się i gestykulując. Paliła - jaką substancję, trudno zgadnąć - i kiedy się nie zaciągała, wydawała rozkazy swym wojskom na placu: „Odciać mu kutasa, na kolana tego gringo...”, a potem kolejny wdech dymu z papierosa i kolejna komenda. Ale Pendel był swoim chłopem, a oni byli aniołami.

Kiedy zapytał o drogę po raz drugi, wskazano mu rząd domów tworzących jedną pierzeję placu, na werandach siedzieli wystrojoni *rabiblancos*, którzy przyjechali lśniącymi, zaparkowanymi na chodniku bmw i mieszały się z biedotą. Pendel mijał jedną hałaśliwą werandę za drugą i myślał: Znam cię, jesteś synem tego-i-tego albo córką, mój Boże, jak ten

czas leci. Ale ich obecność, gdy bardziej się nad tym zastanowił, nie przeszkadzała mu, nie obchodziło go też, czy oni go zauważyli, ponieważ dom, w którym zastrzelił się Mickie, stał nieco dalej po lewej stronie, co było doskonałym powodem, żeby skupić myśli wyłącznie na więźniu erotomanie, zwanym Pajakiem, który powiesił się w celi, kiedy Pendel spał metr od niego. Pajak był jedynym trupem, z jakim Pendel miał do tej pory do czynienia. Więc w pewnym sensie zamyślony przez Pajaka Pendel wszedł prosto na policyjny kordon składający się z policyjnego wozu, kręgu gapiów i około dwudziestu policjantów, którzy nie mogli zmieścić się w jednym samochodzie, a z pewnością zlecieli się niczym mewy wokół rybackiej łodzi - zawsze to robią, gdy wywęszą w powietrzu zysk lub zamieszanie.

Główną atrakcją był oszołomiony stary chłop: siedział na chodniku ze słomkowym kapeluszem między kolanami, z twarzą w dłoniach i porykiwał jak goryl w napadzie wściekłości. Wokół niego zgromadziło się kilkunastu doradców widzów i konsultantów, łącznie z pijakami, którzy podpierali się nawzajem, żeby utrzymać równowagę, oraz starą kobietą, przypuszczalnie jego żona, która głośno przyznawała rację staruszkowi, kiedy tylko dopuszczał ją do głosu. A ponieważ policjanci nie kwapili się do zrobienia przejścia w tłumie a już na pewno nie w swoich szeregach, Pendel nie miał wyjścia i przyłączył się do gapiów, choć nie brał czynnego udziału w debacie. Staruszek doznał dość poważnych poparzeń. Za każdym razem, kiedy odsłaniał twarz, żeby podać lub odeprzeć jakiś argument, poparzenia stawały się widoczne. Na lewym policzku brakowało sporego płata skóry, rana ciągnęła się do dołu, sięgając odsłoniętej szyi w koszuli bez kołnierza. Policjanci proponowali, że zabiorą go do miejscowego szpitala, gdzie dostanie zastrzyk będący właściwym lekarstwem na jego poparzenia, z czym wszyscy się zgodzili.

Ale staruszek nie chciał zastrzyku i nie chciał ich lekarstwa. Wolał znosić ból niż zastrzyk, wolał dostać gangreny i nabawić się innych okropnych chorób, niż jechać z policjantami do szpitala. A wszystko dlatego, że był starym pijakiem i ten festiwal był pewnie ostatni w jego życiu, a każdy wiedział, że po zastrzyku nie można pić do końca zabawy. Dlatego też podjął świadomą decyzję, której świadkiem był Stwórca i żona, i oznajmił policjantom, żeby wsadzili sobie w dupę zastrzyk, bo wolał się schlać do nieprzytomności, tym sposobem pozbywając się bólu. Byłby więc bardzo wdzięczny, gdyby wszyscy, do cholery, zeszli mu z drogi, łącznie z policją, a jeśli naprawdę chcą mu pomóc, niech przyniosą mu flaszkę, a drugą dla żony, a najbardziej ucieszyłby się z butelki *seco*.

Pendel słuchał uważnie, doszukując się przesłania we wszystkim, nawet jeśli nie było ono dla niego jasne. Stopniowo policjanci rozeszli się, tłumek też. Stara kobieta usiadła obok męża i objęła go, a Pendel wszedł po schodach jedyne na całej ulicy domu ze zgaszonymi światłami, mówiąc sobie: już nie żyję, jestem martwy jak ty, Mickie, więc nie myśl, że twoja śmierć może mnie przerazić.

Zapukał, ale nikt nie otworzył, za to parę głów odwróciło się, bo kto, na litość boską, puka do drzwi w dniu festiwalu? Przestał więc pukać i ukrył się w cieniu werandy. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. Nacisnął klamkę, wszedł do środka i od razu pomyślał, że znalazł się z powrotem w sierocińcu, zbliżają się święta, a on jest jednym z Trzech Króli w świątecznej szopce, trzyma latarnię i kij i ma na sobie stary brązowy kapelusz oddany przez kogoś biednym - tyle że aktorzy w domu, do którego wszedł teraz, byli źle ustawieni, a w dodatku ktoś zwinął Dzieciątko.

Stajenkę urządzono w pustym, wyłożonym terakotą pokoju. Wypełniał go blask drżącego światła ze sztucznych ogni na placu. Nad żłobem pochylała się kobieta w chuście na głowie i modliła się, z rękoma przyciśniętymi do brody. Była to Ana, która najwyraźniej w obliczu śmierci poczuła potrzebę zakrycia głowy. Ale żłób nie był żłobem. To Mickie twarzą w dół, jak zapowiedziała, rozplaszczony na kuchennej podłodze, z tyłkiem w powietrzu i mapą Panamy po tej stronie głowy, gdzie kiedyś było ucho i policzek. Bron, którą tego dokonał, leżała obok niego, wymierzona oskarżycielsko w intruza, oznajmiając światu całkiem niepotrzebnie to, co świat już wiedział: że Harry Pendel, krawiec, dostawca marzeń, wynalazca ludzi i miejsc ucieczki, zamordował swoje własne dzieło.

Stopniowo oczy Pendela przyzwyczajają się do migającego światła sztucznych ogni, rac i ulicznych lamp z placu. Zaczynał dostrzegać pozostałe części bałaganu, który zostawił Mickie, kiedy odstrzelił sobie część głowy: ślady na wyłożonej terakotą podłodze, ścianach i w zaskakujących miejscach, takich jak komoda z nieudolnymi rysunkami rozbawionych piratów i ich dziewcząt. To podsunęło mu pierwsze słowa, jakie skierował do Any. Miały one bardziej charakter praktycznej porady niż pocieszenia.

- Powinniśmy zasłonić czymś okna - rzekł.

Ale nie odpowiedziała, nie poruszyła się, nie odwróciła głowy, więc uznał, że na swój sposób była tak samo martwa jak Mickie, że ją też zabił, że stała się przypadkową ofiarą. Próbowwała uszczęśliwić Mickiego, obmywała go i dzieliła z nim łoże, a teraz zastrzelił ją: oto nagroda za jej starania. I przez chwilę Pendel był zły na Mickiego, oskarżał go o akt wielkiego okrucieństwa wymierzony nie tylko przeciw własnemu ciału, ale również przeciw żonie, kochance, dzieciom, a także przyjacielowi, Harry'emu Pendelowi.

Później oczywiście przypomniał sobie o własnej winie i o tym, jak opisywał Mickiego jako przywódcę ruchu oporu i szpiega; i próbował wyobrazić sobie, jak musiał czuć się Mickie, kiedy wpadła do niego policja z wiadomością, że znowu czeka go więzienie; prawda o własnej odpowiedzialności natychmiast oddaliła wszelkie wygodne uwagi o błahych niedociągnięciach Mickiego w roli samobójcy.

Dotknął ramienia Any, a że nawet ani drgnęła, odezwały się w nim resztki poczucia odpowiedzialności artysty: tę kobietę trzeba trochę rozweselić. Chwycił ją więc pod ramiona, pomógł wstać i przytrzymał przy sobie. Była tak sztywna i zimna jak Mickie, tak sobie przynajmniej wyobrażał. Najwyraźniej tkwiła długo w jednej pozycji, czuwając przy nim, tak że jego bezruch i spokój w jakiś sposób udzieliły się jej kościom. Z natury była wesołą, zabawną kokieterijną dziewczyną, co Pendel zauważył podczas nielicznych okazji kiedy się widzieli, i prawdopodobnie nigdy w życiu nie patrzyła równie długo na coś tak nieruchomego. Najpierw krzyczała, lamentowała i skarżyła się - przypuszczał Pendel, przypominając sobie rozmowę telefoniczną - a kiedy wyrzuciła z siebie wszystko, popadła w pewnego rodzaju obserwacyjną niemoc i z chwilą gdy uspokoiła się, stężała. Dlatego była sztywna, kiedy ją trzymał, dlatego szczękała zębami i nie zareagowała na jego radę dotyczącą okien.

Rozejrzał się, żeby dać jej coś do picia ale znalazł tylko trzy puste butelki po whisky i na wpół opróżnioną butelkę *seco*. Doszedł jednak do wniosku, że *seco* nie jest właściwym rozwiązaniem. Podprowadził ją więc do wiklinowego fotela, posadził, znalazł zapałki, zapalił gaz, postawił na palniku garnek z wodą, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że jej oczy znowu odnalazły Mickiego. Poszedł więc do sypialni, ściągnął z łóżka narzutę i przykrył nią głowę

Mickiego, po raz pierwszy wyczuwając ciepły, rdzawy zapach krwi przez woń kordytu, aromatu gotowanego jedzenia i dym wdzierający się do środka z werandy. Na placu sztuczne ognie nadal strzelały i świstały, dziewczęta krzyczały na widok petard, które chłopcy trzymali do absolutnie ostatniej chwili, a potem ciskali je im pod nogi. Pendel i Ana mieli to wszystko przed sobą, wystarczyło podnieść wzrok znad Mickiego i wyjrzeć przez okno, żeby zobaczyć zabawę.

- Zabierz go stąd - wymamrotała z wiklinowego fotela. I dodała dużo, dużo głośniejsze: - Mój ojciec mnie zabije. Zabierz go. To brytyjski szpieg. Tak mówili. Ty też jesteś brytyjskim szpiegiem.

- Uspokój się - nakazał jej Pendel, zaskakując samego siebie.

I nagle Harty Pendel zmienił się. Nie stał się innym człowiekiem, ale wreszcie sobą, człowiekiem opętanym i pełnym wewnętrznej siły. Jeden cudowny promień objawienia pozwolił mu dostrzec za melancholią, śmiercią i biernością usprawiedliwienie jego życia jako artysty. Akt symetrii i nieposłuszeństwa, zemsty i pojednania, majestatyczny skok do królestwa, gdzie wszelkie niewygodne ograniczenia rzeczywistości są zepchnięte na bok przez ważniejszą prawdę marzeń stwórcy.

I jakiś przejaw zmartwychwstania Pendela musiał udzielić się Anie, gdyż po kilku łykach kawy odstawiła filiżankę i przyłączyła się do jego zabiegów: najpierw trzeba było nalać do miednicy wodę i dodać do niej środek dezynfekujący, potem wytropić szczotkę, mopa, rolki papierowych ręczniczków, ścierki, środki czyszczące i szczotkę do szorowania, a następnie zapalić świecę i umieścić ją w miarę nisko, żeby jej płomień nie był widoczny z placu, gdzie nowy pokaz sztucznych ogni, tym razem wystrzeliwanych w powietrze, a nie w przechodzących gringos, ogłaszał pomyślny wybór królowej piękności - i oto ujrzeli ją na platformie w białej mantyli, białej koronie z kwiatów gruszy, z białymi ramionami i gorącymi dumnymi oczami, dziewczynę tryskającą tak świetlistą urodą i podnieceniem, że najpierw Ana, a po niej Pendel przerwali prace” żeby popatrzeć, jak przepływa z orszakiem księżniczek i podskakujących chłopców i taką masą kwiatów, że starczyłoby ich na tysiąc pogrzebów Mickiego.

Wrócili do pracy, szorowali i myli, aż zdezynfekowana woda w miednicy zrobiła się w półmroku czarna i trzeba ją było wymienić, a potem jeszcze raz, ale Ana harowała z zapalem, który Mickie zawsze w niej dostrzegał - dziewczyna w dechę, jak mawiał, nienasycona w łóżku i w restauracji. Wkrótce szorowanie i mycie stało się dla niej rodzajem katharsis, a paplała przy tym tak beztrosko, jakby Mickie wyskoczył na chwilę po kolejną butelkę albo na szklaneczkę szkockiej do sąsiada na jednej z oświetlonych werand po obu stronach domu, gdzie grupki uczestników zabawy w tym momencie oklaskiwały i wiwatowały na cześć królowej piękności, a nie leżał twarzą do ziemi pośrodku podłogi z narzutą na głowie, tyłkiem w powietrzu i ręką nadal wyciągniętą w kierunku broni, którą Pendel niepostrzeżenie wsunął do szuflady na później.

- Patrz, patrz, minister! - zawołała Ana.

Grupa poważnych mężów w białych *panabrisas* przybyła na środek placu w otoczeniu mężczyzn w czarnych okularach. Tak to zrobię, myślał Pendel. Będę oficjalny jak oni.

- Potrzebujemy bandaży. Poszukaj gdzieś apteczki - powiedział. Nie znalazła jej, więc pocięli prześcieradło.

- Będę musiała kupić nową narzutę - powiedziała.

Karmazynowa marynarka Mickiego od P & B wisiała na oparciu krzesła. Pendel wyciągnął z niej portfel i podał Anie garść banknotów. Wystarczy jej na nową narzutę, a za resztę dobrze się zabawi.

- Jak tam Marta? - zapytała, chowając pieniądze do stanika.

- Po prostu wspaniale.

- A twoja żona?

- Też dobrze, dziękuję.

Żeby owinać bandażem głowę Mickiego, musieli posadzić go w wiklinowym fotelu, w którym wcześniej siedziała Ana. Najpierw położyli na fotelu ręczniki, potem Pendel obrócił Mickiego i Ana w ostatniej chwili zdążyła do łazienki, gdzie wymiotowała przy otwartych drzwiach, w ekspresyjnym geście wyciągając za siebie rękę z rozczapierzonymi palcami. Kiedy wymiotowała, Pendel pochylił się nad Mickiem. Znowu przypomniał pałąk i to, jak reanimował go metodą usta - usta, wiedząc, że żadna racja nie wróci mu życia, choćby jeszcze głośniejsze krzyknęli winni strażnicy: „Próbuj, do cholery, synu”.

Ale Pająk nigdy nie był przyjacielem jak Mickie ani najlepszym klientem, ani więźniem z przeszłości ojca, ani więźniem sumienia Noriegi ani nie wybito z niego sumienia pięściami, kiedy siedział. Pająk nie krążył DO więzienia jako świeże mięso dla psychopatów, żeby mogli najęść się do syta Pająk załamał się, bo miał w zwyczaju pieprzyć dwie dziewczyny dziennie a w niedziele trzy, i perspektywa pięciu lat bez żadnej dziewczyny wydawała mu się powolną śmiercią głodową. Pająk powiesił się, narobił przy tym pod siebie i wywalił jęzor, co czyniło reanimację metodą usta - usta jeszcze bardziej nedorzeczną. Mickie skończył ze sobą pozostawiając jedną stronę twarzy nienaruszoną, jeśli nie brać pod uwagę poczerniałej dziury, a drugą naprawdę okropną, której w żaden sposób nie dało się nie brać pod uwagę.

Ale jako współwięzień i ofiara Pendela Mickie okazał upór dorównujący jego rozmiarom. Kiedy Pendel włożył mu ręce pod pachy, Mickie od razu zrobił się cięższy. Ruszenie go z miejsca, a następnie niedopuszczenie do upadku, kiedy już był prawie na miejscu, wymagało od Pendela ogromnego wysiłku. Musiał też zużyć mnóstwo bandażu, żeby nadać obu stronom głowy przyjaciela mniej więcej ten sam kształt. Jakoś jednak wszystko mu się udało i kiedy wróciła Ana, od razu zaprzęgił ją do pracy. Miała przytrzymać nos Mickiego, żeby nie zawinąć go bandażem, i dać Mickiemu możliwość oddychania, co było zabiegiem równie daremnym, jak próby przywrócenia oddechu Pająkowi, ale w przypadku Mickiego krył się za tym pewien zamysł. Zawijając bandaż ukośnie, Pendel zostawił Mickiemu miejsce na oko, bo Mickie, cokolwiek robił w chwili naciśnięcia spustu, został z jednym okiem szeroko otwartym, o nadzwyczaj zdziwionym spojrzeniu. Więc Pendel nie zasłonił go, a kiedy skończył, poprosił Anę, żeby pomogła mu przeciągnąć fotel jak najbliżej drzwi wejściowych.

- Ludzie w moim miasteczku mają prawdziwy problem - wyznała Ana, najwyraźniej odczuwając potrzebę intymnych zwierzeń. - Miejscowy ksiądz jest pedałem i nienawidzą go, a ksiądz w sąsiednim miasteczku posuwa wszystkie dziewczyny i tego kochają. W małych miasteczkach ludzie mają takie problemy. - Przerwała, żeby złapać oddech przed kolejnym wysiłkiem. - Moja ciotka jest bardzo surowa. Napisała do biskupa ze skargą że księża, którzy uprawiają seks, sanie do przyjęcia. - Roześmiała się czarująco. - Biskup odpisał jej. „Proszę spróbować powiedzieć to moim owieczkom, a zobaczysz Pani, co jej zrobią.

Pendel też się roześmiał.

- Chyba dobry z niego biskup - powiedział.

- A ty mógłbyś zostać księdzem? - zapytała, ciągnąc fotel z całej siły. - Mój brat jest strasznie religijny. „Ana - mówi do mnie - chyba zostanę księdzem”. „Zwariowałeś?”, odpowiadam. Nigdy nie miał dziewczyny, to jego problem. Może też jest pedałem.

- Zamknij za mną drzwi i nie otwieraj, póki nie wrócę - poinstruował ją Pendel. - Dobrze?

- Dobrze. Zamknę drzwi.

- Najpierw zapukam trzy razy lekko, a potem raz głośno. Jasne?

- Mam to zapamiętać?

- Oczywiście.

I wtedy, ponieważ wydawała się dużo weselsza, pomyślał, że na zakończenie terapii obróci ją, żeby mogła podziwiać ich wielkie osiągnięcie: czyściuteńkie ściany, podłoga, meble, a zamiast martwego kochanka jeszcze jedna ofiara festiwalowych sztucznych ogni w zaimprovizowanym opatunku, siedząca spokojnie przy drzwiach z jednym otwartym oknem, w oczekiwaniu na starego kumpla, który ma podjechać terenówką.

Pendel prowadził terenówkę w ślimaczym tempie wśród aniołów, aniołowie poklepywali wóz jak koński zad, wołając: „Wio, gringo!”, wrzucali pod niego sztuczne ognie, kilku chłopców wskoczyło na tylny zderzak. Nastąpiła też nieudana próba posadzenia jednej z księżniczek piękności na masce, ale dziewczyna bała się zabrudzić białą spódnicę, a Pendel nie zachęcał jej, bo nie była to pora na podwożenie kogokolwiek. Poza tym podczas przejazdu nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, co dało mu chwilę na udoskonalenie planu, gdyż czas spędzony na przygotowaniach, co wbijał mu do głowy Osnard podczas sesji szkoleniowych, nigdy nie jest stracony. Rzecz polega na tym, żeby spojrzeć na tajną operację oczami wszystkich, którzy wezmą w niej udział, i zapytać siebie: co on robi? Co ona robi? Kto dokąd się udaje po wszystkim? I tak dalej.

Zastukał trzy razy lekko i raz mocno, ale bez odzewu. Zrobił to raz jeszcze, a wtedy usłyszał wesołe wołanie: „Już idę!”, i Ana otworzyła drzwi - do połowy, ponieważ za nimi siedział Mickie. Przy blasku z placu zauważył, że uczesała włosy, założyła czystą bluzkę bez rękawów i otworzyła drzwi na werandę, żeby woń kordytu wyparła zapachy krwi i środka dezynfekującego.

- W sypialni jest biurko - powiedział.

- I co z tego?

- Zobacz, czy jest tam czysta kartka. I długopis albo ołówek. Napisz na niej „pogotowie”.

- Chcesz udawać karetką pogotowia? Ale fajnie.

Popędziła do sypialni, jakby brała udział w jakiejś zabawie, a on wyjął broń Mickiego z szuflady i włożył ją do kieszeni spodni. Nie znał się na broni, ale ten egzemplarz nie był duży, choć gruby jak na swoje rozmiary, o czym świadczyła dziura w głowie Mickiego. Po namyśle wyjął jeszcze z szuflady w kuchni nóż z ząbkowanym ostrzem i zawinął go w papierowy ręcznik. Ana wróciła z triumfalną miną: znalazła dziecięcy blok i kredki. Jedynym problemem był fakt, że w swoim entuzjazmie zapomniała o literze „I”, więc napis brzmiał AMBULANCA. Ale pod każdym innym względem wywieszka była bez zarzutu, więc wziął ją i zszedł po schodach do zaparkowanej terenówki. Włożył kartkę za przednią szybę i włączył światła awaryjne, uspokajając ludzi, którzy utknęli za nim na ulicy i trąbili, żeby nie tarasował drogi.

Tutaj w sukurs przyszła mu pomysłowość, bo gdy zaczął wspinać się po schodach, odwrócił się do swych antagonistów i uśmiechając się do wszystkich, złożył dłonie w błagalnym geście, po czym podniósł jeden palec, by wybłagać minutę cierpliwości, pchnął drzwi i zapalił światło, demonstrując Mickiego z obandażowaną głową i jednym okiem. W tej chwili niemal wszystkie klaksony i okrzyki ucichły.

- Narzuć mu na ramiona marynarkę, kiedy będę go podnosił - rozkazał Anie. - Jeszcze nie. Poczekaj.

Pendel pochylił się w rozkroku ciężarowca i przypomniał sobie, że jest nie tylko zdradziecki i morderczy, lecz również silny, a jego siła drzemie w udach, pośladkach, brzuchu i ramionach i że w przeszłości miał wystarczająco dużo okazji, kiedy musiał transportować Mickiego do domu. Tym razem było tak samo, tyle że Mickie nie pocił się ani nie twierdził, że jest mu niedobrze, ani nie prosił, żeby go zabrać z powrotem do więzienia, czyli do żony.

Myśląc o tym, Pendel otoczył Mickiego ramieniem i pomógł mu wstać, ale w nogach nie było wcale siły, a co gorsza, problemem stało się utrzymanie równowagi, gdyż w wilgotnym nocnym upale Mickie zrobił niewielkie postępy w zakresie zeszywnienia. Tak więc o sztywność musiał się postarać Pendel, kiedy pomagał przejść przyjacielowi przez próg i - zjedną ręką na żelaznej poręczy i z maksymalnym wykorzystaniem sił, którymi obdarzyli go bogowie - sprowadzić go po pierwszym z czterech stopni do terenówki. Głowa Mickiego wspierała się teraz na jego ramieniu. Wyczuwał zapach krwi spod pasów prześcieradła. Ana narzuciła na plecy Mickiego marynarkę i Pendel nie był pewien, po co kazał jej to zrobić - po prostu podobała mu się i nie mógł znieść myśli, że Ana odda ją pierwszemu lepszemu żebrakowi na ulicy. Chciał, żeby odegrała swoją rolę w chwale Mickiego, bo właśnie tam zmierzamy, Mickie - trzeci stopień - zmierzamy ku naszej chwale, a ty będziesz najładniejszym chłopcem w mieście, najlepiej ubranym bohaterem, jakiego widziały dziewczęta.

- Idź, otwórz mi drzwi - powiedział Anie i w tym momencie Mickie w jednej z typowych dla niego i nieprzewidywalnych demonstracji wolnej woli postanowił przejąć inicjatywę, rzucając się w stronę samochodu z ostatniego stopnia. Ale Pendel nie musiał się martwić. Na dole czekali dwaj chłopcy z wyciągniętymi rękami, których ściągnęła Ana, była bowiem typem dziewczyny ściągającej chłopców automatycznie samym swym pojawieniem się na ulicy.

- Ostrożnie - zwróciła się do nich surowo. - Pewnie zemdłał.

- Przecież ma otwarte oczy - powiedział jeden z chłopców, przyjmując klasyczne fałszywe założenie, że jeśli widać jedno oko, drugie na pewno też jest..

- Odchyl mu głowę do tyłu - rozkazał Pendel.

Ale sam to zrobił, gdy oni przyglądali się z zakłopotaniem. Opuścił zagłówek przedniego siedzenia i położył na nim głowę Mickiego. Zapiął mu pasy, przeciągając je przez olbrzymi brzuch, zamknął drzwi, podziękował chłopcom, pomachał z wdzięcznością czekającym za nim samochodom i wskoczył za kierownicę.

- Wracaj na festiwal - powiedział do Any.

Ale stracił już nad nią władzę. Znowu stała się sobą, płakała rozpaczliwie i zapewniała, że Mickie nie zrobił w życiu niczego, czym zasłużyłby sobie na nagabywanie przez policję.

Jechał powoli, co odpowiadało jego nastrojowi. A Mickie, jak powiedziałby wujek Benny, zasługiwał na szacunek. Zabandażowana głowa przechylała się na zakrętach i podskakiwała na wybój ach i jedynie pas powstrzymywał go przed zwałeniem się na stronę

Pendela. Tak samo zresztą zachowywał się podczas podróży do Guarare, tyle że wtedy Pendel nie wyobrażał go sobie z jednym otwartym okiem. Kierował się znakami wskazującymi drogę do szpitala, nie wyłączył świateł awaryjnych i siedział sztywno wyprostowany jak kierowcy karetek, kiedy pędzili po Lemman Street. Nie odchylali się nawet na zakrętach.

No więc kim jesteś konkretnie? - pytał Osnard, badając alibi Pendela. Białym lekarzem zatrudnionym w miejscowym szpitalu - odpowiedział. Mam w samochodzie ciężko chorego pacjenta, więc nie będę tracił czasu na pogaduszki.

W punktach kontrolnych policjanci rozstępowali się przed nimi. Jeden funkcjonariusz zatrzymał nawet ruch w przeciwnym kierunku, żeby okazać rannemu względy. Gest ten okazał się jednak zbyteczny, gdyż Pendel zignorował skręt do szpitala i pojechał prosto na północną drogą, którą przyjechał, z powrotem w stronę Chitre, gdzie krewetki składają jaja w namorzynach, i Sarigui, gdzie orchidee są małymi prostytutkami. Przypomniawszy sobie, że gdy wyjeżdżał do Guarare, ruch był spory, a teraz, kiedy stamtąd wyjeżdżał, w ogóle go nie było. Jechali samotnie pod księżycem w nowiu i czystym niebem, tylko Mickie i on. Kiedy skręcił w prawo na Sariguę, bosa czarna kobieta z przerażonym wyrazem twarzy błagała go, żeby ją zabrał. Czuł się podle, że tego nie zrobił. Ale szpieczy podczas niebezpiecznych misji nie podwożą nikogo, co zauważył już w Guarare, więc jechał dalej i obserwował, jak ziemia bieleje.

Znał to miejsce. Mickie, podobnie jak Pendel, kochał morze. Gdy Pendel przyjrzał się swemu życiu, odkrył, że morze miało kojący wpływ na szalejące w nim demony, i dlatego Panama była dla niego szczególnie dobroczynnym miejscem, zanim spotkał Osnarda. „Harry, mój chłopcze, możesz siedzieć w Hongkongu, Londynie, Hamburgu, wszystko jedno - mówił Benny, pokazując mu przesmyk w kieszonkowym atlasie. - Gdzie indziej na świecie można wsiąść do autobusu numer jedenaście i zobaczyć wielki mur chiński z jednej i wieżę Eiffla z drugiej strony?” Ale Pendel przez więzienne okno nie widział ani jednego, ani drugiego. Widział natomiast po obu stronach morza o innym odcieniu błękitu i ucieczkę w obydwu kierunkach.

Na drodze stała krowa z opuszczoną głową. Pendel zahamował. Mickie poleciał głupio do przodu i pas chwycił go za szyję. Pendel uwolnił go i pozwolił mu opaść na podłogę. Mickie, mówię do ciebie, ile razy mam przepraszać? Krowa niezgrabnie zeszła z drogi. Zielone znaki zaprowadziły go do rezerwatu przyrody. Pamiętał, że było tam stare plemienne obozowisko, wysokie wydmy i białe skały, które Hannah nazwała wyrzuconymi na brzeg muszlami. I plaża. Droga zmieniła się w szlak, a szlak biegł prosto jak rzymski trakt z wysokimi żywopłotami stojącymi jak mury po obu jego stronach. Czasem żywopłoty składały nad nim ręce do modlitwy. Czasem zanikały, ukazując niebo o specyficznej czystości, które widuje się nad spokojnym morzem. Księżyc w nowiu pragnął z całych sił się powiększyć. Między jego krańcami uformowała się dziewicza biała mgiełka. Gwiazd było tyle, że wyglądały jak piasek.

Szlak skończył się, ale Pendel jechał dalej. Cudowne, czego może dokonać terenówka. Po obu stronach wyrastały potężne kaktusy jak czarne sylwetki żołnierzy. Stać! Wysiadać! Ręce na dach! Dokumenty! Jechał dalej, mijając tabliczkę, która mu tego zabraniała. Zastanawiał się nad śladami opon. Wytropią terenówkę. Ale jak? Będą oglądać opony wszystkich terenówek w Panamie? Zastanawiał się nad śladami stóp. Buty. Wytropią moje buty. Ale jak? Przypomniawszy sobie rysiów. Przypomniawszy sobie Martę. Mówili, że jesteś szpiegiem. A Mickie

drugim. Ja też. Przypomniawszy sobie Niedźwiedzia. Przypomniawszy sobie oczy Louisy, zbyt przerażone, by zadać jedyne pozostałe do zadania pytanie: Harry, czy ty zwariowałeś? Normalni są bardziej szaleni, niż nam się wydaje, pomyślał. A szaleni mają o wiele więcej rozumu, niż jesteśmy skłonni przyznać.

Zatrzymał ostrożnie samochód, spoglądając przy tym na ziemię. Chciał, żeby była twarda jak stal. I była. Biała, porowata skała niczym martwy koral, na którym od miliona lat nie odcisnęła się ślad stopy. Wyszedł, zostawiając włączone światła, przeszedł na tył terenówki, gdzie trzymał linę holowniczą na porę deszczową. Szukał kuchennego noża tak długo, by ulec panice, ale przypomniał sobie, że wsunął go do kieszeni marynarki Mickiego. Odciął metrowy kawałek sznura, podszedł do drzwi po stronie Mickiego, otworzył je, wywlókł ciało i delikatnie opuścił je na ziemię, twarzą do dołu, ale już nie z tyłkiem w powietrzu, gdyż podróż odmieniła Mickiego i wolał leżeć bardziej na boku, a mniej na wydatnym brzuchu.

Pendel chwycił Mickiego za ramiona, wygiął je do tyłu i przystąpił do związywania nadgarstków podwójnym, nieporadnym, ale starannym węzłem. Aby zachować trzeźwość umysłu, myślał tylko o rzeczach praktycznych. Marynarka. Co zrobiliby z marynarką? Przyniósł jaz samochodu i zarzucił na plecy Mickiego jak pelerynę - tak mógł ją nosić. Potem wyjął z kieszeni broń i w świetle samochodowych reflektorów ustalił, w jakiej pozycji pistolet jest zabezpieczony. Oczywiście okazało się, że przez cały czas nosił się z odbezpieczonym pistoletem, tak jak zostawił go Mickie, co było zresztą całkiem naturalne, bo po odstrzeleniu sobie mózgu raczej trudno zabezpieczyć broń.

Pendel cofnął wóz dalej od Mickiego. Nie był pewien, dlaczego to zrobił. Pewnie nie chciał jasno oświetlać tego, co będzie robił, chciał zapewnić Mickiemu nieco prywatności przy tej okazji i pewnego rodzaju naturalny azyl. Azyl był prymitywny, a może i pierwotny, w samym sercu indiańskiego obozowiska sprzed jedenastu tysięcy lat usianego grotami strzał i ostrymi krzemieniami, które Louisa najpierw pozwoliła dzieciom zbierać, a potem kazała odłożyć, bo nic by nie zostało, gdyby każdy, kto tu przychodzi, coś sobie wziął; na pustyni ukształtowanej przez człowieka i drzewa namorzynowe, tak zasolonej, że nawet ziemia była martwa.

Przestawiwszy samochód, podszedł do ciała, klęknął przy nim i czule odwinął bandaż, aż twarz Mickiego znów upodobniła się do tej na kuchennej podłodze, choć wydawała się nieco starsza, nieco czystsza, a także - w wyobraźni Pendela - bardziej bohaterska.

Mickie, mój chłopcze, twój portret zawiśnie tam, gdzie jego miejsce, w holu męczenników w pałacu prezydenckim, gdy tylko Panama wyzwoli się z tego wszystkiego, co ci się nie podobało - rzekł w myślach do Mickiego. - Przykro mi, Mickie, że w ogóle mnie poznałeś, bo nikomu nie wyszło to na dobre.

Chciał powiedzieć coś na głos, ale wszystkie jego głosy były wewnętrzne. Rozejrzał się więc po raz ostatni i nie widząc nikogo, kto mógłby mu przeszkodzić, strzelił dwa razy czule, jakby zabijał chore zwierzę - jeden strzał pod lewą łopatkę, drugi pod prawą. Zatrucie ołowiem, Andy, powiedział do siebie, przypominając sobie kolację z Osnardem w klubie Union. Trzy celne strzały. Jeden w głowę, dwa w tors, martwe ciało można obejrzeć na pierwszych stronach wszystkich gazet.

Przy pierwszym strzale pomyślał: ten jest dla ciebie, Mickie.

Przy drugim pomyślał: ten jest dla mnie.

Trzeci Mickie wykonał samodzielnie, więc przez chwilę Pendel stał nieruchomo z bronią w ręku, wsłuchując się w morze i wrogie milczenie Mickiego.

Potem zdjął z niego marynarkę, wrócił do samochodu i po przejechaniu około dwudziestu metrów wyrzucił ją przez okno tak, jak uczyniłby to każdy zawodowy zabójca, kiedy odkrywając swą irytację, że po związaniu ofiary, zabiciu jej i porzuceniu w odpowiednio odludnym miejscu w samochodzie została marynarka - ta sama, którą ofiara miała na sobie, kiedy do niej strzelał, więc i ją wyrzucił.

Po powrocie do Chitre jeździł pustymi ulicami w poszukiwaniu budki telefonicznej, która nie byłaby zajęta przez pijaków lub kochanków. Chciał, żeby jego przyjaciel Andy dowiedział się jako pierwszy.

Zagadkowe uszczuplenie personelu ambasady brytyjskiej w Panamie w dniach poprzedzających operację. „Bezpieczna Przeprowadzka” wywołało małą burzę w brytyjskiej i międzynarodowej prasie, stając się pretekstem do ogólnej debaty o zakulisowej roli Wielkiej Brytanii w amerykańskiej interwencji zbrojnej. Opinie w krajach Ameryki Środkowej były jednomyślne. JANKESKI SŁUGUS! - krzyczały dzielnie nagłówki panamskiego dziennika „La Prensa” nad fotografią zawstydzonego ambasadora Maltby’ego, który ściska dłoń szefa Dowództwa Południowego podczas jakiegoś zapomnianego przyjęcia sprzed roku. W Anglii opinie od razu podzieliły się w sposób przewidywalny. Prasa Hatry’ego opisała ów dyplomatyczny exodus jako „genialnie obmyślaną operację w duchu najlepszych tradycji gry wywiadów” i „tajny podtekst, którego nie możemy poznać”, jego konkurenci trąbili: TCHÓRZE!, i oskarżyli rząd o podłe konszachty z najgorszymi elementami północnoamerykańskiej prawicy, o wykorzystywanie „prezydenckich słabości” w roku wyborczym, o uleganie antyjapońskiej histerii, a także o pomoc i wspieranie amerykańskich ambicji kolonialnych kosztem brytyjskich stosunków z Europą - a wszystko dla wzmocnienia pozycji żalostnego i skompromitowanego premiera przed wyborami powszechnymi i ujawnienia najbardziej haniebnych cech brytyjskiego charakteru narodowego.

Gazety Hatry’ego na pierwszych stronach dawały pierwszeństwo kolorowym fotografiom premiera okrywającego się chwałą w Waszyngtonie - SKROMNY BRYTYJSKI LEW POKAZUJE KŁY. Konkurencyjne dzienniki sprzeciwiały się „nierealnym imperialnym fantazjom” pod podwójnym nagłówkiem FAKTY I FIKCJE oraz RESZTA EUROPY WSTYDZI SIĘ i porównywały „rozdmuchane oskarżenia przeciw rządowi Panamy i Japonii” do preparowanych przez prasę Hearsta wymysłów, które miały usprawiedliwić agresywną postawę Stanów Zjednoczonych podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej.

Ale na czym właściwie polegała rola Wielkiej Brytanii? W jaki sposób, jeśli w ogóle - powtórzmy za głównym artykułem „Timesa”, zatytułowanym ŻADNYCH KONSZACHTÓW - brytyjskie raciczki trafiły do amerykańskiego żłobu? I znowu oczy wszystkich zwróciły się ku brytyjskiej ambasadzie w Panamie i jej związkowi lub rzekomemu brakowi takowych z dawnym studentem Oksfordu, ofiarą Noriegi i znanym przedstawicielem politycznego establishmentu Panamy, Mickiem Abraxasem, którego „zmasakrowane” ciało znaleziono porzucone na pustkowiu niedaleko miasta Parita po „torturach i rytualnym morderstwie” dokonanym ponoć przez specjalną jednostkę należącą do elitarnych oddziałów prezydenta. Prasa Hatry’ego jako pierwsza zamieściła tę historię. Prasa Hatry’ego puściła ją w ruch. Stacje telewizyjne Hatry’ego zakreśliły ją jeszcze bardziej. Wkrótce wszystkie brytyjskie gazety niezależnie od sympatii politycznych miały swój własny artykuł o Abraxasie. Od NASZ CZŁOWIEK W PANAMIE do CZY NASZ TAJNY BOHATER ŚCISKAŁ DŁOŃ KRÓLOWEJ? i GRUBY OPÓJ BYŁ BRYTYJSKIM AGENTEM. Bardziej trzeźwy, a co za tym idzie raczej niezauważony raport w walczącym dopiero o pozycję na rynku niezależnym dzienniku donosił, że wdowa po Abraxasie została pospiesznie wywieziona z Panamy kilka

godzin po odnalezieniu ciała męża i rzekomo obecnie przychodzi do siebie w bezpiecznym miejscu w Miami pod opiekę niejakiego Rafiego Domingo, bliskiego przyjaciela zmarłego i prominentnego Panamczyka.

Pośpiesznie wysunięta przez trzech panamskich patologów teoria, jakoby Abraxas był nałogowym alkoholikiem i zastrzelił się w napadzie depresji po wypiciu ćwiartki szkockiej, spotkała się z zasłużonymi drwinami. Jeden z brukowców Hatry'ego podsumował reakcję opinii publicznej: MYŚLICIE, ŻE DAMY SIĘ NABRAĆ, SEÑORES? Oficjalne oświadczenie złożone przez brytyjskiego charge d'affaires, pana Simona Pitta, jakoby „pan Abraxas nie miał żadnych formalnych i nieformalnych powiązań z ambasadą ani z jakimkolwiek innym brytyjskim ciałem reprezentowanym w Panamie”, wyglądało dość absurdalnie, kiedy wydało się, że Abraxas był niegdyś prezesem angielsko-panamskiego Towarzystwa Kulturalnego. Jego kadencja została skrócona „z powodów zdrowotnych”. Ekspert od spraw wywiadu wyjaśnił niewtajemniczonym ukrytą logikę tego posunięcia. Dostrzeż przez miejscowych działaczy wywiadu jako potencjalny brytyjski agent Abraxas otrzymał rozkaz zerwania wszelkich oficjalnych związków z ambasadą w ramach czynności maskujących. Właściwym sposobem osiągnięcia tego celu było spreparowanie „sporu” z ambasadą i „skłócenie” Abraxasa z jego przełożonymi. Pan Pitt nie potwierdził, jakoby taki spór zaistniał. Niewykluczone, że Abraxas drogo zapłacił za ten brak wyobraźni ze strony brytyjskiego wywiadu. Dobrze poinformowane źródła donosiły, że panamskie służby bezpieczeństwa od jakiegoś czasu interesowały się jego działalnością. Minister gabinetu cieni z ław opozycji, który miał czelność sparafrazować Oscara Wilde'a i powiedzieć, że jeden człowiek ginący za sprawę nie czyni jej słuszną, został natychmiast postawiony pod pręgierzem przez brukowce, a jeden z organów Hatry'ego przyobiegał swym czytelnikom szokujące rewelacje na temat nieudanego życia seksualnego tego pana.

I pewnego dnia, jak na zamówienie, w światłach rampy pojawił się PANAMSKI TRIUMWIRAT, jak ich od tej pory nazywano, a mianowicie trzech brytyjskich dyplomatów, którzy - jak stwierdził jeden z komentatorów- ”wyprowadzili z siedziby ambasady swój dobytek, kobiety i fary w przeddzień brutalnego amerykańskiego nalotu”. Nie dopuszczono, by fakt, że naprawdę było ich czworo, a wśród nich jedna kobieta, popsuł efektowny nagłówek. Wyjaśnienia, których próbowała udzielić nieszczęsna rzeczniczka prasowa ministerstwa spraw zagranicznych, przyjęto z rozbawieniem:

- Pan Andrew Osnard nie był etatowym członkiem służb dyplomatycznych. Był zatrudniony tymczasowo jako wykwalifikowany specjalista do spraw związanych z Kanałem Panamskim.

Prasa z radością opisała jego wysokie kwalifikacje: Eton, wyścigi chartów i tor gokartowy w Omanie.

P: Dlaczego Osnard wyjechał z Panamy w takim pośpiechu?

O: Uznano, że przydatność pana Osnarda wyczerpała się.

P: W związku z wyczerpaniem się przydatności Mickiego Abraxasa.

O: Bez komentarza.

P: Czy Osnard jest szpiegiem?

O: Bez komentarza.

P: Gdzie przebywa teraz Osnard?

O: Nie posiadamy informacji o miejscu pobytu pana Osnarda.

Biedaczka. Nazajutrz prasa z dumą oświeciła ją, publikując fotografie Osnarda na stokach narciarskich Davos - bez komentarza - w towarzystwie dwa razy od niego starszej arystokratycznej piękności.

- Ambasador Maltby został wezwany do Londynu na konsultacje niedługo przed rozpoczęciem operacji „Bezpieczna Przepawa”. Termin jego odwołania był przypadkowy.

P: Co to znaczy niedługo?

O: (ta sama nieszczęsna rzeczniczka) Niedługo.

P: Przed zniknięciem Abraxasa czy po?

O: To absurdalne pytanie.

P: Co łączyło Maltby'ego z Abraxasem?

O: Nie wiemy nic o żadnym związku.

P: Dla człowieka o intelektualnym formacie Maltby'ego Panama była dość skromną placówką.

O: Darzymy wielkim szacunkiem Republikę Panamy. Pan Maltby uważany był za właściwą osobę na tym stanowisku.

P: Gdzie jest teraz?

O: Ambasador Maltby jest na bezterminowym urlopie, podczas którego zajmuje się sprawami natury osobistej.

P: Może pani określić ich charakter?

O: Przed chwilą to zrobiłam: osobisty.

P: A konkretnie?

O: O ile wiemy, pan Maltby odziedziczył spadek i być może zastanawia się nad nową karierą. Jest wybitnym uczonek.

P: Czy chce pani powiedzieć, że został usunięty z dyplomacji?

O: Ależ skąd.

P: Zwolniony?

O: Dziękuję państwu za przybycie na dzisiejszą konferencję.

Pani Maltby, którą odnaleziono w jej domu w Wimbledon, gdzie cieszyła się zasłużoną sławą świetnego gracza w kręgle, przezornie odmówiła komentarzy na temat miejsca pobytu męża:

- Nie, nie. Wynoście się, wszyscy. Nic ze mnie nie wyciągniecie. Już ja was dobrze znam, pismaki. Pijawki, wszystko zmyślacie. Mieliśmy was na Bermudach, kiedy przyjechała królowa. Nie, nie odezwał się do mnie. Nie spodziewam się. Ma swoje życie, niezwiązane ze mną. Och, na pewno kiedyś zadzwoni, jeśli będzie pamiętał numer i zbierze monety. Nic więcej nie powiem. Szpiegiem? Nie rozśmieszajcie mnie. Myślicie, że nie wiedziałabym? Abraxas? Nigdy o nim nie słyszałam. To brzmi jak nazwa klubu fitness. Tak, owszem. To prostak, który zwymiotował na mnie podczas przyjęcia z okazji urodzin królowej. Okropna kreatura. Co to znaczy, idioto, romantyczny związek? Nie widziałeś ich zdjęć? Ona ma dwadzieścia cztery lata, a on czterdzieści siedem i to mało powiedziane.

WYDRAPIEŃ OCZY CÓRCZE SĘDZIEGO, MÓWI PORZUCONA ŻONA AMBASADORA. Pewien nieustraszony reporter twierdził, że wysledził naszą parę w Bali. Inny, słynący z tajnych źródeł informacji, umieścił ich w opływającej w luksusy willi CIA na wzgórzu w Montanie udostępnianej „wartościowym współpracownikom”, którzy zasłużyli sobie na

szczególną wdzięczność Agencji.

- Panna Francesca Deane dobrowolnie zrezygnowała ze służby w dyplomacji podczas pobytu w Panamie. Była zdolną urzędniczką i bolejemy nad jej decyzją, którą podjęła wyłącznie z powodów osobistych.

P: Tych samych co Maltby?

O: (ta sama rzeczniczka, ostatkiem sił, lecz niezłomnie) Następne pytanie. P: Czy to znaczy „bez komentarza”?

O: To znaczy „następne pytanie”. To znaczy „bez komentarza”. Co za różnica? Czy możemy zmienić temat i przejść do czegoś poważniejszego?

(Dziennikarka z Ameryki Łacińskiej za pośrednictwem tłumacza): P: Czy Francesca Deane była kochanką Mickiego Abraxasa? O: O czym pani mówi?

P: Wielu ludzi w Panamie twierdzi, że jest odpowiedzialna za rozpad małżeństwa Abraxasa.

O: Chyba nie wyobraża sobie pani, że będę komentować plotki krążące po Panamie.

P: Wielu ludzi w Panamie mówi też, że Stormont, Maltby, Deane i Osnard byli grupą świetnie wyszkolonych brytyjskich terrorystów, której CIA zleciła infiltrację demokratycznego rządu Panamy i rozsądzenie go od wewnątrz!

O: Czy ta pani ma akredytację? Czy ktoś ją kiedyś widział? Przepraszam! Proszę pokazać swoją przepustkę strażnikowi.

Przypadek Nigela Stormonta wywołał najmniej komentarzy. Tytuły ROZPUSTNIK Z MINISTERSTWA NA WYBIEGU i przypomnienie mocno nagłośnionego w swoim czasie romansu Stormonta z żoną byłego kolegi podczas pracy w ambasadzie brytyjskiej w Madrycie nie przetrwały pierwszej fali zainteresowania. Przyjęcie Paddy Stormont do szwajcarskiej kliniki onkologicznej i zrezygnowanie Stormonta z kontaktów z dziennikarzami położyły kres dalszym spekulacjom. Stopniowo uznano Stormonta za pionka w akcji postrzeganej obecnie jako wielki i otoczony ścisłą tajemnicą brytyjski sukces, który, jak stwierdził najlepiej opłacany dziennikarz Hatry'ego - „uratował Stanom Zjednoczonym skórę i udowodnił, że torysowskie przywództwo może być mile widzianym partnerem w starym Sojuszu Atlantyckim, niezależnie od tego, czy jego niezdecydowani europejscy partnerzy zechcą się przyłączyć, czy też nie”. Symboliczny udział brytyjskich wojsk podczas interwencji, niezauważony nigdzie poza Wielką Brytanią, wywołał powszechną radość w narodzie. Co lepsze kościoły wywiesiły flagi ze świętym Jerzym, a dzieciom, które nie wybrały się jeszcze na wagar, urządzono dzień wolny od zajęć. Co do Pendela, wszystkie patriotyczne gazety i stacje telewizyjne w kraju obowiązywał całkowity zakaz wymieniania jego nazwiska. Taki już jest los tajnych agentów.

Była noc i znowu łupili Panamę - podpalali wieże i rudery, płoszyli ogniem artyleryjskim zwierzęta, dzieci i kobiety, kosili mężczyzn na ulicach, a wszystko to przed nastaniem poranka. Pendel stał na balkonie jak za pierwszym razem, patrzył, nie myśląc, słuchał, nie czując, „rozpraszał się” nie garbiąc pleców, pokutował bez poruszania ustami, tak jak pokutował wujek Benny, wypowiadając święte słowa do pustego kufła:

„Nasza potęga nie zna granic, a nie potrafimy zapewnić chleba głodnemu dziecku ani dachu nad głową bezdomnemu... Nasza wiedza jest niezmierna, a konstruujemy broń, która nas zniszczy... Żyjemy na skraju nas samych, przerażeni ciemnością w nas... Krzywdziliśmy, psuliśmy, niszczyliśmy, popełnialiśmy błędy i oszukiwaliśmy”.

Z domu znowu nawoływała Louisa, ale Pendel nie zwracał na nią uwagi. Słuchał krzyków nietoperzy, które kołowały nad nim i pokrzykiwały w ciemnościach. Uwielbiał nietoperze, a Louisa ich nienawidziła. Zawsze napawało go strachem, kiedy ludzie bez powodu nienawidzili, bo nigdy nie wiadomo, jak to się może skończyć. Nietoperz jest brzydki, dlatego go nienawidzę. Jesteś brzydki, dlatego cię zabiję. Doszedł do wniosku, że uroda jest czynnikiem zastraszającym, i być może dlatego, choć jego zawód polegał na upiększaniu, zawsze uważał brzydotę Marty za coś dobrego.

- Wejść do środka! - wołała Louisa. - Harry, na miłość boską, wydaje ci się, że jesteś niezniszczalny?

Cóż, chciałby wejść do środka, bo w głębi duszy był człowiekiem rodzinnym, ale miłość boska nie zaprzętała dzisiaj myśli Pendela, nie uważał się też za niezniszczalnego. Wręcz odwrotnie. Uważał się za śmiertelnie rannego. A co do Boga - był On beznadziejny, jak każdy, kto nie potrafi zakończyć tego, co zaczął. Zamiast więc skryć się w domu, Pendel wołał tkwić na balkonie, z dala od oskarżycielskich spojrzeń przemądrzałych dzieci, ostrego języka żony i natrętnego wspomnienia o samobójstwie Mickiego, wołał też obserwować koty z sąsiedztwa, przebiegające w ścisłym szyku przez trawnik. Trzy były bure, a jeden rudy i w jasnym świetle magnetycznych rac, które płonęły i nie opadały, widać było ich naturalne kolory, choć nocą, jak wiadomo, wszystkie koty są czarne.

Pośród chaosu i huku wystrzałów były jeszcze inne rzeczy, które interesowały Pendela. Na przykład sposób, w jaki pani Costello spod dwunastki grała na pianinie wujka Benny'ego, co robiłby Pendel, gdyby potrafił grać i gdyby odziedziczył pianino. Umiejętność zatrzymywania muzyki palcami, kiedy jest się nieprzytomnym ze strachu, musi być cudownym sposobem na zachowanie zimnej krwi. Jej skupienie było zdumiewające. Nawet z odległości widział, jak przemyka oczy i porusza ustami niczym rabin, mówiąc do nut, które wygrywała na klawiaturze, tak jak dawniej wujek Benny. Ciocia Ruth zakładała wtedy ręce z tyłu, wypinała pierś i śpiewała.

Mercedes Mendozów spod siódemki, błękitny metalik, na którego właściciele dmuchali i chuchali, zaczął się staczać. Pete Mendoza był tak szczęśliwy, że udało mu się zdążyć przed atakiem do domu, że zostawił samochód na luzie i nie zaciągnął ręcznego hamulca, co

samochód stopniowo sobie uświadomił. Jestem wolny, powiedział. Drzwi do celi zostawili otwarte. Muszę tylko ruszyć z miejsca. Więc ruszył, początkowo ociężale jak Mickie i być może tak jak Mickie z wielką nadzieją na przypadkową kolizję, która odmieni jego życie, ale w rozpaczy pędził na łeb na szyję i Bóg wie, gdzie wylądował, jaką prędkość rozwinął i jakie szkody po drodze wyrządził, i czy jakiś wynalazek niemieckiej myśli technicznej nie zaprogramował przypadkiem w jednym z jego zapieczętowanych urządzeń sekwencji z dziecinny wózkiem z jakiegoś rosyjskiego filmu, którego tytułu Pendel nie pamiętał.

Wszystkie te błahe detale miały dla Pendela ogromne znaczenie. Tak jak pani Costello skupił na nich myśli, a tymczasem ostrzał ze wzgórza Ancón i kołujące w powietrzu śmigłowce wydawały mu się do znudzenia znajome, stanowiły część codziennej rzeczywistości: biedny krawczyk wznieca pożary, żeby zadowolić przyjaciół i zwierzchników, a potem patrzy, jak płonie świat. A razem z nim wszystko, co wydawało się istotne. Kiepski żart wypowiedziany nie w porę.

Nie, Wysoki Sądzie, nie rozpętałem tej wojny.

Tak, Wysoki Sądzie, przyznaję, możliwe, że napisałem hymn. Ale pozwolę sobie zauważyć z całym szacunkiem, że autor hymnu niekoniecznie musi rozpętywać wojnę.

- Harry, nie rozumiem, dlaczego nie wracasz, skoro cała rodzina błagacie, żebyś przyszedł. Nie, Harry, nie za minutę. W tej chwili. Prosimy, żebyś zszedł z balkonu i chronił nas.

Och Lou, Jezu, tak bardzo, tak strasznie bym chciał do was przyjść. Ale muszę odejść od kłamstwa, nawet jeśli z ręką na sercu nie wiem, czym jest prawda. Muszę zostać i odejść jednocześnie, ale w tej chwili nie mogę zostać.

Nie było żadnego ostrzeżenia choć z drugiej strony Panama żyła w nieustannym zagrożeniu. Zachowuj się, malutka, a jak nie, to zobaczysz. Pamiętaj, nie jesteś państwem, tylko kanałem. Poza tym przecenia się potrzebę takiego ostrzeżenia. Czy uciekający błękitny wózek marki mercedes bez dziecka dał ostrzeżenie, kiedy staczał się po schodach krętej drogi, zanim wpadł na grupę uciekinierów? Oczywiście, że nie. Czy stadion piłkarski daje ostrzeżenie, zanim zawała się trybuna, zabijając setki ludzi? Czy morderca ostrzega swoją ofiarę, że odwiedzi go policja, pytając, czy jest brytyjskim szpiegiem i czy zechciałby spędzić parę tygodni z kilkoma trudnymi osobnikami w jednym z najbardziej przeludnionych więzień Panamy? Co do konkretnych ostrzeżeń: - „Mamy zamiar was zbombardować”... „Mamy zamiar was zdradzić”... to po co kogokolwiek niepokoić? Ostrzeżenie nie pomoże biednym, bo i tak nie mogą nic zrobić oprócz tego, co zrobił Mickie. A bogaci nie potrzebują ostrzeżenia, bo stało się już regułą podczas ataków na Panamę, że bogatym nie grozi niebezpieczeństwo, co zawsze powtarzał Mickie po pijaku lub na trzeźwo.

Nie było więc żadnego ostrzeżenia i wojskowe helikoptery nadleciały jak zwykle nad oceanu, ale tym razem nie napotkały oporu, bo nie było armii. El Chorrillo podjęło słuszną decyzję o kapitulacji, zanim dotarły tam śmigłowce, co świadczyło o tym, że miejsce to wreszcie przestało się burzyć i że Mickie też nie pomylił się, podejmując w odpowiednim czasie podobne kroki, nawet jeśli konsekwencją tych decyzji w obu przypadkach był bałagan. Blok mieszkalny podobny do bloku Marty dobrowolnie padł na kolana, przypominając Mickiego, twarzą w dół. Prowizoryczna podstawówka sama się podpaliła. Schronisko dla starców wybiło sobie w ścianie dziurę niemal takich samych rozmiarów jak dziura w głowie Mickiego. Potem wyrzuciło na ulicę połowę swych podopiecznych, żeby pomogli ugasić ogień

tak, jak radzili sobie ludzie w Guarare, głównie ignorując go. I mnóstwo innych ludzi zaczęło biec, jeszcze zanim mieli przed czym uciekać - coś w rodzaju próbnej ewakuacji - i krzyczeli, zanim zostali trafieni. A wszystko, co Pendel zauważył przy wtórze nawoływań Louisy, wydarzyło się, zanim pierwsza fala wzburzonego powietrza dotarła do jego balkonu w osiedlu Bethania i zanim pierwsze wstrząsy zatrzęśły komórką pod schodami, dokąd Louisa zabrała dzieci.

- Tato! Tym razem wolał Mark. - Tato, chodź do nas. Proszę cię! Proszę!

- Tatusiu, tatusiu, tatusiu. - Teraz Hannah. - Kocham cię!

Nie, Hannah. Nie, Mark. O miłości pogadamy innym razem i, niestety nie mogę do was przyjść. Kiedy ktoś podpala świat, a jakby tego było mało zabija najlepszego przyjaciela i wysyła swoją niby-kochankę do Miami żeby uchronić ją przed dalszymi szykanami policji, choć jej oczy powiedziały mu, że za nic nie wyjedzie, musi porzucić wszelkie myśli o roli obrońcy.

- Harry, oni wszystko sobie zaplanowali. Wszystko jest dopracowane Stosują najnowocześniejszą technikę. Nowoczesna broń może namierzyć okno z odległości wielu kilometrów. Teraz nie bombarduje się cywilów. Proszę cię po dobroci, wejdź do środka.

Ale Pendel nie mógł wejść do środka, choć pod wieloma względami pragnął tego, bo znowu nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zauważył, że za każdym razem, kiedy podpala świat lub zabija przyjaciela, nogi przestają mu funkcjonować. Nad El Chorillo powstał wielki ogień, z którego unosił się czarny dym - chociaż tak jak koty dym nie był zupełnie czarny, lecz czerwony na dole od płomieni i srebrny na górze od magnezowych rac na niebie. Ten rosnący ogień zahipnotyzował go i Pendel nie potrafił oderwać od niego wzroku ani poruszyć nogami na centymetr w innym kierunku. Musiał patrzeć w ogień i myśleć o Mickiem.

- Harry, chciałabym wiedzieć, dokąd się wybierasz!

Ja też. W każdym razie pytanie żony zdziwiło go i zdał sobie sprawę, że zaczął iść, ale nie w stronę Louisy i dzieci. Oddalał się od nich i od wstydu, maszerował długimi krokami twardą, biegnącą w dół drogą tym samym szlakiem, który obrał mercedes Pete'a, kiedy zaczął się staczać, chociaż miał ochotę się odwrócić, wbiec na wzgórze i uściskać żonę i dzieci.

- Harry, kochani cię. Jeśli zrobiłeś coś złego, ja postąpiłam jeszcze gorzej. Nie obchodzi mnie, kim i czym jesteś, co i komu zrobiłeś. Zostań Harry.

Stawiał długie kroki. Uderzał obcasem o strome wzgórze, co nadawało mu sprężystości. Tak już jest, kiedy schodzi się ze wzgórza coraz niżej - coraz trudniej zawrócić. Schodzenie w dół jest bardzo uzależniające. A miał całą drogę dla siebie, bo generalnie podczas inwazji ci, którzy nie plądrują, siedzą w domach i telefonują do przyjaciół. To właśnie robili ludzie w oświetlonych oknach mijanych domów. Czasem uzyskiwali połączenie, bo ich przyjaciele też zamieszkiwali rejony, gdzie podczas wojny można korzystać z normalnych usług. Ale Marta nie mogła do nikogo zadzwonić. Marta mieszkała wśród ludzi, którzy, choćby tylko duchowo, pochodzili z drugiej strony mostu. Dla nich wojna była poważnym, a nawet śmiertelnym zakłóceniem codziennego życia.

Więc szedł dalej i chciał się odwrócić, ale nie robił tego. Był zmęczony i chciał zamienić to zmęczenie na sen. Być może do tego przydaje się śmierć.

Chciał zrobić coś, co będzie trwało, na przykład poczuć znowu głowę Marty na swojej szyi i położyć rękę na jej piersi, ale problem polegał na tym, że uważał się za

nieodpowiedniego towarzysza i wołał własne towarzystwo od innych dlatego, że w samotności nie mógł czynić tak wielkich spustoszeń, jak powiedział sędzia i miał rację, co powiedział mu Mickie i tym bardziej miał rację.

Zdecydowanie nie zależało mu już na garniturach - ani swoich, ani innych ludzi. Linia, wzór, złote oko, sylwetka nic go już nie obchodziły. Ludzie powinni nosić to, na co mają ochotę, a najlepsi i tak nie mają wyboru. Wielu z nich musi zadowolić się parą dżinsów, białą koszulą lub sukienką w kwiaty, które piorą i noszą przez całe życie. Inni nie mają najmniejszego pojęcia o krawiectwie. Na przykład ci, którzy mijają go w biegu z krwawiącymi stopami i szeroko otwartymi ustami. Spychają go z drogi, krzycząc „Ogień!” i wydzierając się jak ich własne dzieci. Krzyczą „Mickie!” i „Pendel, ty łotrze”. Wypatrywał wśród nich Marty, ale jej nie zobaczył. Prawdopodobnie uznała, że jest dla niej zbyt zepsuty, zbyt obrzydliwy. Wypatrywał błękitnego mercedesa Mendozy na wypadek, gdyby samochód postanowił przejść na stronę przerażonego tłumu, ale nigdzie go nie było. Widział amputowany w pasie hydrant przeciwpożarowy, który buchał czarną krwią, zalewając ulicę. Widział parę razy Mickiego, ale nie uzyskał od niego nic więcej oprócz skinięcia głową.

Szedł naprzód i uświadamiał sobie, że zaszedł daleko w głąb doliny. Musiała ona prowadzić do miasta. Ale kiedy się idzie samemu środkiem drogi, którą codziennie przejeżdża się samochodem, rozpoznanie charakterystycznych punktów staje się trudne, zwłaszcza kiedy oświetlają je race i kiedy potracają cię przerażeni uciekinierzy. Ale nie miał problemu z obraniem kierunku. Kierunkiem był Mickie i Marta. I jądro pomarańczowej kuli ognia, która nie spuszczała z niego oczu, kiedy zbliżał się do niej, pchała go do przodu i rozmawiała z nim głosami wszystkich nowych, dobrych panamskich sąsiadów, na których poznanie nie było jeszcze za późno. I z pewnością tam, dokąd zmierzał, nikt go już nie poprosi o upiększanie życia ani nie pomyli jego fantazji ze swoją straszną rzeczywistością.



Spis treści

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)